



TERRA INCOGNITA

Erika

Fatland

Sowietstany

**Podróż po Turkmenistanie,
Kazachstanie, Tadżykistanie,
Kirgistanie i Uzbekistanie**



▶ TERRA INCOGNITA

Erika Fatland

Sowietstany

Podróż po Turkmenistanie, Kazachstanie, Tadżykistanie,
Kirgistanie i Uzbekistanie

przełożyła Maria Gołębiewska-Bijak

w
ydawnic
ab
two

Tytuł oryginału: *Sovjetistan. En reise gjennom Turkmenistan, Kasakhstan, Tadsjikistan, Kirgisistan og Usbekistan*

Copyright © by Erika Fatland 2014

Published by agreement with Leonhardt & Høier Literary Agency A/S, Copenhagen

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Maria Gołębowska-Bijak, MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

Spis treści

Wrota Piekieł	9
Turkmenistan	12
Notatki z podziemia	13
Marmurowe miasto.	25
Dyktatorstan.	35
Kwiat pustyni	56
Upadek dyktatora.	75
Ostatnia wyprawa.	88
Era szczytowego szczęścia	104
Na pograniczu	110
Kazachstan	114
Oaza sushi i bankomatów	115
Koleją	123
Jezioro, które zniknęło	137
Imperium	147
Kazachskie polo	154
Pionki Stalina.	163
Stolica	168
Wielki eksperyment	176
Słabe serce	195
Ojciec jabłek.	201

Zmęczony aktywista	206
Silny cios	212
Tadżykistan	219
Stolica mercedesów	220
Poza czasem	228
Melancholijna kelnerka	260
Oblicza wojny.	265
Wielka Gra	274
Kraina u stóp słońca	296
Wspólnie zwalczmy korupcję!.	308
Kirgistan.	313
Chwile wolności	314
Nie płacz, teraz jesteś moją żoną	321
Orlarze	332
Ostatni Niemcy z Czerwonego Frontu.	342
Greckie orzechy włoskie	353
Pięć czerwcowych dni	363
Cisza w poczekalni	369
Czy wwozi pani pornografię, panienko?	371
Uzbekistan	373
Sztuka utrzymywania fasady	374
Z czego tka się marzenia?	388
Muzeum na pustyni	399

Bóg bawełny	409
W poszukiwaniu straconego czasu	423
Perły Jedwabnego Szlaku	436
Stacja końcowa	446
Podziękowania	462
Literatura	465
Przypisy	469

Załamanie się rosyjskiego panowania nad tym obszarem sprawiło, że ta część Azji znalazła się znów w kipiącym kotle historii. Niemal wszystko może się tu zdarzyć i tylko człowiek bardzo śmiały albo głupi może się pokusić o przepowiednie na przyszłość.

Peter Hopkirk, *Wielka Gra. Sekretna wojna o Azję Środkową*, przeł. Jarosław Skowroński



Wrota Piekieł

Zgubiłam się. Płomienie z krateru przysłoniły rozgwieżdżone niebo i pogłębiły cienie. Syczą języki ognia. Są ich tysiące. Niektóre wielkie jak słonie, inne nie większe od kropli wody. Łagodne ciepło owiewa mi policzki; woń jest słodkawa, mdląca. Od krawędzi odrywa się kilka kamieni – spadają bezgłośnie w płomienie. Cofam się kilka kroków na twardszy grunt. Noc na pustyni jest chłodna i pozbawiona zapachu.

Płonący krater powstał przez nieszczęśliwy wypadek w 1971 roku. Zdaniem radzieckich geologów na tym obszarze znajdują się bogate złoża gazu, rozpoczęto więc wiercenia próbne. Rzeczywiście, znaleziono gaz, i to w dużych ilościach. Planowano wydobycie na większą skalę, ale pewnego dnia ziemia po wiertłem rozwarła się jak uśmiechnięta paszcza: ponad sześćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia głębokości, a z krateru wydobył się śmierdzący metan. Wszelkie odwierty próbne zawieszono na czas nieokreślony, naukowcy się spakowali, obóz zwinięto. Jednak ludziom w promieniu wielu kilometrów od krateru dawał się we znaki charakterystyczny mdlący zapach. Postanowiono zatem podpalić metan. Geolodzy założyli, że po paru dniach ogień sam zgaśnie.

Jedenaście tysięcy sześćset dni później ogień jest równie silny, jak był. Miejscowi nazwali krater Wrotami Piekieł. Zresztą nie ma ich już tutaj – wynieśli się co do jednego. Pierwszy prezydent Turkmenistanu zarządził likwidację liczącego trzysta pięćdziesiąt dusz kyszłaku¹, aby oszczędzić turystom odwiedzającym tę okolicę widoku nędznych warunków życia jego mieszkańców.

Pierwszego prezydenta też już nie ma. Zmarł zaledwie dwa lata po wydaniu dekretu o likwidacji kyszłaku. Jego następca, dentysta, zdecydował, że krater należy zaplombować. Na razie nikt nawet nie ruszył łopata, by zasypać Wrota Piekieł, a metan przez tysiące drobniutkich

otworów wciąż płynie strumieniem ze swojego podziemnego, na pozór niewyczerpanego źródła.

Wciągają mnie ciemności. Jedyne, co widzę, to tańczące płomienie i wypukła warstwa przezroczystego gazu, która przykrywa krater jak kaptur. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Stopniowo zaczynam rozróżniać drobne kamienie, grzbiety wzgórz, gwiazdy. Ślady kół! Podążam za nimi sto metrów, dwieście, trzysta; powoli na wyczucie posuwam się naprzód.

Z dystansu gazowy krater staje się niemal piękny: tysiące płomieni stopionych w podłużne pomarańczowe ognisko. Niepiesznie idę dalej, wciąż trzymając się śladów. Raptem natykam się na jeszcze jedno ślady kół i kolejne. Krzyżują się i splatają, jest ich tyle, że przestaję odróżniać te świeże, głębokie i wilgotne, od starych, suchych, płytkich, rozjeżdżonych. Gwiazdy, które tłoczą się teraz na nieboskłonie jak świetliki, niewiele tu pomogą. Żaden ze mnie Marco Polo, jestem podróżnikiem z XXI wieku i umiem wyznaczać kierunek tylko za pomocą GPS-u. Mój iPhone padł i spoczywa w kieszeni spodni, od niego też nie uzyskam pomocy. A nawet gdybym miała zapasową baterię i zasięg, byłabym tak samo zagubiona. Na pustyni nie ma tabliczek z nazwami ulic, żadnych punktów orientacyjnych na ekranie.

Dwa reflektory przecinają noc. Samochód zbliża się do mnie szybko, warkot silnika wydaje się niemal brutalny. Za ciemnymi szybami rozpoznaję czapki z daszkiem i mundury. Dostrzegli mnie? W ataku paranoi wyobrażam sobie, że mnie ścigają. Dostałam się do tego kraju, jednego z najszczelniej zamkniętych na świecie, za sprawą drobnego łgarstwa. Choć cały czas starannie dobierałam słowa i nikomu nie zdradziłam, dlaczego tak naprawdę tu jestem, zapewne dawno domyślili się wszystkiego. Żaden student nie przyjeżdża tu sam na wycieczkę objazdową z przewodnikiem.

Jedno lekkie pchnięcie i po mnie, zniknę i zamienię się w popiół w przedsionku piekła.

Przednie światła samochodu oślepiają mnie i znikają równie szybko, jak

się pojawiły.

Wreszcie robię jedyną rozsądną rzecz w tej sytuacji. Wybieram grzbiet najwyższego wzgórza w polu widzenia i w szarzyźnie mroku wdrapuję się na jego szczyt. Stąd Wrota Piekieł przypominają pełne żaru usta otoczone ze wszystkich stron melancholijnie patchworkową pustynią. Przez chwilę mam wrażenie, że jestem jedyną istotą ludzką na Ziemi. Dziwnie pokrzepiająca myśl.v

Potem wpada mi w oko ognisko, nasza mała kupka żaru, i ruszam na ten azymut.

Turkmenistan

Powierzchnia 491 210 km²

Liczba ludności 5 171 943 (szacunkowo w 2014 roku)

Stolica Aszchabad

Prezydent Gurbanguly Berdimuhamedow (od 2007 roku)



Notatki z podziemia²

Wyjście 504. To chyba pomyłka. Wszystkie pozostałe mają numery zaczynające się na dwieście: 206, 211, 242. Czyżbym trafiła na nie ten terminal? Albo – co gorsza – na niewłaściwe lotnisko?

W porcie lotniczym Stambuł-Atatürk spotykają się Zachód ze Wschodem. Tłum podróżnych to przypadkowa mieszanka pielgrzymujących do Mekki, opalonych Szwedów z wypchanymi wódką Absolut reklamówkami ze sklepów bezcłowych, biznesmenów w seryjnie szytych garniturach oraz ubranych na biało szejków z ubranymi na czarno żonami, obładowanymi torbami z ekskluzywnych europejskich domów mody. Żadne inne linie lotnicze na świecie nie latają do tak wielu krajów, jak Turkish Airlines, a ci, którzy zmierzają do dziwnych stolic o egzotycznie brzmiących nazwach, muszą się zwykle liczyć z międzylądowaniem tutaj. Tureckie linie lotnicze latają do Chişinău (Kiszyniowa w Mołdawii), Dżibuti, Ouagadougou (Wagadugu w Burkina Faso) i do Usinska (w Republice Komi w składzie Federacji Rosyjskiej). Oraz do Aszchabadu, który był moim celem.

Na końcu długiego korytarza wreszcie dostrzegłam ów cholerny numer. 504. Ruszyłam w jego stronę i w czasie tej wędrówki miałam wrażenie, że odsuwa się on coraz dalej ode mnie. Tłum stopniowo się rozrzedzał. Ostatecznie zostałam sama na peryferiach terminalu, w zakątku, do którego trafia niewielu podróżnych. Korytarz kończył się szerokimi schodami. Pokonałam stopnie i znalazłam się w świecie kolorowych chust na głowę, brązowych baranich czap, sandałów i kaftanów. To ja się tutaj wyróżniałam w swojej całorocznej kurtce i adidasach.

Podbiegł do mnie ciemnowłosa mężczyzna o małych oczkach trzymający w rękach starannie oklejona brązową taśmą paczkę wielkości poduszki na sofę. Czy mogłabym mu ją ponieść? Udałam, że nie rozumiem po rosyjsku. *Sorry, sorry* – mruknęłam, idąc dalej. Co to za facet, który nie jest w stanie nieść swojego bagażu? Kilka niezbyt młodych kobiet w długich do ziemi

fioletowych sukniach z bawełny i obszernych, dopasowanych do nich kolorystycznie zawojach na głowie wzięło mężczyznę w obronę. Przecież prosi o taką drobnostkę. Nie mogłabym mu po prostu pomóc? Potrząsnęłam głową – *no, sorry, sorry* – i pognałam dalej. Ani myślałam pomagać kompletnie obcemu Turkmenowi w kwestii jego podejrzanego paczki. Zapaliły mi się wszystkie lampki ostrzegawcze.

Przeszłam pięć, może sześć metrów, i znowu zostałam zagadnięta. Chwyła mnie za ramię chuda jak szczapa dwudziestolatka w czerwonej sukni do ziemi. Może byłabym tak uprzejma i pomogła jej z drobną częścią bagażu? Tylko troszeczkę?

– *Niet!* – odmówiłam zdecydowanie i wyswobodziłam ramię.

Dopiero później uświadomiłam sobie, o co tu chodzi. Prawie wszyscy mieli za dużo bagażu podręcznego, a pracownicy linii lotniczych zajmujący się odprawą robili surowe miny i byli wyposażeni w wagi łazienkowe...

Pasażerowie, którzy przeszli przez odprawę, odrywali paczki przyklejone taśmą do ciała pod ubraniem. Miałam wrażenie, że kobietom udawało się ukryć pod długimi sukniami niemal wszystko. Uwalniały się od balastu z chichotem, właściwie nie przejmując się stewardesami, które przecież to wszystko widziały.

Tymczasem główna tajemnica pozostawała nierozwiązana: dlaczego, u licha, wszyscy mieli takie ilości bagażu podręcznego? Któraś ze stewardes za ladą musiała chyba zauważyć moją zdezorientowaną minę, bo skinieniem głowy dała mi znak, bym podeszła bliżej.

– To kobiety interesu – wyjaśniła. – Co najmniej raz w miesiącu przyjeżdżają do Stambułu i kupują towar, który potem z zyskiem odsprzedają na rynku w Aszchabadzie. Prawie wszystkie towary sprzedawane w Turkmenistanie są produkowane w Turcji.

– Dlaczego nie pakują tego do walizek? – spytałam. – Boją się kradzieży?

– Walizki też mają, niech mi pani wierzy – roześmiała się stewardesa.

Wejście na pokład samolotu trwało długo. Pasażerowie, którzy mieli

nadliczbowy bagaż podręczny, czyli większość z nich, musieli zabezpieczyć go taśmą i nadać jako zwykły bagaż. Na pokładzie panował chaos. Kobiety siadały, gdzie popadło, przy wtórze głośnych protestów siwobrodych mężczyzn w kaftanach. Za każdym razem, kiedy jakiś pasażer się skarżył, do dyskusji włączało się dwudziestu innych, kobiet i mężczyzn.

– W przypadku konfliktu o zajmowane miejsca prosimy wezwać personel pokładowy – zachęcała przez głośnik stewardesa.

Nikom jednak nie przyszło do głowy, żeby to zrobić. Wciśnięta między kaftany i bawełniane suknie nie miałam wyboru, musiałam posuwać się w ślimaczym tempie środkowym przejściem. Wznosząc oczy do nieba, przez morze ciał przeciskała się stewardesa.

Na moim miejscu, na fotelu 17F, siedziała już władcza kobieta w średnim wieku ubrana w liliową suknię.

– Musiała nastąpić pomyłka, to miejsce jest moje – odezwałam się po rosyjsku.

– Chyba nie rozdzieli pani trzech sióstr? – odparła kobieta, wskazując głową dwie matrony na sąsiednich fotelach do złudzenia ją przypominające. Wszystkie trzy z uwagą mi się przyglądały.

Wyjęłam kartę pokładową, wskazałam palcem numer i spojrzałam na fotel.

– To jest moje miejsce.

– Chyba nie rozdzieli pani trzech sióstr? – powtórzyła tamta.

– To gdzie mam usiąść? To jest, jak mówiłam, moje miejsce.

– Może pani usiąść tam – wskazała wolny fotel w rzędzie przed sobą.

Kiedy otworzyłam usta, żeby znowu zaprotestować, spojrzała na mnie wzrokiem, który mówił: chyba nie rozdzieli pani trzech sióstr?

– To nie jest miejsce przy oknie – wymamrotałam, posłusznie siadając na wskazanym fotelu.

Przecież nie chciałam rozdzielać trzech sióstr. Przede wszystkim zaś nie chciałam spędzić czterech godzin lotu sama obok dwóch z nich. Wkrótce

pojawił się prawowity właściciel miejsca, na którym mnie posadzono. Odesłałam go do trzech sióstr za mną. Od razu zrezygnował z wszelkich prób negocjacji i poszedł szukać wolnego fotela w tyle samolotu. Gdy maszyna kołowała przed startem, czterech wyrzuconych ze swoich miejsc mężczyzn wciąż miotało się w poszukiwaniu wolnego siedzenia.

Zazwyczaj zasypiam natychmiast, kiedy tylko koła samolotu oderwą się od ziemi, tym razem jednak z drzemki nic nie wyszło. Sąsiad obok cuchnął przetrawionym alkoholem i głośno cmokał przez sen. Wysoka kobieta przy oknie niecierpliwie zmieniała kanały na ekranie telewizora. I chociaż nie znajdowała dla siebie nic interesującego, nie ustępowała i nerwowo naciskała guziczki.

Dla zabicia czasu kartkowałam niewielki słownik turkmeński. Jeżeli ktoś chce się samodzielnie nauczyć jednego z języków mieszkańców pozostałych czterech krajów, które zamierzałam odwiedzić, ma do dyspozycji kompletne kursy: podręcznik z tekstami, zeszyt ćwiczeń i filmiki. W napadzie zarozumiałości kupiłam wszystkie cztery. Z językiem turkmeńskim było inaczej – znalazłam jedynie tę skromną broszurkę będącą w połowie słownikiem, w połowie zaś podręcznikiem survivalu. Drugą jego część poświęcono tak przydatnym zwrotom jak: „Jesteś zamężna? Nie, jestem wdową. Nie rozumiem, proszę, mów wolniej”.

Autor stopniowo wprowadza czytelników w sytuacje, z którymi, jak się można spodziewać, zetkną się podczas podróży po tym kraju: „Ile godzin opóźnienia ma ten samolot? Czy winda działa? Proszę nie jechać tak szybko!”. Rozdział o hotelach nieco mnie zmartwił: „Toaleta się zapchała. Dopływ wody jest zamknięty. Nie ma prądu. Gaz został odcięty. Nie można otworzyć (zamknąć) okna. Klimatyzacja nie działa”. Od tych ogólnych i niegroźnych problemów autor przechodzi następnie do ekstremów: „Trzymaj złodzieja! Dzwon po pogotowie! Ja tego nie zrobiłem! Nie wiedziałem, że tak nie można!”. Na samym końcu pojawił się krótki rozdział „Punkty kontroli granicznej”. Wkułam zatem: „Nie strzelać! Gdzie jest

najbliższa granica międzypaństwowa?”, po czym odłożyłam książkę.

Kobieta przy oknie zrezygnowała z poszukiwania interesujących programów i chrapała teraz z otwartymi ustami. Wpatrzyłam się w czerwieniejące wieczorne niebo.

W ciągu najbliższych ośmiu miesięcy mam zamiar odwiedzić pięć najnowszych państw: Turkmenistan, Kazachstan, Tadżykistan, Kirgistan i Uzbekistan. Kiedy w 1991 roku rozpadł się Związek Radziecki, po raz pierwszy w historii stały się one suwerenne. Od tego czasu niewiele się o nich mówi. Chociaż razem mają ponad cztery miliony kilometrów kwadratowych powierzchni i liczą ponad sześćdziesiąt pięć milionów mieszkańców, są całkowicie nieznane większości z nas. Największy wkład w przybliżenie ich Zachodowi wniósł, paradoksalnie, brytyjski komik Sacha Baron Cohen. Jego film *Borat. Podpatrzone w Ameryce, aby Kazachstan rósł w siłę, a ludzie żyli dostatniej* cieszył się wielką popularnością w Europie i USA. Tytułowy bohater, dziennikarz Borat Sagdiyev, był obywatelem Kazachstanu właśnie dlatego, że – zdaniem Cohena – nikt wcześniej o tym kraju nie słyszał. Dzięki temu twórca zyskał pełną swobodę artystyczną. Te fragmenty filmu, które rzekomo rozgrywają się w rodzinnej miejscowości Borata, były kręcone nie w Kazachstanie, lecz w Rumunii. W Rosji *Borat* stał się pierwszym po rozpadzie Związku Radzieckiego filmem niepornograficznym, którego wyświetlenia zakazano. Władze Kazachstanu zagroziły wytwórni filmowej procesem, ostatecznie jednak doszły do wniosku, że rozprawa sądowa jeszcze pogorszy opinię o kraju. Fakt, że głupawa komedia stała się dla nas najbardziej miarodajnym źródłem wiedzy o Kazachstanie, świadczy o tym, jak mało o nim wiemy. Pod względem powierzchni Kazachstan zajmuje dziewiąte miejsce na świecie, lecz jeszcze wiele lat po premierze filmu nawet w poważnych serwisach informacyjnych nazywano go „ojczyzną Borata”.

Jeśli już mówi się o poradzieckich państwach w Azji Środkowej, to zazwyczaj jako o Turkiestanie (pod tą nazwą region był znany w XIX wieku),

Stanach bądź Dalekistanie (nazwa inspirowana komiksami z Kaczorem Donaldem). Słowo *stan* pochodzi z perskiego i oznacza „miejsce” albo „kraj”. Tak więc Turkmenistan znaczy „kraj Turkmenów”, natomiast Turkiestan można przetłumaczyć jako „kraina ludów turkijskich”. Mimo wspólnego przyrostka w nazwie owych pięć Stanów jest wręcz skrajnie do siebie niepodobnych. Osiemdziesiąt procent powierzchni Turkmenistanu zajmuje pustynia, podczas gdy dziewięćdziesiąt procent Tadżykistanu to góry. Kazachstan tak się wzbogacił na wydobywaniu ropy, gazu i minerałów, że ostatnio stara się o prawo organizowania olimpiady zimowej. Turkmenistan także kąpie się w ropie i gazie, natomiast Tadżykistan jest biedny jak mysz kościelna. W wielu tadżyckich miastach i wsiach mieszkańcy mają zimą dostęp do prądu tylko przez kilka godzin dziennie. Rządy w Turkmenistanie i Uzbekistanie są tak autorytarne i skorumpowane, że można je porównywać z dyktaturą w Korei Północnej; nie ma wolnej prasy, a prezydent jest wszechwładny. Za to w Kirgistanie naród już dwukrotnie obalił urzędującego prezydenta.

Te kraje, choć pod wieloma względami bardzo różne, dzielą wspólny los i wyrastają z tych samych korzeni. Przez prawie siedemdziesiąt lat, od 1922 do 1991 roku, były częścią Związku Radzieckiego, gigantycznego, wyjątkowego w skali świata i historii eksperymentu społecznego. Bolszewicy znieśli własność prywatną oraz inne indywidualne uprawnienia. Ich celem było stworzenie społeczeństwa komunistycznego, bezklasowego i nie przebierali w środkach, by ten cel osiągnąć. Każdą dziedzinę życia społecznego poddano radykalnym zmianom. Gospodarkę zorganizowano według ambitnych planów pięcioletnich, rolnictwo skolektywizowano, przemysł ciężki zbudowano od podstaw. Stworzenie społeczeństwa radzieckiego był to projekt zakrojony na taką skalę, że przyprawiał o zawrót głowy. Jednostki zmuszono, by podporządkowały się temu, co służyło ponoć dobru ogółu. Przymusowo przesiedlano całe grupy etniczne, miliony osób uznano za „wrogów ludu” na podstawie ich religii, intelektu lub zasobów

finansowych. Wykonywano na nich egzekucje albo zsyłano je do obozów pracy na peryferiach państwa, gdzie miały nikłe szanse na przeżycie.

Ludzie cierpieli, a dla środowiska naturalnego socjalistyczny eksperyment okazał się katastrofą. Nie wszystko jednak w Związku Radzieckim było samym złem. Bolszewicy przywiązywali wagę do oświaty i kładli nacisk na kształcenie, udało się im prawie zlikwidować analfabetyzm w tych częściach Związku, gdzie przedtem był rozpowszechniony, na przykład w Azji Środkowej. Włożyli olbrzymią pracę w rozbudowę dróg i infrastruktury. Zadbali o to, żeby wszyscy obywatele mieli dostęp do opieki zdrowotnej oraz do baletu i opery, czyli do usług socjalnych i dóbr kultury.

W szczytowym okresie Związek Radziecki zajmował siódmą część powierzchni Ziemi, w jego granicach mieszkało ponad sto grup etnicznych. Wszędzie – od Karelii na zachodzie po stepy Mongolii na wschodzie – można się było porozumieć po rosyjsku, wszędzie też na masztach powiewał czerwony sztandar z sierpem i młotem. Od portów Bałtyku po wybrzeża Oceanu Spokojnego społeczeństwo było zorganizowane według tego samego modelu, z ludem panów, czyli Rosjanami, w charakterze szefów i wyższych urzędników.

Kiedy chodziłam do drugiej klasy szkoły podstawowej, potężny Związek najpierw zaczął się chwiać, a potem szybko się rozpadł. W ciągu jesieni 1991 roku zmieniła się mapa świata. Piętnaście republik, które tworzyły Związek Radziecki, znany także jako Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich albo ZSSR, wystąpiło z unii i z dnia na dzień stało się niezawisłymi państwami. W ciągu kilku miesięcy Europa Wschodnia wzbogaciła się o sześć krajów: Estonię, Łotwę, Litwę, Białoruś, Ukrainę i Mołdawię. W Azji Środkowej, jak wspomniałam, powstało ich pięć: Kazachstan, Kirgistan, Uzbekistan, Tadżykistan i Turkmenistan. Na Kaukazie światło dzienne ujrzały trzy: Gruzja, Azerbejdżan i Armenia³. Związek Radziecki został formalnie rozwiązany 26 grudnia 1991 roku.

Mimo to w szkole korzystaliśmy ze starych map. Nauczyciel regularnie

rozwijał jedną z nich i palcem wytyczał granice, których jeszcze nie zaznaczono. Nie mogliśmy zobaczyć terytoriów nowych krajów, natomiast latami patrzyliśmy na nieistniejące już mocarstwo. Pamiętam, że fascynowały mnie zarówno jego wielkość, jak i geograficzna bliskość. Było przecież naszym bezpośrednim sąsiadem.

Pierwsze spotkanie z dawnym Związkiem Radzieckim przeżyłam w towarzystwie dużej grupy fińskich emerytów. Ostatni rok szkoły średniej spędziłam w liceum w Helsinkach i tam dostałam tani bilet na wycieczkę autokarową do Sankt Petersburga. Już kontrola na granicy mówiła o powadze sytuacji: uzbrojeni żołnierze aż pięć razy brali abordażem autobus, żeby sprawdzić wszystkie paszporty i stemple wizowe. Kiedy zatrzymaliśmy się na lunch w Wyborgu, wielu uczestników wycieczki wybuchło płaczem:

– To było kiedyś takie piękne miasto – zauważyła jedna z kobiet.

W okresie międzywojennym Wyborg był drugim co do wielkości miastem w Finlandii, lecz po drugiej wojnie światowej Finowie musieli odstąpić tę część Karelii Związkowi Radzieckiemu. Regres widzieliśmy na każdym kroku. Tynk odpadał z frontonów całymi płatami, w chodnikach straszyły dziury, a ludzie w ciemnych, smutnych ubraniach robili wrażenie zgorzkniałych i poważnych.

W Sankt Petersburgu zakwaterowano nas w betonowym kłocu. Szerokie ulice, zniszczone trolejbusy, pastelowe kolory zabytkowych budynków i nieuprzejmi sprzedawcy – wszystko to głęboko poruszało i czyniło miasto nieprzyjaznym dla ludzi. Brzydota i piękno, odpychanie i przyciąganie... Pomyślałam, że nigdy tam nie wrócę. Jednak tuż po zakończeniu wycieczki kupiłam podręczniki do nauki rosyjskiego. Przez następne lata kułam słówka i odmianę przez przypadki, walczyłam z aspektem dokonanym i niedokonanym, ćwiczyłam przed lustrem wymowę spółgłosek miękkich i dźwięcznych. Przybyło podróży do Sankt Petersburga, Moskwy i na peryferie dawnego Związku Radzieckiego, północny Kaukaz, Ukrainę, do

Mołdawii i separatystycznych republik Abchazji i Naddniestrza. Wszędzie – od górzystej Osetii po porośnięty palmami półwysep Krymu, od sennego Kiszyniowa do zakorkowanej samochodami Moskwy – natykałam się na ślady po Związku Radzieckim. Pozostawił swój znak rozpoznawczy i na budynkach, i na ludziach, sprawił, że rozmaite miejsca upodobniały się do siebie niezależnie od tego, jak wiele setek kilometrów je dzieliło.

Wprawdzie opinie o Putinie i dzisiejszej Rosji oscylowały między głębokim podziwem a odrazą, wszędzie jednak spotykałam tę samą poradziecką nostalgię. Wszyscy, którzy byli wystarczająco dorośli, by pamiętać Związek Radziecki, tęsknili za nim. Początkowo mnie to zaskoczyło, bo w szkole uczyliśmy się tylko o obozach pracy i deportacjach, o śledzeniu i kontrolowaniu, o beznadziejnie nieefektywnym systemie gospodarki i o katastrofach ekologicznych. Nikt nam nie mówił o podrózach samolotem tak tanich, że prawie darmowych, o dotowanych turnusach kuracyjnych nad morzem dla zmęczonych robotników, o darmowych przedszkolach i edukacji szkolnej dla wszystkich, że nie wspomnę o radosnych serwisach informacyjnych. Aż do objęcia władzy przez Gorbaczowa gazety i programy informacyjne kipiały pozytywnymi wiadomościami i optymizmem. Według mediów państwowych w Związku Radzieckim wszystko szło jak po maśle, przestępczość nie istniała, nigdy nie zdarzały się wypadki, a osiągnięcia z każdym rokiem były nowe rekordy.

Im więcej podróżowałam po dawnym Związku Radzieckim i obecnej Rosji, tym większą ciekawość budziły we mnie peryferie tego imperium. Wiele ludów, które w XIX wieku zostały skolonizowane przez Rosję, a później podporządkowane Związkowi Radzieckiemu, bardzo różniło się od Rosjan tak wyglądem zewnętrznym, językiem, jak trybem życia, kulturą, religią.

W szczególnym stopniu odnosiło się to do ludów Azji Środkowej. Na terenach wysuniętych najdalej na północ, w dzisiejszym Kazachstanie, Kirgistanie i Turkmenistanie, większa część ludności przed pojawieniem się Rosjan prowadziła wędrowny tryb życia. Właściwie nie istniały struktury

państwowe – społeczeństwo było dość luźno zorganizowane, liczyła się przynależność do aułów i plemion.

Ludy południowe, te na terenach dzisiejszego Uzbekistanu i Tadżykistanu, były osiadłe, niemniej przez tyle wieków trwały w izolacji, że ich model społeczny pod wieloma względami skostniał. Feudalne chanaty Chiwy i Kokandu łącznie z emiratem Buchary, dziś wchodzące w skład Uzbekistanu, łatwo mogły paść łupem żołnierzy rosyjskich. Zarówno nomadzi, jak i osiadli mieszkańcy Azji Środkowej w większości wyznawali islam. Po ulicach Samarkandy i Buchary kobiety chodziły zakryte, wielożenstwo zaś było rozpowszechnione, również wśród ludów koczowniczych. W XI wieku takie miasta jak Bucharą i Samarkanda stanowiły ważne ośrodki naukowe i kulturalne, lecz bieg dziejów spowodował niekorzystne zmiany. Przed stoma laty mało mieszkańców Azji Środkowej umiało czytać, a w nielicznych istniejących szkołach prowadzono przede wszystkim edukację religijną.

Na przestrzeni wieków Azję Środkową podporządkowywały sobie różne ludy – od Persów i Greków do Mongołów, Arabów i Turków⁴. Ciągłe inwazje były ceną, którą mieszkańcy tych terenów musieli płacić za położenie na szlaku między Wschodem a Zachodem. Za to samo położenie, które sprawiło, że tak wiele miast Azji Środkowej kwitło w okresie handlu jedwabiem między Azją a Europą ponad tysiąc lat temu.

Do dziś żadna obca potęga nie wdarła się jednak w życie codzienne ludów środkowoazjatyckich tak zasadniczo i systemowo jak władze radzieckie. Za caratu Rosjanie byli zainteresowani przede wszystkim zyskami ekonomicznymi (rozszerzanie plantacji bawełny, kontrolowanie miejscowych rynków), w niewielkim stopniu natomiast mieszały się do życia ludności lokalnej. Emir Buchary zachował nawet tron dopóty, dopóki spełniał rozkazy Rosjan.

Władze radzieckie miały inne, bardziej ambitne zamiary: postanowiły zrealizować utopię. W ciągu kilku lat ludy w Azji Środkowej zmuszono do

porzucenia tradycyjnych wspólnot aułowych i życia zgodne z zasadami pryncypialnego socjalizmu. Zmianie miało ulec wszystko – od alfabetu po pozycję kobiet w społeczeństwie. Aby to osiągnąć, dopuszczano nawet możliwość użycia siły. W trakcie tych drastycznych reform Azja Środkowa w rzeczywistości zniknęła z map. W czasach radzieckich duże połacie regionu zamknięto dla osób z zewnątrz.

Jakie ślady lata radzieckich rządów zostawiły w tych krajach, w ludziach tam żyjących, w miastach i w przyrodzie? Co przetrwało z pierwotnej kultury sprzed czasów Związku Radzieckiego? A przede wszystkim: co się działo z Turkmenistanem, Kazachstanem, Tadżykistanem, Kirgistanem i Uzbekistanem po jego upadku?

Z tymi pytaniami w notatniku weszłam na pokład samolotu do Aszhabadu. Postanowiłam rozpocząć podróż od Turkmenistanu, ponieważ był najmniej pewną kartą. Odwiedza go zaledwie kilka tysięcy turystów rocznie, a wymagania przy wystawianiu wizy wjazdowej są bardzo surowe. Zagraniczni dziennikarze prawie nigdy nie są wpuszczani w głąb kraju, a tych nielicznych, którzy dostają akredytację, śledzi się całodobowo. We wniosku wizowym podałam, że jestem studentką, co samo w sobie nie jest kłamstwem, skoro wciąż mam immatrykulację na uniwersytecie w Oslo. Po miesiącach wymiany maili z biurem podróży na dwa tygodnie przed wyjazdem otrzymałam potwierdzenie, że zaproszenie zostało zaakceptowane. Nareszcie mogłam zamówić bilety lotnicze i zacząć przygotowania do podróży.

Co drugą godzinę nocnego lotu mogliśmy przestawiać zegarki o godzinę do przodu. Słońce płonęło czerwienią na wschodzie, gdy samolot zwolnił i zaczął opadać. Koła wreszcie dotknęły ziemi. Personel pokładowy już dawno się poddał i nie walczył z mężczyznami w kaftanach, którzy chwiejnie przesuwali się przejściem, szukając swojego bagażu podręcznego. Przez owalne okienko mogłam dostrzec zarysy nowego terminalu, który w promieniach porannego słońca błyszczał bielą marmuru.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak daleko od domu.

Marmurowe miasto

Oślepił mnie cały ten marmur. Bloki mieszkalne strzelały w niebo jak ośnieżony las, wysokie i wspaniałe, lecz pozbawione osobowości. Gdzie się obróciłam, natykałam się na to samo: lśniący biały marmur. Fotografowałam jak Japończyk na spidzie – przez okno samochodu, w pędzie. Większość zdjęć okazała się bezużyteczna.

Szosa między blokami była godna petropaństwa: ośmiopasmowa, oświetlona białymi, specjalnie zaprojektowanymi latarniami. Samochody, choć można je było policzyć na palcach jednej ręki, lśniły czystością. Oczywiście większość stanowiły mercedesy. Na szerokich chodnikach nie dostrzegłam ani jednego pieszego. Tu i ówdzie stali natomiast policjanci. Świecącą czerwono pałąk zatrzymywali – prawdopodobnie z nudów – co drugi samochód.

Odnosiłam wrażenie, że w tym mieście wszystko należało do przyszłości, nawet klimatyzowane przystanki autobusowe. Brakowało jednak ludzi przyszłości. Stanowiło to uderzający kontrast z chaosem panującym w samolocie: kosztowne bloki z marmuru były tylko skorupą, ulice ziały pustką. Jedynie na poboczu dostrzegłam oznaki życia. Tłumek skulonych kobiet w pomarańczowych kamizelkach i z przysłoniętymi dla ochrony przed słońcem twarzami pracował zawzięcie, kosząc trawę, grabiąc, zamiatając i kopiąc, by utrzymać miasto w nieskazitelnym stanie. Skojarzyły mi się z partyzantami.

– Aszchabad stał się bardzo pięknym miastem dzięki-naszemu-prezydentowi – odezwał się mój kierowca Aślan, blady trzydziestokilkulatek.

Ostatnie trzy słowa wypowiedział szybko niby automatyczną formułkę. Podobnie muzułmanin dodaje „niech spoczywa w pokoju”, kiedy mowa o Proroku, a my recytujemy grzecznościowe zwroty typu „dziękuję, nawzajem” czy „najmocniej przepraszam”. Z czasem odkryłam, że istnieje

wiele różnych wersji tej prezydenckiej formułki i wszystkie są wypowiedane z oczywistą powagą.



Godziny szczytu w Aszchabadzie. Informacja dla użytkowników drogi:
„Niech żyje neutralny Turkmenistan!”

Aszchabad zbudowano po to, żeby zaparł dech w piersi każdego przybysza. Marmurowe wieżowce wołają: „Zobacz, ile osiągnęliśmy! Popatrzcie na nas!”. Jeżeli nawet światowa prasa nie zawsze uważnie śledzi to, co się dzieje w małym pustynnym kraju w Azji Środkowej, Księga rekordów Guinnessa od dawna ma oko na jego ekstrawagancje. W ubiegłym roku mieszkańcy stolicy świętowali jeszcze jeden rekord: Aszchabad

oficjalnie uznano za miasto z największą na świecie powierzchnią marmurowych fasad budynków. Powiadają, że złoża w Carrarze wyczerpią się lada chwila z powodu nienasyconego apetytu Turkmenów na biały marmur. Od dawna mieszkańcy Aszchabadu mogli się chwalić największym założeniem fontannowym na świecie, i to mimo faktu, że ponad osiemdziesiąt procent Turkmenistanu jest pustynią. Wokół ośmiopasmowych arterii Aszchabadu rozciągają się we wszystkich kierunkach nagie piaskowe wydmy, a jednak wewnątrz białych marmurowych murów woda leje się strumieniami. Gdziekolwiek stąpniesz, bulgocze i szumi bieżąca woda. Oprócz tego w Aszchabadzie znajduje się największe na świecie obudowane diabelskie koło, wysoka na 46,7 metra bajkowa konstrukcja ze szkła. Wewnątrz niej powoli krążą zamknięte wagoniki. Centrum telewizyjne w Aszchabadzie, dwustujedenastometrowa gwiazda, jest największą na świecie architektoniczną formą o tym kształcie. Przez chwilę stał tu także najwyższy na świecie maszt flagowy, jednak ten rekord dawno pobiły inne były republiki radzieckie.



Turkmenbasza (ze złota) spogląda na swojego następcę, Berdimuhamedowa, który otrzymał zaszczytne miejsce naprzeciwko.

Włoskim marmurem pokrywa się jedynie najbardziej prestiżowe projekty. Luksusowe bloki mieszkalne są obłożone marmurem nieco gorszego gatunku, niemniej to wciąż marmur. Natomiast dla różnych ministerstw, pełnych przepychu meczetów oraz pałaców prezydenckich tylko najdroższy i najbardziej ekskluzywny marmur jest dość dobry. Wszystkie te paradne budynki są projektowane i konstruowane przez zagraniczne spółki, głównie francuskie i tureckie. Inżynierowie sporo się napracowali, by nadać poszczególnym ministerstwom wyjątkowy wygląd: na szczycie gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych spoczywa błękitny globus, budynek

Ministerstwa Edukacji ma formę półotwartej książki. Budynek wydziału stomatologii wygląda jak ząb, przypuszczalnie z inicjatywy Nowego Prezydenta, który z wykształcenia jest dentystą. Budynek Ministerstwa Prasy także ma postać książki, tym razem otwartej. W górnym rogu prawej strony połyskuje, jak iluminowany inicjał, złoty profil Pierwszego Prezydenta.

Obaj prezydenci są w Turkmenistanie wszechobecni. W każdym turkmeńskim mieście wciąż stoją złote pomniki Turkmenbaszy, sprawującego urząd prezydenta kraju od rozpadu Związku Radzieckiego do swojej śmierci w roku 2006. Stolica jest ich pełna. Jeden podobny do drugiego jak dwie krople wody: wyprostowany biurokrata w garniturze i krawacie, mający wyraziste oblicze wizjonera. Jego następcą, Gurbanguly Berdimuhamedow, bardziej znany jako Nowy Prezydent, wybrał nowocześniejszą formę – fotografię portretową. Wszędzie w mieście natykam się na jego olbrzymią ojcowską twarz nieznacznie uśmiechniętą tajemniczym uśmiechem Mony Lizy. Jego portret przywitał mnie podczas kontroli wizowej na lotnisku, zaraz potem dostrzegłam go na rogatek, następnie w hotelowej recepcji, gdzie zajął całą ścianę. W Turkmenistanie nigdy nie jesteś sam, bez względu na to, jak puste są ulice. Prezydent cię widzi.

Wychylałam się z okna samochodu i pstrykałam, póki mnie nie rozboleł, a potem mi nie zdrętwiał palec wskazujący. Uwieczniłam pół globusa, złote kopuły i puste ośmiopasmówki. Aslan wielkodusznie zwolnił, ale się nie zatrzymał. Jeżeli na ulicy było wielu policjantów, prosił, żebym odłożyła aparat. Z niewyjaśnionych bliżej względów bezpieczeństwa fotografowanie tak zwanych budynków strategicznych, jak pałace prezydenckie czy rozbuchane siedziby rządu, było surowo wzbronione. Nielegalne było też robienie zdjęć licznych budynków administracji. Za to pomniki i jubileuszowe monumenty mogłam fotografować, ile dusza zapagnie. Absolutnie każde ważne dla niezależnego narodu wydarzenie upamiętniały wspaniałe pomniki i fontanny: jubileusz pięciolecia, obchody dziesięciolecia, święto piętnastolecia i dwudziesta rocznica pozostawiły wyraźne ślady

w przestrzeni miasta. Pomnik Niepodległości symbolizował oderwanie się w 1991 roku. Pomnik Konstytucji upamiętniał młodą ustawę zasadniczą Turkmenistanu. Naród musiał nadrobić wiele zaległości – i zapewnić wielką przestrzeń miejską. Władze radzieckie w Moskwie nigdy nie traktowały Aszchabadu priorytetowo. Już w 1881 roku Rosjanie założyli tu garnizon, i tak stopniowo rosło na pustyni nowoczesne miasto. W 1948 roku podczas potężnego trzęsienia ziemi Aszchabad w ciągu paru sekund zamienił się w ruiny. Życie straciło wtedy sto tysięcy ludzi. Władze radzieckie odbudowały miasto, choć bez szczególnego entuzjazmu. Kazały zbudować zwykłe, szare betonowe bloki mieszkalne, dostarczyły elementy obowiązkowego wesołego miasteczka z samochodzikami i diabelskim kołem, urządziły kilka parków i terenów zieleni, ponownie otworzyły muzeum regionalne z typową ekspozycją wypchanych zwierząt i glinianych skorup. Dziś radziecki urbanista nie rozpoznałby własnego miasta.

– Tu jest wioska olimpijska – objaśnił Asłan, kiedy mijaliśmy kolejny rząd marmurowych kolosów, gdzie na białych ścianach wywieszono gigantyczne plakaty z łyżwiarzami i scenami z ceremonii wręczania medali. – Hala z basenem jest już gotowa, dzięki-przezorności-prezydenta. Kryty sztuczny tor łyżwiarski też, łącznie z apartamentami, w których zamieszkają sportowcy.

– Nie wiedziałam, że Turkmenistan ma organizować olimpiadę – bąknęłam.

Asłan posłał mi urażone spojrzenie.

– W dwa tysiące siedemnastym roku będziemy gospodarzami azjatyckiej olimpiady halowej – poinformował mnie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Azja ma własne igrzyska olimpijskie, ale zrezygnowałam z komentarza. Jeszcze nie nadeszła pora lunchu, a mnie już się kręciło w głowie. Na ekranie aparatu mrugał czerwony symbol baterii. Zwykle sama układałam sobie trasy podróży, tu jednak byłam niewolnikiem całodziennego programu biura turystycznego. W Turkmenistanie wszyscy

turyści muszą oddać planowanie pobytu w ręce państwowego licencjonowanego biura podróży. Wyjątkiem są posiadacze krótkoterminowych wiz tranzytowych. Biuro odpowiada za obcokrajowców na terenie kraju przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i rzadko pozostawia ich samym sobie. Po śmierci Pierwszego Prezydenta przepisy nieco poluzowano – między innymi turystom wolno teraz spacerować po Aszchabadzie bez opieki. Ale policjantów stoi tylu, że i tak turyści są pod stałym nadzorem. Poza tym przez następne trzy tygodnie miał mi towarzyszyć co najmniej jeden reprezentant biura – wszędzie i cały czas, z wyjątkiem nocy. Trzy tygodnie to maksimum. Żadnemu turyście nie wolno dłużej przebywać w tym kraju.

Asłan skręcił na olbrzymi wyludniony plac rozpościerający się przed imponującym pałacem. Przeładowany fronton zdobiły kolumny greckie, a ku niebu wznosiła się błękitna bania. Odwiedzających witały z kapiteli dwa złote pegazy.

– Czy to rezydencja prezydenta? – spytałam z podziwem.

– Zwariowałaś? Skądże! Nasz-dobry-prezydent mieszka za miastem, na terenie zamkniętym. To jest muzeum historyczne, otwarte przez Pierwszego Prezydenta w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

Asłan postarał się o bilet wejściowy i wpuścił mnie do środka przez przesuwane drzwi. Kiedy wchodziłam do sali, strażnik zapalił światło. Wnętrze było brunatne, miało radziecki wygląd i ostro kontrastowało z przebogatą fasadą. Pod ścianą rozmawiały ze sobą cicho kobiety w długich sukniach. Moja przewodniczka, Aina, miała dwadzieścia kilka lat. Była ubrana w studencki uniform: długą do ziemi czerwoną suknię z haftami na piersi i płaski czarny kapelusz. Zgodnie z obyczajem młodych turkmeńskich kobiet splotła długie włosy w dwa warkocze. Przywitała się ze mną oficjalnie i skierowała mnie do windy.

– Czy muzeum odwiedza wielu gości? – spytałam raczej po to, by coś powiedzieć, nie z rzeczywistej ciekawości.

- Tak – odpowiedziała Aina bez śladu ironii.
- Ale nie dzisiaj?
- Nie – potwierdziła z taką samą powagą.

Aina była robotem. Wyposażona we wskaźnik prowadziła mnie fachowo przez pięć tysięcy lat historii Turkmenistanu. Monotonnym głosem w szybkim tempie recytowała daty i obco brzmiące nazwy. Wielokrotnie musiałam na nowo pytać, kiedy zostało założone to czy tamto miasto lub kiedy istniało takie czy inne królestwo. Aina zaczynała wszystkie swoje odpowiedzi zirytowanym „jak już mówiłam...”.

Kiedy pod jej sprawnym kierownictwem zaliczałam skorupy naczyń, złote precjoza i bogato zdobione rogi do picia trunków, uświadomiłam sobie, jak mało właściwie wiem o tej części świata. Kultury i miasta kwitły tu na długo przed tym, jak Rzymianie stali się Rzymianami. Potężne dynastie Medów, Achemenidów, Partów, Sasanidów, Wielkich Seldżuków, mocarne królestwa Margiany i Chorezmu... Skoro kraj leży w tak newralgicznym punkcie, w połowie drogi między Wschodem a Zachodem, i nie chroni go nic poza niegościnną pustynią, nie brakowało w jego historii zamachów, przejęć władzy oraz inwazji, co dodatkowo komplikowało obraz.

– Czy ci ze wschodu nie byli czasem buddystami? – spytałam zdezorientowana, kiedy Aina zaczęła wykład o ceramice islamskiej we wschodnim Turkmenistanie.

- Jak już mówiłam, było to przed inwazją islamu w ósmym wieku.

Zgodnie z Programem popołudnie miałam do swojej dyspozycji. Wykorzystałam przerwę na wałęsanie się po szerokich pustych ulicach. Był początek kwietnia, ciepło jak w norweski letni dzień. Natomiast turkmeńskie lato do ciepłych ani łagodnych nie należy: temperatura potrafi nagle skoczyć do pięćdziesięciu stopni. Nic dziwnego, że zainwestowano tu w klimatyzowane wiaty na przystankach autobusowych.

Sztywni policjanci odprowadzali mnie wzrokiem. Czasami mijała mnie

pospiesznie grupka studentów – dziewczęta w czerwonych sukniach, chłopcy w garniturach i koszulach – po czym znów zostawałam sama. Ze ścian domów obserwował mnie łagodnym, nieprzeniknionym spojrzeniem Nowy Prezydent. Przez chwilę poczułam, że się cofam o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, do czasów świetności Związku Radzieckiego. Wówczas obywateli na ulicach dozorował Stalin. Artyści tamtej epoki mieli szczególny talent do podkreślania dobroci dyktatora: mimo surowości Stalina i jego paranoidalnej osobowości oraz tego, że był tyranem, udawało się im przedstawiać go jako łagodnego i wrażliwego, niemal ojcowskiego. Autor portretów Nowego Prezydenta najwyraźniej przejawiał podobny talent. Mężczyzna na fotografiach oprawionych w ramy miał pełne policzki, mimo to nie wyglądał na grubego ani tym bardziej nalanego. Wręcz przeciwnie: tryskał zdrowiem. Troskliwie i z tajemniczym uśmiechem przyglądał się ulicom miasta.

Luksusowe fasady centrów handlowych pokryte złotem, marmurem i neonami nie przyniosłyby wstydu fascynującym ciągom handlowym w Dubaju, lecz pozory myliły. Niedostatecznie oświetlone hale ze stoiskami pełnymi taniej tureckiej odzieży oraz tandetnych kosmetyków przypominały pierwszy lepszy słabo zaopatrzone bazar. W całym kraju istnieją tylko trzy bankomaty przyjmujące zagraniczne karty. Jeden z nich ustawiono w prestiżowej lokalizacji przeładowanego dekoracjami westybulu hotelu Sofitel Oguzkent. Eksperymentalnie włożyłam tam kartę, próbując podjąć pięćdziesiąt dolarów. *Connection failed* – mrugnęła do mnie z ekranu lakoniczna informacja.

Kiedy zapadł zmrok, miasto zalały potoki blasku. Każdy kawałek marmuru był pieczołowicie oświetlony, liczne fontanny i kanały bezustannie zmieniały barwy. Żaden zakątek nie pozostał ciemny.

– Nocą Aszhabad jest jeszcze piękniejszy – zauważył Aslan.

Przyszedł, by mnie zawieźć do jednej z wykwinniejszych restauracji. Z ostatniego piętra rozciągał się tu widok na całe miasto. Początkowo

miałam cały taras dla siebie, szybko jednak zapełnił się on wystrojonymi gośćmi. Mężczyźni byli ubrani w szyte na miarę garnitury włoskiego kroju, kobiety w obcisłe, połyskliwe kreacje. Żadnej sukni do ziemi, długich warkoczy ani chustki na głowie w polu widzenia. Kelnerzy roznosili drinki i soki równie barwne jak iluminowane kanały. Z głośników dudniła muzyka. Wybiła ósma, zabawa trwała w najlepsze.

Kiedy przełykałam ostatnią łyżkę deseru, było po wszystkim, goście zaczęli się zbierać. Stolica Turkmenistanu zamyka się w dni powszednie i w święta o dwudziestej trzeciej. Bary i restauracje otwarte po tej godzinie ryzykują natychmiastową likwidację i konieczność zapłacenia wysokiej grzywny.

Po powrocie do hotelu weszłam do łazienki. Przy umywalce stała popielniczka. W całym pomieszczeniu wisiał skwaśniały odór wypalonych papierosów, hotel nie dysponował pokojami dla niepalących. Kiedy po operacji kardiologicznej w 1997 roku prezydent Turkmenbasza musiał zerwać z nałogiem, wprowadził całkowity zakaz palenia w miejscach publicznych. Dlatego obecnie w Aszchabadzie można palić tylko w pomieszczeniach.

Nagle zawstydzona, szybko się przebrałam. Przewodnik ostrzega, że wszystkie pokoje hotelowe dla cudzoziemców są na podsłuchu. Może kamery też zainstalowali? Podniosłam dwa obrazy z kwiatami, sprawdziłam szuflady, telefon, telewizor i lodówkę, ale niczego nie znalazłam. Mimo to nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że ktoś na mnie patrzy. Wsunęłam się pod cienkie prześcieradło i poczułam, że sprężyny materaca wbijają mi się w plecy. Kiedy opuściłam powieki, przypląnął do mnie las marmurowych bloków ozdobionych chłopcym uśmiechem prezydenta i nieprzeniknionym spojrzeniem jego brązowych oczu.

Dyktatorstan

*Niesprawiedliwy władca jest jak chłop,
który sieje kukurydzę i oczekuje pszenicy.*

Saparmyrat Turkmenbasza, *Ruhnama*

Na końcu pola lśni coś złotego. Garstka chłopów ubranych w proste bawełniane odzienie kopie ziemię. Za nimi jak wschodzące ponownie słońce majaczy olbrzymia kopuła. Na szerokiej świeżo wyasfaltowanej drodze nie ma żadnych samochodów poza tym, którym jadę. Wysoka marmurowa brama zaprasza nas do Kipczaku, rodzinnego miasta Pierwszego Prezydenta.

Saparmyrat Nyýazow, czyli Turkmenbasza, człowiek, który wszedł do historii światowej jako jeden z najbardziej zdumiewających dyktatorów, urodził się 19 lutego 1940 roku w Kipczaku, będącym wówczas niepozorną wioszczką na obrzeżach Aszchabadu. Jego ojciec zmarł podczas wojny, rzekomo dzielnie walcząc z Niemcami. Matka zginęła w wielkim trzęsieniu ziemi, które w 1948 roku zrównało Aszchabad z ziemią. Ośmioletni Saparmyrat został więc sierotą. Dzieci, które spotkał wówczas podobnie okrutny los, było mrowie. Zwycięstwo nad nazizmem kosztowało Związek Radziecki drogo: od dwudziestu do trzydziestu milionów ludzi przyplącało je życiem, tysiące miast i wsi było w ruinie. Radość z powrotu pokoju tłumili głód i choroby. Ludzie padali jak muchy, setki tysięcy dzieci dorastały na ulicach.

Jako dorosły Saparmyrat bez skrupułów wykorzystywał swoją smutną przeszłość. W rzeczywistości szczęście mu dopisało. Nigdy nie musiał żyć na ulicy, zajęły się nim władze i ulokowały go w domu dziecka. Mieszkał tam dość krótko, potem opiekę nad nim przejął jeden z wujów. W dzieciństwie chodził do najlepszych szkół w Aszchabadzie, następnie wykształcił się na inżyniera elektryka w prestiżowym Leningradzkim Instytucie Politechnicznym (obecnie Państwowy Uniwersytet Politechniczny im. Piotra

Wielkiego w Sankt Petersburgu). Choć okres spędzony w Leningradzie nie uczynił z niego naukowca, to niewielu Turkmenów mogło się wówczas poszczycić porównywalnym wykształceniem, co otworzyło Saparmyratowi drzwi do świata polityki.

Tu szybko awansował. W 1985 roku po skandalu korupcyjnym, za który większość politycznych karierowiczów w Turkmenistanie zapłaciła stanowiskami, Nyýazow znalazł się na samym szczycie i został pierwszym sekretarzem Turkmeńskiej Partii Komunistycznej. W tej roli okazał się jednym z najmniej skłonnych do reform przywódców w Związku Radzieckim i zdecydowanym przeciwnikiem Gorbaczowowskiej polityki pierestrojki. Nyýazow chciał zachować silny Związek i wydaje się, że miał w tym poparcie turkmeńskiej ludności – w referendum w marcu 1991 roku 99,8 procent Turkmenów, jeśli wierzyć liczbom, głosowało za utrzymaniem Związku Radzieckiego.

Życie w Turkmeńskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, jednej z biedniejszych w imperium, nie było usłane różami, niemniej sytuacja większości ludzi mimo wszystko prędzej czy później pod rządami Rad się poprawiała. Dzieci poszły do szkół, młodzi i starzy mieli dostęp do opieki zdrowotnej. Drogi, kolej i krajowe linie lotnicze łączyły republikę z resztą Związku. Nietrudno więc zrozumieć, że Nyýazow w sierpniu 1991 roku po cichu poparł próbę obalenia Gorbaczowa przez przeciwników reform. Gdy pucz się nie powiódł, dla większości stało się jasne, że dni Związku Radzieckiego są policzone. Nyýazow musiał zmienić kurs. Ponad dwa miesiące po próbie zamachu stanu – 27 października 1991 roku – Turkmenistan po przeprowadzeniu nowego referendum proklamował się niezawisłym i suwerennym państwem. Według turkmeńskich władz tym razem dziewięćdziesiąt cztery procent Turkmenów głosowało za tym, by Turkmenistan oderwał się od Związku Radzieckiego.

Jednocześnie z proklamowaniem niepodległości w Radzie Najwyższej w Aszchabadzie odbyło się głosowanie na prezydenta. Nyýazow uzyskał

98,3 procent głosów. W ciągu pierwszych miesięcy prezydentury dokonał tylko kilku kosmetycznych zmian. Turkmeńska Partia Komunistyczna zmieniła nazwę na Demokratyczną Partię Turkmenistanu. Inne partie nie były na razie legalne, tym samym Turkmenistan pozostał państwem jednopartyjnym. Większość tych, którzy w czasach radzieckich piastowali ważne stanowiska, otrzymała ich odpowiedniki w niezawisłym Turkmenistanie.

Już w grudniu tego roku pojawiły się pierwsze złowróźbne oznaki. Nowa ustawa dotycząca „czci i godności Prezydenta” umożliwiła dymisjonowanie wszystkich, którzy wyrażali poglądy niezgodne z opiniami prezydenta. Jednocześnie lansowano długotrwały „program stabilizacyjny”: dziesięć lat stabilności miało bezpiecznie wprowadzić Turkmenistan w XXI wiek, który ogłoszono przyszłościową utopią zwaną *Altyn Asyr*, Złotym Wiekiem.

Aparat propagandy, dobrze wytrenowany w kulcie jednostki po siedemdziesięciu latach władzy radzieckiej, rozpoczął utrwalanie wizerunku Nyýazowa jako konsolidującego kraj ojca. Już w 1992 roku ukazało się wiele publikacji gloryfikujących prezydenta, wszystkie wydano w Wydawnictwie Państwowym. Tak jak Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili stał się Stalinem, Człowiekiem ze Stali, tak Saparmyrat Nyýazow w 1993 oficjalnie został Turkmenbaszą, Przywódcą Turkmenów. Szkoły, ulice, wioski, meczety, fabryki, lotniska, wódki, perfumy, a nawet całe miasto – Krasnowodsk, dawny rosyjski garnizon nad Morzem Kaspijskim – nazywano imieniem Przywódcy. Kiedy na turkmeńską pustynię spadł meteoryt, nie było wątpliwości, jak zostanie nazwany. Ku wielkiej radości obywateli uchwalono oficjalne hasło: „Jeden Naród, jedna Ojczyzna, jeden Turkmenbasza”. Słyszając je, nie mogłam powstrzymać skojarzeń z nazizmem.

Pomniki Marksa i Lenina sprawnie usunięto i zastąpiono złotymi monumentami Turkmenbaszy w garniturze i krawacie. Nielicznym odwiedzającym kraj turystom wolno było fotografować te groteskowe, masowo produkowane statuy, pod warunkiem że zdjęcie obejmie całość

pomnika – nie pozwalano bowiem fotografować tylko części postaci Turkmenbaszy. Gdy w 1993 roku Turkmenistan przyjął własną walutę, manata, wszystkie banknoty ozdabiała podobizna Turkmenbaszy. Każdy z trzech państwowych kanałów telewizyjnych miał w prawym górnym rogu ekranu złoty wizerunek prezydenta z profilu. Twarz Turkmenbaszy widniała wszędzie, nawet na butelkach wódki. I tak miało to trwać, bo w 1999 roku Turkmenbasza kazał się mianować dożywotnim prezydentem. Dwa lata później dodał do swojego tytułu *beyik*, „wielki”. Dawny osierocony ósmiolatek stał się Prezydentem Saparmyratem Turkmenbaszą Wielkim.

W zakresie polityki zagranicznej Turkmenbasza, który właściwie wcale nie życzył sobie niezawisłości kraju, przyjął za priorytet zdystansowanie się od byłych republik radzieckich. Już w 1993 roku postanowił zlikwidować używaną ponad pięćdziesiąt lat cyrylicę i zastąpić ją specjalnie dostosowaną wersją alfabetu łacińskiego. Przygotowanie podręczników w nowym alfabecie zajęło sporo czasu, toteż przez wiele lat turkmeńscy uczniowie byli ich pozbawieni. Ani nauczycielom, ani urzędnikom nie zaproponowano żadnych form przeszkolenia w stosowaniu nowego alfabetu, na skutek czego wielu dorosłych do dziś ma problemy z czytaniem i pisanem w języku ojczystym. Oprócz tego Turkmenistan jako jedyna była republika radziecka wprowadził obowiązek wizowy dla obywateli Rosji i pozostałych państw poradzieckich. Obecnie przepisy wjazdowe do Turkmenistanu należą do najbardziej surowych na świecie, bez wizy mogą tam jeździć tylko obywatele Wenezueli, Mongolii, Turcji i Kuby. Jednym z politycznych osiągnięć, które dawały Turkmenbaszy powód do największej dumy, było wymuszone w ONZ w 1995 roku uznanie neutralności Turkmenistanu. Od tego momentu kraj należało we wszystkich oficjalnych dokumentach określać mianem „niezawisłego, trwale neutralnego Turkmenistanu”. Dla upamiętnienia tego wydarzenia przywódca zarządził budowę siedemdziesięciopięciometrowej wieży w centrum stolicy, nazwanej Łukiem Neutralności. Na jej szczycie kazał umieścić swoją dwunastometrową połączoną postać w garniturze

i czymś w rodzaju peleryny Supermana. W nocy figura była oświetlona, a w dzień obracała się w taki sposób, że twarzą podążała za słońcem. Łuk Neutralności był najwyższą budowlą w Aszchabadzie i stał się symbolem miasta. Wiezorami napływali tam ludzie, by przez panoramiczne okna na szczycie podziwiać widoki.

Zapewne dla Turkmenbaszy status państwa neutralnego miał przede wszystkim wymiar praktyczno-polityczny: stanowił świetną wymówkę, by odmówić na przykład współpracy z byłymi republikami radzieckimi. Jednocześnie Turkmenistan mógł dalej prowadzić handel z podejrzanymi sąsiadami – irańskimi ajatollahami i talibami w Afganistanie.

Kiedy minęło dziesięć lat stabilności i Turkmenistan wszedł w Złoty Wiek, Turkmenbasza zaczął, jak się wydaje, widzieć w sobie istotę boską. Twierdził, że jest prorokiem, potomkiem Aleksandra Wielkiego i proroka Mahometa. Pewnego dnia na początku nowego tysiąclecia, zaraz po wkroczeniu w Złoty Wiek, ludność kraju ujrzała cud: z dnia na dzień prezydent odzyskał młodzieńcze włosy. W gęstej, ciemnej grzywie nikt nie dostrzegłby nawet śladu siwizny. W następnych tygodniach trzeba było wymienić tysiące prezydenckich podobizn z siwymi włosami – od zdjęć portretowych w ramkach wiszących na honorowym miejscu w każdej szkolnej klasie w kraju po gigantyczne plakaty, którymi powyklejano każdą wolną ścianę w miastach. Zainteresowanie prezydenta fryzurami trwało: niedługo po cudzie wprowadził zakaz noszenia przez mężczyzn długich włosów i brody. Przyjeżdżający, którzy nie dowiedzieli się zawczasu o tym nowym zakazie, ryzykowali konieczność ostrzyżenia się i zgolenia brody na granicy.

Turkmenbasza miał też ściśle określone zdanie na temat wyglądu swoich rodaczek. Postanowił, że uczennice i studentki mają nosić suknie do ziemi, a na głowie płaskie kapelusze. Całość stanowiła nie całkiem poprawne historycznie naśladowanie tradycyjnych strojów turkmeńskich. Zdecydował poza tym, że prezenterki wiadomości telewizyjnych muszą się pożegnać

z makijażem. Po cóż Turkmenkom makijaż? Są wystarczająco piękne z natury! Tym samym pociągnięciem pióra zakazał opery i cyrku jako „niezbyt turkmeńskich”.

„Turkmeńskość” i „kultura turkmeńska” interesowały prezydenta coraz bardziej. We wrześniu 2001 roku wyszło długo zapowiadane wielkie dzieło Turkmenbaszy *Ruhnama*, Księga Duszy. Tekstowi nadano formę zbioru osobistych przemówień spisanych ręką prezydenta. Każde rozpoczynało się apostrofą „Drodzy Turkmeni!” i „Mój ukochany ludu turkmeński!”. Gdziekolwiek jako ilustracje zamieszczono strony z rękopisu prezydenta ze skreśleniami i dopiskami, jakby na dowód tego, że prezydent rzeczywiście jest autorem książki.

Dwutomowe dzieło było próbą streszczenia historii Turkmenistanu oraz swego rodzaju podręcznikiem kultury i obyczaju turkmeńskiego pomieszanych z lirycznymi opisami osobowości autora: „Od piątego roku życia tysiącrotnie dziękowałem Bogu za to, że odziedziczyłem po swoich cielesnych i duchowych rodzicach honor, szlachetność, cierpliwość, wzniosłego ducha i umiejętność dążenia do celu. Zarówno pojawiające się sukcesy, jak i przeciwności nie osłabiły mojego charakteru, ale wręcz go wzmocniły. Oto źródło, które dla mojego turkmeńskiego ludu, dla mojego świętego kraju, mojej ojczyzny, dla przeszłości i teraźniejszości, dla przyszłych pokoleń nigdy nie wyschnie”. Według Turkmenbaszy celem napisania *Ruhnamy* było „pogłębienie zanikającego źródła dumy narodowej poprzez oczyszczenie go z trawy i kamieni, by popłynęła ona znowu wartkim strumieniem”, a także stworzenie „dla Turkmenów pierwszego, elementarnego dzieła referencyjnego. Jest ono esencją charakteru Turkmenów, turkmeńskich obyczajów i tradycji, intencji, działań i ideałów”.



Księga Duszy, *Ruhnama*, wciąż stoi w centrum Aszchabadu, nie otwiera się już jednak wieczorami.

Turkmenbasza, jak to mają w zwyczaju dyktatorzy, dokonał w *Ruhnamie* przedziwnego przetworzenia historii. Cofnął początki turkmeńskiego ludu o pięć tysięcy lat, do czasów Noego. Według bardziej wiarygodnych źródeł plemiona turkmeńskie żyją w tej krainie krócej niż tysiąc lat, a przywędrowały razem z innymi ludami turkijskimi ze wschodniej Syberii. O konfliktach plemiennych ani o wpływach zewnętrznych prawie się w owych dwóch tomach nie wspomina. Rosyjska kolonizacja w XIX wieku i siedemdziesiąt lat pod rządami radzieckimi nazwane zostały „niewolniczym jarzmem”, które nie pozwoliło Turkmenom wejść w nowy

złoty wiek. Poprzedni nastąpił ponoć za rządów mitycznego Oguz-chana pod panowaniem Seldżukidów w XI wieku. Tak naprawdę w XIX wieku nie istniał spójny naród turkmeński, na tych terenach żyły luźno powiązane ze sobą plemiona, między którymi często dochodziło do wojen. Dopiero w czasach radzieckich zaczęto mówić o narodowości i kulturze turkmeńskiej, granicach kraju, a nawet pisany języku turkmeńskim. Turkmenbasza, który uzyskał wykształcenie w Leningradzie i za czasów Gorbaczowa dotarł na szczyty władzy, sam był częścią tego radzieckiego dziedzictwa, które teraz dezawuował.

Ruhnama miała akcję promocyjną, o jakiej się nie śniło działom marketingu norweskich wydawnictw. W dniu ukazania się książki Turkmenbasza odsłonił w Aszchabadzie nowy spektakularny pomnik: olbrzymią wersję *Ruhnamy*, która każdego wieczoru o określonej godzinie otwierała się przy akompaniamencie uroczystej muzyki. Przez głośniki rozlegał się głęboki głos lektora, który deklamował kilka wersów, po czym księga powoli się zamykała. Żeby mieć pewność, że *Ruhnama* będzie czytana, Turkmenbasza wprowadził książkę jako lekturę obowiązkową w szkole podstawowej i na uniwersytecie. Pierwszoklasiści musieli na *Ruhnami* uczyć się czytania, na lekcjach turkmeńskiej historii dzieło to było jedynym podręcznikiem. Dzięki temu turkmeńscy uczniowie dowiedzieli się, że to Turkmeni wynaleźli zarówno koło, jak i robota.

Treści programowe pozostałych przedmiotów także były przesycone *Ruhnami*, nawet lekcje matematyki ogniskowały się wokół niej. Mimo to Wiecznemu Prezydentowi wciąż było mało i w 2004 roku zdecydował, że przedmioty humanistyczne i przyrodnicze należy usunąć ze szkół średnich i wyższych, albowiem są „moralnie podejrzane i oderwane od rzeczywistości”. Zastąpił je tematami bliższymi rzeczywistości, na przykład: „Niezależność polityczna pod rządami Saparmyrata Turkmenbaszy Wielkiego”, „Dziedzictwo literackie Saparmyrata Turkmenbaszy” albo „*Ruhnama* jako duchowy przewodnik narodu turkmeńskiego”.

Nie tylko uczniowie i studenci byli zmuszeni do czytania *Ruhnamy*. Egzamin ze znajomości dzieła wprowadzono jako obowiązkową część egzaminu na prawo jazdy. Imamowie otrzymali polecenie głoszenia nauk z *Ruhnamy* w meczetach, a ci, którzy odmawiali, trafiali do więzienia. Wszystkie zagraniczne firmy, które chciały robić interesy w Turkmenistanie, musiały zadbać o przetłumaczenie *Ruhnamy* na język kraju, z którego się wywodziły. Dlatego dzieło doczekało się wydań w nieco ponad czterdziestu językach. W 2005 roku pierwszy tom rosyjską rakieta wysłano w Kosmos. „Książka, która podbiła miliony serc na Ziemi, podbija teraz Wszechświat”, skomentowała turkmeńska gazeta.

Mimo światowego, a z czasem wszechświatowego upowszechnienia *Ruhnama* nie zaspokoila w wystarczającym stopniu objawiającej się u Turkmenbaszy potrzeby pozostawienia po sobie trwałego śladu. Miał ambicję przebudowania na swój obraz i podobieństwo całego kraju oraz języka jego mieszkańców. W 2002 roku postanowił zmienić nazwy dni tygodnia i miesiący, stwierdził bowiem, że dawne, zapożyczone z rosyjskiego, są „nieturkmeńskie”. Pierwszy miesiąc roku nazwał swoim imieniem – *turkmenbasza*. Luty stał się *baydak*, co oznacza flagę, ponieważ święto turkmeńskiej flagi obchodzone jest 19 lutego, w dniu urodzin Turkmenbaszy. Kwiecień przechrzczono na *gurbansoltan*, od imienia matki Turkmenbaszy. Słowo oznaczające chleb, *chorek*, zmieniono na nieco bardziej kłopotliwe *gurbansoltan-edže*, pełną wersję imienia matki. Wrzesień, miesiąc wprowadzenia na rynek *Ruhnamy*, w naturalny sposób przyjął nazwę dzieła, na grudzień mówiono *bitaraplyk*, co znaczy neutralność. Dni tygodnia zyskały bardziej prozaiczne nazwy: poniedziałek przekształcono na pierwszy dzień, czwartek stał się „dniem sprawiedliwości”, a niedziela – „dniem odpoczynku”. Większość ulic w Aszhabadzie straciła dotychczasowe nazwy i została oznaczona numerami. Tylko kilka głównych ma za patrona Turkmenbaszę.

W następnych latach dyktator jeszcze bardziej ściągnął cugle. Wszystkie

kafejki internetowe w kraju zamknięto, co uczyniło internet praktycznie niedostępnym dla przeciętnych ludzi. W 2003 roku wprowadzono ustawę, według której wszyscy kwestionujący politykę prowadzoną przez prezydenta są uznawani za zdrajców stanu. Było to zaostrzenie ustawy z 1991 roku o „czci i godności Prezydenta”. Wygnano poza granice kraju nie tylko operę i cyrk, lecz także balet. Ponieważ prezydent nie mógł znieść zapachu psów, w Aszchabadzie wprowadzono zakaz ich posiadania. Zabroniono także odtwarzania nagrań muzycznych w telewizji i na dużych imprezach oraz śpiewania z playbacku – muzyka miała być grana i śpiewana na żywo.

Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie, jak swego czasu zauważył brytyjski historyk Lord Acton. Niewiele jest przykładów ilustrujących to równie trafnie jak życie Turkmenbaszy. W jaki sposób osierocony jako dziecko Saparmyrat Nyýazow stał się Turkmenbaszą, dyktatorem, który zakazywał występów cyrku i trzymania psów, który wszystkich swoich przeciwników wsadzał do więzienia? Pewne wyjaśnienie leży w ustroju Kraju Rad – skorumpowanym, autorytarnym, z ugruntowaną tradycją kultu jednostki. Turkmenbasza wyrósł w tym systemie i znał tylko ten, żadnego innego. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, w Moskwie nie było nikogo, kto trzymałby go w ryzach. Miał wolną rękę. Pozostali politycy byli przyzwyczajeni do posłuchu wobec pierwszego sekretarza, toteż słuchali go dalej, gdy stał się Turkmenbaszą. Innego wyboru raczej nie mieli – kto poważył się sprzeciwić prezydentowi, szybko lądował za kratkami. Z każdym mijającym rokiem Turkmenbasza wykazywał coraz większą manię wielkości, a jego pomysły były coraz bardziej niesamowite, niemniej gdziekolwiek się obrócił, witały go głębokie ukłony i służalczość. Nie chciał sprzeciwu i go nie było. Sprawował władzę absolutną.

Mimo że Turkmenistan po uzyskaniu niepodległości mógł zachować zysk z eksportu gazu i ropy dla siebie, nie wystarczyło pieniędzy na sfinansowanie wszystkich marmurowych projektów w Aszchabadzie ani innych surrealistycznych pomysłów Turkmenbaszy. Po upadku Związku

Radzieckiego nie zrobiono nic albo bardzo niewiele, by utrzymać na poziomie instytucje edukacyjne i służbę zdrowia. Program szczepień się załamał, przychodnie nie miały ani wyposażenia, ani lekarstw. Ustrój opiekuńczy, który władze radzieckie zbudowały od podstaw, spróchniał do cna. Dla ukrycia tej nędzy lekarzom zakazano stawiania diagnoz typu AIDS lub gruźlica. Z kolei nauczycielom nie wolno było źle oceniać uczniów, a szkołę podstawową zredukowano z dziesięciu do dziewięciu klas. Tej taktyki Turkmenbasza nauczył się w epoce radzieckiej i dobrze ją opanował – jeżeli rzeczywistość nie spełniała oczekiwań, należało odmalować fasady, podrasować statystyki – i problem rozwiązany!

Z oszczędności zwolniono dziesięć tysięcy nauczycieli. Zdaniem Turkmenbaszy i tak nie przynosili pożytku. W 2005 roku postanowiono zlikwidować wszystkie szpitale na prowincji. Wymówienia dostało sto tysięcy pracowników służby zdrowia. Zastąpili ich żołnierze. Jeżeli ludzie potrzebują pomocy lekarskiej, mogą iść po prostu do jednego ze szpitali w dużych miastach, tłumaczył Turkmenbasza. Ale Turkmenistan jest rozległy, a infrastrukturę ma złą. Wielu obywateli w ten sposób praktycznie zostało pozbawionych opieki zdrowotnej. Ówczesny minister zdrowia, Gurbanguly Berdimuhamedow, dzisiaj prezydent kraju, miał za zadanie przeprowadzić tę reformę. Jednocześnie Turkmenbasza postanowił, że świeżo wykształceni lekarze nie będą składać przysięgi Hipokratesa, za to są zobowiązani przysięgać wierność jemu, Turkmenbaszy Wielkiemu. Na domiar wszystkiego zdecydował, że biblioteki poza Aszchabadem mają zostać zlikwidowane. Jego zdaniem ludziom wystarczała lektura *Ruhnamy* i Koranu. Po co im inne książki? Ludzie po wsiach i tak nie potrafili porządnie czytać, argumentował i jednym tchem proponował skrócenie obowiązku szkolnego o dalsze dwa lata. Nastął Złoty Wiek.

Kłopoty finansowe najwyraźniej jednak trwały, tuż przed śmiercią Turkmenbasza przeprowadził bowiem jeszcze jedną wielką reformę. Tym razem dobrał się do emerytów. Przyjęto, że do wypłacania emerytury

kwalifikują się wyłącznie ci, którzy mogą udokumentować przynajmniej dwadzieścia lat pracy i nie mają dorosłych dzieci. Żeby otrzymać pełną emeryturę, trzeba było wykazać się przynajmniej trzydziestoma ośmioma latami pracy zawodowej. Ponad sto tysięcy osób, prawie trzecia część emerytów, w wyniku tych uregulowań straciło świadczenia. Dalszym dwustu tysiącom zredukowano emerytury o co najmniej jedną piątą. Do tego ustawę wprowadzono z mocą wsteczną. Ci, którzy nie spełniali nowych kryteriów, musieli zwrócić nadpłatę z ostatnich dwóch lat.

Szwankowały nie tylko finanse kraju, lecz także zdrowie Turkmenbaszy. W 1997 roku poddał się w Niemczech poważnej operacji serca. Oczywiście utrzymywano to w tajemnicy. Dopiero w 2006 roku Turkmenbasza zdecydował się powiadomić naród, że był chory i operowali go niemieccy lekarze. Pocieszył jednak od razu „swój ukochany lud turkmeński”: lekarze zapewnili go, że jest całkowicie zdrowy. Ba, twierdził nawet, że według obietnicy niemieckich specjalistów dożyje przynajmniej osiemdziesiątki. Kilka miesięcy później, tuż przed Wigilią 2006 roku Turkmenbasza doznał rozległego zawału serca i zmarł w wieku sześćdziesięciu sześciu lat. Jako oficjalną datę śmierci podaje się 21 grudnia, natomiast turkmeńscy opozycjoniści za granicą uważają, że prezydent prawdopodobnie zmarł kilka dni wcześniej. Członkowie reżimu potrzebowali nieco czasu na zastanowienie, nim zdecydowali się podzielić tą wieścią z narodem.

W chwili śmierci Turkmenbasza miał za sobą dwadzieścia jeden lat rządów w kraju, z tego piętnaście jako przywódca absolutny. Dlaczego Turkmeni przez tak długi czas godzili się na jego rządy i wszystkie ekscentryczne pomysły?

Prosta odpowiedź brzmi: nie mieli wyboru. Turkmeński system prawny należy do najbardziej nieprzejrzystych na świecie, przypadkowe uwięzienia zdarzają się często, a tortury są uważane za zwykłą metodę przesłuchania. Organy bezpieczeństwa wewnętrznego oraz korpus osobistej ochrony prezydenta są liczne i mają rozległe kompetencje, ludności nakazano zaś

donosić o wszystkich zasłyszanych przypadkach wygłaszanej i niewygłaszanej krytyki władz, zupełnie jak w Korei Północnej. Większość zatem w ogóle wzdraga się przed rozmowami o polityce. Krytycy poza długimi karami więzienia ryzykują także zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym i faszerowanie otępiającymi medykamentami – jak w czasach Związku Radzieckiego. Próg karalności jest niski, prawie wszyscy turkmeńscy czołowi politycy i wielcy menedżerowie w którymś momencie odsiedzieli karę więzienia.

To kij. Ale jest i marchewka. Już w roku 1992 Nyýazow podjął fundamentalną w programie stabilizacyjnym decyzję, że podstawowe produkty, na przykład benzyna i sól, oraz usługi, na przykład zaopatrzenie w energię elektryczną i gaz, mają być darmowe. Chleb znacząco dotowano, by wszystkich było na niego stać. Nikt nie płacił podatków. Co prawda wynagrodzenia były niskie, a bezrobocie wynosiło prawie sześćdziesiąt procent, niemniej ludzie mogli przynajmniej do woli rozbijać się samochodami, nie płacąc za benzynę. Oczywiście dotyczyło to tych, którzy mieli samochód.

Skręcamy na pusty parking. Po złotej kopule tańczą promienie słońca. Wieżyczki minaretów i portale są pokryte złotem, całą rzucającą się w oczy konstrukcję otaczają marmurowe greckie kolumny. Budynek przypomina pałace prezydenckie w Aszhabadzie, ma tylko większą kopułę. Wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec przed meczetem lśni czystością. Także i tym razem jestem jedyną zwiedzającą.

– Turkmenbasza wybudował ten meczet dla uczczenia swojej matki, która została zabita podczas trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku – opowiada Aşlan. – To czwarty co do wielkości meczet na świecie. Postawienie go zajęło francuskim inżynierom całe dwa lata.

To najwyraźniej niezwykle, by wznoszenie budynku w Turkmenistanie trwało tak długo. Do niedawna był to największy meczet w Azji Środkowej,

teraz jednak przebił go nowy w Astanie, stolicy Kazachstanu. Nasze kroki odbijają się echem, gdy przechodzimy przez pusty dziedziniec. Dawniej stał tu duży złoty pomnik Turkmenbaszy, lecz po jego śmierci został usunięty.

– Czy to nie przesada, żeby budować tak wielki meczet w tak małej wsi? – pytam.

– Ach nie, meczet służy też przecież okolicznym kyszłakom – wyjaśnia Aslan.

Młody, poważny strażnik wchodzi z nami do wnętrza świątyni. Kiedy wędrujemy wokoło po dywanie w kształcie gwiazdy, recytuje ciąg liczb.

Minarety mają dziewięćdziesiąt jeden metrów wysokości, żeby zaznaczyć, że Turkmenistan odzyskał niepodległość w 1991 roku.

Dywan, na którym stoimy, jest ręcznie tkany i waży ponad tonę.

Meczet może pomieścić dziesięć tysięcy wiernych.

Jest tu także podziemny parking dla stu autokarów i czterystu samochodów.

Złota kopuła ma pięćdziesiąt metrów średnicy, podobno jest największa na świecie.

Nie wspomina, że kopuła kilka lat po oddaniu meczetu do użytku zzieleniała, co może świadczyć o tym, że nie wszystko złoto, co się świeci. Teraz jednak znów, jak gdyby nigdy nic, świeci i migocze. Strażnik nie mówi także nic o tym, że napisy wokół sklepienia to nie cytaty z Koranu, lecz hasła sławiące prezydenta i *Ruhname*. „*Ruhnama* jest świętą księgą – Koran jest księgą Allaha”, głosi inskrypcja na jednej z kolumn. Na kopule od wewnątrz wykuto zdania będące hołdem dla Turkmenbaszy, wodza Turkmenów.

Zastanawiam się, czy ludzie kiedykolwiek przychodzą tutaj się modlić.

Mauzoleum obok meczetu Turkmenbaszy robi w porównaniu z nim wrażenie skromnego, o ile gmach z marmuru zwieńczony złotą kopułą można nazwać skromnym. Warta honorowa – dwóch strażników w paradnych mundurach – pilnuje wejścia. Jeden z żołnierzy nakazuje nam zostawić na zewnątrz

wszystko, co mamy ze sobą, zanim wolno nam będzie wejść do mrocznego pomieszczenia.

Marmurowa balustrada odgradza nas od grobu Turkmenbaszy, który znajduje się w krypcie poniżej. Sarkofag – czarną marmurową trumnę spoczywającą na gwieździe z białego marmuru – otaczają nagrobki członków rodziny, którzy zmarli w czasie drugiej wojny światowej albo podczas trzęsienia ziemi. Na ołtarzu pod ścianą leży wydanie Koranu. Ku mojemu zaskoczeniu obok nie spoczywa wydanie *Ruhnamy*, chociaż Turkmenbasza wydał zarządzenie, że we wszystkich meczetach w kraju obie książki mają znajdować się obok siebie. Na życie wieczne wybrał tylko tę jedną.

Asłan stoi u mojego boku bez słowa, przyglądając się grobom w dole, nagle pełen wielkiej powagi. Zanim wyjdziemy z powrotem na słońce, szybko ociera łzę.

* * *

Jednym z najlepszych wskaźników sytuacji w kraju są księgarnie. Wybór na półkach mówi często więcej o mieszkańcach danego kraju i jego politykach niż wszelkie wystawy w muzeach narodowych razem wzięte. Księgarnia Miry w Aszhabadzie była podobno najlepsza w Turkmenistanie. Przypominała raczej gminną bibliotekę czynną w tak dziwnych godzinach, że nikt tam nigdy nie przychodził. Pod ścianami w wielkich skrzyniach leżeli postrzępieni klasycy rosyjscy, wszyscy drukowani przez radzieckie wydawnictwa. Gogol. Drugi tom *Idioty* Dostojewskiego. Kilka sztuk Czechowa. Podręcznik do nauki algorytmów.

Byłam jedyną klientką. To się zaczynało układać w jakiś wzór.

Nowe książki były ustawione na honorowym miejscu za kasą i wyłożone w przeszklonej ladzie. Wielkie ekskluzywne dzieła z błyszczącymi okładkami i czterokolorowym drukiem, wszystkie na pierwszej stronie miały zdjęcie Nowego Prezydenta Gurbanguly'ego Berdimuhamedowa. Gurbanguly na

koniu, Gurbanguly przy biurku, Gurbanguly na turkmeńskiej pustyni, Gurbanguly w akcji na korcie. Większość tytułów była też jego autorstwa. Dzieła ułożono tematycznie: od sportu i zdrowia do medycyny i polityki.

– Chciałabym kupić książkę o Gurbangulym Berdimuhamedowie, ale mam ograniczone miejsce w bagażu – tłumaczyłam. – Macie może jakieś pozycje zwykłej wielkości?

Korpulentna właścicielka księgarni zaczęła przesuwając regały, najwyraźniej nie całkiem pewna, gdzie stoją które książki. Na koniec pojawiła się z publikacją o wymiarach tylko nieco większych niż standardowa powieść w twardych okładkach. W dodatku po angielsku: *The Grandchild Realizing his Grandfather's Dream*. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Nowego Prezydenta w otoczeniu chmary uśmiechniętych dzieci trzymających turkmeńskie flagi.

– Chciałabym także kupić książkę o Pierwszym Prezydencie – dorzuciłam. Kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej tym zamówieniem.

– Zobaczę, co mamy na składzie – mruknęła, znikając znowu za regałami. Kiedy szukała, zdążyłam obejrzeć wszystkie pocztówki. Wreszcie podeszła do mnie z przeprosinami, że niestety nie mają już tych książek.

– Nawet *Ruhnamy*?

Po kolejnej rozpaczliwej akcji poszukiwawczej stanęła za ladą z różową książeczką.

– Niestety, mamy tylko wydanie rosyjskie i jedynie drugi tom.

Ruhnama najwidoczniej przestała być abecadłem dla amatorów prawa jazdy.

Musiałam obejrzeć ten cud na własne oczy, poprosiłam więc Aśłana, żeby mnie zawiózł do pomnika *Ruhnamy*, na co zastrzegł, że nie jest to już miejsce, które się zazwyczaj pokazuje turystom. Niemniej zgodził się o nie zahaczyć. I tak znajdowało się w centrum, niedaleko księgarni Miry.

Różowa księga dorównywała wysokością domowi. Stała na dużym,

otwartym placu z widokiem na rząd marmurowych bloków mieszkalnych, otoczona pięknymi fontannami. Silne reflektory nie pozwalały księdze nigdy niknąć w mroku. Za fontannami znajdowała się starannie zbudowana scena, która robiła wrażenie już nieużywanej. Znowu okazałam się jedyną zwiedzającą. Wielki plac wokół różowej księgi był opustoszały i opuszczony. Nie świeciło się też w żadnym oknie marmurowych bloków. Robiły wrażenie niezamieszkanymi.

– Nie rozumiem, dlaczego cię tak interesuje ta *Ruhnama* – odezwał się Aślan, potrząsając głową. – Przecież to zwykła książka historyczna.

– O której wieczorem się otwiera?

– Już się nie otwiera. Chyba mechanizm się popsuł albo co.

Pojechaliśmy dalej w milczeniu. Biały marmur już nie robił imponującego wrażenia. Wszystko emanowało monotonią, bezbarwnością i pustką. Na poboczu kobieca partyzantka przeciwchwastowa zawzięcie wyrywała zielsko.

– Czy nowy prezydent jest popularny? – spytałam tonem wzbudzającym zaufanie, dobrze wiedząc, że w zakresie obowiązków służbowych Aślana znajduje się chwalenie prezydenta.

– Jest bardzo zdolny! – odpowiedź zabrzmiała szczerze. – Prąd, gaz, sól i reszta są darmowe. Znasz jakiś inny kraj, gdzie by się nie płaciło za prąd i gaz?

– Nie. Który ci się bardziej podoba, Pierwszy Prezydent czy Nowy?

Wyglądało na to, że Aślan zastanawia się nad odpowiedzią.

– Pierwszy był chyba jeszcze lepszy, bo wtedy benzyna też była za darmo. Teraz musimy trochę płacić. Ale przedtem nie mieliśmy internetu, a teraz mamy. Widzisz, ciężko jest porównywać. Obaj mają swoje dobre strony.

– Wiele stron internetowych jest zablokowanych – zauważyłam. – Na przykład Twitter, YouTube, Facebook...

– Żeby ochronić młodzież. Wiele dziewcząt wstawia na Facebooka swoje nagie zdjęcia. Są młode i nie myślą o konsekwencjach. Blokując Facebooka,

nasz-dobry-prezydent nie pozwala im zniszczyć ich przyszłości i honoru rodziny.

– Na Facebooku nie da się umieszczać nagich zdjęć.

– Nie? – Aślan patrzy na mnie tępym wzrokiem. – W takim razie po co nasz-dobry-prezydent zablokował Facebooka?

Zaraz po objęciu władzy przez Nowego Prezydenta bojownicy o prawa człowieka i dysydenci dostrzegli nadzieję, że Turkmenistan rozpocznie niezwykle potrzebny proces demokratyzacji. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie przedsięwziął Gurbanguly Berdimuhamedow, było cofnięcie części najbardziej niepopularnych dekretów Turkmenbaszy. Miesiące i dni tygodnia odzyskały swoje dawne nazwy, starsi ludzie – emeryturę. Obowiązek szkolny wydłużono z dziewięciu do dziesięciu lat. Zalegalizowano operę, balet i cyrk.

Nadzieja zgasła prawie tak szybko, jak się zaliła. Co prawda *Ruhnama* nie należy już do lektur obowiązkowych w szkole podstawowej, w zamian uczniowie muszą teraz czytać między innymi o *Wnuku, który urzeczywistnił marzenie dziadka* (angielskie tłumaczenie tego tekstu kupiłam w księgarni Miry) oraz *Ptaka szczęścia*, utwór omawiający dorastanie i pochodzenie Nowego Prezydenta. Biuro ojca Gurbanguly'ego Berdimuhamedowa, policjanta z małego miasteczka, przekształcono na muzeum, a jednostka wojskowa, w której służył, nosi teraz jego imię. W 2008 roku uniwersytety w Turkmenistanie przestały prowadzić studia z *Ruhnamy*. W zamian w rozkładach zajęć pojawił się nowy przedmiot: wiedza o Berdimuhamedowie.

Gurbanguly Berdimuhamedow zrobił bez wątpienia fascynującą karierę. Urodził się w 1957 roku i dorastał jako jedyny syn wśród ośmiorga rodzeństwa. W wieku dwudziestu dwóch lat był wykształconym dentystą, kilka lat później w Moskwie uzyskał tytuł doktora odontologii. Przez piętnaście lat pracował w zawodzie, wreszcie w 1997 roku został mianowany ministrem zdrowia. W 2001 roku otrzymał dodatkowo

nominację na wicepremiera, zajął zatem drugą pozycję w państwie, jako że ówczesny prezydent Turkmenbasza pełnił jednocześnie funkcję premiera. Kiedy w 2006 roku Turkmenbasza zmarł, Gurbanguly Berdimuhamedow objął stanowisko prezydenta. Przewodniczący parlamentu, czyli człowiek, który wedle prawa powinien przejąć urząd w momencie śmierci aktualnego prezydenta, został uwięziony tego samego dnia, gdy Berdimuhamedow stanął za sterami państwa.

Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego Berdimuhamedow, osobisty dentysta Turkmenbaszy, objął po nim urząd prezydenta. Był jednym z nielicznych ministrów, którzy przeżyli wszystkie kryzysy za rządów Turkmenbaszy i nie zostali zwolnieni ani uwięzieni. Długo krążyła plotka o tym, że Berdimuhamedow jest nieprawym synem Turkmenbaszy, wielu wskazywało na uderzające fizyczne podobieństwo między nimi. Jeśli to prawda, musiałby zostać poczęty, kiedy Turkmenbasza miał siedemnaście lat. Bardziej naturalne wyjaśnienie jest takie, że Berdimuhamedowowi udało się zostać – i pozostać – zaufanym Turkmenbaszy oraz że poza tym miał talent do lokowania się na wysokich pozycjach w hierarchii władzy. Jeśli wierzyć wykradzionym i upublicznionym dokumentom amerykańskich dyplomatów, ogólnie rzecz biorąc, nie jest specjalnie inteligentny: „Berdimuhamedow nie lubi ludzi, którzy są sprytniejsi od niego. A ponieważ nie jest bardzo bystry, wiele osób budzi jego nieufność”⁵.

Po dojściu do władzy nadal trzymał kraj w żelaznym uścisku, ale używał bardziej wysublimowanych metod. Media są pozbawione wolności tak samo jak za Turkmenbaszy, a w rankingu wolności prasy opracowywanym przez organizację Reporterzy bez Granic Turkmenistan zachował pozycję na samym dole, razem z Erytreą i Koreą Północną. Nawet drobne przewiny są surowo karane, za przykład niech posłuży epizod z karaluchem z 2008 roku: podczas wiadomości nadawanych o dwudziestej pierwszej pewnego lutowego wieczoru przez pulpit, za którym siedział spiker, przemaszerował brązowy karaluch. Nikt z pracowników telewizji tego nie zauważył. Później

wieczorem ten sam program informacyjny nadano po raz drugi. Kiedy urzędnicy departamentu kontroli telewizji przyszli następnego ranka do pracy i wpadka została zauważona, wybuchła panika. Występ owada, jak można było oczekiwać, nie został ciepło przyjęty przez prezydenta, który od ręki wydał polecenie, by trzydziestu pracowników państwowego kanału informacyjnego natychmiast zwolnić.

W roku 2010 dentysta przybrał przydomek Arkadag, Protektor. Dwa lata później pojawił się jego pierwszy pomnik w stolicy. W kontraście do złotych monumentów Turkmenbaszy ten wykonano z białego marmuru.

Kolejny raz wjechaliśmy na pusty parking. Znajdowaliśmy się daleko na polach między górami a miastem. Przed nami wznosił się trójnożny Pomnik Neutralności, uderzająco podobny do futurystycznej rakiety kosmicznej z lat siedemdziesiątych. W jednej z podpór zainstalowano wewnętrzną windę, którą można wjechać na samą górę. Na szczycie stała dwunastometrowa postać Turkmenbaszy w złocie, ta sama, która wieńczyła Łuk Neutralności w centrum Aszhabadu. Łuk Neutralności rozebrano w 2010 roku, a ten nowy pomnik postawiono poza centrum. Aby zrekompensować tę mało centralną lokalizację, nowy pomnik ma aż dziewięćdziesiąt pięć metrów wysokości, o dwadzieścia więcej niż poprzedni. Tyle że głowa Turkmenbaszy już nie obraca się za słońcem.

– Wielu obcokrajowców myśli, że po prostu przenieśliśmy Łuk Neutralności – opowiadał Aşan, wesoło się śmiejąc. – Oczywiście, że tego nie zrobiliśmy. Nasz-dobry-prezydent naturalnie rozkazał, by zbudowano całkiem nowy pomnik.

– A dlaczego stary trzeba było rozebrać? – spytałam.

– Ze względów bezpieczeństwa – odparł poważnie. – Ze szczytu ludzie mieli widok na wnętrze pałacu prezydenckiego. Nie można było tego tak zostawić, to jasne.

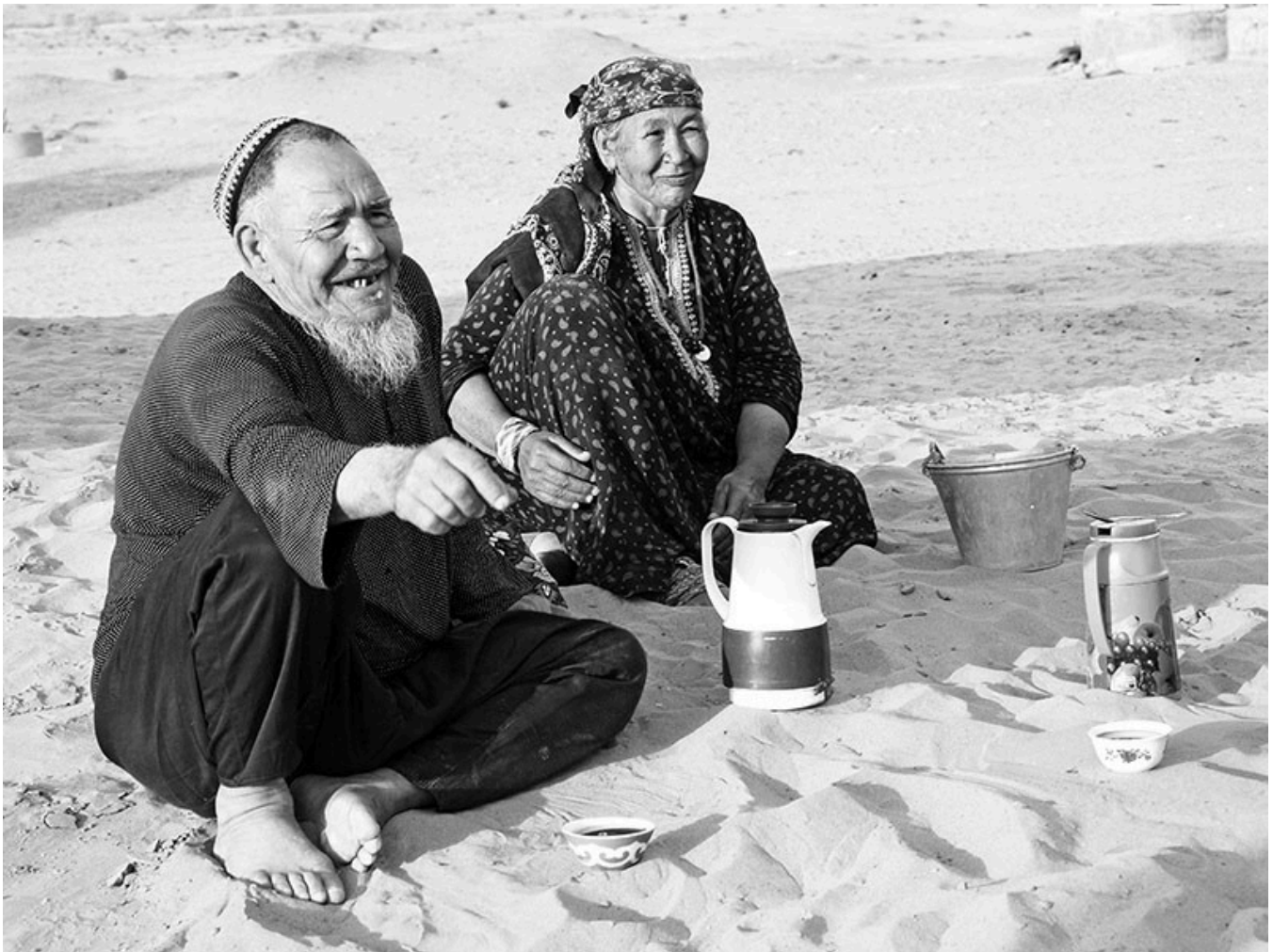
Można też się domyślać, że Berdimuhamedow po prostu miał dość

sytuacji, gdy widok z okna biura zasłaniała olbrzymia wieża uwieńczona pomnikiem jego poprzednika.

Z okien widokowych w korpusie wieży oglądaliśmy panoramę całego Aszchabadu. Kiedy jeździliśmy między marmurowymi blokami po szerokich arteriach, miasto wydawało się olbrzymie. Stąd dostrzegłam, że jednak nie jest takie wielkie. Kilka skupisk białych bloków z marmuru; proste, puste ulice. Wokół centrum we wszystkich kierunkach aż po zamglony horyzont rozciągała się naga piaszczysta pustynia.

Kwiat pustyni

Po raz pierwszy podczas tej podróży brakuje mi języka. W Aszchabadzie wszyscy mówili po rosyjsku; tu jest inny świat, inny Turkmenistan, tu nie rozumieją nawet najprostszych zwrotów. Próbuję zwykłego „cześć”: *Priwiet!* Dzieci uśmiechają się do mnie i potrząsają głowami. Ubrania mają brudne i postrzępione, żadne nie ma butów. *Kak was zawut?* „Jak się nazywacie?”. Spojrzenia, które napotyka mój wzrok, są tępe. Wyjmuję cienki słowniczek i otwieram na stronie z powitaniem, ale chyba coś jest nie tak z moją wymową, bo dzieci dalej nie rozumieją. W ostatecznej próbie porozumienia daję im otwartą broszurkę i wskazuję palcem zwroty. Przyglądają się ciekawie literom i znowu potrząsają głowami. Najwyraźniej nie potrafią czytać. W zamian łapią mnie za rękę i prowadzą na tyły glinianych chat, do drewnianego ogrodzenia. W środku stoją trzy wielbłądy, każdy przywiązany do swojego słupa. Zwierzęta popatrują na nas bez zainteresowania, dziwnie wykrzywając pyski przeżuwające siano. Z brzuchów wielkimi kłakami zwisa im sierść. Pachnie tu ostro odchodami i moczem.



Kilka godzin drogi od Aszhabadu. Żadnych marmurów, jak okiem sięgnąć jedynie piasek i wielbłądy. I najgościnniejsi ludzie pod słońcem.

Kołyszącym krokiem zbliża się młoda kobieta ubrana w szeroką, kwiecistą suknię. Długie włosy częściowo ukryła pod chustą. Twarz ma okrągłą, skórę zbrązowiałą od słońca. *Priwiet!*, próbuje od nowa. Zakrywa usta brzegiem chusty i potrząsa głową, chichocząc. Siada na odwróconym wiadrze obok jednego z wielbłądów i zaczyna ciągnąć za wymiona. Dzieci niecierpliwie pokazują palcami mój aparat, więc posłusznie zaczynam fotografować. Parskają śmiechem, widząc siebie na małym ekranie podglądu. Potem ustawiają się na nowo przed wielbłądami, poprawiają brudne ubranka i uśmiechają się rozbrajająco.

Jesteśmy zaledwie kilka godzin drogi od Aszchabadu, ale równie dobrze moglibyśmy się znaleźć na drugiej półkuli. Wioseczka liczy dziesięć do dwunastu rodzin, tyle, ile może utrzymać przy życiu niewielka studnia. Proste chaty o płaskich dachach zbudowane są z gliny i prawie pozbawione mebli. Nowiusieńki panel fotowoltaiczny zapewnia nieco prądu wieczorem, akurat tyle, by wystarczyło na kilka godzin oglądania telewizji po zachodzie słońca. Mała otwarta komórka za ogrodzeniem dla wielbłądów służy jako jedyna toaleta w kyszłaku. Pozostałości na polu świadczą o tym, że większość mieszkańców woli załatwiać potrzeby fizjologiczne pod gołym niebem.

Po wydojeniu wielbłądzicy kobieta chwyta mnie za rękę i prowadzi do jednego z niskich glinianych domów – swojego. Pod ścianami stoi kilka skrzyń, na klepisku wyłożono parę poduch, cienkich mat i prosty obrus. Ściany są niemal gołe, wiszą na nich jedynie brązowy, maszynowo tkany kilim i dwa zdjęcia – jedno przedstawia rodziców dziewczyny, drugie ją i jej męża. Na zdjęciu jest ubrana w tradycyjny turkmeński strój ślubny z grubym, haftowanym nakryciem głowy w kolorach białym, żółtym i czerwonym, jej twarz przesłaniają koronki i długie, cienkie druciki. Mąż jest od niej nieco niższy i poważnie patrzy w obiektyw. W tle wznoszą się futurystyczne marmurowe budowle Aszchabadu.

Zajmuję miejsce na jednej z poduch. Kobieta wchodzi z kawałkiem wyschniętego na wiór chleba i dzbankiem z herbatą. Stojąc, przygląda się, jak odłamuję kęs chleba i sączę herbatę. Podnoszę na nią wzrok i się uśmiecham. Odpowiada uśmiechem. Kiwam głową i się uśmiecham. Ona też kiwa głową i się uśmiecha. „Bardzo dobre”, mówię po angielsku, po rosyjsku i w wersji, która wydaje mi się turecką. Gospodyni uśmiecha się i potrząsa głową. Wzruszam ramionami i uśmiecham się. Odwzajemnia uśmiech, wskazując na herbatę i chleb. Biorę do ust następny kęs i popijam herbatą. Uśmiecha się. Uśmiecham się. Jak długo powinnam siedzieć, żeby nie wydać się niegrzeczną? Dziesięć minut? Piętnaście? Na szczęście pojawia się mój

przewodnik, Murat, i przychodzi mi z pomocą. Jest to mężczyzna po pięćdziesiątce, zawsze w dobrym humorze, o ciepłym spojrzeniu i spalonej słońcem skórze. Chociaż to najstarszy z moich przewodników, pod wieloma względami jest najbardziej młodzieńczy – często się uśmiecha i śmieje, należy też do tych nielicznych, którzy otwarcie ośmielają się krytycznie wyrażać o reżimie.

– Ona służy do podpierania pleców – szepcze, wskazując poduchę, na której siedzę.

Pospiesznie przenoszę się na matę.

Kobieta nazywa się Kwiat Brzoskwini i wedle Murata jest w moim wieku. Wyszła za męża, mając osiemnaście lat, i urodziła pięcioro dzieci.

– Wobec tego na pewno ma pełne ręce roboty.

Murat tłumaczy, a Kwiat Brzoskwini energicznie potakuje.

– Pracuję od piątej rano do późnego wieczora – opowiada. – Zawsze jest coś do zrobienia. Upiec chleb. Przynieść wody ze studni. Wydoić wielbłądy. Uprać. Sprzątnąć dom. Nie mam czasu przysiąść. A co z tobą? Ile masz lat? Jesteś mężatką? Masz dzieci?

W moim imieniu odpowiada na pytania Murat. Tak, jest mężatką. Nie, nie ma dzieci. Gościnny uśmiech Kwiatu Brzoskwini zamienia się w grymas litości.

– Masz jeszcze czas – tłumaczy Murat i mówi coś do Kwiatu Brzoskwini.

Kobieta znika, a za chwilę wraca z dwoma naczyniami wypełnionymi białą serwatą zawieszoną.

– Czał! – wykrzykuje z nabożeństwem Murat, podnosząc do ust drewnianą chochlę. – Tutaj jest lepszy niż w mieście. Świeższy. My, Turkmeni, nigdy nie mamy dość czaju, to najlepsza rzecz pod słońcem.

Napój mocno pachnie drożdżami. Podnoszę do ust łyżkę i przelkam. Tego smaku nie da się opisać.

– Dobre, prawda? – Murat patrzy na mnie wyczekująco. – Wieśniacy piją to ciągle, dlatego nigdy nie chorują.

Przełykam kolejną pełną łyżkę i jeszcze jedną. Zawiesina smakuje jak drożdże i skwaśniałe mleko, wyczuwam gorzkawą, jełką nutę. Napój utyka mi w gardle i odbija się kwaśną czkawką. Biorę do ust kolejną łyżkę. Na metodyce antropologii społecznej wbijano nam do głów, że jeżeli nie będziemy jedli tego samego co tubylcy, to nigdzie nie zajdziemy. Można wtedy zapomnieć o dotarciu pod powierzchnię. Wstrzymuję oddech i przełykam jeszcze jedną pełną łyżkę.

– Wiedziałem, że to polubisz – stwierdza zadowolony Murat i wysyła Kwiat Brzoskwini po dolewkę. – Przygotowanie czału to długi proces, prawie sztuka. Ci wieśniacy są w tym mistrzami. Mieszają świeże wielbłądzie mleko pół na pół z wodą i odstawiają na trochę. Potem wlewają do tego świeżo ukwaszony czał i mieszanka dojrzewa w temperaturze pokojowej. Codziennie trochę upijają i dopełniają świeżym wielbłądzim mlekiem.

– Jak długo taka mieszanka zazwyczaj stoi?

– O, różnie bywa. Rok, czasami dłużej.

Muszę uciec od tych potoków kwaszonego wielbłądziego mleka, ale dokąd? W nagłym olśnieniu pytam, czy mogłabym zwiedzić tutejszą szkołę. Na całe szczęście okazuje się, że rzeczywiście mają tu szkołę. Kwiat Brzoskwini prowadzi mnie do małego domku na skraju kyszłaku. Niewielkim kluczem otwiera drzwi do klasy urządzonej naprawdę po spartańsku. Osiem czy dziewięć zniszczonych pulpitów stojących na klepisku. Na ścianach tablice z turkmeńskim alfabetem ilustrowanym kolorowymi postaciami. Nad tablicą wisi w ramach za szkłem portret Nowego Prezydenta.

– Nie ma dzisiaj lekcji?

Kwiat Brzoskwini potrząsa głową i coś długo tłumaczy.

– Nauczyciel jest dzisiaj chory – przekłada Murat.

Kiedy Kwiat Brzoskwini zamyka na klucz drzwi szkoły, skwaśniałe wielbłądzie mleko daje o sobie znać. Truchtem biegnę do prowizorycznej budki z toaletą i ledwie zdążam.

W nocy do upojenia będę miała okazję studiować blaszane ściany ustępu.

W świetle mojej latarki czołowej wydają się obdarzone życiem i zaczynają falować.

* * *

– Teraz w kwietniu pustynia Kara-kum jest najpiękniejsza i najbardziej gościnna – powiada Murat.

Teren, który przecinamy samochodem, jest płaski i monotony, choć równocześnie ulega ciągłej przemianie, co, o dziwo, wzmacnia wrażenie jednostajności. Jakby czas stanął w miejscu. Jakbyśmy my stali w miejscu.

Nigdy nie myślałam, że tak może wyglądać pustynia. O ile Sahara to morze brązowych, nieruchomych fal, potężnych i ponadczasowych, o tyle Kara-kum urzeka kolorami. Piaszczysty grunt pokrywa lekki welon traw. Po zboczach pagórków z piasku wspinają się poskręcane krzaki i niskie przygięte drzewka, w ich cieniu rozwijają się białe i żółte kwiatki. W środku dnia z bezchmurnego nieba grzeje słońce, lecz wieczory są chłodne, a w nocy temperatura spada poniżej zera. Nieważne, ile brudnych wojskowych śpiworów z biura podróży da mi Murat. I tak marznę, tęskniąc w namiocie do porannego ryku wielbłądów.

– Niedługo słońce wypali wszelkie ślady życia, krajobraz znowu będzie brunatny i bezbarwny – ciągnie Murat. – Wtedy też jest tu pięknie, ale to bardziej brutalne piękno.

Pustynia Kara-kum pokrywa ponad siedemdziesiąt procent terytorium Turkmenistanu. Jej nazwa znaczy „czarny piasek” i w dawnych czasach wystarczała, by wzbudzić strach w odkrywcach i wędrownych kupcach. Uważano ją za jeden z bardziej niebezpiecznych odcinków Jedwabnego Szlaku. Zimą prowadzący karawany ryzykowali natknięcie się na obfite opady śniegu i groźne wiatry, letnie miesiące groziły zaś bezlitosnym upałem. Dzikie wspólnoty plemienne zamieszkujące pustynię nie zawsze były przyjaźnie nastawione. Wielu z nich dobrze się wiodło dzięki napadom

na karawany i sprzedaży schwytanych podróżnych na targu niewolników w Chiwie.

Stopniowo zanikają kolory i wszystko brązowieje. Krzaki są ogołoczone z zieleni, niskie drzewa pozbawione liści.

– Jesteśmy bliżej ludzi – zauważa Murat.

Coraz liczniejsze ślady opon krzyżują się w chaotycznych wzorach. Ze szczytu wzgórza otwiera się widok na przypominające dolinkę zagłębienie w terenie. Poniżej czworokątne chaty z gliny wtapiają się niemal w zbocze, na którym stoją. Gdyby nie samochody terenowe zaparkowane przy niektórych obejściach, mogłabym pomyśleć, że cofnęłam się do średniowiecza. Prawdopodobnie kyszłak wyglądał wtedy tak samo. Z relacji ówczesnych podróżników wynika, że ta osada, Damla, leży w tym miejscu od ponad tysiąca lat. Odosobnienie chroniło ją przed atakami agresywnych hord. Nawet budzący strach jeźdźcy Czyngis-chana tutaj nie trafili.

Zatrzymujemy się u początku górnej części doliny, przy pierwszym napotkanym gospodarstwie. Chichoczące dwie młode dziewczyny witają nas i prowadzą do wnętrza jurty – typowego dla Azji Środkowej, okrągłego, solidnie wykonanego namiotu, który rodzina postawiła obok małej glinianej chatki. Przez dymnik w dachu do wnętrza dostają się spore pasma dziennego światła. Podłogę i ściany pokrywają liczne czerwone kilimy oraz sznury z pomponami, co sprawia, że okrągłe wnętrze wydaje się przytulne prawie jak norweski letni domek. Zajmujemy miejsca na miękkich, kolorowych materacach, ja zaś – jako światowiec – opieram się o wielkie poduchy. W królestwie kobiet, w kąciuku kuchennym na prawo od wejścia, dziewczyny biorą się do siekania cebuli i pomidorów. Są szczupłe, wyrosnięte, podczas pracy mrużą szparki oczu. Kiedy sądzą, że tego nie widzimy, zerkają na nas znad garnków. Najwyraźniej obie są niezamężne – łapię się na tym, że mi ich żal. Dowiaduję się jednak, że mają tylko dziewiętnaście i dwadzieścia jeden lat. Młodsza nosi imię Ogulnar. Można powiedzieć, że jest żywą modlitwą: „ogul” znaczy „syn”, „nar” zaś – „owoc granatu”. Rodzice, którzy doczekali

się dwóch córek, ale żadnego syna, mieli nadzieję, że Bóg usłyszy ich modły i przyjmie ofiarę – owoc granatu za syna. I Bóg usłyszał. Matka dziewcząt trzykrotnie jeszcze zachodziła w ciążę – za każdym razem wydawała na świat syna.

Zupa sióstr jest gorąca, aż parzy, smakuje słońcem i niedojrzałymi jabłkami. Starsza od razu zaczęła zmywać naczynia przed jurta. Ogulnar stoi w wejściu i przygląda się nam. Nieśmiały uśmiech ujawnia brak przedniego zęba. W rękę trzyma duży, gruby notatnik.

– Chodź tu bliżej i przeczytaj nam coś! – zachęca Murat.

Dziewczyna nie rusza się, zwleka. Murat powtarza zaproszenie raz, potem jeszcze raz. Dopiero wtedy Ogulnar podchodzi i siada z nami. A potem zaczyna czytać. Spod półprzymkniętych powiek śledzi wersy zapisane drobnymi literami. Głos ma zaskakująco silny. Obce dźwięki odnajdują się przy każdym wydechu i zazębiają o siebie, jakby śpiewała bez melodii. *O, Kara-kum!* – to jedyne, co rozumiem, a mimo to wydaje mi się, że pojmuję wszystko. Hymn sławiący pustynię, ojczyznę Ogulnar, niebo i piasek, i wszystko, co ją otacza. Potem Murat tłumaczy najlepiej, jak umie:

O, Kara-kum! O, czarny piasku!

Wiecznie zmienny i zawsze ten sam!

*O, Kara-kum, co dałaś mi życie
i wszystko, czego mi trzeba!*

*O, Kara-kum, o, moja pustynio,
cóż bym bez ciebie poczęła?*

*Nigdy mi nie dość patrzenia na ciebie,
zawsze mnie uczysz czegoś nowego.*

*Twe rośliny – uzdrawiają,
woda gasi pragnienie,
a mój kyszłak, taki własny,
mnie wychował;*

*tu zawsze mogę kogoś spytać o radę,
zawsze mi ktoś pomoże.*

O, Kara-kum, nigdy cię nie porzucę!

O, wiosko ma, na zawsze będziesz mi domem.

W spontanicznym tłumaczeniu Murata – i moim – znika wszystko poza treścią, w inny sposób nie mogę jednak się zbliżyć do poezji Ogulnar. Czyta dalej, z nowej strony, z nowego notatnika. Nie wiem, ile ich ma, wszystkie gęsto zapisane jednakowo drobnymi literkami, pełne hymnów pochwalnych na temat małego wszechświata, w którym żyje. Rodzice nie pojmują, skąd im się wzięła taka córka. Chodziła tylko jak inne dzieci do wioskowej szkółki, przeczytała może jedną książkę, nie mówiąc o zbiorach wierszy, bo takich tu nie ma. Ogulnar pisała, odkąd nauczyła się odnajdywać znaczenie układu liter. Natchnienie dopada ją nagle, staje się dziwna, daleka i rodzina już wie, że zaraz odbiegnie od parujących garnków, od kóz z tryskającymi mlekiem wymionami – by zapełnić kolejną stronę w którymś z grubych notatników.



Ogulnar czyta strofy o swoim ukochanym kyszłaku, Damli, położonym na pustyni Kara-kum.

* * *

Spędzałam całe dnie w dziupie podskakującym na płytkich, nierównych

śladach w piasku, prowadzących przez płaski i niezmienny krajobraz. To tu był prawdziwy Turkmenistan. Ponad połowa Turkmenów mieszka w małych osadach i kyszłakach na pustyni, żyjąc z dnia na dzień. Marmurowe gmachy Aszchabadu, lśniące samochody i barwny tłum ludzi musiały na tych biednych chłopach robić wrażenie Disneylandu, niemal fatamorgany.

Nie ma wiarygodnych danych statystycznych na temat bezrobocia w Turkmenistanie. W 2004 roku, ostatnim, dla którego sporządzano szacunki, *World Factbook* oceniał wielkość bezrobocia na około sześćdziesiąt procent. W tym samym roku Narodowy Instytut Statystyki i Informacji Państwowej Turkmenistanu podawał, że bezrobocie wynosi niezmiennie 2,6 procent. Około połowa siły roboczej jest zatrudniona w rolnictwie, czyli w sektorze, który dostarcza jedynie siedem procent produktu krajowego brutto. Większość turkmeńskich chłopów – jak rodzina Kwiatu Brzoskwini i Ogulnar – żyje z tego, co urodzi ziemia, co dadzą wielbłądy i kozy, właściwie nie angażując się w napędzaną gazem gospodarkę kraju. Ci biedni rolnicy rodzą się i umierają w swoich kyszłakach oderwani i odcięci od reszty kraju, skoncentrowanego wokół miast, elektrowni gazowych i marmurowego luksusu elit politycznych.

A jednocześnie to tu, u tych biedaków, którzy mieli na własność zaledwie kilka garnków, parę wielbłądów i stadko kóz, przyjęto mnie najcieplej. Ci ludzie musieli żyć w takiej samej izolacji także w epoce radzieckiej, bo niewielu z nich znało choćby słowo po rosyjsku. Lecz i bez wspólnego języka przyjmowali mnie wszędzie jak z dawna wyglądaną córkę. Z uśmiechem zapraszali skinieniem ręki do wnętrza jurt lub glinianych chatynek, po czym dzielili się ze mną tą odrobiną, którą mieli: filiżanką herbaty, miseczką skwaśniałego wielbłądziego mleka, kawałkiem suchego chleba.

Większość czasu spędzałam w zamknięciu – na przednim siedzeniu land cruisera z biura podróży. Pustynia to, jak sama nazwa wskazuje, pustkowie. Mogliśmy jechać godzinami, czasami cały dzień – i nie spotkać żywej duszy. Jedno przedpołudnie było podobne do drugiego, dni zlewały się w jeden

ciąg. Monotonię przerywały tylko dobrze odżywione szczury pustynne, które z wyzywającym spojrzeniem przecinały koleiny tuż przed samochodem, i orły przednie, które leniwie unosiły się w kominach powietrznych gdzieś na horyzoncie. Od czasu do czasu mijaliśmy prymitywną, rozpadającą się przyczepę mieszkalną – samotnego koczownika na pustyni. Z rzadka w lekkiej mgielece dostrzegaliśmy skupisko namiotów lub glinianych chałupek.

Benzyna w Turkmenistanie jest tania, a bilety lotnicze na liniach krajowych prawie darmowe. Dlatego biuro podróży podczas planowania trasy nie zawracało sobie głowy ekonomią transportu, tylko przerzucało mnie wzdłuż i wszerz kraju z jednego końca w drugi. W trakcie tych długich etapów przejazdowych moim jedynym towarzystwem byli kierowcy i przewodnicy. Niektórzy spędzali ze mną całe dni, inni siedzieli za kierownicą tylko kilka godzin, by ustąpić miejsca zmiennikowi na jakimś rozdrożu lub w którymś z mijanych czasami miasteczek. Owi wysłannicy biura podróży byli moją jedyną szansą na prawdziwy kontakt z mieszkańcami i podwładnymi dyktatury. Żadnej innej nie miałam. W miastach oko władzy było wszechobecne. Chociaż po Aszchabadzie mogłam poruszać się swobodnie, wiedziałam, że nie warto rozpoczynać z kimkolwiek rozmowy na temat inny niż zupełnie banalny: zamówienie kawy, targowanie się o cenę dywanu. Krytyka reżimu jest dla Turkmena śmiertelnie niebezpieczna, nawet sam w sobie kontakt z cudzoziemcem budzi podejrzenia. Poza największymi miastami byłam zależna od przewodników i kierowców w roli tłumaczy, gdyż ludzie na wsi mówili, z grubsza biorąc, wyłącznie po turkmeńsku.

W głębi pustaci kanionów Yangykali odważyłam się postawić jednemu z kierowców delikatnie polityczne pytanie. Od najbliższych ludzkich siedzib dzieliły nas setki kilometrów. Byliśmy całkowicie i absolutnie sami. Przytłaczającą ciszę przerywał od czasu do czasu tylko poryw wiatru. Teren pod naszymi stopami kształtował się w zastygłe grzebienie fal, w wyżłobione

przez miliony lat, ciągnące się bez kresu skalne formacje w czerwieni, zieleni i bieli.

Osiemnastoletni kierowca spojrział na mnie oczami wielkimi jak spodki. Chyba nie zareagowałby z większym niedowierzaniem, gdybym go spytała, czy się przespał z własną matką.

– O prezydencie nie należy nawet *myśleć* krytycznie – odpowiedział poważnie.

A potem zaczął recytować lekcję o darmowym gazie, darmowym prądzie, o równie darmowej wodzie, o soli, która jest darmowa, i o benzynie, która jest prawie darmowa. Żeby podbudować swoją wypowiedź, podwinął rękaw swetra i pokazał czarny plastikowy zegarek. Pod wskazówką sekundową prezydent-dentysta prezentował swój uśmiech Mony Lizy.

– Wszyscy w mojej klasie dostali takie zegarki, kiedy nasz-dobry-prezydent wizytował szkołę – oznajmił. – Dzień i noc pracuje nad poprawą warunków życia swojego ludu. Nie, jego nie można krytykować! Jeżeli miałbym kogokolwiek krytykować, to siebie.

– Dlaczego siebie?

– Bo ja nie pracuję dość ciężko. Każdy z nas osobno jest odpowiedzialny za to, żeby uczestniczyć w budowie naszego kraju.

Tę odpowiedź wygłosił z dziecięcą naiwnością, a równocześnie z jakąś surowością. Zapewne podobną w tonie i doborze słów sformułowałby zdeklarowany komunista w epoce radzieckiej. Nie powinno było mnie to zaskoczyć. Młody kierowca urodził się w tym świecie, nigdy nie poznał innego i nie miał podstaw do porównania. Przez całe jego życie co dzień kładziono mu w uszy propagandowe hasła o doskonałości prezydenta i dobroci reżimu. Nie dziwota, że stał się silny wiarą.

Zresztą jego argumenty nie były pozbawione sensu. Jednym z powodów tego, że reżim w Korei Północnej się chwieje, jest to, że państwo nie może dostarczyć ludziom podstawowych produktów. Trudno uwierzyć, że się mieszka w najlepszym kraju świata, gdy co wieczór trzeba się kłaść spać

z pustym brzuchem. Skoro wszyscy Turkmeni mają darmowy dostęp do takich dóbr jak gaz, sól i pod dostatkiem dotowanej benzyny, ludzie – nawet najbiedniejsi z biednych – czują, że państwo o nich dba. I najważniejsze: nikt nie musi iść spać głodny.

* * *

Ostatni odcinek pustyni do ruin oazy Dehistan i drogę do nowoczesnej stolicy nafty Balkanabatu powinnam była właściwie pokonać bez przewodnika. Chciałam trochę oszczędzić i uważałam, że wystarczy pojechać tylko z kierowcą. Biuro podróży wysłało jednak ze mną Maksata. Powody podali różne. Mielśmy jechać przez rezerwat przyrody i mogliśmy się spotkać z problemami na posterunkach kontrolnych, gdybym podróżowała bez przewodnika. Nudziłabym się w długiej podróży tylko w towarzystwie szofera. Kierowca nie był pewny drogi i potrzebował wsparcia osoby znającej się na rzeczy, żeby spośród mnóstwa kolein wybrać tę właściwą.

– Ach tak, więc tak powiedzieli, aha – kwitował Maksat, kiedy powtarzałam mu wyjaśnienia szefa biura podróży.

Był prawie w moim wieku, wyższy niż zazwyczaj Turkmeni, barczysty, z kanciastą męską twarzą. Włosy miał krótkie, czarne, usta wąskie i delikatne. W korzystnym ustawieniu przypominał Toma Cruise'a – póki się nie uśmiechnął i nie błysnął złotymi zębami.

– No to dlaczego ze mną jedziesz?

– Ach tak, więc tak powiedzieli, aha – powtórzył tylko i zmrużył oczy.

Maksat był dość miły, ale na zabytkach zupełnie się nie znał. W Dehistanie snuł się obojętnie po kurhanach, czytając ogólniki z bedekera:

– Dehistan był największym i najważniejszym miastem zachodniego Turkmenistanu od dziesiątego do czternastego wieku. Część minaretu została zbudowana przez Abu Bini Ziyarda w tysiąc czwartym roku. Z meczetu chorezmszacha 'Ala ad-Dina Muhammada Drugiego ocalał tylko

osiemnastometrowej wysokości fragment wejścia. Teren miasta obejmował ponad dwieście hektarów i był chroniony podwójnymi murami. Dehistan został opuszczony w piętnastym wieku.

Ponieważ preferowanym wówczas materiałem budowlanym była wysuszona glina, z murów i większości budowli pozostały jedynie zarośnięte pagórki i nierówności terenu. Snułam się to tu, to tam po piasku, próbując sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać przed tysiącem lat, kiedy w obrębie murów ciasno stały domy.

– Kończysz już? – spytał Maksat po pięciu minutach zwiedzania.

– Nie.

Mimo wszystko jechaliśmy osiem godzin, żeby tu dotrzeć. Minęło kolejne pięć minut.

– Gotowa?

– Nie.

– Nie masz nic przeciw temu, żebym poczekał w samochodzie?

– Absolutnie nic.

Natomiast podczas jazdy Maksat mówił bez przerwy. Zwłaszcza o szpiegach.

– Jedna czwarta moich turystów to szpiegdy – zwierzył mi się.

– Skąd wiesz?

– To nie takie trudne. Jest wiele znaków rozpoznawczych.

– No, jakie?

Zastanowił się.

– Szpiegdy nigdy nie patrzą ci w oczy i cały czas chodzą w okularach od słońca, we wnętrzach też. Mają zawsze buty wyczyszczone na błysk. Fotografują ludzi, nie ruiny. I udają, że nie znają rosyjskiego.

– Ja fotografuję ludzi.

– Ty nie jesteś szpiegiem.

– Skąd wiesz?

– Buty.

Nie zdążyłam spytać Maksata, co myśli o prezydencie, bo mnie uprzedził.

– Dyktatura jest dobra – rzucił w powietrze, choć właściwie rozmawialiśmy o orłach. – Jesteśmy w fazie przejściowej, dlatego potrzebujemy teraz silnego przywódcy. W Turkmenistanie jest pięć głównych plemion i wiele pomniejszych. Gdyby-nie-nasz-prezydent, wszystkie by z sobą wojowały. Dzięki-naszemu-prezydentowi mamy w kraju pokój i wzrost.

– Ale czy jego portrety naprawdę muszą wisieć wszędzie? – spytałam.

– Nasz-dobry-prezydent ma tak zwyczajny wygląd, że na portretach mógłby widnieć ktokolwiek. Jego twarz reprezentuje ogólnie Turkmenów.

Z nadejściem wieczoru Maksat wyjął flaszkę wódki przeznaczoną, jak powiedział, dla naszej trójki. Kiedy większą część zawartości wypił sam, zaczął mówić o prezydencie Putinie.

– To człowiek w porządku. On to zrozumiał.

– Co zrozumiał?

– Że homoseksualizm jest przeciwny naturze. Na coś takiego nie można pozwolić. To prowadzi prostą drogą do upadku, ale wy, Europejczycy, tego nie rozumiecie. Na szczęście tu w Turkmenistanie trzyma się homoseksualistów pod kontrolą.

* * *

Nie wszyscy wysłannicy biura podróży byli równie oddani reżimowi. Wśród starszych przewodników i kierowców trafiali się tacy, którzy nie dali się oczarować prezydenckiemu aparatowi propagandy. Jednym z nich był Bekdurdy. Podwoził mnie tylko kilkanaście kilometrów, inny kierowca miał go potem zastąpić na skrzyżowaniu. W krótkim spędzonym wspólnie czasie Bekdurdy opowiedział mi historię swojego syna, który urodził się z poważnym uszkodzeniem słuchu. Turkmeńscy lekarze nie potrafili mu pomóc i zalecili rodzicom modlitwę do Boga. Natomiast rosyjscy lekarze

mogli wyleczyć słuch dziecka operacją uważaną w większości krajów Zachodu za rutynową.

– Klinika w Petersburgu chciała mi podarować darmową wizę zdrowotną, skończyło się jednak na tym, że musiałem zapłacić za drogą wizę turystyczną. Ponieważ Turkmenistan teoretycznie ma doskonały system ochrony zdrowia, nie potrzebujemy jeździć za granicę, by uzyskać świadczenia zdrowotne. Takie postępowanie jest uznawane za pośrednią krytykę systemu i wszyscy posiadający wizy zdrowotne są zatrzymywani na lotnisku.

Jak większość Turkmenów w takiej sytuacji Bekdurdy z synem wyjechali z kraju pod pretekstem wakacyjnej wycieczki. Ponieważ uszczerbek na zdrowiu syna nie był widoczny, udało im się opuścić kraj bez problemów. Turkmeni jawnie chorzy są rutynowo zatrzymywani na lotnisku i odmawia się im prawa wyjazdu, nawet jeżeli wyjeżdżają „na urlop”.

Operacja się udała. Syn odzyskał słuch. Turkmeńscy lekarze prawdopodobnie wpisali mu do karty, że modlitwy rodziców poskutkowały.

– Po prostu nas okłamują – rzucił z zjadłością Bekdurdy. – Nie mówią prawdy. Powiadają, że tu wszystko jest cacy, a rozejrzyj się tylko dokoła. Zobacz nasze drogi, dziurawe jak sito, niedługo się pozapadają. Przyjrzyj się naszym domom, są nieocieplone, a ogrzewanie pożera prąd. Nikt nie ma pieniędzy. Nikt nie ma wolności.

* * *

Kiedy Murat, najstarszy z moich przewodników, zaczął mówić o Turkmenbaszy, ugrzęźliśmy w piachu.

– On był kompletnie szalony, a potem tylko szalał coraz bardziej. Nie rozumiał, że ludzie się z niego za plecami śmieją. Nazywali jego imieniem szkoły i kyszłaki, bo wiedzieli, że za to będą dary pieniężne.

Murat mówił cicho, jak zawsze, gdy wypowiadał się o prezydentach

i władzy, chociaż w tych bezkresnych czarnych piaskach byliśmy sami. Jechaliśmy i jechaliśmy – przez pół kraju, od uzbeckiej granicy w głąb pustyni. Dróg tu nie było, tylko płytkie koleiny w piasku. Ten, kogo spotkało nieszczęście – skończyła mu się benzyna albo się zakopał – ryzykował, że miną dni lub tygodnie, zanim go znajdą.

– Turkmenbasza myślał, że go kochają, ale większość go nienawidziła. W głębi ducha ludzie go przeklinali i życzyli mu śmierci. Wielu uważa, że dlatego umarł tak wcześnie.

Koła zabuksowały, samochód zatańczył trochę na boki – i nie ruszył z miejsca. Murat mruknął coś po turkmeńsku i cofnął samochód parę metrów. Potem dodał gazu, ale w połowie zbocza koła na nowo poddały się piaskowi i znowu ugrzęźliśmy.

– Nic się nie martw, będzie dobrze – uspakajał Murat.

Wyszedł z szoferki, wyciągnął z bagażnika zestaw podkładek i umieścił je przed kołami, a potem próbował dodać gazu. Koła obracały się w piachu, samochód tkwił w miejscu.

– Nowy prezydent jest na szczęście lepszy niż poprzedni – komentował Murat, pozwalając samochodowi stoczyć się ze zbocza. – Przynajmniej przywrócił dniom i miesiącom dawne nazwy, ale on też należy do pokolenia radzieckiego. We wszystkim małpuje Putina, ponoć jest tak samo wysportowany i atletyczny. Ciekaw jestem, kiedy ktoś powie cesarzowi, że jest nagi...

Tym razem dotarliśmy prawie pod szczyt nawisu, gdy samochód bryknął w bok, a koła zapadły się w piasek.

– Cała moja nadzieja w tym, że nowe pokolenie, które studiowało za granicą i poznało świat, zechce zmienić kraj – ciągnął Murat, wrzucając ponownie wsteczny bieg. – Nic się nie martw, będzie dobrze. Problemem obecnego reżimu jest to, że nie chce słuchać krytyki. Śmiertelnie się boi zmian. Ja obdarzam zaufaniem młodych. Oni są przyszłością.

Za czwartym podejściem się udało. Przednie koła wygrzebały się z piachu,

za nimi poszły tylne. Pustynia rozciągała się przed nami w całej swojej płaskiej nieprzewidywalności. Murat próbował ukryć westchnienie ulgi.

Upadek dyktatora

Na tydzień przed wielkim dniem wideoklipy na telebimach w Aszchabadzie, które na ogół pokazywały migawki z dnia pracy prezydenta, zostały wymienione na zdjęcia koni. Gazety drukowały artykuły o koniach, programy telewizyjne w całości poświęcano koniom.

Na trzy dni przed wielkim dniem odkryłam – ku swojemu zaskoczeniu – wywiad ze mną w największej w Turkmenistanie rosyjskojęzycznej gazecie. W wywiadzie E. Fatland wypowiadała się bardzo pochlebnie o świetnych cechach turkmeńskiej rasy koni. Poza tym miała na podorędziu wiele pochwał fantastycznego kraju, jakim jest Turkmenistan, oraz niesłychanie gościnnych ludzi, którzy w nim mieszkają. Artykuł ilustrowało zdjęcie, na którym jadę konno przez pustynię. Na początku pobytu byłam na organizowanej przez biuro podróży konnej przejażdżce po pustyni, lecz nie poinformowano mnie, że zdjęcie z wycieczki trafi do gazety. Nigdy też nie rozmawiałam z jej dziennikarzem.

W wigilię wielkiego dnia został zorganizowany duży konkurs piękności koni. Autobus, który miał nas zawieźć na hipodrom, odjeżdżał o szóstej rano. W środku tłoczyli się mężczyźni w wyprasowanych garniturach i kobiety w czerwonych sukniach. Przewodnicy z biura podróży też wbili się w odświętne stroje. W swoich praktycznych podróżnych ciuchach czułam się jak dziadówka, ale było za późno, żeby się przebrać – i tak już się spóźniliśmy. Kierowca autobusu przepychał nas sprawnie przez wszystkie policyjne zapory i punkty kontrolne, sięgające daleko poza granice miasta. Na ostatnich kilometrach na poboczach rozstawieni byli malowniczo co pół metra studenci z białymi plastikowymi kwiatami.

Połowa Aszchabadu zebrała się, żeby uczestniczyć w wyborze najpiękniejszego turkmeńskiego konia. Przed terenem wyścigów stanęły długie rzędy białych autobusów. Z parkingu ku wejściu falowało morze czarnych warkoczy i czerwonych sukienek. Przy drodze stało jeszcze więcej

studentów z białymi kwiatami i małymi turkmeńskimi flagami w rękę. Posłusznie machali chorągiewkami bez śladu uśmiechu na twarzach. Pewnie tkwili tu już długo. Przed nowiuteńskim budynkiem hipodromu, oczywiście z białego marmuru, wykonywali też układy tancerze. Zatrzymałam się, żeby im zrobić zdjęcie, lecz zostałam dość brutalnie pchnięta przez władczygo mężczyznę w garniturze: *Hurry! Hurry!*

Uczestniczenie w imprezach tego typu należy do obowiązków turkmeńskich studentów i urzędników sektora publicznego. Wybory najpiękniejszego turkmeńskiego konia oraz wydarzenia dnia następnego, Dnia Konia Turkmeńskiego, należą do najważniejszych świąt w roku. Poza tym nie brakuje mniejszych i większych wydarzeń – przeciętnie w miesiącu organizuje się od czterdziestu do pięćdziesięciu oficjalnych fet. Wszystko – od otwarcia nowego liceum sportowego po oddanie do użytku nowego, choćby najmniejszego mostu – trzeba należycie uczcić. Nie obchodzi się już urodzin Turkmenbaszy, za to z wielką pompą świętuje się 18 lutego, dzień objęcia prezydentury przez dentystę.

Na trybunie zastosowano politykę ostrych podziałów. Pierwsze rzędy zarezerwowano dla brodatych starców w niebieskich chałatach. Za nimi zajęły miejsca piersiaste starsze kobiety w kwiecistych chustach i niebieskich kamizelach. Studentki w czerwonych sukienkach siadły po prawej, chłopcy w garniturach po lewej stronie. Nas, cudzoziemców w różnokolorowych ubraniach, ulokowano w osobnym rzędzie prawie całkiem z tyłu. Nie wypełniliśmy nawet jego połowy.

O siódmej wejście zamknięto. Nie pozostało ani jedno wolne miejsce. Na torze wyścigowym nic się jeszcze nie działo, za to na telebimach mogliśmy obserwować tancerzy wymachujących ramionami na placu przed budynkiem. Młoda dziennikarka z państwowego kanału telewizyjnego krążyła, przeprowadzając wywiady z VIP-ami. Każdy z nich mógł mówić długo i kwieście, bo widocznie oczekiwanie przeciągało się bardziej, niż przypuszczała, a program trzeba było czymś wypełnić – czy było czym, czy

nie. Z coraz bardziej zdesperowaną miną zadawała zatem pytania jednemu starszemu panu za drugim i wkrótce odpytała wszystkich gości honorowych. Gdy przechodzili z kamerzystą obok rzędu z nami, niechlujnie odzianymi cudzoziemcami, w oczach obojga dostrzegłam słaby błysk. Nim się zorientowałam, stałam przed kamerą i mówiłam: *Good morning, Turkmenistan!*

Nie pamiętam wiele więcej ze swoich trzech minut w świetle reflektorów turkmeńskiej telewizji poza śmiertelnym strachem. Bałam się, że zapomnę złożyć gratulacje prezydentowi z okazji święta. Surowo mi nakazano, bym to powiedziała. Zresztą mogłam chyba mówić, co mi ślina na język przyniesie, bylebym się tylko uśmiechała. Cokolwiek bym powiedziała, i tak synchronicznie tłumaczono to na turkmeński.

Na błękitnym niebie świeciło słońce, ale my siedzieliśmy pod dachem. Przenikliwy północny wiatr przyprowadził siedzącą obok mnie Włoszkę o szcęknięcie zębami. Przytupywałam nogami i popatrywałam na zegarek. Prawie ósma. Wciąż żadnych oznak aktywności na torze. Młoda dziennikarka rozmawiała już po raz drugi z którymś z gości honorowych. Studentki przed nami szeptały, na pozór nie zważając na zimno. Najwyraźniej należały do doświadczonej publiczności, przyniosły ze sobą orzeszki i owoce, którymi szczerze dzieliły się ze wszystkimi. Znowu spojrzałam na zegarek. Pięć po ósmej. Włoszka ciężko westchnęła.

Dziesięć po ósmej stajenny wyprowadził na arenę konia. Za nim szedł następny stajenny i kolejni. W sumie przy ogrodzeniu stanęło dziewięć koni i tam pozostało. Żeby ożywić atmosferę, kierownik naszej wycieczki zaaranżował zgadywanke – który z koni, naszym zdaniem, jest najpiękniejszy?



Konkurs na najpiękniejszego turkmeńskiego konia. Publiczność lojalnie śledzi przebieg wyborów.

Postawiłam na ósmego, z lśniąco złotą sierścią.

Turkmeni mają dwie wielkie namiętności – dywany i konie. W przeciwieństwie do sąsiadów z północy, Kazachów, nie tykają koniny. Do koni mają stosunek wręcz nabożny, zwłaszcza do achal-tekini, rasy pochodzenia turkmeńskiego. Jest ona uznawana za jedną z najstarszych na świecie i odznacza się wielką wytrzymałością. Konie nie są specjalnie duże, natomiast smukłe i bardzo proporcjonalne, z sierścią o metalicznym połysku. Ponieważ niektóre z nich mają specyficzne złote umaszczenie, są znane jako „złote konie”. Powiada się, że stajenni królowej Elżbiety bez powodzenia

starali się zmyć złoty połysk z achal-tekina, którego monarchini otrzymała w podarunku od Nikity Chruszczowa w 1956 roku. Byli przekonani, że Rosjanie pomalowali konia, żeby im zaimponować.

Za Stalina rasa została prawie wytrzebiona. W próbie podporządkowania sobie Turkmenów władze radzieckie zabroniły prowadzenia prywatnej hodowli i nakazały chłopom wybicie wszystkich koni na mięso. W pewnym momencie w całym Związku Radzieckim zostało jedynie tysiąc dwieście pięćdziesiąt achal-tekiniów. Aby pokazać władzom w Moskwie, jak jedyna w swoim rodzaju jest ta rasa, grupa jeźdźców ruszyła w 1935 roku w liczącą ponad cztery tysiące sto kilometrów trasę z Aszhabadu do stolicy. Pokonali ją w osiemdziesiąt cztery doby, a rekord został odnotowany w „historii Turkmeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej”. Powoli Turkmeni zdobyli posłuch dla żądania, by zakończyć tę masową rzeź koni. Podczas igrzysk olimpijskich w Rzymie w 1960 roku koń rasy achal-tekińskiej zdobył złoty medal w konkurencji ujeżdżania i od tego czasu dla turkmeńskich koni nastały lepsze czasy. Dziś achal-tekini jest ważnym elementem projektu budowy tożsamości narodowej Turkmenów. Każde miasto może się poszczycić nowiuteńkim torem wyścigowym. Poza tym Turkmenistan ma – chyba jako jedyny kraj na świecie – osobne „końskie ministerstwo”.

O dziewiątej trzydzieści, gdy odczekaliśmy już ponad trzy godziny, publiczność zerwała się jak jeden mąż z miejsc i zaczęła jednostajnie klaskać. Oczy wszystkich zwracały się na środek toru, gdzie postać ubrana w zieloną kurtkę i tradycyjną baranią czapę rozdawała skinienia głowy i uśmiechy. Mężczyzną w zielonej kurtce okazał się nie kto inny jak nasz-dobry-prezydent we własnej osobie. Nie sposób było odczytać wyrazu gładkich twarzy wokół mnie. Cieszyli się? Czy to ich w ogóle obchodziło? Przez oklaski przebił się grzmiący męski głos. Z odpowiednim patosem, wczuwając się w atmosferę, prezentował każdego konia, jakby to był ostatni egzemplarz tego gatunku na Ziemi. Każdego konia przeprowadzano przed prezydentem, który kiwał głową i się uśmiechał.

– Konie są prezentami dla prezydenta – szepnął kwaśno Murat. – Konkurs się jeszcze nie zaczął.

Włoszka z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy wystąpił złoty koń, prezydent spontanicznie oznajmił, że zamierza odbyć przejażdżkę konną. Po tym, jak głos z megafonu podał decyzję prezydenta do ogólnej wiadomości, oklaski trwały, zdawało się, bez końca.

Potem prezydent bez wyjaśnienia zniknął. Może poszedł zjeść śniadanie albo przeprowadzić ważną rozmowę telefoniczną? Może potrzebował się trochę przespać. Niezależnie od powodu nie było go długo. Podczas jego nieobecności wydawało się, że czas wszedł w inny wymiar, stał się antyczasem. Zapadliśmy w rodzaj letargu. Słońce stało niemal w zenicie, mimo to nadal siedzieliśmy w cieniu. Spróbowałam wyczuć, gdzie się podziały moje palce u nóg. Włoszce pociemniały oczy.

Odniosłam wrażenie, jakby publiczność wypracowała sobie umiejętność wyczuwania ruchów prezydenta, bo na długo przed tym, zanim się znów pojawił, zerwała się z miejsc i zaczęła klaskać. Prezydent wkroczył dumnie na arenę, kiwając głową i uśmiechając się na wszystkie strony. Typowo męskim gestem zrzucił zieloną kurtkę i jak bóg w śnieżnej bieli dosiadł złotego konia. Przez kilka minut zataczał małe kółka i z pomocą stajennego zmusił ostrożnie konia do stanięcia dęba. Potężny wybuch głośniejszej radości musiał zachęcić prezydenta, bo gdy zaprezentowano mu ostatniego, dziewiątego konia, postanowił się przejechać także na nim. Tym razem nie zadowolili się jedynie kółkami, lecz zdecydował się objechać cały tor. Za każdym razem, kiedy jeździec zmieniał chód na kłus czy galop, widzowie zachęcająco klaskali, niemniej większość drogi pokonał w majestatycznym tempie. Publiczność na stojąco śledziła go wzrokiem, póki nie stał się punkcikiem na przeciwległym końcu toru. Teraz już nawet studenci przede mną trzęśli się z zimna, prezydent natomiast wydawał się nie marznąć, posuwając się stępą skąpany w słońcu.

– Zawsze tak jest – mruknął Murat tak cicho, że tylko ja to usłyszałam. –

Teatr jednego aktora. Właściwie nikt nie ma ochoty tu być.

Kiedy prezydent, odprowadzany oklaskami, wycofał się w końcu do swojej łoży, nareszcie mógł się rozpocząć właściwy konkurs.

Półdzikie osobniki pokazowe wyprowadzono na tor, najpierw nieosiodłane, aby w pełnym słońcu ukazać muskulaturę i lśniącą sierść, potem w artystycznej uprzęży, jedwabnych derkach i zdobionych siodłach. Pompatyczny głos z megafonu prezentował szczegółowo każdego konia i wznosił się na kolejne szczyty zachwytu, by na koniec osiągnąć wymiar północnokoreański. Po przedstawieniu wszystkich koni nastąpił czas oczekiwania na werdykt międzynarodowego jury, które rozpoczęło obrady. Minuty zamieniły się w godziny. Może międzynarodowe jury intensywnie dyskutowało. Może jurorzy pili parującą herbatę i gawędzili o tym i owym w przytulnej, ogrzanej sali obrad. Może spożywali suty lunch.

Mieliśmy dość czasu, żeby rozważać, czym się zajmowali. Nieszczęsna dziennikarka odpuściła sobie gości honorowych i znowu omiatała nas tęsknym wzrokiem. Tym razem padło na Włoszkę: „Drodzy Turkmeni”, zaczęła. „Życzę wam wszystkiego najlepszego!”. Dziennikarka chrząknęła dyskretnie i Włoszka wyprostowała się, uśmiechając od ucha do ucha: „Przede wszystkim gratuluję prezydentowi tak wspaniałej imprezy. Wszystkiego najlepszego! Następnie chciałabym pogratulować narodowi turkmeńskiemu...”.

Około południa megafon drżącym głosem oznajmił, że międzynarodowe jury ustaliło werdykt. Przy wtórze ogłuszających oklasków i okrzyków radości uroczyście przeprowadzono w tę i z powrotem czarnego, nerwowego rumaka. Dumny właściciel otrzymał w nagrodę biały sportowy samochód. Publiczność klaskała z entuzjazmem. Tym razem zachwyty robił wrażenie szczerego, przypuszczalnie dlatego, że zbliżał się koniec imprezy. Nareszcie byliśmy wolni. Widzowie zerwali się z krzeseł i ruszyli ku wyjściu.

Przed budynkiem wciąż w ordynku stały dziewczyny z kwiatami i szklistym wzrokiem. Tancerze nieprzerwanie wykonywali swoje układy,

teraz jednak z wymuszonym uśmiechem wymachiwali usztywnionymi ramionami.

Zmrużyłam oczy w słońcu. Odzyskałam czucie w palcach u nóg.

Wieczorem zadzwonił Murat. Rozpływał się w przeprosinach, choć właściwie, jak pojęłam, czuł ulgę. Przyjechała nowa grupa, tłumaczył się, małżeństwo Francuzów. Musiał ich odebrać z lotniska i będzie obwoził po mieście. To oznaczało, że niestety nie będzie mi mógł nazajutrz towarzyszyć w obchodach Dnia Konia, chociaż zgodnie z Programem powinien mnie tam zaprowadzić.

– Jak powiedziałem, bardzo mi przykro, ale dasz sobie radę sama, prawda? Po prostu idź za resztą cudzoziemców.

Poniewczasie zapewne żałował, że ze mną nie poszedł.

Kiedy nieco przed szóstą następnego ranka, zadowolona z własnej dyscypliny i punktualności, weszłam do hotelowego holu, młody kierowca powitał mnie niecierpliwym:

– Dlaczego się tak spóźniłaś? Dwie godziny temu miasto było pełne ludzi i autokarów. A teraz wszyscy już dawno wyjechali!

– Nie możemy po prostu pojechać tam sami?

– Zwariowałaś? Wszędzie pełno policji i zapór. Przepuszczają tylko skontrolowane autokary.

Na całe szczęście zdołaliśmy dogonić i zatrzymać jeden z ostatnich autokarów, wypełniony kamerzystami i odświętnie ubranymi ludźmi. Tak więc ruszyliśmy. Po półgodzinie autobus zatrzymał się przed torem wyścigowym – jeszcze większym i bardziej ostentacyjnym niż wczorajszy. Wszystko było tu większe. Wokół parkingu mrowili się strażnicy, dziewczęta z kwiatami stały jedna przy drugiej wzdłuż drogi. Próbowałam policzyć autokary, ale się poddałam.

W przeciwieństwie do wczorajszego ten tor nie miał zadaszonej trybuny i poranne słońce zdążyło ogrzać plastikowe siedzenia. Ulokowano mnie

między rzędem mężczyzn w drogich garniturach a grupą rozćwierkanych Francuzek, prawdopodobnie żon inżynierów z Bouyguesa, francuskiej firmy budowlanej, która wznosi większość prestiżowych budynków w Aszchabadzie.

Kobiety rozdawały program z godzinami rozpoczęcia poszczególnych biegów. Mieli więc plan! Ramy czasowe! Pierwsza gonitwa miała się zacząć o ósmej trzydzieści, wszystkie siedem powinno się odbyć do jedenastej. Zamieszczono zdjęcia każdego konia i dżokeja, podano nazwiska trenera i właściciela. W większości przypadków właścicielem był turkmeński prezydent lub jakaś instytucja publiczna.

Mądra po szkodzie dnia poprzedniego zabezpieczyłam się przed kolejnym szokiem termicznym. Dodatkowe warstwy swetrów mogłam zawsze zdjąć, gorzej było z wełnianymi rajstopami. Jeszcze nie było ósmej, a pot już spływał mi strużkami po plecach. Minęła kolejna godzina, nim na torze zaczęło się coś dziać. Konie ustawione na linii startu nijak się miały do tych, których zdjęcia zamieszczono w programie. Dżokeje też nie przypominali tych z fotografii. Jeźdźcy mieli na sobie tradycyjne turkmeńskie stroje z baraniami czapami i resztą. Wszystkich starannie przedstawiono – po turkmeńsku. Kiedy entré zrobił ostatni z jeźdźców, publiczność w mgnieniu oka zerwała się z miejsc i zaczęła bić brawo, frenetycznie i długo. Pojęłam, że musi nim być nie kto inny niż sam prezydent. Odziany w czerwoną kurtkę i białą czapę dosiadł czekającego rumaka, numer trzy. Koń i jeździec dołączyli do reszty uczestników ustawionych po drugiej stronie bieżni.



Prezydent przygotowuje się do biegu honorowego. Na razie wszystko jest pod kontrolą.

– To wyścig honorowy dla właścicieli koni – szepnął siedzący obok mnie Rosjanin, który chyba zauważył moją dezorientację. – Pierwsza nagroda wynosi jedenaście milionów dolarów.

Mimo wysokiej wygranej, gdy bomba poszła w górę i konie wystartowały, napięcie wcale nie wzrosło. Na pierwszym zakręcie jeden z koni wysforował się naprzód. Pozostali jeźdźcy dyskretnie powstrzymywali swoje, galopując po prostej finiszowej. Sto metrów przed metą prezydent prowadził o półtorej długości konia. Wybuchły radosne okrzyki, lecz kiedy przekraczał linię mety, odrobinę przesunął się w siodle i ten nieznaczny ruch sprawił, że koń, który

wciąż utrzymywał dużą prędkość, stracił równowagę, potknął się i przewrócił. Jeździec poszybował do przodu. Koń podniósł się i pobiegł dalej, a prezydent pozostał w piasku, leżąc bez ruchu na plecach. Oklaski ucichły. Reszta nadbiegających koni ledwo zdołała uniknąć zdeptania leżącego. Gdy go minęły w galopie, a kurz opadł, na bieżnię wypadła chmara barczystych osiłków w ciemnych garniturach. Otoczyli prezydenta kołem, lecz żaden z nich nie sprawiał wrażenia, że wie, co robić dalej. Stali więc, tworząc krąg wokół głowy państwa.

Publiczność także stała. Cały hipodrom wstrzymał dech. Zapadła cisza.

Po kilku długich minutach na tor wjechała mała karetka z migoczącym niebieskim kogutem. Ochroniarze podnieśli nieruchome ciało prezydenta i wrzucili je bez respektu na tył. Karetka opuściła tor tak powoli, jakby miała czas do końca świata. Kiedy zniknęła, ludzie z ociąganiem opadli na siedziska. Nikt się nie odezwał. Otaczały mnie gładkie, zamknięte, pozbawione wyrazu twarze. O czym ci ludzie myśleli? Bali się? Radowali się w skrytości ducha?

Szerokoplecy strażnicy pozostali na bieżni. Niektórzy snuli się bez sensu to tu, to tam, inni krążyli dokoła. Paru stało na baczność. Było jasne, że nie mają pojęcia, czym się zająć. Czy szef nie żył? Czy kraj pozostał bez prezydenta? Na telebimach puszczano klipy z tancerzami, którzy przed terenem wyścigów wykonywali swoje układy. W megafonach rozlegały się trzaski, lecz wciąż żadnej informacji.

Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy. Może dziesięć minut, może pół godziny. Jakbyśmy się znajdowali w próżni. Żadnych uśmiechów, żadnego płaczu. Czyżbym właśnie stała się świadkiem śmierci dyktatora? Czy w tej chwili toczyła się zażarta walka o sukcesję po dentyście?

Zatrzeszczały megafony i jakiś głos powiedział coś po turkmeńsku. Z ekranów zniknęli tancerze zastąpieni ostatnimi sekundami gonitwy, gdy prezydent galopem zbliżał się do zdecydowanego zwycięstwa. Klip, na którym tryumfalnie przecina linię mety, był wyświetlany w zwolnionym

tempie raz po raz. Z trybun rozległy się pojedyncze brawa.

Nagle bodyguardzi się ożywili. Kilku z nich rzuciło się ustawiać przewróconą część płotu, inni nogami wyrównywali zagłębienie w piasku pozostałe po ciele prezydenta. Nastrój na trybunach się poprawił. Ludzie jedli słodycze i wymieniali się uwagami.

Nie rozumiałam, z jakiej to przyczyny publiczność nagle znowu zerwała się jak jeden mąż na nogi. Zbliżało się wpół do jedenastej i oczy wszystkich były zwrócone na trybunę honorową. Przez szyby ledwo mogliśmy dostrzec jakąś postać w bieli. Postać pomachała ręką. Buchnęły radosne okrzyki i brawa, lecz twarze pozostały bez wyrazu. Czy ludzie się cieszyli? Byli rozczarowani?

Postać zniknęła, a po chwili pojawiła się na bieżni. Prezydent! Szedł trochę sztywno, tak samo jak się uśmiechał. Podniósł dłoń w monarszym geście pozdrowienia, po czym znowu zniknął w środku.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki machina ożyła. Szybko postanowiono, że to, co się zdarzyło, wcale się nie zdarzyło. Gonitwy trwały, a panowie w ciemnych garniturach pojedynczo ściągali z trybun turystów. Informowali ich, że mają zabrać swoje aparaty i kamery i pójść do głównego budynku. Tam zmuszono ich, by usunęli wszelkie materiały dokumentujące upadek prezydenta.

Kiedy gonitwy wreszcie się zakończyły, słońce stało w zenicie, a moje wełniane rajstopy były kompletnie przepocone. Prezydent wgramolił się na scenę, by odebrać czek na jedenaście milionów dolarów. Sennym głosem, przytłumionym przez środki przeciwbólowe, wyrecytował długą mowę dziękczynną. Choć nie znałam języka, rozumiałam, że w wyszukanych słowach sławi turkmeńskie konie. Zanim się wycofał, prawdopodobnie żeby odespać odurzenie lekarstwami, stajenny przyprowadził nieszczęsnego zwycięzcę, numer trzeci. Prezydent poklepał go pojednawczo po szyi, a nawet złożył mu całusa na pysku. Fotografowie pstrykali z zapalnym. Publiczność wiwatowała.

Widać w Turkmenistanie koniom uchodzi na sucho więcej niż ludziom.

Opowiadano mi potem, że również dziennikarzom polecono udać się do wyznaczonego pomieszczenia. Tam kazano im, by udostępnili swoje karty pamięci przedstawicielowi ministerstwa prasy. Studentki w długich czerwonych sukniach pilnowały, by nikt nie ukrył żadnej karty. Komuś to się chyba jednak udało, bo następnego dnia na YouTube znalazł się ujawniający tajemnicę filmik.

Dzięki-przezorności-naszego-prezydenta YouTube na całe szczęście jest w Turkmenistanie niedozwolony.

Ostatnia wyprawa

Historia jest jak matrioszka, rosyjska drewniana baba. W jej wnętrzu kryje się kilka mniejszych bab. Niektóre są do siebie podobne jak dwie krople wody, inne – malowane obcymi barwami i w odmienne wzory. Warstwa po warstwie blakną kolory, drewno się rozpada. Czy to też jeszcze jest baba? Skąd się wzięła ta drzazga? Na koniec trafiamy na babę, która nie daje się otworzyć. Postrząsamy nią i słyszymy, że coś głucho grzechocze. Możemy się domyślać, że w środku jest jeszcze kilka bab. Może nie otworzyliśmy nawet połowy, ale dalej się nie posuniemy. Nie tym razem.

Ile warstw uda nam się odsłonić? Musimy się cofnąć przed Turkmenbaszę i jego złote pomniki, minąć Stalina i Związek Radziecki, wnikać jeszcze głębiej – do czasów sprzed rosyjskiej aneksji, zanim wytyczono granice krajów. Jakie ślady przeszłości zachowały się do naszych dni?

Zanim samoloty i statki przejęły transport ludzi i towarów między kontynentami, Azja Środkowa była łącznikiem między Wschodem a Zachodem. Obładowane jedwabiem, papierem, porcelaną, pieprzem i innymi egzotycznymi towarami karawany pokonywały drogę z Indii lub Chin do arystokracji Cesarstwa Rzymskiego właśnie przez Azję Środkową. Nie była to jednak wyłącznie trasa tranzytowa, sam ten obszar stanowił ważny ośrodek cywilizacji z potężnymi władcami, wielkimi uczonymi i dobrze zorganizowanymi miastami. Ludzie na pustyni szybko zaczęli się osiedlać w gęstych skupiskach otoczonych murami obronnymi. W I wieku n.e. ery grecki historyk i geograf Strabon opisywał Azję Środkową jako „kraj tysiący miast”.



Nikt już nie pamięta, dlaczego ta warownia tuż za murami Merwu otrzymała nazwę Kyz-Kala, Twierdzy Dziewcząt.

Ruiny sławnej niegdyś metropolii, Merwu, w dzisiejszym wschodnim Turkmenistanie zajmują tak wielki obszar, że najlepiej poruszać się po nim samochodem. W IV wieku p.n.e. Merw był częścią ziem Aleksandra Wielkiego, ponad tysiąc lat później, w XII wieku, przeżywał okres świetności. I chociaż dziś nie zostało z niego wiele, starożytny Merw uważa się za najlepiej zachowane miasto oazę na Jedwabnym Szlaku. Biura podróży opisują ruiny jako szczyt atrakcji każdej wycieczki do Turkmenistanu, dlatego bardzo się cieszyłam, że zobaczę te wspaniałości. Tymczasem na pierwszy rzut oka Merw okazał się rozczarowaniem. Większość konturów

budowli dała się zaledwie wyobrazić pod grubymi zwałami piasku. Gdzie indziej w oczekiwaniu na rozpoczęcie prac wykopaliskowych ustawiono szpecące rusztowania. Ludzie pustyni nie budowali z myślą o wieczności. Ich najważniejszym budulcem była glina, z której domy stawiało się łatwo i szybko i która dobrze izolowała od gorąca i chłodu. Takie konstrukcje prędko nadgryza żąb czasu. Deszcze i wiatry osłabiają ściany i dachy. Jeśli budynków się regularnie nie konserwuje, zapadają się i łączą z gruntem, na którym stoją.

Murat i ja wspięliśmy się na resztki dawnych murów miejskich, dziś zamienionych w łagodną fałdę terenu. Z jej szczytu rozciągała się jak okiem sięgnąć jasnobrązowa, ubita płasko glina. Nawet tu, w największych i najważniejszych ruinach Turkmenistanu, byliśmy zupełnie sami. Nikt nie wie na pewno, co się kryje pod ziemią w obrębie resztek murów. Może domy albo świątynie, niewykluczone, że całe pałace. Wprawdzie za czasów radzieckich częściowo podejmowano tu prace wykopaliskowe, niemniej te działania są ciągle w fazie początkowej – pozostały jeszcze lata badań wymagających niezwyklej cierpliwości.

Tylko kilka budowli wznosiło się nad kurhanami. Między innymi wysokie, prawie nienaruszone ściany zewnętrzne twierdzy Kyz-Kala uformowane z zastygłej gliny w kształt okrągłych kolumn. Kyz-Kala znaczy „Twierdza Dziewcząt”, lecz nikt nie pamięta, kiedy i dlaczego nadano jej tę nazwę.

– Niektórzy sądzą, że wychowywano tu córki władcy i innych bogaczy – opowiadał Murat. – Warownia leży nieco poza murami miasta, w bezpiecznej odległości od grzesznych pokus metropolii. W sąsiedniej twierdzy, która się rozpadła, przebywali według legendy sami chłopcy. Jeżeli któryś z nich chciał się ożenić z dziewczyną z Kyz-Kala, musiał dorzucić jabłkiem ze swojej twierdzy do jej. Biorąc pod uwagę dystans między tymi warowniami, łatwo pojąć, że zwyczaj ten, jeżeli w ogóle istniał, unieszczęśliwił wielu młodych ludzi – roześmiał się.

Murat był kopalnią anegdot i promieniał, jeżeli miał okazję którąś z nich

opowiedzieć.

– Inna popularna legenda mówi, że kiedyś w Merwie mieszkała księżniczka, którą bardzo kochano za urodę, łagodność i dobroć – ciągnął.
– Pewnego dnia przybył do miasta znany wróżbita i przepowiedział, że księżniczka młodo umrze. Oczywiście władca bardzo się przeraził, usłyszawszy tę wieść. Żeby ochronić córkę przed wszelkimi wyobraźnymi niebezpieczeństwami, które jej mogły grozić, zamknął ją w twierdzy nie do zdobycia poza murami miasta. Księżniczka zachodziła w głowę, co złego mogła uczynić, że zasłużyła na taką karę. Czuła się samotna i była smutna w swojej nowej siedzibie. Władca, żeby ją rozweselić, podesłał jej kosz pięknych, dojrzałych w słońcu winogron. Niestety, pod kiśćmi ukrył się jadowity wąż. Gdy księżniczka sięgnęła po owoce, ukąsił ją i panna zmarła.

Śpiąca Królowna, pomyślałam. Czyżby załączki tej starej baśni narodziły się tutaj na pustyni? Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak powstały legendy o Kyz-Kala, czy mają w sobie ziarno prawdy, czy też są całkowicie zmyślane. Przeszość przemawia do nas metaforami i nie zawsze w języku, który jesteśmy w stanie zrozumieć. Na pewno wiemy tyle:

W drugiej epoce świetności, w XII wieku, gdy sułtanem z dynastii Wielkich Seldżuków był Ahmad Sandżar, Merw należał do największych miast świata, liczył ponad dwieście tysięcy mieszkańców. Pierwszą epokę świetności miasto przeżywało w II wieku p.n.e. pod władzą króla Antiocha I Sotera, syna sogdyjskiej księżniczki Apamy i króla Seleukosa I, jednego z dowódców armii Aleksandra Wielkiego. Niektóre źródła utrzymują, że Aleksander odwiedził to miasto, jednak nie ma podstaw, żeby przyjąć takie założenie. Pewne jest natomiast, że miasto przez krótki czas nosiło nazwę Aleksandria, jak wiele innych w owych czasach, póki Antioch I nie przechrcił go na Antiochię Margiańską. Merw był wówczas stolicą prowincji Margiana.

W ciągu następnych stuleci Merwem rządili królowie i sułtani z różnych dynastii i ośrodków władzy. Z powodu swojego położenia miasto szybko

stało się tygłem kultur. Osiedlali się tu zarówno żydzi, buddyści, jak i nestoriańscy chrześcijanie. Budowali świątynie, wyznawali swobodnie swoje religie, a poza tym żyli w pokoju i atmosferze wzajemnego szacunku z tubylcami – Persami wyznającymi zoroastryzm. Wraz z karawanami wiozącymi z Chin jedwab oraz inne towary przenikały tu nowe impulsy. Rzemieślnicy w Merwie opracowali technologię wytwarzania jedwabiu i w X wieku miasto prześcignęło Chiny – stało się największym eksporterem jedwabiu na Zachód. Większość jego mieszkańców wyznawała w tym czasie islam. Merw szybko został jednym z ważniejszych ośrodków nauki świata muzułmańskiego. Dwanaście miejskich bibliotek i obserwatorium astronomiczne przyciągały studentów oraz uczonych z bliska i daleka.

Dzisiaj ruiny Merwu otacza pustynia. Przypuszczalnie jednak nie zawsze tak było. W pierwszym stuleciu naszej ery rzymski historyk i przyrodnik Pliniusz Starszy opisywał region jako najżyźniejszy w Azji. Wielu geografów sądzi, że Amu-daria, zwana przez Greków Oksusem, w dawnych czasach uchodziła do Morza Kaspijskiego, a nie do Jeziora Aralskiego. Jeżeli to prawda, pustynia Kara-kum mogła przed tysiącem lat być żyzną równiną. Dopiero kiedy Oksus w XIII–XIV wieku ponownie zmienił bieg, być może w wyniku trzęsienia ziemi, Turkmenistan stał się krajem pustynnym.

Niezależnie od tego, któredy płynęły rzeki, wiemy z pewnością, że mieszkańcom Merwu nie brakowało wody. Starannie przemyślana sieć podziemnych rur zaopatrywała miasto w świeżą chłodną wodę z rzeki Murgap. W XII wieku aż dwanaście tysięcy osób było zatrudnionych przy konserwacji tego rozbudowanego systemu wodociągowego. Poza murami miasta postawiono chłodnie o szczególnie grubych murach, by mieszkańcy w upalne dni mogli się rozkoszować orzeźwiającymi sorbetami. Merw było prawdziwą oazą w niejednym tego słowa znaczeniu.

W 1221 roku pod murami miasta stanęła budząca grozę mongolska armia Czyngis-chana. W ciągu kilku dni obróciła miasto w perzynę i wybiła ponad dziewięćdziesiąt procent ludności.

Czyngis-chan to godna uwagi postać historyczna. Data jego urodzenia nie jest pewna, lecz najprawdopodobniej przyszedł na świat w 1167 roku. Był synem Jesügeja, wodza mongolskiego z rodu Kijatów. Jego matkę, Höelün z rodu Ołkunutów, porwano od pierwszego męża i zmuszono, by została drugą żoną Jesügeja. Kiedy Czyngis-chan albo Temudżyn, jak się właściwie nazywał, skończył dziesięć lat, jego ojciec został otruty podczas odwiedzin u wrogiego rodu i zmarł⁶. Obie żony Jesügeja i szóstka jego dzieci zostały wygnane z rodu Kijatów i musiały sobie radzić same. Nie wiemy wiele o wczesnej młodości Temudżyna. Najprawdopodobniej po sprzeczce zabił on swojego starszego przyrodniego brata Bektera. Po zabójstwie zapewne został wzięty do niewoli przez jedno z sąsiednich plemion i musiał nosić ciężkie drewniane obroże wokół nadgarstków i na szyi. Ciosem taką obrozą zabił strażnika i uciekł. Krótco potem ożenił się z Börte, z którą został zaręczony jako dziewięciolatek. Zaraz po ślubie Börte została uprowadzona przez Merkitów, być może z zemsty za porwanie matki Temudżyna wiele lat wcześniej. Temudżynowi udało się zebrać liczącą ponad dziesięć tysięcy armię pasterzy i koczowników, z którą napadł na Merkitów, rozpędził ich na cztery wiatry i uwolnił żonę. W ciągu następnych lat Temudżyn zgromadził wokół siebie jeszcze liczniejsze siły, przyłączyło się do niego wiele okolicznych plemion. Postawił sobie za cel podporządkowanie wszystkich plemion mongolskich – co osiągnął w roku 1206, kiedy nadano mu zaszczytny tytuł Czyngis-chana.

Jako Czyngis-chan wprowadził w społeczności Mongołów liczne zmiany. Między innymi zakazał prawem uprowadzania kobiet i zapewnił swobodę wyznawania wiary wszystkim ludom pod mongolskim panowaniem. Dopasował alfabet ujgurski do języka mongolskiego i stworzył sprawny system przesyłania wiadomości. W placówkach rozsianych po całym imperium czekały wypoczęte konie, na których posłaniec z wiadomością mógł dotrzeć do następnej placówki. Tak została wynaleziona poczta. Wprowadzono także obowiązkową służbę wojskową dla wszystkich

mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Armia była zorganizowana w systemie dziesiętnym: dziesięcioosobowy podstawowy oddział wchodził w skład większego, stuosobowego, następnie liczyły tysiąc i dziesięć tysięcy wojowników. Zamiast bazować na pokrewieństwie, Czyngis-chan pozwolił, by o dowodzeniu poszczególnymi jednostkami decydowały cechy osobiste i zasługi kandydata. Każdy wojownik miał własnego konia, a ponieważ każdy Mongoł, jak się mówi, dorasta na grzbiecie konia, orda mogła wędrować bez odpoczynku przez wiele dni.

Taka armia ludzi potrzebuje zajęcia. Kiedy Czyngis-chan podporządkował sobie wszystkie sąsiednie ludy, włączając w to Tatarów, Tangutów i Ujgurów, zwrócił oczy na południe, ku zamożnym królestwom na terenach dzisiejszych Chin. Po kilkuletnich staraniach zdyscyplinowanej armii mongolskiej udało się podbić także te ludy, chociaż na początku nie miała ona najmniejszego pojęcia o zdobywaniu umocnionych miast. Czasami Mongołowie zmieniali nawet bieg rzeki, aby zmusić ludność za murami do poddania się. Od każdego podbijanego ludu uczyli się czegoś nowego, poprawiali swoją taktykę i technikę. Od Chińczyków nauczyli się między innymi stosowania katapult i prochu.

Za każdym razem, gdy Mongołowie zdobywali nowe miasto, gruntownie je plądrowali. Wkrótce wszystkie kobiety na mongolskich stepach nosiły luksusowe jedwabne szaty. Mężczyźni używali nowoczesnej żelaznej broni, a więźni do niewoli rzemieślnicy zaopatrywali ich w najróżniejsze przedmioty. Problem stanowiło to, że ci rzemieślnicy oprócz jedzenia i ubrania musieli mieć materiały i narzędzia. Mongołowie byli koczownikami i nie wytwarzali niczego wartościowego poza ubraniami i namiotami, w których mieszkali. Ich pożądanie przedmiotów luksusowych wydawało się nie mieć końca. Im stawali się bogatsi, tym liczniejsze miasta i ludy musieli sobie podporządkowywać, aby zachować nietypowy dla koczowników standard życia. Dopiero około 1217 roku, kiedy Czyngis-chan skończył pięćdziesiąt lat, zaczął, jak się wydaje, być syty zdobyczy. Panował

wtedy nad całą Mongolią i dwiema trzecimi dzisiejszych Chin. Mongołowie byli niezmiernie bogaci, do tego nieprzerwanie płynęły do nich podatki ze zwasalizowanych krajów na południu.

W tym czasie w Chorezmie, krainie, która obejmowała dużą część dzisiejszego Afganistanu, Iranu, Uzbekistanu i Turkmenistanu, w tym Merw, panował noszący tytuł chorezmszacha i sułtana 'Ala ad-Din Muhammad II pochodzący z tureckiej dynastii. Czyngis-chan chciał z nim zawrzeć umowę handlową, aby zdobyć dostęp do pięknych szklanych wyrobów islamskich rzemieślników:

„Niczego bardziej nie pragnę niż żyć z tobą w pokoju”, pisał do sułtana. „Potraktuję cię jak własnego syna. Co się tyczy ciebie, wiesz przecież, że podbiłem północne Chiny i zawojowałem wszystkie plemiona Północy. Zdajesz sobie sprawę, że mój kraj jest mrowiskiem wojowników i kopalnią srebra, nie muszę więc się łaszczyć na cudze włości. Dlatego w obopólnym interesie powinniśmy wesprzeć handel między naszymi poddanymi”⁷.

Sułtan zgodził się zawrzeć umowę, a Czyngis-chan jako pierwszy wysłał karawanę z takimi luksusowymi towarami jak skóry białych wielbłądów, chiński jedwab i jadeity. Kiedy karawana dotarła do północno-zachodniej prowincji Otrar w południowej części dzisiejszego Kazachstanu, napadnięto na nią i zrabowano towary. Tylko jeden z czterystu pięćdziesięciu kupców przeżył napad. Nie jest jasne, czy rozkaz obrabowania karawany wydał sam Muhammad II, jak twierdzą niektórzy historycy, czy też na własną rękę zrobił to gubernator prowincji. Tak czy owak, skutek był katastrofalny. Jak zauważył perski historyk Ata Malek al Dżowajni: „[...] atak gubernatora nie tylko zniszczył karawanę, lecz także spustoszył cały świat”.

Czyngis-chan, który zwykle nie tolerował zdrady i łamania obietnic, zadziwiająco spokojnie przyjął to wydarzenie. Wysłał do sułtana

Muhammada II niewielką delegację z prośbą o ukaranie winnych napadu. Zamiast spełnić to uzasadnione żądanie, sułtan kazał zabić większość wysłanników, a pozostałych przy życiu odesłał do Mongolii z oszpeconymi twarzami⁸.

Czyngis-chan poczuł się upokorzony – i wściekły. Zebrał całą swoją armię, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy wojowników, i ruszył na zachód. Mongolscy jeźdźcy zadbali o to, by Otrar został kompletnie unicestwiony, a wiele pozostałych miast Chorezmu spotkał ten sam los. Najeźdźcy plądrowali każde zdobyte miasto i zabierali wszystko, co miało jakąś wartość. Zostawiali za sobą rzeki krwi. W Samarkandzie zabito w przybliżeniu trzy czwarte mieszkańców. Kath⁹, ówczesna stolica Chorezmu, zostało całkowicie zniszczone. Gurgancz¹⁰, Niszapur i Balch spotkał ten sam los.

W 1221 roku przyszła kolej na Merw. Wedle trzeciej legendy, którą o twierdzy Kyz-Kala opowiedział mi Murat, czterdzieści dziewcząt poszukało schronienia w jej murach, kiedy Mongołowie napadli na miasto. Przerażone panny na własne oczy widziały okropieństwa, jakie z rąk Mongołów cierpieli mieszkańcy Merwu, i aby uniknąć tego strasznego losu, wspięły się na dach budowli i skoczyły prosto w objęcia śmierci.

Tołuj, najmłodszy i najbrutalniejszy syn Czyngis-chana, kierował tą kampanią. Kiedy miasto się poddało, Tołuj, jak podaje współczesne mu źródło, zasiadł na złotym tronie i przyglądał się masowym egzekucjom. Mężczyzn, kobiety i dzieci rozdzielono i oddano poszczególnym oddziałom. Poza czterystoma rzemieślnikami wszyscy zostali ścięci. Nie oszczędzono nikogo – ani niemowląt, ani starców.

Czy można sobie wyobrazić tę panikę i krzyki? Odór uryny i ekskrementów, kiedy umierający się wypróżniali? Głuchy stukot dziesiątek tysięcy toczących się głów i strumienie tryskającej miarowo ciepłej krwi, która barwiła piasek ciemną czerwienią?

Kilka dni po masakrze wojownicy wrócili na pobojuwisko i dobili nielicznych ocalałych, którym udało się wczołgać w ruiny własnych domów.

Mongołowie na tym nie poprzestali. Zniszczyli księgarnie, obserwatoria, biblioteki i szkoły. Na zawsze utracono nieocenione skarby. W Merwie i wielu innych miastach oazach zadbali również o zniszczenie systemów irygacyjnych. Do tego wszystkich, którzy znali się na budowie lub konserwacji tych systemów, albo zabito, albo uprowadzono. W ciągu kilku lat zniknęła wiedza gromadzona przez pokolenia.

Po trzech latach duża część Azji Środkowej legła w gruzach. Mongołowie zaś kontynuowali swój pochód dalej na zachód, do Rosji i aż na tereny dzisiejszej Polski, oraz na południe – do kalifatów Środkowego Wschodu. Kiedy w 1227 roku Czyngis-chan zmarł, jego królestwo zostało podzielone między potomków, którzy rządili swoimi dzielnicami do powolnego rozpadu imperium w XIV i XV wieku.

Pod rządami Mongołów, w epoce Pax Mongolica, mimo wszystko kwitł handel. Wprawdzie byli oni brutalnymi zdobywcami, jako władcy jednak okazali się stosunkowo tolerancyjni i w niewielkim stopniu wtrącali się w kulturę i obyczaje podbitych ludów. W całym imperium panowała pełna swoboda religijna, a i wielu Mongołów przechodziło na chrześcijaństwo. Mongolscy koczownicy nie zostawili po sobie własnych budowli, finansowali jednak między innymi świątynie w Chinach i buddyjskie stupy w Persji. Może najważniejszy wkład Mongołów w historię świata polegał na tym, że przyczynili się oni do wymiany idei i wynalazków między Wschodem a Zachodem. Na przykład przenieśli niemieckich górników do Chin, chińskich lekarzy natomiast do Bagdadu. Przez połączenie różnych wynalazków: prochu Chińczyków, miotaczy ognia muzułmanów i europejskiej techniki odlewania dzwonów przyczynili się do skonstruowania pierwszej armaty. Wnuk Czyngis-chana, Kubilaj-chan (Kublaj), który panował we wschodniej części imperium, wprowadził papierowy pieniądz jako uniwersalny środek płatniczy.

Natomiast Azja Środkowa niespecjalnie skorzystała na tym transferze idei i towarów. Miasta środkowoazjatyckie były tak zniszczone, a liczba ich

mieszkańców tak zredukowana, że region potrzebował kilku pokoleń, aby wyjść na prostą. Większość tras handlowych Mongołów prowadziła zatem na południe od tradycyjnych przystanków Jedwabnego Szlaku, który popadł w ruinę.

Merw był zamieszkały jeszcze przez wiele stuleci, lecz nigdy nie odzyskał dawnej potęgi. Nie odbudowano ani bibliotek, ani obserwatorium. Jedyne, co przetrwało do naszych czasów jako wspomnienie epoki świetności Merwu, to mauzoleum sułtana Ahmada Sandżara z 1157 roku. Ściany w tej eleganckiej kwadratowej budowli są tak grube, że wytrzymały nie tylko najazdy Mongołów, lecz także wieki aktywności sejsmicznej. Najbardziej imponująca jest kopuła. Budowniczości rozumieli, że tak wielka kopuła, jaką zamierzali stworzyć, prawdopodobnie zawali się przy pierwszym trzęsieniu ziemi, jeśli nie wcześniej. Rozwiązali więc problem, budując dwie – wewnętrzną i zewnętrzną. Tworząc plany katedry we Florencji, którą postawiono w 1436 roku, Filippo Brunelleschi zastosował podczas projektowania kopuły dokładnie tę samą zasadę, którą wykorzystali architekci w Merwie prawie trzysta lat wcześniej. Zaprojektował mianowicie dwie – wewnętrzną i zewnętrzną.

Przed mongolską apokalipsą mauzoleum otaczały pałace, meczety i biblioteki. Dziś wznosi się ono samotnie na równinie, otoczone pasącymi się wielbłędami.

* * *

Po rozpadzie Związku Radzieckiego Merw stał się na nowo ekonomicznym sercem Turkmenistanu. Miasto zmartwychwstało we współczesnej szacie kilka kilometrów od ruin i pod nową nazwą – Stalin przechrzcił je na Mary i tak się nazywa do dzisiaj. Mary jest drugim co do wielkości miastem Turkmenistanu i jego gazową stolicą. Pod powierzchnią pustyni, która otacza centrum, kryją się wielkie zasoby gazu ziemnego. Mary nie jest tak

imponujące jak Aszchabad, lecz buduje się tam wszędzie. Gotowe jest nowe muzeum regionalne, wspaniały gmach z białego marmuru z osobnym działem poświęconym triumfom Nowego Prezydenta w polityce i sporcie.

Kilkadziesiąt kilometrów na północ od Mary leżą pozostałości innej, jeszcze starszej niż Merw cywilizacji – ruiny miasta epoki brązu, Gonur Depe.

Zaniedbana radziecka szosa prowadziła do niewielkiego parkingu. Dalej drogi nie było. Przed nami rozciągały się kilometry pustyni. Sprzedawca biletów zakończył na dziś pracę, ale żadnych szlabanów tu nie ustawiono. Można było, ot tak, wejść prosto w ruiny z epoki brązu.

Naszym oczom ukazał się labirynt suchych glinianych ścian. Mogliśmy odróżnić domy i domki oraz wąskie uliczki, które pewnie biegły między nimi. Wyćwiczone oko potrafiło jeszcze dostrzec kontury trzech linii murów obronnych otaczających miasto.

– Gonur Depe zostało odkryte w latach siedemdziesiątych przez radzieckiego archeologa greckiego pochodzenia, Wiktora Sarianidiego – mówił Murat. – Zauważył on, że ziemia tutaj jest pozbawiona roślinności i tworzy niewielkie pagórki. To typowa oznaka, że pod spodem kryją się ruiny. Kiedy zaczęli kopać, odkryli, że jakieś cztery tysiące lat temu musiało się tu znajdować duże, dobrze zorganizowane miasto. Ludzie tu mieszkający skonstruowali skomplikowany system irygacyjny, mieli nawet oczyszczalnię wody. Znaleziono świątynie poświęcone kultowi ognia są najstarsze na świecie. Odkryto też ślady efedryny, którą, jak wiadomo, kapłani zoroastryjscy wykorzystywali później w świętym napoju. Sarianidi uważa to za dowód, że sam Zoroaster, twórca zoroastryzmu, pochodził z Gonur Depe.

W głębi labiryntu natknęliśmy się na duże, otwarte pomieszczenie osłonięte grubymi ścianami. W rogu krótszej ściany znajdowało się podwyższenie akurat takiej wielkości, by dało się na nim usiąść. Czy była to sala tronowa? Czy tu siedział władca i otoczony strażą udzielał audiencji?

– Gonur Depe to tylko jedno z wielu siedlisk z epoki brązu odkrytych przez Sarianidiego tu w okolicy – ciągnął Murat. – Dawniej myślano, że w starym

świecie istniały tylko trzy wielkie cywilizacje epoki brązu, w Indiach, w Mezopotamii i w Egipcie. Po znaleziskach Sarianidiego trzeba było dołożyć czwartą, cywilizację Oksus¹¹. Żaden pojedynczy człowiek nie zrobił więcej dla odkrycia przeszłości Turkmenistanu niż profesor Sarianidi. Dla przeszłości Afganistanu zresztą też – dodał. – To właśnie on odkrył ten sławny scytyjski grób w północnym Afganistanie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. W grobie znajdowały się szczątki pięciu kobiet i mężczyzny oraz dwadzieścia dwa tysiące złotych przedmiotów!

Im bardziej człowiek cofa się w czasie, tym więcej musi zgadywać. Ponieważ ludzie w Gonur Depe nie znali pisma, archeologom pozostaje interpretacja tych nielicznych materialnych śladów, które po nich zostały – zapadniętych glinianych domostw, nasion, figurek, jednej czy drugiej monety, kości.

Kilkaset metrów na zachód od murów miejskich w latach dziewięćdziesiątych odkryto rozległe cmentarzysko z ponad trzema tysiącami szkieletów. Żaden z nich nie ma widocznych uszkodzeń wynikłych z walki. Życie w Gonur Depe musiało więc być nadzwyczaj pokojowe, mimo to miasto zostało porzucone po zaledwie kilku stuleciach. W krótkim czasie wszyscy mieszkańcy się zebrali i w pośpiechu opuścili miasto. Dlaczego tak nagle? Dopadła ich jakaś choroba? Kataklyzm? Skończyła się woda? Wyrąbali za dużo lasu i gleba uległa erozji? Dokąd pociągnęli? Archeolodzy mogą się znowu tylko domyślać.

Jedno z bardziej tajemniczych znalezisk profesora Sarianidiego chroni przed deszczem i słońcem blaszany daszek. W grobie złożonym z jednej dużej i trzech małych komór znalazł szkielety osła i trzech jagniąt. W grobie osła był tylko szkielet, lecz u jagniąt leżały także resztki jedzenia i ceramiczne naczynka. Jedno jagnię miało na łebku koronę. Czy był to fragment grobu jakiejś ważnej i potężnej osoby? W takim razie dziwne jest, że w pobliżu nie znaleziono grobów ludzkich. Czy zwierzęta zostały złożone w ofierze bogom – może w zastępstwie ludzi? A może oddawano tu

zwierzętom cześć należną bogom?

Po powrocie na parking zauważyliśmy zapalone światło w prymitywnym domku naprzeciwko kasy biletowej. Podeszliśmy tam i zajrzeliśmy przez otwarte drzwi. Urządzony ascetycznie pokój mieścił składane łóżko, stół i dwa krzesła. Na jednym z nich siedział niski, pulchny staruszek z rozczochranymi siwymi włosami, gęstą brodą i nosem utkwionym w grubym tomiszczu. Nie usłyszał, że weszliśmy.

– Dzień dobry – Murat powitał go po rosyjsku z nabożeństwem w głosie. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, panie profesorze?

Starzec odłożył książkę i podniósł wzrok. Uświadomiłam sobie, że natknęliśmy się na profesora Sarianidiego we własnej osobie.

– Witajcie! – zahuczał profesor. – Jesteście archeologami?

Oboje z Muratem potrząsnęliśmy głowami.

– Szkoda, bo dużo tu roboty!

Podniósł się ciężko i wsparł na kuli. Wziął ze stołu glinianą figurkę człowieka i monetę.

– Lud, który tu kiedyś mieszkał, pochodził prawdopodobnie z Syrii. Natomiast takie figurki wskazują, że musieli mieć kontakt z Indiami. W Indiach zaś znaleziono przedmioty pochodzące stąd. Może kiedy przed z górą trzema tysiącami lat skończyła się tu woda, niektórzy z tych, co tu mieszkali, powędrowali do Indii? Jeżeli to właśnie zaszło. Brak wody, tak przypuszczamy. Inni musieli pociągnąć do Merwu. Prawdopodobnie Merw został założony przez ludzi z Gonur Depe.

Mówił powoli, chropawym, huczącym basem. Ręka na kuli drżała. Twarz miał szarą, prawie sinawą.

– Ilu mieszkańców tu żyło? – spytałam.

– Nie sposób powiedzieć. Absolutnie! Wracam tu co roku od czterdziestu lat i w dalszym ciągu jest nieskończenie wiele do odkrycia. Załedwie rozpoczęliśmy.

– Właśnie byliśmy na stanowisku i widzieliśmy zwierzęcy grób – rzuciłam.

– Może dowiedzieliście się o nim czegoś więcej?

– Chyba muszę panią znowu rozczarować – odparł profesor. – To dla nas wciąż zagadka, po prostu tajemnica. Może się nigdy nie dowiemy, dlaczego w ten sposób składali do grobu zwierzęta i dlaczego jedno z jagniąt było w koronie. Nieskończenie wiele jeszcze trzeba odkryć w tej części świata. Nieskończenie wiele.



Profesor Wiktor Sarianidi podczas swojej ostatniej pustynnej ekspedycji,
kwiecień 2013 roku.

Zamilkł, a jego wzrok stał się nieobecny. Być może profesor myślami cofnął się do minionych stuleci. Pożegnaliśmy się z szacunkiem i poszliśmy

rozbić namioty obok parkingu. Moja ostatnia noc na pustyni. Kiedy następnego dnia o świcie ruszaliśmy w drogę przy wtórze głośnego świergotu ptaków w koronach drzew, Sarianidi od dawna urzędował w nowych wykopach w mieście z epoki brązu.

Ta wiosenna ekspedycja była jego ostatnią. Kilka miesięcy po naszym spotkaniu, 22 grudnia 2013 roku, profesor Wiktor Sarianidi zmarł w Moskwie w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Era szczytowego szczęścia

Morze Kaspijskie kąpało się w pomarańczowym świetle, gdy koła maszyny Turkmenistan Airlines dotknęły ziemi. Lekko zmarszczona powierzchnia wody lśniła jak złoto. Portret Gurbanguly'ego Berdimuhamedowa drżał za szkłem na przodzie samolotu, gdy podskakiwaliśmy w stronę terminalu. Nawet w powietrzu Arkadag, Protektor, był z nami, być może po to, by przypominać, komu jesteśmy winni wdzięczność za nadzwyczaj tanie bilety lotnicze. Przeloty krajowe w Turkmenistanie są chyba najtańsze na świecie. Bilet dokądkolwiek w obrębie kraju kosztuje najwyżej równowartość kilkuset koron norweskich.

Kiedy zobaczyłam refleksy świetlne w wodach Morza Kaspijskiego, nie miałam trudności z odgadnięciem, dlaczego Rosjanie nazwali miasto Krasnowodzkim, co znaczy „czerwona woda”. Cytadela, którą tu zbudowali w 1869 roku, była używana jako baza podczas wypraw na Chiwę i dzikie plemiona turkmeńskie. Nawet dziś miasto jest najmniej „turkmeńskie” w kraju, a na jego mieszkańców składają się głównie Rosjanie z północy i Ormianie z Azerami z drugiego brzegu Morza Kaspijskiego.

W 1993 roku, dwa lata po uzyskaniu niepodległości, miasto zyskało nową nazwę: Turkmenbaszy. Jakby prezydent chciał podkreślić wobec nieturkmeńskiej ludności, kto tu rządzi. Na razie Berdimuhamedow pozwolił miastu zachować nazwę po poprzedniku.

Szybkonogi dwunasto-, trzynastolatek wybiegł mi na spotkanie przed imponującym marmurowym frontonem lotniska i przedstawił się jako mój kierowca. Ruszyłam za nim truchtem do starego, zniszczonego mercedesa. Na szczęście za kierownicą siedział ojciec chłopaka.

Podczas jazdy przez centrum, otoczone brązowymi niskimi górami, ojciec i syn nabożnie milczeli. Bloki mieszkalne, malowane na pastelowe kolory i przeładowane antenami satelitarnymi, pochodziły z czasów radzieckich. Młode kobiety na chodnikach paradowały na wysokich obcasach

i w krótkich, wąskich spódniczkach.

Kiedy wyjechaliśmy ze śródmieścia, ojciec z synem z miejsca odzyskali głos. Gadali i gadali, głównie o tym, jak dużo pracują, że nie mają czasu na urlop, a latem nigdy nie mają czasu się kąpać w morzu, chociaż mieszkają tuż przy plaży, bo pracują na okrągło, bez przerwy i cały czas, i bardzo ciężko. Bez pauzy albo naturalnego nawiązania syn zaczął opowiadać, jak dobrze jest żyć w Turkmenistanie:

– Wszystko za darmo – przechwalał się. – Sól jest za darmo, prąd jest za darmo, gaz i woda są za darmo, nawet benzyna jest prawie za darmo, dzięki-naszemu-prezydentowi.

– No to po co tak ciężko pracujecie, skoro wszystko jest za darmo?

– Pensje są niskie – wyjaśnił chłopiec. – Zarabiamy trzysta dolarów miesięcznie maks, z tego siedemdziesiąt pięć procent idzie na jedzenie. Skoro tak mało zarabiamy, robimy wszystkie zakupy na kredyt, tak duże, na przykład samochody, jak małe, na przykład mleko czy chleb. Kiedy dostajemy pensję, spłacamy pożyczkę i bierzemy nową.

Gdy wjechaliśmy na półwysep, gdzie miałam spędzić ostatnią noc w Turkmenistanie, poradziecka wyboista szosa zamieniła się w nowoczesną luksusową arterię. Mieliśmy dla siebie siedem czy osiem pasów. *Welcome to Awaza International Tourism Zone!* – głosił napis na olbrzymiej tablicy. Na horyzoncie wznosiło się kilka tuzinów smukłych wieżowców. Grzbiety fal na śródlądowym morzu zaróżowiły się w zachodzącym słońcu.

Przez chwilę czułam się, jakbym trafiła do Dubaju. Ale tylko przez chwilę.

Nic nie wydaje się równie opuszczone i puste, jak miejscowość urlopowa poza sezonem. Żeby się dostać do holu hotelu Nafciarz, musiałam wejść bocznymi drzwiami. Frontowe, obrotowe, po sezonie były zamknięte. Hol z dekoracjami z marmuru i pełen złocień. Zaspany recepcjonista dał mi klucz do pokoju. Byłam jedynym gościem.

– Macie tu internet? – spytałam z nadzieją, pamiętając o obiecujących

pięciu gwiazdkach na fasadzie.

– Nie, takie nowinki techniczne mają tylko w Aszchabadzie – odrzekł recepcjonista, tłumiąc ziewanie.

Poza pojedynczym strażnikiem, który przechadzał się dumnie w ogrodzie przed hotelem, wędrując między olbrzymimi hotelowymi budynkami, nie napotkałam żywej duszy. Wszystko było świetnie utrzymane i piękne, fasady lśniły, trawę przystrzyżono z wojskową precyzją. Luksusowa, ośmiopasmowa arteria też była pusta, wyjąwszy jeden czy drugi krążący radiowóz.

Nad wodą na pomoście zgarbiona staruszka o siwych, potarganych włosach łowiła ryby. U jej stóp miotały się na niewielkiej kupce drobne sztuki.

Pozdrowiłam ją. Nie odpowiedziała ani nie podniosła wzroku.

– Ryby biorą? – spytałam, półkrzycząc.

Staruszka szybko omiotła mnie spojrzeniem i burknęła coś, co mogło oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”. Jej źrenice były równie matowe jak ryby, które wyciągała z wody. Zeszłam dalej, aż do niewielkiej hotelowej plaży długości zaledwie kilku metrów, pełnej ostrych kamieni. Powierzchnię wody pokrywała cieniutka warstwa ropy. Na lewo miałam widok na port, jeden z większych w regionie, i na rafinerię.

Ośrodek wypoczynkowy Awaza jest prestiżowym projektem Gurbanguly’ego Berdimuhamedowa. Właściwie pomysł wykuł się w głowie Turkmenbaszy, o tym jednak wszyscy zdali się zapomnieć. Już w roku 2007, rok po śmierci Turkmenbaszy, Berdimuhamedow wprowadził w życie szeroko zakrojone plany poprzednika. Wiele setek letnich domków i ogródków działkowych położonych na półwyspie z dala od centrum miasta zostało szybko i bez sentymentów wymazane z map, aby francuscy inżynierowie z Bouyguesa mogli się wziąć do roboty. Już strzela ku niebu ponad trzydzieści hoteli – drapaczy chmur, każdy na pozór niepowtarzalny, jednak wewnątrz nie do odróżnienia od pozostałych. Ośrodek budowany jest w przeświadczeniu, że goście napłyną, kiedy pojawią się udogodnienia.

Jeżeli wierzyć podejrzeniu pozytywnemu artykułowi w Wikipedii, strategia przyniosła rezultaty: *Tourists are attracted by excellent infrastructure. Near the city of Turkmenbashi situated a modern international airport, it is considered one of the best in Turkmenistan. The roads in the resort are perfect, and from year to year, the situation is only getting better*¹².

Na razie jednak goście święcą nieobecnością, a większość hoteli stoi pustych również w szczycie sezonu. Mało którego Turkmena stać na zapłacenie równowartości stu koron norweskich za noc w pokoju hotelowym, chociaż według naszej miary jest to tanio. Ci nieliczni, którzy rzeczywiście mają na to środki, wolą spędzać lato na jednej z rozległych piaszczystych plaż Turcji.

By uczynić Awazę bardziej atrakcyjną dla obcokrajowców, władze planują – wedle modelu dubajskiego – zbudowanie dwóch sztucznych wysp oraz stworzenie tam dla niektórych narodowości strefy bezwizowej. Co takiego nieodparcie urzekającego jest jednak w przebywaniu w zamkniętym, asfaltowo-marmurowym „resorcie” z radziecką obsługą, byle jakim jedzeniem i brakiem internetu?

Władze turkmeńskie do tej pory zainwestowały w projekt ponad półtora miliarda dolarów. Zgodnie z planem mają wybudować kolejne trzydzieści hoteli.

Ponieważ po sezonie wszystkie restauracje zamknięto, wróciłam do hotelu Nafciarz. Jadalnia była udekorowana jak na wesele. Jadłospis miał grubość książki telefonicznej. Głodna przeglądałam go strona po stronie. Kucharz nęcił dwudziestoma różnymi daniami z ryb i jeszcze większą liczbą dań mięsnych.

- Poproszę białogę z sosem kawiorowym i z białym winem – wybrałam.
- Nie mamy białogi – stwierdziła z przekorą w głosie kelnerka.
- W takim razie wezmę pieczonego łososa w sojowym krótkim sosie.
- Niestety, nie mamy łososa – szepnęła kelnerka.

– A co w takim razie macie?

Kelnerka z namysłem kartkowała jadłospis od przodu i tyłu. Na koniec wskazała palcem danie rybne na końcu listy.

– W takim razie poproszę to i kieliszek białego wina. Dziś jest ostatni dzień mojego pobytu w Turkmenistanie.

– Nie mamy wina. Musi pani iść do baru.

– To butelkę wody mineralnej, gazowanej.

– Mamy tylko niegazowaną.

– Niech będzie niegazowana.

Kartkowałam bez celu opasły jadłospis, sama nie wiedząc, czego szukam. Zestaw deserów był olbrzymi, podobnie lista win.

– Macie może lód w kostkach?

Brak odpowiedzi. Kiedy podniosłam wzrok, okazało się, że w sali jestem kompletnie sama.

Po umyciu zębów stanęłam przed panoramicznym oknem z widokiem na uderzające o brzeg fale skąpane w światłach reflektorów. Minęły trzy tygodnie w Absurdystanie. Byłam wymęczona po czubki palców u stóp. Przez trzy tygodnie wypełniałam Program punkt po punkcie do ostatniej kropki, jeździłam to tu, to tam, wielokrotnie przecinałam pustynię, zasypiałam przy wtórze pochrząkiwania wielbłądów, latałam samolotami we wszystkie strony, zjadłam wiele niedobrych hotelowych śniadań i opiałam się po dziurki w nosie skwaśniałego wielbłądziego mleka.

Z zaledwie pięcioma milionami mieszkańców i czwartymi co do wielkości zasobami gazu na świecie Turkmenistan powinien właściwie mieć wszelkie warunki po temu, by mu się udało. Do tej pory udało się głównie z wielkimi słowami. Turkmenbasza wprowadził kraj najpierw w Erę Wielkiej Odbudowy, a potem w Złoty Wiek. Berdimuhamedow czy też Protektor, jak go się teraz nazywa, pchnął kraj w Erę Wielkiego Odrodzenia. Według władz wkrótce zostanie osiągnięty najwyższy cel. W 2012 roku media państwowe – innych mediów, jak wiadomo, nie ma – ogłosiły, że Turkmenistan wchodzi

w Erę Szczytowego Szczęścia.

Dużo wyżej chyba nie da się zejść.

Na pograniczu

Kierowca, który miał mnie podwieźć z Turkmenbaszy do mało uczęszczanego przejścia granicznego z Kazachstanem, zwierzył się, że planuje emigrację.

– Żona i dzieci już tam są. Dołączę do nich, jak tylko będę miał wszystkie papiery.

– Gdzie są?

– No, w Kazachstanie.

Stan drogi był tak zły, że najlepiej jechało się koleinami wyłobionymi w piasku przez inne pojazdy. Mijaliśmy zlikwidowane miasta przemysłowe i opuszczone kyszłaki pełne domów widm z powybijanymi szybami i odpadającym tynkiem. Prawie wszyscy Kazachowie mieszkający w czasach radzieckich w Turkmenii przeprowadzili się na drugą stronę granicy, do Kazachstanu. Ponad połowa Rosjan wróciła do Rosji. Zostali niemal wyłącznie Turkmeni.

Podróż samochodem trwała blisko cztery godziny. Od czasu do czasu mijaliśmy jakiś irański lub turecki TIR. Poza tym pustynię mieliśmy dla siebie. Kierowca z nudów kazał mi zgadywać, ile ma lat. Chciałam być miła i dałam mu czterdzieści pięć.

– Trzydzieści trzy – poprawił kwaśno.

Ogarnęła mnie paranoja z pierwszych dni pobytu w Aszchabadzie. A jeżeli odkryli, że skłamałam we wniosku wizowym? Co będzie, jeżeli mnie zatrzymają na granicy i zamkną w jednym z podejrzanych turkmeńskich więzień? Najbliższa ambasada norweska znajdowała się w odległości wielu setek kilometrów. Od jedyne go przedstawiciela Norwegii w biurze Statoilu w Aszchabadzie raczej nie mogłam oczekiwać pomocy.

Wreszcie z pyłu wystrzeliła lśniąca złota kopuła – granica turkmeńsko-kazachska. Teoretycznie każdego dnia ten kierowca mógłby zawieźć mnie do najbliższego kazachskiego miasta, jednak z powodów,

których nikt nie mógł albo nie chciał mi podać, dziś było to niemożliwe. Pożegnałam się więc z kierowcą biura podróży i z ociąganiem weszłam do budynku. Jakiś żołnierz wskazał palcem plik formularzy. Zanim zdążyłam sięgnąć po jeden z nich, do pomieszczenia dosłownie wpadł kierowca, wyrwał mi z ręki paszport i w dzikim tempie wypełnił druczek. Po czym pognął do samochodu, tak że nie zdołałam mu nawet podziękować.

Po raz pierwszy w tej podróży pozostawiono mnie samej sobie.

Podreptałam do pierwszego stanowiska i oddałam formularz i paszport. Żołnierz popatrzył sceptycznie na turkmeński druczek.

– Sama to pani wypełniała?

– Nie – odpowiedziałam, nie mając przecież pojęcia, co zakreślał kierowca.

– Ten druk musi pani wypełnić sama – pouczył mnie żołnierz. – Mamy wersję rosyjską i angielską.

Po czym wymaszerował z moim paszportem i wypełnionym przez kierowcę formularzem. Kazano mi wejść do następnego pomieszczenia – do kontroli celnej. Zastępy żołnierzy, celników i strażników obsiadły różne stanowiska i bawiły się swoimi komórkami. Ponieważ najwidoczniej byłam jedyną osobą, która tego popołudnia miała przekroczyć granicę, na mnie skupiła się cała ich uwaga. Walizka została otwarta, a jej zawartość gruntownie sprawdzona – stanik po staniku, skarpetka po skarpetce. Jeden z żołnierzy zaczął przeglądać zdjęcia w moim aparacie. Inny zajął się telefonem. Trzeci sprawdził iPada.

– Dlaczego przyjechała pani do Turkmenistanu? – spytał jeden z żołnierzy.

– Jako turystka – odpowiedziałam.

– Gdzie pani pracuje?

– Uniwersytet w Oslo, jestem studentką.

Nie było to całkiem prawdą, ale też nie całkiem nieprawdą.

– Co pani studiuje?

– Języki.

– Na którym roku pani jest?

– Na trzecim – skłamałam.

– Po co pani, u licha, brała ze sobą kurs kazachskiego? – zawołał żołnierz przekopujący moją walizkę. – Na co pani potrzebny kazachski?

– Nie znalazłam kursu turkmeńskiego – broniłam się.

– Ale dlaczego chce się pani uczyć kazachskiego?

Kiedy już żołnierze przejrżeli wszystkie zdjęcia, z biura wyszedł starszy mężczyzna w niebieskim mundurze. Powiedział coś po turkmeńsku i zniknął w biurze z moją komórką i aparatem. Inny mężczyzna w niebieskim mundurze zaczął mnie wypytywać:

– Dlaczego przyjechała pani do Turkmenistanu?

– Żeby zobaczyć kraj. Jestem turystką.

– Gdzie pani pracuje?

– Uniwersytet w Oslo, jestem studentką.

– Co pani studiuje?

– Języki.

– Na którym roku pani jest?

– Na trzecim.

– Ile kosztuje kilogram mięsa w Norwegii?

– Słucham?

– Ile kosztuje kilogram mięsa w pani kraju? Tutaj mięso jest bardzo drogie. Wymyśliłam jakąś cenę. Pogranicznik się ożywił:

– A mleko? Chleb? Papierosy?

– Wszystko jest bardzo, bardzo drogie – odpowiedziałam z powagą.

Wielu żołnierzy zebrało się teraz wokół nas. Bombardowali mnie pytaniami. A benzyna? Mieszkanie? Samochód? Dom? Kilo masła? Jajka? Cukier? Sól? Prąd?

Wreszcie wrócił starszy mężczyzna w niebieskim. Uroczyście wręczył mi aparat i telefon.

– Wszystko w najlepszym porządku – pochwalił.

Innymi słowy, nie znalazł kompromitujących zdjęć prezydenta leżącego

bezwładnie na torze wyścigowym.

Jeszcze jedna pieczętka i znalazłam się w chłodzie wieczornego powietrza. W oddali, między zasiekami z drutu kolczastego, dostrzegłam budynek kazachskiej straży granicznej.

Żołnierz po raz ostatni sprawdził mój paszport i poszłam.

– Czekasz na panią kierowca po tamtej stronie? – zawołał za mną któryś z żołnierzy.

– Nie, dalej podróżuję na własną rękę – odkrzyknęłam.

Podmuch wiatru rozwiały mi włosy. Poczułam się wolna.

– Do najbliższego miasta ma pani trzy godziny drogi – ostrzegł żołnierz.

– Wiem. Wezmę taksówkę.

Roześmiał się.

– Po tamtej stronie nie ma taksówek. Tam *niczego* nie ma!

Kazachstan

Powierzchnia 2 724 900 km²

Ludność 17 948 816 (szacunkowo w 2014 roku)

Stolica Astana

Prezydent Nursułtan Nazarbajew (od 1991 roku)



Oaza sushi i bankomatów

Pas ziemi niczyjej między Turkmenistanem a Kazachstanem był szerszy, niż na to wyglądał. Na jasnoblękitnym niebie świeciło słońce, niemniej powietrze na pustyni miało w sobie tchnienie zimy. Za zasiekami z drutu kolczastego rozciągała się we wszystkie strony brązowa, uboga ziemia. Nie było tu żadnych zabudowań ani ludzi poza tymi na przejściach granicznych. Tylko wilki, żółwie i niezliczone kilometry źle utrzymanych poradzieckich szos.

W połowie drogi dogonił mnie TIR. Tak więc mimo wszystko nie byłam jedyną osobą, która miała tego dnia przekroczyć granicę. Kierowca zatrzymał się i zaproponował mi podwiezienie. Kiedy tylko wspięłam się do szoferki i zamknęłam za sobą drzwi, zaczął narzekać:

– Niech mnie diabli, oni są nienormalni! – wysyczał po rosyjsku, machając grubym plikiem papierów.

Był Kazachem i każdego miesiąca wielokrotnie przejeżdżał przez granicę.

– Za każdziutkim razem tak się zachowują, ciągną to całymi godzinami. Przedtem, kiedy jeszcze byliśmy częścią Związku Radzieckiego, nikt nie myślał o różnicach między Kazachstanem a Turkmenistanem, nikt cię nie zatrzymywał, mogłeś po prostu jechać. Teraz będą ci sprawdzać każdy najmniejszy papierek!

W czasach radzieckich obywatele, w każdym razie co do zasady, mogli podróżować swobodnie w granicach całego wielkiego imperium, od Tallina na zachodzie po Władywostok na wschodzie. Razem z suwerennością w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się przejścia graniczne. Gdy Europa w tym samym okresie poszła w przeciwnym kierunku – zniesiono paszporty i otwarto granice – w Azji Środkowej postawiono w ciągu kilku ostatnich dekad setki nowych stanic straży granicznej. Wiele dziesiątek tysięcy żołnierzy, oficerów i celników jest obecnie zatrudnionych do pilnowania granic, które wyznaczono za Stalina w latach dwudziestych i trzydziestych.

Ludzie, którzy dawniej przekraczali te niewidzialne linie, nie poświęcając im jednej myśli, muszą teraz nastawić się na szczegółowe przesłuchania, wypełnianie obszernych formularzy i dokładne sprawdzanie bagażu, zanim, jeżeli będą mieli szczęście, otrzymają pozwolenie na przemknięcie między zaporami z drutu kolczastego.

Na całe szczęście łatwiej było dostać się do Kazachstanu niż wydostać z Turkmenistanu. Kazachska kontrola paszportowa była miła i efektywna, w ciągu kilku minut załatwiono całą papierkową robotę i wstemplowano zgodnie z przepisami wizę.

– Są tu gdzieś taksówki? – spytałam z nadzieją.

– Taksówki? Tutaj? – Młody pogranicznik spojrział na mnie wielkimi oczami. – Ma pani pojęcie, jak stąd daleko do najbliższego miasta?

– Niestety, tak.

Chłopak zdjął czapkę i podrapał się po głowie.

– Stoi tu kilka ciężarówek – powiedział. – Może jedna z nich panią kawałek podwiezie? Niech pani chwilę poczeka, zaraz się dowiem.

Wybiegł z prymitywnego biura. Zostałam sama, z paszportem w dłoni, z wizą, lecz tymczasowo utknęłam w bloczkach startowych. Na szczęście młody człowiek szybko wrócił.

– Damiar, który tu pracuje, też jedzie do Aktau. Może się pani z nim zabrać. Najpierw jednak zapraszamy na posiłek.

Pogranicznicy stołowali się w piwnicy. Obsługiwały nas dwie macierzyńsko ciepłe starsze kobiety w koronkowych fartuchach i białych chustkach na głowie. Tuzin mężczyzn z wielką przyjemnością wchłaniał słoną zupę na mięsie. Herbata lała się strumieniami.

– Macie w Norwegii króla? – spytał najstarszy z pograniczników.

Kiwnęłam głową.

– Więc to on rządzi?

Wyjaśniłam, że król nie jest od rządu, tym zajmują się politycy.

– O czymś jednak musi chyba decydować – zastrzegł siwy mężczyzna. –

Jaki byłby inaczej sens bycia królem?

– Jest ważnym symbolem – powiedziałam. – Ludzie go bardzo lubią.

Siwy potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc. Wydawało się, że żal mu króla. Mój sąsiad przy stole, krótkowzroczny pięćdziesięciolatek, pochylił się ku mnie konspiracyjnie.

– Dużo Murzynów macie w Norwegii?

Aż drżał, wymawiając słowo na „M”.

– Nie tak wielu – uspokoiliam.

– To dobrze. – Kiwnął głową z aprobatą.

– Ale mamy na przykład trochę Pakistańczyków – powiedziałam.

– Oj, Pakistańczycy nie są dobrzy – odparł, wykrzywiając się. – Chińczycy zresztą też nie – dodał pod nosem.

Przez dłuższą chwilę słyhać było tylko siorbanie zupy z tuzina łyżek. Pokonałam zaledwie kilkaset metrów, a wszystko się zmieniło. Twarze wokół mnie różniły się od europejskich rysów Turkmenów, miały więcej cech mongolskich, mniejsze oczy, większe, bardziej zaokrąglone policzki. Ton rozmowy był bardziej rubaszny, swobodniejszy. Nawet zupa smakowała inaczej.

Natomiast zielona herbata była taka sama. I drogi. Pierwsze godziny spędzone na kazachskich drogach do złudzenia przypominały ostatnie na turkmeńskich. Jechałam przecież tą samą szosą, zbudowaną przez radzieckich inżynierów na długo przed pojawieniem się posterunków granicznych. Widocznie ani Turkmenistan, ani Kazachstan nie traktowały pogranicza jako obszaru priorytetowego, bo przez pierwsze kilometry musieliśmy kluczyć po asfalcie pełnym dziur. W zamian za to mieliśmy całą szosę dla siebie. Po obu jej stronach rozciągała się płaska, bezbarwna pustynia.

– Tego wilka – Damiar pokazał gruby ogon huśtający się przy lusterku wstecznym – zabiłem wczoraj.

– Zastrzelił pan?

– Nie, przejechałem! Próbował zwiewać, ale go w końcu dopadłem. Jak wrócę do domu i pokażę ten ogon sąsiadom, dostanę od nich prezent albo pieniądze. Każdy, kto zabije wilka, dostaje sporą nagrodę. Za dużo ich tutaj mamy, to prawdziwa plaga.

Damiar przeszedł następnie gładko do utyskiwania na kazachskiego prezydenta. Ci nieliczni, którzy odważyli się wypowiadać krytycznie o prezydencie po turkmeńskiej stronie granicy, mówili ściszym głosem bez względu na to, jak daleko od innych ludzi się znajdowali. Damiar zaś walił prosto z mostu, co myśli, nawet niepytany.

– Za długo rządzi, od samego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku! – krzyknął. – Nazarabajew boi się dopuścić do władzy młodsze siły, w tym problem. Nie chce mi się nawet iść na wybory, bo to wszystko oszustwo. Cały system jest kompletnie skorumpowany. My, zwykli ludzie, zarabiamy za mało; tylko trzysta, czterysta dolarów na miesiąc. Za to się przecież nie da wyżyć.

– A zdarza się, że pan przyjmuje drobne prezenty od ludzi, którzy przekraczają granicę?

– Oczywiście, że nie! – Uśmiecha się szeroko. – Za kogo mnie pani uważa?

Według corocznego rankingu Transparency International Kazachstan jest najmniej skorumpowany spośród poradzieckich państw Azji Środkowej, lecz to właściwie więcej mówi o krajach sąsiednich niż o samym Kazachstanie, który zresztą plasuje się na samym dole listy, na sto czterdziestym miejscu spośród stu siedemdziesięciu siedmiu krajów, trzynaście miejsc za Rosją. Kazachstan, podobnie jak Turkmenistan, dysponuje pokaźnymi zasobami gazu i ma zdecydowanie najbardziej rozwiniętą gospodarkę w Azji Środkowej. Długo także uchodził za najbardziej demokratyczne państwo w regionie, niemniej znowu mówi to więcej o reżimach w krajach sąsiednich niż o tutejszym. Prezydent Nursułtan Nazarabajew kieruje krajem, odkąd został mianowany przez Gorbaczowa w 1989 roku, i nic nie wskazuje na to, by chciał ustąpić. W miarę upływu lat jego rządy stawały się coraz

bardziej autorytarne, realna opozycja polityczna nie istnieje. Wolność słowa jest ograniczana – tylko w ostatnich latach reżim zamknął kilkadziesiąt niezależnych gazet i stron internetowych. W porównaniu jednak z Turkmenistanem Kazachstan jawi się jako twierdza swobód.

Odezwał się telefon Damiara.

– To ty, kochanie?... Przykro mi, słoneczko, dziś się nie wymigam... Tak, wiem, że obiecałem wrócić dziś do domu, ale muszę pracować, mamy tu naprawdę dużo roboty... Do zobaczenia jutro, ucałuj dzieciaki!

Ledwo zdążył się rozłączyć, gdy telefon odezwał się znowu.

– Tak, moja słodka, już jadę... Nie, nie udało mi się zadzwonić wczoraj. Tak, wiem, że ci obiecałem dzwonić codziennie, ale wczoraj po prostu nie było zasięgu, przecież wiesz, że to się czasem zdarza... Będę za godzinę, kotku... Nie, nie wcześniej, nie zdążę... Tak, jadę prosto do ciebie.

Damiar westchnął teatralnie i mrugnął do mnie.

– Kobiety... Wieczny kłopot.

Kiedy dojechaliśmy do Aktau, zaparkował daleko na przedmieściach, w osiedlu bloków mieszkalnych. Do centrum musieliśmy wziąć taksówkę. Wyjaśnił, że nie chce, żeby jego przyjaciele zobaczyli samochód i dowiedzieli się, że jest w mieście. Potrzebuje „wolnego wieczoru bez marudzenia”. Zanim Damiar skierował się do przyjaciółki, która przez ostatnią godzinę wydzwaniała co pięć minut, żeby się upewnić, czy jedzie, wysadził mnie przy dużym centrum handlowym w śródmieściu.

– Niech mnie pani źle nie zrozumie, bardzo się z żoną szanujemy – powiedział na pożegnanie. – Może się wybierzemy na drinka, tylko pani i ja, później wieczorem, kiedy będę wolny?

Centrum handlowe w Aktau było objawieniem, fatamorganą, oazą Zachodu. Znane nazwy marek mrugały zachęcająco. W sklepach roiło się od ludzi; wszyscy modnie ubrani: dzinsy, minispódniczki, skórzane kurtki, wysokie obcasy, buty sportowe... Z głośników płynął najnowszy przebój Adele.

W jakimś kącie natknęłam się na rząd bankomatów. Włożyłam do jednego z nich kartę i nacisnęłam guzik trzydzieści tysięcy tenge, około tysiąca koron norweskich. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki maszyna wypluła pieniądze.

Restauracja na parterze miała w jadłospisie zarówno sushi, jak i włoskie makarony. Zamówiłam jedno i drugie. Kelner przyniósł mi kod dostępu do sieci bezprzewodowej i jak na hasło „Sezamie, otwórz się!” weszłam na wszystkie strony zakazane w Turkmenistanie: Twitter, Facebook, YouTube. Rozpieszczając podniebienie maki sushi i tortellini, sprawdziłam na Facebooku, co słyhać u przyjaciół i znajomych. Jedna przyjaciółka obcięła włosy. Mój chłopak czuł się samotny. Dawna koleżanka ze szkoły urodziła dziecko. Do Oslo zawitała wiosna, bo na wielu zdjęciach ludzie w okularach przeciwsłonecznych pili piwo w ogródkach kawiarni. Podróżujący w epoce internetu rzadko mentalnie oddala się od domu. Nawet w Turkmenistanie, gdzie internet nie jest powszechnie dostępny, miałam od czasu do czasu okazję czytać internetowe wydania norweskich gazet. Teraz wybrzydzałam.

Z jednej strony gazeta lokalna jest dostępna po naciśnięciu klawisza, z drugiej cała ludzkość będzie niedługo chodziła w dżinsach *made in China*. Otaczające mnie twarze o mongolskich rysach były obce, mimo to nie czułam, że jestem daleko od domu. System zasad i wartości wokół mnie był dobrze znany, rozumiałam te odniesienia.

Tutaj, po powrocie do sfery kulturowej podobnej do zachodniej, ujrzałam cechy szczególne Turkmenistanu w wyraźniejszym świetle. Kraj został poza gospodarką rynkową. Chociaż władze porzuciły komunizm jako panującą ideologię, a szare betonowe bloki zastąpiły lśniącym marmurem, gospodarka nadal jest hermetycznie zamknięta i tak samo odgórnie sterowana jak za czasów radzieckich. Zachodnie towary markowe należą do rzadkości i prawie nie istnieje konkurencja, że nie wspomnę o wolnej konkurencji. Na liście rankingowej Transparency International według wskaźnika skorumpowania Turkmenistan uplasował się blisko samego końca, na sto

sześćdziesiątej ósmej pozycji, prezydent zaś jest właścicielem większości wszystkiego, od hoteli po restauracje i sklepy. Istnieje tylko jeden bank, państwowy, ceny i wynagrodzenia są utrzymywane na sztucznie niskim poziomie, dopasowanym do zamkniętego rynku turkmeńskiego. Reżyserowane przez państwo jest w Turkmenistanie absolutnie wszystko razem z najdrobniejszymi szczegółami – także gospodarka. Podróżując po idealnym państwie turkmeńskim Berdimuhamedowa, nie ma się wsparcia globalnego języka neoliberalizmu, języka o cechach zachodnich, na który na co dzień prawie nie zwraca się uwagi.

– Poproszę do hotelu Chagal – powiedziała kierowcy taksówki.

– Jaki to adres?

– W internecie nie znalazłam nazwy ulicy, tylko informację, że jest położony w pierwszym mikrorajonie¹³.

– Znajdę – zapewnił taksówkarz. – Poza ulicą Prezydencką w Aktau nie ma nazw ulic. Miasto jest podzielone na mikrorajony, każdy dom i każde mieszkanie mają swój numer. Ja mieszkam w ósmym mikrorajonie, dom pięćdziesiąty, mieszkanie dziewięć. Osiem, pięćdziesiąt, dziewięć. Praktyczne, nie?

Iluzja strefy kultury zachodniej prysła. Wróciłam do Związku Radzieckiego.

Jechaliśmy szerokimi, przestronnymi ulicami. Po obu ich stronach stały niskie bloki mieszkalne pomalowane na jasne kolory, otoczone trawnikami i drzewami. Aktau to miasto zbudowane całkowicie według wzorów i norm radzieckich. Trudno zauważyć centrum. Od czasu do czasu widać jakiś bogaty dom z cegły w amerykańskim stylu, świadczący o nowym naftowym boomie. Aktau jest dzisiaj jednym z najbogatszych i najdroższych miast Kazachstanu.

Powstało w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy w pobliżu odkryto złoża uranu. Parę lat później okazało się, że teren jest bogaty również w złoża ropy i metali, toteż miasto się rozrastało. Pierwotnie nosiło

nazwę Szewczenko – od nazwiska znanego ukraińskiego poety, zesłanego tu w latach czterdziestych XIX wieku przez cara Mikołaja I. Wtedy to miejsce musiało się wydawać końcem świata, daleko od wszystkiego, z rosyjską twierdzą jako jedynym budynkiem¹⁴.

Regularnie mijaliśmy wielkie plakaty z siwym mężczyzną w garniturze, otoczonym przez uśmiechnięte dzieci z balonikami w ręku.

– Czy to prezydent? – Wskazałam palcem jeden z plakatów.

– Oczywiście – odpowiedział taksówkarz obojętnie, nie odrywając oczu od drogi.

Koleją

Kiedy wchodziłam do wagonu, buchnęła na mnie fala gorąca jak z pieca. Jakbym się znalazła w puszcze konserw. W wąskim korytarzu opierał się o okna długi szereg mężczyzn w sportowych dresach. Czuć ich było potem. Gapili się obojętnie na peron i żaden się nie ruszył, żeby mi zrobić przejście. Musiałam przeskakiwać przez trampki i wypchane torby coraz głębiej w tę metalową saunę. Po plecach spływał mi lepki pot.

Wreszcie odnalazłam swój przedział. Współpasażerowie, młoda kazachska rodzina z dwuletnim synkiem, instalowali się właśnie z torbami, siatkami, poduszkami i misiami, wędlinami i mlekiem w butelkach, samochodzikami i wszystkim tym, czego w podróży potrzebuje rodzina z małym dzieckiem. Na stoliczku pod oknem piętrzyły się paczki ciastek i suszonych owoców, niemal każdy skrawek podłogi zajmowały kolorowe torebki. Na górnej leżance ulokował się mężczyzna po pięćdziesiątce z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i podkreślonym wąsikiem, o jasnej cerze i rosyjskich rysach. Ręce miał splecione na brzuchu, oczy zamknięte.

– Dzień dobry – odezwałam się, siadając na brzeжку jednej z leżanek.

Spędziłam w Aktau kilka dni w samotności, głównie leżąc w hotelowym pokoju zamknięta w kokonie internetu i telewizji kablowej, wreszcie uwolniona od przewodników, pilnowaczy i wszędobylskich policjantów, toteż cieszyłam się z możliwości nawiązania kontaktów towarzyskich w pociągu. Długie podróże pociągiem zazwyczaj stwarzają znakomitą okazję do zdobywania nowych przyjaciół, bo ludzie nie mają nic innego do roboty, jak tylko jeść, spać i rozmawiać.

Młody ojciec spojrzał na mnie ze źle skrywaną irytacją i wskazał palcem górną leżankę.

– Pani miejsce jest tam.

Na pryczy, na którą mnie zesłano, leżał stos składający się z materaca, białych prześcieradeł, poduszki i wełnianych koców. Rozwinęłam materac

i zaczęłam walkę z prześcieradłami. Nie była łatwa, jako że podłogę zaścielały plastikowe torby. Młoda matka wymieniała spojrzenia z mężem, lecz żadne z nich się nie odezwało. Ani nic nie zrobiło. Na koniec ostrzyżony mężczyzna z sąsiedniej górnej leżanki nie wytrzymał. Zerwał się na kolana i chwycił prześcieradło. Sprawnymi ruchami w ciągu niespełna trzydziestu sekund doprowadził moje legowisko do porządku, nie ruszając się ze swojego miejsca po przeciwnej stronie. Kiedy skończył, skinął krótko i sztywno głową, po czym przyjął poprzednią, leżącą pozycję. Podziękowałam mu wylewnie. Mruknął coś w odpowiedzi, nie otwierając oczu. Kilka minut później głośno chrapał. Wspięłam się na górę i z trudem umościłam. Było tak ciasno, że nie mogłam siedzieć wyprostowana, by nie trzeć głową o sufit. Leżanka zaś była za krótka, bym wyprostowała nogi na leżąco. Materac – twardy i pozbijany w grudy, za to prześcieradło na nim sztywne, bez jednego załamania. W powietrzu można było zawiesić siekierę.

Nagłym szarpnięciem pociąg ruszył ze stacji. Przez uchylone okno dostał się ożywczy powiew wiatru. Młody ojciec podszedł zdecydowanie do okna, zamknął je i zaciągnął zasłonki. Potem zamknął drzwi przedziału na klucz. Lekko zaprotestowałam, lecz ojciec wskazał w odpowiedzi chłopczyka, który z zapalem naciskał klawisze na maminej komórce.

– Powietrze niedobre dla dziecka – skwitował krótko.

Nasz ciasny przedział został otulony przez gęsty półmrok. Pociąg turkotał i toczył się przed siebie. Stopy obijały mi się o ścianę. Grudy w materacu uciskały kręgosłup. Rosjanin na sąsiedniej leżance chrapał jak niedźwiedź, nie przejmując się dwulatkiem, który pokrzykiwał z radości, ilekroć udało mu się zmusić matczyną komórkę do wydania głosu, a udawało mu się to stosunkowo często.

Pot wystąpił mi na czoło. Łapczywie chwytalam ustami powietrze, uświadamiając sobie powoli, że w ten sposób spędzę najbliższe trzydzieści sześć godzin. Dwa pełne dni i półtorej nocy. Na mapie odległość z Aktau do Aralska nie wydaje się duża – relatywnie, bo w Kazachstanie wszystkie

odległości są duże. Kupując bilet, nastawiłam się na dwanaście, czternaście godzin jazdy. Nie wiedziałam jednak, że trasa kolei nie prowadzi po prostej, tylko długim objazdem na północ, by potem skierować się na południe do Aralska, a następnie na wschód do Ałmaty (w Norwegii i poza nią bardziej znanej jako Ałma Ata).

Istniał tylko jeden powód, dla którego włączyłam Aralsk do trasy swojej podróży. Chciałam na własne oczy zobaczyć konsekwencje jednej z największych dotychczas katastrof środowiskowych wywołanych przez człowieka. Miasto zostało założone na brzegu Jeziora Aralskiego, zwanego też Morzem Aralskim, i do połowy lat sześćdziesiątych było ważnym portem rybackim. Wtedy jezioro zaczęło się powoli kurczyć. Dzisiaj zakłady przetwórcze są od dawna zamknięte, Aralsk otaczają pustynne piaski, a chłopot fal o brzeg stanowi tylko wspomnienie. Co się dzieje, kiedy znika całe śródlądowe morze?

Pode mną młodzi rodzice usiłowali nakarmić dwulatka czekoladowymi ciastkami i napojem gazowanym. Żeby sobie ułatwić karmienie, matka znalazła mechaniczną zabawkę z guzikami, które po naciśnięciu wydawały różne dźwięki: syrena wozu strażackiego, sygnał karetki i radiowozu. Chłopczyk pokrzykiwał z zachwytem, kiedy tylko w przedziale rozlegało się wycie którejś syreny. Gdy po raz szósty zawyła syrena policyjna, Rosjanin z przeciwka nagle się poderwał z drzemki, wyłuskał z torby butelkę z brązową zawartością, pociągnął dwa zdrowe łyki, ułożył się ponownie pod kocem i pogrążył we własnym świecie.

Po co podróżować? Po co narażać się na te wszystkie niedogodności związane z przemieszczaniem się na dużych dystansach i z pobytami w dalekich, obcych krajach? Według mojej teorii wyruszamy w ciągle nowe podróże, ponieważ natura wyposażyła nas w zawodną i błędzącą pamięć. Po powrocie w domowe pielesze niedogodności zamieniają się w wyborne anegdoty albo zostają całkowicie wymazane. Pamięć nie jest linią ciągłą, to zbiór punktów – szczytów – a między nimi pustka. Zresztą pamięć to

abstrakcja. Z punktu widzenia przyszłości niewygody przeszłości wydają się prawie nierzeczywiste, jak sen.

Wytrzymałam godzinę. Na zeszywniałych nogach zsunęłam się z półki, wskoczyłam w buty i wypadłam na korytarz. W błogosławioną świeżość powietrza. Przez długą chwilę pozostawałam przy półotwartym zakurzoną oknie, raz po raz napełniałam płuca świeżym powiewem. Łapczywie zachłystywałam się stepowym powietrzem. Krajobraz był tak monotony, że wydawało się, jakbyśmy wcale nie posuwali się naprzód. Ani drzewka, ani pagórka w polu widzenia, wyłącznie płaskie, jałowe, pustynne równiny. Na horyzoncie pustynia stapała się w jedno z błękitnym bezchmurnym niebem.

Stałam tak może godzinę, może dwie. Pociąg włókł się przez pustynię i step z prędkością czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Powierzchnia Kazachstanu wynosi dwa miliony siedemset dwadzieścia cztery tysiące dziewięćset kilometrów kwadratowych, więcej niż powierzchnia całej Europy Zachodniej. To dziewiąty co do wielkości kraj świata i największy na świecie bez dostępu do morza. Tam, przy zakurzonym oknie wagonu kolejowego, zaczęłam pojmować, ile to jest owe dwa miliony siedemset dwadzieścia cztery tysiące dziewięćset kilometrów kwadratowych. Kazachstan jest ponad dwukrotnie większy od pozostałych czterech krajów środkowoazjatyckich razem wziętych. Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka, dzisiejszy Kazachstan, stanowiła dwanaście procent całkowitej powierzchni Związku Radzieckiego, wynoszącej zawrotne dwadzieścia dwa miliony czterysta dwa tysiące dwieście kilometrów kwadratowych. Dla porównania – dzisiejsza Rosja zajmuje siedemnaście milionów siedemdziesiąt pięć tysięcy dwieście kilometrów kwadratowych. Sam więc Kazachstan to ponad połowa terytorium utraconego przez Rosję w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego.

Inni pasażerowie też pozamykali drzwi do swoich przedziałów, toteż korytarz miałam dla siebie. Od czasu do czasu widziałam szybującego pod chmurami orła, poza tym pustynia była opuszczona i wymarła. Tu i tam,

jako mikroskopijna odmiana w przytłaczającym jasnym brązie krajobrazu, z kamienistego podłoża sterczała jakaś kępka trawy albo uschły krzak. Skromna liczba ludności Kazachstanu nie odpowiada gigantycznemu arealowi – kraj jest jałowy i słabo zaludniony. Ponad trzy czwarte jego powierzchni zajmuje pustynia albo półpustynia. W całym Kazachstanie mieszka zaledwie siedemnaście milionów ludzi, co przeciętnie daje poniżej sześciu mieszkańców na kilometr kwadratowy. Tylko jedenaście krajów na świecie ma niższą gęstość zaludnienia niż Kazachstan. Może dlatego, spekulowałam, pasażerowie zabarykadowali się w swoich przedziałach. Nie są przyzwyczajeni do przebywania w takiej bliskości innych ludzi i robią, co mogą, żeby utrzymać iluzję relatywnej samotności.

Kiedy wróciłam do przedziału, panowały w nim ciemności. Dwulatek spał słodko na łonie matki, ojciec obserwował ich spod półprzymkniętych powiek. Przekradłam się na górę i zamknęłam oczy. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwałam równomiernego stukotu kół – tatam-tatam. Tatam-tatam. Ciało podchwyciło rytm i zapadłam w drzemkę.

Pod wieczór przedział znowu się ożywił, a ja wyszłam na korytarz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Krótko ostrzyżony starszy pan wyszedł za mną i stanął przy zakurzonej oknie tak blisko mnie, że było to nienaturalne, po czym zaczął opowiadać.

– Zanim przeszedłem na emeryturę, byłem pułkownikiem w armii – oznajmił perfekcyjną ruszczyzną. – Służyłem siedem lat w Afganistanie i rok w Czeczenii. Nie wyobraża pani sobie, co ja tam widziałem... Afganistan był też okropny, ale wie pani, co było najgorsze?

Potrząsnęłam głową.

– Bezsens tego wszystkiego. Co myśmy tam właściwie mieli do roboty? To dotyczy tak Afganistanu, jak Czeczenii. Żadna z tych wojen nie miała sensu. – Zapatrzył się w milczeniu w złocisty krajobraz pustyni, skąpany w zachodzącym słońcu. – Zresztą, na imię mi Aleksandr. – Wyciągnął rękę do uścisku, silnego i zdecydowanego, mimo że spojrzenie miał rozmyte.

– Dlaczego walczył pan w Czeczenii? – spytałam. Jakoś wydało mi się naturalne, by zwracać się do emerytowanego pułkownika per „pan”, chociaż on mówił mi po imieniu. – Przecież to już było po uzyskaniu niepodległości. Kazachstan i pan jako jego obywatel chyba nie mieliście nic wspólnego z wojnami w Czeczenii?

– To była moja praca – odparł krótko. – Poza tym jestem Rosjaninem, chociaż urodziłem się i dorastałem w Kazachstanie. Czułem, że nie mogę tak po prostu odejść. Po roku i tak odszedłem. Wojować w ten sposób ze swojakami... – potrząsnął głową.

– To musiała być nie lada zmiana... przestawić się z pozycji przełożonego wydającego rozkazy na wojnie na życie emeryta w pokojowym Kazachstanie...

– Jeszcze nigdy nie pracowałem tyle co teraz – zaśmiał się sucho. – Pracuję w pięciu miejscach, żeby związać koniec z końcem.

Za oknem pojawiły się skupiska otynkowanych na biało domów. Pociąg zwolnił jeszcze bardziej.

– Jakie owoce pani lubi? – Aleksandr wpatrywał się we mnie wyczekująco.

– Jabłka – odpowiedziałam. – Czyż Kazachstan nie jest miejscem, z którego pochodzą?

– Tak mówią – potwierdził, wzruszając ramionami. – Mówią tak wiele dziwnych rzeczy.

Po kilku minutach pociąg stanął. Aleksandr wyskoczył na peron, a ja za nim. Wieczorne powietrze było łagodne i orzeźwiające. Mimo późnej pory na peronie tętniło życie. Kobiety w kwiecistych chustach na głowie i długich spódnicach siedziały na składanych niskich stołeczkach, przed nimi na serwetkach leżały kolorowe towary. Sprzedawały wszystko, czego mógł potrzebować podróżny: naleśniki domowej roboty, owoce, pierogi, zupę, suszone ryby, soki, wódkę, gazety, papier toaletowy, mydło... Oferta drobiazgów i poważniejszych produktów wydawała się nieskończona. Te przystanki były bezdyskusyjnie najciekawszymi momentami jazdy

pociągiem. Zapachy, smaki, nagły pośpiech – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierały się drzwi wszystkich przedziałów i cały pociąg budził się do życia. Parzący usta posiłek z garnków na peronie smakował w danej chwili lepiej niż najbardziej wyszukane dania w restauracji.

Aleksandr wrócił z dwiema reklamówkami zielonych jabłek. Przejrzał dokładnie zawartość toreb, wyszukał jedno z największych jabłek i podał mi je.

– Bardzo dziękuję, ale doprawdy, nie musiał pan...

– Jedz! – rozkazał opryskliwie.

– Kiedy właśnie umyłam zęby, więc myślę, że odłożę...

– Jedz! – powtórzył surowo.

Posłusznie wbiłam zęby w jabłko. Było słodkie i soczyste.

– No, jak? Smakuje? – Spojrzał na mnie z irytacją.

Kiwnęłam głową, gryząc jabłko.

– To dobrze. Są dla ciebie. – Wręczył mi obie reklamówki.

Grzecznie zaprotestowałam, tłumacząc, że nie zdołam zjeść takiej ilości jabłek, ale nie chciał słuchać.

Pociąg spowiła cisza nocy. Powietrze w przedziale wciąż było lepkie i gęste, ale na szczęście nie było już tak gorąco. Kiedy zgasiłam lampkę do czytania, zapadły egipskie ciemności. Przez chwilę wsłuchiwałam się w uspokajające ta-tam, ta-tam, ta-tam, ta-tam pociągu. Myśli się coraz bardziej rwały i w końcu przysnęłam.

Zawędrowałam daleko w krainę snu, gdy nagle obudziło mnie gmeranie po plecach. Poderwałam się z miejsca, chwyciłam komórkę i uruchomiłam ekran. Ostre światło prawie mnie oślepiło. W jego blasku dostrzegłam na swoim materacu bladą, żylastą rękę pułkownika. Leżał na sąsiednim miejscu bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Ten jeden raz nie chrapał. Kiedy pchnęłam tę rękę, bez oporu zniknęła w mroku.

Odwróciłam się na bok, zamknęłam oczy, ale sen nie nadchodził. Nie mogłam się uwolnić od myśli, co też ręka pułkownika wyczyniała w Afganistanie czy Czeczenii.

Następnego dnia pułkownik się nie odzywał. Leżał na pościeli z zamkniętymi oczami i nawet nie sięgał po błyszczącą flaszkę. Kiedy po południu pociąg zatrzymał się na stacji tak małej, że nawet nie miała tablicy z nazwą, pułkownik zabrał reklamówki z jabłkami i torbę podróżną, po czym bez słowa pożegnania wyszedł z przedziału.

Gdyby ktoś z jakiegoś powodu nie zdążył zrobić zakupów na peronie, nie trzeba było rozpaczać. Przez wagony bezustannie ciągnęli sprzedawcy, obładowani a to zegarkami, a to wędzoną rybą, telefonami komórkowymi, gazetami i innymi przedmiotami, na które podróżującym mogłaby przyjść ochota. Ich nawoływania słychać było z daleka. Młodzi rodzice nie poświęcali uwagi tym sprzedawcom, nie mieli też w zwyczaju wychodzić z pociągu na stacjach. I tak wieźli ze sobą zapasy na kilka tygodni. Wkrótce po tym, jak pułkownik nas opuścił, jeden ze sprzedawców jednak zwrócił na siebie ich uwagę. Była to eteryczna kobieta, która sprzedawała plastikowe zabawki w odblaskowych barwach. Z szerokim uśmiechem prezentowała akustyczne właściwości poszczególnych zabawek, co ojciec śledził w skupieniu i w rezultacie kupił trzy. Dwulatek rozpromienił się, kiedy te cuda trafiły do jego rączek.

W tym rozżarzonej upałem piekle przy akompaniamencie efektów dźwiękowych chińskiego pochodzenia mogłam się zająć jedynie czytaniem lub spaniem. Niestety, wzięłam ze sobą tylko jedną książkę, *The Silent Steppe*. *The Memoir of a Kazakh Nomad under Stalin* Muhamada Szajachmetowa. Czytałam powoli, żeby mi na dłużej starczyło.

Autor, urodzony w 1922 roku, ledwie zdążył poznać tradycyjny, koczowniczy styl życia Kazachów.

Kazachscy koczownicy nie potrafili sobie wyobrazić życia bez swoich zwierząt. Nie znali innego i byli przekonani, że ich utrata oznacza pewną śmierć. Potrzeby zwierząt decydowały o cyklu rocznym. Żeby miały dość trawy, zawsze wędrowaliśmy od pastwiska do pastwiska. Poruszaliśmy się pradawnymi szlakami nomadów, po których stąpali nasi pradiadowie.¹⁵

Większość Kazachów mieszkała w jurtach, charakterystycznych okrągłych namiotach mieszkańców Azji Środkowej, a rodziny tworzyły razem z innymi bliskimi krewnymi auly. Jedynie zimą, kiedy równiny pokrywała gruba warstwa śniegu, przenosili się do domów. Gospodarka opierała się na handlu wymiennym, a zamożne rodziny, posiadające wiele zwierząt, miały obowiązek wspomagać mniej uprzywilejowanych krewnych. Tradycyjny sposób życia koczowników zbliżał się, innymi słowy, do komunistycznego ideału równości i braterstwa bardziej, niż to się kiedykolwiek śniło bolszewikom.

Zmiany zaczęły się na serio w 1929 roku, który Stalin w charakterystycznym dyktatorskim stylu nazwał Rokiem Wielkiego Przełomu. Ponieważ bardzo niewielu koczowników dobrowolnie godziło się na kolektywizację i łączenie gospodarstw, władze radzieckie zaczęły konfiskować stada i inne ruchomości najbogatszych, których piętnowano mianem kułaków. Słowo to oznacza po rosyjsku zaciśniętą pięść, przez władze zaś było używane jako pogardliwe określenie bogatych chłopów. Wuj Muhamada Szajachmetowa, który posiadał ponad trzysta pięćdziesiąt owiec, został uznany za kułaka. Skonfiskowano mu całe stado oraz wszystko, co miał poza tym. To jednak nie wystarczyło, wedle wyliczeń władz bowiem wciąż zalegał z podatkiem. Ponieważ wuj, biedny teraz jak mysz kościelna, nie miał możliwości zapłacenia nałożonego nań drakońskiego podatku, skazano go na dwa lata więzienia.

Mimo konfiskat i aresztowań kolektywizacja posuwała się powoli.

Nieliczni Kazachowie gotowi byli zrezygnować z wolnego życia koczowników, żeby uprawiać ziemię jak Rosjanie. Władze odpowiedziały jednak wzrostem liczby aresztowań. Na koniec aresztowały tylu kułaków, że nie starczyło dla nich miejsc w więzieniach. Ażeby zwiększyć „moce przerobowe”, adaptowały na więzienia niektóre domy wiejskich bogaczy, ale to również nie wystarczyło, toteż musiały niektórych zwolnić, póki nie przybyło pomieszczeń.

W 1931 roku okrzyknięto kułakiem także ojca Muhamada, chociaż sto owiec, dwanaście koni, osiem sztuk bydła i dwa wielbłądy nie stanowiły dużego majątku i rodzina Muhamada nie była ani bogata, ani biedna. Zwierzęta i pozostałą własność rodziny skonfiskowano i „rozdano bardziej potrzebującym”. Kilka miesięcy później ojciec został skazany na dwa lata więzienia, ponieważ nie zdołał zapłacić całego podatku, który zdaniem władz był im winien.

Dziewięcioletni Muhamad jako syn skazanego kułaka został wyrzucony ze szkoły. Dzieci kułaków nie miały tam czego szukać. Chociaż rodzinie odebrano wszystko, co posiadała, jej głowa siedziała w więzieniu, a syn dostał wilczy bilet, miejscowi inspektorzy wciąż nie byli zadowoleni. Trzykrotnie nawiedzali rodzinę, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli. Podczas ostatniej wizyty zostawili chorą starą babkę na podłodze, zabrawszy łóżko i jej wysłużoną ślubną chustę, a także kilka wiader i starych derek – ostatnie sprzęty rodziny. Dwa miesiące później babka zmarła ze zgrzyoty. Rok po niej w więzieniu zmarł ojciec Muhamada, o czym on i jego matka dowiedzieli się prawie pół roku po fakcie.

Przez kolejne lata przenosili się z aułu do aułu, z wioski do wioski. Muhamad, jego matka i młodsze rodzeństwo utrzymywali się z dorywczych prac, mieszkowali w komórkach i przepełnionych noclegowniach. Pozostawali tam kilka dni, tygodni bądź miesięcy, aż właścicielom się sprzykrzyło i ich wyrzucali. Żona i dzieci kułaka nie miały żadnych praw, nie dostali też pracy w żadnym z coraz liczniejszych kołchozów.

Na początku lat trzydziestych XX wieku Związek Radziecki dotknęła długotrwała klęska głodu. Bezpośrednią przyczyną były złe zbiory i następująca po nich susza, nie ulega jednak wątpliwości, że pospieszna przymusowa kolektywizacja rolnictwa i surowa polityka dystrybucji żywności prowadzona przez władze radzieckie stanowiły ważniejszy powód tej katastrofy. Na Ukrainie, która odczuła to najboleśniej, klęska zyskała nazwę Hołodomor, oznaczającą „śmierć z głodu”. Poniosło ją ponad trzy miliony Ukraińców. Władze radzieckie nie okazały litości, dalej nakładały kontyngenty na zbiory i wysyłały zboże do innych republik, chociaż miejscowa ludność padała jak muchy. Tysiące ukraińskich kołchoźników skazywano na więzienie lub śmierć za kradzież zboża.

Od klęski głodu najdotkliwiej ucierpiała, zaraz po Ukraińcach, ludność kazachska. Wielu koczowników wolało pozabijać swoje zwierzęta niż oddać je władzom. W ciągu trzech lat pogłowie bydła spadło z siedmiu milionów do mniej niż jednego, liczba owiec z dziewiętnastu milionów do mniej niż dwóch. Władze radzieckie nie wzięły poza tym pod uwagę, że duże połacie ziemi w Kazachstanie nie nadają się pod intensywne uprawy, koczownicy zaś, którzy nigdy przedtem nie uprawiali roli, nie mają potrzebnych do tego umiejętności. Nie ułatwiało też sprawy, że cały proces kolektywizacji – największy przewrót w dziejach Kazachstanu – charakteryzował się nieporządnym planowaniem i pośpiechem. Wiele z nowych kołchozów istniało jedynie na papierze. Brakowało w nich domów, budynków gospodarczych, zwierząt, systemów nawadniających, a w niektórych przypadkach nawet ziemi uprawnej.

W rezultacie przyszły nieudane zbiory i głód.

Początkowo starano się zapewnić żywność ofiarom głodu. Mieszkańców terenów dotkniętych klęską ewakuowano na obszary rolnicze na północy. W tym czasie Muhamad mieszkał w jednym z miasteczek, do którego katastrofa jeszcze nie dotarła. Nie rozumiał kazachskiego słowa oznaczającego ofiarę głodu, a nikt z dorosłych nie chciał mu tego

wy tłumaczyć. Dlatego pobiegł razem z kilkorgiem innych dzieci na stację kolejową, żeby przyjrzeć się ewakuowanym i zorientować, co znaczy określenie „ofiara głodu”. Nigdy nie zapomniał tego widoku:

Z przepelnionych wagonów nie wychodzili ludzie, lecz żywe szkielety. Skóra na ich twarzach wyglądała, jakby ją rozciągnięto i przyklepiono do czaszek. Nie dało się powiedzieć, czy byli spaleni słońcem, czy pokryci brudem. Ramiona mieli nienaturalnie długie, w oczach zaś – zapadniętych i zastraszająco martwych – zastygło osłupienie. Ledwie trzymali się na nogach, nie mówiąc już o chodzeniu. Bez przerwy się potykali i upadali. [...] Wśród tych żywych trupów, które wyszły z wagonów, nie było starszych i dzieci. Ci nie dali sobie rady. Albo zmarli z głodu przed podróżą, albo wykończyli się w jej trakcie. Zwłoki pasażerów zmarłych na ostatnich kilku kilometrach zostały w wagonach, kiedy wyszli z nich ci, którzy przeżyli. Krewni nie mieli po prostu siły, żeby ich wynieść i pogrzebać.

Muhamad miał niedługo poznać znaczenie słowa „głód”, w 1933 roku klęska dotknęła bowiem wschodnie i północne rejony Kazachstanu. Egzystencja polegała wyłącznie na zdobywaniu ilości jedzenia wystarczającej, żeby przeżyć do następnego dnia, następnego tygodnia, następnych zbiorów. Wszędzie roiło się od żebraków, wszędzie leżały trupy. Zamiast temu przeciwdziałać, służalcy reżimu prześcigali się w realizowaniu ambitnych planów pięcioletnich. Dlatego, gdy setki tysięcy ludzi umierało z głodu, w niezmiennym tempie „modernizowano” i industrializowano Kazachstan. „Gdy spojrzeć na archiwalne dokumenty z tamtych tragicznych lat, widać, ile pieniędzy włożono nie tylko w przemysł, lecz także w niekończące się narady dla tysięcy uczestników w całym Związku Radzieckim. Środki użyte na organizowanie tych spędów wystarczyłyby na uratowanie życia wielu ludziom”, zauważa lakonicznie autor.

Kiedy jesienią 1934 roku wielki głód się zakończył, wśród jego ofiar był ponad milion Kazachów, około jednej czwartej etnicznej ludności Kazachstanu. Razem z ofiarami głodu wymarło wiele koczowniczych tradycji. Opętanie władz radzieckich ideą kolektywizacji oraz budowy przemysłu ciężkiego wepchnęło Kazachów do domów, fabryk i kopalni. Olbrzymie stepy, które zaledwie kilka lat wcześniej ożywiały skupiska jurt zamieszkanymi przez wieloosobowe kazachskie rodziny, do dziś są puste.

Wieczorem pociąg zatrzymał się po raz kolejny. Po powrocie do przedziału zastałam młodą matkę samą. Po raz pierwszy spojrzała mi w oczy.

– Dlaczego nie pijesz herbaty? – spytała.

– Jest za gorąco.

– No i co z tego. – Potrząsnęła głową, nie rozumiejąc. – Ile masz lat? Jesteś mężatką?

– Dwadzieścia dziewięć. Tak, jestem mężatką.

Żeby podbudować to praktyczne kłamstewko, posunęliśmy się z moim partnerem nawet do zakupu prawdziwej obrączki. U jubilera popatrzyli na nas podejrzliwie, kiedy do nich dotarło, że kupujemy tylko jedną.

Skinęła głową z aprobatą.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Trzy lata. – Brzmiało wystarczająco długo i dość poważnie.

– Masz dzieci?

Potrząsnęłam głową.

– Dlaczego nie? – Spojrzała na mnie oczami jak spodki. – Macie problemy?

Dzieje się coś złego?

Zanim zdążyłam wymyślić odpowiedź, do przedziału wkroczyli pan małżonek i chłopiec, w następnej zaś chwili ja ze swoją bezdzietnością zostałyśmy zapomniane. Wpełzłam na legowisko i zapatrzyłam się w sufit. Kiedy pociąg ruszył, młody ojciec starannie zamknął okno i zatrzęsnał zamek w drzwiach przedziału.

Obiecałam sobie, że nigdy w życiu moja noga nie postanie w pociągu kolei transsyberyjskiej. Niektóre marzenia powinny pozostać marzeniami.

Jedynym jasnym punktem tego dnia okazało się to, że gdzieś na tych niekończących się płaskich równinach zmieniliśmy strefę czasową i można było przesunąć wskazówki zegarka o godzinę do przodu.

Dokładnie po trzydziestu sześciu godzinach, zdumiewająco punktualnie, pociąg wtoczył się na dworzec w Aralsku. Garstka pasażerów szybko zniknęła, skierowali się do oczekujących samochodów. Zostałam w ciemnościach nocy na peronie, drżąc z zimna w sandałach i cienkich bawełnianych ciuszkach. Zgodnie z umową reprezentant organizacji zajmującej się Jeziorem Aralskim¹⁶ miał mi wyjść na spotkanie i zadbać o mój nocleg, ale peron był pusty. Próbowałam się dodzwonić na podany mi numer. Nikt nie odbierał.

– Nie może pani tu tak stać, to niebezpieczne – ostrzegł konduktor w drzwiach wagonu sypialnego, kiedy pociąg powoli ruszał w dalszą drogę.

– To co mam robić?

Wzruszył ramionami, oddalony o dobrych parę metrów.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej!

Pociąg przyspieszył. Wagony mijały mnie z dudnieniem, póki nie zniknęły.

Jeziro, które zniknęło

Konduktor miał rację – nie mogłam stać na peronie przez całą noc. Ruszyłam więc do budynku dworca i delikatnie pchnęłam drzwi. Otworzyły się. Sam dworzec był biały, okazały, z beczkowym dachem i dużymi oknami, które zwieńczały łuki. Zmarznięta i śpiąca opadłam na ławkę w pustej poczekalni. Na ścianie naprzeciwko wisiał solidny zegar. Za kwadrans trzecia. Jeszcze wiele godzin do wschodu słońca.

– Przepraszam, panienko, mogę spojrzeć na pani dokumenty?

Znikąd pojawiła się trójka umundurowanych strażników, dwóch mężczyzn i kobieta. Najstarszy powoli kartkował mój paszport.

– Co pani tu robi? – spytała kobieta.

Wyjaśniłam, że właśnie przyjechałam pociągiem, że reprezentant organizacji ochrony środowiska nie wyszedł mi na spotkanie, że nazajutrz miałam pojechać nad Jezioro Aralskie.

– Do jutra kawał czasu – burknął najstarszy strażnik. – Tu pani nie może siedzieć.

Strażnicy cicho się naradzali, a potem zwrócili się do mnie:

– Pani pozwoli z nami!

Wstałam posłusznie i poszłam za nimi ku bocznym drzwiom, za którymi widocznie znajdowała się właściwa poczekalnia. Kolorowa mozaika wypełniała prawie całą ścianę w pomieszczeniu. Przedstawiała barczystych, przystojnych towarzyszy stojących po pas w wodzie i wyciągających sieci pełne ryb. Górą biegł napis wyjaśniający, że Lenin przysłał do towarzyszy w Aralsku list z prośbą o czternaście wozów ryb jako pomoc dla towarzyszy w potrzebie. Działo się to w roku 1921. Młode radzieckie państwo było zabiedzone i wyczerpane latami wojen i wojną domową. Ludzie głodowali wszędzie. Tylko nie w Aralsku.

W kącie poczekalni siedziała para młodych. On, wysoki jak wiking, miał długą spletaną brodę; ona była drobna i eteryczna, o azjatyckich rysach.

– Nie mówią po rosyjsku – powiedział jeden ze strażników. – Może ich pani spytać, dlaczego tu siedzą?

Młody człowiek wyjaśnił po angielsku, że czekają na światło dzienne. Umówili się, że będą mieszkać u pewnej miejscowej rodziny, ale nie chcą ich budzić w środku nocy.

– Niech im pani powie, że nie mogą tu zostać. Muszą z nami pojechać do hotelu.

– Hotel? – Dziewczyna zbladła. – A będzie otwarty tak późno?

– Sprawdziliśmy. Jest otwarty – zapewnił strażnik. – Zamówiliśmy już samochód. Czeka na was na zewnątrz.

– Nie moglibyśmy po prostu posiedzieć tu te parę godzin? – prosiła dziewczyna.

Strażnicy stanowczo potrząsnęli głowami. Młodzi niechętnie wstali.

– To niedaleko – pocieszyła ich strażniczka.

– Wiemy, już tam byliśmy – odparł ponuro młody człowiek.

Podczas krótkiej jazdy samochodem dowiedziałam się, że on jest Kanadyjczykiem, a ona Japonką i że przyjechali tu na ostatnie wywiady do filmu dokumentalnego o rybakach z Aralska. Więcej nie zdążyli mi opowiedzieć, bo dojechaliśmy do hotelu Aral, jedyne w mieście. W drzwiach oczekiwały nas dwie siwowłose kobiety w czerwonych podomkach, jedna chuda jak patyk, druga wielka jak stodoła. Zmierzyły nas zmrużonymi oczami i bez słowa wpuściły do środka. Wielkoludka z ciężkim westchnieniem opadła na stołek w recepcji, chuda stanęła w drzwiach z rękami założonymi na krzyż i zjadliwie się gapiła.

– Trzy pokoje? – szczerknęła gruba.

– Dwójka dla nich, jedynka dla mnie – uściśliłam.

– Cena i tak ta sama – wykrzywiła się. – Mamy tylko dwójki. Cztery tysiące za pokój.

Zapłaciliśmy banknotami po pięć tysięcy, mniej więcej sto siedemdziesiąt koron.

– Nie mam reszty. – Baba w recepcji spojrzała na nas, jakby to była nasza wina.

– Nie trzeba.

Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby trzymać się zasad.

Chuda zdjęła z haków w ścianie dwa klucze, przeczłapała obok nas i zniknęła na schodach. Przyjeliśmy, że mamy iść za nią. Niektóre stopnie niebezpiecznie trzeszczały. W korytarzu mineliśmy kanapę i fotele, które z pewnością były krzykiem mody w roku śmierci Stalina. Wykładziny podłogowej nie czyszczono przynajmniej od czterdziestu lat, a odkurzano ją od przypadku do przypadku. Sufit pokrywała równa warstwa czarnych kropek pleśni, tynk gdzieś tam odpadał.

Chuda stanęła na końcu korytarza i niecierpliwie na nas czekała. Z prychnięciem dała po kluczu mnie i Kanadyjczykowi, a potem obróciła się na pięcie i potruchtała z powrotem. Pokój był przynajmniej duży, trzeba przyznać, ale jest to też jedyna pozytywna rzecz, którą można powiedzieć o pokoju numer 304 w hotelu Aral. Pod ścianami w kolorze mięty stały dwa brązowe łóżka. Od jednego okna niemiłosiernie ciągnęło, bo się nie domykało. W muszli klozetowej pływał wielki czarny owad, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Wyglądało na to, że przebywa tam już dobrą chwilę. Spróbowałam spuścić wodę, ale wtedy tylko głośniejszabulgotało w posklejanych na chybcika rurach. Owad zaś nieniekpokojony kołysał się dalej na lekko zmarszczonej wodzie. Wanna pełniła funkcję prysznicai umywalki. Na wannę jako taką była za mała. Posklejana brązową taśmą, nie była prawdopodobnie szorowana od rozpadu Związku Radzieckiego. Kiedy odkręciłam kran, pociekł z niego cieniutki strumyczek letniej, cuchnącej szambem wody. Odłożyłam plany wzięcia prysznicai poszłam prosto do łóżka. Materac był twardy, pościel pachniała mokrym psem. Zasnęłam jak kamień.

Kiedy kilka godzin później się obudziłam, łazienka była zalana. Szybko się spakowałam i opuściłam pokój.

– Śniadanie wliczone – poinformowała mnie chuda, kiedy się wymeldowywałam.

Wyjaśniłam, że umówiłam się na godzinę i muszę zdążyć, po czym pospieszyłam na dwór. Światło dnia nie było łaskawe dla szarej, zapadniętej fasady. Wiele pięter wyglądało na wyłączone z użytkowania. Za czasów Chruszczowa jednak hotel musiał być fascynujący – perła Aralska – zbudowany z najmodniejszego wówczas materiału, betonu, z nowoczesnymi kanapami i fotelami na każdym piętrze.

Czas nie obszedł się łagodnie z tym wzorem socjalistycznego miasta. Ulica przed hotelem była zakurzona i zniszczona. Walały się na niej odłamki szkła i puszki po piwie, na poboczu leżały zużyte igły od strzykawek. Nieliczne wysokościowce wyglądały tak, jakby miały się za chwilę zawalić. Domy jednorodzinne ukrywały się w zarośniętych ogrodach. Gdyby nie to, że w przewodniku czarno na białym napisano, że to ulica Mukagali Makatajewa, główna arteria Aralska, nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Ponownie próbowałam się dodzwonić do organizacji zajmującej się Jeziorem Aralskim, ale nikt nie odbierał. Co z tego, że nie dotrzykali umowy tej nocy – byłam od nich zależna, jeśli chciałam się dostać nad jezioro. Ich biuro, jak się okazało, znajdowało się tuż obok hotelu, ale drzwi były zamknięte, a światło się nie świeciło. Chciałam odejść, i wtedy podbiegł do mnie z wyciągniętą ręką młody człowiek.

– Erika? Jestem Jedige z Aral Tenizi. Pomyślałem sobie, że pewnie tutaj cię znajdę. Przepraszam, że nikt cię dziś w nocy nie odebrał! Wczoraj mieliśmy dużo gości i kierowca był bardzo zmęczony. Poza tym dostał informację dopiero dzisiaj, a ja zupełnie o tym zapomniałem. Ale przysięgam, wycieczka będzie! Zaufaj mi!

Mówił szybko i gwałtownie, lista usprawiedliwień była długa i chaotyczna.

– Było, minęło. – Machnęłam ręką, zadowolona, że wreszcie się z nim spotkałam. – Gdzie tu można zjeść śniadanie?

– Śniadanie? Wiem, dokąd pójdziemy. Chodź!

Ruszyliśmy zakurzonymi ulicami między osłami, kurami, wychudzonymi kundlami i walącymi się domami, najpierw zdecydowanie, potem bardziej na chybił trafił. Prawie wszystkie restauracje i kafejki były zamknięte, większość na dobre.

Na koniec znaleźliśmy bar, w którym mogli nam podać smażone jajka. W kącie siedziała garstka mężczyzn. Opróżnili już kilka butelek wódki, chociaż jeszcze nie minęła dziesiąta. Kiedy jadłam, Jedige zawzięcie wydzwaniał. Ciągłe łączył się z tym samym numerem i nikt nie odbierał.

– Tylko spokojnie – mówił wytrącony z równowagi. – Mam pełną kontrolę nad sytuacją. Spróbuję z innym kierowcą.

Nowy szofer odebrał za czwartym razem. Jedige umówił się, że przyjedzie po nas za godzinę. Tymczasem zabrał mnie do dawnego portu. Furka prowadziła do zarośniętego zagłębienia w terenie. Na prawo od niej stały obok siebie cztery statki pomalowane na wesołe kolory. Stanowiły pomnik ożywionego życia portowego, które kiedyś charakteryzowało miasto. Chudy zdziczały pies zawarczał na nas. Przy dawnej hurtowni i przetwórni stał jeszcze dźwig do wyładunku skrzyń z rybami. Sama hurtownia ziała pustką.

– W dawnych czasach była tu duża przetwórnia – mówił Jedige. – Wszyscy w Aralsku pracowali przy rybach.

– A przy czym pracują teraz?

– Nie tak wielu jeszcze w ogóle pracuje – roześmiał się nerwowo.

Kiedy w latach sześćdziesiątych Jezioro Aralskie zaczęło zanikać, na miasto zapadł wyrok śmierci. Aralsk powstał przecież jako port, rybołówstwo i przetwórstwo ryb stanowiły jego fundament. Aż do późnych lat sześćdziesiątych, mniej więcej do czasu, kiedy zbudowano hotel Aral, wszystkie strzałki wskaźników były skierowane w górę, liczba ludności równomiernie rosła, a ludzie w Aralsku jedli i mieszkali lepiej niż zwykły obywatel radziecki. Kiedy jezioro i ryby zniknęły, nagle wyrwano miastu podstawy egzystencji. Odkąd nie ma jeziora, liczba ludności spadła o ponad

połowę, do trzydziestu tysięcy, a strzałki nadal pikują. Każdego roku z dawnego portu emigrują setki młodych ludzi.

Jedige pokazał mi wszystko, co było warte obejrzenia w Aralsku, a nawet nieco więcej. Kierowcy dalej ani śladu. Zadzwoił ponownie.

– Erkut będzie tu za pół godziny – powiedział z przepraszającym uśmiechem.

Dwie godziny później jechaliśmy dżipem Erkuta nad jezioro. Erkut okazał się dobrodusznym mężczyzną po czterdziestce. Mówił głębokim basem. Jego brzuszysko urosło do takich rozmiarów, że prawie nie mieściło się za kierownicą.

– Jezioro Aralskie było w swoim czasie czwartym co do wielkości na świecie. Miało czterysta dwadzieścia osiem kilometrów długości i dwieście trzydzieści cztery kilometry szerokości, a powierzchnia zajmowała sześćdziesiąt osiem tysięcy kilometrów kwadratowych – wykladał Jedige z tylnego siedzenia, cytując liczby z pamięci. – Teraz skurczyło się do dziesięciu procent pierwotnego arealu.

– Co się stało? – spytałam.

– Jezioro zasilają swoimi wodami dwie rzeki, Amu-daria i Syr-daria. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych władze radzieckie przekierowały wodę z tych rzek do wielkich kanałów nawadniających uprawy bawełny. Marzyła im się samowystarczalność Związku pod względem zaopatrzenia w bawełnę. I w pewnym sensie im się to udało, niemniej jakość kanałów irygacyjnych była zła i połowa wody po drodze wyparowywała albo wyciekała. Zresztą kanały są w użyciu do dziś. I tak mamy dość niedużo wody w regionie, a jej połowę trwonimy po drodze!

Minęliśmy wioskę, w której doliczyliśmy się na oko więcej koni niż ludzi.

– Ci tutaj mieszkali na brzegu jeziora – zauważył łamanym rosyjskim Erkut.

– Kiedy ludzie się zorientowali, że coś jest nie tak?

– Początkowo szło to powoli – mówił Jedige. – Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku i później jezioro kurczyło się o mniej więcej dwadzieścia centymetrów rocznie. Ponieważ jednak coraz większe obszary pustyni zamieniano na pola bawełny, które wymagały dużej ilości wody, proces przyspieszył. W latach osiemdziesiątych poziom wody opadał z szybkością prawie metra rocznie.

– Jak władze mogły siedzieć z założonymi rękami i przypatrywać się zanikaniu czwartego co do wielkości jeziora na świecie?

To czysty obłąd, jak się o tym pomyślało. Władze radzieckie, jak wiadomo, nie przebierały w środkach, aby osiągnąć cel, stać się przemysłową potęgą. Stare przysłowie o celu uświęcającym środki musiało być powtarzane na Kremlu codziennie jak mantra. Ale żeby usunąć z map całe jezioro, ze wszystkimi tego nieprzewidywalnymi konsekwencjami dla środowiska?

– Właściwie myśleli, że to pójdzie dużo szybciej – wyjaśnił Jedige. – Wszystko było z ich strony dokładnie skalkulowane. Dla nich bawełna była bardziej opłacalna niż ryby.

W części miejsc, przez które przejeżdżaliśmy, piasek był aż biały od soli. Jak Morze Kaspjskie, tak Jezioro Aralskie było lekko zasolone. Zawartość soli wynosiła w nim mniej więcej jedną czwartą zasolenia wody morskiej. Kiedy jezioro wyschło, wiatr rozniósł sól po okolicy i sprawił, że jałowa gleba na tych terenach stała się jeszcze mniej wydajna. Piasek usiany był resztkami muszli. Chrzęściły, kiedy przetaczały się po nich koła samochodu. Gdzieś tam wielbłąd przeżuwał kępki trawy, wyrastające z dawnego dna jeziora. Z jakiegoś powodu Jedige przestał mówić o ekologii, a skupił się na wielożeństwie.

– Islam pozwala mieć cztery żony, ale mnie wystarczą dwie albo trzy – stwierdził.

W wolnych chwilach studiował arabistykę, jak mi opowiadał wcześniej tego dnia. Jego celem było czytanie Koranu w oryginale, żeby mógł żyć bardziej zgodnie z prawem boskim.

– A co z prawem kazachskim? – spytałam.

Kazachstan jest najbardziej wysuniętym na północ krajem świata z muzułmańską większością. Równo siedemdziesiąt procent ludności to muzułmanie. Prezydent Nazarbajew, wychowanek ateistycznego Związku Radzieckiego, zaangażował się w upowszechnienie świeckiej formy islamu sunnickiego zgodnej z „tradycyjnymi kazachskimi wartościami”. Wszyscy środkowoazjatyccy przywódcy obawiają się, że do ich krajów wejdą grupy rozumiejące islam bardziej literalnie, radykalne, inspirowane przez ugrupowania w sąsiednim Iranie czy Afganistanie – i czynią różne kroki, żeby do tego nie doszło. W Kazachstanie religijne partie polityczne są zakazane, a wszelkie ugrupowania religijne znajdują się pod ścisłym nadzorem.

– Wolno mieć tylko jedną żonę, ale nikt się tym nie przejmuje – twierdził Jedige. – Prawa islamu są ważniejsze niż prezydenta!

– A co na ten temat myśli twoja żona?

– Początkowo była nastawiona negatywnie, bo chciała mnie mieć tylko dla siebie – żartował. – Teraz widzi to bardziej pozytywnie. Wiele kobiet po prostu cieszy się z dodatkowej pomocy w domu.

– A ty nie możesz jej pomóc?

Erkut i Jedige spojrzeli po sobie z niebotycznym zdumieniem.

– Zadaniem mężczyzny jest zarobienie pieniędzy i zajmowanie się sprawami zewnętrznymi. Natomiast zadaniem kobiety jest zajmowanie się domem i dziećmi. Mojej żonie nie wolno wychodzić z domu bez mojego pozwolenia. Jej domeną jest ognisko domowe – wyjaśnił Erkut.

– Moja żona też nie wychodzi bez pozwolenia – przytaknął z zapałem Jedige. – Dla mnie to szok, że twój mąż pozwala ci samej jeździć po świecie. Może zamierza wziąć jeszcze jedną żonę? Dla ciebie też byłoby to praktyczne. Miałabyś kogoś do pomocy przy gotowaniu i sprzątanii.

– Nigdy nie wyraził na serio życzenia posiadania żony numer dwa – odparłam.

– Pewnie jest po prostu uprzejmy. Mężczyźni żona z czasem się uprzykrza, to leży w jego naturze. Poza tym pierwsza żona wkłada więcej wysiłku w dbanie o urodę i atrakcyjny wygląd, jeżeli ma konkurencję.

Erkut uśmiechnął się tajemniczo, lecz nic nie powiedział.

– On już znalazł żonę numer dwa – rzucił Jedige. – Model tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Pobierają się na jesieni.

Uśmiech Erkuta stał się jeszcze szerszy. Zatrzymał samochód. Dotarliśmy do celu. Za gęstym, wysokim sitowiem rozciągało się jezioro. Woda była równie błękitna jak niebo. Ptaki szczebiotały wesoło, w oddali słyszałam ochryple krzyki mew. Po powierzchni dostojnie płynął łabędź. W powietrzu unosił się słony, morski zapach. Nie wyobrażałam sobie, że katastrofa ekologiczna może być tak piękna.

– Wszystkich zaskakuje, jak tu czysto i ładnie – odezwał się Jedige. – Teraz są tu nawet ryby.

– Słyszałam, że jest tu zbyt słono dla ryb?

– Południowa część jest za słona. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku jezioro skurczyło się tak bardzo, że rozpadło się na dwie części: Północne albo Małe, położone w Kazachstanie, i Południowe albo Wielkie, które leży po tamtej stronie granicy, w Uzbekistanie. Próbując ochronić Północne Jezioro Aralskie, władze Kazachstanu zbudowały groble, żeby woda stąd nie wypływała do Południowego. Wyremontowały też część kanałów irygacyjnych, tak że więcej wody dociera do jeziora. Projekt udał się ponad wszelkie oczekiwania! Poziom wody podniósł się o wiele metrów, a jednocześnie zasolenie zmalało. Przedtem jezioro leżało w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Aralska, obecnie jest to mniej niż dwadzieścia kilometrów. Celem jest przesunięcie go kiedyś z powrotem pod Aralsk.

Przyszło mi do głowy, że może Aralsk mimo wszystko nie jest nieodwołalnie stracony. Byłam przygotowana na widok martwej, stojącej wody otoczonej zniszczoną, zasoloną ziemią, tymczasem zobaczyłam łabędzie i usłyszałam krzyk mew. Północne Jezioro Aralskie jest

namacalnym dowodem, że wywołane przez człowieka katastrofy ekologiczne dają się cofnąć – w każdym razie w pewnym stopniu – jeżeli władze mają wolę i środki do zainwestowania. Władze Kazachstanu zajęły się problemem i powiodło się im.

W największym kraju świata bez dostępu do morza ryba jest ważniejsza od bawełny.

Może rzeczywiście nie wszystko jest stracone dla trzydziestu tysięcy mieszkańców Aralska, pomyślałam. Może któregoś dnia zardzewiałe dźwigi w porcie zostaną wyremontowane i ponownie uruchomione? Może stojące dziś na suchym piasku statki na nowo zaczną dostarczać połowy do przetwórni? Jeśli tak się stanie, może komuś opłaci się nawet odnowić hotel Aral.

Imperium

– Upadek Związku Radzieckiego był tragedią – stwierdził ornitolog. Miał gęstą siwą brodę i właśnie skończył sześćdziesiąt lat, ale wyglądał, jakby się zbliżał do osiemdziesiątki. – Amerykanie wygrali, osiągnęli, czego chcieli! Ludzie nie rozumieją, że przegraliśmy wojnę czwartej generacji, wojnę informacyjną. Nie rozumieją, że wojny można prowadzić na tak wysokim poziomie.

Zmógł go atak kaszlu, który wydawał się nie mieć końca. Wreszcie ornitolog doszedł do siebie, otarł usta rękawem swetra i ciągnął jak gdyby nigdy nic:

– Po likwidacji Związku Radzieckiego wszystko stało się dużo jaśniejsze. Nie jesteśmy tacy jak Europejczycy. Jesteśmy inni.

Z okna gabinetu rozciągał się widok na ośnieżone szczyty w parku narodowym Aksu Żabagyły, na dziko rosnące jabłonki i bujne łąki, na których pasły się obok siebie krowy i konie. Panorama przypominała te z reklamy szwajcarskich Alp. Zielone łąki obsypane były dzikimi tulipanami. Ornitolog znał park narodowy jak własną kieszeń – do niedawna, póki nie przeszedł na emeryturę, był jego dyrektorem.

Podróż pociągiem z Aralska – siedemnastogodzinna – upłynęła tak, jak powinna upłynąć podróż pociągiem. Rosyjski ochroniarz, Władimir, częstował kawiozem i wódką, połowa pasażerów wagonu do późna grała w karty. Wygrywałam partię za partią, chociaż do końca nie zorientowałam się w regułach tej gry.

– Dla nas ważna jest wspólnota – kontynuował ornitolog. – „Ja” jest na drugim miejscu. Nigdy na pierwszym. Nas, którzy wzrastaliśmy w Związku Radzieckim, więcej łączy, niż dzieli.

On sam był Ukraińcem, ale myślał o sobie jako o Rosjaninie.

– Rosjanin to nie narodowość, to mentalność, to pewien stan – podniósł głos. – Weźmy na przykład Puszkina. Jego dziadek był Arabem¹⁷, a on sam

stuprocentowym Rosjaninem! Tutejsi ludzie, Kazachowie, zanim przyszli Rosjanie, nie mieli nic. Ani szkół, ani literatury, żadnej cywilizacji ani kultury. A teraz żądają, żeby płynnie mówić po kazachsku, jeżeli się chce dostać pracę w instytucjach publicznych! Prawie nie mieli porządnego alfabetu, póki nie przyszli Rosjanie. Wszystko zawdzięczają Rosjanom!

Nowy potężny atak kaszlu. Ornitolog otarł pot z czoła i wypił łyk herbaty, żeby oczyścić gardło. Wykorzystałam okazję i wtrąciłam pytanie:

– Wszystko chyba nie było tak idealne w czasach Związku Radzieckiego, prawda?

– Wiele rzeczy w czasach Związku Radzieckiego nie było za dobrych – przytaknął ornitolog. – Ale wiele rzeczy było też dobrych. W każdym kraju występują przemoc i prześladowania. Wszystkie kraje mają więzienia. W amerykańskich więzieniach jest dziś więcej osadzonych, niż było w gułagach.

– A co z rozwojem po Związku Radzieckim? Kazachstan chyba dość dobrze sobie poradził?

– Jaki rozwój? – Ornitolog roześmiał się chrypliwie. – Nic takiego się nie wydarzyło! Dalej pracujemy w radzieckich fabrykach. Chińczycy budują drogi. Ropę sprzedajemy, niedługo nic już nie zostanie. Najsmutniejsze jest to, że nie mamy tu naukowców.

Wyciągnął ze stosu książek na stole gruby, prawie porwany na strzępy leksykon i zaczął go kartkować. Okładki były wytarte na rogach, papier pożółkły od częstego używania i ze starości.

– W tej książce jest wszystko, co potrzebuję wiedzieć o ptakach. Takie książki pisali! A teraz studenci nie umieją nawet czytać po łacinie – prychnął.

– Sprzedajemy ropę, a kupujemy chińskie towary. Sami niczego nie produkujemy. Wszystko, co mam na sobie, jest chińskie. Niech pani tylko spojrzy! – Pochylił się i podwinął spodnie, aż pokazały się białe skarpetki.

– Skarpetki, buty, spodnie. Wszystko co do jednego. Ponoć mamy suwerenność. Bzdura! Prawdziwą suwerenność uzyskamy jedynie w Unii

Euroazjatyckiej.

Euroazjatycka Unia Gospodarcza to planowana współpraca gospodarcza między byłymi republikami radzieckimi. Dotychczas jej członkami są tylko Rosja, Białoruś i Kazachstan, oczekuje się jednak, że przystąpią do niej Armenia i Kirgistan oraz najprawdopodobniej także Tadżykistan. W zamysłach było również członkostwo Ukrainy. Właśnie brak porozumienia co do tego, czy Ukraina ma się zbliżyć do UE, czy raczej zacieśniać więzy z Rosją poprzez Unię Euroazjatycką, wywołał protesty w Kijowie przed Bożym Narodzeniem 2013 roku i doprowadził do dramatycznego upadku prezydenta Janukowycza.

Traktat unijny, który według prezydenta Rosji Władimira Putina ma „epokowe znaczenie”, wejdzie w życie 1 stycznia 2015 roku. Na razie nie jest do końca jasne, jaką formę i jaki zasięg będzie miała ta współpraca ekonomiczna¹⁸. Była mowa o wspólnej walucie w rozliczeniach między państwami członkowskimi, niemniej najbardziej prawdopodobne są umowy o wolnym handlu oraz swobodny przepływ siły roboczej przez granice. Mając trzy kraje członkowskie, unia zajmuje piętnaście procent powierzchni Ziemi i dysponuje piątą częścią światowych zasobów gazu.

– Prezydent Kazachstanu, Nazarbijew, powziął myśl o unii już w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym – mówił ornitolog. – Nie będzie tak samo jak w Związku Radzieckim, bo każdy kraj zachowa niezależność.

Znowu się rozkaszał, twarz mu poczerwieniała, łzy pociekły po siwej brodzie. Potem zapalił fajkę.

– Najważniejsza jest i tak moralność – powiedział, ssąc fajkę.

Słodkawy dym mieszał się z zapachem starych wysuszonych encyklopedii.

– Moralność – powtórzył. – To ona się liczy.

Kiedy wstałam, by się pożegnać, zmusił mnie do zostania jeszcze chwilę.

– Pokażę pani kilka zdjęć – rzucił. – Wtedy pani lepiej zrozumie.

Zaczął przeglądać foldery na ekranie komputera. Migąły znakomite ujęcia

synogarlic senegalskich, sępów płowych, tracza bielaczka i jerzyka alpejskiego, robione teleobiektywem z dużej odległości. Fotografie były tak ostre i tak dobrze skomponowane, że mogłyby zostać użyte jako ilustracje do atlasu. Ale to nie ptaki parku narodowego chciał mi pokazać ornitolog. Wreszcie znalazł zdjęcie, którego szukał, i odchylił się zadowolony na krześle biurowym. Czarno-biała fotografia ukazywała grzecznie ustawioną klasę – dziewczynki w spódniczkach z fartuszkami i chłopców w krótkich spodenkach.

– Wszyscy chłopcy mieli wtedy krótkie włosy – zauważył.

Na następnym zdjęciu dzieci były jeszcze młodsze, jednak również ładnie ubrane i krótko ostrzyżone.

– Kiedy chodziliśmy do przedszkola, każdego lata mieszkaliśmy przez trzy miesiące na wsi, całkiem za darmo. Nasi rodzice pracowali wtedy w mieście. Pomyśleć tylko! Trzy miesiące, całkiem darmo, co roku!

Z fajki unosiła się smużka dymu. Synek, którego ornitolog doczekał się z drugą żoną, wszedł do pokoju i zaczął się bawić, jeżdżąc samochodzikiem po dywanie. Ojciec nie zwracał na niego uwagi, wpatrzony z zachwytem w ekran komputera.

– Dzieciństwo miałem najlepsze na świecie – stwierdził. – Najlepsze na świecie.

Podróżujący po byłym Związku Radzieckim rzadko muszą długo szukać, żeby znaleźć hardcorowych nostalgików, którym brakuje dawnych dobrych czasów, kiedy świat był czerwony, uczniowie należeli do pionierów, półki w sklepach uginały się od konserw, a bezrobocia nie było widać w statystykach. Oczywiście, nostalgia nie jest zjawiskiem wyłącznie radzieckim. Moja babcia też jest przekonana, że miała najlepsze dzieciństwo w historii. Od tamtego czasu, według niej, większość rzeczy zesła na psy; wystarczy włączyć wiadomości w telewizji, a nieszczęścia strumieniem wlewają się do domu. Zasadnicza różnica między moją babcią a ukraińskim

ornitologiem polega na tym, że ustroju, w którym istniało jego dzieciństwo, nie ma. Związek Radziecki się rozpadł, a jego podstawa ideologiczna trafiła na śmietnik historii.

Zwłaszcza Rosjanie są, jak się wydaje, narażeni na dolegliwości związane z *nostalgia sovietica*. Wielu z nich łączy, nie bez racji, rozpad Związku Radzieckiego z poczuciem straty i klęski. Z dnia na dzień imperium zostało zredukowane o ponad jedną piątą, a Matuszkę Rasię dotknął chaos gospodarczy. Skutki nieudolnego zarządzania okazały się bardzo dotkliwe. W dorocznym przemówieniu w zgromadzeniu narodowym w 2005 roku Putin nazwał załamanie się Związku Radzieckiego największą katastrofą geopolityczną XX wieku. Podkreślił, że rozpad miał szczególnie negatywne konsekwencje dla około dwudziestu pięciu milionów Rosjan mieszkających poza granicami kraju. Ponad jedna trzecia z nich, dziewięć i pół miliona, osiedliła się w Azji Środkowej. Między rokiem 1991 a 2003 osiem milionów dawnych obywateli radzieckich, głównie etnicznych Rosjan, przemeldowało się do Rosji. Mniej więcej połowa z nich, blisko cztery miliony, przybyła z Azji Środkowej.

Część Rosjan pozostałych w regionie przeżyła znaczące obniżenie statusu i ograniczenie praw. Żadne z postradzieckich państw w Azji Środkowej nie wdrożyło derusyfikacji tak zdecydowanie jak Turkmenistan, który aktywnie zaangażował się w usuwanie wszelkich śladów komunizmu i języka rosyjskiego z przestrzeni publicznej. Ostatnio władze turkmeńskie wprowadziły zakaz posiadania podwójnego obywatelstwa, co dotyka czterdzieści trzy tysiące obywateli rosyjskich żyjących w tym kraju. Od uzyskania samodzielności w 1991 roku niezmiernie bogaty i ekscentryczny Turkmenistan idzie swoją drogą i przedkłada współpracę i umowy handlowe z Chinami i Iranem nad kooperację z innymi krajami poradzieckimi. Władze bardzo się zaangażowały w rozszerzenie eksportu gazu do Chin. Dziś Chińczycy są najważniejszymi partnerami handlowymi Turkmenistanu.

Chiny są również wyraźnie obecne w pozostałych Stanach, lecz nie

w Uzbekistanie, który w jeszcze większym stopniu niż Turkmenistan tańczy solo politycznie i gospodarczo. Chiński eksport do Azji Środkowej wzrósł od rozpadu Związku Radzieckiego o ponad sto procent. Chińczycy są zdecydowanie najważniejszym partnerem handlowym także dla Kazachstanu, Kirgistanu i Tadżykistanu. Interesy chińskie w regionie mają na razie charakter wyłącznie ekonomiczny, podczas gdy motywy Rosji są bardziej złożone. Nie zawsze łatwo udaje się odróżnić pobudki gospodarcze od politycznych – a i radziecka nostalgia odgrywa tu pewną rolę. Imperium odczuwa brak samego siebie.

Nie jest niespodzianką, że zarówno Tadżykistan, jak i Kirgistan zastanawiają się nad członkostwem w Unii Euroazjatyckiej. Oba górzyste kraje rolnicze należą do najbiedniejszych byłych republik radzieckich. Oba są całkowicie zależne od pieniędzy, które przesyłają z Rosji robotnicy emigranci, a które stanowią odpowiednio połowę i jedną trzecią PKB tych krajów. Rozumie się samo przez się, że z takim ułamkiem ani tadżyccy, ani kirgisy politycy nie mogą rywalizować z wielkim rosyjskim bratem. Putin może w każdej chwili wprowadzić wizy dla emigrantów zarobkowych, z czego politycy obu krajów oczywiście doskonale zdają sobie sprawę.

Stosunek Kazachstanu do Rosji jest bardziej skomplikowany. Kraj jest jeszcze bogatszy niż Turkmenistan i ma stabilne podstawy ekonomiczne, jednak duża część eksportowanej ropy płynie rosyjskimi rurociągami. Żaden inny kraj na świecie nie ma tak długiej granicy z Rosją – aż sześć tysięcy osiemset czterdzieści sześć kilometrów – i w żadnym innym kraju środkowoazjatyckim nie mieszka aż tylu Rosjan.

Rosyjska kolonizacja Kazachstanu zaczęła się już w XVIII wieku, kiedy chan jednego z trzech głównych plemion kazachskich poprosił cara o ochronę przed napadami sąsiadów¹⁹. W ciągu XIX wieku na kazachskich stepach osiedlali się coraz liczniejsi Rosjanie, lecz migracja wzmogła się na serio dopiero w latach pięćdziesiątych XX wieku, kiedy Nikita Chruszczow rozpoczął wielką kampanię w celu wzięcia pod uprawę „dziewiczej ziemi”

w północnym Kazachstanie. Pomysł polegał na tym, żeby ogromne obszary Kazachstanu zostały spichlerzem Związku Radzieckiego. Wiele setek tysięcy Rosjan i Ukraińców posłuchało zachęty i przesiedliło się na dawniejsze pastwiska wędrownych Kazachów. Pod koniec lat pięćdziesiątych Rosjanie stanowili większość (prawie czterdzieści trzy procent) ludności Kazachstanu, natomiast liczba rdzennych Kazachów wynosiła trzydzieści procent. Kampania dziewiczej ziemi na krótką metę była udana, jednak wkrótce się okazało, że suchy, zasolony step nie nadaje się do intensywnej uprawy zbóż. Przez pierwsze lata zbiory były dobre, potem z roku na rok malały.

Mimo nietrafionej kampanii rolnej większość Rosjan i Ukraińców pozostała w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej aż do upadku Związku Radzieckiego. W 1989 roku w Kazachstanie mieszkało ponad sześć milionów Rosjan. Dzisiaj mieszka ich tu około czterech milionów. Rosjanie stanowią zatem nieco poniżej jednej czwartej łącznej liczby mieszkańców kraju. Z kolei Kazachów, których współczynnik urodzeń był dużo wyższy niż Rosjan, jest obecnie prawie dwie trzecie. Prezydent Nazarbajew przywiązywał dużą wagę do utrzymania dobrych i bliskich stosunków z Rosją również poprzez wspomnianą Euroazjatycką Unię Gospodarczą, a rosyjski jest wciąż uznawany za język oficjalny. Z kolei kazachski jest „językiem państwowym”.

Chociaż Kazachstan obrał inną, łagodniejszą ścieżkę niż na przykład Turkmenistan, stosunek sił niezaprzeczalnie przechyla się na stronę Kazachów. Rosjanie już nie są narodem panującym. W nowej konstytucji z 1995 roku Kazachstan – kraj Kazachów – został zdefiniowany jako „państwo narodowe etnicznych Kazachów”.

Kazachskie polo

Dzień Zwycięstwa 9 maja jest jednym z tych radzieckich świąt, które obchodzi się wciąż z przytupem w całym byłym imperium. W miejscowości Turkiestan, w południowym Kazachstanie, kilka krótkich kilometrów od parku narodowego nostalgicznego ornitologa, świętowano go na prawdziwie kazachski sposób.

Na trawiastej równinie roilo się od ludzi. Nad tłumem snuł się grubą warstwą błękitnawy kopeć z grillów. Kobiety w długich spódnicach, stąpając po nierównym podłożu, usiłowały utrzymać równowagę w butach na wysokich obcasach. Grupa starszych panów, przyciśniętych do ogrodzenia, w skupieniu obserwowała biegi. Jeźdźcami byli chłopcy, niektórzy nie wyglądali na więcej niż osiem, dziewięć lat. Wszyscy w dżinsach i adidasach, bez kasków ochronnych dosiadali nieosiodłanych koni, które pokonywały z grzmotem kopyt rundę za rundą bez najmniejszego zwolnienia tempa. Chłopcy wydawali się przyklejeni do grzbietów, na pozór spokojni i rozluźnieni, lecz wzrok mieli twardo utkwiony w celu.



Tradycyjne kazachskie zapasy. Na grzbiecie konia, rzecz jasna.

Niecałe dwa tygodnie wcześniej byłam świadkiem upadku prezydenta na licowanym marmurem torze wyścigowym pod Aszchabadem, otoczona przez mężczyzn w ciemnych garniturach i kobiety w odświętnych sukniach do kostek. Trudno o większy kontrast. W Turkiestanie tor był to pojedynczy pas piasku na łące, ogrodzony płotem z bitych desek. Wszędzie było pełno ludzi, samochodów, koni i grillów i nie wyglądało na to, że ktoś sprawuje nad całością organizatorski nadzór. Mimo to przez cały czas coś się działo. Pomiedzy biegami aranżowano zapasy na grzbietach koni i *kysz kuu* – „polowanie na dziewczęta”. *Kysz kuu* to popularny sport we wszystkich wielkich, „końskich” narodach środkowoazjatyckich. Chłopak, najczęściej

ubrany w tradycyjny strój – kamizelę, kapelusz itp. – siedzi w gotowości na końskim grzbiecie na linii startu. Dziewczyna, często w długiej sukni, startuje konno kawałek za chłopakiem. W momencie, kiedy mija go galopem, on także zaczyna bieg i ją ściga. Jeżeli ją dogoni przed linią mety, może jej zgodnie z tradycją skraść całusa. Jeżeli zaś nie uda mu się dogonić dziewczyny, wówczas ona pędzi go aż na linię startu, smagając po drodze pejczem. Łącznie trzech chłopaków próbowało szczęścia i wszyscy trzej zostali przegnani z powrotem na start przez dziewczęta galopujące w łopocie spódnic przy wtórze uderzeń pejczy o męskie plecy i pohukiwania zachwyconych widzów. Podczas późniejszego wręczania nagród każda z dziewcząt została uhonorowana odkurzaczem.



Kyz kuu – polowanie na dziewczęta. Chłopak nie dogonił dziewczyny i teraz wraca poganiany batem.

Wyścigi zakończyły się w porze obiadowej. Przylepieni do płotu starsi mężczyźni byli, jak się zdaje, w podniosłym nastroju. Ojcowie poszli po synów. Na torze szykowały się do startu drużyny *kok-boru*. *Kok-boru* albo *buzkaszi*, jak go też nazywają, jest narodowym sportem w całej Azji Środkowej, także w Afganistanie. Niektórzy komentatorzy określają go jako konną piłkę nożną, lecz właściwie najbardziej przypomina polo. Zamiast o piłkę drużyny, z których każda składa się z dziesięciu jeźdźców, walczą o bezgłowe zwłoki kozy. Po obu stronach toru ustawia się półtorametrowej wysokości i trzymetrowej szerokości kręgi, *kazan*, co zresztą jest też nazwą

żeliwnego sagana, w którym przygotowuje się pilaw i inne dania kuchni środkowoazjatyckiej. Za każdym razem, kiedy zawodnikowi uda się umieścić kozi zewłok w kazanie przeciwnika, jego drużyna otrzymuje punkt. Potem bezgłową kozę kładzie się znowu na ziemi na środku toru i gra się dalej. Tradycyjne rozgrywki trwają nawet kilka dni. Podczas turniejów natomiast gra ze względu na publiczność podlega ograniczeniom czasowym.

Mężczyźni przy płocie przestali rozmawiać. Odgwizdano początek zawodów. Jasnobrązowa, włochata koza bez głowy leżała na piasku w środku między kazanami. Czterech jeźdźców walczyło o jej podjęcie. Jak akrobaci schylali się nad ziemią, nie tracąc przy tym równowagi. Muskularne konie nacierały na siebie, nie reagując na głośne okrzyki radości widzów. Konie były specjalnie szkolone do tej gry i potrafiły w kilka sekund ruszyć z miejsca pełnym galopem. Najlepsze z nich umiały ostro skręcać bez zwalniania. Jeźdźcy zwieszali się to z jednej, to z drugiej strony grzbietu, próbując przechwycić od przeciwników coraz bardziej poszarpaną kozę. Wydawało się, że trzymają ich w siodłach niewidzialne sznury. Nagle któryś jeździec wyrwał się z cizby i pogalopował w stronę jednego z białych kół. Na grzywie konia kołysała się martwa koza. Pozostali jeźdźcy obrócili się i podjęli pogoń. Za nimi ciągnęła się niczym ogon chmura kurzu. Kiedy publiczność radośnie wrzasnęła, pojęłam, że jedna z drużyn uzyskała punkt.



Kazachskie polo, *kok-boru*. Martwa koza, o którą toczy się rozgrywka, przerzucona przez grzbiet konia od lewej.

Archeolodzy są zdania, że mniej więcej tutaj, na kazachskich stepach, ludzie przed niespełna sześcioma tysiącami lat po raz pierwszy ujarzmili dzikiego konia. Od tego czasu koń był nieodzowną i naturalną częścią egzystencji stepowych koczowników. I chociaż większość Kazachów porzuciła tryb życia nomadów i dawno stała się osiadła, ich kultura wciąż jest ściśle związana z koniem. Wyścigi konne gromadzą tysiące widzów, a każda szanująca się wioska ma przynajmniej jedną dobrą drużynę *kok-boru*.

Konie osiągające wiek emerytalny kończą na grillu. W przeciwieństwie do Turkmenów, którzy nie tykają koniny, Kazachowie z prawdziwą przyjemnością zajadają się końskimi befsztykami i kiełbasami. *Kymyz*, kumys, ukwaszone kobyle mleko, uważa się za delicje i pija na co dzień i od święta.

Późnym popołudniem wzmógł się wiatr. Namioty groziły odfrunięciem, a kobiety musiały rękami przytrzymywać furkoczące spódnice. Plastikowe butelki i serwetki fruwały bez ładu i składu, ludzi i konie pokryła rudobrązowa warstwa pyłu. Drużyny nie rozegrały jeszcze nawet połowy meczu, gdy publiczność zaczęła odstępować od płotów, porzucać namioty i grille i wycofywać się do samochodów. Na koniec przy ogrodzeniu zostało tylko kilku starszych entuzjastów, poza tym cały teren był opuszczony, namioty zwinięte, a parking pusty. Jeźdźcy na torze z olimpijskim spokojem grali dalej. Chmura pyłu wzbijała się za każdym razem, gdy galopowali kupą raz ku jednemu kazanowi, raz ku drugiemu.

Do zachodu słońca pozostało wiele godzin.

* * *

Wcześniej tego dnia wpadłam do Szymkentu, stolicy południowego Kazachstanu i trzeciego co do wielkości miasta tego kraju. Tam Dzień Zwycięstwa fetowano w bardziej tradycyjny sposób: defiladami, przemówieniami i składaniem hołdu bohaterom wojennym. Weterani, którym zdrowie jeszcze na to pozwalało, stawili się wystrojeni w odświętne garnitury.

W parku miejskim przed okazałym pomnikiem upamiętniającym drugą wojnę światową spotkałam bohatera wojennego Sesembaja Machmytowa i jego równie bohaterską żonę Kundus. Sesembaj był wiekowy i tak zasuszony, że wprost ginął w świeżo wyprasowanym ciemnym garniturze. Biała koszula także była wyprasowana, czarne buty błyszcząły. Na piersi

lśniło mnóstwo medali. Małżeństwo mówiło tylko po kazachsku, ale z pomocą jednego z przechodniów dowiedziałam się, że Sesembaj walczył na froncie podczas drugiej wojny światowej. W czasie walk we wschodniej Europie został ranny w bark, ale doszedł do siebie i walczył do końca. W kwietniu 1945 roku wmaszerował do Berlina.

– Kula dalej tam siedzi – powiedział, dumnie wskazując prawy bark.

Kundus także dostała medal. Wypolerowany błyszczał w słońcu. Gdy mężowie i synowie walczyli z faszystami, kobiety dbały, by praca w kołchozach szła swoim trybem jak kraj długi i szeroki.

– Czy było trudno? – Kundus, której głowę otulała biała chusta, spojrzała na mnie zaskoczona. – Jasne, że było! Musiałyśmy całą robotę wykonać same. Wszystko, co wyprodukowałyśmy, szło na front. A my tu w domu głodowaliśmy.

Drugą wojnę światową nazywa się po rosyjsku wielką wojną ojczyźnianą. Żadne inne państwo nie poniosło w niej tak dużych strat jak Związek Radziecki. Szacuje się, że od dwudziestu do trzydziestu milionów obywateli straciło życie albo w walkach, albo z głodu i chorób. To dotyczy również republik środkowoazjatyckich – przyjmuje się, że w drugiej wojnie światowej zostało zabitych ponad trzysta tysięcy kazachskich żołnierzy. Dodatkowo około trzystu pięćdziesięciu tysięcy cywilów zmarło z głodu lub chorób. Łącznie z powodu wojny straciło życie około dziesięciu procent ludności Kazachstanu – procentowo takie same straty ponieśli Niemcy. Wielu kazachskich żołnierzy, podobnie jak Sesembaj, nie opanowało rosyjskiego. Wielu z nich przedtem prawie nie opuszczało swoich wiosek. Nagle dostawali wezwanie do wojska i zanim się obejrżeli, odziani w mundur znajdowali się na obcym kontynencie, gdzie z bronią w ręku bili się za największy kraj na świecie w największej na świecie wojnie.

Mimo wielkich strat liczba ludności Kazachstanu w latach wojny wzrosła skokowo. Chociaż wojna szalała, a żołnierze padali jak muchy, Stalinowi starczyło czasu, żeby w tym okresie przesiedlić miliony ludzi w granicach

kraju. Jeszcze zimą 1944 roku do Azji Środkowej przyjeżdżało mnóstwo pociągów z wagonami wypełnionymi po brzegi. Wszystkich członków deportowanych narodowości – kobiety, niemowlęta, starców – rzucono w kazachski step tysiące kilometrów od domu, pozbawionych jakiegokolwiek dobytku poza ubraniami, które mieli na grzbiecie.

Pionki Stalina

Katedra, największa w Azji Środkowej, była wypełniona do ostatniego miejsca. Stawiło się wiele setek wierzących, elegancko ubranych w ciemne garnitury i skromne sukienki. Większość miała jasną cerę i europejskie rysy twarzy. Wszyscy, nawet najmłodsze dzieci, siedzieli cicho jak myszki, wsłuchując się w słowa duchownego:

– Przez siedemdziesiąt lat dobrym chrześcijanom odmawiano prawa do dawania świadectwa wiary, a katolicy z dalekich krajów byli zsyłani tu, do Karagandy w Kazachstanie, ze względu na swoją narodowość i wiarę.

– Ksiądz mówił powoli, poprawną ruszczyzną, choć z zauważalnym niemieckim akcentem. – Właśnie dlatego wielka jest nasza radość dzisiaj, że możemy się znaleźć w tym nowo otwartym kościele Najświętszej Marii Panny Fatimskiej – Matki Wszystkich Narodów. Jakież wezwanie pasowałoby lepiej do kościoła akurat w tym miejscu?

Nazwa katedry stanowi odniesienie do wydarzeń, które jakoby rozegrały się w Fatimie, niewielkiej wiosce portugalskiej, w 1917 roku. W serii objawień Maria Dziewica miała powierzyć trójce ubogich pastuszków trzy tajemnice. Jedna z tajemnic dotyczyła Rosji – jeżeli Rosja się nie nawróci, ludzkość doświadczy jeszcze większej wojny, a wroga wiary propaganda rozprzestrzeni się po całym świecie.

– Maryjna przepowiednia kończyła się następującymi świetlistymi słowami: „Na koniec zwycięży moje czyste serce”. – Ksiądz zdobył się na uśmiech. – Dzisiaj możemy stwierdzić, że Jej czyste serce zwyciężyło. Związek Radziecki nie istnieje, a zarówno Rosja, jak i Kazachstan stały się samodzielnymi krajami, gdzie chrześcijanie swobodnie mogą wyznawać swoją wiarę.

Trójka dzieci w białych komeżkach wyprowadziła procesję na dwór. Szły tyłem, rozsypując po podłodze płatki róż.

Świętowanie fatimskich objawień miało dalszy ciąg w podziemiach.

Podano zupę i napoje, z głośników dudnił kazachski pop. Cała trójka, która tak uroczyście sypała płatki w kościele, podskakiwała teraz na parkiecie, śmiejąc się i podśpiewując. Dorośli stali pod ścianami i pokrzykiwali do siebie w hałasie.

Musiałam wyglądać tak, jak się czułam, samotna i wykluczona, bo podszedł do mnie starszy barczysty pan z lśniąco łysiną, elegancko odziany w ciemny garnitur i czarny wełniany płaszcz. Zapytał, skąd jestem. On sam, jak większość w parafii, był Polakiem, na imię miał Antonin.

W wyniku negocjacji na temat przebiegu granic po pierwszej wojnie światowej wiele dziesiątek tysięcy Polaków znalazło się po radzieckiej stronie granicy. Przez pierwsze lata cieszyli się jako taką narodową suwerennością – wolno im było mówić po polsku, dzieci chodziły do polskich szkół. Z czasem próbowano ich coraz bardziej zapamiętane sowietyzować, lecz oni sprzeciwiali się tak kolektywizacji, jak – zwłaszcza – ograniczeniu swobody religijnej. W połowie lat trzydziestych Stalin definitywnie zdjął jedwabne rękawiczki. Tych z Polaków, którzy nie zostali wcześniej uwięzieni lub zabici, deportowano do Kazachstanu. Rodziców Antonina przesiedlono w 1936 roku.

Polacy znaleźli się wśród pierwszych deportowanych, lecz nie byli ostatni. Całe narodowości definiowano jako „wrogów ludu” i przesiedlano na Syberię lub do Azji Środkowej, zwłaszcza do Kazachstanu. Tu ludności było niewiele, równiny ciągnęły się puste i bez kresu. Całe nacje wyładowywano tu z wagonów i pozostawiano sobie, tak jak stały, bez żadnej pomocy. Po wybuchu drugiej wojny światowej deportacje przyspieszały w tym samym tempie, w jakim rosła paranoja Stalina. Wszystkich, których można było podejrzewać o sympatyzowanie z Niemcami lub zagrożenie w inny sposób Związkowi Radzieckiemu, wyrzucano z domów i wysyłano na wschód: Tatarów z Półwyspu Krymskiego, Czeczenów i Inguszków z północnego Kaukazu, Niemców z kolonii nad Morzem Czarnym i Wołgą. Wszyscy oni w czasie wojny zostali zesłani do Azji Środkowej. Łącznie szacuje się, że

w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku przesiedlono sześć milionów ludzi. Około jednej czwartej z nich zmarło podczas transportu albo w pierwszym okresie zesłania. Do dziś w Kazachstanie mieszka ponad sto różnych narodowości, trwałe memento brutalności reżimu Stalina.

Rodzice Antonina przeżyli podróż, ale nie pozwolono im mieszkać razem nawet wtedy, gdy w 1939 roku przyszedł na świat ich syn. Oboje skierowano do pracy – ojca w kołchozie na wsi, matkę w kopalni na skraju miasta. Pracowała tu jako lampowa. Jeżeli płomień w jej lampie zgasł albo się zmienił, oznaczało to niebezpieczeństwo i górników należało ewakuować.

– To musiała być ciężka praca – zauważyłam ze współczuciem.

– Nie, wcale nie – odparł Antonin łagodnie. – Bardzo lekka. Pod tym względem miała szczęście.

Aż do śmierci Stalina w 1953 roku deportowane do Karagandy nacje żyły pod ścisłą kontrolą. Rodzice Antonina nie mogli bez pozwolenia opuszczać miejsca pobytu, za drobne przewinienia surowo ich karano. Na przykład spóźnienie się do pracy karano więzieniem. Najgorsza była świadomość, że najmniejsze złamanie reguł mogło prowadzić do zabrania dzieci i oddania ich do domu dziecka.

– Jedzenia wam wystarczało? – spytałam.

– Nie, nigdy nie było go dosyć – odrzekł Antonin. – Dostawaliśmy kartki na chleb, ale nigdy go nie starczało.

Setki tysięcy ludzi tak żyły. Nie w więzieniu, ale też i nie na wolności. Zmuszone do pracy od świtu do zmierzchu, nie będąc w stanie wyżywić rodziny. Nie zawsze łatwo było dostrzec różnicę między tymi, którzy w zasadzie byli wolni, a rzeczywistymi więźniami. Tych także nie brakowało. Obozy pracy w Karagandzie określano zbiorczym mianem Karłagu i należały one do największych w systemie gułagów. Rozciągały się na terenie wielkości dzisiejszego Kuwejtu²⁰. Pozbawiono wolności wielu artystów, intelektualistów, naukowców, którzy nie popełnili przestępstwa, natomiast uważano ich za zagrożenie dla reżimu, ponieważ byli zbyt

wolnomyślicielscy. Innych więziono, ponieważ w oczach reżimu uchodzili za zbyt zamożnych albo wyróżniali się w inny sposób. Na wszelki wypadek aresztowano często także ich żony i dzieci.

Osadzeni w obozach pracy bardzo przydawali się radzieckiej gospodarce. Karłag zaopatrywał Związek Radziecki między innymi w żarówkę i szyny kolejowe, przede wszystkim jednak w żywność. W szczytowym okresie w obozie, który służył z wykonywania norm produkcyjnych w dobrze ponad stu procentach, przebywało dwieście tysięcy owiec i trzydzieści tysięcy krów. Więźniowie nie mieli szans, by korzystać z wyprodukowanej żywności, i z reguły cierpieli głód.

Przez dziewiętnaście lat istnienia, od 1934 roku do śmierci Stalina, przez obóz przewinęło się ponad osiemset tysięcy ludzi. Dwadzieścia cztery tysiące więźniów zabito. Patrząc na system gułagów jako całość, szacuje się, że od 1929 do 1953 roku, w okresie dwudziestu czterech lat, kiedy obozy pracowały pełną parą, przeszło przez nie łącznie osiemnaście milionów ludzi.

W podziemiach kościoła niektórzy dorośli odważyli się wyjść na parkiet. Tańczyli na sztywnych nogach, uśmiechali się jeszcze bardziej sztywno. Każdy z nich prawdopodobnie miał do opowiedzenia przynajmniej równie dramatyczną historię rodzinną. Antonin podążył za moim wzrokiem. Wskazał palcem jednego z tańczących:

– Polak – powiedział i wskazywał dalej. – Też Polak, Ukrainiec, Polak, Rosjanin, Polak, Koreańczyk, Kazach, Rosjanin, Polak.

Miliony ludzi wyrwano z korzeniami z rodzinnej ziemi i zmuszono ich, by je zapuścili w nowym miejscu, setki kilometrów dalej, na ugorze. Ten eksperyment świadczy, jeżeli nie o czymś innym, to przynajmniej o ludzkich zdolnościach przystosowawczych. Kiedy po śmierci Stalina stopniowo pojawiały się możliwości powrotu deportowanych nacji do domów, wielu wolało tu pozostać. W miarę upływu lat wygnanie stało się domem.

Antonin nawet po tym, jak usunięto żelazną kurtynę, nigdy nie rozważał

możliwości przeprowadzki.

– Tu się urodziłem – rzucił. – To jest mój kraj.

Jako syn wrogów ludu automatycznie został naznaczony jako wróg ludu w momencie zgłoszenia jego urodzin do urzędu stanu cywilnego. W 2002 roku został zrehabilitowany.

– Późno – zauważyłam.

Wzruszył ramionami.

– Dostałem tysiąc tenge rekompensaty.

– No, majątek to nie jest. To... – Szybko przeliczyłam. – Cztery euro?

– Jedenaście lat temu miało większą wartość – uśmiechnął się.

Chociaż inflacja okrutnie się obeszła z kazachskim tenge, nawet wówczas nie mogła to być jakaś ogromna suma, ale przecież nie zawsze decydująca jest wartość materialna rekompensaty.

Stolica

Sasza, mój osiemnastoletni kierowca, był zdenerwowany i nalegał, byśmy po drodze wstąpili do myjni. Lśniący czysty samochód podnosił jego zdaniem nasze szanse na wpuszczenie do stolicy. Droga dalej na północ była płaska i niemal pozbawiona zakrętów. Domy spotykało się coraz rzadziej, krajobraz był płaski i pusty. Po kilku godzinach w oddali dał się dostrzec słaby blask świateł. Astana. Stolica.

– Tam jest niewyobrażalnie pięknie, jestem pewien, że pokocha pani to miasto – odezwał się Sasza. – Jeżeli tylko nas wpuszczą – dodał zasepiony, oceniając wzrokiem powgniataną karoserię.

Kontrola na rogatek była bardziej surowa niż na większości granic państwowych w Europie. Widocznie do kazachskiej stolicy nie wpuszczano byle kogo. Armia sztywno umundurowanych policjantów lustrowała ruch gniewnym wzrokiem. Zatrzymywano całe załadowane autokary, trzeba było pokazać bagaż i dokumenty. Tymczasem nas wpuszczono bez problemów. Sasza odetchnął z ulgą.

– Widzi pani, dobrze, żeśmy się zatrzymali i umyli samochód – stwierdził.

Jasnoniebieska flaga Kazachstanu z żółtymi znakami powiewała w wieczornej bryzie, gdy jechaliśmy szerokimi, rozświetlonymi arteriami Astany.

– Czy tu nie jest pięknie! – Sasza westchnął z zachwytem.

– Bardzo pięknie – potwierdziłam uprzejmie.

Od pierwszej chwili czułam się w Astanie źle. Może zawiniły niekończące się uliczne korki, które przywodziły na myśl Moskwę? Po południu samochody więzły w długich, klaustrofobicznych wężach. W duchu podejrzewałam, że urbanista celowo zaplanował sieć komunikacyjną tak, by tworzyły się korki i w ten sposób powstawała iluzja zaaferowanej, pulsującej życiem metropolii. Astanę otaczają kilometry pustkowia, we wszystkie strony rozciąga się nieurodzajny step. Za rogatekami nie uświadczysz w polu

widzenia ani jednego samochodu czy człowieka, prawie żadnej owcy ani wielbłąda. Upchanych w granicach miasta siedemset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców spędza sporą część dnia na staniu w niekończących się korkach.

Kwartale w Astanie są równie długie jak korki. Jedną przecnicę od drugiej dzieli nawet kilometr. Zwiedzanie pieszo byłoby w gruncie rzeczy nie do pomyślenia, toteż pozostawał samochód i korki. Kolejka podziemna też nie istniała. Nikt nie jeździł rowerem. Moje złe samopoczucie wywoływała raczej atmosfera. Chodnikami spieszenie podążali zaaferowani mężczyźni w ciemnych garniturach. Nikt nie podnosił wzroku. Nikt nie spojrzał mi w oczy. Po raz pierwszy w tej podróży czułam się niewidzialna. Właściwie atmosfera w Astanie nie różniła się od biznesowej, rywalizacyjnej i lekko gburowatej atmosfery którejkolwiek ze stolic, mimo to wydawało się, że wszystko w tym mieście wzmaga poczucie samotności. Może brało się to ze szczególnej historii powstania Astany. Stolica Kazachstanu nie rozwijała się mianowicie organicznie jak Moskwa czy Londyn, formowane i wygładzane przez stulecia. Powstała na skutek dekretu. W 1994 roku prezydent Nazarbajew postanowił, że stolicę przenieść się z milionowej Ałmaty na południu do oddalonego od niej o dziewięćset siedemdziesiąt kilometrów, pozbawionego znaczenia prowincjonalnego miasteczka Akmola w północnym Kazachstanie. Przeprowadzka nastąpiła w 1997 roku, rok później Akmola została przemianowana na Astanę, co po prostu znaczy „stolica”.



Wieża Bäjterek w awangardowym centrum Astany.

Nikt nie wie na pewno, dlaczego Nazarbajew postanowił przenieść stolicę. Nie dość, że Astana jest położona z dala od ludnych terenów na południu i otoczona pustkowieciami, to jeszcze tutejszy klimat należy do najbardziej niegościnnych na świecie. Astana jest drugą z kolei najzimniejszą stolicą na Ziemi. Przebija ją tylko Ułan Bator w Mongolii. Zimą temperatura spada aż do minus czterdziestu stopni. Sam Nazarbajew wyjaśniał, że Ałmaty stała się za mała, możliwości miasta się wyczerpały, zabrakło przestrzeni do rozwoju. Poza tym od dawna uważał, że stolica kraju powinna być położona bardziej centralnie, a nie jak Ałmaty na rubieżach, przy granicy z Kirgistanem i Chinami. Według złośliwców Nazarbajew miał tak wielu

wrogów w Ałmaty, że nie pozostawało mu nic innego, jak uciec na północ. Wyjaśnienie bardziej do przyjęcia jest takie, że Nazarbajew chciał umocnić władzę w rejonach północnych, gdzie prawie sześćdziesiąt procent ludności to etniczni Rosjanie. Poza tym w Astanie naprawdę było więcej przestrzeni do rozwoju i rozbudowy niż w gęsto zabudowanej Ałmaty.

W ostatnich latach Astana stała się prawdziwym symbolem nowoczesnego Kazachstanu. Już zainwestowano olbrzymie sumy w jej rozbudowę, a projekt jeszcze jest daleki od zakończenia. Do roku 2030 osiem procent budżetu państwa będzie przeznaczane na rozwój i rozbudowę Astany. Buduje się wszędzie. Wznoszone budynki są odważne i awangardowe; samo centrum miasta składa się prawie wyłącznie z budowli charakterystycznych, jedynych w swoim rodzaju. W środku króluje najbardziej znany gmach stolicy, wieża Bajterek (dosł. Wieża Topoli), autorski popis obsypanego nagrodami brytyjskiego architekta Normana Fostera. Wieża ma dokładnie dziewięćdziesiąt siedem metrów wysokości w hołdzie dla roku 1997, kiedy Astana stała się stolicą. Kulista złota kopuła na szczycie utrzymywana jest przez sieć cienkich białych ramion. Windą można wjechać na szczyt, skąd roztacza się niezrównany widok na nowoczesne śródmieście. Na wprost znajduje się centrum rozrywkowo-handlowe Namiot Chana, także autorski projekt Normana Fostera. Ma ono kształt wielkiego szklanego namiotu, największego tego rodzaju na świecie. Są tam butikie światowych projektantów, kino, basen i restauracje. Temperatura wewnątrz jest utrzymywana przez całą dobę na poziomie dwudziestu czterech stopni, niezależnie od tego, jak upalnie bądź lodowato jest na dworze. Nowa sala koncertowa Astany pomieści trzy i pół tysiąca słuchaczy, nowy meczet, bogato zdobiony złotem i białym marmurem, jest jednym z większych w Azji Środkowej. Na lewo od meczetu stoi nowy pałac prezydencki, okazały budynek z białą kolumnadą i lśniącymi jak lustro, szklanymi taflami, ukoronowany olbrzymią, błękitną jak niebo kopułą. Wkrótce zostaną oddane do użytku muzeum narodowe, w którym dużo miejsca poświęci się budowie

Astany, oraz awangardowa biblioteka narodowa, zaprojektowana przez duńską pracownię architektoniczną BIG.

Pod złotą kopułą w wieży Bäjterek stoi okrągły stół z malachitu, na nim spoczywa kolista pięciokilogramowa płyta ze srebra, konstrukcję zaś wieńczy dwukilogramowy trójkąt z czystego złota, w którym został uwieczniony odcisk dłoni Nazarbajewa. Żadna wycieczka do Astany nie będzie kompletna, jeżeli nie położysz swojej ręki na odciśniętej prawicy prezydenta, nie zamkniesz oczu i nie pomyślisz życzenia. Najpierw jednak, uprzedzając przewodniczy, musisz przesłać prezydentowi pozdrowienie, inaczej życzenie się nie spełni.

Nikt poza Normanem Fosterem nie odcisnął na Astanie wyraźniejszego piętna niż Nursułtan Nazarbajew, założnik tego miasta i jego architekt szef. Raczej nie przypadkiem obchodzony co roku z pompą Dzień Astany został ustanowiony na 6 lipca, w dniu urodzin Nazarbajewa.

– Niektórzy kontaktowali się ze mną i mówili, że chcą mi postawić pomnik, jak Turkmenbaszy w Turkmenistanie – zwierzał się skromnie Nazarbajew w wywiadzie dla Hugh Pope’a, korespondenta „Wall Street Journal”. – Po co, powiedziałem, moim pomnikiem jest Astana²¹.

Nowoczesne gmachy Astany, zaprojektowane przez uznanych zagranicznych architektów, są tryumfalnym świadectwem udanego przejścia od pięciolatek i władzy Rad do gospodarki rynkowej. Kazachstan dysponuje olbrzymimi zasobami ropy naftowej i gazu oraz dużymi złożami złota, węgla i uranu, co czyni ten kraj najbogatszym w Azji Środkowej. Poziom cen też świadczy o względnym dobrobycie – pokój hotelowy w Astanie kosztuje co najmniej tyle samo co w Oslo.

Nazarbajew przypisuje umiejętną transformację z republiki radzieckiej w nowoczesne państwo narodowe własnemu mądrymu przywództwu. Podobnie jak pierwszy prezydent Turkmenistanu, Turkmenbasza, także Nazarbajew pochodzi z nizin. Urodził się w biednej rodzinie pasterzy, lecz okazało się, że ma otwarty umysł, więc dobrze sobie radził w szkole. Kto

chciałby na własne oczy obejrzeć jego świadectwa szkolne, może odwiedzić Centrum Nazarbajewa w Astanie, gdzie wystawiono jego arkusz ocen ze szkoły podstawowej. W porównaniu z kolegami, których świadectwa także znajdują się na wystawie, Nazarbajew rzeczywiście osiągał w szkole bardzo dobre wyniki. Kształcił się, jak Turkmenbasza, na inżyniera; było to wykształcenie wysoko cenione w społeczeństwie radzieckim. Pracował potem przez wiele lat w różnych hutach – najpierw na Ukrainie, później w Kazachstanie. Praca była dość dobrze płatna, choć fizycznie wyczerpująca. Temperatura w piecach hutniczych wynosiła ponad dwa tysiące stopni Celsjusza, toteż w trakcie zmiany robotnicy wypijali po pół wiadra wody, żeby uzupełnić wypocone płyny. W wolnym czasie Nazarbajew skończył korespondencyjny kurs ekonomii – to znak, że żywił większe ambicje niż poświęcenie całego życia wyłącznie obrabianiu stali. Jako dwudziestodwulatek został członkiem partii komunistycznej i szybko piął się po szczeblach kariery. W 1989 roku Gorbaczow mianował go pierwszym sekretarzem kazachskiej partii komunistycznej.

W porównaniu z Turkmenbaszą – z którego to porównania większość prezydentów wychodzi obronną ręką – Nazarbajew przyjął skromniejszy styl przywództwa. W latach dziewięćdziesiątych, gdy wszystkie były republiki radzieckie zmagaly się z rozedrganą gospodarką i niebotyczną inflacją, prowadził kraj stabilnym kursem. Od 2000 roku PKB Kazachstanu rósł równomiernie od pięciu do dziesięciu procent rocznie, większość obywateli odnotowała wyższe dochody. Poza tym Nazarbajew wniósł niebagatelny wkład w utrzymanie harmonii między różnymi grupami etnicznymi i zapobieganie rozkwitowi napięć między Rosjanami a Kazachami.

Jak większość jego środkowoazjatyckich kolegów nie uniknął natomiast choroby wszystkich dyktatorów. Od rozwiązania Związku Radzieckiego w 1991 roku nieustannie sprawuje urząd prezydenta. Nieliczni poważni kandydaci opozycyjni, którzy z biegiem lat się pojawiali, zostali w ten czy inny sposób wymanewrowani z gry politycznej, kilku nawet pożegnało się

z życiem. W 2007 roku parlament uczynił dla niego wyjątek od reguły stanowiącej, że prezydent kraju może urzędować tylko dwie kadencje. Dzięki temu Nazarbajew ma szansę pozostać na stanowisku do końca życia. W roku 2010 parlament uchwalił nadanie mu honorowego tytułu Przywódcy Narodu, mimo protestów skromnego głównego bohatera. Jednocześnie przyjęto ustawę o karalności znieważania prezydenta lub niszczenia jego wizerunków. Dodatkowo Nazarbajew uzyskał dożywotni immunitet wobec ścigania karnego oraz możliwość wpływania na politykę kraju także po odejściu z urzędu.

Jeżeli wierzyć wynikom wyborów, Nazarbajew jest w dalszym ciągu bardzo popularny. W gruncie rzeczy z wyborów na wybory idzie mu coraz lepiej. W 2011 roku został ponownie wybrany dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami głosów, imponujące osiągnięcie, którego nie umniejsza nawet to, że frekwencja wyniosła ponoć aż 89,9 procent. Jeden z kontrkandydatów zażartował nawet, że sam głosował na Nazarbajewa dla wyrażenia „szacunku dla zwycięzcy”.

Nazarbajewowski styl rządzenia najlepiej chyba porównać z oświeconym absolutyzmem. To on podejmuje wszystkie ważne decyzje – parlament jest raczej dla ozdoby. Nazarbajew cały czas nalegał, by Kazachstan mógł postępować na swój sposób i w swoim tempie – przejście od siedemdziesięciu lat rządów totalitarnych do demokracji musi się odbywać powoli. Prezydent preferuje rozwój gospodarczy i stopniową rozbudowę urzędów. Wolność prasy, prawa obywatelskie i demokracja spadły na końcowe pozycje listy, ale na szczęście czasu jest w bród. Według dalekowzrocznego planu prezydenta Kazachstan stanie się w pełni rozwiniętą demokracją dopiero w 2050 roku. We wszystkich kazachskich miastach wiszą duże plakaty ze zdjęciem Nazarbajewa i ową obiecującą datą 2050, rokiem, gdy wszystko będzie dobrze. Problem rzecz jasna w tym, że Nazarbajew, który urodził się w 1940 roku, najprawdopodobniej do tego czasu umrze. Zamiast jednak przygotowywać swoje odejście i wyznaczyć

następcę, darował znaczne sumy na uniwersytet Nazarbajewa w Astanie z przeznaczeniem na badania nad lekami przedłużającymi życie.

Chociaż do 2050 roku jeszcze daleko, Kazachstan i tak jest tym spośród krajów środkowoazjatyckich, któremu najbardziej się poszczęściło, przynajmniej z perspektywy gospodarczej. Kraj ma w rzeczy samej tak dobre wyniki, że Nazarbajew zastanawia się, czy nie zmienić nazwy Kazachstan na Kazach Eli, co również znaczy „kraj Kazachów”, lecz bez obciążającej końcówki -stan. Prezydenta zmęczyło ciągłe wymienianie Kazachstanu jednym tchem z biednymi i źle rządzonymi sąsiadami i obawia się, że podobieństwo nazw odstraszy inwestorów. Chociaż niezawisły Kazachstan, czy też Kazach Eli, miał szczęście w geologicznej loterii i obecnie wprost pławi się w zasobach naturalnych, nad krajem wciąż wiszą cienie z czasów radzieckich. Do dziś wiele osób wiąże Kazachstan przede wszystkim z okrucieństwem systemu gułagów, stalinowskimi deportacjami i klęską głodu w latach trzydziestych XX wieku. Poza kosztami ludzkimi ogromne były też zniszczenia środowiska. Ubogi step na północy nie zniósł utopijnej Chruszczowowskiej kampanii dziewiczej ziemi; na południu wielkie Jezioro Aralskie skarłało do rozmiarów małego jeziora. Na wschodzie znaczne obszary nie dadzą się zasiedlić – to trwały skutek zimnowojennego wyścigu atomowego.

Jedną z pierwszych samodzielnych decyzji Nazarbajewa, która umocniła jego popularność jako prezydenta kraju, było zamknięcie kontrowersyjnego radzieckiego poligonu nuklearnego w Semipałatyńsku.

Wielki eksperyment

Mały samolot, który miał mnie zabrać dalej na południowy wschód, do Semipałatyńska, powoli wdrapywał się pod chmury. W okienkach łopotały sprane zasłonki, w przejściu leżał zakurzony chodnik z postrzępionymi brzegami. Walizki na kółkach i wypchane reklamówki groziły wypadnięciem z otwartych półek nad fotelami. Cały kadłub samolotu trząsł się jak wirujący bęben w starej pralce. Płaski krajobraz w dole coraz bardziej się oddalał.

Kazachstan ma wiele firm lotniczych, lecz poza Air Astana wszystkie pozostałe znajdują się na czarnej liście UE z zakazem lotów w europejskiej przestrzeni powietrznej. Natomiast Air Astana nie lata już do Semipałatyńska. Po modernizacji floty powietrznej w 2012 roku zlikwidowano tamtejszą trasę, ponieważ lotnisko „nie spełniało międzynarodowych standardów bezpieczeństwa”. Loty do Semipałatyńska przejęła zatem firma o wzbudzającej niewielkie zaufanie nazwie SCAT Airlines. Od modernizacji jej floty minęło widocznie trochę czasu, bo wirniki buczały i rzeżyły. Popielniczki pod oknami śmierdziały starymi niedopałkami. Stewardesy nie robiły sobie zachodu z demonstrowaniem zasad bezpieczeństwa przed *take-off* – jeżeli samolot by spadł, i tak prawdopodobnie nikt by się nie uratował.

Kiedy koła wreszcie z głuchym tąpnięciem dotknęły pasa startowego, pasażerowie spontanicznie dali głośny wyraz radości. Z całego serca przyłączyłam się do oklasków.

W pustynnym stepie pod Semipałatyńskiem rozegrał się jeden z najmroczniejszych rozdziałów zimnej wojny. To tutaj Związek Radziecki przeprowadzał większość prób nuklearnych. Przeciętnie wybuchała tu jedna bomba atomowa miesięcznie, w sumie czterysta pięćdziesiąt sześć. Każda eksplozja miała symetryczny oddźwięk po drugiej stronie planety, na pustyni Nevada i w Oceanie Spokojnym, gdzie wykonywali swoje próby nuklearne

Amerykanie. Oba supermocarstwa ciągnęły tę ukrytą wojnę prawie czterdzieści lat – jak powolny taniec chmury białych grzybów.

Kierowca, który miał mnie zawieźć z Semipałatyńska na poligon, ruszył z oszalamiającą prędkością. Kiedy pytałam, czy mógłby zwolnić, po prostu się śmiał i jeszcze przyspieszał. Droga była pusta, ale mniej więcej w jej połowie dostrzegliśmy idącego poboczem starszego mężczyznę. Pierwszy raz podczas całej jazdy kierowca zwolnił i stary człowiek z wdzięcznością zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Miał małe, podłużne oczy i głębokie zmarszczki na czole. Kiedy się uśmiechał, słońce odbijało się w pożółkłych zębach. Nazywał się Sadyk i miał pięćdziesiąt lat.

– Jak będę miał szczęście, to pożyję jeszcze z pięć lat – stwierdził rzeczowo. – W tych okolicach mało kto dożywa starości. W tym roku umarł mój kuzyn. Miał czterdzieści dwa lata. Oczywiście rak. Tutaj umiera się na to.

Mieliśmy podwieźć Sadyka tylko kilka kilometrów, prosił, żeby go wysadzić przy wjeździe do opuszczonego miasta. Szczyrzyły się tam w naszą stronę puste betonowe skorupy. Ulica prowadząca ku zrujnowanym blokom zarosła zielskiem i krzakami.

– To Szagan, moje rodzinne miasto – powiedział, wskazując głową opuszczone bloki. – Za ruskich był miastem zamkniętym. Mieszkali tu tylko Rosjanie i wojskowi. Mój ojciec był w wojsku, dlatego tu dorastałem. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, wszyscy Rosjanie wyjechali. Teraz nie ma tu nic. Codziennie w drodze do pracy przechodzę koło tych domów widm, ale staram się nie patrzeć w tę stronę. Kiedyś to miasto było pełne życia, mieliśmy szkołę, przychodnię, wszystko.

– Wiedzieliście o próbnym wybuchach, które przeprowadzano w pobliżu?

– Nie, ale czuliśmy, że coś się dzieje. Kiedy się urodziłem, skończyli z próbami naziemnymi i dla odmiany przeprowadzali wybuchy pod ziemią. Od czasu do czasu się trzęsła, zwykle w soboty. Jeżeli byliśmy w szkole, kiedy to się działo, wszystkich nas wyrzucano na dwór.

Sadyk wysiadł i ruszył w kierunku wioski po drugiej stronie szosy, gdzie teraz mieszkał. Szedł wolnym, sztywnym krokiem.

Kierowca dodał gazu i w zaskakująco krótkim czasie znaleźliśmy się w Kurczatowie. Koło dawnego punktu kontrolnego u wjazdu do miasta po zasiekach z drutu kolczastego, które dawniej broniły wstępu nieupoważnionym, zostało tylko kilka palików. Dzisiaj nie były już potrzebne. Dzisiaj to miejsce, z którego ludzie się wynoszą, a nie gdzie się próbują dostać.

Kurczatow, centrum administracyjne poligonu nuklearnego, powstało w ekspresowym tempie w 1947 roku. Tysiące skazanych skierowano do budowy domów i ulic. Władzom się spieszyło. Minęły już dwa lata od zbombardowania przez Amerykanów Hiroszimy i Nagasaki, nadeszła najwyższa pora na skonstruowanie odpowiedniej bomby radzieckiej. Do kierowania programem został zatrudniony fizyk Igor Kurczatow, po którym nazwano miasto. Na zbudowanie radzieckiej bomby atomowej Stalin dał mu czas do 1948 roku, a nadzorowanie przebiegu prac zlecił szefowi tajnej policji, budzącemu strach, bezlitosnemu Ławrientijowi Berii. Nie było przypadkiem, że na eksperymenty wybrano Semipałatyńsk. Przywódcy radzieccy traktowali Kazachstan jak gigantyczne pustkowienie, idealne do przeprowadzania najróżniejszych rodzajów doświadczeń. Nieliczni mieszkańcy urealniali jedynie ich wyniki.

W szczytowym okresie w Kurczatowie mieszkało ponad czterdzieści tysięcy ludzi. Oficjalnie miasto nie istniało, nie zaznaczono go też na żadnej mapie. Cały teren był hermetycznie zamknięty dla nieupoważnionych, szosy prowadzącej do niego strzegli ciężko uzbrojeni żołnierze. Przez długi czas nie miało nawet nazwy, jedynie numer poczty. Obszar wokół, gdzie przeprowadzano testy, nosił miano Poligonu 2. Poligonu 1 nie było – dwójkę wymyślono, żeby wprowadzić w błąd Amerykanów.



Punkt Zero. Na tym poligonie ZSRR przeprowadził łącznie 456 doświadczalnych wybuchów jądrowych.

29 sierpnia 1949 nadszedł ten dzień. Operację nazwano Pierwsza Błyskawica, a Beria osobiście się zjawił, żeby być obecnym przy tym wydarzeniu. Tuż po olbrzymim wstrząsie na niebie pojawiła się kula ognia. Przez moment światło tej kuli przyćmiło blask słońca. Fala uderzeniowa po wybuchu była odczuwalna aż w Karagandzie i dzisiejszej Astanie. Górnicy w kopalniach węgla położonych w odległości wieluset kilometrów od poligonu odnotowali wstrząsy podziemne. Później nastąpiła cisza i w niej płomień przekształcił się w białą chmurę w formie grzyba. Po kilku minutach i ona zanikła. Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Z czasem wybuchy stały się rutyną.

Widać, że Kurczatow było dawniej stosunkowo eleganckim miastem. Neoklasycystyczne budynki przy głównej ulicy otynkowano na pastelowe kolory. Przez potłuczone szyby dało się obejrzeć pozostałości po przypuszczalnie reprezentacyjnych mieszkaniach i biurach. W mieście funkcjonowały dwa hotele, lecz jeden okazał się zamknięty na czas nieokreślony z powodu remontu, a drugi przyjmował tylko gości związanych z Centrum Atomowym.

– Są tu jakieś inne hotele? – spytałam.

– Hotele jak hotele – mruknął kierowca. – Mamy schronisko dla patologii, emerytów i robotników sezonowych. Na pewno będzie tam wolne miejsce.

Schronisko otaczały ponure szare bloki z betonu. Z co drugiego wyprowadzili się lokatorzy i stały puste z powybijanymi szybami i dziurami na przestrzał w ścianach. Klatki schodowe zasiedliły zdziczałe psy. Przeszronne skwery między blokami świadczyły o najlepszych intencjach urbanisty. Planowano tu nie skąpić zielonych płuc i terenów rekreacyjnych, dla dzieci przeznaczono place zabaw, dla dorosłych – ławki i parki. Dobrze miało się mieszkać w Kurczatowie.

Teraz nikt już nie przycinał drzew i nie dbał o parki, a w wysokiej trawie między blokami leżały sterty śmieci. Przed schroniskiem grupka stałych mieszkańców rozmawiała, piła i paliła. Wyglądało na to, że nikomu z nich się nie spieszy. Przy stoliku siedziała inna grupka – emerytów, skracających sobie czas grą w karty. Śmierdziało wódką, panował sielski nastrój. Kiedy zauważyli mnie z aparatem, od razu zaczął się wykład o dawnych, dobrych czasach.

– W Związku Radzieckim wszystko było dobre – zapał rumiany mężczyzna po sześćdziesiątce. – To były dobre czasy! Wszyscy mieli robotę, nie było różnic między ludźmi, wszyscy się kolegowali!

– Teraz wszystko jest inaczej – westchnęła kobieta z tapirowaną tlenioną

fryzurą i ustami pomalowanymi na różowo. – Teraz niewielu jest bardzo bogatych, reszta jest biedna.

– A co z próbnymi wybuchami atomowymi? – spytałam.

Bezzębny starzec chrząknął i zabrał głos:

– Nazywam się Władimir Maksymowicz i przez czterdzieści lat pracowałem na poligonie jako szofer. Widziałem wszystkie eksplozje!

– Jak wygląda wybuch atomowy? – spytałam.

Władimir patrzył na mnie długo, ale nie powiedział nic. Wydawało się, że nie całkiem zrozumiał pytanie.

– Większość z nas nie widziała wybuchu atomowego – wyjaśniłam.

– No tak, najpierw jest wybuch i grzyb, który po pięciu minutach znika – wytłumaczył, jakby to była codzienność.

– Nie bał się pan?

– Nie, w ogóle! Przecież nie wiedziałem, że to niebezpieczne. Tego nam nie powiedzieli.

Gdy spacerkiem wracałam do schroniska, słońce zniknęło. Gigantyczny pofałdowany plakat rozjaśniał bezbarwną ulicę. Pod zdjęciem kompetentnej pielęgniarce widniały wielkie litery napisu: „Zdrowie narodu – dobrem najwyższym”. Z uliczek na tyłach domów i zaułków nadciągały bezpańskie psy. Z basowym powarkiwaniem przejmowały nocą władzę nad miastem.

Następnego dnia miałam zwiedzać sam poligon atomowy, gdzie Władimir Maksymowicz spędził jako kierowca całe życie zawodowe. Jakaś mała część mnie chciała odwołać tę wycieczkę, chociaż była ona celem mojego pobytu tutaj. Kto z własnej woli pcha się na atomowy poligon doświadczalny?

Przed Kazachskim Instytutem Energii Atomowej, jedynym jako tako utrzymanym budynkiem w Kurczatowie, czekała niemal mała delegacja. Młody długowłosey człowiek ze zniszczonym uzębieniem przedstawił się jako Walentyn, mój przewodnik. W szarym volkswagenie siedział kierowca Instytutu i wyglądający na zagniewanego łysy mężczyzna z bicepsami

grubymi jak uda. Walentyn wyjaśnił, że to nasz pilnowacz. Ma zwracać uwagę, czy wszystko odbywa się zgodnie z przepisami.

– Ma doświadczenie z Czarnobyłą – szepnął tak cicho, że tylko ja go usłyszałam. – Ponoć był tam, kiedy to się wydarzyło...

Szybko wyjechaliśmy z Kurczatowa i znaleźliśmy się na obszarze doświadczalnym, otwartym i niestrzeżonym. Jedynie niskie tabliczki w wybujałej trawie ostrzegały, że teren jest niebezpieczny, a poruszanie się po nim surowo zabronione.

– Ta okolica znakomicie nadaje się do testowania wybuchów – opowiadał Walentyn z entuzjazmem. – Nie jest bowiem całkiem płaska, raczej uformowana jak niecka z małym kątem nachylenia. Innymi słowy, idealne warunki dla eksplozji i fali uderzeniowej.

Całą tę gigantyczną połąć zieleni mieliśmy tylko dla siebie. Ogółem poligon atomowy zajmuje powierzchnię wielkości naszego dystryktu Sogn i Fjordane. Moglibyśmy jechać przez parę dni i nie dotrzeć do jego granicy. Po kilku kilometrach minęliśmy skupisko domów. Z kominów unosił się dym, pod ścianami pały się nieliczne krowy.

Walentyn podążył za moim wzrokiem.

– Ta okolica została sprawdzona i jest bezpieczna – powiedział. – Dostali pozwolenie na działalność rolniczą.

– Naprawdę jest tu bezpiecznie mieszkać i uprawiać ziemię?

Roześmiał się.

– Wiedziałem, że pani o to spyta! Ludzie uważają, że tu jest bardzo niebezpiecznie, ale wysoką radioaktywność stwierdzono tylko w kilku strefach. Większość terenów jest całkowicie bezpieczna. – Wyciągnął licznik Geigera. – Widzi pani? Nie ma promieniowania!

Zagłębialiśmy się dalej w poligon. Teren zielenił się i złocił. Trawa urosła na metr i była zaskakująco bujna, prawie piękna. Po chwili zauważyłam po prawej szereg betonowych konstrukcji. Stały w odległości kilkuset metrów od siebie i większość wydawała się nienaruszona.



Semipałatyńsk: charakterystyczne popiersia bohaterów epoki radzieckiej zgromadzone dyskretnie w kącie parku.

– Wieże obserwacyjne – wyjaśnił Walentyn. – Przed każdym wybuchem instalowano w nich kamery i sprzęt do pomiaru ciśnienia. Wszystkie wybuchy dokładnie mierzono i dokumentowano. Czasami wokół miejsca detonacji budowali przed wybuchem całe sztuczne miasta z infrastrukturą taką jak mosty i ulice, ale też z helikopterami, pojazdami opancerzonymi i wozami specjalistycznymi typu strażacki, żeby zmierzyć wpływ eksplozji na różne formy infrastruktury i sprzęt wojskowy. Nie eksperymentowali, rzecz jasna, na ludziach, ale w zamian wystawiali krowy i świnie. Wie pani, że skóra świń bardzo przypomina ludzką?

Licznik Geigera zaczął nagle piszczeć. Walentyn zadowolony spojrzął na wyświetlacz. Cyfry szybowwały w górę: 2... 3... 4... 5...

– No, to zaraz będziemy na miejscu – oznajmił.

Niebieskie ochraniacze na obuwiu szeleściły, gdy wychodziliśmy z volkswagena. Z każdym krokiem licznik Geigera popiskiwał coraz gwałtowniej. Teren wokół nas był jałowy i pozbawiony roślinności. Tylko w jednym miejscu, jak pamiętam, słyszałam równie intensywny świergot – na wycieczce z przewodnikiem po Czarnobylu.

– Mieliliśmy dzisiaj szczęście – uśmiechnął się Walentyn. – Dopiero co padało, więc się nie kurzy i nie musimy zakładać masek gazowych.

Licznik Geigera piszczał jak opętany, gdy przedzieraliśmy się przez wysoką żółtą trawę. Choć wiem, że promieniowania się nie odczuwa, miałam wrażenie, że całe moje ciało drży, poza tym swędziała mnie skóra. Zerknęłam na dwucyfrowy wynik na wyświetlaczu i z troską pomyślałam o swoim materiale genetycznym.

Wreszcie Walentyn się zatrzymał. Uroczystym gestem wskazał niepozorne oczko wodne.

– To jest krater po wybuchu pierwszej radzieckiej bomby atomowej. Tu zaczęła się zimna wojna.

Udany testowy wybuch atomowy w Związku Radzieckim wywołał zaniepokojenie w USA. Amerykańscy fizycy jądrowi zaczęli gorączkowo badać możliwości budowy jeszcze większej i silniejszej bomby. W roku 1951 Edwardowi Tellerowi i Stanisławowi Ulamowi udało się stworzyć bombę termojądrową, bardziej znaną jako bomba wodorowa. Nowa broń miała zawierać dwa ładunki wybuchowe – pierwotny, który w praktyce był zwykłą bombą atomową, i dużo silniejszy ładunek wtórny, na który składały się izotopy wodoru. Miały one zostać podgrzane do dziesiątek milionów stopni siłą eksplozji ładunku pierwotnego. Zderzałyby się wówczas ze sobą z ogromną prędkością i łączyły w procesie fuzji, tworząc trzecie, cięższe

jądro. Takie połączenie wyzwalałoby o wiele więcej energii niż rozszczepienie, rozbitcie atomu, na czym polega bomba uranowa.

W 1952 roku Stany Zjednoczone przeprowadziły pierwszą udaną próbę nowej bomby. W odróżnieniu od bomby uranowej, która eksploduje spontanicznie, jeżeli jej wielkość przekroczy masę krytyczną, nie ma górnej granicy wielkości bomby wodorowej. Ivy Mike, jak nazwano bombę, miał moc wybuchu 10,4 megatony i był czterysta pięćdziesiąt razy silniejszy niż bomba jądrowa zrzucona na Nagasaki w 1945 roku.

W Związku Radzieckim nad opracowaniem adekwatnej bomby intensywnie pracował fizyk Andriej Sacharow. W lecie 1953 roku po wieloletnich nieprzerwanych wysiłkach pierwsza radziecka bomba wodorowa była gotowa do testów na poligonie w Semipałatyńsku. Pojawił się jednak jeden problem – zespół Sacharowa tak bardzo się skoncentrował na przygotowaniu samej bomby, że zapomniał wykonać obliczenia zakresu szkód. Kiedy któryś z naukowców zwrócił im na to uwagę, wpadli w panikę. Nastąpiło kilka dni intensywnej pracy i stwierdzono, że z terenu należy wysiedlić dziesiątki tysięcy ludzi. W pośpiechu zarekwirowano siedemset wojskowych ciężarówek i przeprowadzono ewakuację. Sacharow martwił się, czy taka forma wywózki będzie odpowiednia. Wśród ewakuowanych byli chorzy, starcy i dzieci. Czy wszyscy wytrzymają jazdę po bezdrożach stepu na otwartych platformach? Jego troskę kierownictwo zbyło stwierdzeniem: „Kaźde wojskowe manewry pociągają za sobą ofiary. Ginie dwudziestu, trzydziestu ludzi i uważa się to za nieuniknione. A wasze próby są znacznie ważniejsze dla kraju, dla jego siły obronnej”. Powiedział to Wasilewski²², jeden z odpowiedzialnych za testy. Takie komentarze tylko napawały jeszcze większą troską Sacharowa, który w swoich pamiętnikach pisał: „Spojrzawszy na siebie przypadkowo w tamtych dniach w lustro, byłem przerażony, jak się zmieniałem na twarzy, poszarzałem, postarzałem...”²³.

12 sierpnia nadszedł dzień próby. Sacharowa i pozostałych badaczy skierowano na obszar odległy o trzydzieści pięć kilometrów od miejsca

wybuchu i wyposażono w okulary ochronne. Ułożyli się wszyscy na ziemi na brzuchach, twarzami w kierunku eksplozji. „Minuty mijały w ślimaczym tempie”, pisał Sacharow w swoich *Wspomnieniach*.

60 sekund, 50, 40, 30, 20, 10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1. W tym momencie nad horyzontem coś rozbłysło. Potem ukazała się gwałtownie rosnąca biała kula – jej blask ogarnął całą linię widnokregu. Zerwałem okulary i, choć oślepiony zamianą ciemności na światło, zdążyłem zobaczyć rozszerzającą się ogromną chmurę, spod której wzbijał się purpurowy pył. Następnie chmura, już poszarzała, zaczęła szybko odrywać się od ziemi i unosić do góry, kłębiąc się i migocąc pomarańczowym blaskiem. Stopniowo przekształcała się jak gdyby w „kapelusz” grzyba. Z ziemią łączył ją „trzonek”, nieprawdopodobnie gruby w porównaniu z tymi, które widywaliśmy na fotografiach zwykłych wybuchów jądrowych.

Kiedy opadł pył, naukowców zawieziono na pole najbliższe epicentrum, żeby obejrzelni zniszczenia: „Nagle samochody gwałtownie zahamowały obok orła z opalonymi skrzydłami”, pisze Sacharow. „Próbował poderwać się do lotu, ale nie mógł. Patrzył zmętniałymi, być może oślepiłymi oczami. Jeden z oficerów wyszedł z samochodu i dobił nieszczęsnego ptaka silnym kopnięciem, skracając jego męczarnie”.

Próbny wybuch sam w sobie był sukcesem, ale Sacharow nie do końca jeszcze rozumiał związek między promieniowaniem i temperaturą z pierwotnego ładunku a implozją ładunku wtórnego. Siła wybuchu tej bomby wynosiła „tylko” czterysta kiloton i pochodziła głównie z rozszczepienia, a nie z fuzji. Dopiero w listopadzie 1955 roku udało się Sacharowowi skonstruować pełnowartościową bombę wodorową. Tym razem jej siła osiągnęła 1,6 megatony.

Zobaczyłem szybko rozprzestrzeniający się nad widnokregiem,

oślepiający biało-żółty krąg, który w ułamku sekundy stał się pomarańczowy, a potem jasnoczerwony [...]. Pomiędzy chmurą a kłębiącym się pyłem zaczął się tworzyć trzonek grzyba atomowego. Był grubszy niż przy pierwszej próbie termojądrowej. Niebo przecinały w różnych kierunkach linie fal uderzeniowych, z których wyłaniały się mlecznobiałe płaszczyzny, układające się w formę stożków, w zadziwiający sposób dopełniających obraz grzyba. Jeszcze wcześniej poczułem na policzkach ciepło jak od rozgrzanego pieca – i to na mrozie, w odległości wielu dziesiątków kilometrów od centrum wybuchu. Cała feeria odbywała się w absolutnej ciszy.

Mimo że tym razem, by zminimalizować rozprzestrzenianie się radioaktywności, bombę zrzucono z samolotu, eksperyment kosztował wiele istnień. Młody żołnierz zginął w rowie strzeleckim, którego ściany zawaliły się z powodu fali uderzeniowej. W wiosce poza obszarem testowym straciła życie dwuletnia dziewczynka, kiedy zapadł się schron, w którym przebywała, trafiony falą. W innej miejscowości uległ zniszczeniu dach nad oddziałem ginekologii miejscowego szpitala. Nawet w oddalonym o sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca eksplozji Semipałatyńsku fala uderzeniowa spowodowała szkody. Rozbita szyba w oknie kombinatu przetwórstwa mięsnego wpadła do gotowego farszu na kiełbasę. Jeszcze dalej, w Ust'-Kamienogorsku (obecnie Oskemen), miejscowa ludność zaobserwowała, że sadza zgromadzona w piecach z niewyjaśnionych powodów nagle wpada do wnętrza pomieszczeń.

Eksperyment okazał się sukcesem i tego samego wieczoru dowództwo wydało uroczysty bankiet. Sacharow, bohater dnia, wygłosił te słowa:

– Proponuję wypić za to, żeby nasze „wyroby” wybuchwały z takim samym powodzeniem, ale nad poligonami, nigdy zaś nad miastami.

Za stołem zapadła cisza, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego.

Wszyscy zamarli. [...] marszałek Niedielin²⁴ uśmiechnął się i również podnosząc kieliszek, rzekł:

– Pozwólcie, że przypomnę pewną przypowieść. Staruszek w jednej tylko koszuli modli się przed ikoną, nad którą płonie lampka: Pokieruj i wspomóż, pokieruj i wspomóż! Staruszka leży na piecu i przygaduje: Stary, proś tylko o wspomóżenie, pokierować to i ja potrafię. Wypijmy więc za wspomóżenie!

W swoich wspomnieniach Sacharow napisał, że odpowiedź Niedielina odczuł jak smagnięcie batem. Naraz uświadomił sobie, w czym brał udział. „My – wynalazcy, uczeni, inżynierowie, robotnicy – skonstruowaliśmy straszną broń, najstraszliwszą w historii ludzkości. [...] ale jej wykorzystanie będzie pozostawać poza naszą kontrolą”.

Po tym Sacharow próbował dowiedzieć się czegoś więcej o długotrwałych skutkach wybuchów jądrowych. Chociaż nie prowadzono statystyk, wkrótce stało się jasne, że po rozpoczęciu prób jądrowych liczba przypadków zachorowań na raka w okolicach Semipałatyńska niepomrotnie wzrosła. Niepokojąco duża liczba dzieci rodziła się z upośledzeniami, a w niektórych miejscowościach, jak donoszono, pojawiały się nadzwyczaj często przypadki chorób psychicznych. Poznawszy te ludzkie koszty z bliska, zarówno Sacharow, jak i Kurczatow przeistoczyli się w aktywne przeciwników broni jądrowej i prób atomowych. Ich protesty częściowo odniosły skutek: w 1963 roku USA, Wielka Brytania i Związek Radziecki zawarły układ o zakazie przeprowadzania prób z bronią jądrową w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej oraz pod wodą.

Z upływem lat Sacharow stał się żarliwym pacyfistą i bojownikiem o uniwersalne prawa człowieka. Za swoje zaangażowanie oraz nieustającą aktywność przeciwko broni atomowej otrzymał w 1975 roku Pokojową Nagrodę Nobla. Władze radzieckie odmówiły laureatowi prawa wyjazdu ze Związku Radzieckiego, wobec czego nagrodę w Oslo odebrała w jego

imieniu żona, Jelena Bonner.

Z czasem Sacharow stał się dla reżimu radzieckiego człowiekiem bardzo kłopotliwym. Ostro przeciwstawiał się inwazji ZSRR w Afganistanie w 1979 roku i wykorzystywał każdą okazję do wyjaśniania, dlaczego jest przeciwko tej wojnie. Rok później, w 1980, oboje z żoną zostali aresztowani i zesłani do zamkniętego dla obcokrajowców i oddalonego o czterysta kilometrów od Moskwy miasta Gorki. Znaleźli się tutaj pod surowym nadzorem KGB i nie mogli się kontaktować ani z cudzoziemcami, ani ze środowiskiem badaczy w Moskwie. Rękopis wspomnień Sacharowa był wielokrotnie konfiskowany i fizyk musiał zaczynać pisanie od początku. Pisał listy protestacyjne i prowadził strajk głodowy przeciwko takiemu traktowaniu, ale bez skutku.

15 września 1986 roku o godzinie dziesiątej wieczorem u drzwi mieszkania Sacharowów odezwał się dzwonek. Dwóch elektryków i agent KGB weszli do środka i zainstalowali aparat telefoniczny.

– Jutro koło dziesiątej ktoś do was zadzwoni – rzekł na pożegnanie agent.

16 września Andriej Sacharow z żoną spędzili w domu, do godziny trzeciej czekając na telefon. Fizyk wkładał akurat płaszcz, żeby pójść po chleb, gdy rozległ się sygnał.

– Halo? Tu Gorbaczow – rozległo się w słuchawce.

Nowy sekretarz generalny zadzwonił z wiadomością, że noblista z żoną mogą się przeprowadzić z powrotem do Moskwy.

Chociaż w 1963 roku skończyło się testowanie w powietrzu, władze radzieckie kontynuowały eksperymenty w Kazachstanie. Do 1989 roku na poligonach Semipałatyńska przeprowadzono trzysta czterdzieści podziemnych wybuchów jądrowych. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, obszar testowy natychmiast zamknięto. Rosjanie spakowali się i wrócili do domów. W dramatycznie krótkim czasie liczba mieszkańców Kurczatowa spadła z czterdziestu tysięcy do mniej niż dziesięciu. Co drugi blok mieszkalny został opuszczony. Pracującym za dnia rabusiom dobrze się

wiodło.

Rosjanie zostawili po sobie w Kazachstanie niebezpieczne dziedzictwo. W 1991 roku na kazachskim terytorium znajdowało się tysiąc czterysta głowic jądrowych, co czyniło z tego kraju jedno z największych mocarstw atomowych na świecie. Rok później nowy rząd kazachski zawarł z Rosjanami umowę o przekazaniu im broni jądrowej. Celem Nazarabajewa było uczynienie z Kazachstanu strefy bezatomowej.

Przekazanie broni odbyło się stosunkowo szybko i bezboleśnie, ale to nie rozwiązało problemu. W podziemnych tunelach poligonów Semipałatyńska pozostawało wciąż wiele setek kilogramów plutonu i wzbogaconego uranu. Młody naród Kazachstanu nie miał możliwości, by poradzić sobie z tą kwestią, toteż przez wiele lat śmiertelnie groźne odpady nie były pilnowane. A przez nieodpowiednich ludzi te resztki łatwo mogły zostać użyte do wyprodukowania dalszych silnych bomb jądrowych.

Martwiło to Amerykanów. W 1998 roku profesor Siegfried S. Hecker, były dyrektor Los Alamos National Laboratory, gdzie skonstruowano amerykańską bombę atomową, odwiedził Kurczatow. Los Alamos to pod wieloma względami bratnie miasto Kurczatowa – założone podczas drugiej wojny światowej na pustyni w Nowym Meksyku jedynie po to, by można było tam stworzyć pierwszą bombę atomową na świecie. Jego istnienie i położenie było ściśle tajne. Jak Kurczatowa, tak jego nie umieszczono na żadnej mapie, nie miało nazwy, jedynie kod pocztowy. Wysyłano tam największych uczonych w USA z poleceniem wykorzystania każdej chwili na zbudowanie bomby atomowej, znanej pod kryptonimem Projekt Manhattan. Aby uatrakcyjnić uczonym izolację związaną z pobytem w samym środku rozgrzanej pustyni, miasto wyposażono we wszystkie możliwe nowoczesne wygody – pływalnię, klimatyzowane domy, dobrze zaopatrzone sklepy z żywnością i znakomite szkoły dla dzieci. Intensywna praca dała, jak wiadomo, rezultaty. 16 lipca 1945 roku USA przeprowadziło pierwszy doświadczalny wybuch jądrowy na świecie. Trzy tygodnie później pierwsza

bomba atomowa została spuszczone na Japonię.

To, że były dyrektor z Los Alamos może przyjechać do Kurczatowa, jednego z najtajniejszych ośrodków w Związku Radzieckim, kilka lat wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Zimna wojna przechodziła do historii. Stosunki polityczne zmieniały się szybciej, niż następował rozpad odpadów radioaktywnych – materialne dziedzictwo po próbach jądrowych wciąż spoczywało tuż pod powierzchnią ziemi i trzeba było się tym zająć najszybciej, jak to możliwe.

Hecker słyszał, że z plądrowanego poligonu znikają wyposażenie i metal, mimo to doznał szoku na widok stanu rzeczy. Wyobrażał sobie ludzi na wielbłądach, którzy wlekli za sobą miedziane przewody, zastał kilometrowe rowy najwyraźniej wykopane ciężkim sprzętem. Miedź wydobytą z tych wykopów sprzedawano chińskim handlarzom. Plądrowanie było celowe i systematyczne. Miejscowa ludność wiedziała naturalnie, że kradnąc materiały z poligonu, naraża swoje zdrowie na wielkie niebezpieczeństwo, ale innego wyjścia nie widziała, jak opowiadano Heckerowi. Miejsca ich pracy zostały zlikwidowane i pozostawiono ich samym sobie.

Opublikowany w 2013 roku raport donosi po raz pierwszy w historii, w jaki sposób USA, Rosja i Kazachstan współpracowały przy usuwaniu i unieszkodliwianiu niebezpiecznych odpadów atomowych. Po wizycie w Kurczatowie Heckerowi udało się namówić Rosjan na udostępnienie opatrzonych pieczęcią tajności informacji o tym, jakie odpady gdzie się znajdują. Rosjanie na początku, co oczywiste, byli niechętni, niemniej ustąpili, gdy Hecker pokazał im zdjęcia profesjonalnych wykopów. Kazachstan dołożył praktyczne wykonanie, natomiast USA wzięło na siebie finansowanie.

Jesienią 2012 roku grupa naukowców rosyjskich, kazachskich i amerykańskich zebrała się u stóp masywu Degelen na poligonie, by świętować zakończenie prac. Po upływie czternastu lat i wydaniu stu pięćdziesięciu milionów dolarów supertajny projekt wreszcie dobiegł końca.

Tunele pod górami zabezpieczono specjalnym betonem. Badacze wznieśli toast i odsłonili trójstronny kamienny obelisk. Wryty w nim w trzech językach napis głosi: „Świat stał się bezpieczniejszy”.

Do dziś nikt nie ma wglądu w skutki owych czterystu pięćdziesięciu sześciu próbnych radzieckich wybuchów w Kazachstanie. Promieniowanie radioaktywne i pył rozprzestrzeniły się wraz z wiatrem na obszarze powyżej trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych. Łącznie skutkami promieniowania i radioaktywnych opadów w różnym stopniu dotkniętych zostało ponad dwa miliony ludzi.

Po trzech godzinach jazdy wyboistą radziecką drogą dojechaliśmy do aułu Sarżał, jednej z wiosek, które ucierpiały najbardziej. Wieje tutaj prawie zawsze, toteż wiatr przywiał cząsteczki radioaktywne i sprowadził choroby na niczego się niespodziewających kołchoźników. Gdyby nie ten wieczysty wiatr, który podnosi z ziemi słupy pyłu i piasku, utrudniając oddychanie, Sarżał byłby miejscem wprost idyllicznym. Białe domy z niebieskimi futrynami otworów otoczone były niskimi niebieskimi płotkami. Silne, dobrze utrzymane konie stały przywiązane do słupów bądź drzew. Przy jednym z płotów starszy mężczyzna wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt na niebie. Podeszłam do niego, ale odgonił mnie, zanim zdążyłam się przedstawić. To samo miało miejsce, gdy starałam się porozmawiać z młodą matką pchającą dziecięcy wózek.

Wśród niskich domów mieszkalnych wyróżniał się duży otynkowany na biało budynek. To musiał być ratusz, siedziba władzy. Postanowiłam spróbować szczęścia – urzędnicy gminni powinni móc mi powiedzieć, w jaki sposób Sarżał ucierpiał od wybuchów doświadczalnych. A może nawet znali liczby, mieli statystyki? W recepcji nie zastałam nikogo, ale ponieważ drzwi były otwarte – weszłam. Na parterze wszystkie pokoje były puste, jednak na pierwszym piętrze, na końcu korytarza, na plastikowych krzeselkach siedziało trzech mężczyzn, pili herbatę.

– Dzień dobry – odezwałam się – Przyjechałam z Norwegii i...

– Rok w rok przyjeżdżają tu dziennikarze i naukowcy z całego świata – warknął ten ubrany w najdroższą skórzaną kurtę spośród całej trójki. – Z Japonii, z USA... i powiadają, że pomogą, ale nigdy nie wracają! Puste gadanie, za którym nie idą czyny. Nie, nikt tu nie będzie z panią rozmawiał! Może pani od razu wracać, skąd przyjechała.

Podreptałam do wyjścia. Na dworze wydawało się, że wieje jeszcze bardziej, niż gdy przyjechałam. Piasek osadzał się we włosach, w nosie, w uszach, pod paznokciami, wszędzie go było pełno. Obok ratusza stał podłużny zniszczony budynek. Tabliczka przy głównych drzwiach informowała, że mieści się tutaj sarżański ośrodek zdrowia. Weszłam tam i natknęłam się na młodą pielęgniarkę, która nie знаła ani rosyjskiego, ani angielskiego. Gestem wskazała mi mały kąt, gdzie siedziała krótko ostrzyżona kobieta w białym fartuchu. Była lekarką, na imię miała Laura i przeprowadziła się tutaj za mężem dwanaście lat temu.

– Mamy tu wiele problemów – mówiła cichym głosem. – Z dwóch tysięcy mieszkańców połowa choruje. Dzieci rodzą się z anemią albo z sześcioma palcami. Wielu młodych jest chorych psychicznie. Ja sama zachorowałam po przyjeździe tutaj. Ciśnienie mam nie takie, jak trzeba. Tu prawie wszyscy mają nadciśnienie.

– Dlaczego się pani nie przeprowadzi? – spytałam.

Laura wzruszyła ramionami.

– Mam tu rodzinę. Co robić? Trzeba po prostu żyć.

Na peryferiach wioski przed kioskiem, w którym sprzedawano wódkę i papierosy, objęło się trzech czy czterech facetów. Uzyskawszy obietnicę całkowitej anonimowości, oni także zgodzili się powiedzieć parę słów o poligonie.

– Wszyscy wiedzieli, co się tu odbywa, ale co mogliśmy na to poradzić? – rzucił najrozmowniejszy z nich, brodac z pięćdziesiątce. – Byliśmy sami wobec imperium. Latali nad wioską helikopterami z banerami

ostrzegawczymi, że o jedenastej będzie eksplozja. Na wszelki wypadek dbaliśmy wtedy o to, żeby o jedenastej być na dworze, gdyby domy miały się zawalić od wstrząsów.

– Czy ludzie chorowali od promieniowania? – spytałam.

– Oczywiście – odpowiedział, wskazując na lekkie wzniesienie, gdzie gęsto było od nagrobków i krzyży. – Ci, co zachorowali, leżą tam.

– Nie martwi was zagrożenie zdrowia?

– Dlaczego ma nas martwić? – Roześmiał się ochryple, zapalając papierosa. – Tu się urodziłem i tu umrzemy. Do promieniowania dawnośmy się przyzwyczaili.

Tuż przed moim odjazdem z Sarżału, wioski smaganej wiatrem i niegościnniej, podeszła do naszego samochodu starsza pani w brązowym płaszczu i skórzanych butach z cholewkami. Dźwigała ciężkie torby.

– Jestem właściwie z Semipałatyńska, ale przeprowadziłam się tutaj w latach osiemdziesiątych, żeby dorobić. Ponieważ ta wioska tak bardzo ucierpiała od promieniowania, jej mieszkańcy dostają wyższe emerytury – wyjaśniła zadowolona.

O doświadczalnych eksplozjach natomiast rozmawiać nie chciała.

– I po co o tym mówić? Mówienie nie pomoże. Nikt tego nie chce pamiętać. I tak to do niczego nie prowadzi.

Słabe serce²⁵

Rosyjska tradycja wysyłania kłopotliwych osobników w kazachski step nie jest nowa. W 1854 roku do Semipałatyńska przybył może najbardziej znany skazaniec – pisarz Fiodor Dostojewski. Akurat spędził cztery lata w więzieniu w Omsku na Syberii za przynależność do liberalnego Koła Pietraszewskiego²⁶, a ostatnie lata kary miał odsłużyć jako żołnierz w Semipałatyńsku. Lata więzienia podkopały jego zdrowie. Jak pozostali więźniowie przez cały czas siedział skuty ciężkimi łańcuchami, baraki były przeludnione, nikt nie miał ani chwili prywatności. Nocami tłoczyli się po trzydziestu na twardych, gołych pryczach, po których skakały pchły i wszy. Podłoga była przegniła, a dach przeciekał. Zimą tak w środku, jak na dworze panował przenikliwy ziąb, latem zaś wilgoć i duchota. Później Dostojewski pisał, że nigdy nie czuł się tak szczęśliwy jak wówczas, gdy jechał wzdłuż Irtyszu ku swojemu żołnierskiemu przeznaczeniu w Semipałatyńsku, „otoczony wonią czystości i z wolnością w sercu”²⁷.

Dzisiejszy Semipałatyńsk, czyli Semej, jak brzmi jego nazwa po kazachsku, to dość smutne prowincjonalne miasto z szerokimi ulicami i wysokimi budynkami z szarego betonu. Jest natomiast starszy, niż na to wygląda. Już w 1718 roku Piotr Wielki kazał w ramach ekspansji na wschód zbudować tu twierdzę. W miarę upływu lat wokół garnizonu wyrosło miasto. Na tyłach uniwersytetu i zbudowanego z betonu na wieczną chwałę socjalizmu, masywnego ratusza da się wciąż jeszcze wyrobić sobie pogląd, jak miasto mogło wyglądać za czasów Dostojewskiego. Spokojne ulice nie są tu asfaltowane. Otaczają je niskie, solidne, dziewiętnastowieczne domy z bali. W tamtych czasach Semipałatyńsk liczył pięć do sześciu tysięcy mieszkańców. Dostojewski wynajmował mały, skromny pokoik u wdowy po wojskowym. Pełno było tam pcheł i karaluchów, ale po raz pierwszy od czterech lat pisarz mógł być sam. Wreszcie mógł znowu czytać i pisać.

W miejskim muzeum Dostojewskiego kuratorzy starali się, jak mogli

najlepiej, odtworzyć schronienie artysty. W niewielkim pomieszczeniu ustawili proste biurko, wąskie łóżko, samowar z filiżankami do kompletu oraz dwa francuskie zegary. Wszystkie meble pochodzą z połowy XIX wieku lub coś około tego, ale żaden z nich nie należał do pisarza. Kiedy mieszkał w Semipałatyńsku, nie nastąpił jeszcze wielki literacki przełom w jego twórczości i nikt nie zadał sobie trudu, by zachować skromne ruchomości pisarza. Nie jest też pewne, jak naprawdę wyglądał jego pokój. Muzeum oferuje jedynie jakościowe przybliżenie.

Sztuka odtwarzania domów pisarzy to osobna rosyjska specjalność. W całym imperium znajdują się setki takich widmowych wnętrz, starannie zestawionych z mebli z epoki, czasami nawet własnych mebli danego pisarza. Świątości strzegą surowe kobiety, które pospiesznie gaszą światła, gdy tylko pielgrzymujący śladami literatury opuszczą pomieszczenie. Przewodniczka oprowadzająca mnie po muzeum w Semipałatyńsku była wielka jak góra i w tak złej formie fizycznej, że musiała zatrzymywać się między gablotami dla zaczerpnięcia oddechu, natomiast życie pisarza znała z dokładnością co do minuty, a jego dzieła zdanie po zdaniu. Z pogardą dla śmierci w oczach sunęła za mną pospiesznie, na przemian sapiąc i karmiąc mnie szczegółami z pobytu Dostojewskiego w mieście:

– Wkrótce po przyjeździe zaprzyjaźnił się z baronem Aleksandrem Wranglem, który był wielkim wielbicielem jego książek – objaśniała. – Wrangel robił, co mógł, żeby polepszyć warunki życia biednego pisarza w Semipałatyńsku, wnet też został jego powiernikiem. Oprócz niego Dostojewski poznał też pijaka Aleksandra Isajewa. – Przewodniczka dyszała ciężko, lecz z zapalem ciągnęła: – Chora na suchoty żona Isajewa, Maria, strasznie cierpiała w tym małżeństwie. Jak mąż był pijany, zdarzało się, że ją bił, a ponieważ na skutek swojego pijaństwa stracił pracę, nie mieli pieniędzy. Dostojewskiego wypełniło współczucie i zaraz się w niej na zabój zakochał. To zakochanie nie okazało się dla wielkiego pisarza błogosławieństwem, o nie...

Dzięki wspomnieniom o przyjaźni z Dostojewskim, które Wrangel napisał po latach, sporo wiemy o burzliwym romansie między pisarzem a słabą, suchotniczą, ale także namiętą i kapryśną żoną Isajewa. „Maria Dmitriewna bardzo współczuła Fiodorowi Dostojewskiemu i zaopiekowała się nim”, pisał Wrangel²⁸. „Nie sądzę jednak, by wnikliwie go oceniała, raczej żal jej było nieszczęsnego, pokrzywdzonego przez los człowieka. Możliwe, że nawet przywiązała się do niego, ale zakochana w nim nie była ani trochę. Wiedziała, że ma padaczkę, że jest bez środków do życia, a nawet sama mawiała, że jest człowiekiem »bez przyszłości«. Sam zaś pan Fiodor współczucie przyjął za odwzajemnioną miłość i zakochał się w niej z siłą młodzińskich uczuć...”.

Rok później nastąpiła katastrofa – Isajew dostał pracę inspektora gospód w Kuźniecku, miasteczku oddalonym od Semipałatyńska o sześćset kilometrów. Dostojewski spędzał wolny czas na tęsknieniu i pisaniu listów. Według Wrangla pisywał do niej całe zeszyty. Niestety, zachował się tylko jeden list, pełen uniesień: „Jest Pani zachwycająca. W Pani sercu kryje się zadziwiająca, dziecięca niemal dobroć. Samo to, że kobieta podała mi rękę, było wielkim wydarzeniem w moim życiu”. Maria odpowiedziała obrazowym przedstawieniem katuszy związanych z chorobą i biedą. Dostojewski cierpiał. „Schudł jeszcze bardziej”, zapisał Wrangel. „Był ponury, rozdrażniony, snuł się jak cień. Porzucił pracę nad *Wspomnieniami z domu umarłych* [...]”.

W sierpniu 1855 roku zmarł Aleksandr Isajew. Maria była zrozpaczona. Kto utrzyma ją i siedmioletniego syna? Dostojewski robił, co mógł, żeby pomóc, pożyczył i przesłał pieniądze. Śmierć Isajewa napełniła go nadzieją, a jednocześnie przysporzyła nowych zmartwień. Co, jeśli zakochała się w kimś innym? Wielbiciele chyba pchali się drzwiami i oknami. „Żyję i oddycham tylko dla niej”, pisał do brata. „Och, jakżem nieszczęśliwy! Ja nieszczęsny! Bezgranicznie wymęczony i zmordowany! Dusza mnie boli”.

Maria umiała grać na jego zazdrości. Co miałyby odpowiedzieć, gdyby

„pewien starszy pan o dobrym charakterze, dobrze sytuowany urzędnik” prosił ją o rękę, pytała znieczeka w liście. „Wielka jest radość miłości, lecz cierpienia tak straszne, że lepiej by nigdy nie kochać”, pisał Dostojewski do Wrangla. Nie wiemy, co odpowiedział Marii, ale jego list musiał ją wzruszyć. W następnym zapewniała go, że dobrze sytuowany urzędnik nie istnieje. Chciała tylko wystawić na próbę jego oddanie!

Nie upłynęło wiele czasu, a Maria ponownie uległa pragnieniu zbadania głębi oddania pisarza. W kolejnym liście opowiedziała w żywych słowach o pewnym „młodym, sympatycznym nauczycielu o szlachetnej duszy”. Dostojewski nie wytrzymał tego dłużej i podczas podróży służbowej w lecie 1856 roku wymknął się do Kuźniecka na spotkanie z Marią. „Cóż za szlachetna, cóż za anielska to dusza!”, pisał z zachwytem do Wrangla po schadzce. Z jednej strony odchodził od zmysłów ze szczęścia, że zobaczył się z Marią, z drugiej potwierdziły się jego najgorsze przeczucia – nauczyciel istniał naprawdę. Nazywał się Mikołaj Wiergunow, a Maria z płaczem wyznała, że go kocha. Nie chciała jednak całkowicie zrezygnować z Dostojewskiego. „Nie płacz, niech Ci nie będzie żal”, pocieszała go. „Jeszcze nie wszystko zdecydowane, jesteśmy ty i ja i nikt inny!”. Z tymi słowami w sercu Dostojewski wrócił do garnizonu z nową nadzieją. Nie potrzeba było jednak dużo czasu, by na nowo ogarnęła go rozpacz, w następnym bowiem liście Maria napisała, że mimo wszystko chyba kocha nauczyciela. Żeby się okazać bardziej atrakcyjny w oczach Marii, Dostojewski poruszył wszystkie sprężyny, by awansować. Napisał wzruszający, ekspiacyjny list do władz wojskowych i na koniec dostał stopień oficerski. Maria dalej wahała się między nim a nauczycielem i w ten sposób obu ich doprowadzała do obłędu. „Chyba stałem się nieszczęśliwym szaleńcem!”, napisał Dostojewski do Wrangla. „Taka miłość to choroba. Dobrze to wiem”.

W końcu listopada Dostojewski znowu odwiedził Marię w Kuźniecku, tym razem w pełnym oficerskim mundurze. Czy zdecydował mundur, tego nie

wiadomo, niemniej na koniec wizyty Maria wyraziła zgodę na ślub. „Ona mnie kocha. Jestem o tym przekonany”, doniósł tryumfalnie Wranglowi. Mając jednak wyrzuty sumienia wobec rywala, którego pokonał, poprosił przyjaciela o załatwienie mu porządnych papierów ukończenia seminarium nauczycielskiego. Upojenie zbliżającym się ożenkiem było, ogólnie biorąc, krótkotrwałe. W kolejnych listach skończyły się zachwyty i romantyczne wybuchy. W zamian roztrzāsane są suche, praktyczne przygotowania do ślubu i kłopoty finansowe.

– Pobrali się szóstego lutego²⁹ tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku – ciągnęła z zaangażowaniem muzealna przewodniczka. – Fiodor Michajłowicz miał trzydzieści cztery lata, Maria Dmitriewna dwadzieścia dziewięć. Wiergunow, ten tak zakochany w Marii nauczyciel, był świadkiem na ślubie. Dostojewski odchodził od zmysłów ze zdenerwowania! Co będzie, jeśli Maria w ostatniej chwili pożałuje i wybierze nauczyciela? Co będzie, jeżeli nauczyciel, oszalały z zazdrości, go zabije? Tymczasem ślub przebiegł gładko, niemniej małżeństwo było krótkie i nieszczęśliwe. W drodze powrotnej do Semipałatyńska Dostojewski miał silny atak padaczki. Maria zaczęła żałować, że wybrała biednego katorznika zamiast młodego nauczyciela, i nie zachowała tego rozgoryczenia dla siebie. Nie, nie można powiedzieć, by tak postąpiła!

Otyła przewodniczka, człapiąc do następnej gabloty, robiła wrażenie szczerze zagniewanej zachowaniem Marii.

Po ślubie ataki epilepsji u Dostojewskiego się nasiliły i musiał wystąpić z wojska. W 1858 roku napisał: „Moje życie jest trudne i gorzkie”. Rok później uzyskał pozwolenie na wyjazd z Semipałatyńska i małżonkowie ruszyli do Sankt Petersburga. Mieszkali tam razem krótko i przez większość czasu się kłócili. Klimat rosyjskiej stolicy nie służył zdrowiu Marii, toteż przeniosła się na prowincję do miejscowości Władymir. Od tego momentu czuła się coraz gorzej, choroba postępowała, czyniąc Marię coraz bardziej zgorzkniałą. Z kolei Dostojewski zakochał się bez pamięci w innej kobiecie,

Apolinarii Susłowej. Wyjechali razem na dłuższy czas na Zachód i tu Dostojewskiego dopadła inna namiętność – do hazardu.

Jesienią 1863 roku odwołano go od stołu gry w Homburgu. Maria umierała. Według Wrangla małżonkowie pogodzili się na jej łożu śmierci. „O, Przyjacielu!”, pisał do niego twórca. „Ona kochała mnie bezgranicznie. Ja też kochałem ją bez miary, ale nie byliśmy ze sobą szczęśliwi... nie mogliśmy przestać się kochać; więcej nawet: im bardziej byliśmy nieszczęśliwi, tym bardziej czuliśmy się ze sobą związani. Wydaje się to dziwne, ale tak było. Była najuczciwszą, najszlachetniejszą i najbardziej wielkoduszną kobietą, jaką kiedykolwiek znałem”.

Ojciec jabłek

Stary, wysłużony samolot śmigłowy, znowu firmy SCAT Airlines, przetransportował mnie z Semipałatyńska do Ałmaty, ostatniego celu obecnej podróży. Dawna stolica jest położona w urozmaiconym krajobrazie, otoczona wysokimi, pokrytymi śniegiem szczytami. Całe miasto zostało kompletnie zniszczone przez silne trzęsienie ziemi w 1887 roku, dlatego też większość domów zbudowano w radzieckim stylu – z jednakowymi fasadami i jednakowym rozplanowaniem. Proste ulice mają strome spadki i przywodzą na myśl San Francisco. Mimo utraty stołecznego statusu Ałmaty jest wciąż gospodarczym centrum Kazachstanu i prawdopodobnie najbardziej kosmopolitycznym miastem Azji Środkowej. W kawiarnianych ogródkach rozbrzmiewają wszystkie możliwe języki – od rosyjskiego i chińskiego po francuski i angielski. W pobliskich górach znajduje się sławny tor łyżwiarski Medeo, gdzie ustanowiono ponad sto rekordów świata.

Tor był gotowy w roku 1951, a Ałma Ata, jak wówczas nazywało się Ałmaty, wnet stała się symbolem w świecie międzynarodowego łyżwiarstwa szybkiego. Już rok po otwarciu toru pojawiły się niepokojące sprawozdania, że rosyjscy łyżwiarze pobili ówczesne rekordy świata na dystansach tak pięciuset metrów, jak tysiąca i tysiąca pięciuset. U nas w kręgach panczenistów spekulowano, że może radzieckie zegarki chodzą wolniej albo Rosjanie po prostu źle wymierzyli tor. Kiedy stopniowo na torze zaczęli startować łyżwiarze spoza Związku Radzieckiego i sami bili tam rekordy świata, krytyka ustała. W 1976 roku Sten Stensen jako pierwszy na świecie przejechał dystans dziesięciu tysięcy metrów w czasie poniżej czternastu minut i czterdziestu sekund, ustanawiając rekord wynikiem czternaście minut, trzydzieści osiem i osiem setnych sekundy. Podczas spotkania międzypaństwowego między Norwegią a Związkiem Radzieckim w 1977 roku Siergiej Marczuk po raz pierwszy przekroczył granicę siedmiu minut na pięć tysięcy metrów. Czas sześciu minut, pięćdziesięciu ośmiu

i osiemdziesięciu ośmiu setnych sekundy nie pozostał jednak długo najkrótszym. W jednej z następnych par ścigał się norweski as – Kay Arne Stenshemmet – i zbił go do sześciu minut, pięćdziesięciu sześciu i dziewięćdziesięciu setnych sekundy.

Wiele czynników wpłynęło na to, że Medeo stało się najlepszym torem dla łyżwiarstwa szybkiego na świecie. Wyjątkowo wysokie położenie toru – 1691 metrów nad poziomem morza – to jeden z nich. Do tego dochodziły zmienne wiatry typu opadającego, które czasami popychały panczenistów wokół całego toru. W 1972 roku odremontowano tor i zmieniono mu nawierzchnię na sztuczną. Władze radzieckie zainwestowały w modernizację, w tym w bardzo zaawansowany system nawadniająco-mrozący, równowartość aż dwustu milionów koron.

Ostatnie rekordy bito na Medeo w 1986 roku, tym samym, w którym otwarto pierwszy kryty tor. Po rozpadzie Związku Radzieckiego tor łyżwiarski przez wiele lat popadał w ruinę ze względu na brak środków na konserwację. Młode kazachskie państwo musiało się zająć bardziej nagłymi zadaniami. W ostatnich latach jednak władze Kazachstanu zainwestowały poważne sumy w renowację Medeo i innych urządzeń do sportów zimowych w pobliżu Ałmaty, również dlatego, że marzy im się organizacja olimpiady. Kazachstan musiał się pogodzić z porażką w wyścigu z Rosją i Soczi w 2014 roku, ale nie traci nadziei. Ałmaty jest jednym z trzech miast, które jeszcze nie wycofały się z konkurencji o przywilej organizacji zimowych igrzysk w 2022 roku. Pozostałymi kandydatami są Oslo i Pekin. Który z wnioskodawców zwycięży, rozstrzygnie się 31 lipca 2015 roku³⁰. Może na Medeo padną wtedy kolejne rekordy? Przyszli panczeniści nie skorzystają już z pomyslnych wiatrów, ponieważ nowoczesne reguły łyżwiarstwa szybkiego wykluczają taką „pomoc”.

* * *

Ałma Ata znaczy Ojciec Jabłek.

Znany radziecki botanik Nikołaj Wawiłow, który z dużą wytrwałością i zapalem przeczesywał najdalsze zakątki świata w poszukiwaniu nowych gatunków roślin, napisał w swoich notatkach na temat jabłek w Ałma Acie tak:

Gęste pola dzikich jabłoni rozciągają się wokół miasta we wszystkie strony i pokrywają wzgórza rozległymi lasami. W przeciwieństwie do małych dzikich jabłuszek rosnących na zachodzie, w górach Kaukazu, jabłka w Kazachstanie są w większości duże, a ich jakość nie ustępuje jakości jabłek uprawianych. Pierwszego września, mniej więcej w czasie, gdy jabłka są prawie dojrzałe, można się było na własne oczy przekonać, że to piękne miejsce jest ojczyzną jabłek³¹.

Roślinne łowy wiodły Wawiłowa wzdłuż i wszerz Związku Radzieckiego, do Japonii, Chin i Korei, do USA i Kanady, na odległe przełęcze Afganistanu, Saharę i do Etiopii, gdzie chcieli go napaść bandyci. Podróżował zawsze nieskazitelnie ubrany, w szyty na miarę ciemny garnitur, białą koszulę i krawat, a jego dobry humor i niespożyta energia zjednywały mu przyjaciół, gdziekolwiek się pojawił. Plany miał ambitne – chciał wykorzenić głód poprzez uzyskanie drogą krzyżowania genetycznego bardziej odpornych wariantów roślin jadalnych typu ziemniaki, pszenica i żyto. Jego zdaniem wiele dziko rosnących gatunków tych roślin posiada wartościowe cechy genetyczne, które zostały utracone w gatunkach uprawnych. Niektóre z nich na przykład potrafią znosić ekstremalne wahania temperatury. Dzięki krzyżowaniu roślin dzikich z hodowlanymi można by było wyhodować gatunki dziedziczące materiał genetyczny obu swoich poprzedników. W tamtych czasach, u zarania nauki o genach, były to idee przełomowe.

Podczas swoich licznych podróży Wawiłow zgromadził imponujący zbiór nasion. Bank nasion, pierwszy tego rodzaju na świecie, był przechowywany

w Instytucie Badań Genetycznych³², który Wawiłow stworzył w Leningradzie. Ta praca przyniosła mu światową sławę. W latach dwudziestych XX wieku należał do najbardziej znanych botaników. Lenin rozumiał gospodarcze znaczenie badań Wawiłowa i dawał mu wolną rękę. Badacz został członkiem Akademii Nauk i za swoje zasługi otrzymał Nagrodę Leninowską, najwyższe odznaczenie naukowe w ZSRR.

Kiedy w 1924 roku Lenin zmarł, szczęście się od Wawiłowa odwróciło. Stalin faworyzował mianowicie innego botanika, Trofima Łysenkę. Wawiłow kontynuował idee dziewiętnastowiecznego austriackiego botanika Gregora Mendla na temat krzyżowania i dziedziczenia cech po przodkach, natomiast Łysenko inspirowany przez osiemnastowiecznego francuskiego biologa Jeana-Baptistę de Lamarcka uważał, że cechy nabyte można przekazywać potomstwu. Jeżeli na przykład jedna roślina przetrwała długą, mroźną zimę i na wiosnę zakwitła, to zdaniem Łysenki rośliny wyrosłe z jej nasion także zakwitną na wiosnę niezależnie od tego, czy też będą narażone na długą, mroźną zimę. Uważał, innymi słowy, że rośliny można „nauczyć” przyswajania sobie cech, które potem zostaną przekazane następnemu pokoleniu³³.

Błędne teorie Łysenki, które już dawno odrzucono w Europie, dominowały w radzieckiej polityce rolnej aż do lat sześćdziesiątych i przyniosły katastrofalne konsekwencje – tak dla radzieckiego rolnictwa, jak dla najbardziej surowego krytyka Łysenki, Wawiłowa. Podczas ekspedycji badawczej na Ukrainę w 1940 roku został on aresztowany i skazany na śmierć. Po dwóch latach karę śmierci zamieniono na dwadzieścia lat więzienia, ale marna to była pociecha. Ironia losu sprawiła, że 26 stycznia 1943 roku Nikołaj Wawiłow, człowiek, który poświęcił swoje życie wykorzenieniu głodu, zmarł w więzieniu z niedożywienia³⁴.

Nie do wiary, ale dzięki oddanym współpracownikom Wawiłowa jego bank nasion przetrwał ponad dwadzieścia osiem miesięcy oblężenia Leningradu. Władze nie zatroszczyły się o zabezpieczenie dwustu

pięćdziesięciu tysięcy nasion, jednak pracownicy Instytutu zajęli się tą sprawą. Wyselekcjonowane nasiona przenieśli do dużej skrzyni i ukryli w piwnicy, gdzie na zmianę trzymali straż. Ani jeden z pilnujących nie uległ pokusie zjedzenia nasion, chociaż dziewięciu z nich zmarło z głodu przed zakończeniem oblężenia w 1944 roku.

Po śmierci Stalina zrehabilitowano Wawiłowa pośmiertnie, tym samym odzyskał on poczesne miejsce wśród najznakomitszych uczonych Związku Radzieckiego.

Skoro znajdowałam się w mieście jabłek, wybrałam się na targ, żeby spróbować lokalnej specjalności. Wielki rynek warzywny wypełniały gospodynie domowe; pachniało słodko ziemią. Większość sprzedających kusiała dużymi, soczystymi jabłkami. Wybrałam sobie jedno – duże, zielone – zapłaciłam i wbiłam w nie zęby. Smakowało jak letni poranek. Akurat tak kwaskowe, jak trzeba, tak słodkie, jak trzeba, nie za twarde, nie za miękkie. Idealne.

– To chyba najlepsze jabłko, jakie jadłam w życiu! – wyrwało mi się.

Stojący za precyzyjnie ułożonymi piramidkami owoców sprzedawca się rozpromienił.

– Wszystkie nasze jabłka są specjalnie importowane z Chin! – oznajmił z dumą.

Zmęczony aktywista

Jak większość aktywistów działających w obronie praw człowieka, bardzo się spieszył. Jeszcze nie znaleźliśmy ławki, by usiąść, a już zdążył wyliczyć najpilniejsze wyzwania demokratyczne, przed którymi stoi Kazachstan, skrytykować liczne posady i pękające w szwach konta bankowe trzech prezydenckich córek, omówić sytuację ekonomiczną większej części ludności i poskarżyć się na narastającą cenzurę.

– Sytuacja jest gorsza niż w Rosji – stwierdził. – Kazachstan jest bardziej zamknięty, a nie mamy inteligencji. Nazarbajew kieruje krajem jak *Big Man*. Ma wokół siebie grupkę ludzi, którym dostarcza pieniędzy i dóbr, którzy są od niego całkowicie zależni. Ile pieniędzy ma on sam i jego rodzina, tego nie wie nikt. Mówimy o miliardach dolarów. Nazarbajew prowadzi Kazachstan jak spółkę akcyjną, w której sam jest zarówno głównym akcjonariuszem, jak i dyrektorem.

Gałym Ageleuow był chudym, zylastym czterdziestopięcioletkiem. Pociągłą twarz o wydelikacowanych rysach okalały gęste, nieujarzmione włosy, które jakby zakłócały równowagę i sprawiały wrażenie, że głowa jest za ciężka w stosunku do wiotkiego ciała. Mówił cicho i łagodnie, a kiedy się śmiał, czynił to na ten lekko zrezygnowany, ironiczny sposób, który przyswoili sobie obrońcy praw człowieka na całym świecie.

– U nas nie ma rzeczywistej opozycji – klarował. – Władze systematycznie aresztują kandydatów opozycyjnych. Możesz się wypowiadać swobodnie, dopóki nie robisz tego publicznie albo nie zaczynasz się organizować. Wtedy cię stopują.

Jego samego aresztowano po demonstracji w 2012 roku i skazano na piętnaście dni więzienia. Umieszczono go w osiemnastometrowej celi razem z czternastoma innymi skazanymi, nie pozwolono do nikogo zadzwonić, zwłaszcza do adwokata. Ponieważ było lato, w celi panowało nieznośne gorąco, a osadzeni mogli się myć tylko raz w tygodniu. Poza codziennym

godzinnym spacerem cały czas siedzieli zamknięci w przepelnionej celi. Mimo to Gałym należał do szczęśliwców. Część Kirgizów i Uzbeków nie dostała nawet celi, musieli spać na zimnej betonowej podłodze na korytarzu, bez dachu nad głową.

– Boi się pan ponownego aresztowania? – spytałam.

– Nie – odpowiedział z miejsca i zdecydowanie. – Jestem obrońcą praw człowieka. Nie boję się. Ale nie wypowiadam się już tyle publicznie, bo mnie znowu aresztują. W zamian za to zamieszczam apele i przemówienia na YouTube.

Ławka się zwolniła, siedliśmy więc w cieniu drzewa. Spotkaliśmy się w miejscu, które funkcjonuje jedynie pod nazwą Stary Plac, jednym z wielu zielonych płuc Ałmaty. W grudniu 1986 roku zebrały się tu tysiące studentów i demonstrantów, żeby zaprotestować przeciwko nominacji Rosjanina, Giennadija Kołbina, na pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Kazachstanu. Zdaniem demonstrujących pierwszy sekretarz powinien być Kazachem. Po południu 17 grudnia demonstracja wymknęła się spod kontroli i doszło do przemocy. Kilka tygodni wcześniej spotkałam policjantkę, która była na miejscu podczas protestów.

– Wieczorem przyszły nam na pomoc oddziały specjalne – opowiadała. – My, zwykli policjanci, nie mieliśmy broni, po prostu tam staliśmy. Żołnierze z jednostki specjalnej zabrali się do roboty brutalnie, pałkami i armatkami wodnymi. W kilka godzin zaprowadzili na ulicach porządek. Pamiętam jeszcze słowo w słowo, co nam powiedzieli: „Demonstranci to wrogowie. Nie przejmujcie się martwymi ani rannymi. Zostawcie ich tam, gdzie leżą”.

Następnego dnia, 18 grudnia, na placu pojawiło się wiele tysięcy nowych demonstrantów i wtedy wojsko strzelało na postrach. Ponieważ szczegóły na temat tej demonstracji znajdują się pod kluczem w archiwum w Moskwie, nikt nie wie, ilu zabito bądź raniono w te dwa mroźne grudniowe dni. Padają liczby od dwóch do tysiąca. Anna nie miała pojęcia, ilu osób to dotyczy, była jednak przekonana, że chodziło o dość wysoką liczbę.

– Jeszcze dziś boli mnie, gdy myślę o tych zabitych i rannych, którzy leżeli wszędzie na placu – wspominała.

Po wszystkim ponad tysiąc demonstrantów trafiło do więzienia, a wiele dziesiątków z nich dostało wieloletnie wyroki. Dwie osoby skazano na śmierć. Anna z kolegami otrzymali medale i zostali obwołani bohaterami.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego grudniowe protesty, podczas których Kazachowie powstali przeciwko Moskwie, stały się ważnym elementem ich narodowej tożsamości. Tymczasem demonstranci nie chcieli oderwania się od Związku – pięć lat później ponad dziewięćdziesiąt procent ludności głosowało *przeciwko* wyjściu z unii – oni chcieli mieć tylko kazachskiego pierwszego sekretarza partii. W roku 1989 otrzymali to, czego chcieli. Nursułtan Nazarbajew objął najwyższą funkcję w republice. Dwa lata później, gdy 16 grudnia 1991 roku Kazachstan jako ostatni z krajów Azji Środkowej ogłosił niezależność od Związku Radzieckiego, Nazarbajew został pierwszym prezydentem kraju. O tym, że podczas grudniowych protestów stał po stronie władz radzieckich, nikt specjalnie głośno nie mówi. Zwłaszcza on sam.

Dziesięć lat po tym, jak została obwołana bohaterką, Anna musiała zwrócić medal. Dowiedziała się, że władze kazachskie traktują ją jak „wroga narodu”. Poinformowano ją, że nie ma już pracy.

Historię piszą zawsze zwycięzcy.

Dokładnie dwadzieścia pięć lat później, w grudniu 2011 roku, Kazachstanem wstrząsnęła nowa krwawa łaźnia. Wiele setek robotników naftowych w Żangaözen (dawniej Nowyj Uzeń), biednym mieście na zachodzie kraju w pobliżu granicy turkmeńskiej, strajkowało od lata między innymi dlatego, że nie otrzymywali wynagrodzenia. obrońca praw człowieka Gałym Agełeuow pilnie przypatrywał się zajściom i dokumentował między innymi brutalne aresztowania i bicie niektórych strajkujących.

Mimo przecucia, że się to dobrze nie skończy, nie przewidział, jak bardzo

będzie źle. 16 grudnia uzbrojeni policjanci przystąpili do usuwania demonstrantów z dużego placu w centrum, gdzie protestujący od miesiący koczowali. Oficjalne wyjaśnienie było takie, że plac należy oczyścić w celu przygotowań do uroczystych obchodów Dnia Niepodległości. Nie jest jasne, co się wydarzyło później. Skończyło się jednak tym, że co najmniej czternastu demonstrantów zastrzelono. Niektórzy twierdzą, że liczba zabitych w rzeczywistości była dużo wyższa.

- Myślę, że chodzi o dwieście osób – oznajmił Gałym.
- Jak to możliwe, żeby ukryć tak wielu zmarłych?
- Mogli przekupić rodziny zabitych, żeby je nakłonić do milczenia. Mogli stworzyć ukryte cmentarze. Jest wiele sposobów, żeby to zrobić.

Trudno sobie wyobrazić, jak władzom Kazachstanu udało się utrzymać w tajemnicy tak dużą liczbę ofiar śmiertelnych, nawet w leżącym na uboczu ośrodku przemysłowym. W państwach rządzonych przez reżim, gdzie mieszkańcy są przyzwyczajeni, że władza ich okłamuje, teorie spiskowe padają na żyzną glebę. W Związku Radzieckim teorie spiskowe kwitły. Wszak władze nigdy nie mówiły, jak jest naprawdę, za to upiększały, wygładzały. Wielu przywódców w dawnych republikach radzieckich osiągnęło szczyty władzy w minionej epoce, a potem kontynuowało kierowanie krajem w ten sam autorytarny i poprawiający wizerunek sposób. Inaczej mówiąc, w Azji Środkowej teorie spiskowe mają się wciąż dobrze.

Zamiast otwarcie przeprowadzić gruntowne i niezależne śledztwo w sprawie wydarzeń w Żangaözen, co mogłoby może stłumić podejrzenia i spekulacje, władze wprowadziły zakaz roztrząsania liczby zabitych. Oficjalnie zabitych zostało czternaście osób. Kropka.

Była policjantka Anna opowiadała mi, że jej młodszy syn służył jako poborowy w Żangaözen. Podczas masakry 16 grudnia został postrzelony i stracił przytomność, ale ponieważ miał na sobie kamizelkę kuloodporną, nie odniósł poważniejszych ran. Władze wojskowe chciały go potem odznaczyć.

– Powiedziała, że nie ma sensu przyjmować medalu, bo i tak mu go odbiorą – relacjonowała Anna. – Posłuchał mnie i zrezygnował z jego przyjęcia.

– Władze planują, że do dwa tysiące pięćdziesiątego roku staniemy się społeczeństwem idealnym – ciągnął Gałym. – Cały czas przenoszą termin. Najpierw był to rok dwa tysiące dwudziesty, potem dwa tysiące trzydziesty. Teraz ustalono, że w dwa tysiące pięćdziesiątym roku w końcu wszystko będzie dobrze. – Roześmiał się krótko. – Problem w tym, że to idzie w złą stronę. Od początku roku zamknięto trzydzieści dwa media informacyjne, w tym krytyczną gazetę opiniotwórczą „Respublika”. W gazetach wszystko jest kontrolowane i dyktowane. W telewizji i radiu również. Jedyne miejsce, w którym możesz się natknąć na krytykę prezydenta, to media społecznościowe w internecie. Oczywiście internet też podlega restrykcjom, setki stron są zablokowane.

– Myśli pan, że pana śledzą?

– Wiem, że mnie śledzą.

– Myśli pan, że nas tutaj podsłuchują?

Pomacał się po spodniach, gdzie miał komórkę.

– Tak. Gdyby było inaczej, musiałbym wyjąć baterie albo zostawić telefon w innym pomieszczeniu. Ale takie mówienie nie szkodzi. Mogę mówić, co mi się żywnie podoba, póki nie robię tego z mównicy, przez mikrofon, do publiczności.

Słońce zachodziło nad koronami drzew. Gałym nagle pobladł, wyglądał na zmęczonego. Był tak chudy, że prawie ginął w czarnej koszulce i szerokich dżinsach. Potem roześmiał się cicho, jakby do siebie.

– Cała ironia polega na tym, że naszych rzeczników praw obywatelskich spotykamy jedynie na konferencjach za granicą – rzekł. – Tam przychodzą do nas, żeby nas pouczyć, co mamy mówić i myśleć. I oczywiście zawsze biorą stronę władz, nie naszą.

Widocznie, żeby przetrwać jako obrońca praw człowieka w Azji Środkowej, trzeba mieć nieco wisielczy humor. Wielu aktywistów pracuje w bardzo trudnych warunkach. W Uzbekistanie i Turkmenistanie, krajach o najbardziej represyjnych reżimach, tacy działacze operują prawie wyłącznie w ukryciu, narażając na niebezpieczeństwo własne życie. Nawet w Kirgistanie, który obecnie uważa się za najbardziej demokratyczny kraj w regionie, taka działalność nie jest pozbawiona osobistego ryzyka. W 2010 roku Azimzjan Askarow, jeden z najbardziej znanych obrońców praw człowieka w Kirgistanie, został skazany na dożywocie po bardzo kontrowersyjnym procesie. Kazachstan nie jest co prawda twierdzą swobód, niemniej w tej części świata sam fakt, że można się otwarcie spotkać i porozmawiać z obrońcą praw człowieka, stanowi malutki jasny punkt.

Silny cios

Na blaszanej ścianie od strony drogi widniał napis „Bifatima”, wymalowany dużymi niebieskimi literami. Dojechaliśmy.

Wysiadłam z samochodu i weszłam na niewielkie podwórko. Między prostymi domami przemieszczały się swobodnie kury i gęsi, ludzi nie było. Zauważyłam wreszcie starą, zgarbioną kobietę w pospolitej zielonej sukience i chustce na głowie.

– Czy mogłabym się spotkać z Bifatimą? – zapytałam staruszkę.

– Tak – odpowiedziała krótko, nie zmieniając odpychającego wyrazu pomarszczonej i ogorzałej twarzy. – To ja jestem Bifatima.

– To wspaniale! Nazywam się...

Bifatima nie była jednak zainteresowana tym, jak się nazywam. Podreptała niespiesznie do najbliższego budynku i wskazała ciemną framugę.

– Najpierw proszę wejść i napić się herbaty. Tak tu mamy w zwyczaju.

Odwróciła się do mnie tyłem, podeszła kaczym chodem do rogu i za nim zniknęła.

Korki w Ałmaty były nieprawdopodobne. Był to ostatni dzień szkoły przed wakacjami, świętowany solennie w całym byłym Związku Radzieckim. Także ostatni dzień tej części mojej podróży. Nazajutrz miałam powrotny samolot do Oslo.

Gdzieś podczas tej podróży, nie pamiętam gdzie, powiedział mi ktoś, nie pamiętam kto, że w Ałmaty powinnam odwiedzić Bifatimę. Nie pożałujesz, obiecał ten ktoś. Chociaż zapomniałam o wszystkich okolicznościach tej rady, w pamięci pozostało mi to, co istotne, imię Bifatimy.

Droga trwała dłużej, niż się spodziewałam. Kilometrami mijaliśmy zielone łąki usiane dzikimi czerwonymi tulipanami. A jednak nietrudno ją było znaleźć. Wszyscy, których kierowca o nią pytał, wiedzieli, gdzie mieszka Bifatima.

Z ociąganiem weszłam do ciemnego pomieszczenia. W rogu znajdował się

prosty kuchenny kredens. Nad resztkami jedzenia bzyrzały muchy. Przy stole na drugim końcu pokoju trzy kobiety piły herbatę. Usiadłam na wolnym krześle i podano mi parujący kubek, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Żadna z kobiet nie stawiała pytań, za to chętnie odpowiadały na moje.

Były siostrami i – jak mówiły – przywiodły je tu rozliczne dolegliwości. Najmłodsza z nich, żywa, zbliżająca się do pięćdziesiątki Rimgul w ostatnim czasie coraz częściej budziła się z rana bez czucia w rękach. Przez kilka nocy, zawsze w nocy, Bifatima leczyła ją masażami ramion. Dwie noce temu powiedziała zamyślona, że jej się wydaje, iż to jakaś inna kobieta odbiera Rimgul czucie w rękach. Może sąsiadka. Ktoś, kto nie ma dobrych zamiarów. Rimgul od razu przypomniała sobie o sąsiadce, z którą trudno było wytrzymać. To pewnie ona.

Minionego wieczoru wszystkie kobiety poddały się wspólnie rytuałowi. Bifatima mieszała krew kury i gęsi. Podczas gdy one, recytując „Allah, Allah”, siedziały w kręgu, smarowała je tą krwią. To było tak silne przeżycie, że Rimgul się rozplakała. Płakała bez końca. Teraz czuje się dużo lepiej, mówiła. Oczyszczona. Pełna energii i chęci do życia.

W otwartych drzwiach stanęła młoda blondynka.

– Może cię teraz przyjąć – powiedziała.

Rimgul położyła mi dłoń na ramieniu.

– Będzie dobrze – szepnęła.

Bifatima czekała na mnie na podwórku.

– Niech pani wyjmie monetę – poleciła blondynka.

Zacząłam przetrząsać kieszenie. Trzy siostry dyskutowały, czy powinnam użyć monety ze swojego kraju, ale ponieważ nie miałam już norweskiego bilonu, musiało wystarczyć kazachskie tenge. Po kolejnych naradach siostry doszły do wniosku, że to zadziała na pewno równie dobrze.

– Niech pani położy monetę na dłoni i wyciągnie ręce do przodu – poinstruowała młoda.

Bifatima zamachnęła się i z całej siły uderzyła mnie po dłoniach.

– Proszę się nachylić.

Schyliłam głowę. Bifatima znów wyprowadziła cios, aż zadźwięczało mi pod czaszką. Krzyknęłam. Potem przyszła kolej na kark. Ponownie wrzasnęłam.

– Niech się pani zegnij jeszcze bardziej.

Oszołomiona, zrobiłam, jak mi kazano, chociaż przeczuwałam, co mnie czeka. Na ułamek sekundy przed tym, jak pięści Bifatimy trafiły w kręgosłup, wrzasnęłam jeszcze raz. Spojrzała na mnie z potępieniem.

– Niech pani zdejmie buty.

Bifatima poczęstowała każdą z podeszew moich stóp dobrze wymierzonym ciosem. Potem napełniła dłonie wodą z brudnego niebieskiego wiadra i wyciągnęła w moją stronę.

– Pij!

Pochyliłam głowę i posłusznie się napiłam.

– Więcej!

Wypiłam więcej. Woda smakowała bagnem. Resztę wody z wiadra Bifatima wylała mi na głowę. Poczułam lodowate zimno i znowu wrzasnęłam. Bifatima kiwnęła w zamyśleniu głową i podeszła pod dom po kolejne wiadro. Zamachnęła się nim i chlusnęła mi wodą w twarz. Następnie złożyła dłonie i powędrowała do kurnika.

– Niech pani dobrze pilnuje monety – napomniała mnie blondynka. – Uczyni panią bogatą. Teraz odwiedzimy święte wzgórze.

Poprowadziła mnie w górę zbocza po drugiej stronie drogi. Przyjechała tu aż z Moskwy, ale nie chciała mi powiedzieć wiele więcej. Nawet tego, dokąd zmierzamy.

– Pożyjemy, zobaczymy. Pożyjemy, zobaczymy – odpowiadała mgliście swoim łagodnym głosem za każdym razem, kiedy pytałam.

Wspinała się kilka metrów przede mną. Jej długa batikowa spódnica łopotała na wietrze.

Na szczycie teren przypominał swego rodzaju krąg. W jego środku ziemia się osunęła i utworzyła szeroki lej. Według blondynki był to grób kogoś z wioski. Uklękła przy leju do modlitwy i poprosiła, żebym zrobiła to samo. Żeby podkreślić nastrój, włączyła w komórce śpiew imama. Potem wstałyśmy i podeszły kawałek dalej do niewielkiego urwiska. Leżały tam dwa kamienie. Jeden był kamieniem kobiecym, drugi męskim, jak wyjaśniła blondynka. Uklękłyśmy i tu również odmówiła modlitwę. Następnie kazała mi usiąść między kamieniami i pomyśleć jakieś życzenie. Zrobiłam, jak kazała, ale nie przyszło mi do głowy żadne życzenie. Jedyne, o czym myślałam, to to, że dziwnie jest tak siedzieć na piętach między dwoma kamieniami, daleko w kazachskiej wiosce, przy akompaniamencie zawodzenia imama z taniej komórki.



Do Bifatimy zjeżdżają się po uzdrowienie kobiety z dalekich stron.

Azja Środkowa ma mnóstwo takich tajemniczych tradycji i świętych miejsc. Wiara w złe duchy i czary, która prawdopodobnie przetrwała z czasów przedmuzułmańskich, gdy koczownicy czcili bóstwa przyrody i mieli między sobą szamanów, żyje ramię w ramię z islamem i mało kto widzi w tym jakąś niezgodność. Tradycyjnie silną pozycję ma w Azji Środkowej sufizm, duchowa odnoga islamu, skoncentrowana na indywidualnych przeżyciach mistycznych. Po całym regionie rozrzucone są setki celów pielgrzymek – od grobów świętych mężów po gorące źródła i inne szczególne miejsca, którym z tego czy innego powodu z biegiem czasu przypisano nadnaturalną, uzdrowicielską moc. Jeżdżąc po Turkmenistanie,

zatrzymaliśmy się w kilku takich punktach, między innymi na Kyrk Mułła, Wzgórzu Czerdziestu Mułłów, jednym z najświętszych celów pielgrzymkowych w kraju. W dawnych czasach mężczyźni chcący zostać mułłami musieli pościć i modlić się na szczycie tego wzgórza przez czterdzieści dni. Obecnie pielgrzymują tam bezdzietne kobiety z całego Turkmenistanu. Przywożą ze sobą miniaturową kołyskę z lalką w środku jako symbol wymarzonego dziecka. Na szczycie stawiają kołyskę obok setek innych, które zostawiły kobiety przed nimi. Następnie kładą się na boku i staczają ze zbocza wzgórza. Powtarzają to staczanie trzy razy, coraz szybciej i coraz bardziej nieprzytomne. To był dopiero widok! Jeżeli zajdą po tym w ciążę, muszą wrócić po kołyskę.

– To tyle. – Blondynka wyłączyła imama.

Podniosła się z kolan i szybkim krokiem ruszyła w powrotną drogę. Pobiełam truchtem za nią. Chciałam się o niej dowiedzieć więcej. Kim była? Jak tu trafiła?

– Skąd pani jest?

– Moskwa – odparła krótko, nie zwalniając.

– Dlaczego tu pani przyjechała?

– Ludzie tu przyjeżdżają z różnych powodów – powiedziała wymijająco.

– Niektórzy, bo chorują, inni przybywają, żeby im otworzyć duszę i żeby zyskali wgląd.

– Pani przyjechała po wgląd?

Uśmiechnęła się, lecz nie odpowiedziała.

– Jak długo tu pani jest?

– Długo.

– Jest pani muzułmanką?

Zaśmiała się i spuściła wzrok.

– Bóg jest jeden i ten sam, nie ma znaczenia, do kogo się modlisz. Ludzie tutaj są muzułmanami, więc to naturalne, że robi się to na sposób muzułmański.

Kiedy wróciłyśmy na podwórko, Bifatimy nie było. Trzy siostry przygotowały kolejną herbatę. Zmierzchało. Musiałam wrócić do Ałmaty, do pokoju hotelowego, do walizki, którą należało spakować.

Pierwsza część podróży była za mną. Zbliżało się lato, w Azji Środkowej potrafi ono być bezlitosne. W wielu miejscach słupek rtęci za dnia przekracza czterdzieści stopni. Miałam tu wrócić, ale dopiero wtedy, gdy miną letnie upały i nastanie jesień. Porzucałam bogate pustynne kraje naftowe, nadchodziła kolej na biedne królestwa gór.

Melancholijnie pomachałam na pożegnanie trzem siostrami. Korki dawno się rozładowały i drogi mieliśmy dla siebie. Bujne łąki szarzały w mroku, tulipany zamknęły na noc kielichy.

Po powrocie do hotelu zauważyłam, że moneta, dla której zniosłam tyle ciosów, wypadła mi z kieszeni. Mój klucz do bogactwa zniknął na zawsze.

Kłopoty żołądkowe miałam przez długie tygodnie. Nie wiem tego z całą pewnością, lecz podejrzewam, że winna temu była święta woda Bifatimy.

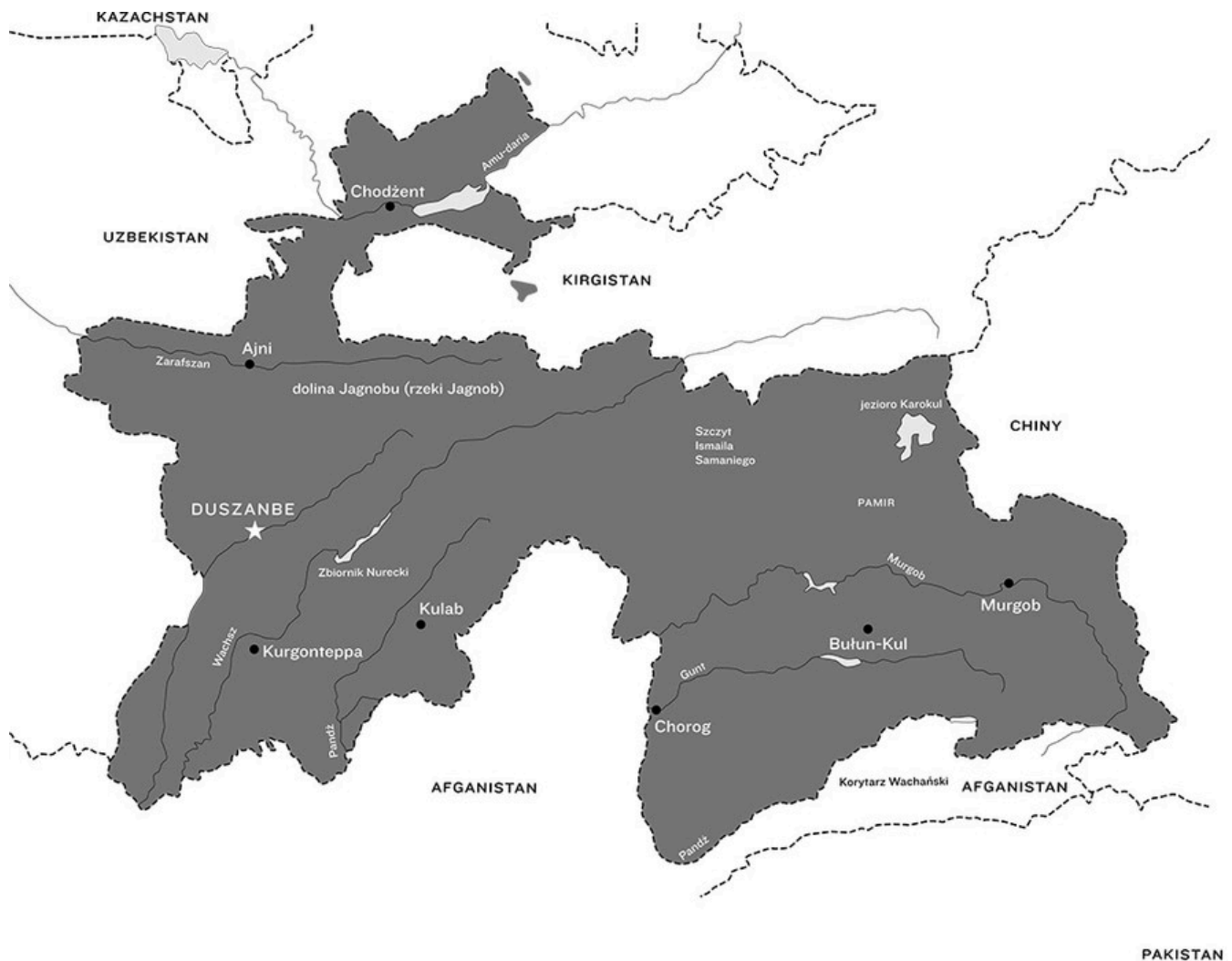
Tadżykistan

Powierzchnia 143 100 km²

Liczba ludności 8 051 512 (szacunkowo w 2014 roku)

Stolica Duszanbe

Prezydent Emomali Rahmon (głowa państwa od 1992 roku,
prezydent od 1994 roku)



Stolica mercedesów

Nad koronami drzew wstawał świt. W dali przed nami w porannej bryzie powiewała leniwie czerwono-biało-zielona flaga Tadżykistanu. Flagą, która waży ponad trzysta kilogramów, ma sześćdziesiąt metrów długości i trzydzieści szerokości, jest sama w sobie dość imponująca, jednak najbardziej imponuje maszt, z którego się zwiesza, wysoki na sto sześćdziesiąt pięć metrów, a tym samym – przynajmniej na razie – najwyższy na świecie wolno stojący. W maszty flagowe wstąpił duch rywalizacji.

Wszystko zaczęło się w 2001 roku, kiedy pewna firma zamówiła maszt flagowy o wysokości stu dwudziestu trzech metrów na obchody święta narodowego w Abu Zabi. Mieszkańcy Zjednoczonych Emiratów Arabskich już wcześniej mogli się pochwalić najwyższym hotelem na świecie, największym żyrandolem i największym dywanem modlitewnym. Teraz biała i czerwona flaga Abu Zabi łopotała na najwyższym maszcie na świecie. Radość jednak nie trwała długo. Już w roku 2003 król Jordanii Abdullah kazał wznieść w Ammanie maszt o wysokości stu dwudziestu siedmiu metrów. Rok później zamówił jeszcze jeden maszt, o trzy metry wyższy od poprzedniego. Tak więc na krótką chwilę dwa najwyższe maszty flagowe na świecie znalazły się w Jordanii. W 2008 roku jako pierwsza była republika radziecka w szranki stanął Turkmenistan, obejmując prowadzenie masztem w Aszchabadzie – sto trzydzieści trzy metry. Dwa lata później Azerbejdżan pobił wszelkie wcześniejsze rekordy stoma sześćdziesięcioma dwoma metrami masztu w Baku. Także i tym razem radość była krótkotrwała. Niecały rok później w Duszanbe flaga tadżycka zawisła na maszcie stu sześćdziesięciopięciometrowym³⁵.

Prawdziwym zwycięzcą w tym międzynarodowym wyścigu masztów flagowych jest bez wątpienia Trident Support, firma, która wyprodukowała każdy z nich. Po sukcesie w Abu Zabi odkryła ona, że istnieje wręcz nienasycony rynek masztów flagowych i że niewiele innych spółek ma

odpowiednie kompetencje, by je konstruować – a może nawet nie istnieje druga taka spółka. Od roku 2001 Trident Support zajmuje się wyłącznie flagami i masztami. Na swojej stronie internetowej informuje, że buduje monumentalne maszty flagowe od dziewięćdziesięciu metrów do rekordowych stu sześćdziesięciu pięciu albo jeszcze wyższe. Pozostaje zatem czekać, jak długo Tadżykistan utrzyma palmę pierwszeństwa. Już krążą plotki, że tak Arabia Saudyjska, jak Dubaj planują zamówić nowe maszty.



Duszanbe. Najwyższy na świecie maszt flagowy (pałac prezydencki z lewej dla porównania stosunku wysokości).

To, że kraje bogate w ropę: Azerbejdżan, Dubaj, Turkmenistan, Arabię

Saudyjską stać na udział w wyścigu o najwyższy maszt, nie powinno nikogo dziwić. Skąd jednak wzięły na to pieniądze władze tadżyckie?

Tadżykistan jest zdecydowanie najuboższym krajem ze wszystkich byłych republik radzieckich. Nie ma ropy ani gazu, ponad dziewięćdziesiąt procent jego powierzchni to góry. Tylko siedem procent obszaru nadaje się pod uprawy. Przemysł jest słabo rozwinięty i państwo, żeby jakoś związać koniec z końcem, potrzebuje dotacji od zagranicznych organizacji pomocowych. Połowę ludności uznaje się za biedną, natomiast około dwudziestu procent z ośmiu milionów mieszkańców dziennie ma na przeżycie kwotę, której wartość odpowiada w przybliżeniu dziesięciu koronom norweskim.

Mimo to najwyższy dotychczas maszt flagowy na świecie stoi w Duszanbe.

* * *

Duszanbe (wymawia się z akcentem na ostatnią sylabę) uchodzi za najładniejszą stolicę w Azji Środkowej. Szpalery liściastych drzew rzucały długie cienie na niskie pastelowe budynki w stylu neoklasycystycznym. Ulice były zakurzone i szerokie, zbudowane dla socjalistycznej przyszłości, a połowa chodnika przeznaczona dla rowerzystów, którzy widocznie także należeli do przyszłości. W ciągu czterech dni, które spędziłam w Duszanbe, widziałam jednego jedynego rowerzystę – starego człowieka na zardzewiałym, rozpadającym się wraku. Chodniki robiły wrażenie położonych specjalnie dla kobiet, które wędrowały nimi niespiesznie grupkami po dwie lub trzy, ubrane w bawełniane wzorzyste tuniki do kolan w zdecydowanych kolorach i dopasowane do nich luźne spodnie. Większość z nich miała długie czarne włosy rozpuszczone albo splecione w proste warkocze, tylko nieliczne przykrywały je chustami. Owalne twarze, jasna cera, brązowe oczy w kształcie migdałów, nosy proste i wąskie... W przeciwieństwie do Kazachów i Turkmenów, którzy pochodzą od ludów mongolskich i tureckich, Tadżycy są ludem perskim, a ich język, tadżycki,

tak przypomina perski, że wielu studentów arabistyki woli studiować w Duszanbe niż w politycznie bardziej zapalnym Teheranie. Największą różnicę między tadżyckim a perskim stanowi alfabet. Perski posługuje się alfabetem arabskim, natomiast tadżycki w dalszym ciągu cyrylicą.

Poranne słońce ogrzało powietrze, przyjemne teraz jak w norweski letni dzień. Na skraju dużego placu za owalną fontanną stał budynek jednocześnie skromny i reprezentacyjny. Do tego stosunkowo mały: prostokątny jak klocek, ozdobiony od frontu dumnymi greckimi kolumnami – Tadżycka Opera Państwowa. Choć Duszanbe leżało na kompletnych peryferiach imperium, przy granicy z Chinami i Afganistanem, władze radzieckie wyposażyły miasto, jak na stolicę przystało, w operę i balet. Minęłam spacerkiem staruszki karmiące ptaki przy fontannie i podeszłam do kasy, żeby się przekonać, jakie spektakle przewidziano na najbliższe dni. Okienko było zamknięte, repertuar zapowiadany na plakacie z programem i wabiący tytułami oper i baletów Czajkowskiego pochodził sprzed roku.

Tadżykistan stanowił część Socjalistycznej Republiki Uzbeckiej. W 1929 roku otrzymał status samodzielnej republiki socjalistycznej. Duszanbe było wtedy zaledwie miściną z trzema tysiącami mieszkańców. Nowa republika potrzebowała stolicy i wybór padł na miasteczko znane z dużych poniedziałkowych targów. *Duszanbe* znaczy po tadżycku „poniedziałek”. Od 1929 do 1961 roku nazywało się Stalinabad i to w tym okresie, zwłaszcza w latach powojennych, wzniesiono liczne neoklasycystyczne budowle.

Dzisiaj to niegdyś skromne miejsce jest największym miastem w kraju z liczbą mieszkańców przekraczającą siedemset tysięcy. Po roku 1991 wiele z tych niskich pastelowych domów zburzono, by stworzyć miejsce dla nowoczesnych wieżowców, mimo to chyba udało się zachować nieco małomiasteczkowej atmosfery. Nikt z przechodniów na ulicach nie sprawiał wrażenia, że mu się spieszy. Ludzie poruszali się spokojnym tempem. Nikt poza bogaczami w japiszońskich terenówkach Mercedesa nie trąbił, nikt nie podnosił głosu. Nad dachami zaś powiewała olbrzymia

czerwono-biało-zielona flaga.

Obrawszy kurs na flagę, dotarłam do dużego, bujnego parku. Na jego skraju, niedaleko flagi, stał pełen przepychu pałac ze złotą kopułą i tyłoma greckimi kolumnami, że bezsensownie wydawało się ich liczenie. Nowy pałac prezydencki w Duszanbe pod względem stylu i rozmiarów nie ustępuje swoim odpowiednikom w Astanie ani Aszchabadzie. W bogatym Turkmenistanie lub Kazachstanie może właśnie tego rodzaju ekstrawaganckich gmachów należy się spodziewać, ale co taki luksus robi tutaj, w najbiedniejszym ze wszystkich krajów poradzieckich? Skąd wzięto na to pieniądze?

Pałac prezydencki i maszt flagowy to zresztą niejedynie konstrukcje, które wzbudzają zainteresowanie w tadżyckiej stolicy. Obok hotelu Hyatt Regency trwa budowa pawilonu, który ma się stać największą na świecie czajchaną – herbaciarnią, natomiast na peryferiach śródmieścia robotnicy wznoszą przyszły największy meczet w Azji Środkowej. Ma podobno pomieścić sto pięćdziesiąt tysięcy wiernych, ponad jedną piątą mieszkańców Duszanbe. Dla porównania meczet Hazrata w Kazachstanie, który dziś jest największy w Azji Środkowej, ma miejsce dla dziesięciu tysięcy wiernych. Emir Kataru podjął się sfinansowania lwiej części rachunku za tego tadżyckiego giganta³⁶, nie jest jednak jasne, kto zapłaci za wybudowanie czajchany, w przybliżeniu sześćdziesiąt milionów dolarów.

Niedaleko pałacu prezydenckiego, przy wejściu do parku, znajduje się inny potężny budynek – biblioteka narodowa, największa w całej Azji Środkowej. Została otwarta w 2012 roku i zajmuje na dziewięciu piętrach łącznie czterdzieści pięć tysięcy metrów kwadratowych. Znajdzie się tu miejsce dla dziesięciu milionów woluminów. Żeby wypełnić te kilometry półek, poproszono, by każde gospodarstwo domowe na otwarcie podarowało bibliotece książki. Dziennikarze, którzy byli w środku, donosili, że książki wypełniają tylko jedną salę, reszta półek świeci pustkami.

Drzwi w imponującym portalu wejściowym złożonym z kolumnady

wysokich i smukłych słupów oraz ciemnych szklanych tafli były zamknięte. Kilku chłopców wyjaśniło mi, że na co dzień używa się dolnego wejścia. Przy pogrążonych w piwnicznym mroku drzwiach starszy strażnik w opiętym niebieskim mundurze odsyłał wszystkich chętnych słowami:

– Przykro mi, dziś zamknięte... Przepraszam, zamknięte... Na dziś już zakończyliśmy pracę...

– Ale przecież jest dopiero wpół do jedenastej – zaprotestowałam.

Strażnik rozejrzał się czujnie dokoła.

– Nie mamy dziś prądu – powiedział cicho. – Niech pani spróbuje później. Może włączą jutro.

Na jednym z oficjalnie wyglądających budynków po drugiej stronie ulicy wisiał gigantyczny plakat z ubranym w garnitur mężczyzną pośrodku łańcuchozboża. Mężczyzna miał grube, krzaczaste brwi i bujne, ciemne włosy z głębokimi zakolami nad czołem. Doświadczenie z Turkmenistanu i Kazachstanu podpowiadało, że starzejący się bohater plakatu giganta to nikt inny tylko Emomali Rahmon, prezydent Tadżykistanu.

Przebieg kariery Rahmona³⁷, podobnie jak wielu jego kolegów po fachu, opisuje stroma krzywa rosnąca. Jego rodzice byli rolnikami w dawnym wilajecie kulabskim w południowo-zachodnim Tadżykistanie. Podobnie jak Turkmenbasza i Nazarbajew zdobył stopień akademicki z ekonomii, po czym powoli piął się w górę w hierarchii kolektywnej gospodarki rolnej. W latach 1988–1992 był dyrektorem sowchozu imienia Lenina w Dangarze. Podczas wojny domowej, która trwała od 1992 do 1997 roku i kosztowała życie od pięćdziesięciu do stu tysięcy ludzi, Rahmon zrobił błyskawiczną karierę. Jeszcze w listopadzie 1992 roku został wybrany na przewodniczącego Rady Najwyższej, a w roku 1994 – 59,9 procent głosów – na prezydenta kraju. Jeżeli wierzyć władzom tadżyckim, frekwencja wyborcza wyniosła wówczas dziewięćdziesiąt pięć procent mimo szalejącej ciągle wojny domowej.

Kiedy w jakiejś środkowoazjatyckiej republice ktoś wprowadzi się do pałacu prezydenckiego, istnieje małe prawdopodobieństwo, że dobrowolnie

się wyprowadzi. Rahmon zgodnie z tradycją pozostał w pałacu, umacniał swoją władzę i wprowadził kraj w XXI wiek. Z żoną Azizmo doczekał się siedmiu córek i dwóch synów, wszyscy mają zapewnione lukratywne posady w aparacie państwowym. Jedna z córek jest pierwszą zastępczynią ministra spraw zagranicznych, starszy zaś syn szefem służb celnych. Kultu jednostki otaczającego Rahmona nie można porównać z czcią oddawaną prezydentom Turkmenistanu, jednak są pewne cechy wspólne. Coraz częściej przy oficjalnych okazjach Rahmon jest nazywany Dżanobi Oli, co znaczy „Jego Wysokość”. W 2007 roku usunął z nazwiska rosyjską końcówkę, czyli zmienił Rahmonow na Rahmon, co po tadżycku znaczy „miłosierny”. W wirze prezydenckiej codzienności zdążył napisać ponad tuzin książek, między innymi wielkie dzieło pod tytułem *Tadżycy w zwierciadle historii*³⁸, w którym przeprowadza fantastyczne paralele między teraźniejszością a chlubną przeszłością Tadżyków za czasów dynastii Sasanidów w VI wieku. Książka jest „duchowym darem” Rahmona „dla narodu tadżyckiego”.

Podczas wyborów prezydenckich w 1999 roku, dwa lata po podpisaniu zawieszenia broni, Rahmon został wybrany ponownie fantastyczną ilością 97,6 procent głosów. Frekwencja wyborcza była równie rekordowa – 98,9 procent. W wyborach w 2006 roku, bojkotowanych przez partie opozycyjne, a przez Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie określonych jako „niedostateczne i niesprawiedliwe, ale spokojne”, Rahmon uzyskał 79,3 procent głosów. Także i tym razem frekwencja wyniosła podobno ponad dziewięćdziesiąt procent. W listopadzie 2013 roku, kilka tygodni po moim pobycie w Tadżykistanie, ogłoszono nowe wybory. Choć Rahmon teoretycznie walczył o fotel prezydencki z sześcioma kontrkandydatami, z wynikiem po raz kolejny nie wiązało się żadne szczególne napięcie. Urzędujący prezydent był tak pewny reelekcji, że nie chciało mu się nawet prowadzić kampanii wyborczej. Dla zapewnienia jakiejś równowagi zadbał natomiast o to, żeby jego rywale jak najmniej pojawiali się w mediach, i w ten sposób oni także nie prowadzili walki

wyborczej.

Mimo że w stolicy Rahmona nie brakowało wspaniałej architektury, z trudem znalazłam jakieś znośne miejsce, gdzie mogłabym się posilić. Minąwszy całą masę sklepów specjalizujących się w sprzedaży używanych telefonów komórkowych i pirackich kopii filmów DVD, znalazłam jedyny w Tadżykistanie ogródek kawiarniany podobny do znanych mi z Europy. Usiadłam przy wolnym stoliku otoczona pracownikami wszelkiej maści międzynarodowych organizacji pomocowych i przyglądałam się nieznacznemu ruchowi ulicznemu. Wśród przejeżdżających samochodów wyjątkowo często rzucały się w oczy bmw i mercedesy. Lśniące bielą i czernią pojazdy toczyły się jak sznur pereł. Na nowo zdumiałam się, skąd się wzięły na to pieniądze. Większość Tadżyków zarabia poniżej osiemdziesięciu dolarów miesięcznie, jedna trzecia ludności jest permanentnie niedożywiona. Państwo nie jest nawet w stanie zapewnić niemowlętom szczepień przeciwko najgroźniejszym chorobom wieku dziecięcego ani wszystkim obywatelom wystarczającej ilości prądu w zimie. Mimo to na ulicach widać więcej luksusowych samochodów niż w Aszchabadzie i Astanie.

Dopiero po powrocie do domu dostałam odpowiedź – nie na pytanie, skąd się biorą pieniądze, lecz skąd się biorą samochody. Biorą się z Niemiec. Dzięki wytrwałemu śledztwu i zastosowaniu nowoczesnego sprzętu GPS niemieckiej policji udało się wykryć dwieście skradzionych luksusowych aut, wśród nich wiele bmw i mercedesów. Zakładano, że samochody zostały sprzedane siatkom przestępczym w Europie Wschodniej lub Rosji, lecz ku zaskoczeniu policji wylądowały one u wysoko postawionych urzędników tadżyckiej administracji prezydenta oraz u bliskich przyjaciół tudzież członków rodziny Rahmona.

Poza czasem

Potocznie nazywa się go tunelem Sądu Ostatecznego albo śmierci. Tunel Anzob jest katastrofą. Pierwsze kilometry były poniekąd w porządku – pod kołami asfalt, pod sufitem światło, w ścianach wnęki z telefonami alarmowymi. Wszystko wydawało się w gruncie rzeczy bez zarzutu. Mniej więcej w połowie drogi tunel jakby wewnętrznie się rozmył. Z sufitu zwieszały się rury i przewody – bez żarówek. W egipskich ciemnościach jechaliśmy w głąb góry. Powietrze w tunelu gęstniało od spalin, które przenikały też do wnętrza samochodu. Asfalt stał się wspomnieniem. Nawierzchnię tworzyły żwir i wielkie dziury o niemożliwej do ustalenia głębokości wypełnione czarną oleistą wodą. Szofer pochylał się nisko nad kierownicą, w skupieniu patrząc przed siebie zmrużonymi oczami. Jechał zygzakiem, by ominąć najgorsze dziury oraz jadące z naprzeciwka samochody, które wyglądały jak podskakujące podwójne snopy światła.

Budowę tunelu wspierał Iran, lecz z jakiegoś powodu prac nie doprowadzono do końca. To jedyna droga łącząca Duszanbe z leżącym na północy Chodżentem, drugim co do wielkości miastem Tadżykistanu. Zanim powstał tunel, droga do Chodżentu wiodła przez przełęcz Anzob w Górach Hisarskich (ponad 3000 metrów n.p.m.), która w okresie od grudnia do czerwca jest zamykana z powodu warunków atmosferycznych. Do Chodżentu można się z Duszanbe dostać również koleją, ale linia prowadzi przez Uzbekistan, z którym Tadżykistan ma napięte stosunki. Jedyną alternatywą jest samolot rejsowy, jednak mało którego Tadżyka na to stać. Chociaż tunel Anzob zimą jest często zamykany, miejscowa ludność woli z reguły przekupić strażników i zaryzykować, zamiast płacić majątek za bilet lotniczy.

– Gorzej jest w lecie – zauważa beznamiętnie Muqim, mój przewodnik. – Cały tunel wypełnia wtedy woda. To tak, jakbyś jechał przez rzekę.

Pokonanie ostatnich kilometrów (z ponad pięciu) zajęło nam prawie pół

godziny. Kiedy wreszcie na końcu tunelu błysnęło światło dzienne, kierowcy, milczkowi i nałogowemu palaczowi powyżej pięćdziesiątki, wyrwało się prawie niedosłyszalne westchnienie ulgi.

Widok za wylotem tunelu był wspaniały. Po obu stronach drogi strzelały ku nasyconemu błękitowi nieba lśniące, strome zbocza gór.

– Moja matka nie rozumie, dlaczego ci wszyscy cudzoziemcy przyjeżdżają tu na wakacje – rzucił Muqim, który właściwie z wykształcenia był nauczycielem angielskiego, lecz ostatnimi laty zarabiał na życie jako przewodnik. – Tłumaczyłem jej, że to z powodu majestatu naszych gór, ale ona uważa to za śmieszne. Według niej góry przysparzają jedynie kłopotów. – Uśmiechnął się. – Ja także kiedyś myślałem jak ona, teraz patrzę na naszą przyrodę oczami turystów. Niełatwo dostrzec, że to, co nas codziennie otacza, jest piękne.

Muqim miał dwadzieścia sześć lat i chociaż ostatnio odkrył zaklęte w górach piękno, był opętany chęcią wyrwania się z Tadżykistanu. Prawie ze łzami w oczach opowiadał o półrocznym pobycie w USA na wymianie pracowników.

– Słońce właśnie wzeszło, kiedy schodziliśmy do lądowania w Nowym Jorku. Lecieliśmy nad plakatami reklamowymi i drapaczami chmur. Po prostu jak w filmie. – Wpatrzył się w ostre szczyty gór. – Moje rodzeństwo wyjechało do pracy do Rosji, jak wszyscy tutaj, ale ja nie chcę tam jechać. Chcę wrócić na Zachód.

Dotarliśmy do doliny rzeki Jagnob, celu naszej podróży. Droga znów wyraźnie się pogorszyła. Bez asfaltu, pełna natomiast dziur i nierówności. Mieszkańcy kyszlaków za to, że w ogóle mieli coś, co przypominało drogę, nawet tutaj, w tej leżącej na uboczu dolinie, mogli podziękować władzy radzieckiej. Do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku dolina nie miała połączenia drogowego z resztą republiki.

Pierwszy kyszlak, Margib, leżał na urodzajnym zboczu u końca drogi. Z ogrodów wprost wylewały się śliwy i jabłonie. Po nader obfitym posiłku,

na który składały się suszone owoce, orzechy, pilaw³⁹, jogurt i duże ilości zielonej herbaty, zostałam zakwaterowana w skromnym, lecz lśniącym czystością pokoiku.

W Margibie mieszkają sami Tadźcy, natomiast w głębi doliny wciąż znajdują się kyszlaki zaludnione przez Jagnobczyków. Jest to niemal mityczne plemię, które – jak powiadają – pochodzi od Sogdyjczyków, ludu, który mieszkał na terenach Tadżykistanu i Uzbekistanu od starożytności aż do wczesnego średniowiecza. To Sogdyjczycy założyli Samarkandę i przez setki lat byli głównymi handlującymi na Jedwabnym Szlaku. Wyznawali zoroastryzm, jedną z pierwszych w świecie religii monoteistycznych. Zoroastryzm powstał za przyczyną perskiego proroka Zoroastra (albo Zaratustry, bo pod takim imieniem jest bardziej znany na Zachodzie) około tysiąca lat przed Chrystusem. Ponieważ dla wyznawców tej religii szczególnie ważne były żywioły, zwłaszcza ogień, nazywano ich często „czcicielami ognia”, niemniej zoroastryzm wykazuje uderzające podobieństwa do chrześcijaństwa. Zoroastrianie wierzyli na przykład w zbawienie i zmartwychwstanie oraz w istnienie nieba i piekła.

Kiedy w 722 roku Arabowie podbili Pandżakent, jedno z ważniejszych miast w Sogdianie, niektórzy zoroastrianie uciekli do niedostępnej doliny Jagnobu, żeby uniknąć przymusowego przejścia na islam. Tutaj w dalszym ciągu praktykowali zoroastryzm, tymczasem reszta Sogdiany się zislamizowała. Potomkowie owych zbuntowanych, Jagnobczycy, przez stulecia żyli w takiej izolacji, że w dalszym ciągu mówią po sogdyjsku, używają więc języka, który badacze do niedawna uważali za wymarły.

Wraz z nadejściem nocy kyszlak został oświetlony przez żółty księżyc w pełni. Zapadłam w drzemkę przy wtórze chrobotu pazurków zaaferowanych myszy biegających pod podłogą.

Następnego dnia wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę, Muqim i ja, w towarzystwie starego jucznego osła i jego właściciela, bezzębego,

emerytowanego nauczyciela geografii. Nauczycielska emerytura w wysokości około trzystu koron norweskich miesięcznie nie wystarczała na życie, toteż był zmuszony szukać dodatkowych dochodów z pracy dorywczej jako prowadzący osła. Osiołek był obładowany ubraniami, butelkami z wodą, chlebem, owocami i konserwami. Jagnobczycy należą do najbiedniejszych mieszkańców Tadżykistanu i chociaż Muqim zapewniał mnie, że podzieliliby się z nami ostatnim ziemniakiem, wolałam, żebyśmy w większość niezbędnych rzeczy zaopatrzyli się na własną rękę.

Z wioski w górę przez grzbiet prowadziła ścieżka, stamtąd zagłębiliśmy się w dolinę nowo utwardzoną żwirówką. Po drodze Muqim opowiadał o swoich doświadczeniach w USA, gdzie kelnerował podczas przyjęć weselnych i pracował w parku rozrywki.

– Kompletnie nie znałem się na podawaniu, ale szybko się nauczyłem! Wszyscy byli bardzo mili i przyjaźnie nastawieni. I wszyscy dawali mi różne wskazówki, nawet w parku rozrywki!

– USA nie sięga do pięt temu tutaj – powiedziałam, wskazując głową wysokie góry, które nas otaczały.

Ośnieżone szczyty na horyzoncie miały ponad pięć tysięcy metrów.

– Może i nie, ale w Ameryce ma się możliwość stworzenia sobie przyszłości.

Po kilku godzinach pieszej wędrówki dotarliśmy do ruin kyszłaku. Z chat pozostały tylko zarysy fundamentów. Przyroda odebrała sobie wioskę. W kuchniach i sypialniach rosły teraz kwiaty i krzewy.

– To jeden z kyszłaków, skąd w latach siedemdziesiątych przymusowo wysiedlono ludność. Ci, którzy tu mieszkali, nie wrócili.

Deportacje lat siedemdziesiątych to jeden z najbardziej dramatycznych rozdziałów w historii Jagnobczyków. Władze radzieckie zaangażowały się w rozwój produkcji bawełny w Tadżykistanie. W przeciwieństwie do Uzbekistanu i Turkmenistanu głównym problemem był tutaj brak nie wody, lecz rąk do pracy. Władze rozwiązały go, przesiedlając przymusowo ludność

z górskich kyszłaków do kołchozów na nizinach. Jagnobczyków, którzy byli najbardziej ze wszystkich odizolowani, dotknęło to na końcu. Początkowo podejmowano próby namówienia ich, by przenieśli się dobrowolnie. Kiedy termin minął, tylko kilka rodzin posłuchało zachęty do przenosin i opuściło dolinę. Reszta została przymusowo przetransportowana helikopterami w ramach dobrze zaplanowanej operacji, trwającej prawie dwa lata. Systematycznie zabierano ludzi kyszłak za kyszłakiem, aż wreszcie w całej dolinie nie pozostał nikt. Tych z Jagnobczyków, którzy uciekli z kołchozów w rejonie zafarobodzkim i wrócili do doliny, na nowo odsyłano helikopterami na nizinę. Powtarzało się to rok po roku, aż wreszcie władze po dekadzie walki zrezygnowały. Kiedy lata siedemdziesiąte przeszły w osiemdziesiąte, dla każdego z osobna i wszystkich razem stało się jasne, że żelazna dłoń Moskwy pokrywa się rdzą, toteż rodziny, które wówczas przeniosły się na powrót do doliny Jagnobu, mogły tam pozostać.

Przeważająca część Jagnobczyków wybrała tymczasem osiedlenie się na nizinach, gdzie mieli drogi, prąd, wodociągi, szkoły i szpitale. Rodziny, które zdecydowały się na porzucenie stosunkowo wygodnego życia na nizinach, wróciły do resztek własnych domów. Chaty Jagnobczyków, zbudowane z kamienia, gliny i krowiego łajna, źle tolerują upływ czasu. Wystarczy jedna śnieżna zima i brak dozoru, a ściany i dach się walą. Po przeszło dziesięciu latach bez mieszkańców kyszłaki popadły w ruinę.

Maszerowaliśmy dalej żwirówką. Na dnie doliny wesoło szumiał Jagnob. Zaledwie kilka lat temu Jagnobczycy żyli jeszcze w całkowitym odosobnieniu, teraz jednak w ciepłej połowie roku do najniżej położonych kyszłaków można było dojechać. W miesiącach zimowych dolinę pokrywała gruba warstwa śniegu, więc zarówno droga, jak i ścieżki były nieprzejezdne.

Usiedliśmy, by zaczerpnąć tchu, wtedy Muqim poprosił mnie o radę:

– W przyszłym roku będę składał papiery na studia magisterskie z ekonomii na uniwersytecie w Niemczech. Jak pani myśli, jakie mam szanse się tam dostać?

– Czy nie jest pan z wykształcenia nauczycielem angielskiego?
– No, owszem, ale na jesieni zacząłem studia zaoczne z ekonomii.
– Z tak niewielką wiedzą z ekonomii składałabym raczej papiery na studia licencjackie – powiedziałam ostrożnie. – Ewentualnie wybrałabym studia bardziej zbliżone do anglistyki.

Muqim zacisnął usta. Jego brązowe oczy zaiskrzyły.

– Pewien mój przyjaciel powiedział, że można osiągnąć, co się chce na tym świecie – rzucił. – Chodzi tylko o to, żeby wytrwać w wierze.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu. Lato się kończyło, niektóre drzewa liściaste żółkły i czerwieniały. Pachniało słońcem i ziemią. Muqim nie boczył się długo. Wkrótce przedstawił mi swoje plany dotyczące przyszłego życia na Zachodzie:

– Mam nadzieję, że w Europie znajdę żonę – mówił. – Nieważne, czy będzie Niemką czy Rosjanką, chrześcijanką czy żydówką, ale ma mieszkać w Europie. Chcę mieć europejskie dzieci. Dla nich wszystkie drzwi będą stały otworem.

– A co z pańską tadżycką żoną i dzieckiem, którego oczekujecie? – zaoponowałam.

Pokazywał mi jej zdjęcie. Była do niego podobna. Miała otwartą, przyjazną twarz, duże brązowe oczy i pełne, prawie jak u dziecka policzki. Razem dorastali, wykształciła się na pielęgniarkę, a teraz była w zaawansowanej ciąży.

– Nic strasznego. – Wzruszył ramionami. – Ona uważa, że to w porządku, jeżeli wezmę sobie nową żonę, dopóki będę przysyłał do domu pieniądze. No i będę ich przecież odwiedzał przynajmniej raz w roku.

– I sądzi pan, że europejska żona przykłaśnie temu, że ma pan żonę i dziecko również w Tadżykistanie?

– A dlaczego miałyby mieć coś przeciwko temu? – Muqim spojrzał na mnie zdumiony. – Przecież z nią będę spędzał większość czasu.

Słońce kryło się za horyzontem, gdy wreszcie dojrzeliliśmy w dali pierwszy kyszałak, Bidef, położony kawałek drogi od rzeki na szczycie wzgórza. Po zboczu wiła się zygzakiem wąska ścieżka. Zbocze było bardziej strome, niż na to wyglądało, poza tym znajdowaliśmy się na wysokości prawie trzech tysięcy metrów. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo rozrzedzone jest tu powietrze. Nogi miałam jak z waty już na pierwszym podejściu. Pot spływał mi strugami po plecach. Oddychałam ciężko, tak naprawdę brakowało mi powietrza. Tymczasem jakiś chłopaczek w lateksowych sandałkach minął nas lekkim truchtem, mimochodem pozdrowiwszy wesoło, i zniknął za grzbietem pagórka.

Dotarliśmy prawie na szczyt koło glinianych chat. Wtedy usłyszałam rytmiczne bębnienie. Brzmiało to jak szamańskie bębny. Czyżby to, co słyszeliśmy, było rytmem jakiegoś tajemnego, zoroastryjskiego rytuału? Nie wierzyłam własnym uszom. Spojrzałam z entuzjazmem na Muqima.

- Powinniśmy poczekać, aż skończą?
- Skończą co?
- Rytuał zapewne. Nie słyszy pan bębnów?

Muqim wybuchnął śmiechem.

– Tam w najlepsze trwa dyskoteka. Jeżeli mielibyśmy czekać, aż skończą, to równie dobrze moglibyśmy rozbić tu obóz.

Prowadzeni dźwiękami minęliśmy poletko ziemniaków i weszliśmy w ciasne przejście między chatami z gliny. Wychodziło ono na otwarty plac. Z dwóch głośników huczał na cały regulator tadżycki pop. Podwórko pełne było kobiet i mężczyzn. Niektórzy beczynn timerali, inni spieszyli w różne strony. Kobiety miały na sobie proste, choć barwne, bawełniane sukienki, mężczyźni – dzinsy i dresy. Pod ścianą domu jakiś człowiek mieszał chochlą w wielkim żeliwnym garze, nucąc i poruszając się w rytm melodii.

- Mamy farta – zauważył Muqim. – Trafiliśmy na wesele.

Sam ślub miał się odbyć następnego dnia, jak się wkrótce dowiedzieliśmy, ale przygotowania szły pełną parą, a większość gości była już na miejscu. Na

co dzień w maleńkiej osadzie mieszkały tylko cztery rodziny. Teraz roіło się tu od ludzi. Prawdziwa rzeka gości forsowała drzwi w obie strony, niosąc dzbanki z herbatą i okrągłe chleby. Mieszkańcy sąsiedniego kyszłaku, który niczym zwierciadlane odbicie tego przycupnął po drugiej stronie doliny, przeprawili się jedynie przez rzekę. Inni przyjechali z Zafarobodu na nizinach, dokąd Jagnobczyków deportowano w 1970 roku. Pojedynczy przybyli aż z Duszanbe.

Mimo że każdy metr kwadratowy ziemi w wiosce wykorzystano, by zapewnić gościom nocleg, znalazło się schronienie także dla nas i zostaliśmy z miejsca zaproszeni do udziału w uroczystościach weselnych następnego dnia.

– Och nie, nie będziemy się narzucać! – zaprotestowałam grzecznie.

– Dla nas to zaszczyt, jeśli przyjdziecie – zapewnił gospodarz, szczupły mężczyzna w niebieskim dresie Adidasa, z twarzą pokrytą siateczką zmarszczek.

Młody chłopak wskazał nam pokój, w którym mogliśmy się przespać – na samym końcu wsi, obok wspólnego ustępu. Kiedy wnieśliśmy tam nasze rzeczy, inny chłopiec przyniósł nam świeżo upieczony chleb i zieloną herbatę.

Muqim wyjął rosyjską książkę i zaczął głośno czytać:

– „Do czasu deportacji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Jagnobczycy żyli w izolacji od innych plemion, a chociaż i oni stopniowo przechodzili na islam, w dolinie przetrwało wiele przedislamskich zoroastryjskich rytuałów”.

Siedzieliśmy, sącząc gorącą gorzką herbatę, aż tu nagle w otwartych drzwiach stanął plecami do nas wysoki starszy mężczyzna. Miał siwą brodę, gruby niebieski kaftan i czarny płaski kapelusz. Przez kilka chwil kiwał się w tył i w przód, po czym zaintonował słowa, które rozbrzmiewają z minaretów w całym muzułmańskim świecie pięć razy dziennie przez cały rok: *Allah-u-akbar! Allah-u-akbar!* „Bóg jest wielki”. Nadciągnęła grupka

starszych brodatych mężczyzn także w kaftanach i okrągłych płaskich kapeluszach. Zatrzymali się w progu, zdjęli buty i weszli do skromnego sąsiedniego pokoju, który – jak się później dowiedziałam – pełnił funkcję miejscowego meczetu.

Starsi odprawiali ostatnią popołudniową modlitwę, tymczasem młodzi – kobiety i mężczyźni – beztrąsko zajmowali się swoimi sprawami; biegali w tę i z powrotem z chlebem i herbatą albo rozmawiali w grupkach. Po zakończonej modlitwie starcy wyszli, wsunęli stopy w proste obuwie i kaczym krokiem wrócili do gromady.

Mężczyzna, który ich wezwał na modlitwę, przysiadł się do nas i nalał sobie herbaty. Miał siedemdziesiąt lat, jak nam powiedział.

– Jest pan tutejszy? – spytałam.

– Nie, mieszkam w Zafarobodzie – odrzekł bezbłędnie po rosyjsku, jednak z silnym akcentem. – Od czasu, kiedy nas tam przesiedlono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

– A gdzie się pan nauczył rosyjskiego?

– W Moskwie. Służyłem tam w wojsku od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku.

– Przeprowadzka z doliny Jagnobu do Moskwy musiała być dużym przeskokiem – zauważyłam.

– W Moskwie było jak w dolinie Jagnobu – odparł ze spokojem. – Też zimno.

– I nie miał pan nigdy ochoty wrócić tu, gdzie pan spędził dzieciństwo?

– Nigdy. – Odpowiedź padła szybko. – Życie tu w dolinie jest ciężkie. W Zafarobodzie dostałem posadę traktorzysty i mogłem utrzymać rodzinę.

– Udało się wam w Zafarobodzie kultywować jagnobską kulturę?

Spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Czy udało się wam zachować jagnobskie zwyczaje i tradycje? Musiało wam być trudno, skoro mieszkacie wśród Tadżyków, z daleka od korzeni.

– Nasza kultura jest dokładnie taka sama jak kultura Tadżyków – odparł.
– Jesteśmy muzułmanami jak oni. Nie ma różnic.

– Nie macie żadnych obyczajów typowych dla Jagnobczyków?

– Nie! Jesteśmy dobrymi muzułmanami i byliśmy tacy od czasu, kiedy zostaliśmy nawróceni przez Arabów w ósmym wieku.

Muqim nie mógł się dłużej powstrzymać:

– To nieprawda! W książkach, które czytałem, napisali, że Jagnobczycy uciekli przed Arabami, żeby ich nie nawracano, i że zostali muzułmanami dużo później.

– Nie, zostaliśmy muzułmanami w ósmym wieku, dokładnie tak jak Tadżycy – upierał się starzec.

Podniósł się zgrabnie z twardo ubitego klepiska.

– Chodźmy do wioski, spytajmy innych. Wszyscy powiedzą to samo co ja, zobaczycie.

Poszliśmy za nim ścieżką między niskimi, biedniutkimi chatami. Na niektórych dachach przed nadejściem zimy ułożono ściętą trawę, by wyschła. Nad całym kyszlakiem unosiła się słodkawa woń siana, gnoju i świeżego chleba. Mężczyzna zatrzymał się przed jedną z chat i gestem zaprosił nas do środka. Tam na niewielkim podwyższeniu wyłożonym barwnymi, miękkimi matami siedzieli wszyscy ci, którzy dopiero co modlili się w meczecie. Dolną część ścian pokrywały pomarańczowe płyty gipsowo-kartonowe, żeby goście nie opierali się bezpośrednio o glinę. Duży obrus pośrodku zastawiono czarkami, dzbankami herbaty i chlebem. Wszyscy starcy mieli na sobie kaftany i nosili krótkie, wypielęgnowane brody w różnych odcieniach siwizny. Na końcu podwyższenia, pozbawieni ściany do podpórki, siedzieli młodzi. Kiedy weszliśmy, wszyscy obecni wstali, a jeden z nich od razu nalał nam herbaty.

Spytałam, czy ktoś z nich mógłby wymienić typowe cechy kultury jagnobskiej, ale dużo więcej wiedzy w ten sposób nie zyskałam.

– Nie ma różnicy między Jagnobczykami a Tadżykami, wyjątek stanowi

język! – uważał bezzębny starzec, który siedział obok mnie.

– Jesteśmy muzułmanami dokładnie tak samo jak Tadźycy – poparł go drugi.

– W miastach Jagnobczycy żyją jak Tadźycy. Mają eleganckie domy i wykształcenie. Nikt ich od siebie nie odróżnia – dodał trzeci.

Kiedy zapytałam, czy przetrwały jakieś tradycje zoroastryjskie, wszyscy potrząsnęli przecząco głowami.

– Jesteśmy *muzułmanami*, nie poganami – odparł mój bezzębny sąsiad.

Muqim, będący Tadźykiem, znał dużo więcej zoroastryjskich zwyczajów niż Jagnobczycy. W kyszłaku, z którego pochodził, daleko na północy, przez czterdzieści dni po narodzeniu dziecka stawiano zawsze w pomieszczeniu, w którym ono przebywało, zapaloną świecę. Gdy ktoś w chacie umarł, palono świecę przez pełne trzy doby. Kiedy Muqim był mały, co roku rozpalano ognisko w pewną środę. Wszyscy w wiosce najpierw skakali trzykrotnie przez płomienie, a potem każdy ciskał w żar jakiś nowy i nieużywany jeszcze przedmiot, na przykład kubek. Miało to ochronić przed złymi zrządaniami losu, które czały się w przyszłości.

Chociaż istnieją jeszcze takie przeżytki z czasów przedislamskich, dzisiejszy Tadźykistan jest w przeważającej części muzułmański. Religią państwową jest sunnizm – Tadźykistan to jedyny kraj poradziecki, który ma państwową religię – a dziewięćdziesiąt osiem procent ludności wyznaje islam. Prezydent Emomali Rahmon, który sam jest sunnitą, do islamu ma stosunek ambiwalentny. Wie, że dla większości Tadźyków jest to ważny element poczucia tożsamości, niemniej – jak pozostali prezydenci w Azji Środkowej – obawia się, by ekstremistyczne ugrupowania islamskie nie zapaściły korzeni w jego kraju. Próbuje zwalczać nasilające się tendencje ekstremistyczne, więc wprowadził zakaz noszenia hidżabów w szkołach i na uniwersytetach. Długa broda także jest zabroniona, nauczyciele w ogóle nie mogą mieć zarostu. W 2007 roku władze zamknęły ponad osiemdziesiąt procent meczetów w Duszanbe i przeznaczyły je, jak za

czasów radzieckich, na cele niereligijne.

Starając się zbudować poradziecką tożsamość narodową, Rahmon zwrócił się ku epoce przedmuzułmańskiej, gdy ludy zamieszkujące teren dzisiejszego Tadżykistanu wyznawały zoroastryzm. Z dumą wymieniał tradycje zoroastryjskie, na przykład poszanowanie zwierząt, jako dowód na to, że tamto dziedzictwo żyje i ma się jak najlepiej. Pod naciskiem tadżyckiego rządu UNESCO ogłosiło, że rok 2003 będzie obchodzony jako jubileusz trzech tysięcy lat istnienia kultury zoroastryjskiej. W krajach Azji Środkowej z Tadżykistanem na czele urządzono huczne obchody. *Awesta*, zbiór świętych pism zoroastrian, jest według Rahmona lepszą lekturą niż *Odyseja*, jako starsza i licząca więcej słów. Dziś tę samą nazwę Awesta nosi oficjalna agencja prasowa Tadżykistanu.

Natomiast tu, w dolinie Jagnobu, dokąd wyznawcy zoroastryzmu salwowali się ucieczką przed arabskim podbojem, nikt nie chciał słyszeć o starej religii. Jak mantrę powtarzano, że Jagnobczycy są równie dobrymi muzułmanami jak Tadżycy.

Dlaczego Jagnobczykom tak zależało na upodobnieniu się do większości etnicznej?

Kiedy jako dwudziestoczterolatka pojechałam na badania terenowe do Osetii Północnej, żeby zebrać materiały do pracy magisterskiej z antropologii społecznej (kulturowej) na temat skutków tragedii zakładników w szkole w Biesłanie, już pierwszego dnia popełniłam kardynalny błąd, gdy zwróciłam się do informatorów jako do Rosjan. Osadzono mnie natychmiast: „My nie Rosjanie, my Osetyjczycy!”. Jeżeli pytałam Osetyjczyka o typowe cechy jego kultury, w odpowiedzi otrzymywałam długi wykład. Gdyby wierzyć największym entuzjastom, nie byłoby końca wkładowi Osetyjczyków w historię rozwoju świata, od założenia Londynu po upadek Cesarstwa Rzymskiego. Gdybym pojechała na zachód, do Inguszetii i Czeczenii, opinie byłyby jeszcze bardziej oderwane od rzeczywistości. Niektórzy mówili tylko o jednym – o swoim ludzie, jego pochodzeniu i cechach szczególnych.

Ale nie Jagnobczycy. To rzadki typ ludu, którego członków na całym świecie żyje zaledwie kilka tysięcy i którego język, jagnobi, jest dla obecnych badaczy jedynym jeszcze żywym łącznikiem z wymarłym językiem sogdyjskim. I to właśnie oni upierali się, że są dokładnie tacy jak Tadźycy. Może korzenie tego braku wiary w siebie jako ludu można odszukać w polityce Związku Radzieckiego wobec mniejszości narodowych? Jagnobczycy nie byli wystarczająco liczni, by uzyskać status osobnej narodowości. Po deportacjach w 1970 roku władze radzieckie posunęły się do usunięcia jagnobskiej grupy etnicznej ze wszystkich rejestrów. Po prostu zdecydowały, że Jagnobczycy nie istnieją. Wszystkich ich zarejestrowano jako Tadźyków. I ten stan trwa, ponieważ władze Tadżykistanu również wyznaczyły dolną granicę liczebności grupy, którą można uznać za narodowość. Wynosi ona pięćdziesiąt dwa tysiące osób. Jagnobczyków nie ma tyłu nawet w przybliżeniu.

– Kiedy urodził mi się syn, prosiłem pielęgniarkę, żeby w kratce „narodowość” wpisała „jagnobska” – odezwał się milczący dotąd mężczyzna.
– Nie posłuchała mnie, wpisała „tadźycka”. Dzisiaj się z tego cieszę. Gdyby zrobiła tak, jak prosiłem, mój syn pewnie miałby tylko masę niepotrzebnych problemów.

Ten, który to powiedział, robił wrażenie biedniejszego od pozostałych. Miał wyblakłą kraciastą koszulę i dżinsy tak stare, że prawie się rozpadały. Trójkątną, podobną do lisiej mordki twarz otaczała pięknie ufryzowana biała broda.

– Nazywam się Mirzonazar, urodziłem się w roku wybuchu wielkiej wojny ojczyźnianej, czyli tysiąc dziewięćset czterdziestym, w Nometkonie, niedaleko stąd – ciągnął. – Jako jedyny obecny w tym pomieszczeniu wróciłem do doliny. Kiedy przylecieli helikopterami, żeby nas zabrać, właśnie skończyłem budować nową chatę dla siebie i swojej rodziny. Gdybym wiedział, że zmuszą nas do przenosin, nigdy bym jej nie postawił. Zniszczyłem sobie przez to kręgosłup.

Mirzonazara z żoną i czworgiem dzieci włączono do helikoptera i przetransportowano do kołchozu w Zafarobodzie na nizinach. Najstarszy syn, Sohibnazar, miał wtedy jedenaście lat, Cholmahmad – osiem, Gobinazar – sześć, a córeczka, Szohibi, miała ledwie roczek.

W pierwszym tygodniu pobytu w Zafarobodzie zmarli Sohibnazar, Gobinazar i Szohibi. Dzieci żyły dotychczas w izolacji i nie były odporne na choroby występujące na nizinach.

W 1981 roku, po jedenastu latach spędzonych w kołchozie, Mirzonazar, jego żona i Cholmahmad wrócili do doliny Jagnobu.

– Kiedy wyjeżdżałem, miałem czarną brodę – skomentował Mirzonazar. – Kiedy wróciłem, była biała.

Przez jedenaście lat nieobecności Mirzonazara deszcze i śniegi całkowicie zniszczyły jego dom. Ściany i dach się zawaliły, okoliczni pasterze zużyli elementy drewniane na opał. Póki Mirzonazar nie odbudował chaty, niewielka rodzina musiała mieszkać w stajni, jednym z najmniej uszkodzonych budynków w całym kyszłaku.

– Teraz wracam do Zafarobodu jedynie na grób dzieci – ciągnął. – Sohibnazar był naprawdę jedyny w swoim rodzaju. Inteligentny, dobrze sobie radził w szkole. Kiedy przychodził do mnie i prosił o dziesięć rubli na zeszyt i pióro, dawałem mu zawsze dwadzieścia, tak bardzo go kochałem. Mówiłem mu, żeby za dodatkowe dziesięć kupił sobie ciastek i pierogów.

– Utrata trojga dzieci w tak krótkim czasie musiała być dla pańskiej żony ciężkim przeżyciem – zauważyłam.

Pozostali mężczyźni zamilkli i słuchali. Mirzonazar westchnął i roześmiał się gorzko, wpatrzony w coś niewidzącym spojrzeniem.

– To ona zaproponowała powrót – odrzekł. – Mój ojciec przestrzegał nas przed tym. Jego zdaniem mogło być trudno z dostateczną ilością żywności. A ja mu na to, że trzy garście wody ze źródła Latabandsoi, tuż przy naszej wsi, zaspokoją mój głód.

Miesiąc po ich ucieczce do doliny przyszło dziesięciu policjantów

i prawnik, żeby namówić rodzinę do powrotu na niziny.

– Musicie wyjechać, helikoptery zaraz tu będą – nalegali mundurowi.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu mundurowych, prawnik powiedział, że Mirzonazar może odmówić. Jego zdaniem policja nie miała mocy go zmusić, jeżeli będzie twardo obstawał przy swoim:

– Przyjaciele – powiedział więc policjantom – możecie mnie zabrać z powrotem do Zafarobodu, ale nie żywego. Nie zabije mnie może kula z pierwszego karabinu ani z drugiego, ale z dziesiątego na pewno. Mimo to się was nie boję.

Kiedy przyleciał helikopter, policjanci i prawnik weszli na jego pokład bez rodziny Mirzonazara.

– Jak się żyje tu, w dolinie? – spytałam.

– Życie jest tu dobre pod każdym względem, inaczej bym nie wracał. Mógłbym wymienić nazwy siedemdziesięciu sześciu rozmaitych roślin, które tu rosną. Kiedy na wiosnę zaczynają kiełkować, możemy jeść ich pączki. Mógłbym wymienić czyste powietrze, którego na nizinach nie mają. Jeślibym jednak musiał wymienić tylko jedną jedyną rzecz, wymieniłbym naszą czystą zimną wodę. Taką wodę znajdzie się tylko tutaj. W tej dolinie występuje tylko jedna choroba, śmierć!

Mirzonazar zaśmiał się, obnażając ostre siekacze, przez co jeszcze bardziej upodobił się do lisa.

Cały czas napływali nowi mężczyźni i ciągle musieliśmy się ścieśniać, żeby wszyscy się zmieścili. Młodzi wnosili parujące chleby i dzbanki świeżo zaparzonej zielonej herbaty. Zawsze, kiedy wchodził starszy mężczyzna, młodzi zrywali się na nogi i nie siadali, póki gość nie zajął miejsca. Na moje pytania odpowiadali tylko starsi, ba, tylko starsi w ogóle mówili. Młodzi słuchali. Podnosili się i ponownie siadali. Dbali, żeby na obrusie nie zabrakło chleba i herbaty.

– Czy okazywanie starszym szacunku jest ważne w kulturze jagnobskiej? – spytałam sąsiada.

– W Koranie jest napisane, że młodzi mają okazywać szacunek starszym – odparł. – Starsi modlą się tylko za tych, którzy im się podobają, a modły starszych są bardziej wartościowe dla Boga niż modlitwy młodych.

Starsi prowadzili ożywioną rozmowę. Wielu z nich nie widziało się ponad rok, mieli więc sporo do omówienia.

– Starsi ludzie lubią wspominać swoje życie – odezwał się przemądrzale Muqim.

– O czym mówią?

– Nie rozumiem za wiele z tego, co mówią, tylko pojedyncze słowa – usprawiedliwił się. – Między sobą porozumiewają się po jagnobsku.

Sączyłam herbatę i próbowałam zidentyfikować obce słowa i dźwięki w tym świecie bród, kaftanów i płaskich kapeluszy. Może to melodia? Trochę twardsza wymowa i bardziej staccato niż po tadżycku? Mnie, która nie znałam żadnego z tych języków, nie było łatwo wychwycić różnice. Mimo to sama świadomość, że siedzę tutaj i słucham jagnobi, języka najbliższego dziś sogdyjskiego, mowy dawnej Sogdiany, sprawiała, że z emocji drżała mi błona bębenkowa. To był język, którym posługiwali się zoroastryjscy kapłani w modłach do boga ognia przed dwoma tysiącami lat; to był język, w którym błagano Aleksandra Wielkiego, grożono mu i negocjowano z nim, gdy podbijał królestwo za królestwem od Grecji po Indie, podczas swej legendarnej wyprawy w IV wieku przed Chrystusem; to był język, w którym kupcy targowali się o ceny niewolników na Jedwabnym Szlaku, tak, od Turcji po same Chiny używano sogdyjskiego, handlowej lingua franca.

– Czy wszyscy Jagnobczycy znają jagnobi? – spytałam znowu sąsiada.

– Nie, teraz coraz mniejsza ich liczba posługuje się tym językiem. Większość Jagnobczyków, którzy mieszkają w Duszanbe i jego okolicach, mówi tylko po tadżycku. Nam, mieszkającym w Zafarobodzie, udało się zachować język, chociaż w szkołach nie uczy się jagnobi ani w jagnobi. W dzisiejszych czasach wielu Jagnobczyków żeni się z kobietami Tadżyków

albo Uzbeków, ich dzieci z reguły nie uczą się jagnobi. Najbardziej obawiamy się tego, że nasz język niedługo wymrze.

Obecnie na całym świecie żyje poniżej piętnastu tysięcy osób posługujących się jagnobi. Wszyscy spośród czterystu–pięciuset mieszkańców doliny Jagnobu mówią po jagnobsku, wiele dzieci uczy się tadżyckiego dopiero w szkole. Tam jednak używają wyłącznie tadżyckiego. Jak długo jeszcze ludzie wytrzymają trwanie w tej dolinie, w najgłębszej biedzie i w izolacji od reszty kraju? Jak długo można podtrzymywać życie języka mniejszości, która nawet nie jest za taką uznana? Języka, którego się nie naucza. Ba, który nie istnieje w formie pisanej. To, że jagnobi przetrwał aż do naszych czasów, świadczy o dumie, silnej woli i wytrwałości Jagnobczyków. Do czasu deportacji żyli jednak odizolowani od reszty świata w swojej dolinie. Dziś większość z nich mieszka w miastach na nizinach, w otoczeniu Tadżyków i Uzbeków. Jak długo język może przetrwać w takich warunkach?

Gdy tylko opuściłam pokój męski, dopadła mnie kobieta o pomarszczonej twarzy, z galerią złotych zębów w ustach, mówiąca coś po jagnobsku albo tadżycku.

- Zaprasza panią na uroczystość do części kobiecej – wyjaśnił Muqim.
- Wspaniale! – ucieszyłam się. – To chodźmy!
- Yyyyy – zająknął się. – Jako mężczyzna nie mam tam wstępu. Da sobie pani radę sama?

Izba kobieca do złudzenia przypominała męską. Pod ścianami podłużnego pomieszczenia tłoczyły się kobiety – piły herbatę, pogryzały chleb i rozmawiały. Za każdym razem, kiedy wchodziła starsza, młode podrywały się na nogi i nie siadały, póki tamta nie zajęła miejsca. Wszystkie miały na sobie kolorowe spódnice lub suknie do ziemi, wiele z nich także białe chusty na głowie. Tak jak u mężczyzn zostałam posadzona na honorowym miejscu w głębi pokoju, a jakaś młoda kobieta od razu nalała mi herbaty. Tu jednak bez Muqima byłam bezradna. Ani młode, ani starsze nie znały słowa

po rosyjsku. Siedziałam więc, uśmiechając się, kiwając głową i słuchając. Jak tylko odstawiałam czarę, któraś z młodszych nalewała mi nową porcję herbaty. Sąsiadka odłamała skibkę chleba i położyła obok mojej czarki. Uśmiechnęłam się, skubnęłam kawałek i zjadłam. Popiłam herbatą i dostałam dolewkę. Wszystkie młode kobiety grzecznie wstały, kiedy – wypiwszy osiem czy dziewięć czarek zielonej herbaty – podziękowałam i opuściłam pokój kobiet.

Na obiad był pilaw, odświętna potrawa nad potrawy w całej Azji Środkowej. Uśmiechnięty brodaty kucharz nakładał z olbrzymiego żeliwnego kotła obfite porcje wszystkim, którzy mieli na to ochotę. Smażony ryż ociekał baranim tłuszczem, pachniał cebulą, marchewką i pieczonym mięsem. Muqim i ja dostaliśmy jedną porcję na spółkę i zjadaliśmy ją palcami, jak to jest w zwyczaju tu w dolinie.

O wpół do dziesiątej wszyscy poszli spać. Mnie, jak się zdaje, potraktowano jako honorowego mężczyznę, bo pozwolono mi spać w męskiej chacie razem z Muqimem, nauczycielem geografii i wysokim, żyłastym mężczyzną. Kyszłak był położony wysoko w górach, toteż po zachodzie słońca szybko zrobiło się zimno. A ponieważ chaty miały słabe uszczelnienie, w środku było prawie tak samo zimno jak na dworze. Zreumatyzowani starcy, którzy mieli spać w izbie w głębi, gdzie stał piec na drewno, jeszcze długie godziny, położywszy się, gadali. A że większość z nich niedosłyszała, cicho nie było. Gdzie spała reszta gości, pozostało dla mnie zagadką. Cały kyszłak składał się w sumie może z ośmiu niewielkich chat, przybyłych była prawie setka. Założyłam czapkę i szalik, wetknęłam do uszu stopery i tak uzbrojona z miejsca zasnęłam, prawie nie przejmując się małymi robaczkami, które wypełzły z dziur w ścianie i wędrowały po mojej twarzy.

Jeszcze przed wschodem słońca starcy wysypali się na zimne podwórko oświetlone szarawym światłem brzasku, żeby się umyć i odmówić pierwszą

tego dnia modlitwę. O szóstej rozmowy w sąsiedniej izbie toczyły się znowu pełną parą, o siódmej w kuchni pod gołym niebem od nowa łomotały z głośników rytmy disco. To był dzień ślubu Mirzy z Nisor i cały kyszłak wrzał przygotowaniami.

Wysłałam na powietrze i po raz pierwszy zobaczyłam pana młodego. Duże brązowe oczy, krzaczaste brwi i szerokie, wystające kości policzkowe czyniły go uderzająco podobnym do młodego Franza Kafki. Był niski i szczupły, niższy ode mnie. Nie dałabym mu ani dnia więcej niż czternaście lat, tymczasem zdaniem innych gości skończył osiemnaście i wedle tadżyckiego prawa mógł się żenić. Może rzeczywiście miał osiemnaście – dzieci w dolinie były w większości tak niedożywione, że wyglądały na dużo młodsze, niż wynikało z metryki. Z dorosłymi, jak się wydaje, rzecz miała się odwrotnie. Nawet u dwudziestopięciolatki pobrużdżona twarz i zgarbione plecy nie należały do rzadkości.

Mirzo zasiadł uroczyście na stołku. Za nim stał starszy siwowłosy mężczyzna z nożycami. Zbierał obcięte czarne kosmyki w biały ręcznik, liczni widzowie spieszyli kłaść tam zwinięte banknoty.

– Zapłata dla golibrody – objaśnił Muqim.

Świeżo ostrzyżony Mirzo zniknął w chacie rodziców. My, zebrani, czekaliśmy cierpliwie na dworze. Po krótkiej chwili wyszedł ubrany w czarny, błyszczący garnitur, co najmniej o rozmiar dla niego za duży. Goście, teraz było ich dobrze powyżej setki, towarzyszyli mu do granicy kyszłaku. Tu wszyscy się zatrzymali, najstarsi zaś z mężczyzn pomodlili się za pana młodego i pobłogosławili go. Mirzo jako pan młody nie potrafił powstrzymać uśmiechu mimo powagi uroczystości.

Panna młoda, Nisor, pochodziła z kyszłaku Kul, oddalonego o kilka godzin jazdy. Mirzo, jak mi powiedziano, sam ją sobie wybrał. Zwrócił na nią uwagę kiedyś, gdy odwiedził tamten kyszłak, i powiedział swoim rodzicom, że z tą dziewczyną chciałby się ożenić. Młodzi nigdy nie przebywali ze sobą sam na sam, nigdy się nie dotknęli, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów.

Po błogosławieństwie starszych pan młody z niewielkim orszakiem wyruszył do kyszłaku narzeczonej. Najpierw pieszo w dół stromego zbocza, potem pozostałych kilka kilometrów żwirówki mieli przejechać samochodem. Kawałek od końca drogi do Kulu mieli pokonać na osłach lub konno. Zakładano, że wrócą wczesnym popołudniem.

Czas oczekiwania spędziliśmy na jedzeniu. Najpierw dostaliśmy więcej nowo upieczonego chleba i herbaty, potem młoda dziewczyna przyniosła nam świeży pilaw. Następnie jedliśmy zupę z soczewicy i parującą jarzynówkę. Jeden z chłopców pilnował, żebyśmy w dzbanku mieli zawsze świeżo zaparzoną gorącą herbatę.

Nieco po piątej u stóp stromego zbocza ukazał się wreszcie orszak weselny. Najpierw szedł długi rząd kobiet z dziećmi na ręku i często przystawał dla zaczerpnięcia oddechu. Po nich jechało na osłach kilku młodzieńców, tuż za nimi pan młody, jedyny w orszaku w garniturze. Jechał konno w otoczeniu idących obok przyjaciół i uśmiechał się coraz szerzej, z jego wielkich brązowych oczu sypały się iskry. Za nim na jabłkowitym koniu, trzymając krzepko w pól żylatego, spalonego słońcem, ubranego w dzinsy i dresową kurtkę wuja, jechała panna młoda. Twarz miała ukrytą za gęstym welonem, więc trudno było ocenić jej wygląd, niemniej powiadano, że jest bardzo piękna. Pod prostą, białą suknią ślubną miała luźne, białe spodnie. Wyglądało to tak, jakby pod tanim materiałem kryło się wiotkie dziecięce ciało.

Na tę okazję głośniki przeniesiono z kuchni pod chmurką na dach chaty młodej pary. W izbie, gdzie nowożeńcy mieli spędzić noc, rozłożono na podłodze zgodnie ze zwyczajem siedem materaców. Goście przed domem stali już w gotowości od kilku godzin. Kiedy tylko panna młoda dotarła w granice kyszłaku, kobiety, przykładając do ust prawą dłoń, zaczęły tradycyjne zawodzenie. Zgromadziły się wokół konia panny młodej i obsypały ją deszczem cukierków. Niektóre zaczęły spontanicznie tańczyć, unosząc ręce nad głową, powoli poruszały się w kręgu w rytm nowoczesnego

disco.

Pannę młodą zdjęto z konia i skierowano do jednej z chat na obiad. Potem miała zostać zaprowadzona do swojego nowego domu i spędzić tam resztę wieczoru z panem młodym, natomiast goście mieli się weselić dalej na dworze.

W ciągu dnia do maleńkiej osady przybyli kolejni weselni goście. Żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych, a przynajmniej dla kilkorga z nich, załadowaliśmy z Muqimem i nauczycielem geografii nasze rzeczy na starego osła i przygotowaliśmy się do wyjazdu. Ojciec pana młodego łagodnie protestował. Zrobiło się prawie ciemno, tłumaczył, powinniśmy zostać jeszcze jeden dzień. Odmówiliśmy jednak grzecznie i ruszyliśmy ku następnemu kyszłakowi, oddalonemu o godzinę drogi pieszo.

– No to teraz sobie pewnie poucztują do białego rana – skomentowałam podczas schodzenia stromym zboczem.

Nauczyciel geografii spojrział na zegarek.

– Do dwudziestej pierwszej – sprostował. – Prezydent zarządził, że wesele nie może trwać dłużej niż trzy godziny, a gości może być do stu pięćdziesięciu osób. Przy pogrzebach gości może być setka, a podczas ceremonii obrzezania sześćdziesięciu.

Takie uregulowania nie biorą się znikąd. Prawdopodobnie pojawił się problem, że ludzie kompletnie się rujnowali na ekstrawaganckie, wielodniowe wesela dla całych rozgałęzionych rodzin. W tak biednym społeczeństwie jak w Tadżykistanie podobne przepisy ułatwiają mniej zamożnym rodzinom urządzenie uroczystości na mniejszą skalę bez utraty twarzy. Pytanie, czy owe reguły obejmują także rodzinę prezydenta. Słynny filmik, opublikowany w maju 2013 roku na YouTube, ukazuje porządnie wstawionego Rahmona wykonującego numer karaoke na weselu syna. Prezydent tańczy, zataczając się, i śpiewa, niesamowicie fałszując. Wnioskując z zachowania pijanych gości, świętowanie trwało zdecydowanie powyżej trzech godzin.

Filmik stał się tak popularny, że władze tadżyckie uznały, iż na jakiś czas należy zablokować dostęp do YouTube'a.



Nisor na ostatnim podejździe do swojego nowego domu w dolinie Jagnobu.

Nigdy przedtem nie spotkała się sam na sam z panem młodym, Mirzem.

Do następnego kyszłaku, Nometkonu, dotarliśmy w czarodziejskim świetle księżyca w pełni. Kyszłak był opuszczony, tylko gdzieś w pobliżu ostrzegawczo zaszczekał pies. Nie świeciło się ani jedno światło. Gliniane chaty stały skąpane w świetle księżyca. Na spotkanie wyszedł nam mężczyzna, tłumacząc, że został w wiosce sam, gdyż inni udali się na wesele. Wskazał izbę, gdzie mogliśmy przenocować, i poczęstował chlebem i zieloną

herbatą.

A potem nad doliną Jagnobu zapadła noc. Spałam jak kamień. Obudziłam się w pełni dnia.

– Dobrze się spało? – spytał Mirzonazar z wiele mówiącą miną.

Poznany na weselu starzec z lisią twarzą wyruszył z Bidefu po porannej modlitwie i już od wielu godzin był w domu.

– Bardzo dobrze – potwierdziłam skinieniem głowy.

– Jeszcze by brakowało, żeby nie – skomentował, mrugając do mnie chytrze. – Przecież spała pani na materacach młodej pary!

Był wrzesień i plony prawie zebrane. W następnych tygodniach aż do pierwszych śniegów w dolinie odbywały się wesela – co tydzień, czasem dzień po dniu. Ludzie przenosili się z uroczystości na uroczystość, na nic innego prawie nie mieli czasu. W następnym tygodniu zenił się jeden z młodzieńców ze wsi Mirzonazara i wszystko już było przygotowane do wesela. W kącie leżał stos kolorowych, miękkich materaców i stała duża drewniana skrzynia wypełniona filizankami, nożami, talerzykami, talerzami, materiałem na ubrania i innymi sprzętami, których nowożeńcy będą potrzebowali w gospodarstwie domowym. W izbie czuć jeszcze było lekko farbę, a pod krótszą ścianą stał mały telewizor dla rozrywki młodych.



Mirzonazar powiedział na pożegnanie: „Kiedy wróci pani do swojej ojczyzny, niech pani napisze, że gdzieś hen daleko, w odległej dolinie, w odciętym od świata zakątku gór spotkała pani starego człowieka, którego dotknął w życiu tragiczny los”.

Siedzieliśmy, sącząc herbatę. Muqim opowiadał o Ameryce, a Mirzonazar długą chwilę słuchał bez komentarza. Potem nagle zaniepokojony wyjrzał przez okno.

– Środek dnia już się zrobił – jęknął. – Robota czeka. Nie mam czasu tu siedzieć i zbijać baki.

Muqim i ja zaczęliśmy się pakować, ale Mirzonazar nie spieszył się ze wstawaniem.

– Żona mi umarła czternastego lutego w tym roku – odezwał się. – I teraz, po pięćdziesięciu ośmiu latach w małżeńskich kajdanach, znowu jestem kawalerem. – Poderwał się lekko z ziemi. – No, muszę się brać za moją dniówkę. Nie mam czasu na marnowanie dnia.

Mimo to nie ruszał się z miejsca. Kiedy byliśmy gotowi iść dalej, zaczął znowu opowiadać o Sohobnazarze, swoim pierworodnym, który jako jedenastolatek zmarł w Zafarobodzie.

– Ach, jak ja bym chciał, żeby żył! Ze wszystkich czterystu uczniów w szkole był najbystrzejszy i najlepszy z zachowania. Na jego pogrzeb przyszło ponad pięćset osób!

Zamrugął szybko, a potem uśmiechnął się tym swoim lisim uśmiechem.

– Kiedy wróci pani do swojej ojczyzny, niech pani napisze, że gdzieś hen daleko, w odległej dolinie, w odciętych od świata zakątku gór spotkała pani starego człowieka, którego dotknął w życiu tragiczny los.

Po półgodzinnej pieszej wędrówce skończyła się szutrowa droga. Na jej końcu stała żółta koparka, porzucona na nieokreśloną bliżej chwilę w oczekiwaniu lepszych czasów. Za nią w głąb żyznej doliny wiała się wąska ścieżka. Po drugiej stronie rzeki stał niedokończony budynek – nowa szkoła w dolinie. Kilkakrotnie po drodze mijali nas Jagnobczycy na osłach objuczonych cebulą – jednym z produktów, które musieli sprowadzać spoza doliny, obok innych podstawowych jak ryż, olej, mydło czy mąka. Na ubogiej ziemi dało się uprawiać jedynie niektóre zboża, marchew i ziemniaki. Dla uzupełnienia podstawowych zapasów męscy członkowie rodzin jechali konno raz lub dwa razy do roku do ujścia doliny i wymieniali kozy i owce na potrzebne towary. Nikt w dolinie nie dysponował większą ilością pieniędzy. Z grubsza byli samowystarczalni, poza tym prowadzili handel wymienny.

Po kilku godzinach wędrówki wąską ścieżką dotarliśmy do Pskonu. Dziś mieszka tu tylko trzynaście rodzin, mimo tego jest to wciąż jeden

z większych kyszłaków w dolinie. Posuwaliśmy się między prymitywnymi glinianymi chatami aż do najwyższej położonego domu we wsi, domu Saidmuroda, miejscowego muły i uzdrowiciela, do którego ściągali w chorobie ludzie z całej doliny.

Saidmurod rozmawiał w izbie przyjęć, skromnym pokoju z dużymi oknami i wspaniałym widokiem na góry, z innym gościem, pasterzem przechodzącym tędy na południe ze stadem swoich owiec. Powitał nas z godnością i od razu wskazał pokój gościnny, gdzie mogliśmy spędzić noc. Żeby nie wiem, jak biedna, każda jagnobska rodzina zawsze dysponuje domem gościnnym, a przynajmniej izbą gotową na przyjęcie nieoczekiwanych gości. Tu zaś w dolinie, gdzie komórki nie mają zasięgu, nie ma telefonu ani internetu, praktycznie każda wizyta jest nieoczekiwana.

Saidmurod miał czterdzieści siedem lat i spokojny, sympatyczny sposób bycia. Jego rodzina jako pierwsza wróciła do Pskonu w 1980 roku. Jedynym budynkiem w kyszłaku, który wtedy jako tako nadawał się do użytku, była *saraiet*, obora. Rodzice zamietli klepisko i posprzątało wewnątrz, na ile się dało, żeby wszyscy mieli gdzie spać, gdy ojciec będzie odbudowywał chatę.

– Powiadają, że jeżeli ludzie wyniosą się z Pskonu, wszyscy inni też opuszczą dolinę Jagnobu – opowiadał Saidmurod. – Mój ojciec, który był głową kyszłaku, czuł w związku z tym wielką odpowiedzialność, żeby wrócić. Poza tym nie podobało mu się w Zafarobodzie. I on, i moja matka chorowali w tym ciepłym klimacie, do którego nie przywykli. Ja również chorowałem i moje rodzeństwo też. Dopiero po powrocie wyzdrowieliśmy.

Teraz, po śmierci rodziców, funkcję przywódcy kyszłaku, obok funkcji muły i uzdrowiciela, piastuje Saidmurod. Zdążył już spłodzić sporo dzieci – siedmiu synów i dwie córki, choć tylko szóstka pozostała przy życiu. Dwóch synów i córka zmarli przed upływem piątego roku życia. W ogóle słyszy się dużo opowieści o śmierci dzieci. Prawie każdy jakieś stracił. Ludzie w dolinie Jagnobu nie mają dostępu do lekarza, do lekarstw. Zimą drogi i ścieżki giną pod śniegiem i nigdzie nie można się ruszyć. Kiedy dzieci chorują,

pozostaje im tylko jedno – modlić się do Boga. Czasami ich modlitwy zostaną wysłuchane, innym razem nie. Nieskomplikowane w sumie zapalenie ślepej кишки może się okazać śmiertelną chorobą tak dla dzieci, jak dla dorosłych. Kiedy pojawiają się bóle brzucha, ludzie zaczynają odliczać dni. Czasami się udaje.

– Żyjemy tu w dolinie jak w dziewiętnastym wieku. To twarde życie, ale jesteśmy szczęśliwi – mówi Saidmurod.

Przed zapadnięciem zmroku zrobiliśmy sobie z Muqimem spacer po kyszłaku. Przed oborą natknęliśmy się na szwagierki – czterdziestosześcioletnią Bibinasab i dwudziestoośmioletnią Narzimoh. Bibinasab była żoną brata Narzimoh, a ponieważ Narzimoh się rozwiodła, mieszkała razem z nimi. Stały przy stosie krążków nawozu, które wioskowe kobiety formowały z krowich placków, suszyły i składały w pryzmy do wykorzystania jako opał. Ubrane były w luźne barwne suknie i szerokie spodnie, a spod pogniecionych chustek wyglądały rozpuszczone włosy.

– Tak, życie tu mamy ciężkie – potwierdziła Bibinasab, chichocząc. – Ale urodziliśmy się tutaj i jesteśmy przyzwyczajeni.

Jej duże brązowe oczy otaczała delikatna siateczka zmarszczek. Dzieci nie miała. Zaraz po ślubie urodziła syna, ale zmarł we wczesnym dzieciństwie. Kilka lat po jego śmierci mąż wziął sobie żonę numer dwa.

– I co pani na to? – spytałam, a Muqin tłumaczył.

W wiosce mówiło się tylko po jagnobsku, ale kobiety nauczyły się trochę tadżyckiego od pasterzy i przygodnych gości.

– Oczywiście zgodziłam się z tą decyzją – zapewniła z kolejnym chichotem.

– Była młodsza?

– Tak, z dziesięć lat, jak sądzę. Nie jestem pewna. Nie chodziłam do szkoły, więc na niczym się nie znam. – Parsknęła przytłumionym śmiechem.

– Ale nasz mąż kochał nas obie jednakowo, nie czynił między nami różnicy. A my się dobrze ze sobą zgadzałyśmy, ja i ta nowa żona, nigdy nie było

problemów. Gotowałam dla nas i zawsze jedliśmy razem.

– Co robiła ta druga żona, gdy pani gotowała?

– Czyściła stajnię. – Bibinasab starała się stłumić śmiech. – Po kilku latach sprzykrzyło się jej tu mieszkać i wyjechała, żeby poszukać sobie innego męża. Życie było tu dla niej za twarde, nie była przyzwyczajona. Nawet nie zaszła w ciążę, bo brała lekarstwa, żeby nie mieć dzieci, więc nic się nie stało, że sobie poszła.

Kobietom nagle zaczęło się spieszyć. Przeprosiły, bo musiały wejść do obórki i wydoić dwie stojące tam krowy. Zostawiły jednak otwarte drzwi, mogliśmy więc rozmawiać dalej, nie przerywając im pracy.

Narzimoh także nie miała dzieci. Wyszła za męża już jako piętnastolatka, lecz po trzech latach małżeństwa została wygnana przez męża, będąc w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem. Pierworodny syn urodził się martwy. Drugi zmarł, gdy miał trzy lata.

Zarówno mnie, jak i Muqimowi coś się tu nie zgadzało. Jak mąż mógłby wygnać swoją ciężarną żonę?

– Właściwie to mąż mnie nie wygnał – przyznała Narzimoh. – Jego rodzice nie byli dla mnie dobrzy i nie traktowali mnie jak człowieka. Dlatego odeszłam.

– Próbowali panią sprowadzić z powrotem?

– Nie – rzuciła szybko. – Nigdy.

Jej opowiadanie w dalszym ciągu nie trzymało się kupy, ale daliśmy spokój wnikaniu w stosunki rodzinne i meandry małżeństwa.

– Chciałaby pani wyjść za mąż jeszcze raz?

– O tak! – zawołała Narzimoh z głębi obórki.

Jej głos prawie zagłuszyło wesołe porykiwanie krowy.

Następnego dnia zetknęłam się z żoną Saidmuroda, Umrimah. Kiedy podeszliśmy z Muqimem, żeby porozmawiać, popijała herbatę z przyjaciółką na pagórku obok kuchni, otoczona swoimi i jej dziećmi.

Kiedy ją spytałam o życie w dolinie, odparła roześmiana:

– Oooo, trudne, w Jagnobie wszystko jest trudne!

Miała jasny, dziewczęcy głos, żywe oczy i uśmiech, który rozjaśniał całą twarz. Najmłodsza córeczka, wyglądająca na mniej więcej roczek, ssała pierś, a obok siedział miły, zasmarkany chłopczyk, który mógł mieć trzy albo cztery lata.

Umrimah urodziła się w 1972 roku w Zafarobodzie i wyszła za Saidmuroda w wieku szesnastu lat. Teraz miała czterdzieści jeden.

– Nie mamy porządnego pieca i palimy krowimi plackami. To cuchnie!
– śmiała się już otwarcie. – Proszę popatrzeć na moje ubranie, jakie jest brudne!

Podniosła kwiecistą bawełnianą suknię, przetartą na brzegach i wyblakłą z brudu i starości.

– Wolałaby pani mieszkać w Zafarobodzie? – spytałam, a Muqim przetłumaczył.

– Życie w Zafarobodzie jest lepsze, co oczywiste – odparła. – Ale nie mam pieniędzy. Nie ma też dla nas pracy. Nie jestem wykształcona, ledwo umiem pisać i czytać. Tutaj jest nam lepiej.

Odstawiła dziewczuskę od piersi. Sympatyczny zasmarkaniec od razu wykorzystał okazję, by wspiąć się jej na kolana. Wprawnym ruchem ujął wolną pierś i zaczął ssać.

– Chcę, żeby moje dzieci się kształciły – ciągnęła Umrimah z nagłą powagą. – Dwóch starszych synów wysłaliśmy do szkoły z internatem w Ajni, stolicy okręgu, ale po roku wrócili. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby ich namówić do powrotu do szkoły, ale odmawiają. Powiedzieli, że woleliby skoczyć do rzeki. – Westchnęła. – Mówi się, że w internacie źle żywią. Uczniowie często chodzą głodni i dostają spleśniały chleb... Miejmy nadzieję, że wkrótce będziemy mieli własną szkołę. Budynek jest prawie gotowy. Stoi na dole, przy drodze. Widzieliście go, kiedy tu szliście?

Skinęliśmy głowami.

– Niestety, jest niedobrze zbudowany. Większość pieniędzy po drodze zniknęła, dlatego inżynier był zmuszony kupić taną cegłę i deski podłogowe tak złej jakości, że nie wytrzymają ciężkich, śnieżnych zim. Głównym problemem jest jednak brak nauczycieli. Kto by chciał pracować jako nauczyciel w takiej odciętej od świata dolinie?

Kiedy wspomnieliśmy o dwóch kobietach spotkanych przy obórcie poprzedniego wieczoru, Umrimoh i jej przyjaciółce dopiero rozwiązały się języki.

– Narzimoh pochodzi z bogatej rodziny tu w Pskonie, a narzeczony był biedny – mówiła przyjaciółka. – Mąż jej się podobał, ale z jego rodziną jej się nie układało i źle się czuła w biednym kyszałku. Wreszcie miarka się przebrała. Jego rodzina przyjechała tu po nią, ale odmówiła powrotu z nimi.

W stosunkach Bibinasab z żoną numer dwa wcale nie było tak różowo, jak nam kazała wierzyć ona sama.

– Bibinasab była strasznie zazdrosna, nawet się biły – wyrzuciła z siebie Umrimoh. – Nowa żona była i ładniejsza, i silniejsza od niej. W końcu Bibinasab miała dość i pojechała do domu ojca. Mąż zrobił, jak żądała, i pozbył się nowej żony. Dopiero wtedy wróciła.

– Gdzie tam, nie brała żadnych lekarstw. Skąd miałyby je wziąć? W takim razie chętnie bym trochę od niej pożyczyła – wtrąciła się przyjaciółka, wskazując na dziewczyneczkę z krótkimi lokami. – To moje siódme dziecko. Nie chciałam jej mieć. Brałam lekarstwa, piłam zioła i wszystko, żeby tylko nie mieć już dzieci, a jednak przyszła na świat. Nasi mężowie nie dadzą się nam wykręcić.

– A jak jest z ciążą i rodzeniem? – spytałam. – Naprawdę radzicie sobie ze wszystkim same?

– W zeszłym roku o tej porze młóciłam zboże poza domem – odezwała się Umrimoh. – Nagle rozbolał mnie brzuch. Kiedy wróciłam do domu, urodziłam córkę. Poszło tak szybko, że tutejsza akuszerka, która miała mi pomagać, nie zdążyła na czas. Mąż mi nie uwierzył, wołał, żebym się nie

ociągała i przyszła mu pomóc.

– Po porodzie wolno nam leżeć i odpoczywać jeden dzień – dorzuciła przyjaciółka. – A potem wstajemy i do roboty. Leniwe, którym nie chce się pracować, są wyśmiewane przez inne kobiety.

– Płaczą, kiedy dziecko urodzi się martwe albo kiedy maluch umrze – zauważyła Umrimoh. – Niezbyt długo jednak, bo życie musi toczyć się dalej, ale płaczą i to pomaga.

Podbiegł chłopczyk i usiadł przy nas.

– To Rajabal, mój drugi syn – uśmiechnęła się Umrimoh. – Ma czternaście lat.

Był tak mały i szczupły, że wyglądał najwyżej na osiem.

– Kim chcesz być, jak dorośniesz? – spytałam. – Lekarzem, nauczycielem, a może piłkarzem?

– Za dwa lata się ożenię – odparł z powagą.

– Chcę, żeby studiował, ale on myśli tylko o tym, żeby znaleźć sobie żonę i pasać krowy – poskarżyła się matka.

– A znalazłeś już żonę dla siebie?

– Jeszcze nie – odrzekł chłopiec równie poważnie. – Rozglądam się. Chcę mieć czystą żonę, najlepszą. Może z Zafarobodu albo z Duszanbe.

– Ile razy przyjadą do nas z wizytą krewni z miasta, dokładnie przygląda się dziewczętom – drażniła się z nim matka. – Musi być czyściutka, czyścusienska, nie tak jak tutejsze dziewczyny, co to mają krowi gnój za paznokciami!

Umrimoh z przyjaciółką roześmiały się serdecznie, ale chłopiec pozostał poważny.

Wróciliśmy tą samą drogą, którą przyszlismy, mijając koparkę na końcu szosy i niedokończoną szkołę, przez kyszlak staruszka z lisim uśmiechem. Tym razem nocowaliśmy w kyszlaku po drugiej stronie rzeki, z widokiem na Bidef, gdzie już ucichły rytmy disco. Ostatniego dnia minęliśmy ruiny

opuszczonej wioski, pokonaliśmy grzbiet łańcucha wzgórz i dotarliśmy do urodzajnego kyszłaku nauczyciela geografii. Tam czekał już na nas milkliwy kierowca, więc wróciliśmy dziurawą żwirówką, przez tunel Sądu Ostatecznego, ponownie do Duszanbe, gdzie w wieczornej bryzie leniwie kołysała się olbrzymia flaga. Oszołomiona przyglądałam się mercedesom i bmw na głównej ulicy, szerokim chodnikiem, pustej bibliotece i ogromnemu pałacowi prezydenckiemu. Czułam się, jakby od mojej tu bytności minęły miesiące, ba, lata. Jakbym przez chwilę przebywała poza czasem. Czy to wszystko było snem?

Kiedy padłam na to cudowne urządzenie, jakim jest łóżko, okrywając się białą, świeżo wyprasowaną pościelą, zauważyłam, że moje łydki całe są w drobnych, czerwonych kropkach.

Pozdrowienie z doliny Jagnobu.

A więc byłam tam naprawdę.

Melancholijna kelnerka

Chociaż Kurgonteppa jest czwartym co do wielkości miastem w Tadżykistanie, w przewodniku nawet o niej nie wspomniano. Regionalne muzeum etnograficzne i historyczne, którego lokalną wersję posiadały wszystkie radzieckie miasta, oraz pierwszy traktor w Tadżykistanie, postawiony na piedestale na rondzie – to jedyne rzeczy godne obejrzenia w mieście. Poza tym nie było co zwiedzać i co robić.

Przeszłam się kilkakrotnie główną ulicą i w końcu znalazłam Café Karina. Byłam jedynym gościem w tym idiotycznie udekorowanym lokalu, który pluszowymi kanapami i ogromną dyskotekową kulą zgoła nie celował w ludzi wpadających na lunch.

– Cudzoziemcy nieczęsto do nas zagląдают!

Kelnerka patrzyła na mnie podekscytowana. Włosy do ramion miała ufarbowane na rudo, była szczupła i zadbana – lakier na paznokciach, wysokie obcasy. Kiedy chwilę potem podeszła z dzbankiem herbaty, miała ze sobą zdjęcie trójki dzieci. Najstarsza wyglądała na około osiemnaście lat, młodszy chłopiec miał może cztery czy pięć.

– Czy mogłabym prosić o autograf?

Spojrzała na mnie z nadzieją. Wzięłam podawany mi długopis i z tyłu fotografii napisałam swoje nazwisko. Podziękowała mi wylewnie.

Do greckiej sałatki podała mi dramatyczną historię swojego życia kelnerki: Na imię miała Swieta, lat trzydzieści siedem. Osiemnastoletnia córka i dwunastoletni syn z pierwszego małżeństwa. Najmłodszy, pięciolatek, był owocem małżeństwa numer dwa. Kiedy Swieta chodziła z nim w ciąży, jej mąż postąpił jak wielu innych Tadżyków – pojechał na zarobek do Rosji. Z niespełna ośmiu milionów mieszkańców Tadżykistanu jeden do dwóch milionów stale pracuje w Rosji. Pieniądze, które przysyłają, stanowią połowę produktu krajowego brutto. Żaden inny kraj na świecie nie jest tak zależny od wynagrodzeń emigrantów zarobkowych.

– Przez pierwsze miesiące dzwonił i przysyłał pieniądze – opowiadała Swieta, która przysiadła się teraz do mojego stolika. – Po mniej więcej pół roku powiedział, że pracodawca go oszukał i że będzie się starał znaleźć inną pracę. Od tego czasu nie mam od niego wiadomości.

Uśmiechnęła się smutno i wtedy dostrzegłam, że brakuje jej dwóch przednich zębów.

– Na początku bardzo się martwiłam i robiłam wszystko, żeby go znaleźć. Nawiązałam kontakt z jego przyjaciółmi i znajomymi, starałam się go wyśledzić. Przecież nawet nie wiedziałam, czy żyje! Teraz dałam sobie spokój. Znajdę go, jak będzie chciał być znaleziony. Wie, gdzie mieszkam. Nie zmieniłam karty SIM od czasu jego zniknięcia, więc numer telefonu mam ten sam. Mój synek zna ojca tylko z fotografii. Za każdym razem, gdy spotyka nowego mężczyznę, myśli, że to tatuś.

Rosyjski Swiety był doskonały, bez śladu akcentu. Okazało się, że da się to wyjaśnić – jej matka była Rosjanką. Za młodu zakochała się w Tadżyku i przeszła na islam. Po kilku latach spędzonych w Rosji młodzi małżonkowie przenieśli się do Kurgonteppy, rodzinnej miejscowości męża i razem zbudowali sobie tutaj życie.

– Pierwsze pięć lat życia spędziłam w Rosji.

Swieta zapaliła cienkiego papierosa. W wąskim pasemku dziennego światła, które przepuszczały zasłony, dym kłębił się siwą chmurą.

– Jestem ochrzczona, ale nie umiem powiedzieć, czy jestem chrześcijanką czy muzułmanką. Pewnie po trochu tym i tym. Może po połowie jednym i drugim? Poza pierwszymi pięcioma latami mieszkam tu całe życie. No, z wyjątkiem wojny, oczywiście. Kiedy zrobiło się zbyt niebezpiecznie, uciekłam do Rosji. Przez jakiś czas mieszkałam nawet w Moskwie. Tam to mają wszystko! Prąd, gaz... Niczego im nie brakuje.

– Dlaczego pani wróciła? – zapytałam.

– Przecież dzieci tu zostały! Chciałam być razem z nimi. Ale wolałabym móc wyjechać... – westchnęła. – Chodzi o to, że nie mam rosyjskiego

obywatelstwa. Chyba mogłabym je dostać, tak zakładam, ale wtedy musiałabym jechać do Duszanbe, a to dwie godziny drogi stąd, to kosztuje. Wszystko kosztuje. Nie dostaję pensji, tylko kilka procent od napiwków, a to przecież nie wystarcza. Nawet nie co dzień mamy tu gości. Wypad na rynek, torba jedzenia, i po pieniądzach. – Znowu westchnęła. – Wierz mi, Erika, życie tutaj to nie życie. Mam nadzieję, że starszy syn wyjedzie do Rosji.

– A co z córką? Ma ochotę na wyjazd do Rosji?

– Skończyła liceum i opiekuje się w domu najmłodszym – odparła. – Spotkała chłopaka. Niedługo się pobiorą.

Swieta ściszyła głos i konspiracyjnie pochyliła się nad stołem.

– Nasz prezydent myśli tylko o sobie. Dla ludzi nie robi zupełnie nic. Zimą mamy prąd tylko kilka godzin dziennie. Siedzimy przy słabym świetle świec i drżymy z zimna. Gazu też nie mamy i prawie nigdy ciepłej wody. Moje mieszkanie jest tak wysoko, że nie mam nawet wody w kranie! Muszę schodzić do piwnicy i wnosić na górę wiadra z zimną wodą. Każdej zimy wiele małych dzieci i starców zamarza na śmierć. To nie jest życie. My nie żyjemy, my po prostu chcemy przeżyć. Kiedy mam wolne, zdarza się, że przychodzimy tu z przyjaciółkami potańczyć. Wtedy na chwilę zapominamy o naszych troskach.

Przeprosiła i zapaliła kolejnego cienkiego papierosa.

– Zaczęłam palić, kiedy zniknął mój mąż. Zdarza się też, że piję, ale tylko trochę. Inni Rosjanie, którzy tu zostali, to wszystko alkoholicy. Kobiety też.

Większość uciekła z kraju podczas wojny domowej w latach pięćdziesiątych. Dziś stanowią niecały jeden procent ludności, co czyni z Tadżykistanu kraj z najmniejszą liczbą Rosjan w całym byłym Związku Radzieckim. Jednocześnie żaden inny nie jest bardziej zależny od Rosji niż właśnie Tadżykistan. Gdyby rosyjskie władze wprowadziły obowiązek wizowy dla tadżyckich emigrantów zarobkowych – czym grożą za każdym razem, gdy prezydent Emomali Rahmon nie tańczy tak, jak mu zagrają – gospodarka kraju załamałaby się w ciągu jednego dnia.

Wielu tadżyckich emigrantów zarobkowych znajduje sobie w Rosji żony tamtejszej narodowości. Niekoniecznie im to przeszkadza w sumiennym odwiedzaniu rodzinnych wiosek raz w roku w celu zapłodnienia swoich tadżyckich żon, a zanim wrócą do Rosji, nierzadko przekazują im przy okazji chorobę weneryczną. Z czasem odstępy między odwiedzinami stają się coraz dłuższe, między przekazami pieniężnymi także, aż wreszcie dokonują ostatecznego kroku, zdobywają rosyjskie obywatelstwo i zostają na zawsze. Ponieważ w sunnizmie wystarczy, że mąż trzykrotnie powtórzy słowo *talaq*, by para się rozwiódła, wiele tadżyckich żon w ostatnich latach otrzymywało od mężów w Rosji SMS-y o treści: „Talaq, talaq, talaq”.

W 2011 roku Muzułmańska Rada Tadżykistanu wprowadziła zakaz rozwodów przez komórkę.

Wieczorem wróciłam do Café Karina, które odmieniło się całkowicie. Przy stolikach na piętrze siedziały teraz większe i mniejsze grupki mężczyzn w garniturach. Byłam jedynym gościem płci żeńskiej w lokalu i jedyną osobą, która siedziała przy stoliku samotnie. Dyskotekowa kula wirowała, rozsyłając po sali drobne kwadraciki, zestaw stereo był nastawiony na cały regulator, a na wielkim ekranie migotały seksowne wideoklipy muzyczne. Światło było tak przytłumione, że zrezygnowałam z czytania przyniesionej książki.

Swieta także się odmieniła. Pachniała ciężkimi perfumami, usta pomalowała odblaskową szminką, a na powiekach miała grubą warstwę ciemnego, błyszczącego cienia. Ni stąd, ni zowąd przysiadła się do „garniturowców”, kładła im rękę na udzie i uważnie słuchała, co jej szepczą na ucho.

Kiedy Swieta w nocnym wydaniu przyniosła mi do stolika grecką sałatkę z chlebem, powiedziała podekscytowana, że pewien młody pan w białej koszuli, ten, który siedział w kącie i palił papierosa, wykazał zainteresowanie moją osobą. Pyta, czy mógłby się do mnie przysiąc.

– Tylko – szepnęła ostrzegawczo – nie wierz w te historie, które opowiada.
Nie daj się oszukać.

– Zaraz idę – uspokoiłam ją. – Wpadłam tylko, żeby się z tobą pożegnać.

– Wiesz, nie straciłam jeszcze nadziei na znalezienie nowego męża –
usprawiedliwiała się. – Kobieta musi mieć nadzieję, inaczej już po niej.

Oblicza wojny

Opowiadania o wojnie są opowiadaniem o chaosie. Pokawałkowane, poszatkowane, trudne do uchwycenia podobnie jak sama wojna – rozczłonkowana, nieprzewidywalna, niepojęta.

Kiedy wojna się kończy, rozkłada się ją na liczby i w ten sposób wprowadzamy porządek w chaosie, czyniąc to, co niepojęte, bardziej uchwytnym. Tadżycka wojna domowa trwała w sumie pięć lat. Najbardziej krwawe były pierwsze miesiące, od późnej wiosny 1992 roku do przedwiośnia 1993. Zabito wtedy od pięćdziesięciu do stu tysięcy ludzi. Ponad milion zostało zmuszonych do ucieczki z domów.

Kiedy wojna trwa, człowiek koncentruje się na tym, by przeżyć jeszcze jeden dzień, a potem następny. Chodzi o to, by scalić rozchodzące się brzegi, wytrzymać strach i niepewność i zdobyć powszedni chleb.

– Jeszcze pamiętam te kolejki – mówiła Soraya, staruszka, którą spotkałam w prostej chacie w dolinie Jagnobu, gdzie latem uprawiała z mężem ziemniaki, żeby dorobić do niewielkiej emerytury. – Wstawałam o świcie, żeby zdobyć dobre miejsce w kolejce. Tak schodził poranek. Jeżeli miałam szczęście, dostawałam bochenek chleba, o ile nie zabrakło. Następnego ranka to samo. Po dwunastej ulice były jak wymarłe. Bandy przestępców wykorzystywały próżnię w systemie bezpieczeństwa i kradły albo demolowały. To była czysta anarchia.

Gdy żona wystawała w kolejkach po chleb, jej mąż, Sanginmurat, ruszał dzień w dzień do centrum Duszanbe, żeby wykonywać swoją pracę strażnika w filharmonii. Skoro zaś w czasie wojny nie grano koncertów, był w całym reprezentacyjnym gmachu sam. Przez dziesięć, dwanaście godzin ciurkiem, siedem dni w tygodniu siedział samotnie w dyżurce po ciemku. Bał się zapalić światło, żeby go nie zastrzelili.

– Za każdym razem, kiedy wyruszałem do centrum, zastanawiałem się, czy wrócę żywy do domu – wspominał Sanginmurat. – Tam, gdzie mieszkaliśmy,

było całkiem spokojnie, ale w śródmieściu wojna szła na całego.

Pewnego dnia do filharmonii dostała się banda młodych bojców. Sanginmurat nie stawiał oporu, lecz pomagał im najlepiej, jak umiał, w wybieraniu z sejfu pieniędzy i wartościowych przedmiotów. Dzień później zajrzał dyrektor i pochwalił go za spokojne zachowanie. Poinstruował też Sanginmurata, by ten nie oponował, gdyby uzbrojeni napastnicy wrócili, i pozwolił im zabrać to, co chcą. A także by w żadnym wypadku nie kontaktował się z nim, dyrektorem.

Banda, rzecz jasna, wróciła. Byli to młodzi, zawadiaccy mężczyźni bez wykształcenia i bez wychowania. Brudnymi buciorami deptali drogie dywany. Wszak w tamtej chwili to oni byli zwycięzcami w tej wojnie. Ponieważ zaś Sanginmurat zawsze służył im pomocą, nic mu nie zrobili, ale z czasem zaczęli przyprowadzać do dyżurki ludzi z ulicy, zdierać z nich ubranie i pozbawiać ich precjozów. Często też ich bili i kopali. A jak skończyli, wyrzucali ich na ulicę – z reguły bez ubrania. Któregoś razu Sanginmurat uznał, że ma tego dość, i krzyknął, żeby przestali. Wtedy podszedł do niego jeden z bojców i chciał mu obciąć ucho. I byłby to zrobił, gdyby nie to, że któryś z przywódców bandy wziął Sanginmurata w obronę.

W drodze do pracy albo z powrotem zdarzało się, że zatrzymywali go młodzi ludzie uzbrojeni w noże albo broń palną.

– Z kim trzymasz? Z państwem czy z opozycją? – wołali.

Ponieważ nie wiedział, za którą stroną opowiada się pytający, próbował wybrnąć dyplomatycznie:

– Z pokojem.

Ciągle powtarzał tę samą odpowiedź:

– Nie jestem po żadnej stronie. Chcę tylko pokoju.

Wreszcie nie wytrzymał. W 1994 roku wyjechał do Rosji i przesiedział tam trzy lata, póki filharmonia w Duszanbe na nowo nie otworzyła podwojów dla publiczności.

Początkowo zapowiadało się optymistycznie. Na jesieni 1991 roku Tadżykistan jako pierwsze państwo poradzieckie zabierał się do przeprowadzenia wolnych wyborów. W przeciwieństwie do Turkmenistanu i Kazachstanu w szranki mogło stanąć wiele różnych partii i liczni kandydaci na prezydenta. Zgodnie z oczekiwaniami głową państwa został kandydat komunistów, Rahmon Nabijew. Poprzednio był przewodniczącym tadżyckiej partii komunistycznej, ale po skandalu korupcyjnym w 1985 roku został przez Gorbaczowa zdjęty z funkcji. Sześć lat później wrócił na szczyty władzy.

Opozycja, składająca się między innymi z Partii Demokratycznej i Islamskiej Partii Odrodzenia, otrzymała w wyborach ponad trzydzieści procent głosów, niemniej Nabijew odmówił im stanowisk ministerialnych w swoim rządzie i nie chciał w żaden inny sposób dzielić się z nimi władzą. Na korzyść Nabijewa nie przemawiało również to, że pochodził z Chodżentu na północy, z którego to regionu zazwyczaj rekrutowali się komunistyczni przywódcy. W społeczeństwie Tadżykistanu bardzo silne są podziały plemienne, więc ludzie z pozostałych regionów poczuli się pominięci. Nie pomagał też szereg przywar Nabijewa z czasów radzieckich – palił i pił w dużych ilościach, pojawiał się w pracy późno i zwykle już po lunchu zniknął. Kiedy na wiosnę 1992 roku tysiące niezadowolonych obywateli zebrały się na masowych demonstracjach w stolicy, nie zrobił nic. Dopiero w maju zareagował, próbą powstrzymania protestów siłą. Wówczas było już jednak za późno. Rząd koalicyjny, który Nabijew powołał w czerwcu, żeby udobruchać strony, długo nie przetrwał, a walki narastały. Kraj był podzielony, z grubsza biorąc, na cztery fronty: obóz pronabijewowski w Chodżencie na północy, Duszanbe i okolice zdominowane przez antynabijewowski alians partii islamskiej i zwolenników demokracji, pronabijewowski obóz w Kulabie na południowym wschodzie oraz na koniec front na południowym zachodzie z siedzibą w Kurgonteppie, który głównie wspierał islamistów. Dodatkowo włączył się biedny i słabo

zaludniony region Pamiru, gdzie także silnie wspierano islamistów.

7 września 1992 roku Nabijew został uwięziony przez opozycjonistów i zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Tej samej jesieni Emomali Rahmon został wybrany na przewodniczącego Rady Najwyższej. Dzięki wsparciu wojskowemu z Uzbekistanu, który nie chciał, by w sąsiednim kraju doszli do władzy islamiści, Rahmonowi i komunistom udało się przejąć kontrolę nad Duszanbe i Kurgonteppą. Podczas działań wojennych zabito bądź zmuszono do ucieczki dziesiątki tysięcy ludzi.

Po odzyskaniu władzy w części kraju rząd Rahmona zgodnie z dawnymi zasadami plemiennymi przedłożył zemstę nad pojednanie. Pomsta dosięgła szczególnie osoby z byłego okręgu garmskiego w centrum Tadżykistanu oraz z Pamiru w wilajecie górskobadachszańskim na wschodzie. W obu tych regionach ludzie z całego serca popierali opozycję. Na wiosnę 1993 roku ponad tysiąc Garmijczyków i Pamirców zostało zlikwidowanych przez różne grupy milicji działające z milczącym błogosławieństwem władz. Ponad dwieście tysięcy uciekło w tym okresie z powrotem w góry na wschodzie, a wielu z nich poszukało schronienia po afgańskiej stronie granicy. Tam od talibów otrzymali praktyczną pomoc i moralne wsparcie do dalszego prowadzenia walki opozycyjnej. W tym niespokojnym czasie szmugiel opium z Afganistanu wzrósł zresztą szacunkowo o dwa tysiące procent.

Chociaż okres najbardziej zaciętych walk się skończył, pokój w Tadżykistanie nie zapanował. Gdy tylko w górach Pamiru zeszły śniegi, islamscy buntownicy wznowili ataki na rosyjskie placówki i zgrupowania wojskowe wzdłuż granicy. Od czasu do czasu wybuchały też bomby w Duszanbe. ONZ, Rosja i środkowoazjatyccy sąsiedzi latami starali się wynegocjować traktat pokojowy między stronami konfliktu, ale za wymogiem nie szła wystarczająca presja – aż do jesieni 1996 roku, kiedy to w Kabulu władzę przejęli talibowie. Dla Rosji Tadżykistan stanowi ważny bufor wobec Afganistanu i Rosjanie za wszelką cenę chcieli uniknąć tego, by talibowie zyskali wpływy po tadżyckiej stronie granicy. Pozostałe kraje

środkowoazjatyckie oczywiście także nie życzyły sobie ekspansji talibów w Tadżykistanie, nalegały zatem na Rahmona, by podpisał traktat pokojowy z islamistami z Pamiru.

W 1997 roku silnie naciskany Rahmon zawarł ugodę z przywódcą ruchu islamistycznego Saidem Abdullahem Nurim. Traktat pokojowy podpisano zaś 1 lipca 1997 roku. Rahmon zgodził się, by opozycja otrzymała co najmniej trzydzieści procent miejsc w parlamencie i większą liczbę ważnych stanowisk ministerialnych. Ta obietnica stopniowo się rozmyła. Dzisiaj wśród ministrów nie ma ani jednego opozycjonisty, a Islamska Partia Odrodzenia posiada na sześćdziesiąt trzy miejsca w parlamencie tylko dwóch reprezentantów. Zresztą deputowani do parlamentu nie mają już większego wpływu, ponieważ w ostatnich latach coraz więcej decyzji przenoszono w sferę kompetencji prezydenta.

Kurgonteppa była tym miastem, które podczas wojny domowej ucierpiało najbardziej. Zabito tu dziesiątki tysięcy ludzi, a całe kwartały zamieniły się w ruiny. Dziś nie ma widocznych śladów po tej wojnie, nie ma nawet najmniejszego pomniczka, jak okiem sięgnąć jedynie świeżo otynkowane, trzypiętrowe bloki w stylu radzieckim.

Wspomnienia natomiast są wszędzie.

– Wojna domowa to coś najstraszliwszego, co może się zdarzyć – powiedział karykaturzysta.

Był to drobny mężczyzna, prawie łysy, za to z wypięgnowaną, siwą brodą. Wydawało się, że jego oczy cały czas się śmieją. Często głośno chichotał z dowcipów, które mi opowiadał, albo z rysunków, które pokazywał. A było ich wiele. Setki. Na ścianie za jego plecami wśród dyplomów i odznaczeń wisiały lalki – lisów, rycerzy i księżniczek ze sztuki teatralnej, którą właśnie inscenizował. Oprócz tego, że był jedynym karykaturzystą w Tadżykistanie, występował także w rolach poety, fotografa, aktora filmowego, scenografa i lalkarza.

– Za czasów radzieckich karykatury miały większą moc – rzekł w swojej znakomitej ruszczyźnie. – Teraz zajmuje się głównie tematyką dnia codziennego.

Wyjął rysunek tuszem, na którym urzędnik za biurkiem wczepia się w wielką pieczęć, a w głowie ma podłużny otwór do wrzucania monet.

– Jak tylko ktoś wrzuci monetę, stempluje dokument – zaśmiał się Chajrułło.

Potem podsunął następny rysunek, przedstawiający Świętego Mikołaja podczas kontroli na tadżyckiej granicy.

– Skoro nie może dać zadowalającej odpowiedzi na pytanie o adres zamieszkania, pogranicznicy nie wpuszczą go do kraju. Nawet Święty Mikołaj nie wymknie się naszym biurokratycznym i srogim urzędnikom! – Chajrułło krztusił się ze śmiechu.

W Związku Radzieckim Chajrułłę uznawano za wielkiego artystę i zapraszano na konferencje w całym rozległym imperium. W sierpniu 1991 roku był gościem na konferencji rysowników w Moskwie. Wtedy to na jego oczach narodził się nowy świat. Karykaturzysta z Tadżykistanu był świadkiem masowych demonstracji na placu Czerwonym i płomiennych przemówień Jelcyna, widział czołgi. Wszystkie loty do Duszanbe zawieszono, dostał miejsce w samolocie dopiero na 27 sierpnia. Wówczas demonstracje szły już ulicami Duszanbe. Dwa tygodnie później, 9 września, Tadżykistan ogłosił swoją niepodległość.

– To było jak powódź. Związek Radziecki stał się nagle historią.

Chajrułło był w tym momencie przewodniczącym Partii Demokratycznej w wilajecie chatłońskim, zasiadał też w radzie miejskiej Kurgontepy. Jednak nie walczył. Nawet wtedy, gdy wojna na dobre wkroczyła do tego miasta, w lutym 1993 roku. Na ulicach wybuchały dzikie strzelaniny, a dzieci i dorośli biegali w panice, żeby ich nie trafiły kule. Z miasta uciekły wtedy dziesiątki tysięcy ludzi.

– Wróciliśmy, kiedy się uciszyło – opowiadał. – Wszędzie leżały trupy.

Musieliśmy wytyczyć nowy cmentarz za miastem, dla ofiar wojny, bo na starym brakło dla nich miejsca.

Później jeszcze w tym samym roku Chajrułło z żoną i piątką dzieci znowu musiał uciekać. Przez trzy albo cztery miesiące ukrywali się w oborze przy afgańskiej granicy. Pod dachem obory tłoczyło się od pięciuset do tysiąca ludzi – sąsiedzi, przyjaciele, krewni. Kobiety i mężczyźni spali osobno, ale wszyscy ciasno jeden przy drugim, żeby nie marznąć. Na całe szczęście tamtego roku późno spadł śnieg – pierwsze płatki pokazały się dopiero w lutym. Wówczas ruszyli w dalszą drogę. Żona z dziećmi wylądowała w bezpiecznym miejscu w pobliżu, natomiast Chajrułło, który był znany, musiał ukryć się dalej. Zanim się wynieśli z Duszanbe, sprzedali samochód. Pieniądze się przydały – przy pierwszej blokadzie drogowej, na którą się natknął, wszystkich pochodzących z Kurgontepy zabijano, chyba że mogli zapłacić. W wyniku transakcji Chajrułło otrzymał także przepustkę, która dawała mu swobodę poruszania się między różnymi strefami w tej wojnie.

Przez rok żył w ukryciu w pewnym kołchozie w Turkmenistanie. Potem przedostał się na Ukrainę, gdzie przez kilka miesięcy mieszkał u przyjaciela. Następnie pojechał do niewielkiego miasteczka w Rosji, gdzie miał krewnych. Tam przebywał przez cały rok 1995. Żeby związać koniec z końcem, sprzedawał banany na miejscowym targu. Któregoś dnia jakiś klient zauważył, że kiedy nie ma co robić, rysuje. Podszedł do niego i spytał, czyby mu nie narysował Chrystusa. Chajrułło spełnił jego życzenie, a kiedy ten człowiek zobaczył rysunek, rozplakał się.

– I pomyśleć, że taki mądry człowiek, artysta, siedzi tutaj i sprzedaje banany! Gdybyś był stąd, bracie, jeździłbyś land cruiserem!

I zapłacił za rysunek równowartość dwutygodniowego zarobku z bananów.

– Mimo że mam teraz siedem, osiem różnych zajęć i żadne z nich nie jest sprzedawaniem bananów, jeszcze nie zarobiłem na land cruisera – skomentował rysownik.

Wstał z krzesła przy biurku i wyjął z szuflady oprawny w skórę zeszyt, gęsto zapisany wierszem. Każda strofka miała dwa wersy, a każdy wiersz był ilustrowany starannym rysunkiem wykonanym piórkiem. Jeden z nich ukazywał mężczyznę siedzącego na ziemi z głową wciśniętą między kolana. Jego twarz pozbawiona była oczu i ust. Inny rysunek przedstawiał lwa, który musiał skapitulować przed płomieniami w pożarze lasu. Tytuł: *Olbrzym, który bił się i padł*. Wszystkie wiersze pochodziły z wygnania w Rosji. Spytałam, czy zechciałby przeczytać któryś wiersz ze zbioru, ale zaprzeczył ruchem głowy.

– To już zamknięty rozdział.

Kiedy wojna się skończyła, wrócił do rodziny w Kurgontepie. Dwa lata zajęło mu odbudowanie mieszkania zniszczonego w pożarze podczas walk ulicznych. Z czasem został zatrudniony w teatrze i stopniowo odtworzył swoje życie. Obecnie do jego wierszy powstaje muzyka. Tworzy na zamówienie pomniki i gra w filmach.

– Kiedy umrę, miasto nie straci jednego człowieka, lecz wielu – uśmiechnął się, a potem spoważniał. – Dają mi spokój, bo mnie potrzebują. Niemniej nie dostałem jeszcze żadnego odznaczenia ani honorowego tytułu, chociaż rysuję od trzydziestu lat. Przypuszczalnie jestem na czarnej liście.

Z wielu tysięcy karykatur, które Chajrułło stworzył w czasach radzieckich, wojnę przetrwały tylko dwie. Jedna nosi tytuł *Ewolucja człowieka* i przedstawia mężczyznę, który obwieszany jest coraz większą liczbą medali. Im więcej otrzymuje tych honorowych odznaczeń, tym bardziej zła robi się jego niezadowolona mina.

Kiedy spytałam autora, co sądzi o obecnej sytuacji w Tadżykistanie, uśmiechnął się zawstydzony i po raz pierwszy zamilkł.

– Człowiek, którego raz ugryzł wąż, będzie się bał zwojów lin i przewodów – odezwał się w końcu. – Dziecko, które się oparzyło, dotknąwszy czajnika, będzie uważało, żeby się nie sparzyć znowu. Polityka to rozdział, z którym skończyłem. Nie rysuję karykatur prezydenta ani innych polityków, lecz

zadowolam się sytuacjami wziętymi z życia. To mi wystarczy.

– Na kogo będzie pan głosował w wyborach? – spytałam.

– Przypuszczam, że będę tak zajęty pracą w sobotę i w niedzielę, że chyba nie starczy mi czasu na głosowanie – odparł szybko. – Tak czy owak, najważniejsze jest teraz, że mamy pokój. Oby to się nigdy nie powtórzyło. Wojna domowa to coś najstraszliwszego, co może się zdarzyć.

Wielka Gra

*Teraz ja pójdę hen daleko na północ,
biorąc udział w wielkiej grze.*

Rudyard Kipling, *Kim*⁴⁰

Kadłub śmigłowca drżał lekko, gdy śmigło podnosiło nas z ziemi. Strona zewnętrzna została odnowiona i nosiła teraz barwy tadżyckiej flagi, natomiast wewnątrz nie zmieniło się chyba od pięćdziesięciu lat. Dwudziestu pasażerów zostało upchniętych na dwóch długich siedziskach plecami do owalnych okienek. W kokpicie zgarbiony pilot przycupnął na niskim stołku, a ponieważ było tam miejsce dla tylko jednej osoby, drugi pilot musiał siedzieć na wąskiej ławie razem z pasażerami. Drzwi do kokpitu stały otworem, aby piloci mogli się porozumiewać.

Poranek był śliczny. Na prawie bezchmurnym niebie świeciło słońce, jak zwykle, gdy samolot, a w tym przypadku śmigłowiec, z Duszanbe do Chorogu leci zgodnie z rozkładem. Ponieważ piloci muszą latać bez radaru, są zależni od dobrej widoczności w górach. W dodatku, żeby uzyskali pozwolenie na start, prawie nie może być wiatru. Najłżejszy podmuch może mieć fatalne skutki, małe bowiem samoloty, których używa się na tej trasie, osiągają maksymalną wysokość czterech tysięcy dwustu metrów, a wiele górskich szczytów, które mijają po drodze, wznosi się na pięć tysięcy. Innymi słowy, mieliśmy lecieć *między* górami, a nie nad nimi. Nie bez powodu trasa z Duszanbe do Chorogu była jedyną, na której piloci Aerofłotu w czasach radzieckich dostawali dodatek za ryzyko.

Kiedy osiągnęliśmy wysokość przelotową, płaska, żyzna równina wokół Duszanbe została zastąpiona przez nagie łańcuchy górskie. Mijaliśmy szczyty, jak się wydawało, z kilkoma zaledwie metrami luzu. Drugi pilot uśmiechał się szczęśliwy. Góry stawały się coraz bardziej strome, szczyty coraz bardziej ostre, a w polu widzenia ani jednej ściany zbudowanej ludzką

ręką. Większość pasażerów wykazywała absolutną obojętność wobec wspaniałej panoramy, wykorzystując okazję do drzemki. Gdy jedno z górskich zboczy objawiło się niebezpiecznie blisko, mój sąsiad wzdrygnął się i zamrugał. Rzucił szybko okiem przez okienko, pochylił się i ryknął mi w ucho, zagłuszając śmigło: „Afganistan!”.

Iluz to ludzi przypłaciło życiem próby rzucenia na kolana i podporządkowania sobie tego kraju? Jeżeli Afgańczycy są choć w połowie tak wyniośli jak góry, które zamieszkują, zadanie jest od początku skazane na niepowodzenie. A mimo to nie brakowało takich prób. Brytyjczycy zabrali się za to już w 1839 roku. W Kabulu rządził wtedy od 1818 roku Dost Mohammad Chan. Przez lata był do nich przyjaźnie nastawiony, ale w 1837 roku pojawiły się niepokojące raporty, że szykuje się do zawarcia porozumienia z posłami rosyjskimi w Kabulu. Wzbudziło to obawy Brytyjczyków, których największym koszmarem była groźba inwazji carskiej Rosji na Indie drogą przez Afganistan. Po krótkich dyskusjach postanowiono zainstalować na tronie dawnego sojusznika, Szuję Szaha Durraniego, który trzydzieści lat wcześniej został wypędzony z Kabulu.

W grudniu 1838 roku w drogę z Indii wyruszyło dwadzieścia tysięcy żołnierzy brytyjskich i hinduskich. Kiedy w kwietniu 1839 roku dotarli do Kabulu, mieli za sobą przejście przełęczy na wysokości czterech tysięcy metrów i opanowanie bez większych strat szeregu pomniejszych afgańskich miast. Dost Mohammad Chan został zmuszony do ucieczki, a Szuja Szah wstąpił na tron. Władcą był jednak słabym, toteż dla zabezpieczenia jego rządów Brytyjczycy nie mieli innego wyboru, jak tylko pozostać w Kabulu. Ich obecność bardzo się Afgańczykom nie podobała, więc w listopadzie 1841 roku wybuchły gwałtowne zamieszki. Brytyjczycy uznali, że nie kontrolują już sytuacji, i postanowili się wycofać. 6 stycznia 1842 roku cała brytyjska kolonia w Kabulu, w sumie ponad szesnaście tysięcy ludzi, ruszyła w stronę oddalonej o sto czterdzieści pięć kilometrów twierdzy w Dżalalabadzie. Było lodowato zimno. Część ewakuowanych ugięła się przed mrozem już

pierwszej nocy, wielu nabawiło się poważnych odmrożeń. Po trzech dniach podróży dotarli do przełęczy Kurd-Kabul, gdzie Afgańczycy zastawili na nich pułapkę. Brytyjscy i hinduscy żołnierze nie mieli szans. Z szesnastu tysięcy, które wyruszyły z Kabulu, do twierdzy w Dżalalabadzie dotarł tylko lekarz William Brydon, poraniony i wyczerpany, na zajeżdżonym mule. Miało to miejsce 13 stycznia 1842 roku, dokładnie tydzień po opuszczeniu Kabulu. Wyjawszy mniej niż setkę wziętych do niewoli Brytyjczyków oraz kilkuset Hindusów, którym udało się uciec, cała brytyjska kolonia została unicestwiona w zasadzce.

Niewiele miesięcy potem Szuja Szah został zabity, a Dost Mohammad Chan ponownie objął tron.

Między brytyjskimi próbami opanowania Kabulu a inwazją Związku Radzieckiego w 1979 roku, sto czterdzieści lat później, jest szereg uderzających podobieństw. Rosjanie także chcieli osadzić w Kabulu przychylnego reżimowi przywódcę. Rezultatem trwającej dziewięć lat wojny było czternaście tysięcy zabitych radzieckich żołnierzy. Ponad milion afgańskich cywilów straciło życie, a co najmniej taka sama liczba została wypędzona na tułaczkę. W 1989 roku radzieckie czołgi się wycofały, nie wskórawszy niczego.

Mądry uczy się na własnych błędach, mędrzec na cudzych, jak powiadają. Brytyjczycy najwyraźniej nie należą ani do jednych, ani do drugich, wsparli bowiem z entuzjazmem natowską inwazję w 2001 roku. W ciągu dwunastu lat wojny tysiące ludzi po obu stronach straciły życie. Dziś talibowie znowu są w zwycięskim natarciu, również w tych rejonach Afganistanu, gdzie nigdy przedtem nie posiadali wpływów.

Patrzyłam przez okienko, jak słońce wznosi się między niemal pionowymi zboczami. Pokryte śniegiem szczyty lśniły w jego promieniach. Przestrzeń pod nami się rozwarła i zaraz potem z lekkością jedwabiu wylądowaliśmy w Chorogu, stolicy regionu pamińskiego. Kiedy śmigłowiec dotknął ziemi, w pasażerach nagle obudziło się życie. Pas startowy opustoszał zaskakująco

szybko.

W chłodnym powietrzu poranka postawiłam pierwsze kroki na pamińskiej ziemi. Ten region nazywa się chętnie „dachem świata”, a rozciąga się on na przestrzeni stu dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych i w granicach pięciu krajów – Chin, Pakistanu, Kirgistanu, Afganistanu i Tadżykistanu, gdzie położona jest większość masywu. Trzy wierzchołki w Pamirze przekraczają siedem tysięcy metrów. Najwyższy jest Kongur w Sinkiangu w Chinach – 7719 metrów n.p.m. Najwyższą górą po stronie tadżyckiej jest Szczyt Ismaila Samaniego (7495 metrów n.p.m.), który był również najwyższy w Związku Radzieckim. W latach 1932–1962 nosił nazwę Pik Stalina, a od 1962 do 1998 roku Pik Kommunizma.

Pamir długo był jednym z najbardziej niedostępnych obszarów na naszej planecie.

* * *

Granica między Tadżykistanem a Afganistanem ma tysiąc dwieście sześć kilometrów długości i przebiega wzdłuż rzeki Pandż. Ergasz, mój tutejszy kierowca, wiezie mnie wzdłuż rzeki dalej na południe. Nie widać ani jednego żołnierza, ani śladu zasieków. Granica między Afganistanem a Tadżykistanem jest dziurawa jak sito – papierosy i opium rocznie szmugluje się przez rzekę tonami. Potem są transportowane przez Kirgistan i Kazachstan do Rosji i ewentualnie jeszcze do Europy. Całe wioski po afgańskiej i tadżyckiej stronie granicy utrzymują się ze szmuglu. Prawdopodobnie macki szmuglerskich siatek sięgają aż tadżyckiego rządu, co by tłumaczyło, skąd się biorą luksusowe samochody i ekstrawaganckie budowle w Duszanbe.

Po południu dojeżdżamy do Iszkoszimu, wysuniętej najdalej na południe miejscowości w Tadżykistanie i naszego postoju na noc. Spacerkiem idę na brzeg rzeki i znajduję sobie miejsce do siedzenia osłonięte olbrzymim głazem

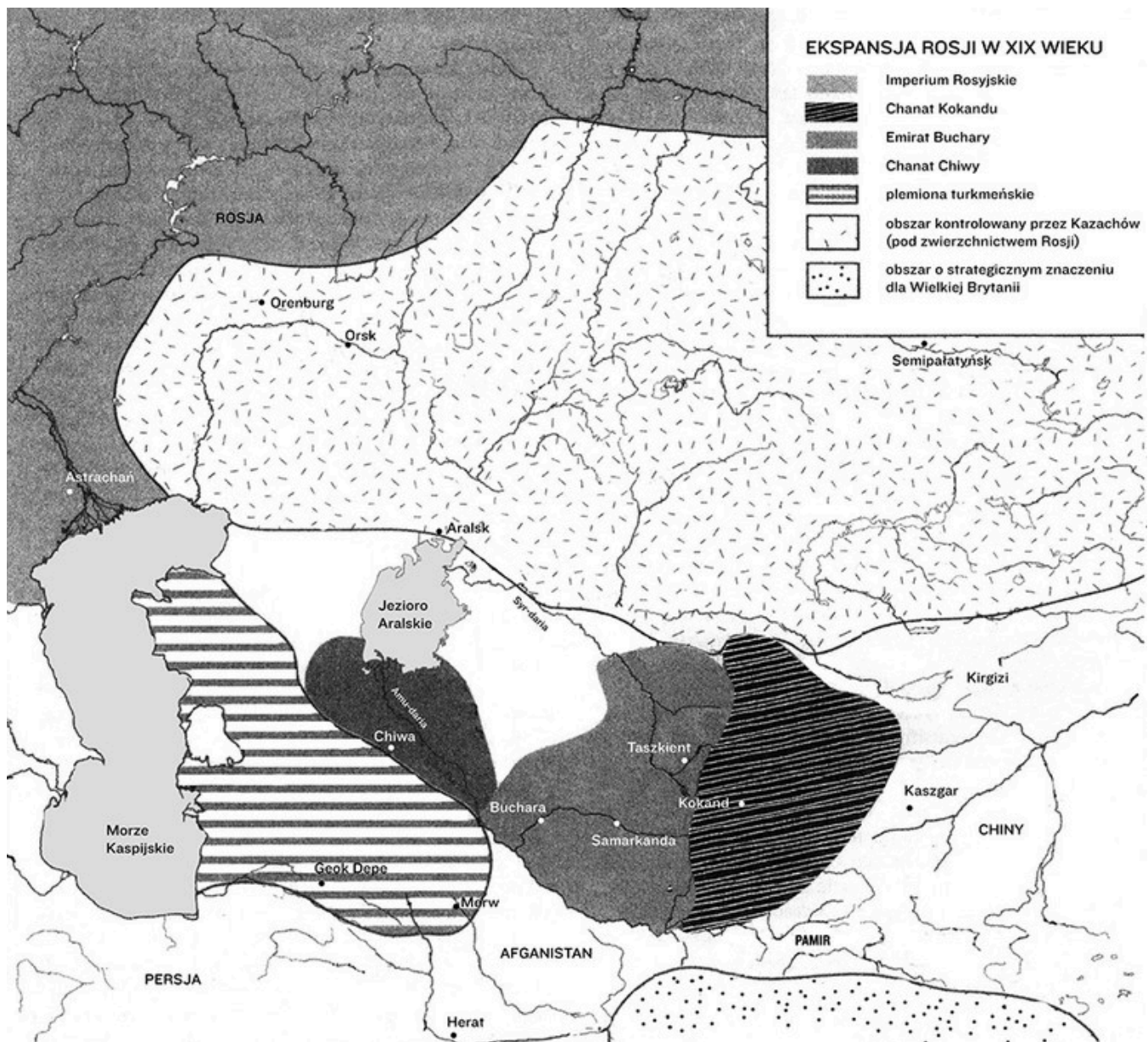
narzutowym. Nieba nade mną nie przysłania żadna chmurka. W białej pianie wieńczącej grzbiety fal migoczą promienie słoneczne. Podmuchy wiatru skłaniają do tańca wszystkie stare reklamówki porzucone w trawie.

Tu, na wschodnim brzegu rzeki Pandź, stała rosyjska ekspansja w Azji Środkowej. Po drugiej stronie, w odległości czterdziestu, pięćdziesięciu metrów, leży Afganistan. Prąd jest tu wartki, lecz woda tak płytka, że prawdopodobnie można by rzekę przejść w bród. Ludzie po tamtej stronie mówią tym samym językiem co mieszkańcy tego brzegu – po wachańsku. Przez setki lat granicy między ludami Pamiru nie wyznaczała rzeka. Wyznaczały ją brunatne góry, które wznoszą się po obu stronach doliny. Obecna granica to rezultat geopolitycznej Wielkiej Gry o panowanie w Azji Środkowej, którą w XIX wieku prowadziły imperia – rosyjskie i brytyjskie⁴¹.

Kiedy w drugiej połowie XIX wieku rywalizacja między Rosją a Wielką Brytanią rozpoczęła się na dobre, od dawna już krążyły opowieści o pozostawionym ponoć przez Piotra Wielkiego tajnym testamencie. Jak wieść niosła, potężny car miał rzekomo na łożu śmierci w 1725 roku rozkazać swoim następcom, aby uczynili, co w ich mocy, by zrealizować prawdziwe powołanie Rosji – panowanie nad światem. Byłoby to możliwe do osiągnięcia, gdyby Rosjanie podporządkowali sobie Konstantynopol i Indie. I chociaż nikt nigdy nie ujawnił namacalnych dowodów na istnienie takiego testamentu, przez wiele pokoleń po śmierci Piotra Wielkiego legenda i tak żyła sobie w najlepsze.

Gdy w 1807 roku Napoleon zaproponował carowi Aleksandrowi I, aby zjednoczyli armie i wspólnie wyruszyli na południe na podbój Indii, wielu Anglików uznało to za potwierdzenie swoich podejrzeń, że Rosja chce wbić pazury w Indie. Po prawdzie z planowanego połączenia sił rosyjskich i francuskich nigdy nic nie wyszło, Napoleon bowiem postanowił w zamian wyruszyć na Moskwę – co stało się początkiem końca jego cesarskiej władzy. Mimo że sojusz z Napoleonem nie został zrealizowany, Brytyjczycy obawiali się następnego ruchu Rosjan w Azji. I tak rozpoczęła się Wielka Gra.

Tego określenia w związku z walką Brytyjczyków i Rosjan o władzę i wpływy w Azji Środkowej użył jako pierwszy w 1839 roku kapitan Arthur Conolly. Zostało ono potem uwiecznione w powieści Rudyarda Kiplinga *Kim*, która ukazała się w 1901 roku. W tym okresie gra znajdowała się w fazie końcowej, granice zostały zakreślone, a stosunek sił przechylił się na korzyść Rosji. Natomiast wówczas, gdy na scenie pojawił się kapitan Conolly, gra ledwo się zaczynała, a chanaty w Chiwie i Kokandzie oraz emirat w Bucharze były jeszcze niezawisłe. Azję Środkową postrzegano jako terytorium dzikie i niebezpieczne. Niewielu białych postawiło tam swoją stopę. Zresztą nie byli tam specjalnie mile widziani. Dlatego też pionierzy Wielkiej Gry przebierali się często za świętych mężów albo handlarzy koni, by uniknąć zdemaskowania jako Europejczycy. Swoje zapiski i mapy sporządzali w najgłębszej tajemnicy. Conolly osobiście wierzył w przebranie lekarza lub tubylca. Kiedy udawał tubylca, zawsze dbał o to, by robić tak nędzne wrażenie, jak to tylko możliwe, żeby nie zainteresowali się nim rozbójnicy na drogach. Wiele turkmeńskich plemion wyspecjalizowało się w napadaniu i rabowaniu podróżujących kupców, cudzoziemskie zaś karawany były ich ulubioną zdobyczą. Ci najwcześniejsi brytyjscy i rosyjscy podróżnicy narażali się, innymi słowy, na wielkie ryzyko, próbując zbadać białe plamy na mapach. Tymczasem największe niebezpieczeństwo nie czyhało na nich ze strony wrogich plemion czy kapryśnych chanów, lecz kryło się w samej przyrodzie. Miasta Azji Środkowej były chronione przez jedne z najwyższych na kuli ziemskiej góry i przełęcz, a także olbrzymie obszary pustynne, niemiłosiernie gorące w lecie, w zimie zaś z temperaturami spadającymi do minus pięćdziesięciu stopni.



Zima na przełomie 1839 i 1840 roku wzbogaciła Rosjan o gorzkie doświadczenie, jak kąśliwy mróz może panować na pustyni. Owey zimy Rosja dokonała pierwszego od ponad stulecia poważnego ataku na Azję Środkową. Poprzednim razem, w roku 1717, skończyło się to katastrofą. Na początku XVIII wieku chan chiwański zwrócił się do Piotra Wielkiego z prośbą o ochronę przed wrogo nastawionymi sąsiadującymi plemionami. Gdyby car rosyjski zechciał mu pomóc w tej kwestii, obiecywał, że Chiwa w zamian stanie się wasalem Rosji. Po upływie kilku lat Piotr Wielki postanowił odpowiedzieć na prośbę chana i wysłał wojsko w liczbie czterech

tysięcy żołnierzy pod wodzą kniazia Aleksandra Bekowicza-Czerkaskiego. Całe lato zeszło armii na przeprawienie się przez rozpaloną, niegościnną pustynię i dopiero w sierpniu, po czterech miesiącach w drodze, stanęli w Chiwie. Chan przyjął rosyjskie wojsko przyjaźnie, niemniej ostrzegł Rosjan, że w samym mieście nie znajdzie się dość żywności i noclegów dla tak wielu ludzi. Prosił zatem, by żołnierze rozdzielili się na pięć mniejszych grup i rozbili obozy we wskazanych miejscach poza murami. Książę Bekowicz-Czerkaski, który nie chciał drażnić chana, uczynił, jak chciał władca. W nocy niczego niepodejrzewający rosyjscy żołnierze zostali zaatakowani i wybici prawie do nogi we wszystkich pięciu wskazanych miejscach. Zaledwie kilkudziesięciu przeżyło tę rzeź. Na szczęście dla chana Piotr Wielki był w tym momencie bardzo zajęty podbojem Kaukazu, dlatego nie miał czasu wysłać ekspedycji dla pomszczenia pomordowanych. Niemniej zdradziecka zasadzka chana nie została w Sankt Petersburgu zapomniana.

Sto dwadzieścia dwa lata później, w listopadzie 1839 roku, Rosjanie ponownie spróbowali podporządkować sobie Chiwę. Generał Wasilij Pierowski wyruszył w drogę przez pustynię Kara-kum z armią liczącą pięć tysięcy dwustu żołnierzy i dziesięć tysięcy wielbłądów. Pretekstem stała się potrzeba uwolnienia wieluset Rosjan trzymanyh w Chiwie w niewoli. Pierowski liczył, że uda mu się dotrzeć do Chiwy przed nastaniem największych mrozów w lutym.

Brytyjczycy w Indiach dowiedzieli się o rosyjskich planach i z miejsca pchnęli do Chiwy poselstwo, aby namówić chana do wypuszczenia niewolników i nie dać Rosjanom podstaw do ataku. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzyli, było opanowanie przez Rosję dalszych terenów w Azji Środkowej i tym samym zbliżenie się do Indii.

Pierwszym z brytyjskich posłów był kapitan James Abbott⁴². Udało mu się dostać bez szwanku do Chiwy, prawdopodobnie jako pierwszemu w ogóle Anglikowi. W drodze przez pustynię zaobserwował liczne grupy wziętych

do niewoli mężczyzn, kobiet i dzieci eskortowane przez turkmeńskich strażników.

Nocami są skuwani razem łańcuchami za szyje, tak że odpoczynek prawie niemożliwym, a dotyk lodowatego żelaza do skóry czystą być musi torturą. Serce mi krwawi na myśl o tej nędzy bezbrzeżnej, jakiej ten porządek przyczyną. Ach! Ten, który do Chiwy wchodzi, żegna się z nadzieją, tak pewnie, jakby do piekła trafił. Więzienie jego otaczają pustynne bezdroża, a jedynymi ich mieszkańcami owi handlarze ludzkim mięsem.⁴³

Chan przyjął kapitana uprzejmie, okazał się przy tym bezgranicznie niezorientowany w sprawach świata zewnętrznego. Abbott miał duże trudności z wytłumaczeniem mu, że Brytyjczycy nie są nic nieznaczącym plemieniem podległym rosyjskiemu carowi. Również w przypadku Rosji chan nie był szczególnie dobrze poinformowany. Wydawało się, że sądzi, iż rosyjski chanat jest mniej więcej wielkości jego władztwa. Gdy zaś usłyszał, że władcą Wielkiej Brytanii jest kobieta, pytaniom nie było końca. Czy zawsze wybierają na króla kobiety? Czy ministrami też muszą być kobiety? Iloma miastami włada? Ile ma armat? Czy jej mąż, jak za niego wyjdzie, będzie królem?

Tymczasem generał Pierowskij musiał się uznać za pokonanego przez pogodę. Zima tego roku przyszła wcześniej i w grudniu spadł pierwszy duży śnieg. Wkrótce żołnierze brnęli w nim po pas, a temperatura wciąż spadała. Ludzie nie pamiętali bardziej surowej zimy. W styczniu tracili co dzień przeciętnie sto wielbłądów. Po trzech miesiącach Pierowskij uznał, że nie zdołają dotrzeć do Chiwy, i zarządził odwrót. Kiedy wrócili do rosyjskiej twierdzy w Orenburgu tuż przy granicy z dzisiejszym Kazachstanem, straty wynosiły tysiąc żołnierzy. Z dziesięciu tysięcy wielbłądów przeżyło raptem tysiąc pięćset. Nie oddano ani jednego strzału.

Na wieść o tym, że Pierowskij z wojskiem wrócił do Orenburga, chan stracił zainteresowanie i odesłał Abbotta, który nic nie wskórał poza udzieleniem władcy podstawowego kursu aktualnej geografii i polityki.

W tym samym roku do Chiwy dotarł brytyjski generał Richmond Campbell Shakespear. W przeciwieństwie do Abbotta zdołał przekonać chana, by uwolnił wszystkich czterystu szesnastu rosyjskich niewolników. Mógł ich zatem odeskortować do rosyjskiej twierdzy w Orenburgu oddalonej o wiele tygodni marszu. Kiedy generał wkrótce potem pojawił się w Sankt Petersburgu, carowi Mikołajowi I nie pozostawało nic innego, jak tylko ciepło go przyjąć jako wyzwoliciela rosyjskich niewolników. W kręgach politycznych nie było natomiast tajemnicą, że car się wściekł, gdy zniknął powód do ataku na Chiwę, a to przecież było cały czas celem Brytyjczyków.

Rodak Shakespeara, kapitan Arthur Conolly, jak się okazało, nie miał tyle szczęścia w grze, której sam nadał nazwę. Jesienią 1841 roku wybrał się do Buchary na ratunek więzionemu przez emira od trzech lat koledze Charlesowi Stoddartowi. Conolly był doświadczonym podróżnikiem i miał za sobą wiele długich ekspedycji. Chciał przekonać emira Buchary, Nasrullaha, do uwolnienia Stoddarta, a dodatkowo namówić go na zawarcie pokoju z chanatami Chiwy i Kokandu. Gdyby środkowoazjatyckie chanaty przestały ze sobą walczyć, miałyby większą szansę przeciwstawić się Rosjanom.

Stoddart podróżował mniej więcej z tą samą misją, gdy trzy lata wcześniej uwięził go kapryśny emir. Jego celem było namówienie emira na wypuszczenie z niewoli w Bucharze Rosjan, żeby car nie miał podstaw do zaatakowania miasta. Emir Nasrullah, który podobnie jak chan w Chiwie raczej nie uświadamiał sobie wielkości i potęgi Rosji, a o imperium brytyjskim miał jedynie mgliste wyobrażenie, w odpowiedzi wtrącił Stoddarta do budzącego strach miejskiego lochu.

Także Conolly'ego, ciepło przyjętego przez chanów w Chiwie i Kokandzie, czekało nieprzyjemne spotkanie z emirem Buchary. Oskarżył on kapitana

o szpiegostwo i wkrótce Conolly podzielił los Stoddarta w tym samym lochu. Rok później emir dowiedział się o masakrze brytyjskiej kolonii w Afganistanie i wyciągnął z tego wniosek, że ze strony brytyjskiej nie ma się czego bać. 17 czerwca 1842 roku Conolly'ego i Stoddarta wyciągnięto więc z lochu, zmuszono do wykopania własnych grobów, a następnie ścięto przed pałacem emira.

Po katastrofalnym wycofaniu się z Afganistanu w styczniu 1842 roku Brytyjczycy zmienili swoją strategię w Azji Środkowej. Mantrą stała się *masterly inactivity* – jak najmniej aktywności, odczekać, obserwować. Trzeba było trafu, żeby Rosjanie przyjęli taką samą postawę, chociaż z innych powodów. W owym czasie (1817–1864) mieli bardziej niż pełne ręce roboty ze zbuntowanymi góralami kaukaskimi. Bolesna porażka w wojnie krymskiej (1853–1856) również nie zachęcała do kolejnych wyskoków w sferze międzynarodowej. Poza tym w Polsce wybuchło z pełną siłą powstanie (1863–1864), a i w samej Rosji społeczne niepokoje zmusiły cara Aleksandra II do zniesienia pańszczyzny (1861), co z kolei oburzyło sporą część szlachty.

W roku 1864 po prawie półwieczu wojen Rosjanom udało się pobić Czerkiesów, ostatni zbuntowany lud kaukaski. Teraz Aleksander II ponownie zwrócił oczy na chanaty w Azji Środkowej. Import bawełny z południowych stanów USA, od którego Rosja była tak zależna, ustał całkowicie z powodu amerykańskiej wojny secesyjnej (1861–1865). A ziemia w żyznej Kotlinie Fergańskiej, podporządkowanej chanatowi kokandzkiemu, doskonale nadawała się pod uprawę tej rośliny.

Rosjanie zaczęli ostrożnie. W zimie 1864 roku podporządkowali sobie szereg niewielkich wiosek w obszarze przygranicznym z chanatem Kokandu. Chan zaprotestował i zwrócił się o pomoc do Brytyjczyków, lecz ci grzecznie odmówili jego prośbie.

Żeby zapobiec ewentualnym protestom, rosyjski minister spraw zagranicznych książę Górczakow sporządził inteligentnie sformułowane memorandum, które kazał rozesłać do europejskich mocarstw:

Pozycja Rosji w Azji Środkowej jest podobna do pozycji wszystkich państw cywilizowanych, które są skazane na kontakt z półdzikimi ludami koczowniczymi, niemającymi w społeczeństwie stałej organizacji.

W takich przypadkach państwo bardziej cywilizowane, aby chronić własne granice i swoje interesy handlowe, jest zmuszone do sprawowania pewnej formy rządów wobec swoich niespokojnych i niemile widzianych sąsiadów. Napady i rabunek muszą być zwalczane. Aby to czynić, należy skłonić plemiona przygraniczne do poddania się. Gdy się to osiągnie, owe plemiona przyswoją sobie bardziej pokojowe zwyczaje, będą natomiast w zamian narażone na ataki dalej położonych plemion, przed którymi Państwo musi je chronić. Stąd też konieczność dalekich, kosztownych i wielokrotnych wypraw przeciwko wrogom, którzy ze względu na organizację swojej społeczności niemożliwi są do pobicia. Jeżeli wojska po ukaraniu przestępców się cofną, lekcja zostanie szybko zapomniana. Odwrót jest uznawany za słabość. Cechą szczególną Azjatów jest to, że nie respektują oni niczego poza widoczną i uchwytą siłą. Moralna moc rozsądnych argumentów nie robi na nich wrażenia.

Aby zakończyć ten trwały stan niepokoju, zakłada się zbrojne wysunięte placówki wśród owych wrogich plemion, a wprowadzając taki na nie wpływ, stopniowo doprowadza się je do stanu poddaństwa. Inne natomiast i jeszcze dalej położone plemiona poza tą zewnętrzną barierą grożą z kolei tym samym niebezpieczeństwem i czynią koniecznymi podobne działania podporządkowujące. Tym samym Państwo jest zmuszone do wybrania jednego z dwojga – albo zrezygnować z niekończących się starań i pozostawić granice wiecznym niepokojom, albo zagłębiać się coraz bardziej w barbarzyńskie krainy, z każdym krokiem narażając się na wzrost trudności i kosztów.

Każdy kraj, który znalazł się w podobnej sytuacji, takież spotkał los.

Ameryki Zjednoczone Stany, Francja w Algierii, Holandia w jej koloniach, Anglia w Indiach – wszystkie one zostały zmuszone do owego marszu naprzód, w którym najtrudniej podjąć decyzję, gdzie się zatrzymać.

Gorczałow nie napisał otwartym tekstem, lecz dał do zrozumienia, że Rosjanie nie przekroczą granicy Kokandu: „Znajdujemy się w bardziej solidnym, mniej niespokojnym i lepiej zorganizowanym państwie, które z geograficzną precyzją rysuje przed nami linię, na której musimy się zatrzymać”⁴⁴.

Kiedy przy późniejszych okazjach zarzucano Gorczałowowi, że jest odpowiedzialny za ekspansję Rosjan w Azji Środkowej, która z czasem daleko wykroczyła poza określone w memorandum granice, obarczał często winą za nią żądnych przygód generałów. Oni to, twierdził, wykraczali daleko poza carskie rozkazy, działając z własnej inicjatywy. I rzeczywiście tak właśnie było, gdy rok później, w 1865 roku, Rosjanie zaanektowali Taszkient.

Miasto liczyło wówczas sto tysięcy mieszkańców i było jednym z bogatszych w Azji Środkowej, co wynikało z połączenia żyznych okolic z szeroko zakrojonym handlem z Rosją po podboju przez tę ostatnią Kazachstanu w XVIII wieku. Wiosną 1865 roku zanosło się na kolejną wojnę między chanatem kokandzkim, któremu podlegał Taszkient, a emiratem Buchary. Generał Michaił Czerniajew, komendant placówki Wiernoje (dziś Ałmaty) na granicy z Chanatem Kokandu, postanowił wykorzystać możliwość uderzenia, zanim wojska emira staną pod murami miasta. Był tylko jeden problem – siły Czerniajewa liczyły tysiąc trzystu żołnierzy. W Sankt Petersburgu uważano, że atak tak słabą liczebnie grupą byłby zbyt ryzykowny. Car wysłał więc telegram z rozkazem powstrzymania się od niego. Czerniajew musiał się domyślać, jaka będzie telegraficzna odpowiedź, bo nawet nie otworzył koperty. Liczył na przebaczenie cara, jeżeli mu się

uda.

Kiedy szczupła armia Czerniajewa stanęła pod Taszkientem, okazało się, że wcześniej przybyła jazda z Kokand i teraz oni bronili murów miasta. Jeżeli Rosjanie mieli nadzieję na rozwiązanie konfliktu z pomocą licznych, przyjaźnie nastawionych do Rosji kupców taszkenckich, to właśnie ona zgasła. Zawrócić też nie mogli, oznaczałoby to bowiem przyznanie się do porażki, co z kolei byłoby błędnym sygnałem dla ludów środkowoazjatyckich. Czerniajew nie miał więc wyboru – musiał wygrać bitwę o Taszkient.

Uderzyli w nocy 15 czerwca. Kilkuset żołnierzy wysłano na drugą stronę miasta, by upozorowali atak i odwrócili uwagę obrońców. Zadbano o to, by koła lawet armatnich pokryć filcem. W ten sposób artyleria mogła być możliwie bezgłośnie przetaczana tam, gdzie planowano właściwy atak. Tuż pod murami czerniajewcy natknęli się na kilku mężczyzn, którzy widocznie wymknęli się tajnym przejściem. Zmusili ich do pokazania tego miejsca i tak część atakujących mogła wejść do miasta po kryjomu. Reszta wspięła się na mury po drabinach. Żołnierze kokandzcy byli tak zajęci odpieraniem pozornego ataku po drugiej stronie miasta, że nie zwrócili uwagi na to, iż Rosjanie dostali się do środka, zanim było za późno.

Chociaż liczebnie w mniejszości, Rosjanie byli lepiej wyszkoleni i uzbrojeni niż miejscowi żołnierze. Już dzień później mieszkańcy Taszkientu się poddali. W śmiałym ataku, który przyniósł tak nadspodziewany sukces, padło tylko dwudziestu pięciu rosyjskich żołnierzy.

Zgodnie z oczekiwaniami honorowano Czerniajewa w ojczyźnie jak bohatera. Car nie tylko mu przebaczył niezastosowanie się do rozkazu, lecz w dodatku przyznał najwyższe odznaczenia.

Krótko potem na nowo powstałe stanowisko generał-gubernatora Turkiestanu z siedzibą w Taszkencie został wyznaczony zdolny i doświadczony generał Konstantin Pietrowicz von Kaufman. Dni swobody chanatów były więc w rzeczywistości policzone, chociaż Rosjanie

zapewniali, że nie mają zamiaru podbijać dalszych obszarów.

Wkrótce pojawił się pretekst, na który Rosjanie czekali. Emir Buchary był na tyle zadufany w sobie, że postanowił wygnać Rosjan z Turkiestanu. Droge jego armii zastąpił oddział trzech tysięcy pięciuset żołnierzy, czyli wszystkich, na których mógł sobie pozwolić generał Kaufman, i sromotnie ją pobił. Podobne zdarzenia miały miejsce kilkakrotnie. Trzy lata po aneksji Taszkientu wojska emira były wewnętrznie skłócone i w bitwie nad rzeką Zarafszan ku zdumieniu Rosjan, idących zająć Samarkandę na prośbę jej mieszkańców, poddały się po zaledwie jednym dniu. Tak doszło do tego, że 2 maja 1868 roku Samarkanda, perła Azji Środkowej, stała się terytorium rosyjskim. Krótco potem padła także Bucharą. Emir pozostał na tronie, zredukowany jednak do pozycji rosyjskiego wasala.

Rok później, w 1869 roku, Rosjanie zaczęli po kryjomu budować twierdzę nad Morzem Kaspijskim. Nauczeni na własnych błędach z lat 1717 i 1840, uznali, że do zdobycia leżącej dużo bardziej na południowy zachód od innych chanatów Chiwy potrzebują bazy strategicznie lepiej umiejscowionej niż Orenburg. Twierdza została nazwana Krasnowodsk. W 1873 roku – osiem lat po zdobyciu Taszkientu – generał Kaufman z trzynastotysięczną armią ruszył na Chiwę. Chan uznał, że wobec nowoczesnego wojska rosyjskiego nie ma szans, i 28 maja 1873 roku skapitulował. Stało się więc tak, że kiedyś tak oporny chanat chiwański został na koniec częścią Imperium Rosyjskiego niemal bez przelewu krwi.

Dwa lata później, w lecie 1875 roku, mieszkańcy Kokandu powstali przeciwko Rosji. Dało to Kaufmanowi pretekst do podporządkowania sobie ostatnich miast w żyznej Kotlinie Fergańskiej. W marcu 1876 roku chanat kokandzki formalnie przestał istnieć i został wcielony do rosyjskiego Turkiestanu.

W ciągu zaledwie dziesięciu lat Rosjanie podporządkowali sobie dwa duże chanaty i emirat w Azji Środkowej, obszar wielkości połowy USA. Tymczasem wciąż pozostawał problem dzikich plemion turkmeńskich, które

według memorandum kniazia Gorczakowa były przyczyną tego, iż Rosjanie czuli konieczność coraz dalszego wglębiania się w Azję Środkową.

W 1879 roku próbowali zaatakować turkmeńską fortecę Geok Depe, jedną z głównych baz tych plemion⁴⁵. W ostatnich latach bili się z mało zdyscyplinowanymi wojskami chanów, nie byli więc przygotowani na dzielność bojową Turkmenów, którzy rozwścieczeni przegonili Rosjan, zmuszając ich do ucieczki. Mało brakowało, a nikt z żołnierzy by nie ocalał. Bitwa pod Geok Depe była największą klęską Rosjan w Azji Środkowej od 1717 roku.

„Cechą szczególną Azjatów jest to, że nie respektują oni niczego poza widoczną i uchwytną siłą”. Niecałe dwa lata później Rosjanie uderzyli znowu. Tym razem szli po zwycięstwo. Na czele siedmiotysięcznej armii stanął generał Michaił Skobielew, nazywany Białym Generałem, jako że podczas bitwy zawsze nosił biały mundur. Poza tym był znany z brutalności i kompletnego braku skrupułów. W murach fortecy oprócz czterdziestu tysięcy cywilów znajdowało się w gotowości dziesięć tysięcy turkmeńskich wojowników. Turkmeni widocznie spodziewali się nowego ataku, bo od poprzedniego razu umocnili mury. Kule Rosjan nie miały się prostej, lecz solidnej turkmeńskiej fortecy z zaschniętej gliny. Skobielew znalazł jednak na to radę – rozkazał żołnierzom kopać tunel. Jak chce legenda, sam siedział u wejścia do tunelu i mierzył czas pracy poszczególnych zmian. Jeżeli żołnierze pracowali dobrze, odpowiedzialny za nich oficer dostawał nagrodę w postaci szampana i wódki. Jeżeli się ociągali, oficera karano chłostą w ich obecności.

Tunel był gotowy 24 stycznia, a dwutonowy ładunek materiału wybuchowego znalazł się pod murem fortecy. Od silnej eksplozji zginęło wieluset Turkmenów. Rosyjscy żołnierze wykorzystali moment zaskoczenia i zaatakowali warownię. Obrońcy wkrótce uznali, że bitwa została przegrana, i wzięli nogi za pas. Zamiast dać im uciec, Rosjanie ścigali ich konno. Przez trzy pełne dni Skobielew pozwalał swoim żołnierzom

plądrować, gwałcić i zabijać. A oni mordowali każdego, kto im się nawinał, nie oszczędzając dzieci ani starców. Łącznie życie straciło osiem tysięcy uciekinierów, w samej fortecy zginęło sześć tysięcy pięćset osób.

Rosjanie stracili w szturmie jedynie około czterystu ludzi.

Teraz został tylko Merw, sławna stolica Turkmenów. Aby wywrzeć wrażenie na przywódcach plemion turkmeńskich, zaproszono ich przedstawicieli do Sankt Petersburga na koronację cara Aleksandra III w 1881 roku. Mogli się wówczas na własne oczy przekonać, jak olbrzymie, silne, nowoczesne i bogate jest rosyjskie imperium. Kiedy rok później Rosja zaczęła militarnie naciskać na Merw, a w dodatku podporządkowała sobie jedno z sąsiednich miast, przywódcy plemienni postanowili – zapewne po czymś, co u nas się nazywa gwałtownymi dyskusjami – że najlepiej będzie poddać się władzy rosyjskiej z własnej woli. Wszyscy jeszcze mieli świeżo w pamięci masakrę Geok Depe i rozumieli, że różnica sił jest zbyt duża. Po raz kolejny stało się tak, że kiedyś tak potężne miasto wpadło w ręce Rosjan bez przelania jednej kropli krwi.

Anglicy, którzy ze stoicyzmem obserwowali, jak Rosjanie podporządkowują sobie jeden chanat po drugim, teraz się oburzyli. Merw był ważnym punktem strategicznym na drodze do Heratu i Kandaharu w Afganistanie, a stamtąd do Indii i byli już niedaleko. Carscy dyplomaci uspokajali, że Turkmeni sami chcieli stać się częścią rosyjskiego imperium. Chcieli położyć kres anarchii, by móc korzystać z dóbr cywilizacji, jak twierdzili ludzie cara. Cóż mogli na to powiedzieć Anglicy? Sami stosowali podobne wyjaśnienia, by usprawiedliwić swoją obecność w koloniach.

„Najtrudniej podjąć decyzję, gdzie się zatrzymać”. Dla uspokojenia emocji postanowiono, że reprezentanci Wielkiej Brytanii i Rosji spotkają się jesienią 1884 roku, aby ustalić granicę Imperium Rosyjskiego z Afganistanem, ważnym dla Brytyjczyków państwem buforowym od strony Indii. Tymczasem Rosjanie ciągle wymyślali kolejne wymówki, żeby odkładać konferencję, toteż nic z tego nigdy nie wyszło. Kiedy zima zelżała,

a kalendarz pokazał rok 1885, rosyjskie wojska przekroczyły rzekę Oksus i przystąpiły do oblężenia oazy Pandźdeh, leżącej na terytorium Afganistanu. Było to wyraźne złamanie wszelkich umów i Brytyjczycy przywdziali pancerze. Siły rosyjskie wołały, by nie oskarżono ich o oddanie pierwszego wystrzału, toteż nie robiły nic – jedynie cierpliwie czekały. 31 marca jeden z afgańskich żołnierzy strzelił i zranił rosyjskiego konia, jeśli wierzyć rotmistrzowi Alichanowowi-Awarskiemu, który poprowadził natarcie. Właśnie na taką okazję czekali Rosjanie. W walkach, które nastąpiły, zginęło ponad sześciuset Afgańczyków. I tak Pandźdeh także stał się rosyjski⁴⁶.

Nigdy wcześniej w trakcie Wielkiej Gry największe imperia na świecie, Rosja i Wielka Brytania, nie były tak blisko wypowiedzenia sobie wojny. Na całe szczęście afgański emir Abdur-Rahman nie przejął się zbyt rosyjską aneksją Pandźdehu i postanowił potraktować ją jako nic nieznaczący incydent graniczny.

Dopiero w 1887 roku doszło do planowanych negocjacji granicznych między Rosjanami a Brytyjczykami. Pandźdeh pozostał po stronie rosyjskiej w zamian za oddanie Afgańczykom strategicznej przełęczy. Postanowiono więc, że afgańska granica będzie przebiegać rzeką Oksus z ominięciem Pandźdehu, a Rosjanie od tej chwili będą ją respektować. Wielu po stronie brytyjskiej odnosiło się do tych ustaleń sceptycznie, jednak Rosjanie dotrzymali obietnicy. Musiało minąć prawie sto lat, żeby rosyjscy żołnierze ponownie przekroczyli rzekę Oksus.

Jedynym obszarem w Azji Środkowej, którego granice nie zostały jeszcze ustalone, był teraz rzadko zaludniony płaskowyż Pamiru. Tu, wiele tysięcy metrów nad poziomem morza, zbiegały się granice między Rosją, Chinami, brytyjskimi Indiami i Afganistanem. Brytyjczyków denerwowało, co Rosjanie mogą tu wymyślić. Z Pamiru było po prostu aż za łatwo dostać się do źle strzeżonej północnej granicy Indii. Rosjanie zaś pełną parą budowali już linie kolejowe w dawnych chanatach, co umożliwiało efektywny transport dużych oddziałów wojskowych. Żeby Pamir nie wpadł w rosyjskie ręce,

wysłano z Indii niewielką brytyjską delegację do Kaszgaru w Chinach. Miała ona namówić Chińczyków do anektowania wschodniej części płaskowyżu. Chińczyków namówić nie było trudno, lecz miejscowi rosyjscy szpiedzy wyczuli pismo nosem i zadbali o to, by Rosja ich uprzedziła.

Latem 1891 roku do Pamiru od północy wkroczyły oddziały w sile czterystu Kozaków. Według rosyjskich władz w żaden sposób nie mogło być mowy o inwazji – Kozacy mieli tylko zbadać i donieść, co Chińczycy i Afgańczycy porabiają na tych terenach. Krótco potem rozeszła się wiadomość, że dwóch brytyjskich oficerów zostało wydalonych z Pamiru, ponieważ zdaniem miejscowych żołnierzy rosyjskich znajdowali się na terytorium Rosji. Wydalenie wywołało kryzys dyplomatyczny i Rosjanie po cichu wycofali się z płaskowyżu. W Rosji trafił się nieurodzajny rok, panował głód i gospodarka była w zapaści, toteż car Aleksander III nie mógł sobie pozwolić na zatarg z Anglikami.

Rok później Rosjanie wrócili, równie po cichu, jak wyszli. W następnym roku zaczęli w górach Pamiru budować umocnienia (Pamirskij Post).

W 1895 roku delegacje obu imperiów spotkały się ponownie, żeby przedyskutować granice państw w Azji Środkowej. Brytyjczycy zrozumieli, że niewiele mogą zdziałać, żeby przeszkodzić Rosji w zaanektowaniu Pamiru – w praktyce już się to stało. Za główne zadanie przyjęli teraz uszczelnienie dziury między Pamirem a Indiami tak, żeby oba imperia bezpośrednio z sobą nie graniczyły. Zwrócili się zatem z prośbą do afgańskiego emira Abdur-Rahmana, by przyłączył południową część Korytarza Wachańskiego do terytorium Afganistanu. Korytarz ten rozciąga się jak długa kiszka, dziś między Tadżykistanem a Pakistanem. Abdur-Rahman nie dał się dwa razy prosić. Chociaż afgańska część Korytarza Wachańskiego w niektórych miejscach ma tylko kilka kilometrów szerokości, służyła teraz także jako bufor między Pamirem a Indiami, nieważne jak wąski. Ludzi mieszkających wzdłuż brzegów rzeki, którzy raptem znaleźli się po dwóch stronach granicy, nikt oczywiście o zdanie nie pytał.

Po trwającej blisko stulecie grze o władzę Imperium Rosyjskie osiągnęło kres swoich możliwości w Azji Środkowej. Ekspansja na południe się dokonała. Rosjanie z grubsza dostali to, czego chcieli, i wyszli z tej gry zwycięsko. Na początku wieku XIX Rosję oddzielało od brytyjskich Indii ponad trzy tysiące kilometrów, obecnie odległość ta miejscami wynosiła niespełna trzydzieści kilometrów.

Rosja zwróciła teraz oczy na jeszcze dalszy wschód. W miarę rozbudowy kolei transsyberyjskiej zgłosiła zainteresowanie terenami w Mongolii i założyła duży port na terytorium koreańskim. Z niepokojem rozwój tych wydarzeń obserwowali Japończycy, a w 1904 roku ruszyli do natarcia. Wojna z Japonią stała się dla Rosji katastrofą i pośrednio przyczyniła się do wybuchu rewolucji oraz upadku caratu trzynaście lat później.

Po bolesnej klęsce w wojnie z Japonią Rosjanie zawarli tajny pakt z Wielką Brytanią, w którym oba imperia podzieliły między sobą interesujące je obszary w Azji Środkowej. Postanowiono, że Tybet zostanie w sferze wpływów Chin, natomiast Afganistan przypadnie w udziale Wielkiej Brytanii. W zamian Brytyjczycy obiecali, że nie będą się wtrącać w Azji Środkowej oraz powstrzymają przed tym Afganistan. Persję podzielono na strefy wpływów między brytyjskie Indie i Rosję. 31 sierpnia 1907 roku strony podpisały porozumienie angielsko-rosyjskie.

Wielka Gra zakończyła się więc przy negocjacyjnym stole podziałem Azji Środkowej między Wielką Brytanią i Rosję. W trakcie tego długiego wyścigu nie padł między nimi ani jeden strzał. Po wybuchu pierwszej wojny światowej Brytyjczycy i Rosjanie walczyli ramię w ramię, by utrzymać Turków i Niemców z daleka od obszarów swoich wpływów w Afganistanie, Persji i na Kaukazie.

Przyjaźń między mocarstwami nie trwała jednak długo. Bolszewicy, którzy w 1917 roku przejęli władzę, potraktowali porozumienie jak bezużyteczny świstek. Podobnie jak Piotrowi Wielkiemu, Leninowi także marzyło się panowanie nad światem i zdobycie Indii. Mimo sporych ambicji granice

w Azji Środkowej pozostały za życia Lenina niezmienione. Również dziewięcioletnia inwazja Związku Radzieckiego na Afganistan ani dwunastoletnia natowska wojna z talibami nawet o milimetr nie przesunęły północnej granicy Afganistanu. Dzisiaj jest ona taka sama jak w 1895 roku i prowadzi, wyjąwszy okolice Pandzdehu, wciąż po tej samej rzece. Pandzdeh, który w swoim czasie nieomal wywołał wielką wojnę, nazywa się dziś Serhetabat i położony jest w Turkmenistanie. Był wysuniętym najdalej na południe punktem w Związku Radzieckim.

Szare wody rzeki są chłodne. Cofam stopy. Po drugiej stronie strzelają ku niebu strome góry. Kilka nielicznych, prostych chat rozplywa się prawie w brązowym piaszczystym podłożu. Paru mężczyzn w jasnych tunikach wlecze się cierpliwie za wołem, kobieta w czerwonej tunice schyla się nad splechietkiem pola. Wąska droga, zapewne zupełnie nowa, wciną się w zbocze góry. Podczas jazdy z Chorogu widziałam po afgańskiej stronie tylko jeden jedyny samochód – białego džipa z emblematem międzynarodowej organizacji pomocowej.

Kyszlak po drugiej stronie nazywa się tak samo jak tadżycki – Iszkoszim. Oba rozdzielają rzeka i całe stulecie. Na drugą stronę wiedzie most, a raz w tygodniu odbywa się wspólny targ. Poza tym nie ma już żadnych kontaktów między oboma ludami, które kiedyś były jednym.

Wstaję znad rzeki i depcząc piknikowe resztki tudzież rozbite butelki po wódce, kieruję się ku prostym, uporządkowanym uliczkom Iszkoszimu. Na głównej ulicy widać zaskakująco wiele budynków użyteczności publicznej, jeśli się weźmie pod uwagę, że w całej miejscowości mieszka tylko dwa tysiące ludzi. Jest tu ratusz, dom kultury i ośrodek zdrowia, a także różne budynki administracji. Przypuszczalnie władzom radzieckim szczególnie zależało na zbudowaniu socjalistycznego rajku właśnie tu, na skraju imperium, gdzie kontrasty są najbardziej widoczne. Przed niewielkim ratuszem ostało się popiersie Lenina. Zgarbiony starzec zauważa, że stanęłam

i przyglądam się pomnikowi. Podchodzi do mnie.

– To Włodzimierz Iljicz Lenin – objaśnia bezbłędnie po rosyjsku. – Nasz *ukochany* Lenin – dodaje uroczyście, gładząc łysinę wodza komunistów.

Naprzeciwno Lenina ktoś – jakby dla równowagi – powiesił gigantyczny plakat z prezydentem Tadżykistanu, Emomalim Rahmonem.

W drodze powrotnej do gospody przechodzę obok szkoły. Na boisku uczniowie mają gimnastykę. Energiczny nauczyciel pilnuje, żeby chłopcy odpowiednio często podnosili ręce do góry. Chłopcy są ubrani w białe koszulki i czarne spodenki, natomiast dziewczynki mają na sobie białe bluzeczki i czarne spódniczki. Ten zwyczaj przetrwał w całym dawnym Związku Radzieckim.

Po drugiej stronie brakuje szkół i nauczycieli, a wiele dzieci zagania się do pasienia kóz zamiast do nauki w szkole. Korytarz Wachański był zazwyczaj spokojną częścią Afganistanu, nietkniętą wojnami i nieruszaną przez talibów, ale ci pojawili się ostatnio także tu. W Tadżykistanie rośnie obawa, co będzie, gdy Amerykanie i pozostałe wojska natowskie się wycofają. Czy talibowie spróbują przekroczyć rzekę? Kto ich wtedy zatrzyma?

Kraina u stóp słońca

Wysoko na Pogórzu Pamirskim, w niezwykłym krajobrazie nagich, wygładzonych skalistych zboczy i małych jezior z najbardziej błękitną wodą, jaką można sobie wyobrazić, leży kyszałak Bułun-Kul. Ziemię barwią tu domieszki wszelakich metali – niektóre zbocza są zielone, inne niebieskawe, gdzieś tam gruntu ma kolor rdzy albo wpada w złocisty. Czterdzieści sześć rodzin, czterysta siedem dusz, wczepia się pazurami w ten księżycowy krajobraz u kresu drogi – bez zasięgu sieci komórkowych i internetu, oddalone o dziesiątki kilometrów od najbliższych sąsiadów.

Zakwaterowano mnie u dyrektorki szkoły, która prowadzi własną gospodę. Mimo przenikliwego wiatru i podszytego biedą otoczenia całe Bułun-Kul było jednym wielkim uśmiechem. Na skraju wioski trwały przygotowania do wesela. W prowizorycznej kuchni na świeżym powietrzu podpici mężczyźni siekali mięso i cebulę z taką wprawą, że zasłużyli na olbrzymi złoty medal.

– Bułun-Kul jest najzimniejszym miejscem w całym Tadżykistanie – chwalił się mąż dyrektorki. – Rekord wynosi pięćdziesiąt trzy stopnie mrozu.

– Jak ludzie wytrzymują tu zimą?

– Jesteśmy przyzwyczajeni. Po prostu zakładamy kurtki.

Pamir stanowi jedną trzecią terytorium Tadżykistanu, lecz mieszka tu zaledwie kilkaset tysięcy ludzi. Nietrudno to zrozumieć. Klimat Pamiru należy do najsurowszych na świecie. Zimy są tu długie, mroźne i śnieżne. Ziemia jałowa, teren nieurodzajny. Większość płaskowyżu leży na wysokości od trzech do pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, a otacza go szereg najwyższych gór na świecie. Wielu podróżnych w rozrzedzonym powietrzu dostaje choroby wysokościowej, zwłaszcza jeśli nie rozkładają wędrowki wzwyż na etapy. Nie bez przyczyny Pamir nazywa się dachem świata. Marco Polo, który podobno przemierzył płaskowyż w XIII wieku w drodze do Chin, opisywał tę podróż konno jako męczące przedsięwzięcie:

[Dwanaście dni wiedzie droga przez tę wyżynę zwaną Pamir. (...)] Po upływie owych dni dwunastu nie ma tam po drodze przez ten cały czas ani osiedli, ani gospód, lecz podróżni muszą żywność zabierać ze sobą. Z powodu wysokości i zimna nie dojrzeć tam żadnego ptaka lecącego. I powiadam wam, że nawet ogień w tym wielkim chłodzie nie jest ani tak jasny, ani tej barwy co gdzie indziej, i potrawy nie gotują się tak dobrze⁴⁷.

Skoro zaś ani krowy, ani kozy, ani też zwykłe owce nie znoszą tak surowego klimatu, większość tutejszych chłopów żyje z hodowli jaków. Odporna dzika owca, owca pamińska, inaczej owca Marca Polo, dopasowała się do ubogich warunków, poza nią nie ma tu zbyt wielu gatunków dziko żyjących. Owcę opisał jako pierwszy Marco Polo, dlatego też została nazwana jego imieniem:

[Żyje tam wielka mnogość dzikich owiec niezwyklej wielkości, gdyż] rogi mają długie na sześć piędzi, a co najmniej na trzy lub cztery. Z rogów tych wyrabiają pasterze łyżki, wielkie czarki, z których jedzą. Ogradzają też nimi miejsca, w których trzymają bydłeta [...] ⁴⁸.

Dziś owce Marca Polo są niemal zagrożone wyginięciem. Turyści, którzy mimo to chcą na nie zapolować, muszą wyłożyć nie mniej niż dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za jedną wyprawę.

Co właściwie znaczy słowo *pamir*, nie wie nikt. Nazwa pojawiła się w chińskich opisach podróży już w VII wieku, a następnie w relacji Marca Polo w XIII wieku. Jedna z teorii głosi, że pochodzi ona od staroperskiego *bom-ir*, „kraina Ariów”. Wielu dziewiętnastowiecznych podróżników z Zachodu przychyliło się do tej wykładni, twierdząc, że Pamir musiał być kolebką rasy aryjskiej, skoro tak wielu jego mieszkańców, będąc wysokimi, niebieskookimi blondynami, nie przypomina pozostałych Azjatów. Inna teoria powiada, że nazwa wzięła się od określenia *pa-i-mir*, „kraina u stóp

górkich szczytów”. Jeszcze inna zaś wywodzi ją od tureckiego słowa oznaczającego pustynię lub płaskowyż. Najbardziej poetycka jest teoria odwołująca się do staroperskiego *pa-i-mehr*, „krajna u stóp słońca”.

Obejrzenie całego Bułun-Kul nie zajęło dużo czasu. Wysoki, nieżonaty szwagier dyrektorki pokazał mi szkołę. Zbudowano ją w latach pięćdziesiątych, podobnie jak większość domów w kyszłaku. Choć Bułun-Kul jest jedną z najbardziej odległych osad w Pamirze, który z kolei był jednym z najbardziej odległych regionów w Związku Radzieckim, komuniści także tu energicznie zaznaczyli swoją obecność. Poza szkołą zbudowali również stację meteorologiczną, gdzie zarejestrowano najniższą temperaturę w Tadżykistanie. Jak wszędzie, tak i tu mieszkańcy zostali zorganizowani w kołchoz, a z radzieckich fabryk traktorów nadeszły nowoczesne narzędzia rolnicze, żeby rolnictwo mogło być jeszcze bardziej efektywne. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, wszyscy Rosjanie wyjechali, a razem z nimi zniknęła wiedza techniczna i dostęp do maszyn rolniczych i części zamiennych. Pozostała miejscowa ludność, która zapomniała już, jak uprawiano ziemię starymi metodami. Wszystkiego trzeba się było uczyć od nowa.

Klasy były małe, ledwie cztery, pięć ławek w każdym pomieszczeniu. Ściany w korytarzu zawieszono plakatami różnych organizacji pomocowych.

– Z ONZ-owskiego programu żywnościowego dzieci dostają w szkole obiad – objaśniał szwagier. – Dają nam też mąkę, olej i ziemniaki. Ponieważ jest tu tak wysoko, bardzo trudno cokolwiek rośnie. Nasze jaki dają mięso, jogurt, masło, mleko i odzież. Wszystko inne musimy dostać z zewnątrz.

Zabrał mnie do małej cieplarni, gdzie z długich rzędów doniczek wystawały niewielkie krzaczki pomidorów.

– Inna organizacja zbudowała nam tę cieplarnię, tak więc mamy teraz pomidory, a nawet ogórki. – Zmarszczył czoło i zastanawiał się przez dłuższą chwilę. – To chyba była fundacja Agi Chana, już nie bardzo pamiętam.

– Aga Chan? – Spojrzałam na niego pytająco.

– Tak, to on jest naszym duchowym przywódcą. My tu w Pamirze nie jesteśmy sunnitami jak Tadżycy, lecz izmaelitami, odłamem szyizmu. Aga Chan, nasz przywódca, mieszka w Szwajcarii i ma mnóstwo pieniędzy. Jego fundacja na wszelkie sposoby pomagała ludziom w dolinie Wachanu i nam tu w Pamirze, dając pieniądze, budując szkoły, szpitale, drogi... Bez ich pomocy nie można by było tutaj żyć. Państwo się przecież nie przejmuje.



Dolina Wachanu: po drugiej stronie rzeki leży Afganistan.

- Czy izmaelici praktykują islam w wersji surowej?
- W ogóle nie! – Roześmiał się głośno i otworzył usta tak szeroko, że musiał je zasłonić ręką. – Inni muzułmanie modlą się pięć razy dziennie, my

tylko raz albo dwa. I starczy. Nie pościmy podczas ramadanu, ponieważ nasz klimat jest za ostry. Niedobrze jest chodzić po górach cały dzień w upale bez jedzenia i bez picia, prawda? Poza tym Aga Chan bardzo przejmuje się wykształceniem. To klucz, powiada. Zwłaszcza dziewczynki trzeba kształcić, żeby mogły zdobyć pracę, a nie tylko siedzieć w domu z dziećmi. My, izmaelici, jesteśmy nowoczesnymi muzułmanami!

Dopiero wieczorem, kiedy jaki zostały wydojone i zamknięte w oborze, jogurt nastawiony do kwaszenia, a masło ubite, dyrektorka znalazła czas na rozmowę ze mną. Uśmiechała się cały czas, a ten uśmiech rozjaśniał pokój wokół niej. W przeciwieństwie do większości ludzi, których napotkałam w kyszłaku, wyglądała na młodszą, niż była. Miała łagodny i miękki głos, prawie szeptała, chociaż właściwie nie mówiła cicho. Szwagier wspominał, że uczniowie błagają, żeby nie kończyła lekcji, choć dawno już powinni zmienić nauczyciela i przedmiot. Rzadko kiedy im odmawia.

– Źle się czuję w mieście – tłumaczyła. – Moje dzieci też. Po tygodniu w mieście proszą, żeby wrócić do domu. Brakuje im świeżego powietrza, przyrody, domowego, zawsze przygotowywanego na bieżąco jedzenia. Wszystko tutaj robimy sami, niczego nie kupujemy. Ludzie żyją z jaków i z ryb w jeziorach. Nie ma tu dużo pracy, ale wielu naszych chłopaków wyjeżdża na kilka lat do Rosji, żeby odłożyć trochę pieniędzy. A potem wracają. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Czy to nie jest trudne dla żon i dzieci, które tu zostają same? – spytałam.

Dyrektorka była najbardziej pozytywnie nastawioną osobą, jaką spotkałam w całej podróży, i zauważyłam, że trudno mi uwierzyć w to, co mówi. Wszędzie, gdziekolwiek pojechałam, wysłuchiwałam skarg na liczne problemy życia codziennego albo, jak w Turkmenistanie, wymuszonych pochwał doskonałości dyktatury. Życie na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, dziesiątki kilometrów od najbliższych sąsiadów, na ziemi, gdzie nic nie chce rosnąć, zimą wszystko zasypuje śnieg, a rtęć w termometrze spada do minus pięćdziesięciu stopni, nie mogło być chyba

aż taką idyllą?

– A gdzież tam, nie jest ani trochę trudne – odparła z uśmiechem. – Tu wszyscy sobie pomagają. Mój mąż na przykład ubiegłej zimy wyjechał na pięć miesięcy. Wszyscy sąsiedzi pomagali mi wtedy w domowych zajęciach, przy obsłudze gości i temu podobne.

– Innymi słowy, życie jak prawdziwi komuniści?

Skinęła głową i roześmiała się.

– Pracuję bez przerwy – dodała. – Mam kwadrans, to siadam i szyję albo robię na drutach. Odpoczywam tylko, kiedy śpię. W niedziele robię pranie. Na telewizję nigdy nie mam czasu, ale to nie szkodzi. Lubię pracować.

Pochodzi z Pamiru, z kyszlaku położonego bardziej na zachód, a przeniosła się do Bułun-Kul przed siedemnastoma laty, kiedy wyszła za mąż.

– Męża znaleźli mi rodzice. Tutaj tak się to robi.

– I jest pani z niego zadowolona?

– O tak!

Uśmiechnęła się szeroko. Znowu zrobiło się jaśniej wokoło.

– Ale nawet gdybym zupełnie nie była zadowolona, i tak bym z nim została. Dla nas, izmaelitów, pierwsze małżeństwo jest tym jedynym prawdziwym. Skoro pierwsze nie funkcjonuje, drugie i trzecie tym bardziej nie będą.

Potem poszła ze mną na uroczystość weselną na skraju wsi. W ciasnym pomieszczeniu było gęsto od ludzi, a muzyka grała na cały regulator. Dzieci zakrywały uszy i płakały. Przysiadł się do mnie jakiś młody mężczyzna w skórzanej kurtce. Powiedział, że właśnie się rozwiódł i poszukuje żony.

Nikt w Bułun-Kul nie przejmował się prezydenckim regulaminem wyprawiania wesel i zabawa trwała do świtu, ale nie zostałyśmy tak długo. Muzyka odbijała się echem w uszach, gdy spacerkiem pokonywałyśmy krótką drogę przez kyszlak do domu dyrektorki. Noc była bezksiężycowa i tak ciemna, że prawie nie widziałyśmy najbliższej chałupy. Nagle stanęła.

– Patrz! – Zadarła głowę. – Czy to nie piękne?

Zerknęłam na niebo. Nigdy nie widziałam tylu gwiazd co tu, na dachu świata. Rozsypały się po czarnym nocnym niebie jak lśniące ziarnka piasku.

* * *

Po długiej zimie w Pamirskim Poście, pierwszej wojskowej placówce Rosjan w Pamirze, kapitan Serebrennikow miał dość. W lecie 1894 roku ubrał swoją *tristesse* w słowa:

[...] wszyscy jesteśmy duchowo zmęczeni tym wielkim, monotonnym Pamirem, który byłby idealną krainą dla pesymisty, jeśliby ten kiedykolwiek takiej potrzebował. W gruncie rzeczy nie wyobrażam sobie lepszej ilustracji szczytu melancholii niż pesymista czytający Schopenhauera w Pamirze. To kraj bez nadziei⁴⁹.

Rosyjscy żołnierze pozostali tu do roku 2005 – długo po tym, jak Tadżykistan stał się samodzielnym państwem – aby pomagać w pilnowaniu granicy z Chinami. Kiedy po ponadstuletniej bytności się wycofali, zniknęła też ostatnia nadzieja na przyszłość i stałe, comiesięczne wynagrodzenia dla mieszkańców Murgobu, jak dziś nazywa się dawny Pamirskij Post. Murgob był i pozostał dziurą. Trudno o większy kontrast z Bułun-Kulem, oddalonym stąd o zaledwie kilka godzin jazdy. Murgob leży pośrodku Płaskowyżu Pamirskiego na wysokości trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza, podtrzymywany przy życiu przez siedem do ośmiu tysięcy zbiedniałych, chorych i stale pijanych mieszkańców, głównie dlatego, że nie mają dokąd się przenieść. Ci, którzy mogli, dawno już stąd wyjechali – do Duszanbe, do Kirgistanu, do Rosji... Wszędzie lepiej niż tu.

Domy są tu niskie i biedne. Tylko nielicznym chciało się otynkować betonowe ściany na biało albo na jakiś kolor. Długi rząd po spartańsku

urządzonych kontenerów służy jako bazar, ulica handlowa i pijackie meliny. Nawet nieliczne w mieście kawiarnie mieszczą się w kontenerach, oferując wąskie ławki do siedzenia, odętą obsługę i puste butelki. W miarę jak zapada wieczór, ulice wypełniają sinawe spaliny z licznych generatorów. Dym miesza się z kurzem, który wzniecają przejeżdżające samochody i który długo nie opada. Kobiety, by chronić się przed trującym powietrzem, osłaniają twarze brzegiem chusty. Otulone w kolorową bawełnę, jedynie z wąskim podłużnym otworem na oczy, przypominają swym wyglądem wojowników ninja. Chociaż od granicy dzieli nas jeszcze kilka godzin jazdy, w pewnym sensie jest się tu w zasadzie już w Kirgistanie. Rysy stałych mieszkańców różnią się od miękkich, perskich twarzy Tadżyków. Ludzie tu mają szerokie, grube kości policzkowe i małe, mongolskie oczy. Tutejsi są też dużo niżsi od wyrosniętych Pamirców. To Kirgizi.

Przez gęstą, grubą warstwę kurzu i dymu nie da się dostrzec gwieździstego nieba. Ciemność zapada bardzo szybko, bo ulice są pozbawione oświetlenia. W całym Murgobie wieczorami nie ma prądu, stąd się bierze dym z generatorów i przenikający miasto smród benzyny i diesla. Każdy sam musi zadbać o siebie. Słaby prąd z generatorów nie wystarcza do naładowania komórek ani do korzystania z innych urządzeń elektrycznych, daje jednak akurat tyle mocy, by lekko rozjarzyć gołe żarówki w domach.

– Jak tylko będę mógł, przeniosę się do Kirgistanu – mamrocze Ibrahim, właściciel skromnej gospody, w której mieszkam. – Tu nie ma przyszłości.



Jedynym światelkiem w Murgobie były uśmiechnięte dzieci.

Bratanica Ibrahima tego wieczoru wychodzi za mąż i zanim się spostrzegam, goszczę na kolejnym weselu. Kierują mnie do podłużnego pomieszczenia. Pod ścianami siedzi ciasno mnóstwo ludzi. Kobiety, wszystkie w chustach – po jednej stronie, a mężczyźni, wszyscy w kałpakach – po drugiej. Na wielkiej płachcie pośrodku rozłożono niewyobrażalne ilości jedzenia – setki małych chlebków, miseczki z różnymi sałatkami, konfitury, owoce i soki. Po chwili gospodarze wnoszą pilaw na wielkich półmiskach. Potem kolej na zupę. Po zupie przynoszą kolejne półmiski z baranim tłuszczem. Ludzie częstują się w milczeniu i w milczeniu się posilają. Gdy półmiski z tłuszczem są puste, zaczynają krążyć wkoło nowe, podłużne,

wypełnione po brzegi baraniną. Ludzie nakładają sobie góry mięsa. Następna runda przynosi domowej roboty masło. Goście znowu sobie nie żałują i obok mięsa rośnie pokaźna górnica masła. Młoda kobieta obok nie pozwala mi podać masła dalej, póki ja także nie zaopatrzę się w wielki kawałek.

– Wydaje mi się, że nie dam rady zjeść tyle masła – szepczę.

Sąsiadka tylko się śmieje. Jest jedyną Tadżyjką w całej sali i jedyną kobietą bez chusty. Szeptem opowiada mi, że jest najlepszą przyjaciółką panny młodej. Jeszcze nie wyszła za mąż, chociaż ma trzydzieści lat. Niedługo jednak przyjdzie kolej i na nią. Ślub będzie w listopadzie. Składam jej gratulacje, ale tylko potrząsa ze smutkiem głową.

– Jestem dyplomowaną pielęgniarką, a on nie ma wykształcenia – szepcze.

– Po ślubie muszę się przeprowadzić do Iszkoszimu, do brata męża.

– Dlaczego nie może pani zamieszkać z mężem?

– Bo jak tylko zajdę w ciążę, wróci do Rosji.

– Ale chyba będzie często przyjeżdżał w odwiedziny?

Znowu potrząsa głową.

– Przynajmniej będzie pani miała swobodę – pocieszam. – To znaczy, skoro mąż będzie w Rosji.

Tym razem gest zaprzeczenia jest szybki i zdecydowany.

– Jego brat będzie mnie pilnował. Chyba mi będzie ciężko i będę się czuła samotna. Nawet moim rodzicom się nie podoba. Mówią, że za dużo pije. Ale ma dobry charakter. Jest dobrym człowiekiem. Tu niełatwo jest znaleźć dobrego męża.

– Ale dlaczego chce pani wyjść za kogoś, kto cały czas przebywa w Rosji?

– Bo innych tu nie ma.

– A nie może pani też pojechać do Rosji?

– Nie, przecież wszyscy nie możemy wyjechać. Ktoś tu musi zostać.

Młody chłopak wchodzi do sali ze stosem reklamówek. W zdumiewająco krótkim czasie góry mięsa i masła znikają w torbach. Łąduje tam również jedzenie z płachty, która przed chwilą zastawiona była po brzegi. Potem

goście wstają i opuszczają salę z reklamówką w każdej ręce.

Następnego dnia wczesnym przedpołudniem powtarza się ten sam rytuał z tą samą ilością jedzenia i tymi samymi potrawami, za to w innym domu. Tym razem podejmowani są sąsiedzi. Kiedy po południu wyruszam w dalszą drogę, przyjęcia wcale się nie kończą. Należy odpowiednią ucztą uhonorować rodzinę pana młodego, jego kolegów ze studiów i przyjaciół. W niektórych kirgiskich rodzinach ucztowanie trwa w ten sposób tygodniami, tylko goście się zmieniają – przyjaciele, znajomi, dawni i nowi sąsiedzi, bliscy i dalsi krewni. Wszystkich należy przyjąć.



Murgob w Pamirze. Rodzina zebrana na modły przed zabiciem weselnego barana.

Pełna chleba, konfitur, pilawu i zielonej herbaty z trudem wdrapuję się na miejsce pasażera i ciężko opadam na fotel. Kurz za dziupem wlecze się jak ogon, gdy Ergasz skręca ponownie na M41, Trakt Pamirski, kierując się ku kirgiskiej granicy. Na wierzchu mojego plecaka leżą cztery plastikowe torby wypełnione po brzegi wczorajszą baraniną i świeżo ubitym masłem.

Wspólnie zwalczmy korupcję!

W płaski, zakurzony krajobraz wcina się płot. Słupki mają po dwa metry wysokości i są od siebie oddalone dokładnie o dwa metry. Między nimi na wszystkie strony rozciągnięto drut kolczasty w tak przemyślny wzór, że nawet mysz się nie prześlizgnie. Ta pedantycznie skonstruowana siatka z drutu kolczastego ciągnie się kilometrami. Cóż za olbrzymią pracą musiano włożyć! Słupek po słupku, metr za metrem na wysokości czterech tysięcy metrów, w wiejącym w plecy ostrym wietrze z Pamiru i z unoszonym z pustyni pyłem w oczach. Najbardziej upokarzające jest to, że zasieki postawiono dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy podjęto decyzję, że powstanie pięćdziesięciokilometrowa strefa bezpieczeństwa między Związkiem Radzieckim a granicą z Chinami. Na kilka lat przed upadkiem ZSRR władze radzieckie dalej budowały na wieki wieków, namiętnie oddane idei zabezpieczenia i uszczelnienia każdego metra granic – nie tyle po to, żeby utrudnić dostęp z zewnątrz, ile po to, by zatrzymać własnych ludzi.

Widok tej precyzyjnie wykonanej granicy bezpieczeństwa przywołuje na myśl jeden z najbardziej fascynujących fragmentów wielkiego dzieła korespondenta zagranicznego z Polski, Ryszarda Kapuścińskiego – *Imperium*:

Powierzchnia Imperium wynosi bowiem ponad 22 miliony kilometrów kwadratowych, a jego lądowe granice są dłuższe niż równik i ciągną się przez 42 tysiące kilometrów.

Zważywszy, że gdzie tylko jest to technicznie możliwe, granice te były i są grodzone gęstymi płotami z drutu kolczastego [...] i że drut ten z powodu fatalnego klimatu szybko niszczy się, więc trzeba go często wymieniać setkami, ba, tysiącami kilometrów, można przyjąć, że znaczna część radzieckiej metalurgii to przemysł wytwarzający drut kolczasty. [...] Jeżeli to wszystko pomnożyć przez lata istnienia władzy sowieckiej, łatwo będzie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w sklepach

Smoleńska czy Omska nie można kupić ani motyki, ani młotka, nie mówiąc już o nożu czy łyżeczce: na wytworzenie tych rzeczy nie było surowca, surowiec zużyto do produkcji drutu kolczastego. Nie koniec na tym! Przecież tony tego drutu trzeba było dowieźć statkami, koleją, śmigłowcami, wielbłędami, psim zaprzęgiem do najdalszych, najbardziej niedostępnych zakątków Imperium, a następnie to wszystko wyładować, rozwinąć, pociąć, umocować. [...] Łatwo też wyobrazić sobie telefony z Moskwy do swoich podwładnych w terenie, telefony nacechowane stałą i czujną troską wyrażającą się pytaniem: – Czy aby tam wszyscy jesteście rzeczywiście dobrze zadrutowani? I oto ludzie, zamiast budować sobie domy i szpitale, zamiast naprawiać ciągle psującą się kanalizację i elektryczność, latami zajęci byli (na szczęście – nie wszyscy) drutowaniem wewnętrznym i zewnętrznym, lokalnym i ogólnopaństwowym swojego Imperium⁵⁰.

Teraz już nie ma telefonów z Moskwy. Zasieki niszczej. Gdzieniegdzie drut poprzecinano, gdzie indziej wyłamano bramy i stoją otwarte na oścież. Władze tadżyckie widocznie zrezygnowały zarówno z niedopuszczania obcych, jak i z niewypuszczenia swoich. Może dawniej, gdy rozkazy, słupki i drut kolczasty przysyłano z Moskwy, życie było w pewnym sensie łatwiejsze. Teraz zarobki emigrantów za pracę na czarno, też zresztą przysyłane z Moskwy, utrzymują kraj jako tako na powierzchni.

Tadżyckie przejście na granicy z Kirgistanem było tak niepozorne, że początkowo wzięłam je za jeszcze jeden punkt kontrolny. Zaspany pies poszukujący narkotyków bez zainteresowania obwąchał koła. Pogranicznicy siedzieli w baraczkach, który mieścił zaledwie dwa zestawy piętrowych łóżek i stół. Trzech żołnierzy grało w karty. Kiedy mnie zauważyli, obudzili czwartego, który zsunął się z górnego łóżka, ubrał i wyciągnął dwa cienkie zeszyty. Zostałam poproszona o zajęcie miejsca na dolnym łóżku –

w pomieszczeniu nie było wolnych krzeseł – i dostałam letnią herbatę, a młody żołnierz spisywał tymczasem starannym pismem informacje z mojego paszportu.

– Jak długo musicie tu być? – spytałam.

– Dwa lata – odparł ponuro.

Ledwie przeszliśmy na drugą stronę granicy, krajobraz się zmienił. Ziemia wokół nas zrobiła się bardziej zielona, zbocza gór bardziej rude. Szczyty pokrywał lśniący śnieg.

Kirgiskie przejście graniczne było daleko ładniejsze. Za szlabanem stało pięć czy sześć nowiuteńkich murowanych budynków. Kierowca Ergasz trąbił niecierpliwie, nikt jednak nie wychodził, żeby podnieść szlaban. Żywej duszy w polu widzenia. Dopiero kiedy wyszłam z samochodu i pokonałam granicę pieszo, sprawy przyspieszyły. Na dwór wytoczył się tłusty celnik i zażądał paszportu i dowodu rejestracyjnego. Ergasz włożył do paszportu kirgiską dwusetkę, czyli około dwudziestu pięciu koron, i podał tłuściochowi. Ten wyjął banknot i zwrócił paszport.



Przy granicy kirgiskiej. Punkt kulminacyjny podróży.

– Jeżdżę tędy co tydzień, więc muszę mieć z nimi dobre układy – wyjaśnił Ergasz po angielsku, żeby go celnik nie zrozumiał.

Skierowano nas do kontroli paszportowej w osobnym budynku. Na drzwiach wejściowych wisiała tabliczka z napisem: „Wspólnie zwalczmy korupcję i pracujmy dla lepszego Kirgistanu!”. Urzędnik siedział za dużym, staromodnym komputerem. Podaliśmy mu nasze paszporty, które począł z namysłem kartkować. Kiedy w paszporcie Ergasza dostrzegł banknot, raptem zaczęło mu się spieszyć. Paszport znalazł się na kolanach, zasłonięty biurkiem, poza zasięgiem wzroku. Z zadyszką w głosie zaproponował, żebym poczekała w samochodzie, a on tymczasem spíše informacje. To potrwa

pięć minut.

– Zdenerwował się, bo turyści nie powinni być świadkami przekupstwa – wytłumaczył Ergasz po powrocie pięć minut później. – Zapewniłem go, że pani nic nie widziała.

– Wziął pieniądze?

– Oczywiście!

W sumie trzy banknoty zniknęły w trzech różnych kieszeniach, zanim mogliśmy się przetoczyć pod uniesionym szlabanem do Kirgistanu, jedyne jako tako wolnego i demokratycznego kraju w Azji Środkowej. Dwukrotnie ludzie tu się zbuntowali i obalili urzędującego prezydenta. Jest to też jedyny kraj, gdzie od turystów z Zachodu nie wymaga się wizy.

Jakoś po tej stronie granicy było zdecydowanie inaczej. Różnicę dostrzegało się od pierwszej chwili, ale dopiero po kilku dniach udało mi się stwierdzić, na czym ona polega. Czego brakuje.

Kirgistan

Powierzchnia 199 951 km²

Liczba ludności 5 604 212 (szacunkowo w 2014 roku)

Stolica Biszkek

Prezydent Ałmazbek Atambajew (od 2011 roku)



Chwile wolności

Kirgistan jest jedynym z poradzieckich krajów Azji Środkowej, którego urzędujący prezydent dobrowolnie ustąpił. Państwo to szczyli się także środkowoazjatyckim rekordem, jeśli chodzi o liczbę dotychczasowych prezydentów, choć ich lista i tak nie jest szczególnie imponująca. W Kazachstanie oraz Uzbekistanie u steru stoją dalej ci sami przywódcy, których swego czasu namaścił Gorbaczow, co prawda bardziej siwi i z liczniejszymi zmarszczkami na twarzy, niemniej wciąż mający poparcie przytłaczającej większości narodu, jeśli wierzyć rezultatom wyborów.

Mały sąsiad Kazachstanu wyróżnia się spośród otaczających go krajów na wszystkich mapach pokazujących poziom wolności i demokracji. Kirgistan jest najbardziej wolnym i demokratycznym krajem w Azji Środkowej. Tutejsza prasa cieszy się dużą niezależnością, a jeśli chodzi o swobody gospodarcze, ten biedny górski kraik zajmuje miejsce w światowej pierwszej setce, znacznie wyprzedzając swoich autokratycznych sąsiadów. Jest to poza tym jedyne państwo w Azji Środkowej, w którym wprowadzono parlamentaryzm, ograniczywszy tym samym władzę prezydenta. W pozostałych Stanach bez wyjątku panuje absolutyzm, najwyżej oświecony.

Czy da się dostrzec tę wolność? Czy oddycha się tu innym powietrzem? Nie, wolność nie jest namacalna, nie pcha się specjalnie na afisz, po prostu jest. Zwraca uwagę nie wolność sama w sobie, tylko nieobecność strachu. Ludzie nie ściszą głosu, kiedy krytykują władze. Nie rozglądają się uważnie wokół siebie, zanim rzucą luźną uwagę o rządzie. Tutaj ludzie wyśmiewają polityków, otwarcie ich ośmieszają, nawet prezydenta. Wydaje się, że nic nie jest tabu. Pierwszy Kirgiz, którego spotykam, Ubraim, nawet się chwali, jak bardzo jest skorumpowany. Ze śmiechem opowiada, że pobiera zasiłek dla bezrobotnych, chociaż jest właścicielem dwóch sklepów spożywczych. Pomysł nie był jego, zastrzega Ubraim, zaproponował mu to konsultant w urzędzie pracy. Porozumieli się, że Ubraim będzie dostawał zasiłek przez

dziesięć miesięcy w roku, a konsultant zatrzyma dla siebie wypłaty za pozostałe dwa miesiące jako gratyfikację. Obaj zyskują. Co prawda, zasiłek dla bezrobotnych to nie majątek, równowartość około czterystu koron norweskich miesięcznie, ale na szczęście Ubraim nie jest od niego zależny, ma z czego żyć. Korupcja to zresztą jedyna kategoria, w której Kirgistan w zestawieniach ląduje niżej niż wielu jego sąsiadów – zajmuje sto pięćdziesiąte miejsce na sto siedemdziesiąt siedem, za Kazachstanem i Rosją, ale wciąż przed Turkmenistanem i Uzbekistanem, które w większości takich rankingów są nie do pokonania.

Stolica, Biszkek, ma w dalszym ciągu charakter rosyjski. Nie uświadczysz tu charakterystycznych dla Kirgizji białych filcowych kałpaków na głowach mężczyzn, nieliczne kobiety noszą chusty. Większość mieszkańców chodzi w nowoczesnych ubraniach – dżinsach, adidasach i ponadczasowych skórzanych kurtkach. Na ulicach słychać rosyjski prawie tak samo często jak kirgiski. W latach pięćdziesiątych Kirgistan znajdował się w tej samej sytuacji co Kazachstan – Kirgizi stanowili jedynie czterdzieści procent ludności i na własnym terenie byli mniejszością. Pierwsi ukraińscy i rosyjscy osadnicy napłynęli na kirgiskie stepy pod koniec XIX wieku, dlatego też w czasach radzieckich było w kraju prawie tylu Rosjan i Ukraińców, ilu Kirgizów. Po rozpadzie Związku Radzieckiego wielu Rosjan i Ukraińców wróciło na zachód, toteż Kirgizi stanowią dziś ponad siedemdziesiąt procent ludności. Obecnie w Kirgistanie mieszka mniej niż trzysta siedemdziesiąt tysięcy Rosjan, większość z nich w Biszkeku.

Biszkek jest najbardziej zieloną stolicą w Azji Środkowej. Woda z topniejącego śniegu spływająca z położonych wokół gór nawadnia liczne parki. Drzewa nadają miastu przyjazny, prawie wiejski charakter. Jest to także stolica, która uległa najmniejszym zmianom. Wędrówka po szerokich, cienistych ulicach jest jak cofanie się o wiele lat. Mało się zmieniło poza nazwą. Do 1991 roku miasto nazywało się Frunze, ku czci jednego z bolszewickich przywódców, który się tu urodził. Po wyzwoleniu przyjęto

jeden z wariantów dawnej nazwy, Piszpek. Pochodzi on ponoć od kirgiskiej nazwy bukłaka, skórzanego naczynia używanego do wytwarzania kumysu. Cofając się do języka sogdyjskiego, znajdziemy znaczenie tego słowa być może zbliżone do „osada u stóp gór”, lecz etymolodzy spierają się na ten temat. Tak czy owak, jest to trafny opis położenia miasta – za socjalistycznymi wieżowcami wznoszą się ku niebu majestatyczne góry Tien-szan.

Również wiele ulic otrzymało nowe nazwy – co spowodowało spory zamęt w głowach taksówkarzy, choć mieli ponad dwadzieścia lat na przyzwyczajenie się do zmian. Prospekt Lenina został prospektem Czujskim, ulica Prawdy stała się ulicą Premiera Sułtana Ibraimowa, Karola Marksa dostała za patrona językoznawcę Bołota Junusaliewa. Biszkek nie ma marmurowej pompatyczności ani blasku Aszhabadu, nie ma też nic z chłodnego modernizmu Astany. Nie może się mierzyć nawet z biednym Duszanbe, które mimo wszystko ma się czym pochwalić, choćby całkiem sporym masztem flagowym, lśniącym nowością pałacem prezydenckim oraz biblioteką tak wielką, że w całym kraju nie ma tylu książek, żeby zapełnić jej półki. Biszkek jest za to bezpretensjonalną stolicą z szerokimi ulicami, dominującą architekturą z czasów radzieckich i otwartymi, przestronnymi wybetonowanymi placami. W ostatnich latach między radzieckim betonem pojawił się jeden czy drugi turecki supermarket, egalitarne rosyjskie restauracje odrodziły się jako elitarne bary sushi, czerwone sztandary z propagandowymi napisami z ostatniego zjazdu partii dawno zastąpiono reklamami kosmetyków i sprzętu elektronicznego, niemniej ogromny pomnik Lenina pozostał, przesunięto go tylko na mniej reprezentacyjne miejsce – na tyły muzeum historycznego.

Mogłoby się wydawać, że liczba ekstrawaganckich gmachów i marmurowych fasad jest odwrotnie proporcjonalna do poziomu rozwoju demokracji w danym kraju. Kirgistan jest jedynym ze Stanów, w którym nie wzniesiono nawet nowego pałacu prezydenckiego. Prezydent i rząd urzędują

w „Białym Domu”, radzieckim mamucie zaprojektowanym w stylu będącym mieszanką neoklasycyzmu i brutalizmu. Po raz pierwszy wściekli demonstranci przypuścili na niego szturm 24 marca 2005 roku.

Początki – tak jak w Tadżykistanie – wyglądały obiecująco. Pierwsze wybory organizowane w latach dziewięćdziesiątych były stosunkowo otwarte i wolne. Chociaż w wyborach prezydenckich startował tylko jeden kandydat, to przynajmniej w wyborach parlamentarnych listy wystawiały różne partie. Askar Akajew, pierwszy prezydent Kirgistanu, różnił się od swoich kolegów w sąsiednich krajach pod wieloma względami. W przeciwieństwie do nich był z wykształcenia nie inżynierem, lecz fizykiem. Kiedy w 1987 roku po raz pierwszy został wybrany do rady najwyższej w Radzieckiej Socjalistycznej Republice Kirgizji, nie miał za sobą długiej kariery politycznej. Początkowo gorąco przemawiał za demokracją i otwartością, lecz w miarę upływu czasu teoria i praktyka oddalały się od siebie coraz bardziej, a wybory stawały się coraz bardziej fikcją.

W dodatku szwankowała gospodarka. Za czasów Związku Radzieckiego dotacje z Moskwy stanowiły trzy czwarte budżetu Kirgizji. Poza produktami rolniczymi i złotem z kopalni, która obecnie trafiła w ręce Kanadyjczyków, Kirgistan nie miał i nie ma do tej pory rozwiniętego eksportu. W ciągu kilku lat niepodległości dług zagraniczny urósł do wielkości przekraczającej produkt narodowy brutto, ceny poszybowały w górę, inflacja okresowo galopowała, a zarobki nie nadążały za rozwojem sytuacji. Kiedy w 2005 roku Akajew próbował zmienić konstytucję tak, aby mógł zostać wybrany na czwartą kadencję, miarka się przebrała. Wściekli demonstranci wdarli się do pałacu prezydenckiego i gmachów rządowych w Biszkeku, na południu kraju przejęli natomiast kontrolę nad ważnymi budynkami administracyjnymi. Akajew i jego rodzina uciekli do Moskwy, gdzie uzyskali azyl polityczny.

Na wiosnę cały Kirgistan zakwita dzikimi tulipanami, toteż transformacja uzyskała miano tulipanowej rewolucji, na wzór rewolucji róż w Gruzji w 2003 roku i pomarańczowej rewolucji w 2004 roku na Ukrainie. Już po

przewrocie znaleziono tajne dzienniki i dokumenty zdradzające skalę korupcji reżimu Akajewa. Szczegółowe cenniki ujawniły, że miejsce w parlamencie kosztowało trzydzieści tysięcy dolarów, natomiast za stanowisko ambasadora w sympatycznej zachodniej stolicy trzeba było zapłacić do dwustu tysięcy dolarów.

Niestety, Kurmanbek Bakijew, następca Akajewa, nie był ani o włos lepszy, raczej wprost przeciwnie. Od razu zadbał o umieszczenie licznych członków rodziny na najważniejszych stanowiskach. W czasie prezydentury Bakijewa w tajemniczy sposób straciło życie wielu parlamentarzystów, polityków opozycyjnych i dziennikarzy. Korupcja kwitła jak przedtem, większości obywateli nie wiodło się lepiej. W 2010 roku ceny ogrzewania i prądu wzrosły ponad dwukrotnie. Kiedy władze w kwietniu owego roku aresztowały polityków opozycyjnych przed planowanymi zgromadzeniami w Tałasie, Narynie i Biszkeku, ludzie powiedzieli: dość! Rozwścieczeni demonstranci 7 kwietnia przypuścili szturm na „Biały Dom”. W walkach zginęło tym razem osiemdziesiąt siedem osób. Później byłego prezydenta i jego brata, Zjanysza Bakijewa, skazano zaocznie na dożywocie za wydanie rozkazu otwarcia ognia do demonstrujących. Rodzina Bakijewów przebywa obecnie na Białorusi, gdzie udzielono im azylu politycznego.

Kirgizi nie chcieli kolejnego równie złego prezydenta. Dlatego w Kirgistanie jako pierwszym kraju poradzieckim w Azji Środkowej wprowadzono parlamentaryzm. Prezydent miał być podporządkowany parlamentowi oraz premierowi i mieć ograniczone uprawnienia. Roza Otunbajewa, która przejęła władzę po Bakijewie, była przejściowym prezydentem do wyborów w 2011 roku, kiedy to zgodnie z prawem ustąpiła. Tym samym stała się nie tylko pierwszą kobietą prezydentem w Azji Środkowej, lecz także pierwszym prezydentem w tym regionie, który dobrowolnie oddał władzę.

A zatem tylko w małym Kirgistanie, jedynym ze Stanów, ludzie zorganizowali się w proteście przeciw władzy i obalili urzędującego

prezydenta. Nie tylko raz, lecz dwa razy. Dlaczego wydarzyło się to tutaj? I pytanie jeszcze bardziej sensowne: dlaczego nie stało się to w żadnym z sąsiednich krajów? Wszystko tłumaczy bieda. Rewolucje mają najlepsze warunki dojrzewania w krajach biednych albo w takich, których duża część ludności żyje w biedzie. Rewolucja rosyjska wyrosła z gniewu z powodu olbrzymich różnic między bogatymi a biednymi. Katalizatorami podczas pomarańczowej rewolucji i podczas arabskiej wiosny były bieda i rosnące koszty utrzymania.

Kirgistan należy do najbiedniejszych byłych republik radzieckich. Ponad jedna trzecia ludności żyje poniżej granicy ubóstwa, a kraj, podobnie jak Tadżykistan, jest całkowicie zależny od dochodów emigrantów zarobkowych pracujących przede wszystkim w Rosji. Ubóstwo nie jest bezbrzeżne, jednak biedę widać wszędzie. Spowodowała ona między innymi pojawienie się improwizowanych pchlich targów – stojący wzdłuż chodnika emeryci oferują nieliczne posiadane wartościowe rzeczy: świecznik, wazon, cztery zaczytane książki. Niektórzy sprzedają tylko kubek nasion słonecznika. Albo wystawiają wagę łazienkową, na której przechodzień może się zważyć za groszową opłatą.

Zarówno Turkmenistan, jak i Kazachstan mają duże zasoby ropy naftowej i gazu. Klasa wyższa kąpie się tu w pieniądzu, ale także klasa średnia ma możliwości rozwoju i zrobienia kariery. Tadżycy obawiają się, co zrozumiałe, że wojna i chaos znowu ogarną kraj. Dlatego większość woli głosować ciągle na tego samego prezydenta. Dopóki sytuacja w kraju jest stabilna i panuje pokój, dopóty godzą się z korupcją i nepotyzmem oraz tym, że gospodarka znajduje się na krawędzi załamania. Uzbekistan też jest biedny, choć bogatszy od Kirgistanu. Tamtejszy prezydent nie przebiera w środkach, by się utrzymać przy władzy. Reżim uzbecki jest jednym z bardziej opresyjnych na świecie, prawie na równi z turkmeńskim czy północnokoreańskim. To bowiem także się liczy – zdolność reżimu do uciekania się do przemocy i wola, by to robić. Akajew, pierwszy prezydent

Kirgistanu, wydał rozkaz, żeby nie strzelać do demonstrantów w Biszkeku. Jego następca salwował się ucieczką, kiedy uznał, że bitwa została przegrana. Natomiast uzbecki prezydent zrobił raz użytek z czołgów i karabinów maszynowych i raczej nie zawahałby się uczynić tego ponownie.

Kraje poradzieckie w Azji Środkowej są dużo bezpieczniejsze niż większość państw europejskich, również dzięki dużemu zagęszczeniu policji w wielu miejscach. Podróżujących przestrzega się tymczasem przed samotnymi spacerami nocą po Biszkeku. Przestępczość tu rośnie, napady rabunkowe i pobicia zdarzają się coraz częściej.

Pewnego wieczoru, kiedy brałam taksówkę, żeby wrócić do hotelu, za kierownicą ku swojemu zdumieniu zobaczyłam kobietę. Musiała zauważyć moje zaskoczenie, bo od razu zaczęła się tłumaczyć.

– Mam czworo dzieci, oboje rodzice nie żyją, nie mam męża. Właściwie z wykształcenia jestem nauczycielką, ale wynagrodzenie nauczyciela wynosi sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, a za to się nie wyżyje, w każdym razie nie wyżywi się czterech gąb. Lepiej zaryzykować jeżdżenie na taksówce, choć klienci bywają różni, zwłaszcza po nocy...

Dojechałam na miejsce. Kiedy pokonywałam kilka metrów dzielących taksówkę od wejścia do hotelu, uświadomiłam sobie wreszcie, czego mi tu brakuje. Od tygodnia byłam w Kirgistanie i wciąż nie wiedziałam, jak wygląda Ałmazbek Atambajew, obecny prezydent kraju. Ściany domów w Biszkeku były obwieszane reklamami kosmetyków i plakatami filmowymi. Nieliczni mężczyźni, dla których znalazło się miejsce na murach, mieli opalone twarze, muskularne, szerokie bary pod markowymi ubraniami i lśniący bielą uśmiech z reklamy pasty do zębów.

Nie płacz, teraz jesteś moją żoną

Dziewiętnastoletnia Mariam cieszyła się w imieniu przyjaciółki od serca, strojąc się i przygotowując do uroczystości jej zaręczyn. Data ślubu została ustalona, Mariam miała być na nim świadkiem. Przyszłego pana młodego nie znała zbyt dobrze, niemniej przyjaciółka robiła wrażenie szczęśliwszej, niż była jeszcze niedawno, a to przecież najważniejsze. Minął dokładnie rok od chwili, gdy Mariam przeniosła się z maleńkiej wsi do Biszkeku, żeby studiować germanistykę. W ciągu tego roku zakochała się w koledze studencie i zostali parą, lecz oboje uznali, że na myślenie o małżeństwie jest za wcześnie. Mariam miała przed sobą jeszcze cztery lata studiów, po ich ukończeniu planowała wyjazd do Niemiec.

W czasie uroczystości przyszły mąż przyjaciółki poprosił, żeby wyszła z nim na chwilę na dwór. Tam zaprosił ją do samochodu. Za kierownicą siedział młodzieniec, którego Mariam ledwo znała. Wiedziała o nim tyle, że mieszkał w jej wiosce.

– Zawiozę cię do swoich rodziców – powiedział narzeczony przyjaciółki.

Mariam myślała, że żartuje, i odmówiła, śmiejąc się. Chłopak także się śmiał, lecz chwilę potem obok pojawiło się pięciu jego kolegów. Wepchnęli Mariam do samochodu, wsiedli za nią i zablokowali drzwi. Samochód ruszył.

Stopniowo zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zrozumiała, że musi działać szybko, póki jeszcze są w mieście. Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, udało się jej wysiąść z samochodu. Podbiegła do marszrutki – busika, który akurat stał na przystanku, i zdołała się tam wcisnąć. Przyjaciele narzeczonego przyjaciółki, którzy biegli za nią, wyciągnęli ją na ulicę. Walczyła z nimi ze wszystkich sił, jednak nie krzyczała ani nie płakała, bo nie chciała wywoływać skandalu. Mimo wszystko znała tych mężczyzn, dorastali w tej samej wiosce. Kiedyś byli także jej przyjaciółmi.

Podczas długiej jazdy narzeczony przyjaciółki z wielką energią

przekonywał Mariam, że nigdy nie był zakochany w jej przyjaciółce. Zareczył się z nią tylko dlatego, żeby być blisko Mariam. Mówił, że kocha tylko Mariam, że bez niej nie może żyć. Że jeżeli z nim nie zostanie, on odbierze sobie życie. Uciekał się także do gróźb. Jeżeli za niego nie wyjdzie, będzie ją prześladował. Nigdy nie zostawi jej w spokoju. Mariam się przestraszyła. Nie tego, że mógłby jej coś zrobić. Tego, że mógłby coś zrobić sobie.

Ponieważ świadków uprowadzenia było tak wielu, rodzice i przyjaciele Mariam zostali poinformowani o przebiegu wydarzeń. Kiedy Mariam dotarła do domu porywacza, zastała tam wszystkich – rodziców, przyjaciół, ukochanego. Matka się rozplakała. Mariam płakała. Ukochany płakał i prosił, żeby z nim wróciła do miasta.

– Byłam młoda i naprawdę wierzyłam, że porywacz odbierze sobie życie, jeżeli odjadę – mówi dziś Mariam.

Od porwania minęło siedem lat. Mariam ma teraz dwadzieścia sześć. Ubrana w dres z czerwonego weluru karmi pięciomiesięczną córeczkę. Patrząc na twarz tej młodej kobiety, jeszcze bez zmarszczek, ale nalaną i kanciastą. Ponieważ jest z wizytą u przyjaciółki, z dala od uszu teściowej i męża, może rozmawiać swobodnie, mimo to nie podaje swojego prawdziwego imienia. Na wszelki wypadek. O takich sprawach się właściwie nie mówi.

Ślub odbył się dopiero po miesiącu od porwania, ale Mariam, zgodnie z tradycją, od razu zamieszkała u przyszłego męża i jego rodziców. W ciągu jednego dnia jej życie diametralnie się zmieniło. Skończyły się studiowanie i miejska wolność. Miała wyjść za narzeczonego przyjaciółki, chłopca mieszkającego pod jednym dachem z rodzicami.

Początkowo dużo płakała.

– Pocieszał mnie. Mówił, żebym nie płakała. Był miły i cierpliwy. Z czasem wszystko na szczęście się ułożyło.

Zamiast zdobyć wykształcenie i przenieść się do Niemiec, Mariam stała się

zapracowaną chłopką. Mąż i jego rodzice mają piętnaście krów, sto owiec, pięćdziesiąt kur i piętnaście gęsi. Jest co robić. Poza tym została matką dwóch córeczek i marzy jej się jeszcze dwójka – synowie.

– Myślę, że jestem szczęśliwa. On jest dobrym mężem. Póki nie urodziły się dzieci, myślałam trochę o swoim dawnym życiu, teraz już tego nie robię.

Odsuwa małą od piersi i patrzy na nią z czułością. Dziewczynka popłakuje niezadowolona, ale matka na jej widok promienieje.

– Chciałabym, żeby moje córki miały takie życie, jakie im się zamarzy, żeby dostały dobrą pracę, zrobiły kariery – mówi. – Nie chcę, żeby wyszły za mąż tak młodo jak ja. I chcę, żeby same mogły wybrać męża. Porywanie dziewcząt jest jednym z naszych zwyczajów, ale złym.

Matka Mariam w swoim czasie również została porwana. Pewnego dnia po pracy uprowadził ją z ulicy o trzy lata starszy kolega z fabryki. Matka wylewała morze łez, lecz musiała zostać u boku przyszłego męża i wkrótce też ojca Mariam.

– Odebranie porwanej córki przynosi wstyd – wyjaśnia Mariam. – Zwłaszcza jeżeli już nie jest dziewicą. Gdybym nie zgodziła się na ślub, byłby skandal. Mężczyznom też nie jest łatwo. Nigdy więcej nie widziałam swojego pierwszego chłopaka. W ubiegłym roku została porwana narzeczona mojego brata. Wybrała ślub z porywaczem, chociaż była zakochana w moim bracie.

* * *

Dwudziestojednoletnia Roza mieszkała w Biszkeku od trzech lat, pracowała w sklepie z kosmetykami. Pewnego wieczoru, kiedy wracała do domu, została porwana z ulicy. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Porywacz wiedział, kiedy kończy pracę i którądy zwykle wraca. Napadu dokonał w ciemnej, wyludnionej uliczce. Wynajął w tym celu minibus i wziął ze sobą aż dziesięciu przyjaciół z wioski. To oni wciągnęli Rozę siłą do środka i przywiązali do jednego z foteli.

– Porwałem cię i zostaniesz moją żoną – oświadczył chłopak za kierownicą.

Roza ledwo go pamiętała z wioski, z której się wyprowadziła i do której wcale nie miała zamiaru wracać. Obie z siostrą mieszkały w mieście. Rodzice nie żyli. Wioska należała do przeszłości.

Mężczyźni w minibusie byli pod dobrą datą i kontynuowali picie przez całą wielogodzinną jazdę do rodziny przyszłego męża. Krążyły z brzękiem butelki, atmosfera była świetna. Nikt ani trochę nie przejmował się łzami Rozy. Kiedy przyjechali do wioski, babka przyszłego męża czekała z dużą białą chustą. Roza wiedziała, że jeżeli pozwoli sobie tę chustę założyć na głowę, będzie to oznaczało zgodę na małżeństwo. Rodzina porywacza przygotowała *toj*, ucztę weselną. Wielu gości już się posilało.

Nie miała ochoty wychodzić za mąż. Dobrze jej się żyło w Biszkeku z siostrą, była zadowolona. No i nie podobał się jej mężczyzna, który ją uprowadził. Nie był w ogóle w jej typie – prymitywny, nieokrzesany i wcale nie można powiedzieć, że przystojny. Był o pięć lat starszy od niej i pracował na budowie. Mimo to pozwoliła, by babka założyła jej chustę.

– Byłam zmęczona płaczem – tłumaczy Roza.

Jest niska, wiotka, ubrana w dżinsy i długi czarny sweter. Krótkie włosy otaczają jej okrągłą twarz.

Nie mogę podać jej prawdziwego imienia. Nalegała też, byśmy się spotkały w moim pokoju w hotelu, żeby nikt nie podsłuchał, o czym rozmawiamy. Jesteśmy daleko na zachodzie kraju, w małym prowincjonalnym miasteczku w cieniu masywu Tien-szan. Tu wszyscy wszystkich znają, ciekawskie uszy są wszędzie.

Pierwszej nocy z nim nie spała, ale spędzili ją obok siebie w tym samym pokoju. Następnego dnia przyszedł imam. Przeczytał ustępy z Koranu i przeprowadził *nikah*, islamski ślub. Drugiej nocy spała więc z mężczyzną, który w taki sposób został jej mężem.

Pierwszy rok był trudny. Roza nie chciała mieszkać z mężem ani z jego

rodzicami, niemniej czuła, że nie może się z nim rozwieść.

– Kirgizom nie podobają się rozwody – mówi, wzdychając, a łzy spływają jej po policzkach.

– Kochasz go?

– Nie, ale przyzwyczaiałam się do niego.

– Powiedział, dlaczego cię uprowadził?

– Mówił, że mu się podobam.

– I to wszystko?

– Tak.

Tuż przed urodzeniem pierwszego dziecka Roza i jej mąż wyprowadzili się od jego rodziców, którzy nie mogli darować synowej, że przez cały pierwszy rok małżeństwa dawała wyraz swojej niechęci do mieszkania u nich, i źle ją traktowali. Starszy syn ma dzisiaj sześć lat, rok temu przyszło na świat drugie dziecko, także chłopiec.

– Kiedy urodził się młodszy, przestałam myśleć o odejściu od męża – mówi Roza. – Od tej chwili wiedziałam, że muszę zostać ze względu na dzieci. Nie miałam wyboru. Poza tym dokąd miałabym pójść? Nie mam pracy, wykształcenia, własnych pieniędzy... On właściwie nie jest zły. Nie pije. Nie bije. Szanuje mnie.

Ociera łzy i szykuje się do wyjścia. Skoro nie ma własnych pieniędzy, daje jej na taksówkę do domu. Równowartość sześciu norweskich koron.

* * *

– Moje imię spokojnie możesz podać – mówi Jelena, która siedziała dotąd cicho, słuchając historii Rozy.

Od czasu do czasu, kiedy mnie albo Rozie zabrakło rosyjskiego słowa, pomagała nam je znaleźć. Ma dwadzieścia trzy lata, nosi dzinsy i skórzaną kurtkę. Spod chustki, którą założyła, by chronić się przed deszczem, wystają kosmyki włosów barwy kasztana. Niebieskie oczy w opalonej twarzy wydają

się jeszcze bardziej niebieskie.

– Myślałam, że Rosjanek nie porywają – zauważam.

– Ja też – odpowiada Jelena.

I zaczyna opowiadać. Pięć lat temu, kiedy miała osiemnaście lat, przeprowadziła się do Biszkeku, żeby studiować ekonomię. Na ferie zimowe pojechała do rodzinnej miejscowości w odwiedziny do matki, a ponieważ matka trafiła do szpitala, Jelena była w domu sama. Ojciec zmarł parę lat wcześniej, siostra została w Biszkeku. Kilka dni po przyjeździe Jeleny zadzwonili sąsiedzi z pytaniem, czy nie pojechałaby razem z ich córką kupić lekarstwa dla najmłodszego dziecka, które zachorowało. Jelena znała sąsiadów całe życie. Ich córka, Bubusara, była jedną z jej bardzo bliskich przyjaciółek. Rodzice Bubusary zorganizowali dla nich samochód i dziewczęta zajęły miejsce na tylnym siedzeniu. Jelena nigdy przedtem nie widziała dwóch młodych mężczyzn, którzy siedzieli z przodu, ale Bubusara wiedziała, kim są. Zostały zawiezione do szpitala, tamtejsza apteka była jednak zamknięta. W drodze powrotnej samochód przystanął i na tylne siedzenie wskoczył nagle wuj Bubusary. Ledwo zatrzasnął drzwi, kierowca dodał ostro gazu. Wyjechali z miejscowości i w dzikim pędzie minęli dwie następne. Jelena i Bubusara zaczęły płakać, starały się doprowadzić do tego, by samochód się zatrzymał... Na próżno. Mężczyźni przewidzieli opór. Bubusarę obezwładnił wuj, jeden z młodych porywaczy zaczął uspokajać Jelenę. Nie mogła uwierzyć, że się jej to przydarza. Przecież była Rosjanką!

Po drodze udało się jej namówić mężczyzn, żeby się zatrzymali i pozwolili im się załatwić. Odeszły kawałek, a potem pobiegły, ile sił w nogach. Była zima, zapadł zmrok. Ziemię okrywała gruba warstwa śniegu. Nie miały pojęcia, dokąd biegną. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Chodziło tylko o to, żeby się wydostać z rąk porywaczy. Do Jeleny dotarło, że ona i Bubusara są lekko ubrane. Co będzie, jeżeli przyjdzie im spędzić na dworze całą noc? A jeżeli natkną się na wilki? Nie musiała się martwić zbyt długo, bo trzech mężczyzn wkrótce je dogonili i zmusili do powrotu do samochodu.

– Puście mnie! – krzyczała Jelena. – Chcę do domu!

Krzyczała, biła pięściami, kopała. Na próżno.

– Uspokój się, bo będzie jeszcze gorzej – mruknął kierowca.

O dziewiątej wieczorem podjechali pod dom kierowcy. Jego krewni już byli na miejscu, w jednym z pokoi przygotowano ucztę. Jelenę i jej przyjaciółkę zaprowadzono do innego pomieszczenia, zaraz potem zjawiła się stara, zgarbiona kobieta, niosąc białą chustę.

– Nie włożę tego! – krzyknęła Jelena.

Nigdy w życiu nie wyjdzie za tego mężczyznę. Przecież go nie zna! Pojawili się liczni jego krewni, żeby pośredniczyć w rozmowie, lecz Jelena tylko ich zwymyślała. Gdy jedna z ciotek próbowała wcisnąć jej ciepły sweter, pchnęła ją tak mocno, że tamta upadła.

W pewnej chwili Jelena została tylko z Bubusarą. Nie tracąc czasu, sięgnęła po krzesło i weszła na nie, by otworzyć okno umieszczone niemal pod sufitem. Akurat udało się jej je uchylić, gdy w drzwiach pojawił się porywacz.

– Dokąd się wybierasz?

– Mam kochanka! – krzyknęła Jelena – Jestem w ciąży!

Powiedziałyby cokolwiek, żeby się tylko stamtąd wydostać.

– To prawda? – spytał poblady młody człowiek. – Nie mam zamiaru brać na siebie dzieciaka innego mężczyzny. Przyjmij to do wiadomości.

– Więc mnie stąd wypuść!

Na to nie chciał się zgodzić. Kiedy przyjaciółki znowu zostały same, Jelena wyjęła komórkę i zadzwoniła do starszej siostry, prawniczki. Siostra najpierw się na nią rozgniewała. Jak mogła być tak głupia i wsiąść do tego samochodu?! O czym myślała? Potem zdecydowała się porozmawiać z rodziną porywacza.

– Porwaliście Rosjanę. Jeżeli natychmiast nie odwieziecie jej do domu, powiadomię policję – zagroziła.

Po godzinie i prawdopodobnie ząartych dyskusjach rodzina odwiozła

Jelenę do domu. Była jedenasta wieczorem. Jedyne, co czuła, to ulga, że udało jej się wyrwać i wrócić do domu. Bubusara natomiast musiała zostać. Prosiła Jelenę, żeby zawiadomiła jej rodziców, by mogli przyjechać i ją zabrać. Wtedy jeszcze nie wiedziały, że rodzice Bubusary brali udział w planowaniu całej operacji.

W drodze powrotnej trwały naciski, choć już w łagodniejszej formie.

– Po co chcesz wracać? Powiedz siostrze, że chcesz zamieszkać z nami!

Tego samego wieczoru porywacz-kierowca ożenił się z Bubusarą. Nie miała dość siły, żeby się opierać, i zgodziła się na ślub. Po tym, co się wydarzyło, Jelena od razu wróciła do Biszkeku. Przez następne dwa lata trzymała się z dala od rodzinnej miejscowości. Nie jeździła tam nawet na wakacje. Małżeństwo Bubusary okazało się nieszczęśliwe. Jej mąż stosował przemoc i dziewczyna wielokrotnie musiała szukać schronienia u matki Jeleny. Raz, kiedy to się stało, Jelena była w domu.

Skruszony brutal przyszedł po żonę, więc zapytała go, dlaczego tak postępuje.

– Wszystko by się ułożyło inaczej, gdybym ożenił się z tobą – odparł.

Dziś Bubusara ma dwoje małych dzieci. Trzecie straciła. Mąż bił ją nawet wtedy, kiedy była w ciąży.

– Teraz wziął sobie kolejną żonę – mówi Jelena, potrząsając głową. – Mężczyźni Kirgizów są jeszcze gorsi niż Rosjanie!

Trzy lata po tamtym porwaniu Jelena poznała w internecie Kazacha. Za dwa miesiące, gdy będzie już dyplomowaną księgową, pobiorą się i przeniosą do Sankt Petersburga, by rozpocząć nowe życie. Martwi się o przyjaciółkę, która postanowiła zostać przy mężu brutalu, natomiast raduje się z całego serca, że jej samej udało się wtedy umknąć.

– Nigdy nie wybrałabym pozostania tam. Nie wstydzę się, że po porwaniu wróciłam do domu.

Ała kaczuu, „łap i uciekaj” – tak nazywa się po kirgiskiu ten zwyczaj. Nie ma dokładnych danych, ile młodych kobiet w Kirgistanie jest co roku uprowadzanych i zmuszanych do wyjścia za mąż. Russel Kleinbach, profesor socjologii i jeden z założycieli Instytutu Kyz Korgon – organizacji, która działa na rzecz zlikwidowania praktyki porywania dziewcząt w Azji Środkowej – badał to zjawisko wiele lat i szacuje, że tak zawiera się około trzydziestu trzech procent wszystkich małżeństw w Kirgistanie. Na wsi – ponad pięćdziesiąt procent. Co roku porywanych jest jedenaście tysięcy osiemset młodych kobiet, trzydzieści dwie dziennie, co czterdzieści minut jedna. Ponad dziewięćdziesiąt procent kobiet zostaje z porywaczem.

– Wiele osób twierdzi, że *ała kaczuu* to prastara koczownicza tradycja, ale to brednie – mówi Banur Abdijewa, prawniczka i przywódczyni organizacji feministycznej Leader. – Ludzie uważają, że wspomina o tym *Manas*, nasz epos narodowy, ale to nieporozumienie szerzy się dlatego, że prawie nikt nie przeczytał wszystkich tomów. O *ała kaczuu* w *Manasie* nie ma ani słowa! W dawnych czasach zdarzało się, że kobiety porywano podczas wojen albo że para młodych ludzi uzgadniała wspólną ucieczkę, jeżeli rodzice nie zgadzali się na ślub bądź też jeżeli narzeczony chciał uniknąć płacenia *kałym*, okupu. Takie rzeczy zdarzają się i dziś, ale to nie *ała kaczuu*. Z *ała kaczuu* mamy do czynienia, dopiero kiedy kobieta zostaje uprowadzona wbrew swojej woli. Ten tak zwany zwyczaj powstał podczas kolektywizacji za czasów radzieckich. A po rozpadzie Związku Radzieckiego niestety się spopularyzował.

Dawniej porywacze ryzykowali jedynie grzywnę w wysokości stu tysięcy somów, równowartość około jedenastu tysięcy pięciuset koron norweskich, i trzy lata ograniczenia swobody poruszania się. Za kradzież owcy karano surowiej. Po długim lobbowaniu, między innymi przez Leadera, w 2012 roku podniesiono karę do siedmiu lat bezwzględnego więzienia; dziesięciu, jeżeli uprowadzona dziewczyna była nieletnia. Jednak ryzyko skazania jest minimalne. Według danych Instytutu Kyz Korgon tylko jednego na tysiąc

pięciuset mężczyzn skazuje się za porwanie dziewczyny, a do tej pory tylko dwóch skazano na więzienie z nowej ustawy. W jednym z tych przypadków porwana kobieta popełniła samobójstwo, w drugim zaś chodziło o rozwodnika, który aż trzykrotnie porywał szesnastolatkę. Pierwszej nocy ją zgwałcił. Rodzice nie chcieli, by wychodziła za takiego człowieka, więc przyjechali po nią. Wtedy znowu ją porwał. Za trzecim razem rodzice zgłosili sprawę policji. Podczas procesu dziewczyna musiała odpowiadać na takie między innymi pytania obrońcy: Dlaczego odmówiła bezpiecznego życia u boku tego mężczyzny i jego rodziny? Czy nie był dla niej wystarczająco dobry?

Zdaniem Banur postawy związane z *ała kaczuu* są głęboko zakorzenione.

– Musi się całkowicie zmienić nasz stosunek do kobiet i dzieci. Nie mamy tu romantycznych tradycji. Mężczyźni na wsi nie znają innego sposobu zdobycia żony niż porwanie i gwałt. Tak zenił się dziadek z babką, tak się pobierali rodzice, tak dochodziło do wszystkich małżeństw we wsi. Bierze w tym jednak udział cała rodzina. Babka czeka z białą chustą, gdy mężczyzna dociera do domu z porwaną i zapłakaną dziewczyną. Starsze krewne stosują presję psychiczną: „My też zostałyśmy porwane, my też płakałyśmy, ale potem urodziły się dzieci i o wszystkim zapomnieliśmy. Patrz na nas teraz! Mamy dzieci, wnuki, mieszkamy w pięknych domach!”. Mężczyźni nie przejmują się bólem kobiet. Płacz uznają za część tradycji i nie rozumieją, że dziewczynie jest źle. Jeżeli kobieta straci dziewictwo, jest to samo przez się wyrokiem dożywocia. Nie ma wtedy innego wyboru, jak tylko wyjść za mąż. Nawet jeżeli mężczyzna jej nie tknął, boi się, że jeżeli wróci do rodzinnego domu, nikt inny nie zechce się z nią ożenić. Przymus społeczny i presja psychiczna są olbrzymie, dlatego większość porwanych zostaje. W tych siedmiu procentach przypadków, kiedy dziewczyna nie zgadza się na ślub, winę przypisuje się mężczyźnie. Co z niego za chłop, skoro nie potrafi utrzymać przy sobie porwanej dziewczyny?

Wiele dziewcząt, którym przytrafił się *ała kaczuu*, jest gwałconych albo

przymuszanych do oddania się mężczyźnie, którego parę godzin wcześniej w ogóle nie znali. Gdy imam pobłogosławi parę, oczekuje się, że tej samej nocy małżeństwo zostanie skonsumowane. O nocach poślubnych krąży wiele smutnych opowieści. Pewna młoda kobieta mówiła, że zobaczyła mężczyznę, za którego wyszła, dopiero po przybyciu i błogosławieństwie imama. Tej samej nocy, gdy została porwana i poślubiona, zamknięto ją z mężem w pokoju, a pod drzwiami zasiadły w oczekiwaniu liczne krewne pana młodego. Ponieważ młodzi się nie znali, rozmawiali ze sobą jakiś czas. Nie miała ochoty spać z nieznanym mężczyzną, a i chłopak pewnie się denerwował. Po kilku godzinach któraś z krewnych niecierpliwie załomotała w drzwi: „Jesteś mężczyzną, czy nie? Na co czekasz?”. Chłopak zaczął ganiać dziewczynę po pokoju. Szlochała i krzyczała, kiedy ją gwałcił, ale nikogo to nie obchodziło. Wszystko, czym interesowały się tamte kobiety, to krwawe plamy na prześcieradle – dowód, że panna młoda była dziewicą.

– Nasze społeczeństwo jako całość ma w sobie dużo agresji – uważa Banur.
– Społeczność Kirgizów jest mimo swojej gościnności twarda. Nie potrzeba żadnego powodu, żeby ludzie wytoczyli wszystkie działa, zaczęli na siebie krzyczeć i się bić. Dużo przemocy jest w domach, także międzypokoleniowej. Musimy wytworzyć bardziej pokojową i tolerancyjną kulturę, ale jak to się robi?

– *I'm the Eagle Man.*

Mężczyzna, który zgodnie z kodeksem biznesowym wyciągnął do mnie rękę na powitanie, był od stóp do głów odziany w skórę. Jego głowę przykrywał biały kałpak. Minę miał łagodną, a zarazem surową. Uścisk dłoni – mocny. Szarpnął drzwiami samochodu i gestem zaprosił mnie na zniszczone siedzenie pasażera. Silnik zakrztusił się i kaszlnął parę razy, nim ostatecznie zaskoczył.

– Jest stary, ale od trzech lat wiernie mnie słucha – oznajmił mężczyzna, klepiąc dłonią deskę rozdzielczą.

O stopy otarło mi się coś miękkiego. Pochyliłam się i dojrzałam królika, który usiłował stać się niewidzialny, kuląc się pod schowkiem.

– Myślałam, że pojedziemy w góry na prawdziwe polowanie.

Orlarz potrząsnął głową.

– Teraz w górach pasą się konie. Za daleko trzeba by jechać. Musi się pani zadowolić standardowym króliczym show.

Ostry krzyk przeciął powietrze jak świst pejcza. Zdumiona odwróciłam się i nad siedzeniem spostrzegłam wystający z bagażnika upierzony łeb. Ptak miał na oczach skórzane klapki – kaptur. Długi, zaostzony dziób otworzył się i rozległ się nowy krzyk, tym razem dłuższy i bardziej żałosny.

– Jest głodny – wyjaśnił orlarz.

Biedny królik zatrzęsł się ze strachu.

Przejechaliśmy zakurzonymi ulicami Bokonbajewa i wydostaliśmy się na pustą równinę. Orlarz wysiadł, założył długą, grubą rękawicę, szarpnął pokrywę bagażnika i umieścił sobie na ramieniu orła przedniego. Delikatnie zdjął ptakowi kaptur i ukazała się para okrągłych czarnych oczu.

– Proszę się przywitać z Tumarą, moim medalowym orłem.

Oddalił się na odległość kilku kroków, przyjmując rutynowo różne pozy do fotografii. Tumara przestępowała z nogi na nogę, ale posłusznie nie ruszała

się z ramienia. Na komendę uniosła się w powietrze, zrobiła niewielką rundę i wylądowała z powrotem na ramieniu.

– Cóż, zaczynajmy!

Ponownie założył Tumarze kaptur, otworzył drzwi po stronie pasażera i wypuścił drżącego królika. Biedak nie wiedział, co ma zrobić z odzyskaną wolnością, i biegał to tu, to tam. Wreszcie znieruchomiał na środku pola, jakby miał nadzieję, że ktoś go dostrzeże i uratuje. Orlarz niespiesznie powędrował na grzbiet najbliższego wzgórza.

– Jest pani gotowa? – zawołał z góry.

Ustawiłam zbliżenie na królika, gotowa uwiecznić jego śmierć. Z okrzykiem przypominającym sygnały drapieżników orlarz wypuścił Tumarę. Poleciała nisko nad ziemią, kursem prosto na zdobycz. Królik chyba rozumiał, że za moment stanie się coś strasznego, sprawiał jednak wrażenie, jakby jeszcze nie stracił nadziei na ratunek, bo dalej się nie ruszał. W następnej chwili Tumara go dopadła. Zatopiła pazury w jego gęstym futrze tak, że nie był w stanie drgnąć. I czekała. Dopiero kiedy orlarz zszedł ze wzgórza i jednosylabową komendą dał pozwolenie, rozpoczęła ucztę. Przymuszać jej zgoła nie było trzeba. Nie troszcząc się o zabicie ofiary, zatopiła dziób w szarym futrze i zaczęła się posilać. Wszystko poszło w okamgnieniu: futro, kości, wątroba, krew, serce.

– I jak się pani podoba? – Orlarz patrzył na mnie wyczekująco. – Zdolna, prawda?

– Owszem – wymamrotałam. – Bardzo zdolna.

Orły przednie są świetnymi myśliwymi. Dostrzegają zdobycz z odległości kilku kilometrów. Dlatego nie było specjalnie imponującym wyczynem, że Tumara potrafiła upolować oswojonego, zdezorientowanego królika z kilkuset metrów. Pewnie była to jej najskromniejsza umiejętność.

W drodze powrotnej w bagażniku panowała cisza. Ptak był syty.

– Zabrałem ją z gniazda jeszcze jako pisklę – mówił orlarz. – Poczekalem, aż zacznie trzepotać skrzydłami. Wtedy była gotowa. Po kilku miesiącach

możliśmy razem polować. Teraz jestem dla niej matką i ojcem, a ona dla mnie jest jak córka. Słucha tylko mnie, nikogo innego. Wyćwiczyłem w sumie trzy orły przednie, Tumara jest najlepsza. Podwójny mistrz Kirgistanu, na zawodach łowiła i wilki.

Wyniósł do zachwaszczonego ogródka dwa krzesła, na których usiedliśmy, ponieważ jego starsza córka, jedenastolatka, robiła w domu wielkie sprzątanie. Tumara była przywiązana z tyłu domu do starego garnka pełniącego funkcję palika. Żółty dziób nosił jeszcze ślady krwi. Obok niej stał większy i bardziej nastroszony orzeł, niedawno wzięty do niewoli. Orlarz rzucił mu kawałek mięsa, w którym ptak chciwie zatopił dziób. I zaraz gniewnie zaskrzeczał o więcej.

Orlarz miał na imię Tałgarbek i trzydzieści osiem lat. Zaczął się zajmować ptakami w wieku siedmiu, ośmiu. Nikt go tego nie uczył, a tym bardziej do tego nie zachęcał. Co prawda, jego dziadek trzymał wiele ptaków, ale umarł, gdy Tałgarbek miał sześć lat. Jego ojciec był nauczycielem i miał inne sprawy na głowie.

– Za czasów radzieckich nie zachęcano nas do podtrzymywania kirgiskich tradycji – opowiadał. – Myślę, że ojciec uważałby za upokarzające, gdyby miał się pokazać w szkole ze śladami pazurów ptaków drapieżnych na ciele.

Podwinął rękaw. Stare blizny i nowe zadrapania tworzyły fascynujący wzór na spalonej słońcem skórze. Tałgarbek zazwyczaj słuchał w domu ostrych wymówek za włączenie się po górach od rana do wieczora. Niszczył przy tym o wiele więcej par butów niż jego rodzeństwo.

– Rozmawiałem ze starymi, którzy chodzili na polowanie z ptakami. Oni nauczyli mnie tego, co umieli sami. Prawdopodobnie mam to we krwi, bo uczyłem się szybko. Teraz wiem wszystko, co warto wiedzieć o ptakach, i mam młodych uczniów, których szkole.



Taġgarbek, Eagle Man, i Tumara, jego nagradzany orzeł królewski.

Siedem lat wcześniej Taġgarbek skończył z pracą w Kyrgyz Telecom i utrzymuje się teraz wyłącznie z króliczego show. W lecie turyści pojawiają się prawie codziennie. Dzięki ich pieniądzom i męczeństwu królików wreszcie stać go na postawienie własnego domu.

– Żona zawsze mnie wspierała, także wtedy, gdy nie zarabiałem dużo. Mój kolega po fachu musiał skończyć z ptakami. Mieszkają teraz w Biszkeku. Żona go nie wspierała.

– Jak poznał pan żonę?

Taġgarbek roześmiał się.

– Ukradłem ją. Przez dwie godziny siedzieliśmy w kawiarni w Biszkeku

i gadaliśmy, potem zabrałem ją do swojego samochodu. Pomagało mi dwóch przyjaciół. Miałem dwadzieścia sześć lat, ona dwadzieścia trzy. Oczywiście, płakała i krzyczała, jak nakazuje nasza tradycja. Przywieźliśmy ją tutaj i powiedzieliśmy jej rodzicom, że ukradliśmy ich córkę. Potem babka okryła ją białą chustą i było wesele.

– Dlaczego chciał pan kraść właśnie ją?

– Przyszedł czas, żeby znaleźć sobie żonę, więc pojechałem do Biszkeku. Przyjaciele nas ze sobą poznali i to była miłość od pierwszego wejrzenia. Ona pracowała w Biszkeku jako projektantka i modelka. Teraz jest gospodynią domową i w ciąży z naszym czwartym dzieckiem. Jesteśmy szczęśliwi.

– Jak ktoś skradnie pańskie córki, też będzie pan uważał, że wszystko jest w porządku?

– Jeżeli ci, którzy je ukradną, będą mieli porządny dom, to dlaczego nie? – Tałgarbek wzruszył ramionami. – Córki i tak muszą wyjść za mąż. Ale odkąd zabronili *ała kaczuu* i można za to trafić do więzienia, stało się ono mniej popularne. Niektórzy mężczyźni krępują się rozmawiać z kobietami. Teraz po wejściu w życie ustawy może się nigdy nie ożenią...

Podczas naszej pogaduszki do ogrodu wyszedł ośmio- albo dziewięcioletni chłopiec z małym sokołem na ramieniu.

– Azim będzie czwartą generacją orlarzy. – Tałgarbek pogłaskał chłopca po głowie.

W drzwiach mignęła najstarsza córka, jedenastolatka. Wielką szczotką zamiatała podłogę w sieni, zbyt zajęta domowymi obowiązkami, żeby podnieść wzrok.

* * *

– Tałgarbek nie jest prawdziwym orlarzem – prychnął Iszenbek. – To ja nauczyłem go wszystkiego, co wie o ptakach, ale dla niego to tylko biznes. Siedzi w domu i czeka na telefony od turystów. Nie chce mu się iść na

polowanie, bierze tylko udział w zawodach i festiwalach. Ten jego króliczy show to czysty wstyd. Wstyd!

Iszenbek i jego żona Zina mieszkali kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Bokonbajewa, w miejscowości nad Issyk-kulem, drugim co do wielkości na świecie jeziorem na obszarach górskich. Błękitna, lekko słona woda sprawia, że klimat nad nim bardziej nadaje się do życia niż w innych rejonach Kirgistanu – zimy nie są tam nigdy bardzo mroźne, lata rzadko nie do wytrzymania upalne. W miesiącach letnich chmury kirgiskich turystów obsiadają plaże, natomiast zagraniczni plecakowicze napływają do bezpretensjonalnej gospody Iszenbeka i Ziny.

– Masz szczęście – oświadczyła Zina.

Ta sprawna i rzeczowa kobieta, zanim przeszła na emeryturę, pracowała w wiosce jako lekarz.

– Jutro przyjeżdża ekipa rosyjskiej telewizji. Będą filmować polowanie na lisa w górach. Za drobną opłatą możesz się przyłączyć.

– Prawdziwe polowanie? Autentyczne, z końmi i tak dalej? – Nie miałam ochoty na kolejną wersję króliczego show.

– Tak, tak, to prawdziwe polowanie, z końmi i tak dalej – zapewniała Zina.

– A lis jest dziki, prawda? To prawdziwe polowanie?

– Tak, lis jest dziki, oczywiście.

Iszenbek był wysokim mężczyzną z zadyszka. Miał głęboki, schrypnięty głos, naznaczony latami palenia, gęste siwe włosy i wydatne kości policzkowe. Orłami zaczął się zajmować, kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, w 1980 roku, po śmierci dziadka i ojca – obaj układali ptaki. On zdobył wykształcenie ekonomiczne, kierunek rozsądny i praktyczny, i nastawił się na przeciętne życie toczące się między biurem a domem. Jednak coś w duszy kazało mu kontynuować rodzinną tradycję. Może tęsknota za przebywaniem na łonie natury, może głęboka fascynacja dzikimi drapieżnymi ptakami? W tamtym czasie, według Iszenbeka, w całym Kirgistanie został tylko jeden

łowca orłów, starzec o imieniu Kutuldo. Tenże Kutuldo obawiał się, że wraz z nim zginie jego wiedza, toteż z radością wziął Iszenbeka pod swoje skrzydła. Podarował mu nawet jednego z dwóch swoich orłów. Poza tym nauczył go wszystkiego, co sam wiedział.

Trudno pojąć, jak radykalnie zmieniło się życie tradycyjnie koczowniczych ludów Azji Środkowej za czasów radzieckich. Początkowo te grupy nie chciały się osiedlać na stałe. Mieszkały w swoich jurtach i wędrowały z bytłem swobodnie w rytm zmieniających się pór roku, jak to czyniły od niepamiętnych czasów. Władze radzieckie uznawały koczowniczy tryb życia za prymitywny i nieefektywny, toteż zaangażowały się w jego całkowitą likwidację – częściowo z katastrofalnymi skutkami.

– Nasi przodkowie nie mieli broni, więc do polowania używali ptaków – opowiadał Iszenbek. – Zdobycz dawała im mięso, z wilka i lisa mieli skóry, które ich ogrzewały. Ptaki chroniły ich dodatkowo przed drapieżnymi zwierzętami. Od orłów dostawali więc trzy rzeczy: jedzenie, ubranie i obronę. Bez ptaków nie mogli się obejść.

Za Stalina ludy koczownicze zostały zmuszone do porzucenia okrągłych jurt i zamieszkania w czworobocznych domach, musiały też przebywać w jednym miejscu przez cały rok. Nowy styl życia stanowił dla nich szok mentalny. Musiały się przyzwyczaić do innego określania czasu i przestrzeni, nauczyć nowych zasad rolnictwa – wszystko było odmienne, absolutnie wszystko. Władze radzieckie dały im infrastrukturę w postaci szkół i służby zdrowia, ludzie dostali sprzęt gospodarstwa domowego i traktory, ale utracili swoją kulturę i swój styl życia. Dziś tylko około dziesięciu procent Kirgizów żyje na sposób koczowniczy, a i to jedynie w ciepłej połowie roku. Wiele z dawnej wiedzy o cykliczności w przyrodzie przepadło, dlatego też w licznych regionach problemem stało się przepasienie.

– Dzisiaj w Kirgistanie jest tylko garstka prawdziwych *bürkütcüüs*, orlarzy, za to niestety wielu fałszywych – powiedział Iszenbek. – Fałszywi ustawiają się dla turystów z orłem na ramieniu do fotografii. Niektórzy nawet są ubrani

w szorty – prychnął pogardliwie.

Kilka lat temu Iszenbek przestał pracować jako księgowy, żeby skupić się na turystyce, i od tamtego czasu układa orły na pełen etat.

– Każdy orzeł jest u mnie tylko od dziesięciu do piętnastu lat – mówił.
– Potem muszę go wypuścić. Tak każe tradycja. Ptaki muszą mieć szansę na założenie rodziny, zbudowanie gniazda, znalezienie partnera. Przeciwnie niż podają książki, szybko wracają do stanu dzikości i zapominają o mnie. Nawet jeśli mieszkały z ludźmi przez całe życie, wiedzą, jak zbudować gniazdo. Jasne, że nie obejdzie się bez łez, bo przecież smutno się żegnać. Jednak mają prawo łączyć się w pary. Tak mówi tradycja.

Ostatnio Iszenbek złowił sobie nowego orła i teraz w dużym, bujnym ogrodzie mieszkają trzy: dziesięcioletni Turman, również dziesięcioletni Dżanar, czyli Iskierka, i ten nowy, który jeszcze nie ma imienia. Iszenbek zabrał go z gniazda w połowie lipca, gdy malec zaczął trzepotać skrzydłami. Jeden chłopiec wspiął się do gniazda po linie, a Iszenbek i reszta czekali na dole z bronią, gotowi odstraszać strzałami rodziców, gdyby zaszła taka potrzeba. W ciągu następnych miesięcy Iszenbek codziennie karmił orła osobiście, żeby go przyzwyczaić do siebie i żeby ptak nabrał do niego zaufania.

Zina nie zawsze była równie zachwycona orlimi zainteresowaniami męża, lecz teraz, odkąd przynoszą rodzinie dochody, a oprócz tego zaszczyty i honory, jest do nich o wiele lepiej nastawiona. Iszenbek bowiem stał się z czasem miejscową sławą i występował w wielu filmach dokumentalnych.

– Zaraz będę gotów!

Iszenbek w tradycyjnym zamszowym stroju przyniósł dużą, czarną skrzynię. Orzeł przedni o imieniu Dżanar, w kapturze i z pętlą, znajdował się już w dziuple. Poranna rosa okrywała ogród lekką jak puch kołderką. Iszenbek skierował się do dużego betonowego zbiornika na jego środku i zszedł do wnętrza. Z dna zbiornika podniósł się przenikliwy, przepojony strachem szcęk. Podeszłam i zajrzałam. W nozdrza uderzył mnie ostry zapach uryny

i ekskrementów. Na dole do betonowej ściany tulił się chudy, zaszczuty lisek. Miał wielkie, przerażone ślepia. Zmatowiałą, skołtunioną sierść pokrywały odchody. Wielkim kijem Iszenbek zagonił lisa do czarnej skrzyni i zamknął klapę, po czym ulokował skrzynię na ramieniu i wspiął się na górę. Włożył skrzynię do bagażnika obok orła. Lisek drapał w drewniane ściany. Orzeł zaś pokrzykiwał podniecony mimo kaptura.

– No, możemy jechać – odezwał się Iszenbek, zacierając ręce. – Niebrzydki lisek, prawda? Złowiliśmy go kilka tygodni temu, jeszcze jako noworodka.

Po niespełna półgodzinie dojechaliśmy do celu – spalonej słońcem równiny otoczonej pasmami wzgórz, które porastał liściasty las we wszystkich barwach jesieni. Rosyjska ekipa filmowa składała się z pięciu osób, z czego tylko trzy były przydatne, a pozostała dwójka kręciła się bez celu po planie, rugana przez reżysera za każdym razem, gdy znalazła się w kadrze.

Na jego znak z fotela kierowcy podniosła się prowadząca program i stanęła przed kamerą. Miała długie blond włosy, dzianinową czapkę z pomponem i niepraktyczne buty. Teatralnie wyrecytowała, że znajduje się w Kirgistanie, kraju nomadów i jurt, kraju gór i tradycji i że teraz spotka się z orlarzem Iszenbkiem. Iszenbek stał w pogotowiu z Dżanarem na ramieniu i wygłosił suchy wykład na temat cech ptaków łowczych.

– Polują na króliki – mówił – i na lisy, a czasami na wilki...

– Wilki! – zawołała prowadząca, nachylając się do kamery. – *Wołki!* Potrafią łowić wilki! *Woołki!*

Reżyser pilnował, żeby skrzynia z lisem nie znalazła się czasem w polu widzenia kamery.

– A może dalibyśmy mu na próbę zapolować naprawdę? – zaproponował z nadzieją. – Może coś znajdzie?

Iszenbek potrząsnął głową.

– Nie znajdzie. Za wczesna pora roku.

Reżyser nalegał, żeby jednak spróbowali. Iszenbek i energiczna

prowadząca program kilkakrotnie kazali orłu wzbijać się w powietrze na łów. Za każdym razem odlatywał na odległość kilkudziesięciu metrów, siadał na skałce i czekał, żeby go zabrano. Nie było wyjścia, jeżeli widzowie mieli zobaczyć orła w akcji, musiała przyjść kryska na liska.

Cała ekipa ukryła się w gotowości za niewielką stertą kamieni, kiedy mały, wystraszony rudzielec został wypuszczony z klatki. Najpierw pobiegł w jednym kierunku, potem w drugim. Następnie znieruchomiał i trzeba go było popędzić. Iszenbek zdjął Dżanarowi kaptur i gwizdnął sygnał do polowania. Orzeł wzbił się z krzykiem w powietrze. Kilka sekund później wbił pazury w zdezorientowanego lisa, zagłębił dziób w skołtunione futro i zaczął ucztę. Lis patrzył z rozpaczą w niebo. Jego ślepia stawały się coraz bardziej szkliste, aż wreszcie zgasły.

Kamerzysta zrobił zbliżenie krwawej uczy. Orzeł, nie przerywając posiłku, rozpostarł skrzydła nad zdobyczą. Pożywiał się systematycznie i w skupieniu, raz po raz zanurzając skrwawiony dziób w lisim futrze. Prowadząca program odwróciła się i chwiejnie odeszła na stronę, przyciskając rękę do ust. Kiedy wróciła, w jej oczach wciąż lśniły łzy.

– To nie jest zgodne z kobiecą naturą – oznajmiła do kamery. – Rozumiem, że to przyroda i że przyroda jest brutalna, ale my, kobiety, nie zostałyśmy stworzone, żeby znosić takie widoki. Jesteśmy istotami wrażliwymi, takie widoki to nie dla nas, chociaż to naturalne i tak dalej. To po prostu nie jest odpowiednie dla wrażliwej kobiecej natury.

Mimo wszystko nie mogła oderwać oczu od orła i jego zdobyczy. Iszenbek potraktował to wszystko ze stoickim spokojem.

– Kobieta, jak tylko zobaczy krew, zaraz płacze – powiedział do kamery. – Wiedziałem, że ona też się popłacze. Zawsze to robią.

Podszedł spokojnie do Dżanara, zebrał resztki lisa i wrzucił je do drewnianej skrzyni. Potem rutynowo zatarł ręce.

– No, chyba macie, co trzeba?

Ostatni Niemcy z Czerwonego Frontu

– Nikt z panią nie będzie chciał rozmawiać – uprzedzał Herr Wilhelm przez telefon. – *Niemand!* Są sceptyczni wobec obcych i mają bardzo złe doświadczenia z dziennikarzami. Ja sam zdobywałem ich zaufanie przez ponad rok. Dlatego najusilniej panią przestrzegam przed jazdą do Rot-Front, *verstehen Sie?*

Ostrzeżenie Herr Wilhelma mnie zaskoczyło. Zadzwoiłam do niego po wstępne informacje o niemieckiej społeczności w Rot-Froncie (Czerwonym Froncie), ponieważ był w grupie ludzi, którzy w ostatnich latach najściślej współpracowali z mieszkańcami tej wioski. Rozmowa telefoniczna trochę mnie zaniepokoiła, lecz jednocześnie sprawiła, że jeszcze bardziej się uparłam, żeby tam pojechać. Dlaczego nie chcą, żeby ich odwiedzano?

Młody kierowca wiozący mnie do Rot-Frontu miał imię, które trudno było wymówić i którego nie dało się zapamiętać. Zobaczywszy jego blond włosy, założyłam, że to Rosjanin. Okazało się jednak, że Tatar. Cała Azja Środkowa to mnóstwo przeróżnych narodowości, kultur, rysów, języków i tradycji. Wiele z nich, jak choćby krymscy Tatarzy, trafiło tutaj podczas drugiej wojny światowej. W 1944 roku Stalin postanowił, że wszystkich Tatarów z Krymu, ogółem ponad dwieście trzydzieści tysięcy ludzi, przesiedli się do Azji Środkowej. Do tej pory w Kirgistanie mieszka prawie trzydzieści tysięcy Tatarów, oprócz przedstawicieli wielu innych narodowości, które spotkał ten sam los. Wśród nich siedemnaście tysięcy Koreańczyków, którzy pierwotnie osiedli we Władywostoku, dziewiętnaście tysięcy Azerów przybyłych z Kaukazu oraz osiem i pół tysiąca Niemców nadwożańskich i z rejonu Morza Czarnego. Zanim władze radzieckie w 1989 roku zezwoliły na swobodną emigrację, w Azji Środkowej, zwłaszcza w Kazachstanie, przebywał ponad milion Niemców. Także w Kirgistanie znaleźli dach nad głową etniczni Niemcy, w sumie sto tysięcy. Cechą szczególną Niemców w Kirgistanie jest to, że wielu z nich pojawiło się tutaj jeszcze za caratu,

w XIX wieku. W tej pierwszej fali osiedleńców znaleźli się mennonicy, protestanckie ugrupowanie religijne z korzeniami w szesnastowiecznym ruchu nowochrzczeńców (anabaptystów), założone przez niderlandzkiego duchownego Mennona Simmonsa. Niemieccy mennonicy, którzy po prześladowaniach w swoich krajach osiedlili się nad Morzem Czarnym, opuścili te tereny w ucieczce przed przymusową służbą wojskową, wprowadzoną dla nich – wbrew ich pacyfistycznym przekonaniom – przez carat. Niewielka ich liczba wciąż mieszka w małej osadzie Rot-Front na północ od Biszkeku.

Mój kierowca ostro zahamował i zaklął pod nosem. Zapiszczały koła, rozszedł się swąd przytartej gumy. Tuż przed nami na szosę wjechała rozklekotana ciężarówka.

– Ludzie w tym kraju nie umieją jeździć – poskarżył się, jak to czynią wszędzie zawodowi kierowcy.

– Prawo jazdy jest drogie? – spytałam.

– Sto dolarów. Cena ta sama, czy będziesz brała lekcje jazdy i zdasz egzamin, czy też dostaniesz kwit do ręki.

– A co wybrałaś?

– Umiałem prowadzić, więc nie potrzebowałem jazd. To byłby tylko stracony czas.

Gdybyśmy nie wzięli po drodze znajdującego okolicę autostopowicza, nigdy byśmy nie trafili na miejsce. Niezliczone gościńce prowadziły do różnych siół i wiosek, a oznakowanie było w najlepszym razie mylące.

W Rot-Froncie powitała nas zniszczona zardzewiała tablica z czasów radzieckich. Okazało się, że to spokojne i idylliczne niewielkie sióło – kilka długich prostych ulic i tyle. Pobielone domy były ozdobione niebieskimi albo zielonymi futrynami. Dobrze utrzymane ogrody otoczone były wysokimi płotami. Tu i tam po poboczu drogi przemknął pojedynczy rolnik, poza tym wieś wydawała się dziwnie opuszczona. Młody kierowca miał, jak się okazało, szczególny talent do wyszukiwania chat, w których mieszkali

Niemcy.



Rot-Front (Czerwony Front): kiedy Związek Radziecki się rozpadł, prawie wszyscy Niemcy wyjechali. Szydł pozostał.

– Niemcy, zdecydowanie Niemcy! – Wskazywał palcem uporządkowany,

zadbany ogród. – A tam na pewno mieszkają Kirgizi. – Mijaliśmy akurat budynek, z którego tynk opadał grubymi płatami, ogród zaś stanowił składowisko narzędzi, wraków samochodowych i dziecięcych zabawek. – Kirgizi, tu też Kirgizi. Kirgizi. Niemcy!

Znowu przejeżdżaliśmy obok ozdobnego, zadbanego ogrodu. Dom był co prawda stary i zniszczony, ale ściany miał śnieżnobiałe, bez najmniejszego zadrapania, licowania okien lśniły w jesiennym słońcu świeżą farbą.

– Niemcy muszą mieć swoisty gen porządku, którego brak Kirgizom. – Roześmiał się.

Naprzeciw nas szedł wysoki mężczyzna w roboczym stroju. Miał posiwiałe blond włosy, rumianą twarz i jasną, rzadką brodę. Pamiętałam ostrzeżenie Herr Wilhelma, więc wysiadłam z samochodu, ociągając się.

– *Guten Tag!* – Dziwnie się czułam, wypowiadając po niemiecku słowa powitania w samym środku kirgiskiej wioski.

– *Guten Tag!* – Mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie. – *Sind Sie vielleicht Reporterin?*

– Tak, a raczej nie. Piszę książkę.

– No, to doprawdy ma pani szczęście! Nikt tutaj w Rot-Froncie nie zna historii lepiej ode mnie. Ma pani czas?

– Cały dzień.

– *Sehr gut!*

Wyciągnął rękę i przedstawił się jako Ernst Koop, jeden z najstarszych Niemców we wsi. Potem, nie ruszając się z pobocza, zaczął opowiadać. Był prawdziwą chodzącą encyklopedią, historię znał na wyrywki.

– Podczas wojen religijnych między katolikami a protestantami w szesnastym wieku mennonici byli prześladowani. Mamy wiele cech wspólnych z protestantami, w przeciwieństwie jednak do nich jesteśmy pacyfistami i praktykujemy chrzest dorosłych. Żeby uniknąć powołania do wojska, wielu mennonitów wyjechało z Fryzji i Flandrii, skąd pierwotnie pochodzimy, na obszary położone w dzisiejszej Polsce. W tysiąc siedemset

siedemdziesiątym drugim roku te polskie tereny przypadły w udziale Prusom. Mieszkający tam mennonici zostali zmuszeni do płacenia wysokich sum za wykupienie się od służby wojskowej. Stopniowo i ta możliwość zwolnienia całkowicie znikła. Katarzyna Wielka zaprosiła więc pruskich mennonitów do osiedlania się na rolniczych terenach w południowych rejonach Rosji, na dzisiejszej Ukrainie. Ponieważ obiecywała zwolnienie ze służby wojskowej, pełną swobodę religijną i prawo prowadzenia własnych szkół, wielu skorzystało z jej oferty. Niemcy zakładali własne osady, budowali szkoły, szpitale i zbory i radzili sobie z grubsza bez interwencji państwa. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku władze rosyjskie zaczęły się wtrącać w styl życia mennonitów i między innymi zażądały, by odsługiwali oni swoje w wojsku jak wszyscy inni. W proteście wielu Niemców wyemigrowało na Zachód – do USA i Kanady. Duża grupa wolała natomiast obrać kurs na wschód, do Azji Środkowej. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku dotarli do Taszkientu w Uzbekistanie i przez dwa długie lata szukali ziemi. Wreszcie rosyjski generał-gubernator nadał im ziemię w żyznej dolinie Tałas w dzisiejszym zachodnim Kirgistanie.

Niemiecki Ernsta był bezbłędny, staranny i modelowo wyraźny. Wymawiał każdą głoskę w każdym słowie, jego „r” pięknie wibrowały na zębach. Mógłby wręcz uchodzić za staroświeckiego mieszkańca południowych Niemiec albo Austriaka.

– Każda rodzina miała średnio dziesięcioro, dwanaścioro dzieci, toteż niemieckie wioski szybko rosły – ciągnął.

Wciąż staliśmy na poboczu. Wiał lekki wiaterek, ale na błękitnym niebie świeciło słońce.

– Z czasem było coraz trudniej obdzielać wszystkich ziemią. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku grupa mennonitów, wśród nich mój dziadek, opuściła dolinę i pociągnęła na wschód. Przewędrowali jakieś trzysta do czterystu kilometrów, zanim osiedli na północ od Biszkeku i założyli wieś Bergtal.

Koło nas przejechało konno trzech kirgiskich młodzieńców. Podkowy zastukały o asfalt. Ernst odprowadził ich wzrokiem.

– To była kiedyś czysto niemiecka wieś – rzucił. – W latach osiemdziesiątych mieszkała tutaj tylko jedna kirgiska rodzina. No, ale po kolei. Dotarliśmy do lat trzydziestych. Wtedy w tych okolicach zaczęła na serio rządzić władza radziecka i nazwa Bergtal została zmieniona na bardziej rewolucyjny Rot-Front. Mennonitom nie wolno było praktykować ich wiary, wszelka własność prywatna została skonfiskowana. Aron Wall, mój dziadek ze strony matki, odmówił oddania koni i krów. Nie był specjalnie bogaty, miał może wszystkiego dziesięć koni. Wtedy jednak tyle wystarczyło, żeby podpaść pod kategorię kułaka, bogatego chłopca. Ponieważ dziadek nie chciał współpracować, został aresztowany i odesłany do więzienia w Leninpolu⁵², trzysta kilometrów stąd. Matka, która miała wówczas trzynaście lat, opowiadała, jak policjanci przyszli do nich do domu i wszystko, co rodzina miała, wyrzucili na ulicę. Talerze, łóżka, noże, widelce. Wszystko. A potem przyszedł głód. Niemcy ucierpieli szczególnie. Matka zakopywała żywność i rzeczy w ogrodzie, żeby ich nikt nie znalazł. Przez całą młodość odkładała coś na zaś, na później. Tymczasem dziadek uciekł z więzienia i znalazł pracę w cukrowni w Kazachstanie. Babka z matką i resztą dzieci pojechały do niego. Mieszkali w Kazachstanie do tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

– A potem wrócili tutaj? – spytałam.

Czułam, że za długo stoję na słońcu. Skóra na głowie mnie paliła, czoło miałam zaczerwienione i gorące. Ponad godzinę spędziliśmy na tym poboczu. Ernst, który miał jeszcze jaśniejszą karnację ode mnie, nie wydawał się cierpieć z tego powodu i bez pośpiechu ciągnął swoją opowieść.

– Nie, mój dziadek nie wrócił. Zabrali go w środku nocy. Babka nie dowiedziała się, dokąd go wzięli ani co się z nim stało. Później doszukała się, że zabili go zaledwie po miesiącu. Wielu mężczyzn z doliny Tałasu i z Bergtalu spotkał podobny los w tamtym roku, gdy stalinowski terror sięgnął

zenitu. Mężczyzn zabijano wbrew prawu i bez sądu, po prostu dlatego, że byli Niemcami. Kiedy wybuchła wojna, wszystkich Niemców powyżej piętnastego roku życia wcielono do *trudowej armii*, wojska robotników. W praktyce był to obóz pracy. Tu zatrudniono ich przy budowie kanałów. Wielu z nich nie umiało ani słowa po rosyjsku, znali tylko niemiecki i kirgiski. Praca była ciężka, jedzenia dostawali mało. Zimą cały czas marzli. Rozwijały się choroby. Jedna trzecia nie wróciła do domów.

Ernst przyszedł na świat w 1957 roku jako najmłodszy z ósemki rodzeństwa. Wówczas skończył się już okres najgorszego ucisku, kirgisy Niemcy zostali zrehabilitowani i znowu było dużo żywności.

– Miałem szczęście co do momentu narodzin – skomentował Ernst. – Po śmierci Stalina w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku władze radzieckie zostawiły nas w spokoju. Mogliśmy żyć jako Niemcy. Nie umiałem ani słowa po rosyjsku, póki nie poszedłem do szkoły. W domu wszyscy mówili po niemiecku czy też *Plautdietsch*, który jest mową naszej wspólnoty. Czasami pojawiały się w szkole kontrole, które nas miały wychować w duchu ateizmu, ale tu wszyscy byliśmy wierzący. Zresztą nie było się na co skarżyć. Może nie mieliśmy wielu samochodów, ale nie marzliśmy i mieliśmy co jeść. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy umożliwiono emigrację do Niemiec, prawie wszyscy wyjechali. Pamiętam, że międzylądowanie w Moskwie było koszmarem. Wszędzie tłumy niemieckich emigrantów.

Wszystkie domy w Rot-Froncie wystawiono na sprzedaż. Niektórzy składali wnioski o pozwolenie na wyjazd po kilkadziesiąt razy i za każdym dostawali odmowę. Aż tu nagle brama do zagranicy stała otworem. Ernst właściwie nigdy nie marzył o wyjeździe do Niemiec, czuł jednak, że musi skorzystać z okazji, skoro się nadarza. Tymczasem nie potrafił się na dobre zadomowić w nowej ojczyźnie.

– To była wieczna wojna między napływowymi a stałymi mieszkańcami – mówił. – Niemcy czuli się lepsi od nas, *Zuwanderer*. Zanim przyjechałem

do Niemiec, myślałem, że znam niemiecki. Kiedy się tam znalazłem, nie rozumiałem nawet tego, co mówili w telewizji. Przecież my, mennonicy, od stuleci nie mieliśmy kontaktu z językiem i dlatego mówiliśmy archaicznie. W przeciwieństwie do Niemców wymawiamy słowa tak, jak się je pisze. Tych wszystkich skrótowców, które oni tak uwielbiają, nie rozumiałem ani w ząb.

Ernst mieszkał w Niemczech przez dwanaście lat. W tym czasie zdążył się ożenić i rozwieść oraz ożenić ponownie. W 2001 roku przeprowadził się ze swoją nową, rosyjską żoną na powrót do Kirgistanu, do Rot-Frontu.

– Przeżyłem szok, zobaczywszy, jak wiele się zmieniło. Domy tak bardzo podupadły. Raptem wioska się zestarzała. Teraz mieszkają w niej prawie sami Kirgizi. Pięć lat temu żyło tu trzydzieści niemieckich rodzin, dziś zostało tylko dziesięć. Za dziesięć, piętnaście lat w Rot-Froncie nie będzie już prawdopodobnie żadnego Niemca. Co jeszcze mógłbym pani opowiedzieć? To była saga o Rot-Froncie. Naprawdę miała pani szczęście, natykając się na mnie, *gnädige Frau!*

Ernst Koop uśmiechnął się przyjaźnie i podał mi rękę na pożegnanie. Odurzona i spalona słońcem, z twarzą, której kolor pasował do nazwy wioski, chwiejnie podeszłam do samochodu.

* * *

Następnego dnia była niedziela. Zbór, prosty, szary budynek wzniesiony za Gorbaczowa dzięki finansowemu wsparciu z Niemiec, łatwo było znaleźć przy wjeździe do wsi. Siedziało tam już w tylnych ławkach dwadzieścia, może trzydzieści osób. Zajęłam miejsce po lewej stronie, gdzie zgromadziły się kobiety. Poczulałam na sobie spojrzenia – byłam jedyną kobietą w spodniach i jedyną cudzoziemką. Większość z nich nakryła głowę chustką, żadna nie nosiła biżuterii ani innych ozdób. Nie malowały się. Mężczyźni, którzy byli w mniejszości, siedzieli w ławkach daleko z prawej, wszyscy wysokiego wzrostu, ubrani w ciemne garnitury. Mojego znajomego

z poprzedniego dnia, Ernsta Koopa, nie zauważyłam. Zbór wyglądał tak prosto jak zasiadający w nim ludzie. Ściany nagie, pozbawione witraży i obrazów. Kolorystyka beżowobrazowa. Na ścianie z przodu wypisano po rosyjsku kilka cytatów z Biblii.

Za kwadrans dziesiąta zebrała się ponad setka wiernych – częściowo Niemcy, głównie Rosjanie i Kirgizowie. O dziesiątej zaczęli śpiewać – powolne, melancholijne pieśni z rosyjskiego śpiewnika. Śpiewali wszyscy. Wysokie głosy kobiet unosiły się pod dach. Śpiewali bez przerw, wydawało się, że nigdy nie przestaną. Jak tylko skończyli jeden psalm, odwracali stronę i zaczynali następny.

Wreszcie wybrzmiał ostatni dźwięk i głos zabrała kobieta po czterdziestce. Mówiła długo, aż za długo, głos miała wąty, ale dobrze słyszalny. Jako ludzie musimy mieć odwagę, by być otwarci i tolerancyjni, powiedziała po rosyjsku. Musimy ośmielić się spojrzeć w oczy tym, którzy nie należą do kręgu naszych najbliższych, przyjąć ich historię i wziąć ich ból na siebie, rozmawiać z nimi, być przyjaźni i szczerzy. Kiedy siadła, podniosła się inna kobieta. Drżącym głosem opowiadała, jak Jezus pomógł jej w ciężkich chwilach w życiu. Następny wstał mężczyzna. Potem zabrała głos młoda kobieta. Reszta wiernych nabożnie słuchała tego, co mieli do powiedzenia. Trójka blondasków za mną czytała niemiecką książeczkę dla dzieci. Maluchy bezszelestnie przewracały strony, cierpliwie jedna po drugiej, niewidzialne, niesłyszalne.

Na koniec przemówił ten, który musiał być starszym zboru – szczupły, wyprostowany mężczyzna otoczony aurą autorytetu niezauważalną u jego poprzedników. Z prostej mównicy popłynęły słowa o Bogu. Głos był surowy, żarliwy, ale nie podniesiony. Jak pozostali, mężczyzna używał rosyjskiego, choć z niemieckim akcentem. Łagodne dźwięki rosyjskiej mowy uniosły moje myśli daleko od domu modlitwy, gdy nagle usłyszałam słowo „dziennikarz”. Mężczyzna nie mówił o Bogu, lecz ciskał z mównicy niegroźne gromy na żurnalistów.

– Przyjeżdżali tu dziennikarze, którzy potem błędnie o nas pisali. Dlatego najlepiej z nimi nie rozmawiać.

Gdy to mówił, patrzył cały czas w moim kierunku, ale nie w moje oczy.

Kolejna modlitwa. Kobieta opowiada coś ze szlochem. Więcej śpiewu. Potem wszystkich, którzy nie są członkami zboru, poproszono o opuszczenie sali. Wszystkie dzieci i wielu dorosłych wyszli. Zauważyłam przynaglające spojrzenia i pospieszyłam za nimi.

Po małej chwili wyszła reszta wiernych. Starszy zboru stanął w drzwiach. Poszukał mnie wzrokiem.

– Pewnie pani wie, jak się nazywam – odezwał się, kiedy podeszłam.

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą. – Zakładam, że to pan jest starszym gminy.

Skinął potakująco głową.

– Heinrich Hann. Jak rozumiem, rozmawiała pani z Herr Wilhelmem?

– Tylko trochę.

Znowu kiwnął głową i rozpoczął dłuższą przemowę, którą sobie widocznie przygotował.

– Przykro mi, lecz mamy tak złe doświadczenia z dziennikarzami... Nie tylko z jednym, z wieloma. Bardzo wielu przyjeżdżało tutaj i pisało nieprawdę. Zresztą napisano o nas już wiele książek. Po co więc pisać następne? Czemu to ma służyć? Uważam, że będzie najlepiej, jeżeli pani od razu wyjedzie. Nikt tu z panią nie zechce rozmawiać.

Próbowałam się od niego dowiedzieć, co ci dziennikarze takiego złego napisali, ale Heinrich Hann zacisnął usta i nie chciał dodać nic więcej. Bez słowa pożegnania obrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu zboru.

Zanim wyruszyliśmy z powrotem do Biszkeku, poprosiłam młodego kierowcę, żebyśmy zahaczyli o cmentarz, położony na drugim brzegu rzeki i obrośnięty świerkami przemieszany z drzewami liściastymi. Ziemię pokrywały tu suche, pożółkłe liście. Groby były proste, ale zadbane. Z portretów na nagrobkach spoglądali na nas dawni członkowie zboru,

odziani w ponadczasowe garnitury lub odświętne suknie, z mocno ściągniętymi lub gładko zaczesanymi włosami, bez ozdób i makijażu. Za to wszystkie płyty nagrobne zdobiły budujące religijne cytaty. *Die Liebe weint. Der Glaube tröstet.* Miłość płacze. Wiara pociesza. *Durchs Kreuz zur Krone.* Przez krzyż do korony. *Ich bin dahin! Kommst Du auch?* Jestem w zaświatach! Czy także przyjdiesz? Tylko daty zdradzają, jak niedawno zmarli byli jeszcze wśród nas: 1988, 1987, 1989, 2009.

Kiedy mijaliśmy zbór przy wyjeździe ze wsi, starszy gminy Heinrich Hann akurat zamykał jego drzwi na klucz. Odwrócił się i posłał mi jadrowite spojrzenie.

Greckie orzechy włoskie

Według legendy Arslanbob, wielki dobroczyńca miasteczka, przybył do niego w XI wieku. Dostał bowiem od proroka Mahometa zadanie znalezienia raju na ziemi. Arslanbob odwiedzał zatem różne krainy i miejsca, nie znalazł jednak raju. Na koniec dotarł do żyznej doliny otoczonej pokrytymi zielenią górami, w której płynęła rzeka pełna perlącej się świeżej wody. Arslanbob pojął, że oto wypełnił zadanie proroka. Znalazł raj. Był tylko jeden problem – w tym raju nie rosły drzewa. Wobec tego Arslanbob doniósł Mahometowi, że znalazł raj na ziemi, ale nie ma tam drzew. Na to Mahomet przysłał mu worek orzechów. Arslanbob wspiął się na najwyższy szczyt i rozrzucił orzechy po dolinie.

W ten sposób w mieście Arslanbob powstał las orzechów włoskich, by zacytować miejscową informację turystyczną. Azyłbek, wioskowy święty człowiek i strażnik miejskiego mauzoleum, opowiedział inną historię z takim samym jednak zakończeniem.

– Arslanbob był bliskim przyjacielem Mahometa – zaczął.

Azyłbek miał długą, siwą brodę i wydatne usta. Ubrany był w wytarte spodnie od garnituru z widocznym kantem i w zbyt obszerną brązową kurtkę. Na głowie nosił płaską białą czapkę.

– Prorok powiedział do Arslanboba, że ma dla niego trzy zadania. Pierwsze z nich nakazywało przechować nasiona persymony. Pewnego dnia miał spotkać człowieka, któremu te nasiona będą się należały, i wtedy miał mu je dać. Arslanbob trzymał nasiona pod językiem, aż kiedyś spotkał odpowiedniego człowieka i oddał mu je, jak obiecał Prorokowi. Drugie zadanie polegało na tym, że miał się udać na okryte zielenią wzgórze i założyć tam wielki ogród. Arslanbob i z tym sobie poradził. Na koniec miał się spotkać z archaniołem Gabrielem, który wręczy mu jakieś orzechy. Tym razem nie miał ich nikomu oddawać, lecz zasadzić je sam. I zrobił to tutaj, w naszej miejscowości, w Arslanbobie. – Azyłbek się uśmiechnął. –

Od pojawienia się Arslanboba w Arslanbobie minęło czterdzieści pokoleń. Pochodzę w prostej linii od niego.

Inna legenda o orzechach włoskich, w której lubowała się tutejsza informacja turystyczna, przeczyła dwóm pierwszym i angażowała Aleksandra Macedońskiego. Podczas wyprawy na wschód jego armia zahaczyła o Arslanbob. Aby okazać dobre zamiary, mieszkańcy wyszli żołnierzom naprzeciw z podołkami pełnymi orzechów włoskich. Żołnierze byli tym smacznym darem ponoć tak zachwyceni, że zabrali orzechy ze sobą do Hellady. Tam założyli wielkie sady orzechowe i tak drzewa orzecha włoskiego z Arslanbobu stały się zaczątkiem orzechów europejskich. Po rosyjsku orzech ten nazywa się zresztą grecki (*grietskij orech*), choć bardziej prawidłowym określeniem, w każdym razie jeśli wierzyć tej legendzie, byłoby „orzech kirgiski”.

Trzecia opowieść o tym, jak orzechy włoskie trafiły do Arslanbobu, każe Aleksandrowi Macedońskiemu przywieźć je z Indii. Władca zaopatrzył się w worki orzechów, żeby miał czym płacić za przeprawy przez rzeki, a kiedy jego armia stanęła w Arslanbobie, żołnierze zasadzili tak wiele orzechów, że wyrósł prawdziwy las. Pracownicy informacji turystycznej w liczbie dwóch odrzucali tę wersję zdecydowanie, twierdząc, że to kłamstwo i oszukaństwo i że nie należy w to wierzyć.

Nawet jeśli panuje pewna niejednomyślność co do drogi, jaką *Juglans regia* trafił do Arslanbobu, nikt nie odbierze tutejszej informacji turystycznej następującego faktu: powierzchnia otaczającego miejscowość lasu orzechowego wynosi sześćdziesiąt tysięcy hektarów. Tym samym jest to największe na świecie dziko rosnące zwarte skupisko orzecha włoskiego.

Arslanbob był najbardziej zieloną i urodzajną miejscowością, jaką napotkałam w czasie całej podróży. Las orzechowy zieloną falą ciągnął się kilometrami na wschód, by wreszcie dotknąć gór niebieszcących się na horyzoncie. Domy mieszkalne wręcz znikwały w powodzi drzew i dopiero kiedy zobaczyłam miasteczko ze wzniesienia w lesie, uświadomiłam sobie,

jak jest duże. Bujne korony drzew skrywały setki domów i ogrodów. Domy były tu większe i ładniejsze niż te, które widywałam w innych miejscowościach, zbudowane z cegły, świeżo otynkowane, z dużymi, błyszczącymi oknami. Ogrody stanowiły radość dla oczu.



Według legendy orzech (włoski) zabrali ze sobą z Arslanbobu do Europy żołnierze Aleksandra Macedońskiego.

Siateczka ścieżek i polnych dróg prowadziła w głąb lasu. Niskie płotki dzieliły go na parcele, które dzierżawiły miejscowe rodziny. Dziesięć procent dochodów ze sprzedaży orzechów przeznaczano na Stowarzyszenie Orzecha Włoskiego, które odpowiada za opryski i nowe nasadzenia. Między grubymi

pniami drzew poustawiano kolorowe namioty, wszędzie biegały i bawiły się dzieci. Był październik – sezon zbiorów. Corocznie na jesieni mieszkańcy mają cztery do pięciu tygodni na zebranie dojrzałych orzechów. Gdy spadnie śnieg, będzie za późno. Wiele rodzin wynosi się w tym czasie do lasu, żeby nie tracić cennych godzin na dojazd.

Abidżan i jego rodzina mieszkali tam od tygodni. Wszyscy pomagali w zrywaniu, obieraniu i myciu orzechów, nawet dwuletnia córeczka. W jaki sposób rodzice i czwórka dzieci mieścili się w skromnym namiocie, niewiele większym od volkswagena, pozostaje dla mnie do dziś zagadką. Pod plastikową płachtą leżały kolorowe materace, kołdry, garnki i żywność. Przy linkach grzebało kilka kur. Rodzinny osiołek stał przywiązany do drzewa. Psa i kota również zabrano do lasu.

Wysmagane wiatrem rysy Abidżana sprawiały, że wyglądał na znacznie więcej niż czterdzieści pięć lat. Pożółkłe zęby i wystająca olbrzymia szczęka także nie dodawały mu urody. Ciało natomiast miał szczupłe i gibkie jak u dwudziestolatka, ręce i nogi żylaste, silne. Jak małpa wspiął się na jedno z drzew za pomocą pojedynczej liny, bez innych zabezpieczeń. Wkrótce zamienił się w ciemny kształt na czubku korony, trzydzieści metrów nad ziemią. Wszedł na próbę na jedną z gałęzi. Wygięła się lekko, lecz nie złamała. Kiedy dotarł prawie do jej końca i gałąź zabujała się pod nim jak napięty łuk, kucnął na niej i zaczął się huścić w pionie. Powietrze zawirowało od opadających liści, przecinały je lecące na ziemię orzechy. Dzieci podbiegły, żeby zebrać rozsypane pod drzewem zielone, pomarszczone owoce. Orzechy przed sprzedaniem trzeba oczyścić z łupinki i umyć. Dziecięce dłonie były czarne od mocnego pigmentu.



Rodzeństwo w Arslanbobie zajęte mieleniem mąki.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – spytałam, kiedy Abidżan zszedł na ziemię.

– Nie wtedy, kiedy do drzewa podchodzi się z respektem – odparł. – Zdarza się, że młodzi ludzie spadają i zostają inwalidami, ale prawie zawsze winę za to ponosi ich nieostrożność. Ja, dzięki Bogu, nigdy nie miałem wypadku.

Rodzina ma do dyspozycji sto dwadzieścia drzew. W urodzajne lata zbiera do pięciuset kilogramów orzechów. Wczesną jesienią cena za kilogram wynosi sześćdziesiąt somów, czyli około siedmiu koron norweskich. W kraju, gdzie PKB na mieszkańca to siedem tysięcy koron rocznie, orzechy stanowią

znaczący dodatkowy dochód. Toteż wszystko idzie na sprzedaż, zbieracze prawie nie jedzą orzechów. Gdyby mogli czekać ze sprzedażą na grudniowy szczyt popytu, zarobiliby podwójnie, ale niewielu stać na tak długą zwłokę.

– Fajnie mieszkać w lesie? – spytałam najstarszego, dwunastolatka.

– O, tak! – Jego gładka twarzyczka rozjaśniła się w odpowiedzi. – Orzechy znaczą pieniądze, masę, masę pieniędzy!

Jak większość mieszkańców Arslanbobu Abidżan i jego rodzina są Uzbekami, nie Kirgizami. Według lokalnej informacji turystycznej również to da się wytłumaczyć legendą. Przed wieloma wiekami mianowicie wydano pewną uzbecką księżniczkę za kirgiskiego króla, a ten w dowód wdzięczności ofiarował ojcu księżniczki Arslanbob. I tak doszło do tego, że Arslanbob stał się uzbecki, chociaż większość sąsiednich miejscowości zasiedlają Kirgizi.

Niezależnie od procentowej zawartości prawdy w legendzie Arslanbob jest dobrym przykładem tego, jak granice między krajami w Azji Środkowej mogą wprowadzać w błąd. Naturalne byłoby założenie, że w Kirgistanie mieszkają Kirgizi, skoro nazwa wskazuje, że jest to ich kraj, natomiast Uzbeki zasiedlają Uzbekistan i tak dalej. Tymczasem jest inaczej. Prawie połowa Turkmenów w Azji Środkowej mieszka poza Turkmenistanem, wielu z nich w Afganistanie oraz Iranie. W Afganistanie żyje więcej Tadżyków niż w Tadżykistanie, w Samarkandzie i Bucharze zaś, które leżą w Uzbekistanie, głównym językiem jest tadżycki. Uzbeki stanowią jedną szóstą ludności Kirgistanu i co najmniej jedną piątą Tadżykistanu.

Radzieccy kartografowie nie mieli łatwego zadania, gdy wprowadzali porządek w ten środkowoazjatycki patchwork ludów, języków i rodów. Do roku 1924 Rosjanie traktowali Azję Środkową jak jeden wielki region, któremu nadali nazwę Turkiestan, kraj Turków, ponieważ większość ludzi tam żyjących mówiła językami turkijskimi. Zdawali sobie oczywiście doskonale sprawę z tego, że ludy na tym terenie dzieliły się na rozmaite

podgrupy i kultury, nie widzieli jednak powodu, aby jeszcze bardziej komplikować ten obraz. I tak był wystarczająco zawiły. Miejscowi często sami nie wiedzieli, do jakiej narodowości należą. W spisie powszechnym w 1926 roku podawali z reguły plemię i ród, lecz nie zawsze potrafili powiedzieć, czy są Uzbekami, Kirgizami czy Tadżykami.

Turkiestan nigdy nie był zbiorczą jednostką organizacyjną, póki pod koniec XIX wieku nie pojawili się w nim Rosjanie. Podobnie pięć dzisiejszych republik postradzieckich przed 1991 rokiem nigdy nie miało odrębnego bytu. Nowe kraje przyjęły granice zakreślone w latach dwudziestych i trzydziestych za Stalina, mimo że, jak wiadomo, nie miały one korzeni historycznych. Gdyby Rosjanie chcieli uwzględnić płynne granice chanatów, Uzbekistan zostałby podzielony na trzy państwa. Postanowili jednak przyjąć linie podziałów etnicznych oraz językowych i nie dbali przesadnie o zgodność map z realiami.

Interesujące jest pytanie, dlaczego władze w ogóle zwracały sobie głowę podziałem Turkiestanu na pięć republik. Przyczyn należy pewnie częściowo szukać w pojmowaniu przez komunistów wspólnot narodowych. Uważali bowiem, że są one ważnym etapem w rozwoju wiodącym ku światowej rewolucji, i wykorzystywali narodowość jako czynnik organizujący w całym Związku. Po części też przyczyną było może to, że obawiali się zjednoczenia muzułmanów w Turkiestanie przez panturecki nacjonalizm. Podkreślając różnorodność języków środkowoazjatyckich również tam, gdzie podobieństwa były liczniejsze niż różnice (na przykład między językami kirgiskim i kazachskim), oraz eksponując odmienną kulturę i historię tamtych ludów, władze radzieckie uczestniczyły w konstruowaniu nowych – językowych i kulturowych – linii podziału między środkowoazjatyckimi wspólnotami plemiennymi.

Strategia okazała się skuteczna. Przez cały okres radziecki więcej było kontaktów i handlu między pięcioma republikami środkowoazjatyckimi a Rosją niż bratania się tych republik między sobą. Do dziś Stany mają

ściślejsze związki – gospodarcze i polityczne – z Rosją niż ze sobą nawzajem. Jeżeli dziś Kazachstan, a za nim też Kirgistan i Tadżykistan zostają członkami Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej, to przede wszystkim po to, by jeszcze bardziej zbliżyć się z Moskwą, nie zaś dla wzmocnienia współpracy między sobą.

Granice między poszczególnymi ludami były, jak wspomniałam, dość nieokreślone. W wielu miejscach różne ludy żyły, jak to się mówi, ramię w ramię. Gdyby granice miały z większą dokładnością zaznaczać podziały etniczne, trzeba by było przesiedlać setki tysięcy, jeśli nie miliony, ludzi. Stalin nie omieszkał realizować tego zadania, jednak nie w Azji Środkowej. Tu rozkaz z Moskwy brzmiał: dziel i rządź!

W żyznej Kotlinie Fergańskiej, gdzie spotykają się Tadżykistan, Kirgistan i Uzbekistan, granice na mapie przebiegają osobliwym zygzakiem. Tadżycy, Kirgizi i Uzbeki żyli tu przez setki lat obok siebie. W czasach radzieckich duże obszary zamieszkane głównie przez Uzbeków znalazły się w granicach Kirgistanu. Kiedy w 1929 roku z Uzbekkiej Republiki Radzieckiej wydzielono Tadżycką Republikę Radziecką, wiele setek tysięcy Tadżyków znalazło się po uzbeckiej stronie granicy i odwrotnie. Żeby to jeszcze bardziej zaplątać, utworzono małe tadżyckie i uzbeckie enklawy w Kirgizji oraz kirgiskie enklawy w Uzbekistanie. Istnieją one do dzisiaj i stanowią kłopot dla reszty mieszkańców, trzeba je bowiem często omijać długimi objazdami. W czasach radzieckich, gdy kontrole graniczne z reguły były czystą formalnością, ani granice, ani enklawy nie stwarzały problemów. Poszczególne republiki dzierżawiły od siebie ziemię w miarę potrzeb, większość ludności mogła swobodnie odwiedzać krewnych w sąsiednich republikach.

Dzisiaj natomiast granice, które dawniej były jedynie kreskami na mapie, stały się fizycznymi barierami. Ludy, które pod żelazną dłońią Moskwy współżyły pokojowo, są teraz zaciętymi wrogami. Szczególnie skomplikowane są stosunki między Kirgizami a Uzbekami, którzy w południowym Kirgistanie stanowią jedną trzecią ludności. Kirgizi

tradycyjnie nie dowierzali osiadłym Uzbekom, ci zaś ze swej strony pogardzali koczowniczą kulturą Kirgizów. Ponieważ Uzbeki od wieków zajmowali się rzemiosłem i handlem, są zwykle bardziej zamożni od Kirgizów, którzy dopiero niedawno zaczęli sprowadzać się do miast i często trudno im znaleźć pracę.

Aż do ostatnich lat istnienia Związku Radzieckiego kontrolowano ów tłący się konflikt. W czerwcu 1990 roku, kiedy Związek zaczął trzeszczeć w szwach, pojawiła się pierwsza iskra, która szybko wywołała wielki pożar. Wszystko wzięło się od niesnasek wokół prawa własności do byłego kołchozu między grupami uzbeckich i kirgiskich nacjonalistów. W ciągu kilku dni zabito ponad trzysta osób, a tysiąc dwieście odniosło rany. Walki toczyły się głównie na południu kraju, w miastach Uzgien (Özgön) i Osz, które jest drugim co do wielkości w Kirgistanie. Trzy dni po wybuchu zamieszek Gorbaczow uruchomił wojsko. Żołnierze jednostek specjalnych w stosunkowo krótkim czasie przejęli kontrolę nad sytuacją. Żeby zapobiec ponownemu zaostrzeniu się konfliktu, siły gwarantujące pokój pozostały na tym terenie przez pół roku.

Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, wielu Kirgizów się obawiało, że Uzbeki zyskają w ich kraju zbyt wiele władzy i wpływów. Dopiero co wyzwolili się spod jarzma Rosjan – teraz chcieli się rządzić sami. Z kolei Uzbeki mieli dość określania ich jako „uzbeckiej diaspory”, jakby byli tylko tymczasowymi gośćmi, wypędzonymi ze swojego kraju, gdy w rzeczywistości żyli na kirgiskim terytorium od setek lat.

Kirgiskie podręczniki historii nie wspominają o Uzbekach ani słowem, skutkiem zaś nowej ustawy o języku z 2004 roku nie jest dozwolone posługiwanie się uzbeckim w oficjalnych dokumentach. Poza tym Uzbeki konsekwentnie nie są dopuszczani do stanowisk politycznych ani do władzy.

Do chwili, gdy Uzbeki i Kirgizi znówu starli się ze sobą w Oszu w południowym Kirgistanie, miało od tamtych wydarzeń minąć dokładnie dwadzieścia lat. Tym razem liczba ofiar śmiertelnych była jeszcze wyższa niż

w 1990 roku.

Pięć czerwcowych dni

12 czerwca 2010 roku, dwa dni po wybuchu zamieszek między Kirgizami a Uzbekami w Oszu, niepokoje przeniosły się do Dżalalabadu, prowincjonalnego miasta w pobliżu granicy z Uzbekistanem, mającego niespełna sto tysięcy mieszkańców. Kiedy rozległy się pierwsze strzały, dwudziestosześcioletnia Uzbekka Nigora siedziała w ogrodzie na tyłach domu ciotki na ulicy Lenina razem z ciotką, siostrą, kuzynką i jej dwojgiem małych dzieci. Kobiety i dzieci wbiegły do domu, pozamykały wszystkie drzwi i schroniły się w pomieszczeniu bez okien. Żadna nie odważyła się zapalić światła. Z ulicy dobiegały podniesione głosy mężczyzn i dźwięk rozbijanych szyb. Nigora martwiła się o swojego trzyletniego syna, który był w odwiedzinach u szwagierki. Mimo że wołałaby mieć go przy sobie, bała się wyjść, choć szwagierka mieszkała tuż obok.

Tego wieczoru splądrowano dziesiątki sklepów. U złotnika nieco dalej przy tej samej ulicy skradziono biżuterię o wartości ponad trzydziestu tysięcy norweskich koron; jak na Kirgistan – majątek. W okolicach, gdzie mieszkali wyłącznie Uzbeki, pojawiły się bandy Kirgizów z samochodami dostawczymi. Chodzili od domu do domu i ładowali do nich dywany, lodówki, pralki, telewizory, kosztowności. Potem te domy podpalali i uciekali. Przez cały dzień i wieczór napływali Kirgizi ze wsi, żeby się bić. Jedna wioska w pobliżu Dżalalabadu stanęła w płomieniach, w ciężkich walkach między Kirgizami a Uzbekami wielu mężczyzn zostało zabitych lub poważnie rannych. Później Nigora dowiedziała się, że jedną z ofiar tego wieczoru był dwudziestoletni syn szwagierki, Timur.

Następnego dnia rano zadzwoniła szwagierka. Jeszcze nie wiedziała o śmierci Timura. Powiedziała, że synek Nigory się boi i pyta o mamę. Czy nie spróbowałaby po niego wpaść? Zrobiło się trochę spokojniej. Na ulicach ucichły krzyki i strzelanina. Nigora z siostrą otworzyły ostrożnie bramę i wyszły na wyludniony chodnik. Z ulic zniknęły samochody, wszystkie

sklepy pozamykano. Po nocnych pożarach unosił się zapach spalenizny. Kiedy doszły do skrzyżowania ze światłami, zauważyły po drugiej stronie ulicy idących z naprzeciwka dwóch wysokich Kirgizów, na oko powyżej czterdziestki. Nie mogli być dalej niż jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów od nich. Zatrzymali się, zobaczywszy Nigorę z siostrą. Z reklamówek wyjęli długie noże. Nieco dalej szła ulicą grupka ośmiu, dziesięciu Kirgizów.

– Trzymać te Uzbeczki! – zawołał jeden z nich.

Nigora i jej siostra zawróciły i pobiegly ile sił w nogach z powrotem do domu ciotki. Słyszały kroki ścigających je mężczyzn. Brama u ciotki była zamknięta.

– Ciociu! Otwórz bramę! – zaszlochała Nigora, waląc we wrota.

Mężczyźni niemal je doganiali, gdy ciotka usłyszała wołanie. Ledwo zdążyły przemknąć do środka. Kirgizi zostali na chodniku, łomocząc i kopiąc w solidną żelazną bramę.

Dwie godziny później wrócili. Znowu walili pięściami i kopali, brama była jednak wysoka i mocna, toteż i tym razem jej nie pokonali. Wtargnęli jednak do sąsiada i ukradli mu samochód. Kobiety obawiały się, że Kirgizi wrócą po raz trzeci i że wtedy uda im się otworzyć bramę, dlatego uciekły do sąsiadów po drugiej stronie ulicy, starego ślepeca z synem. Ten ostatni zaprowadził je do niewielkiego składziku, gdzie jego zdaniem powinny być bezpieczne.

– Nie wychodźcie, czekajcie, aż po was przyjdziemy – napominał, zamykając drzwi na klucz.

Schroniły się tu już dwie inne rodziny, toteż w sumie w małym, ciemnym pomieszczeniu, gdzie trzymano ziemniaki i cebulę na zimę, siedziało teraz dziewięć kobiet i dziesięcioro dzieci. Na dworze panował obezwładniająco letni upał, tutaj w powietrzu unosiły się strach oraz zapach potu i cebuli. Minuty mijały powoli. Mniej więcej po godzinie kobiety usłyszały, że ślepiec z płaczem błaga:

– Nie, nie, nie róbcie tego, proszę, nie róbcie!

Potem dobiegł je dobrze znany syk płomieni. Czuły, że ogień się zbliża,

pomieszczenie napełniało się dymem, robiło się coraz bardziej gorąco... Drzwi zamknięte na klucz. Nie wyjdą. Po jakimś czasie zajął się sufit. Gorąco nie do wytrzymania, powietrze zgęstniało od dymu. Kaszłały i płakały na przemian. I wszystkie się modliły. Także Nigora. Modliła się, żeby mogły wyjść. Nie potrafiła w ogóle jasno myśleć, tylko powtarzała słowa krótkiej modlitwy. Czekala. Czekala, aż ją ktoś uratuje, aż coś się stanie, aż się to wszystko skończy. Czternastoletnia dziewczyna wdepnęła niechcący w płomienie. Zająły się jej obie nogi, ale była tak przerażona, że tego nie zauważyła. Nigora zaczęła przygotowywać się na śmierć, gdy syn ślepcy otworzył drzwi. Pożar trawił cały dom. Czerwone języki ognia wydostawały się przez okna. Wybiegła razem z resztą kobiet i dziećmi.

Zatrzymały się w krótkiej ślepej uliczce na tyłach domu sąsiada niepewne, dokąd iść. Gdzie będzie bezpiecznie? Zauważyli je stojący nieco dalej czterej przyjaźni Kirgizi. Podeszli do nich.

– Nie bójcie się! Jesteśmy sąsiadami, pomożemy wam.

Zaprowadzili je do mieszkania w pobliżu. Tam były bezpieczne. Inni kirgiscy sąsiedzi przynieśli im jedzenie i starali się pomóc.

Dzień później wszystko minęło. Kirgiskie bandy zniknęły i znowu można było bez lęku chodzić po ulicach. Kobiety ośmieliły się opuścić mieszkanie dopiero bliżej południa. Synek Nigory tak się ucieszył na widok mamy, że zapomniał o strachu. Ona sama jeszcze przez wiele miesięcy lękała się nagłych dźwięków.

– Trzeba czasu, żeby zapomnieć – mówi dziś ta młoda, delikatnie zbudowana kobieta o niemal dziecięcych rysach, w hidżabie i obcisłych dżinsach. – Powoli to ustępowało, aż przestałam się bać. Życie wróciło do normy. Pewne rzeczy nigdy nie będą takie jak przedtem. Coś zniszczono na zawsze. Timur już nie wróci. Moja sąsiadka, która była w zaawansowanej ciąży, tak się przeraziła strzelaniny, że straciła dziecko. I stosunki między Uzbekami a Kirgizami są inne. Teraz, słysząc słowo „Kirgiz”, czuję, jakbym zamieniała się w bryłę lodu.

Nie ma jednej opinii na temat tego, jak i dlaczego doszło do tamtych rozruchów. Opisy naocznych świadków są niespójne i częściowo ze sobą sprzeczne. Wydarzeniem, które powtarza się w wielu relacjach, jest kłótnia, do której ponoć doszło między pewnym Uzbekiem a pewnym Kirgizem w Oszu, w salonie gry „24 godziny” wieczorem 9 czerwca. Uzbecki klient rzekomo przegrał dużą sumę i wdał się w pyskówkę z młodym Kirgizem. Doszło do konfrontacji i obecni w lokalu Uzbegy mieli telefonicznie wezwać na pomoc innych Uzbeków. Wkrótce całe miasto wiedziało, że coś się dzieje między Uzbekami a Kirgizami, i w centrum zaczęły się zbierać duże grupy młodych ludzi.

Potem nikt nie umiał wyjaśnić, w jaki sposób powstała ta plotka. W ciągu kilku godzin całe miasto nagle „wiedziało”, że coś się wydarzyło przy akademiku uniwersyteckim. W miarę upływu czasu opowieści były coraz bardziej dramatyczne. Budynek stał wprawdzie jak przedtem w nienaruszonym stanie, wkrótce jednak cały Osz był święcie przekonany, że grupa Uzbeków spaliła akademik do cna, a wcześniej zgwałciła, zamordowała i pocięła na kawałki studentki. Parę dni po zniesieniu stanu wyjątkowego miejscowy adwokat, wciąż pewny prawdziwości swojej wypowiedzi, opisywał to, do czego podobno doszło, w następujących słowach:

Grupa włamała się do internatu i gwałciła studentki. Inni bili kirgiskich studentów i rozbijali okna w budynku. Znalaziono zwłoki ośmiu studentek. Kobiety zostały zgwałcone, pocięte nożem, a ich ciała noszą ślady przypalania. Część zwłok ma rozcięte, wypełnione śmieciami brzuchy i powykluwane oczy⁵³.

Fakty są takie, że nikt tej nocy nie włamywał się do akademika – ani Uzbegy, ani Kirgizi – nikt zatem nie został zgwałcony ani zabity. Plotka natomiast żyła własnym życiem, jak to plotka, i przyczyniła się do rozognienia młodych

kirgiskich mieszkańców Oszu. W ciągu nocy sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli i miasto stało się strefą wojny. Ulice wypełniły uzbrojone bandy i czołgi. Na domach i sklepach pojawiły się duże napisy czarnymi literami. Co oznaczono słowem „Kirgiz”, zostawało nienaruszone.

12 czerwca przemoc dotarła do Dżalalabadu, dobre sto kilometrów dalej na północ. Władze w Biszkeku były bezsilne. Poprosiły o pomoc Moskwę, ale prezydent Miedwiediew nie chciał się mieszać w wewnętrzne sprawy Kirgistanu.

Dopiero 15 czerwca, po pięciu krwawych dniach, władzom udało się z pomocą wojska położyć kres zamieszkom. Ponad czterystu dwudziestu ludzi zostało zabitych, ponad dwa tysiące rannych. Setki tysięcy zmuszono do ucieczki do Uzbekistanu lub na tereny przygraniczne. Ponad dwa tysiące budynków uległo całkowitemu zniszczeniu.

Między wydarzeniami z letnich miesięcy 1990 i 2010 roku występują liczne podobieństwa. W obu przypadkach do zamieszek doszło w próżni decyzyjnej, gdy rządzące władze były słabe. W 1990 roku był to łabędzi śpiew Związku Radzieckiego, w 2010 roku Kirgistan powoli wracał do równowagi po rewolucyjnych zmianach, których efektem była emigracja prezydenta Bakijewa. W 1990 roku wskaźniki ekonomiczne spadały, tak samo było w 2010 roku (to opóźniony skutek międzynarodowego kryzysu finansowego). Zarówno w 1990, jak i w 2010 roku większość ofiar stanowili Uzbegy. Jest natomiast jedna duża różnica między tymi wydarzeniami. Podczas procesów w 1990 roku, pierwszych zresztą, które były następstwem konfliktów etnicznych w Związku Radzieckim, czterdzieści osiem osób skazano na kary długoletniego więzienia za zabójstwa, usiłowanie zabójstw i gwałty. Osiemdziesiąt procent z nich było Kirgizami. Po wydarzeniach w 2010 roku oskarżono o zabójstwo i skazano w sumie siedemdziesiąt jeden osób. Ponad osiemdziesiąt procent z nich było Uzbekami. Siedemnaście osób, wszystkie narodowości uzbeckiej, skazano na kary dożywotniego więzienia w procesach, które były ostro krytykowane przez organizacje

broniące praw człowieka. We wszystkich tych rozprawach sędziowie i prokuratorzy, a także obrońcy byli Kirgizami.

Trzy lata po tych dramatycznych dniach wiele zgliszcz w Dżalalabadzie stoi nietkniętych. Te szkielety domów co dzień przypominają o nienawiści, która na kilka słonecznych czerwcowych dni kompletnie wyrwała się spod kontroli. Reprezentacyjny uzbecko-kirgiski Uniwersytet Przyjaźni nie reaktywował działalności. W porozbijanych oknach powiewają nadpalone zasłony. Ściany pokrywa sadza.

Stosunki między Kirgizami a Uzbekami są dalej napięte i niewielu z nich ma o sobie nawzajem dobre zdanie. Liczni Uzbeki się przenieśli – albo do Uzbekistanu, albo do Rosji. Nigora przeciwnie, wybrała Dżalalabad.

– Wielu moich przyjaciół wyjechało w proteście do Rosji – wyjaśnia. – Nie chcą być obywatelami Kirgistanu. Naturalnie wszyscy się boimy, że to się powtórzy, ale Kirgistan jest moją ojczyzną, a Dżalalabad moim rodzinnym miastem. Nie mam chęci się stąd ruszać.

Cisza w poczekalni

Siedzą długim rzędem pod ścianą, jeden obok drugiego. Z jakiegoś powodu, a może przypadkowo, wszyscy są ubrani na czarno. Czarne skórzane kurtki, czarne chusty, czarne spódnice, schodzone czarne buty. W wieku są różnym – od wyluzowanych młodzieńców po zgarbione staruszki. Najmłodszy nie ma więcej niż dwa, trzy lata. Siedzi na kolanach matki i cicho pochlipuje. Poza tym na korytarzu panuje cisza.

– Codziennie rano muszą się stawić po lekarstwa – wyjaśnia lekarz, zamykając za sobą drzwi.

Jest to krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, o gęstych, siwych włosach, w szytym na miarę, choć nierzucającym się w oczy garniturze.

– Część naszych pacjentów nie dowierza, że tabletki naprawdę działają, dlatego muszą tu przychodzić, żeby nasze pielęgniarki się upewniły, czy rzeczywiście je połykają.

Wyrażam zaskoczenie, że nawet w małym Dżalalabadzie jest osobna przychodnia przeciwgruźlicza.

– Oczywiście, że jest – mówi bez zmruczenia oka. – Przychodnie przeciwgruźlicze mamy teraz w całym kraju. Tylko tu co roku diagnozujemy około osiemdziesięciu nowych przypadków. W skali kraju to ponad dziesięć tysięcy gruźlików. Co najmniej dziesięć procent z nich dotknęła odmiana agresywna, wieloodporna.

Po upadku Związku Radzieckiego wszystkie republiki środkowoazjatyckie zmagają się z coraz liczniejszymi przypadkami gruźlicy. Kirgistan należy do krajów najsilniej dotkniętych tą plagą – nie tylko w regionie, lecz także na świecie. Atakuje zwłaszcza gruźlica wieloodporna, której leczenie jest drogie i trudne.

– Po rozpadzie Związku Radzieckiego zrobiło się gorzej – rzuca lekarz. – Załamały się również programy szczepień. Mamy teraz większe bezrobocie i więcej biedy w społeczeństwie. Bezrobotni nie dostają zasiłków, nie ma

żadnych organizacji pomocowych. Wielu z tych chorych to ludzie młodzi i dorośli w kwiecie wieku. Niestety, często zapadają na gruźlicę osoby między dwudziestym a czterdziestym piątym rokiem życia. Oficjalnie w Rosji na emigracji pracuje siedemset tysięcy Kirgizów, w większości młodych mężczyzn. Często mieszkają w złych warunkach, nierzadko po dwudziestu, dwudziestu pięciu w jednym małym mieszkaniu. Nic dziwnego, że chorują. Więzienia też są wylęgarnią chorób zakaźnych. Osadzeni są źle odżywiani, siedzą w zatłoczonych, zimnych i wilgotnych celach. Na tę epidemię jest tylko jedno lekarstwo, mianowicie praca dla wszystkich i wyższe wynagrodzenia. Ja sam zarabiam niewiele ponad sto dolarów miesięcznie i to uchodzi tu w kraju za dobrą pensję lekarza. Czy można się dziwić, że wielu naszych specjalistów wyjechało do Rosji? Tam łatwo zarobią tysiąc pięćset dolarów na miesiąc.

– Jak to dobrze, że przynajmniej pan został – mówię. – Gdyby wszyscy lekarze wyjechali do Rosji, nie byłoby komu leczyć chorych.

Lekarz wzrusza ramionami.

– Jeśli dostanę dobrą ofertę, to też wyjadę.

Czy wwozi pani pornografię, panienko?

Jeżeli chcesz jechać z Kirgistanu do Uzbekistanu, zaleca się przekraczanie granicy w porze zbioru bawełny. Normalnie kolejki ciągną się kilometrami i jeśli masz pecha, musisz się nastawić na wielogodzinne czekanie, formalności i dalsze czekanie. Natomiast w porze zbioru bawełny przejście graniczne pozostaje prawie wyłącznie do twojej dyspozycji.

Jesienią, żeby zapobiec wymigiwaniu się od dorocznego uzbeckiego narodowego czynu społecznego, zamyka się granicę dla wszystkich poza zagranicznymi turystami. Co roku powołuje się tysiące lekarzy, nauczycieli, pielęgniarek, urzędników oraz innych osób zatrudnionych w sektorze publicznym, a także studentów, do zbierania bawełny – zgodnie z dawną tradycją z czasów radzieckich, którą się podtrzymuje z tą niewielką różnicą, że w tamtym okresie większość bawełny zbierano maszynowo. Obecnie gros prac wykonuje się ręcznie, ponieważ nikomu się nie chciało naprawiać maszyn ani dbać o ich stan. Skoro zaś czas kwitnienia roślinek jest krótki, milion czterysta tysięcy hektarów upraw należy oskubać z kłaczek bawełny w ciągu kilku pracowitych tygodni. Zbieracze sami sobie opłacają dach nad głową i wikt, wielu musi się zadowolić spaniem pod gołym niebem albo na zatłoczonej podłodze. We wcześniejszych latach podczas zbioru bawełny zadziwiająco wielu pracowników sektora publicznego i innych wyjeżdżało na długie wizyty do rodzin w sąsiednim kraju. Teraz to się, jak widać, skończyło.

– Z Norwegii? Oslo? – Pogranicznik z kontroli paszportowej uśmiechnął się do mnie. – Samarkanda, Buchara, Chiwa?

Kiwnęłam głową. Kolejny szeroki uśmiech, pieczętka i oto jestem w granicach jednej z najgorszych dyktatur na świecie. W każdym razie prawie jestem. To kontrola celna, nie paszportowa, jest prawdziwą próbą. Po prześwietleniu bagażu celnik chciał się dowiedzieć o mój zawód. Znów musiałam kłamać.

– Studentka? W tym wieku? – Rzucił mi potępiające spojrzenie. – Mam dwadzieścia pięć lat, a skończyłem akademię wojskową w wieku dwudziestu dwóch. Potem poszedłem do pracy. Zakładam, że nie jesteś mężatką?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie, nie jestem mężatką.

Zniechęcony potrząsnął głową i gestem posłał mnie do kolegi, który zajął się kontrolą moralności.

– Czy wwozi pani pornografię, panienko? – Celnik w średnim wieku spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

Zaprzeczyłam.

– A Biblię? Propagandę religijną?

Znowu zaprzeczyłam ruchem głowy.

Żeby się upewnić, poprosił o pokazanie wszystkich książek i zdjęć, które miałam ze sobą. Bardzo dokładnie studiował każdą fotografię w moim telefonie. Czasami zadawał pytania. To z Oslo? Zimno tam macie w zimie? To twoja matka? Kiedy zauważył aplikację German Gender oznaczoną symbolami kobiety i mężczyzny na tle niemieckiej flagi, rozpromienił się jak nastolatek. Nacisnął i wyświetliły się odpowiedzi do wyboru: *Der, Die, Das*. Dla żartu spróbował dopasować rodzajniki do kilku słów. Za każdym razem pudłował.

– Podróżuje pani sama?

Kiwnęłam głową.

– Nie boi się pani?

– Uzbekistan chyba nie jest niebezpiecznym krajem? – zareplikowałam.

– Nie, tutaj jest bezpiecznie, ale... – Wskazał wieloznacznie głową w kierunku Kirgistanu. – Tam jest niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie.

Machnął mi na pożegnanie, a ja spacerkiem minęłam szlaban i weszłam do Uzbekistanu.

– Niech pani uważa! – krzyknął jeszcze za mną.

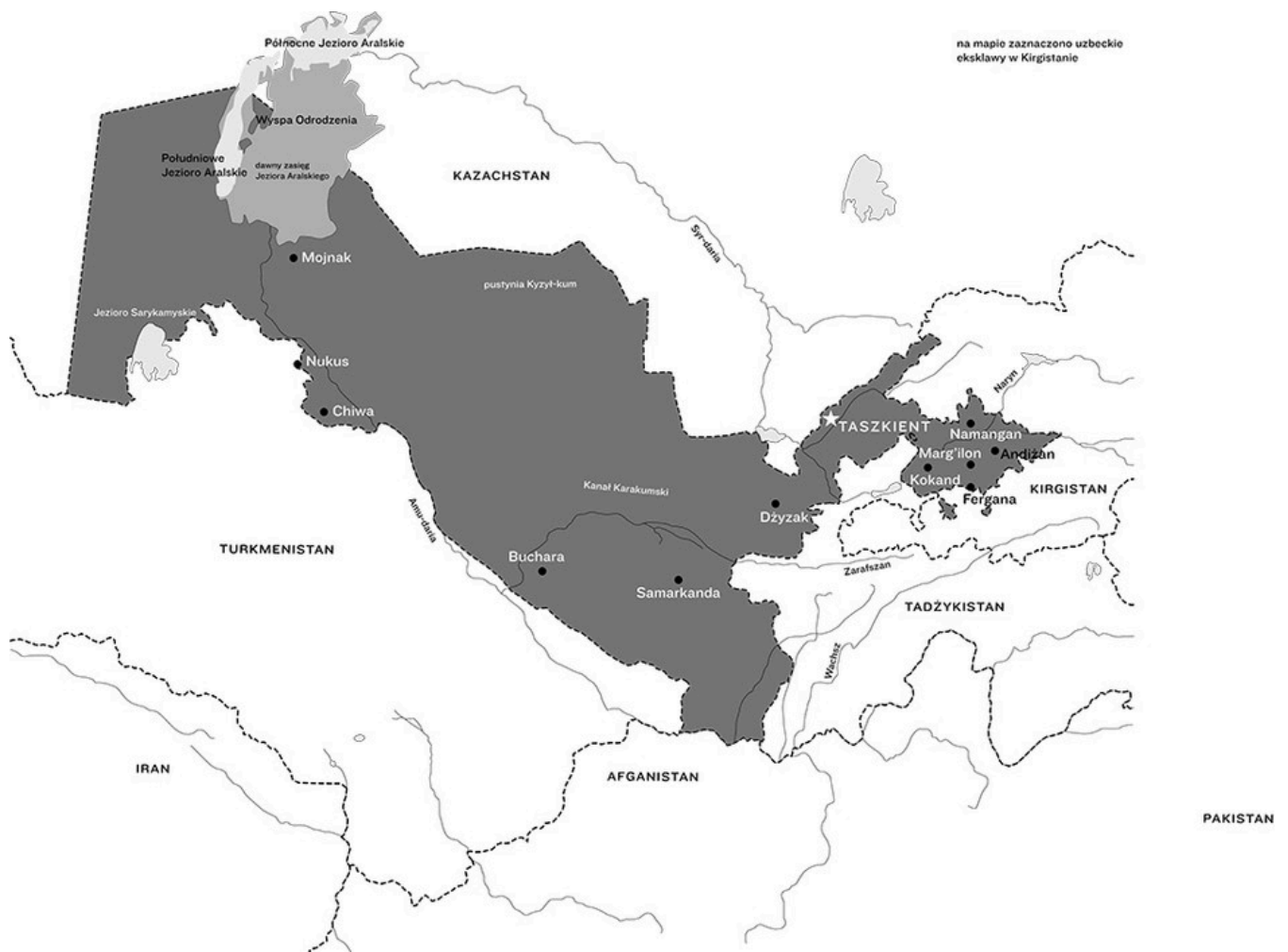
Uzbekistan

Powierzchnia 447 400 km²

Liczba ludności 28 929 716 (szacunkowo w 2014 roku)

Stolica Taszkient

Prezydent Islom Karimow (od 1991 roku)



Sztuka utrzymywania fasady

Olbrzymią restaurację hotelową udekorowano jak na wesele, a jednak byłam w niej jedynym gościem. Kiedy jadłam, do mojego stolika podeszła młoda uśmiechnięta blondynka z wyciągniętą na powitanie ręką i przedstawiła się jako Maria.

– Powiedzieli, że może znajdę cię tutaj – wyjaśniła po angielsku prawie bez akcentu.

– Kto mianowicie? – spytałam czujnie.

Ostrzegano mnie bowiem przed wszechobecną w Uzbekistanie tajną policją i przed tym, że wszyscy obcokrajowcy, zwłaszcza ci, którzy nie podróżują w grupach wycieczkowych, są pod obserwacją. Ponieważ otrzymanie wizy prasowej do Uzbekistanu jest prawie niemożliwe, nieliczni działający w tym kraju zagraniczni dziennikarze z reguły działają pod przykrywką. Jeżeli zostaną odkryci, grozi im natychmiastowe wydalenie. Jest to jednak drobiazg w porównaniu z tym, co ryzykują ich informatorzy albo uzbecki dziennikarze. Tortury, pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych, długoletnie kary więzienia odbywane w nieludzkich warunkach, a nawet pozbawienie życia (przy czym przeprowadzeniem śledztwa w tej sprawie nikt się nie przejmuje) – to zwykłe represje wobec zwolenników swobody wypowiedzi w Uzbekistanie.

– No, w recepcji – odpowiedziała miła niebieskooka. – Powiedział, że właśnie zameldowała się turystka i że prawdopodobnie znajdę ją w restauracji. Jestem dziennikarką państwowego kanału telewizyjnego Uzbekistan 1 i właśnie pracuję nad nagraniami do reportażu o prywatnych przedsiębiorcach w Andizanie.

Ta wstawka „państwowy” była niepotrzebna – wszystkie kanały uzbeckiej telewizji są państwowe.

– W Andizanie jest bardzo wielu prywatnych przedsiębiorców, co czyni ten region wyjątkowym – ciągnęła. – Masz czas, żeby mi udzielić wywiadu

na ten temat? Dla naszych widzów byłoby bardzo ciekawe, gdyby się mogli dowiedzieć, co ty jako cudzoziemka myślisz o naszym kraju.

– Dopiero przyjechałam, więc obawiam się, że nie mam nic szczególnego do powiedzenia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

W ataku paranoi wyobraziłam sobie, że Maria została nasłana przez SNB, uzbecki odpowiednik rosyjskiego KGB, żeby sprawdzić, co tu w rzeczywistości robię, a wywiad to tylko pretekst, żeby mnie wypytywać.

– Nie szkodzi – zapewniła Maria z szerokim uśmiechem. – Po prostu powiedz, jakie było twoje pierwsze wrażenie, kiedy zobaczyłaś miasto.

– Ale ja naprawdę dopiero przyjechałam – odparłam dyplomatycznie. – Nie odniosłam żadnego wrażenia na widok miasta. W gruncie rzeczy go jeszcze nie widziałam.

– Nie szkodzi – powtórzyła Maria z uśmiechem telewizyjnej prezenterki. – Powiedz tylko o swoich wrażeniach, kiedy jechałaś tu samochodem.

– W ogóle właściwie nie mam wrażeń – zaczęłam.

Uśmiech zniknął z oczu Marii i cała jej wiotka sylwetka jakby się skurczyła.

– Dokończę tylko sałatkę i możemy zaczynać – poddałam się.

Gdy jadłam, Maria opowiadała, że marzy o wyjeździe z Uzbekistanu. Najchętniej do Niemiec. Jest etnicznie Rosjanką, dlatego teraz czuje się obco we własnym kraju. Po likwidacji Związku Radzieckiego prawie połowa Rosjan opuściła Uzbekistan i przeniosła się do Rosji albo do Kazachstanu. Zostało ich tu mniej niż milion. Rosyjski nie jest już językiem oficjalnym, wielu młodych Uzbeków woli się uczyć angielskiego. Maria mówiła po uzbecku, ale z akcentem.

– Nie mogę wyjechać, dopóki nie odpracuję obowiązkowych trzech lat – westchnęła. – Wszyscy, którzy się kształcą na publicznych uczelniach w Uzbekistanie, zobowiązują się do pracy na rzecz państwa przez przynajmniej trzy lata.

Norweski student dziennikarstwa nie posiadałby się ze szczęścia, gdyby

zapewniono mu praktyki w jednej ze stacji radiowych bądź telewizyjnych w Norwegii, ale Maria tęskniła do wyjazdu. W Niemczech mogłaby zacząć nowe życie. Nie miała złudzeń, że wykształcenie dziennikarskie i praktyka z uzbeckiej telewizji państwowej przydadzą się jej na Zachodzie. Była przygotowana na następne studia.

Wreszcie usadowiliśmy się na tarasie z widokiem na panoramę tego, co Maria nazwała starym miastem. Żadna z tych błyszczących brązowych fasad nie wyglądała na starszą niż kilka miesięcy.

– Spotykamy tu norweską turystkę, Erikę Fatland – uroczyście zapowiedziała Maria do kamery. – Jakie jest pani pierwsze wrażenie z Uzbekistanu, panno Fatland?

– Jest tu zaskakująco nowoczesnie – odezwałam się.

I od razu pożałowałam, że użyłam określenia „zaskakująco”. Może odbiorą je jako obraźliwe? Maria uśmiechała się tylko zachęcająco, więc zrozumiałam, że należy powiedzieć coś więcej.

– I dużo nowych, ładnych domów – dodałam.

– W Andizanie mamy ponad pięćdziesiąt tysięcy przedsiębiorców i firm. To sztandarowy przykład tego typu działalności gospodarczej, do której nasze władze zachęcają i której stwarzają warunki rozwoju. Jak pani to skomentuje?

Miałam szczerą ochotę odpowiedzieć, że to brzmi jak typowa propaganda dyktatury.

– To bardzo pozytywna informacja – usłyszałam własny głos. – Rozkwit przedsiębiorczości jest dobry dla gospodarki i pomaga utrzymywać niski poziom bezrobocia. W Kirgistanie, skąd przyjechałam, bezrobocie jest niebotyczne, a młodzi muszą za pracą wyjeżdżać do Rosji, co jest bardzo smutne – dodałam.

Wiele milionów Uzbeków także jest gasterbeiterami w Rosji, ale uznałam, że na ten temat w uzbeckiej telewizji państwowej może się wypowiadać jedynie prezydent. Kilka miesięcy wcześniej mówił o emigracji zarobkowej,

nie przebierając w słowach:

W Uzbekistanie jest teraz bardzo mało leni. [...] Za leniwych uważam tych, którzy wyjeżdżają do Moskwy zamiatać tam ulice i place. Odrazę budzi myśl, że Uzbegy wyjeżdżają tam po okruchy chleba⁵⁴.

Może odrazę wzbudza w nim także myśl, że pieniądze, które przysyłają z Rosji uzbekcy gastarbeiterzy, stanowią prawie jedną piątą PKB Uzbekistanu?

– Co pani myśli o tym, że dziewięćdziesiąt procent samochodów tu w Andizanie wyprodukowano w naszym kraju? – spytała Maria.

– To imponujące i bardzo pozytywne dla uzbeckiej gospodarki – uśmiechnęłam się szeroko w odpowiedzi. – Fantastycznie, że Uzbegy wspierają lokalny przemysł motoryzacyjny.

Maria podziękowała mi wylewnie za wywiad i ponownie wyraziła radość z tego powodu, że mnie spotkała.

– Widzowie szczególnie sobie cenią takie niezależne spojrzenie z zewnątrz – zapewniła.

Andizan. W tej nazwie pobrzmiewają krew i śmierć. Jeżeli słowo w angielskiej wersji wrzuci się w Google, w pierwszej kolejności wyskakuje *Andijan_massacre* („masakra w Andizanie”). Turyści przyjeżdżający z Kirgistanu z reguły spieszą dalej. I tak nie ma tu nic do oglądania. Jedyne meczet, który przetrwał trzęsienie ziemi w 1902 roku, został całkowicie zniszczony przez pożar w latach osiemdziesiątych. Stoją tylko resztki fasady wokół portalu wejściowego.

Zanim wyjechałam z Andizanu, chciałam na własne oczy zobaczyć plac Babura, gdzie odbyła się rzeź. Według władz w potyczkach zginęło sto osiemdziesiąt siedem osób. Większość niezależnych źródeł uważa, że liczbę tę należy co najmniej potroić. Przed zwiedzaniem musiałam jednak

rozwiązać pewien prozaiczny, lecz palący problem. Potrzebowałam gotówki.

Uzbecka waluta to osobny rozdział. Jako część strategii maksymalnego utrudniania mieszkańcom dostępu do dewiz zakazano płacenia w Uzbekistanie inną walutą niż uzbecki sum. Jest on wyjątkowo niestabilny, a inflacja szybuje pod niebo. Kiedy w 1993 roku sum zastąpił rubla, cenę jednego dolara ustalono na siedem sumów. W chwili, gdy to piszę, na czarnym rynku trzeba wyłożyć za jednego dolara dwa tysiące osiemset sumów. Kurs oficjalny jest znacznie niższy, około dwóch tysięcy dwustu, lecz dla zwykłych Uzbeków i uczciwych przedsiębiorców zakup dolarów legalną drogą jest prawie niemożliwy. Nawet państwowe fabryki muszą tygodniami czekać na wymianę, do tego są ostre ograniczenia kwotowe. Władze nie zadbały o to, żeby wyrównać różnicę między czarnym rynkiem a kursem oficjalnym; wprost przeciwnie, wykorzystują ją w pełni w eksporcie i imporcie. Kupują mianowicie towary po kursie oficjalnym, ale sprzedają po czarnorynkowym.

Obcokrajowcy przyjeżdżający do Uzbekistanu muszą mieć ze sobą wystarczającą sumę dolarów w gotówce. Z kartą daleko nie zajądą. Teoretycznie istnieją w Taszkencie bankomaty przyjmujące visę i mastercard, lecz przez większość czasu są popsute. Kilka stołecznych banków oferuje wprawdzie *cash advance*, lecz za wysoką opłatą. Wszystkie hotele podają cenę w dolarach, przeliczając ją na miejscową walutę po kursie dnia. Wszystkie, poza hotelami państwowymi, którym nakazano stosowanie oficjalnego kursu, uwzględniają kurs czarnorynkowy. Ergo – należy tam wymieniać dolary, nie po to, żeby zarabiać, lecz po to, żeby nie tracić pieniędzy. Z formalnego punktu widzenia kupowanie sumów na czarnym rynku jest nielegalne, niemniej robią to wszyscy, nawet policja. Waluciarze mają swoje stałe punkty, z reguły w pobliżu targowisk. Handel odbywa się z reklamówek wypchanych banknotami.

Na waluciarskim narożniku w centrum Andżanu szeptane nazwy walut układały się w monetarną poezję:

- Som, kirgiski som!
- Dolary, dolary!
- *Rassijskij rubl!*
- Euro?

Podeszłam do mniej więcej czterdziestolatka ze złotym uzębieniem i dwudniowym zarostem.

– Chciałabym wymienić trzysta dolarów – powiedziałam ściszym głosem.

– Tylko trzysta dolarów? – odkrzyknął. – Nie więcej? Może euro? Albo kirgiskie somy?

Potrząsnęłam głową.

– To będzie osiemset czterdzieści tysięcy po kursie dnia, okej?

Kiwnęłam potakująco. Nie próbował ukryć nielegalnej transakcji: wyłowił z brudnej torby osiem paczek banknotów, łącznie osiemset tysięcy. W szalonym tempie przeliczył jeszcze czterdzieści, też o nominale tysiąca sumów każdy, i wręczył mi razem z tamtymi paczkami.

– Jeżeli będzie trzeba wymienić więcej, wiadomo, gdzie stoję – mrugnął do mnie porozumiewawczo na pożegnanie.

W następstwie obłądnej inflacji Uzbegy są mistrzami w przeliczaniu pieniędzy. Potrafią sprawdzać grube paczki, nie tracąc wątku w rozmowie i nie patrząc w ogóle na palce, które precyzyjnie i z szybkością błyskawicy liczą wysłużone banknoty po tysiąc sumów. Wprowadzono właśnie banknot o wartości pięciu tysięcy sumów, ale widocznie nie był jeszcze w obiegu, bo wszystko, nawet milionowe kwoty, wypłacano w tysiącach i pięćsetkach.

Miałam zatem torbę wypchaną banknotami. Gdyby nie ten fakt, mogłabym mieć wrażenie, że znajduję się na Środkowym Zachodzie⁵⁵. W porównaniu z Tadżykistanem i Kirgistanem Uzbekistan wydawał się nieskończenie nowoczesny. Brązowe, błyszczące nowością fasady w jakiejś nowej wersji stylu pionierskiego osadnictwa, wszędzie rozwieszono neony z reklamą fast foodów... W gruncie rzeczy na głównej ulicy nie uświadczyłeś

innych restauracji – slow food był nieosiągalny. Prawie wszystkie szyldy miały napisy w alfabecie łacińskim. I tak nie rozumiałam uzbeckich słów, jednak łaciński zapis sprawiał, że nie odczuwało się tak ich obcości. Chodnikiem płynął tłum ludzi, w większości ubranych w zachodnim stylu. Niewiele kobiet miało zakryte włosy. Żaden mężczyzna nie nosił długiej brody, co było zwykłym widokiem w uzbeckich enklawach na terenie Kirgistanu. W Dżalalabadzie widziałam poza tym wiele kobiet w całkowicie przysłaniających sylwetkę czarnych nikabach, co po tej stronie granicy jest nie do pomyślenia. Tutaj zapuszczenie brody czy ubranie się w strój islamski byłoby równoznaczne z daniem pretekstu do aresztowania.

Mimo wielu rozbieżności poglądów dawni komunistyczni przywódcy w Azji Środkowej zajmują wspólne stanowisko w jednej sprawie – za wszelką cenę nie chcą dopuścić do ugruntowania się sił islamistycznych. Dlatego wszyscy stanęli do walki o państwową, umiarkowaną formę islamu, bazującą wedle ich mniemania na tradycyjnych wartościach środkowoazjatyckich. Udało się im to w różnym stopniu. Władze tadżyckie wprowadziły częściowo te same restrykcje co w Uzbekistanie – strój muzułmański jest zakazany, otwarte są tylko te meczety, które zyskały aprobatę państwa. W Turkmenistanie ucisk jest tak duży, że prawie nie ma odłamów religijnych ani politycznych, modlić się wolno tylko w meczetach państwowych lub w domu. Również władze kazachskie prowadzą ścisły nadzór nad ugrupowaniami religijnymi w kraju, tutaj jednak siły islamistyczne do tej pory nie sprawiały większego problemu – kazachscy koczownicy nigdy nie praktykowali ortodoksyjnej formy islamu. Podobnie Kirgizi. Podzielona obecnie między Uzbekistan, Kirgistan a Tadżykistan żyzna Kotlina Fergańska była z dawien dawna sercem islamu w Azji Środkowej. Przed rewolucją październikową na każdym rogu stał tu meczet, a kobiety w zakrywających je całe parandżach były normalnym widokiem. Parandża, szczególnie rozpowszechniona wśród kobiet uzbeckich i tadżyckich, to tradycyjny strój, na który składał się przykrywający głowę i całe ciało płaszcz do ziemi oraz

gruby welon z końskiego włosia zasłaniający twarz. Płaszcz występował we wszystkich kolorach, ale welon był z reguły czarny. Kiedy władzę przejęli komuniści, kobiety w Azji Środkowej zostały uwolnione od parandży i zasłony, czy tego chciały, czy nie.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego w Kotlinie Fergańskiej na nowo rozkwitło życie religijne. Pojawiły się tu także radykalne grupy islamistyczne, takie jak Hizb at-Tahrir, czyli Partia Wyzwolenia. Część jej najbardziej aktywnych członków walczyła po stronie radzieckiej na wojnie w Afganistanie. Wówczas ci młodzi mężczyźni po raz pierwszy spotkali się ze swobodnie wyznawanym islamem i to przeżycie dla wielu z nich okazało się przełomem.

Należał do nich Dżumaboi Chojajew, spadochroniarz podczas wojny afgańskiej. Po rozpadzie Związku Radzieckiego przyjął jako dwudziestodwulatek pseudonim bojowy Dżuma Namangani i utworzył w rodzinnym Namanganie w Kotlinie Fergańskiej grupę salafitów Adolat – Sprawiedliwość. Żądała ona wprowadzenia praw szariatu w całym Uzbekistanie. Na krótki czas udało się jej też przejąć władzę w niektórych rejonach kotliny.

W Kotlinie Fergańskiej mieszka prawie jedna trzecia ludności Uzbekistanu. Tutaj też koncentruje się działalność rolnicza kraju. Dla uzbeckiego prezydenta Isloma Karimowa odzyskanie kontroli nad tym regionem było więc sprawą decydującą. W 1992 roku uderzył – Adolat został zakazany, licznych członków grupy aresztowano. Namangani i jego zwolennicy uciekli do sąsiedniego Tadżykistanu, gdzie przez wiele lat bili się w wojnie domowej po stronie islamistów. Gdy zaś tadżyccy islamiści stracili poparcie, przenieśli się do Afganistanu i Pakistanu, tam nawiązali kontakty między innymi z Osamą ibn Ladinem. W 1998 roku Adolat odrodził się jako Islamski Ruch Uzbekistanu⁵⁶. Rok później, gdy Taszkient dotknął szereg zamachów bombowych, prawdopodobnie skierowanych przeciwko prezydentowi Karimowowi, władze czym prędzej przypisały za nie winę

islamistom w ogóle, a IRU w szczególności. Zginęło wówczas szesnaście osób. Karimow wyszedł bez szwanku.

Kariera prezydenta Uzbekistanu także rozwijała się szybko. Urodził się w biedującej uzbecko-tadżyckiej rodzinie w Samarkandzie w 1938 roku. Dzięki stypendiom mógł studiować – na politechnice w Taszkencie uzyskał wykształcenie inżynierskie. Najwyraźniej droga od studiów inżynierskich do pozycji dożywotniego dyktatora jest w Azji Środkowej krótka. Zarabiając na chleb powszedni jako inżynier mechanik w taszkienckiej fabryce samolotów, Karimow skończył równocześnie studia ekonomiczne. W 1966 roku otrzymał stanowisko w ministerstwie finansów, a potem stopniowo zaczął się wspinać wyżej. Po wielu wymianach na szczycie, mających swoje przyczyny w skandalach korupcyjnych i w etnicznych niepokojach w Kotlinie Fergańskiej, Gorbaczow w 1989 roku mianował stosunkowo mało znanego Isloma Karimowa na stanowisko pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Uzbekistanu. Karimow dał się poznać jako przywódca autorytarny i wierny systemowi, który z dużym sceptycyzmem przyglądał się łagodzącym reformom Gorbaczowa. W sierpniu 1991 roku z całego serca poparł konserwatywnych komunistów w próbie dokonania przewrotu w Moskwie, a kiedy pucz się nie powiódł, 31 sierpnia ogłosił niezależność Uzbekistanu. Motywacją była tu głównie nie wola uzyskania narodowej niezawisłości, lecz raczej chęć uniknięcia Gorbaczowowskiej liberalizacji i zachowania systemu w istniejącej formie.

Pod rządami Karimowa Uzbekistan stał się jedną z najgorszych dyktatur na świecie. Prezydent sprytnie wykorzystał lęk przed przemocą etniczną i islamskimi ekstremistami oraz niepokoje w sąsiednich krajach jako usprawiedliwienie rządów autorytarnych. Priorytetem stała się stabilność. Wszystko inne – demokracja, prawa człowieka i rozwój gospodarczy – zeszło na drugi plan. Reżim uzbecki jest znany z notorycznego i poważnego łamania praw człowieka. Na przykład w celu obniżenia przyrostu ludności położnicy w pewnych regionach otrzymali rozkaz sterylizowania określonej

liczby kobiet miesięcznie. Kobiety poddają się cesarskiemu cięciu, a kiedy opuszczają szpital, nie wiedzą, że już nie mogą mieć dzieci. Rutynowo torturuje się i gwałci więźniów, żeby wymusić zeznania. Faworyzowaną metodą jest nakładanie podejrzanemu na twarz maski gazowej i zamykanie wentyli. Ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent spraw, które trafiają przed sądy, kończy się skazaniem. W 2002 roku ujawniono fakt, że dwaj młodzi ludzie aresztowani jako podejrzeni o ekstremizm religijny zostali żywcem ugotowani. Tymczasem to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Były brytyjski ambasador w Uzbekistanie, Craig Murray, pisze w książce *Murder in Samarkand*, że zmarli więźniowie są zwykle oddawani rodzinom w zamkniętych trumnach, którym towarzyszy strażnik pilnujący, by nikt z krewnych przed pogrzebem nie zajrzał do środka.

Zachód długo patrzył przez palce na łamanie praw człowieka w Uzbekistanie. Po atakach terrorystycznych 11 września 2001 roku, kiedy USA ruszyło na wojnę przeciwko Afganistanowi, reżim Karimowa zawarł z Amerykanami lukratywny kontrakt na wynajem baz wojskowych na terenie Uzbekistanu. USA i Uzbekistan nagle stały się bliskimi sojusznikami w wojnie z terroryzmem, a prezydent Bush okazał duże zrozumienie dla walki swojego kolegi Karimowa z islamskim ekstremizmem. W jakim stopniu jednak islamistyczne zagrożenie w Uzbekistanie jest realne? I czy rzeczywiście to Islamski Ruch Uzbekistanu stał za zamachami bombowymi w Taszkencie w 1999 roku?

Dzisiaj większość zachodnich ekspertów od terroryzmu – jak ci z Joint Terrorism Analysis Centre – uważa, że jest to mało prawdopodobne. Bomby były po prostu zbyt profesjonalnie wykonane, a IRU ani przedtem, ani potem nie dokonywał takich akcji. Wiele wskazuje na to, że albo sam rząd zainscenizował ten atak terrorystyczny, albo kryły się za tym frakcje wewnątrz rządu, które pragnęły się pozbyć Karimowa. Następstwem owych zamachów bombowych była fala aresztowań. Setki ludzi wtrącono do więzienia jako podejrzanych o nielegalną działalność religijną i spisek

przeciw władzy.

Chociaż zdaniem większości ekspertów Islamski Ruch Uzbekistanu nie stał za zamachami bombowymi w 1999 roku, bez wątpienia krył się za porwaniem burmistrza Oszu w Kirgistanie w tym samym roku. To samo dotyczy porwania grupy japońskich geologów w południowym Kirgistanie. Burmistrz i geolodzy zostali później uwolnieni. W 2000 roku członkowie ruchu uprowadzili czterech amerykańskich alpinistów w południowym Kirgistanie. Wprawdzie Amerykanom po kilku dniach udało się uciec, niemniej wszystkie te zdarzenia niewątpliwie doprowadziły do tego, że uzbecy islamiści zyskali jeszcze gorszą opinię na Zachodzie i w samej Azji Środkowej.

Rankiem 29 marca 2004 roku uzbecką stolicą znowu wstrząsnęły wybuchy. Kobieta zamachowiec wysadziła się w powietrze i zabiła sześciu policjantów przy bazarze Czorsu w Taszkencie. Godzinę później druga samobójczyni została zastrzelona przez policję koło przystanku autobusowego w innym punkcie miasta. Zaraz potem w pobliżu rezydencji prezydenta ochrona zastrzeliła kierowcę samochodu, który nie zatrzymał się do kontroli. Samochód był rzekomo przygotowany jako pułapka, lecz kiedy stanął w płomieniach, nie wybuchł ani nie pozostawił po sobie leja. Po bombie przy bazarze Czorsu również nie pozostał lej, jeśli wierzyć byłemu ambasadorowi Craigowi Murrayowi, któremu szybko udało się dotrzeć na miejsca zamachu. Poprzedniego dnia zabito jedenaście osób w trakcie policyjnej akcji w Bucharze. Policja wyjaśniała, że likwidowano warsztat produkujący bomby, a jedna z nich wybuchła podczas szturm. Według miejscowych świadków to policjanci wrzucili do budynku granaty. W następnych dniach w różnych akcjach policji zginęło kolejne trzynaście osób.

Władza szybko obarczyła odpowiedzialnością Islamski Ruch Uzbekistanu, Al-Kaidę i Partię Wyzwolenia. Zagraniczni analitycy terroryzmu natomiast z dużo mniejszą wiarą traktują koncepcje, że kryje się za tym któraś

z wymienionych organizacji. Zbyt wiele elementów się nie zgadza. Nie dość, że nie znaleziono żadnego leja po bombie, to jeszcze policja na wiele godzin przed podobno samobójczą akcją zamknęła w areszcie rodziców jednego z rzekomych zamachowców.

W związku z zamachami w Taszkencie nastąpiła nowa fala aresztowań. Między innymi zatrzymano dwudziestu trzech przedsiębiorców z Andizanu podejrzanych o przynależność do Akramiji, organizacji znajdującej się na rządowej liście terrorystów. Najprawdopodobniej u podstaw aresztowań leżały inne motywy, związane z pieniędzmi i władzą. Po długim procesie wyrok na biznesmenów miał zostać ogłoszony 11 maja 2005 roku. Rano tego dnia wielotysięczny tłum popierający skazanych zebrał się przed gmachem sądu. Z powodu tak licznego zgromadzenia sędzia przełożył ogłoszenie wyroku. Nazajutrz wielu inicjatorów demonstracji aresztowano, w nocy zaś grupa uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do więzienia, gdzie przebywali sądzeni przedsiębiorcy. Podczas akcji zabito licznych strażników więziennych, co pozwoliło na ucieczkę zarówno biznesmenów, jak i wieluset innych osadzonych. Następnie napastnicy wzięli ponad dwudziestu zakładników z różnych budynków administracyjnych i zażądali ustąpienia Isloma Karimowa z funkcji prezydenta kraju.

Jednocześnie na placu Babura w centrum Andizanu zebrało się kilka tysięcy ludzi. Rozwinął się z tego protest nie tyle przeciw aresztowaniu przedsiębiorców, ile przeciw sytuacji w kraju. Wielu mówców otwarcie wypowiadało swoje opinie o stanie państwa. Ktoś z demonstrantów pytał, dlaczego pod względem nasilenia korupcji Uzbekistan plasuje się na sto trzydziestym siódmym miejscu wśród stu pięćdziesięciu dziewięciu krajów. Niektórzy wykrzykiwali hasła skierowane przeciwko Karimowowi. Po południu 13 maja coraz więcej ludzi napływało na plac, a jednocześnie kilka tysięcy uzbrojonych żołnierzy zajmowało pozycje w jego pobliżu. Demonstranci jednak nie ustępowali, krążyła bowiem plotka, że prezydent Karimow jest w drodze, żeby do nich przemówić.

Późnym popołudniem żołnierze zablokowali wszystkie ulice prowadzące na plac Babura i zaczęli strzelać. Nikt nie wie, ile osób straciło życie tego dnia. Zagraniczni dziennikarze szacowali, że zabitych było od czterystu do sześciuset. Niektórzy twierdzą, że więcej. Świadkowie mówią, że widzieli, jak żołnierze chodzili po placu i dobijali rannych. Część zwłok wywieziono z miasta specjalnie zamówionymi samolotami, inne pochowano w masowych grobach na obrzeżach Andżanu.

Nie jestem pewna, czego oczekiwałam. Może więcej policji, środków bezpieczeństwa, blokad, agentów w ciemnych okularach i czarnych skórzanych kurtkach? Tymczasem cały wielki plac był pusty, jeśli nie liczyć pary młodych zakochanych, którzy siedzieli na ławce, patrząc sobie w oczy. Żadnych śladów masakry. Fasady domów lśniły nowością. Pośrodku stał pomnik Zahira ad-Dina Muhammada Babura, zdobywcy, który w XVI wieku założył w Indiach Państwo Wielkiego Mogoła. Urodził się tu, w Andżanie, w 1483 roku, a teraz patrzył w samotności swojego majestatu na wielki wyludniony plac.

Masakra w 2005 roku wywołała ostrą krytykę zachodnich rządów. Nawet USA nie mogło zamknąć oczu na tak wielkie nadużycie władzy. Poprzednie serdeczne stosunki między państwami ochłodziły się, Amerykanie zaś zostali poproszeni o opuszczenie uzbeckiego terytorium do końca roku. Wszystkich zachodnich dziennikarzy i wszelkie organizacje wyrzucono.

Władze uzbeckie cały czas twierdzą, że wydarzenia na placu Babura zostały spowodowane przez członków Islamskiego Ruchu Uzbekistanu. Tymczasem po zabiciu założycieli tej organizacji w Afganistanie na początku obecnego tysiąclecia została ona mocno osłabiona. Dziś jej działalność ogranicza się do terytoriów państw targanych wojnami domowymi, jak Pakistan czy Irak, i nie ma już oparcia w Kotlinie Fergańskiej.

Według władz Uzbekistanu zagrożenie ze strony islamskich ekstremistów wciąż istnieje, dlatego reżim nieustannie zwalcza różne ugrupowania

religijne, a więzienia są zapełnione tysiącami Uzbeków oskarżanych o religijny ekstremizm albo o spiskowanie przeciw władzy.

Tymczasem największym zagrożeniem dla stabilności Uzbekistanu nie są fanatyczni islamiści, lecz pogarszający się stan zdrowia Isloma Karimowa. Kiedy to piszę, prezydent ma siedemdziesiąt sześć lat. Od dłuższego czasu krążą plotki na temat jego zdrowia i kiedy tylko przez kilka dni nie pokazuje się publicznie, komentatorzy zaczynają spekulować, że może doznał wylewu albo leży w śpiączce. Karimow dawno przekroczył wiek emerytalny, który w Uzbekistanie wynosi sześćdziesiąt lat, a także żyje o jedenaście lat dłużej niż przeciętny mężczyzna w tym kraju.

Co się wydarzy, gdy przestanie trzymać Uzbekistan swoją żelazną dłońią?

Z czego tka się marzenia?

Na środku źle oświetlonego pomieszczenia starsza kobieta mieszała kijem w ocynkowanej kadzi napełnionej wrzątkiem. Na powierzchni unosiły się jeden przy drugim tysiące kokonów. Przypominały gładkie kamienie. Kiedy kobieta je unosiła, odrywały się od nich cieniuteńkie jak pajęczyna włókienka. Wprawnymi ruchami kobieta zgarniała czterdzieści, pięćdziesiąt takich lekkich jak mgła, prawie niewidocznych nitek i nawlekała je na szpulkę za pomocą staromodnego kołowrotka. Kiedy szpula pokryła się cienką warstwą jedwabnej przędzy, kobieta wkładała ją do następnej kadzi – z zimną wodą. Tu przędza miała się moczyć przez godzinę, potem należało ją odwinąć ze szpuli i pozostawić w luźnych motkach. Po tym procesie była jeszcze twarda i sucha, kolorem zaś przypominała zboże.

– Każdy kokon może zawierać do czterech tysięcy metrów włókna jedwabiu, ale tylko mniej więcej jedna czwarta daje mocną, zwięzłą nić – wyjaśniał mój przewodnik, Emiłbek, młody, poważny człowiek, posługujący się wyuczonym samodzielnie, lecz zrozumiałym angielskim. – Resztę się oddziela i rozwiesza na hakach do wyschnięcia. – Wskazał palcem grube zwitki szorstkiego, poźółkłego włókna wiszącego na ścianie za naszymi plecami. – Używamy ich do tkania dywanów.

Surowy jedwab wkłada się potem do wody z dodatkiem mydła, chloru i jeszcze jednego składnika, którego nazwy Emiłbek nie chciał zdradzić, jako że była to tajemnica produkcji. Kiedy godzinę później kobieta wyłowiła nici z parującej, spienionej kąpieli, szorstka, sztywna przędza zamieniła się w mięciutki, gładziutki i bielutki jedwab.

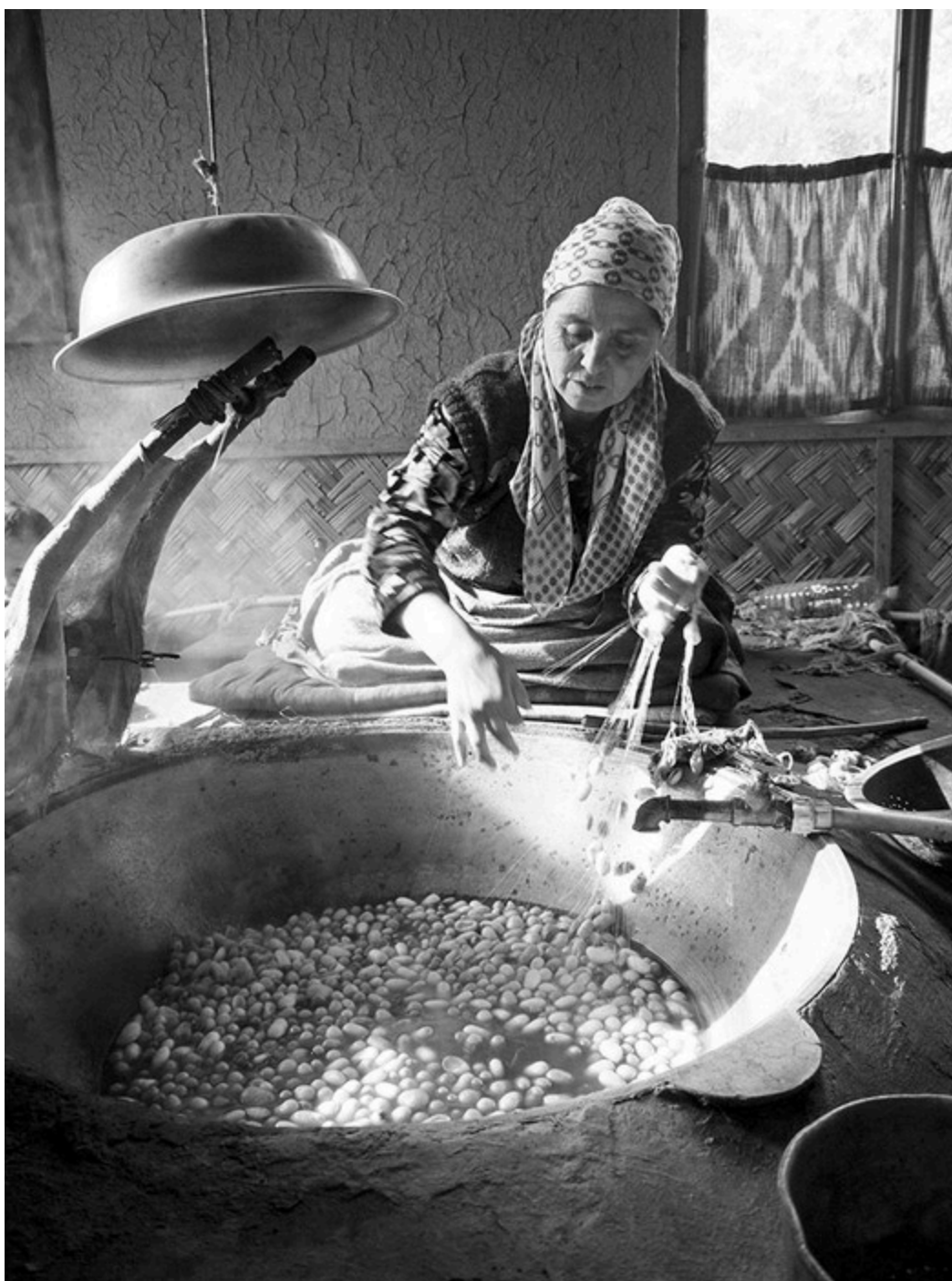
Pod ścianami stały szare jutowe wory wypełnione po brzegi włochatymi białawymi kokonami. Każdy kokon miał mniej więcej od trzech do czterech centymetrów długości i kilka centymetrów średnicy, był lekko porowaty, a ważył nie więcej niż ptasi puch. Wysuszone kokony dostarczali do manufaktury profesjonalni hodowcy jedwabników z Andżianu.

Hodowla jedwabników to zarazem sztuka i ciężka praca. Cenne kokony produkuje ćma *Bombyx mori* (jedwabnik morwowy), zwana po norwesku „właściwą prządką jedwabiu”. W ostatnich dniach życia samica składa około pięciuset mikroskopijnych jajeczek. Hodowcy jedwabników pilnują ich troskliwie – jeden gram zawiera ponad tysiąc sztuk. Na wiosnę w ciągu kilku wypełnionych intensywnym doglądaniem tygodni wykluwają się larwy. W tej decydującej fazie rodziny hodowców często wyprowadzają się z domu do budynków gospodarczych, żeby nie przeszkadzać w rozwoju jedwabników. Świeżo wykłute larwy od razu zaczynają objadać się jak szalone. Pozbawione oczu i prawie nieruchome, gąsienice te są wybredne aż do przesady – zjadają tylko świeże listki białej morwy, zebrane, kiedy wyparuje poranna rosa, a podawać je należy najlepiej co pół godziny.

Przez następny miesiąc gąsienice zajmują się wyłącznie jedzeniem i wydalaniem. W tym okresie hodowcy właściwie nie mają czasu na nic innego poza karmieniem jedwabników, sprzątaniem i doglądaniem, by te małe głodomory o każdej porze miały idealne warunki świetlne i cieplne. Jedwabniki to delikatne stworzonka, które mogą umrzeć, jeżeli narazi się je na nagłe głośnie dźwięki, silne zapachy, zmiany temperatury. Zabójcza jest też dla nich niedostateczna higiena. W rodzinach hodowców śpi się na zmiany, żeby zapewnić jedwabnikom opiekę przez całą dobę. Do wyprodukowania kilograma jedwabnej przędzy potrzeba dwustu kilogramów liści morwy.

Gdy larwy cztery razy zrzucą skórę, urosną do długości nieco ponad pięć centymetrów i wielokrotnie zwiększą swoją wagę, raptem przerywają jedzenie i zaczynają prząść. Z ich gruczołów ślinowych przez pełne trzy dni wypływa substancja zwana fibroiną. Ma ona postać dwóch długich włókien, które od razu skleją się ze sobą za pomocą wydzieliny serycynowej, pochodzącej z innego gruczołu. Serycyna, zwana też klejem jedwabnym, w kontakcie z powietrzem twardnieje i z dwóch tworzy jedno włókno. Gąsienica jedwabnika oplata swoje ciało tą nicią w kunsztowny ósemkowy

wzór. Klej jedwabny rozpuszcza się w gorącej wodzie – to dlatego kokony namacza się we wrzątku, zanim się je rozwinie. Jedwabnik przeobraża się w postać dorosłą w ciągu dwunastu, szesnastu dni, ale tylko nieliczne poczwarki doświadczają uczucia posiadania skrzydeł. Gdy tylko gąsienice zakończą snucie oprzędu, kokony zbiera się i albo zanurza we wrzątku, albo traktuje gorącą parą, żeby zabić poczwarki. Potem rozkłada się kokony do wysuszenia na słońcu, a następnie wysyła w workach do przędzalni. Tam fibroina zamienia się w jedwabne szale.



Marg'ilon. Każdy kokon to kilometr jedwabnej nici.

Jak mówi legenda, jedwab odkryła Xi Lingshi, żona cesarza Huang Di, w 2640 roku przed Chrystusem. Piła ponoć herbatę w cieniu morwowego drzewa, kiedy do jej czarki wpadł motyli kokon. Wyciągając go, zauważyła, że wysnuwa się z niego długa i cienka nić. Tak, jeśli mamy wierzyć starej

opowieści, narodził się pomysł produkowania jedwabiu. Nowsze badania archeologiczne wykazały natomiast, że w czasach, gdy kokon miałyby wpaść do herbaty cesarzowej, sekret jedwabników był w Chinach znany już ponad tysiąc pięćset lat.

Emiłbek zaprowadził mnie teraz do wzorcowni. Tu, w dużej, niedostatecznie oświetlonej hali, na podłodze ośmiu młodzieńców w głębokiej koncentracji schylało się nad gęstą warstwą równolegle biegnących jedwabnych włókien. Bez użycia miarki czy linijki kreślili na białych niciach wymyślne wzory. Tylko od czasu do czasu rzucali okiem na leżący przed nimi pierwowzór szala ufarbowanego na niebiesko, żółto i czarno. Pod ścianą stali mężczyźni odpowiedzialni za wiązanie oznaczonych fragmentów nicią albo taśmą tak, by tylko jedno ze wskazanych pól było eksponowane, gdy farbiarze będą zanurzali nici w kadziach z farbą. Po nasyceniu farbą wałki z nićmi były odnoszone na powrót do wiązaczy, którzy przykrywali ufarbowany fragment nową osłonką, a usuwali poprzednie, by wyeksponować nowy fragment. Ta praca trwała, póki nici nie zostały ufarbowane według wzoru nakreślonego przez siedzących na ziemi. Dzieła dopełniały tkaczki, zamieniające kolorowe nici osnowy w materiał.

Warsztat farbiarski był chyba najbardziej bajkowy. W manufakturze stosowano wyłącznie naturalne barwniki, toteż na środku dużego pomieszczenia leżały stosiki łupin cebuli, posiekanych orzechów włoskich, suszonych kwiatów granatowca, ziół i przypraw. Te naturalne substancje nadawały jedwabowi czyste, odporne na światło odcienie brązu. W pomieszczeniu obok dwaj silni mężczyźni trzymali między sobą wał z jedwabną osnową. Ich białe ubrania upstrzone były plamami wszelkich kolorów ziemi, a dłonie dawno straciły swoją naturalną barwę. Nici osnowy posklejano taśmą tak, że zaledwie jedna czwarta jedwabiu była wystawiona na działanie farby. Kontrolowanym ruchem mężczyźni zanurzyli ten fragment osnowy w dużym żeliwnym kotle, gdzie gotowała się i parowała farba, a potem szybko go wyjęli. Odślonięte pola były teraz

czerwonobrazowe. Powtarzali tę czynność jeszcze kilkakrotnie, potem zawiesili wał z osnową do wysuszenia.

– Tu w mieście pracuje też nowoczesna fabryka jedwabiu – powiedział Emiľbek. – Produkuje się tam miliony metrów jedwabiu rocznie, wszystko jest zmodernizowane i zautomatyzowane. W manufakturze Jodgorlik robimy to starodawnym sposobem, niezmiennym od tysięcy lat. Nawet nasze budynki są stare. – Wskazał palcem sufit, na którym było jeszcze widać resztki nadgryzionej zębem czasu artystycznej snycerki. – Pracuje tu ponad setka ludzi. Absolutnie wszystko wykonują ręcznie, od obróbki kokonów po tkanie materiałów. Jest to czasochłonne, ale pozwala uzyskać najwyższą jakość. Jedwab z Marg’ilonu jest znany w całym Uzbekistanie.

Marg’ilon to dziś ruchliwe prowincjonalne miasto w południowej części Kotliny Fergańskiej, niedaleko granicy z Tadżykistanem. Mieszka tu kilkaset tysięcy ludzi, w większości Tadżyków, jak mój przewodnik Emiľbek. Miasto jest znane nie tylko z produkcji jedwabiu, lecz także z licznych i zdolnych kupców. W czasach radzieckich było to uzbeckie centrum handlu czarnorynkowego, lecz tradycje handlowe Marg’ilonu sięgają dużo wcześniej. W IX wieku był tu ważny przystanek na trasie Jedwabnego Szlaku między Górami Ałajskimi koło Samarkandy na zachodzie a Kaszgarem, który dziś leży w Chinach.

Jedwabny Szlak nie nosił swojej nazwy bezpodstawnie. Chociaż ze wschodu na zachód i odwrotnie transportowano także różne inne towary, na przykład konie, porcelanę i papier, przez stulecia jedwab znajdował się wśród tych najważniejszych i mających największą wartość. W ostatnim wieku przed naszą erą jedwab rozpowszechnił się wśród rzymskiej elity.

Rzymianie wysoko cenili sobie ten wykwintny materiał, choć niewiele wiedzieli o jego pochodzeniu i procesie pozyskiwania, co tylko wzmagало jego tajemniczość. Z położonego najdalej na wschodzie na Jedwabnym Szlaku Xi’anu do Rzymu jest w linii prostej osiem tysięcy kilometrów. W tamtych czasach taka podróż zajmowała ponad rok. Zazwyczaj towary

po drodze wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk, kiedy więc trafiały do bogatych lub tylko zamożnych Rzymian, dostawca nie znał szczegółów ich pochodzenia.

Teorii nie brakowało. Wergiliusz uważał, że jedwabne nici brały się ze specjalnych liści, natomiast grecki geograf Strabon sądził, że są wyrabiane z suszonej kory określonych drzew, rosnących wyłącznie w Indiach. Pliniusz Starszy zakładał, że jedwab jest swego rodzaju wełną z lasów na wschodzie.

Chińczycy dobrze rozumieli znaczenie monopolu na jedwab. Temu, kto zdradziłby sekret jego pochodzenia cudzoziemcom, groziła kara śmierci. W miarę jednak upływu czasu tajemnica jedwabników i liści morwy rozeszła się po świecie. Hindusi rozpoczęli wytwarzanie jedwabiu w pierwszych wiekach naszej ery, a około 550 roku dwóm nestoriańskim mnichom udało się ponoć przesmuglować jajeczka jedwabników z Chin do Konstantynopola w wydrążonych bambusowych kijach. Nie wiadomo dokładnie, kiedy produkcją jedwabiu zajęli się mieszkańcy Azji Środkowej, niemniej w X wieku Merw w dzisiejszym Turkmenistanie pobił Chiny pod względem eksportu jedwabiu na rynek europejski. W Europie Zachodniej produkcja jedwabiu ruszyła dopiero w XIII wieku. Wciąż jednak jedwab azjatycki uważa się za najszlachetniejszy, a Uzbegy przez stulecia doprowadzili sztukę jego wytwarzania do perfekcji.

Z farbiarni poszliśmy do hafciarni. Zbliżała się pora lunchu i tylko jedna hafciarka jeszcze nie przerwała pracy. Śliczna młoda dziewczyna z nieśmiałości utkwiała wzrok w wyszywanym wzorze. Emiłbek, który nie potrafił oderwać od niej oczu, poczerwieniał, podszedł szybko do dziewczyny i coś jej szepnął na ucho. Odpowiedziała krótko i ponownie opuściła oczy na haft.

– To moja dziewczyna – oznajmił, kiedy poszliśmy dalej, by oglądać rozmaite narzędzia i urządzenia w hafciarni.

– Domyśliłam się. Pobierzecie się?

Zesztywniał.

– Nie, jesteśmy za młodzi. Mam dopiero dwadzieścia lat. A ona dziewiętnaście.

Nie pytałam więcej. Emiłek zaczął mówić o odpowiedzialnej pracy hafciarek. W samym środku wykładu nie wytrzymał i wybuchnął.

– Ona wychodzi za innego! Umowę zawarto dwa dni temu, w środę. Właśnie się o tym dowiedziałem!

Zapatrzył się przed siebie, zamrugał szybko.

– Długo byliście razem?

– Tak, długo. Napisałem do niej wiele listów, ale nigdy nie odpowiedziała.

Zapadła przytłaczająca cisza. Dziewczyna, nie podnosząc wzroku, raz za razem wbijała igłę w jedwab. Wreszcie Emiłek wziął się w garść i podjął oprowadzanie, jednak mechanicznie, bez wcześniejszego zaangażowania.

Kiedy wyszliśmy na podwórze, powiedział z goryczą, że dwa tygodnie temu jego matka poszła z wizytą do matki dziewczyny.

– Miała spytać, czy jej córka zechce za mnie wyjść, ale nikogo nie było w domu. Postanowiła spróbować kiedy indziej. Przecież nie było pośpiechu...

– A czy ona ma chęć wyjść za tego mężczyznę?

Emiłek spochmurniał.

– Tak.

Reszta oprowadzania była podzielona na etapy. Emiłek zaprowadził mnie do tkalni dywanów, gdzie sześć młodych kobiet siedziało rzędem i szybkimi, tanecznymi ruchami palców dodawało kolejne węzły do zawiłych wzorów. Największe dywany zajmowały dwóm tkaczkom cały rok pracy. Emiłek wyrecytował kilka zdań o sztuce tkania dywanów, a potem pokazał mi tkalnię szali. Tuzin kobiet zasiadał tutaj przed długimi krosnami i zamieniał jedwabne nici przygotowane przez mężczyzn we wzorcowni i farbiarni na mieniające się wszystkimi barwami szale. Za każdym razem, kiedy kobiety dobijały bidłem nitkę wątku wprowadzoną czółenką w osnowę, rozlegał się głuchy stuk. Pot rosił czoła tkaczek, gdy rytmicznie powtarzały wciąż te

same ruchy na zmianę nogami i rękami. Tkały w tym samym tempie, ale nie w takt, a głucho uderzenia bideł brzmiały jak synkopowana muzyka.

Następnie Emiłek zaprowadził mnie do sali, w której szare mechaniczne krosna z lat pięćdziesiątych przywoływały wspomnienia. Ponieważ tkaczki wyszły na drugie śniadanie, obesłam salę i w samotności przyglądałam się maszynom. Emiłek powiedział, że poczeka na mnie na zewnątrz. Po chwili jednak wrócił ze śladami wilgoci na twarzy.

– Bardzo mi teraz źle – powiedział.

– Tyle tu pięknych, młodych dziewcząt – próbowałam go pocieszyć. – Znajdziesz sobie inną.

Potrząsnął chmurnie głową.

– To nie jest dla mnie dobry dzień.

Po zakończonym obchodzie przechodziliśmy znowu koło hafciarni. Dziewczęta dojadały drugie śniadanie i rozmawiały. Ta, w której Emiłek był zakochany, wyjęła iPoda. Nie przejmując się odrzuconym zalotnikiem, trzy panny pochyliły się nad ekranem, chichocząc.

– Nie lubię tych technologicznych nowinek – mruknął Emiłek. – Uważam, że lepiej poświęcić czas na czytanie książki. Jak tylko mam trochę czasu, to czytam. Najchętniej po angielsku. Teraz głównie Szekspira.

Dotarliśmy do sklepu, gdzie kończą się wszystkie wycieczki z przewodnikiem. Wtedy zebrał się w sobie i wrócił do swojej roli.

– Wiesz, skąd Marg'ilon wziął swoją nazwę?

– Nie, skąd?

– Od Aleksandra Wielkiego – wyjaśnił. – Zatrzymał się tutaj na posiłek w drodze na wschód i zjadł chleb z kurzym mięsem. Kurzyna po persku to *murgh*, chleb zaś tak po persku, jak po uzbecku to *nan*.

– Wy to wszędzie pchacie tego Macedończyka – zaśmiałam się. – Nie do wiary, ile miejsc zdążył nawiedzić w drodze na wschód. Połowa mieszkańców Azji Środkowej twierdzi, że są jego potomkami.

– Aleksander Wielki był Uzbekiem – rozległ się głos za moimi plecami,

płynnie po angielsku.

Odwróciłam się i dostrzegłam jedyne poza mną klienta – wysokiego bruneta w skórzanej kurtce i drogich dżinsach.

– Myśle, że Grecy by się z tym nie zgodzili – odparłam.

– Owszem, był Uzbekiem – powtórzył mężczyzna z przekonaniem. – Właściwie nazywał się Iskander, a jego dziadek także był Uzbekiem.

– To dla mnie coś nowego – zauważyłam. – Jak i zresztą dla większości greckich historyków, jak sądzę.

Nie przejął się moją ironią.

– Grecy też byli Uzbekami – powiedział. – Pierwotnie były trzy rodzaje Greków, a ci czarni byli właściwie Uzbekami.

– A czy czasem Uzbegy pierwotnie nie byli ludem koczowniczym, który dotarł tutaj w szesnastym wieku z północy, z terenów nad Jeziorem Aralskim?

Rozejrzałam się za Emirbekiem, żeby uzyskać od niego wsparcie, ale już go nie było.

– Nie – zareplikował z wielką pewnością siebie mężczyzna. – Przybyli z południa. Byli Grekami.

– Ale przed chwilą pan powiedział, że Grecy byli Uzbekami?

– Tak, właśnie to mówię. Uzbegy byli Grekami.

Z takimi poglądami nie da się dyskutować za pomocą argumentów. Niemniej pokazują one, jak blisko historia i samoświadomość ludów środkowoazjatyckich są związane ze światem zewnętrznym. Ludy te nigdy nie żyły w izolacji. Przez tysiąclecia musiały stawiać czoło atakującym je armiom ze wschodu i z zachodu, z północy i z południa. Plemiona przybywały tu z najróżniejszych stron świata, niektóre osiedlały się na krócej lub dłużej, inne swoim domem uczyniły stepy. Azja Środkowa zawsze była naznaczona swoim centralnym położeniem w sercu kontynentu, między Europą a Azją, pośrodku szlaku handlowego łączącego Wschód z Zachodem. Ten właśnie los, to położenie, ów przepływ ludzi i idei sprawiły, że takie

miasta jak Samarkanda, Bucharą czy Merw swego czasu rozkwitły jako ośrodki sztuki i wiedzy.

Dlatego dekady radzieckich rządów, gdy Azja Środkowa stanowiła peryferie imperium, a do tego była zamknięta w szczelnych zasiekach z drutu kolczastego, są historyczną anomalią. Ale właśnie dzięki temu niezwykłajnemu stanowi izolacji i odcięcia mogły przetrwać do naszych czasów absolutnie niepowtarzalne zbiory radzieckiej sztuki.

Dzięki temu oraz dzięki zaangażowaniu pewnego upartego Rosjanina.

Muzeum na pustyni

Już od drzwi przytłoczyły mnie kolory. Starannie wykonane ozdoby i biżuteria, bransoletki, kolczyki, karakałpackie suknie ślubne z grubego drelichu w kolorze indygo, szyte sto lat wcześniej, nim Levi Strauss podobną tkaninę⁵⁷, wytwarzaną w krajach basenu Morza Śródziemnego, rozpowszechnił po całym świecie... Dalej liczące dwa tysiące lat wazy i rzeźby z dawnego Chorezmu, wydobyte podczas być może najważniejszych w XX wieku i najbardziej niedocenionych prac wykopaliskowych... Największe wrażenie robiły jednak obrazy sygnowane nazwiskami najznakomitszych rosyjskich i uzbeckich artystów. Prawdziwy skarb światłocieni i kontrastów, inspirowany przez takich europejskich mistrzów jak Picasso czy Gauguin, lecz zarazem mający często całkowicie własny wyraz, zabarwiony środkowoazjatycką egzotyką, zmiennością nieba nad pustynią i pradawnymi tradycjami wspólnot plemiennych. Część motywów stanowiła niezwykle odważną krytykę radzieckiego reżimu, jeżeli weźmie się pod uwagę, że powstawały w owym historycznym okresie, gdy taka szczerłość, jeśliby została odkryta, mogła zostać ukarana zesłaniem albo śmiercią. Wielu artystów drogo zapłaciło za swoje dzieła.

Tylko dwoje turystów, przejętych równie silnie jak ja, wędrowało wśród zbiorów. Co jakiś czas słyszałam stłumione wybuchy ich zachwytu – długie: ooo! i aaa! – przeplatane cichymi westchnieniami satysfakcji. Poza tym całe muzeum miałam dla siebie. Obsługa dyskretnie gasiła za mną światło i zapalała je, gdy przechodziłam z sali do sali, od arcydzieła do arcydzieła.

Pominąwszy same zbiory, podobno drugie na świecie co do znaczenia, jeśli chodzi o rosyjską sztukę awangardową, najbardziej zdumiewa w tym muzeum jego położenie. Nukus leży ponad dwa tysiące kilometrów na południowy wschód od Moskwy, w Karakałpacji – zachodnim, najbardziej izolowanym regionie Uzbekistanu, otoczonym zewsząd piaskami. Lot z Taszkientu do Nukusu trwał półtorej godziny – dziewięćdziesiąt

jednostajnych minut nad płaską, nagą pustynią.

Mimo że Karakałpacja zajmuje ponad jedną trzecią obszaru Uzbekistanu, mieszka tu mniej niż sześć procent ludności, około miliona siedmuset tysięcy ludzi. Mniej więcej jedna czwarta z nich to Karakałpacy, resztę stanowią Kazachowie, Uzbeki i Turkmeni. *Karakałpak* znaczy „czarny kapelusz”, lecz nikt już nie pamięta, dlaczego tak nazwano ten lud. Jeżeli nawet kiedyś nosili czarne kołpaki, od dawna tego nie robią. Prawie wszystkie typowo karakałpackie tradycje i cechy kulturowe zanikły w czasach radzieckich – poza językiem, który przypomina bardziej kazachski niż uzbecki. I oprócz zwyczaju uprawiania narzeczonych, który nie jest raczej rozpowszechniony w Uzbekistanie, ale wydaje się trudny do wykorzenia, gdy już raz został wprowadzony do tradycji.

Nukus, stolica Karakałpacji, jest szarym, prowincjonalnym miastem, któremu ton nadają radzieckie wieżowce i szerokie bezduszne ulice. Kilkaset tysięcy mieszkańców wciąż trzyma się tego miasta, lecz ich liczba z każdym rokiem się zmniejsza. Kto może, przy pierwszej nadarzającej się okazji ucieka od biedy, wszechobecnego pustynnego pyłu i nieprzyjaznego klimatu. Latem temperatura skacze tu do pięćdziesięciu stopni w cieniu, natomiast zimy bywają mroźne i wietrzne. Wiatry przynoszą sól i trujące substancje z nad wyschniętego Jeziora Aralskiego. Pozostałości oprysków, sztucznych nawozów, a nawet broni biologicznej znajdują drogę nad pustynnymi wydmami do samego centrum miasta.

Po drugiej wojnie światowej władze radzieckie nasiliły badania nad bronią biologiczną, a w latach sześćdziesiątych, w szczycie tej aktywności, do owego ściśle tajnego programu odkomenderowano aż pięćdziesiąt tysięcy ludzi w pięćdziesięciu dwóch różnych obszarach testowych. Dwa miejsca, w których badano śmiertelne mikroby, znajdowały się na Wyspie Odrodzenia i na tymczasowej sztucznej Wyspie Komsomolskiej na Jeziorze Aralskim. Naukowcy zajmowali się tu między innymi wąglikiem, czarną ospą i dżumą. Któregoś razu w 1971 roku pewien statek podpłynął zbyt

blisko Wyspy Odrodzenia i załoga weszła w kontakt z zarazkami, które w ten sposób dostały się do portu w Aralsku w Kazachstanie. Ospa zaraziło się łącznie dziesięć osób, tylko siedem z nich przeżyło. Dziś nie ma ani Wyspy Komsomolskiej, ani Wyspy Odrodzenia. W procesie wysychania Jeziora Aralskiego stały się częścią stałego lądu. Natomiast w glebie obu byłych wysp wciąż istnieją przetrwalniki badanych mikrobów. Ilekroć pojawia się wiatr, unosi je w powietrze i rozwiewa na wszystkie strony.

Ze względu na obiekty wojskowe w czasach radzieckich cała Karakałpacja stanowiła obszar zamknięty, żadni obcokrajowcy ani niepowołani nie mogli poruszać się po tym regionie. Jako oficjalny powód podawano brak infrastruktury turystycznej. W pewnym sensie nie było to kłamstwo.

W 1950 roku do tej opuszczonej przez Boga krainy trafił rosyjski artysta Igor Sawicki.

Urodził się w lecie 1915 roku na Ukrainie i dorastał w uprzywilejowanych warunkach w Kijowie, pod opieką francuskiej guwernantki, w otoczeniu obznajmionych ze światem, doskonale wykształconych krewnych. Ojciec, Witalij Sawicki, był zamożnym i szanowanym prawnikiem. Pradziadek po kądzieli – teologiem i historykiem rosyjskiej Cerkwi oraz protoprezbiterem soboru Świętych Piotra i Pawła w Sankt Petersburgu. Dziadek ze strony matki, Timofiej Fłorinski, profesor zwyczajny i dziekan wydziału historyczno-filologicznego Uniwersytetu Świętego Włodzimierza w Kijowie, był uznanym slawistą i bizantynistą, poza tym szeroko znanym bibliofilem, posiadającym prywatną bibliotekę ponad dwunastu tysięcy woluminów, które chętnie udostępniał swoim studentom. Jego wnuk miał podnieść rodzinne kolekcjonerstwo na nowy poziom. Mimo toczącej się w Europie wojny życie w Kijowie szło utartym torem, a pierwsze lata dzieciństwa Igora były szczęśliwe.

Potem przyszła rewolucja i wojna domowa. Wcześniejsze przywileje stały się teraz przekleństwem. W 1919 roku sześćdziesięcioletni Timofiej Fłorinski został aresztowany i rozstrzelany przez bolszewików, a jego

księgozbiór uległ rozproszeniu. W latach dwudziestych większość krewnych po kądzieli emigrowała do Francji, gdzie mogła się cieszyć swobodą. Rodzice Igora odmówili jednak wyjazdu z Rosji i przenieśli się do Moskwy, gdzie zamieszkali u brata matki, Dymitra. Był on kierownikiem wydziału protokołu dyplomatycznego w Ludowym Komitecie Spraw Zagranicznych. Wydawać by się mogło, że stanowisko miał dobre i zapewniające bezpieczeństwo. Niemniej w latach trzydziestych nikt w Związku Radzieckim nie był bezpieczny. W 1934 roku, podczas pierwszej fali terroru i czystek, został aresztowany. Nie wiemy, co się z nim dalej działo [w 1938 roku został rozstrzelany – przyp. tłum.] ani też jaki los spotkał rodziców Igora, bo Sawicki prawie nigdy nie rozmawiał o swojej rodzinie ani pochodzeniu, nawet z bliskimi przyjaciółmi.

Zaświadczać, że jest dobrym proletariuszem, jako szesnastolatek podjął pracę i naukę w zawodzie elektryka. Wieczorami brał prywatne lekcje rysunku i malarstwa, aby realizować swoje marzenia i ambicje. Był pilnym uczniem i każdą wolną chwilę wykorzystywał na rysowanie, malowanie i czelowanie techniki. W 1941 roku został przyjęty na studia w Moskiewskim Państwowym Instytucie Artystycznym im. Wasyla Surikowa. Z powodu słabego zdrowia nie został powołany do wojska i nie poszedł na front. W 1942 roku instytut Surikowa wraz ze studentami ewakuowano do Samarkandy. Zetknięcie się z Azją Środkową wywarło ogromne wrażenie na młodym Sawickim i na zawsze zmieniło koleje jego życia.

W 1950 roku został zaproszony jako rysownik do uczestnictwa w archeologiczno-etnograficznej wyprawie badawczej Akademii Nauk ZSRR, pod kierownictwem Siergieja Tołstowa, do dawnego Chorezmu na terenach Karakałpacji. Odkrycie Chorezmu w latach trzydziestych XX wieku bywa dzisiaj przez niektórych archeologów przyrównywane do odkrycia grobu Tutenchamona. W VI wieku przed naszą erą tu, na południe od Jeziora Aralskiego, istniała duża, postępująca cywilizacja, której mieszkańcy wyznawali zoroastryzm, tworzyli wysoko rozwinięte, zhierarchizowane

społeczności, rozwijali nauki przyrodnicze i matematykę. Sawicki, który wcześniej dał się zauroczyć ludom i krajobrazowi Azji Środkowej, bez namysłu się zgodził i przez łącznie osiem lat współpracował z archeologami jako ich stały rysownik. Gdy naukowcy podczas popołudniowych upałów odpoczywali w cieniu, Sawicki spędzał czas za sztalugami, uwieczniając pustynię, nigdy niesyty barw i zmiennego oświetlenia tych pustkowi bez granic.

Dziś uważa się Igora Sawickiego za ojca karakałpackiego malarstwa krajobrazowego. Znalazł swoje Tahiti. Oczarowała go, podobnie jak Gauguina, tubylcza kultura, jednak jego fascynacja znalazła inny wyraz niż u francuskiego malarza. W wolnych chwilach Sawicki odwiedzał oddalone od uczęszczanych szlaków wioski i zbierał rękodzieło, ozdoby, dywany, hafty oraz inne przedmioty typowe dla karakałpackiej kultury. Karakałpacy nie mieli własnego języka pisanego, za to posiadali niezwykle bogatą tradycję rękodzielniczą. Sawicki zbierał z zapalem i z czasem zgromadził u siebie w mieszkaniu osiem tysięcy wyjątkowych eksponatów. Mało kto rozumiał, po co mu te starocie. Nadeszły nowe czasy i nikt, nawet sami Karakałpacy, nie doceniał wartości starego rękodzieła.

Kiedy archeolodzy po ośmiu latach zakończyli prace wykopaliskowe, Sawicki zgłosił przeprowadzkę do Nukusu. Dalej zbierał karakałpackie perełki rękodzielnicze, jednocześnie zaś zaczął uczyć miejscowych artystów. Chciał robić to porządnie, więc uznał, że nie obejdzie się bez muzeum sztuki. Po wielu latach przekonywania udało mu się namówić lokalne władze do sięgnięcia do mieszka. 1 maja 1966 roku Muzeum Sztuki w Nukusie otworzyło podwoje. Tego dnia Sawicki odłożył własny pędzel na półkę. Jego zdaniem nie dało się pogodzić uprawiania sztuki na serio z piastowaniem funkcji dyrektora muzeum.

Muzeum stało się dla Sawickiego całym życiem. Z reguły sypiał tylko kilka godzin na dobę, jadł mało. Na założenie rodziny nie miał w ogóle czasu – całą energię poświęcał na prowadzenie muzeum i zbieranie sztuki. Przez

lata spędzone w Azji Środkowej dokonał ważnego odkrycia – w pracowniach i w mieszkaniach wdów po szeregu na poły zapomnianych albo zakazanych twórców kryły się nieprzebrane skarby, o które nikt, jak się wydawało, nie dbał. Po tym, jak Stalin w latach trzydziestych zaostrzył cenzurę, dopuszczalna była tylko sztuka budująca, która odzwierciedlała idealizowaną radziecką rzeczywistość, tak zwany realizm socjalistyczny (sorealizm). Radzieccy twórcy nie byli tymczasem tak jednotorowi jak władze. Istniała cała masa malarzy, którzy tworzyli obrazy inspirowane europejską awangardą, kubizmem, dadaizmem, surrealizmem i innymi modernistycznymi kierunkami. Dzieła te nie były wystawiane, przeciwnie, chowano je głęboko w piwnicach lub na strychach.

W latach sześćdziesiątych cenzura nieco zelżała i Sawicki to wykorzystał. Zaczął odwiedzać pracownie i krewnych zmarłych artystów, poszukując ukrytych dzieł z lat dwudziestych i trzydziestych. Początkowo skoncentrował się na Uzbekistanie, gdzie w tym czasie znalazło schronienie wielu rosyjskich malarzy. Stopniowo jednak rozszerzył obszar poszukiwań także na Moskwę. Natrafiał na skarb za skarbem, autorstwa tak znanych i uznanych twórców jak Ural Tansykbajew, ale także malarzy kompletnie nieznanymi, jak Konstantin Suriajew. Sawicki kupował niemal hurtowo obrazy swego czasu zbyt kolorowe, zbyt ekspresyjne, zbyt krytyczne lub zbyt eksperymentalne dla reżimu. Część płócien była w żalonym stanie i wymagała gruntownej renowacji i konserwacji, czym Sawicki często zajmował się sam. Na przykład jednym z uratowanych przez niego obrazów wdowa po malarzu zatykała dziurę w suficie. Podczas wojny rodzina Aleksandra Wołkowa była zmuszona palić blejtramami, żeby nie zamarznąć. Kiedy pojawił się u nich Sawicki, obrazy znajdowały się w tragicznym stanie. Rodzina, szczęśliwa, że ktoś wciąż interesuje się sztuką Wołkowa, podarowała mu całą kolekcję, a Sawicki zabrał ją do muzeum na pustyni i poddał renowacji.

Muzeum w Nukusie szybko zyskało renomę w Związku Radzieckim,

Sawicki został uznany za znawcę sztuki. Miał poza tym wyjątkową umiejętność przekonywania i nawet najbardziej sceptyczne stare wdowy potrafił namówić na przekazanie mu pod opiekę dorobku życia ich mężów. Koledzy zaczęli go wkrótce nazywać „przyjacielem wdów”. Sawicki płacił twórcom i ich krewnym w miarę swoich możliwości, szczególnie zależało mu na rozliczaniu się z biednymi wdowami. Jeżeli nie miał gotówki, co zdarzało się dość często, wystawiał im odręczny weksel, w którym jako dyrektor Muzeum Sztuki w Nukusie obiecywał zwrócić dług, one zaś zaskakująco często się na to zgadzały. Jak tylko miał trochę pieniędzy, sumiennie spłacał dług.

Biorąc pod uwagę wielką liczbę dzieł sztuki gromadzonych przez Sawickiego, pieniędzy uzyskanych od władz lokalnych w Karakałpacji musiało nigdy nie starczać i raz po raz przekraczał budżety. Wielokrotnie otrzymywał polecenie, żeby przestał wydawać pieniądze na zakup sztuki, ale tego akurat nie potrafił. Co dziwniejsze, uchodziło mu to na sucho. Jeszcze bardziej zastanawiające jest to, że nie czepiano się zakupu za państwowe pieniądze tysięcy dzieł, które do tego stopnia nie spełniały wymagań maszynierii propagandowej, częściowo też autorstwa twórców jeszcze niezrehabilitowanych. Takie muzeum nie przetrwałoby w Moskwie ani w Leningradzie, lecz w Nukusie kontrola była słabsza. Jeśli czasem przyjeżdżali inspektorzy z Moskwy, Sawicki dbał o to, by usunąć z widoku najbardziej kontrowersyjne obrazy, po czym zakładał swój jedyny garnitur i z zadowoleniem oprowadzał gości. Niektóre dzieła ze względów taktycznych miały na tabliczkach napis: „Autor nieznany”. Kiedy w 1982 roku w muzeum wystawiono cykl rysunków Nadieždy Borowej z gułagu, w którym w latach trzydziestych spędziła siedem lat, tekst katalogu wyjaśniał, że szkice przedstawiają wymyślone sceny z życia codziennego w nazistowskim obozie koncentracyjnym.

W 1983 roku Igor Sawicki poważnie zachorował. Pracował jak dawniej, chociaż ledwo był w stanie oddychać. Wreszcie jego lekarz, Siergiej Efuni⁵⁸,

umieścił go wbrew jego woli w moskiewskim szpitalu. Tam po szczegółowych badaniach stwierdzono, że pacjent nie ma raka ani nie cierpi na gruźlicę, jak początkowo podejrzewano, lecz ma mocno zaawansowaną miażdżycę, spowodowaną długoletnim lekkomyślnym posługiwaniem się niebezpiecznymi chemikaliami. Sawicki był zwolennikiem tradycyjnych metod czyszczenia przedmiotów z miedzi. Gotując formalinę w swoim warsztacie, nie stosował żadnych zabezpieczeń, toteż jego płuca były w opłakanym stanie.

– Nie mogę umrzeć, doktorze, ciągle mam półtora miliona rubli długu u artystów i wdów! – protestował, gdy lekarz przedstawił mu diagnozę.

Doktor Efuni, człowiek wyrozumiały, niekiedy udzielał Sawickiemu przepustkę na kilka dni. Czas ten Sawicki wykorzystywał na odwiedziny w kolejnych moskiewskich pracowniach w celu uzupełniania zbiorów. Jego pokój szpitalny zamienił się w gabinet. Dyrektor muzeum do ostatniej chwili życia prowadził korespondencję, wysyłał listy prośbalne do władz, przyjmował darczyńców znoszących obrazy i grafiki.

W czerwcu 1984 roku, na osiem dni przed sześćdziesiątymi ósmymi urodzinami, Igor Sawicki zmarł. Podczas ośmiomiesięcznego pobytu w szpitalu zdążył zebrać dwa kontenery dzieł sztuki, rzadkich książek i antyków do swojego muzeum w Nukusie.

Marynika Babanazarowa, wnuczka po kądzieli pierwszego przywódcy Karakałpacji, której ojciec przyjaźnił się z Igorem Sawickim, zgodnie z życzeniem kolekcjonera została dyrektorką muzeum i kieruje nim od niemal trzydziestu lat. Po rozpadzie Związku Radzieckiego stało się ono stopniowo bardziej znane miłośnikom sztuki na całym świecie i dziś przyjmuje cztery do pięciu tysięcy zwiedzających rocznie, czego oczywiście nie da się porównać na przykład z Luwrem, który odwiedza przeciętnie piętnaście tysięcy osób dziennie. Wziąwszy jednak pod uwagę peryferyjne, delikatnie mówiąc, położenie muzeum Sawickiego, jest to sukces.

Sawickiemu marzyło się, by miłośnicy sztuki przylatywali do Nukusu z Paryża. W tamtych czasach przyjaciele się z niego śmiali. Dziś jego marzenie się spełnia.

Dyrektorowanie w muzeum w Nukusie w dalszym ciągu jednak nie jest usłane różami. Po śmierci Sawickiego przez wiele lat muzeum spłacało jego długi wobec artystów i wdów po nich. Latami nie można było sobie pozwolić na nawilżacze powietrza, właściwą wilgotność w salach wystawowych zapewniały ustawione tam miski i balie z wodą. Mimo że nie brakowało chętnych, dyrektor Babanazarowa nigdy nie dała się skusić na sprzedaż dzieł sztuki, żeby podreperować ograniczony budżet. Zdaniem Sawickiego muzeum miało moralny obowiązek opiekowania się dziełami, które zostały mu powierzone przez zubożałych artystów i ich krewnych. Twierdził, że sprzedaż choćby jednego obrazu byłaby wobec nich zdradą. Przestrzegał zresztą, że kiedy zacznie się sprzedawać, trudno będzie przestać. Dyrektor Babanazarowa wiernie trzyma się tej filozofii, choć z tego powodu często nie stać jej było na płacenie pracownikom przyzwoitych pensji. Panie z muzeum – bo pracują tu prawie same kobiety – są na szczęście równie mu oddane jak dyrektorka i traktują utrzymanie nukuskich zbiorów jako swój moralny obowiązek.

Pod nowymi rządami politycznymi również nie było łatwo prowadzić muzeum. Wprawdzie prezydent Karimow osobiście zainaugurował działalność nowego gmachu, którego budowę rozpoczęto w 1976, a zakończono dopiero w 2003 roku, jednak władze mają do tej instytucji stosunek ambiwalentny. Cieszy je fakt, że muzeum przyciąga do regionu turystów, jednocześnie wszelki kontakt z obcokrajowcami daje podstawy do podejrzeń. Kiedy film dokumentalny o muzeum Sawickiego, *The Desert of Forbidden Art*, miał w 2011 roku premierę w Nowym Jorku, dyrektor Babanazarowej odmówiono zgody na wyjazd. Dzień premiery spędziła na przesłuchaniu.

Rok wcześniej dyrekcja otrzymała czterdzieści osiem godzin na

opróżnienie starszego z dwóch pawilonów wystawowych, ponieważ ulica, przy której się znajdował, miała być w całości rewitalizowana. Pracownicy na łeb na szyję, ze łzami w oczach pakowali setki obrazów i upychali je w i tak już przepelnionym magazynie. Na rogu, w miejscu muzeum, pojawił się teraz kłujący w oczy przepychem budynek banku. Po przeciwnej stronie ulicy stanął olbrzymi biały gmach parlamentu. Wznoszenie reprezentacyjnych budynków to część centralnego programu władz mającego na celu poprawienie wyglądu wszystkich znaczących miast w kraju.

Elementem tego programu są także dwa nowe budynki muzealne. Zgodnie z planem mają być oddane do użytku na pięćdziesięciolecie muzeum, czyli w 2016 roku. Tym samym miłośnicy sztuki, którzy wybiorą się w długą drogę do Karakałpacji, żeby obejrzeć rosyjską awangardę malarską, wkrótce zobaczą nieco więcej spośród ponad osiemdziesięciu tysięcy przedmiotów artystycznych i dzieł sztuki, które Igor Sawicki zdążył zgromadzić przez osiemnaście lat swojej pracy w Nukusie.

Bóg bawełny

Zaraz po wyjeździe z Nukusu trafiliśmy na długi most. Dopiero gdy byliśmy na jego środku, w dole pod nami pojawiła się rzeka – wąski bladoszrebrzysty pasek prawie stojącej wody. Tyle zostało z Amu-darii, przez Greków zwanej Oksusem, środkowoazjatyckiego odpowiednika Nilu, życiodajnej tętnicy pustyni. Przed kilkoma tygodniami siedziałam na jej brzegu w dolinie Wachanu w Tadżykistanie. Tam była to jeszcze rzeka, szeroka i żywa. Z gór Pamiru spływa do Turkmenistanu, by zakończyć bieg w Uzbekistanie, gdzie wraz z szeregiem dopływów i rozgałęzień zwykła była tworzyć deltę i uchodzić do Jeziora Aralskiego. Miejscowi mówią jeszcze o Amu-darii z czcią i respektem, obecnie jednak nie jest ona nawet cieniem dawnej rzeki. Dziś Amu-daria nie uchodzi do żadnego jeziora ani morza, lecz staje się coraz bardziej układna, węższa i słabsza, aż na koniec znika bez śladu w piasku.

Na pustyni woda jest droższa od złota. Dwa tysiące lat temu Amu-daria i jej dopływy umożliwiły koczownikom osiedlenie się w starożytnym Chorezmie. Ku rozpaczycy ludów osiadłych była rzeką kapryśną i często zdarzało się jej nagle zmieniać kierunek. Ludziom pozostawało jedynie potulnie iść w jej ślady. W ten sposób, z powodu pogoni za wodą, upadały całe miasta. Z czasem ludzie nauczyli się oswajać rzekę. Zaczęli budować duże urządzenia nawadniające, które mogły zaopatrywać w czystą zimną wodę setki tysięcy potrzebujących. Dzięki takim pomysłowym kanałom rozkwitały na pustyni miasta oazy: Merw, Chiwa, Buchar, Samarkanda i Kokand.

Jak wiadomo, władze radzieckie nie zadowolili się wykopaniem kilku marnych kanalików. Kremlowscy urzędnicy chcieli stworzyć nowy światowy ład. Przyroda miała słuchać komunistów, a nie odwrotnie! Pierwsze spychacze i koparki zaczęły rozgrzebywać brzegi Amu-darii w latach pięćdziesiątych. Jednocześnie tysiące mężczyzn skierowano na pola i każdemu dano do ręki łopatę. W nowym światowym ładzie ludzie nie

żyli już dla siebie i swojej rodziny, mieli żyć dla partii i dla wspólnoty – rozszerzonej rodziny. Wymagano od nich, by poświęcili życie, nie tylko swoje muskuły, budowaniu socjalistycznego imperium.

Kiedy Rosjanie pojawili się w Azji Środkowej, bawełnę uprawiano tam od prawie dwóch tysięcy lat, ale tylko na małą skalę. Żeby zachęcić do produkcji bawełny, rozdawali ziemię chłopom chcącym uprawiać tę roślinę. Odmiana środkowoazjatycka została zastąpiona amerykańską, z której otrzymuje się czystsza i mocniejszą tkaninę. Stopniowo bawełna wypierała inne uprawy, co sprawiło, że mieszkańcy Azji Środkowej, którzy dotąd byli samowystarczalni w zaopatrzeniu w zboża, owoce i warzywa, stali się zależni od importu żywności z Rosji. W 1916 roku, podczas pierwszej wojny światowej, miejscowa ludność zaprotestowała przeciwko kolonialistom z północy. Uważała za niesprawiedliwe to, że zmusza się ją do uprawiania na własnych polach bawełny zamiast tak potrzebnych jej, głodującej, zbóż. W dodatku bawełnę skupowano po sztucznie zaniżonych, ustalanych przez cara cenach.

Tymczasem kiedy do władzy doszli bolszewicy, zrobiło się jeszcze gorzej. Komunistom zamarzyło się uczynienie ze Związku Radzieckiego największego producenta bawełny na świecie. Trzy czwarte radzieckiej bawełny uprawiano w Uzbekistanie, który przy swoim klimacie i dużej liczbie ludności najlepiej nadawał się do tego celu. Prawie wszystkie uzbeckie kolchozy zajmowały się uprawą bawełny. Gaje figowców i plantacje melonów, łąny zbóż i kwiatowe ogrody równano z ziemią i zastępowano polami amerykańskiej bawełny. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się kilometry bawełnianych krzewinek, których krótkie, brązowe gałązki każdej jesieni zamieniały się w ławice kłębiastych chmur.

Ponad dziewięćdziesiąt procent środkowoazjatyckiej bawełny wysyłano do dalszej obróbki do Rosji. Cena wciąż pozostawała grubo poniżej rynkowej, wobec czego tylko nieliczne uzbeckie kolchozy finansowo wychodziły na swoje. Dlatego Uzbekistan przez cały okres władzy radzieckiej

był skazany na dotacje z północy i dostawy mięsa, nabiału, pszenicy, owoców i warzyw.

Komuniści długo śnili o zamianie w plantacje bawełny również olbrzymich terenów pustynnych. Dopiero za czasów Leonida Breżniewa, który zresztą nie był znany jako człowiek czynu, sprawy ruszyły z kopyta. Spychaczami, koparkami i siłą ludzkich mięśni wykopano wiele tysięcy kilometrów kanałów nawadniających. Tylko w ciągu dwudziestu lat, od 1965 do 1985 roku, powierzchnia ziemi uprawnej w Uzbekistanie prawie się podwoiła. Zmieniano bieg rzek, kierując je na pola bawełny, gdzie woda je zalewała, wnikała w glebę – i ją niszczyła. Okazało się bowiem, że pod nieurodzajną pustynią zalegają duże złoża soli. Kiedy woda do nich przenikała, rozpuszczała je i powiększając ich objętość, powodowała wydostawanie się solanki na powierzchnię. Tam solanka wysychała i pokrywała ziemię warstwą drobnych kryształków, które z kolei rozwiewał wiatr. Ludzie wdychali sól. Żeby rok po roku utrzymać na tej jałowej ziemi plantacje bawełny, sypano tony nawozów sztucznych i stosowano intensywne opryski. Samoloty i helikoptery rozpylały trujące substancje nad polami, ale też nad wioskami, przydomowymi ogródkami i placami zabaw. Przeciętnie stosowano dwadzieścia do dwudziestu pięciu kilogramów pestycydów na hektar, siedem razy więcej niż średnio w Związku Radzieckim. Rozrzutność przy sztucznym nawożeniu była jeszcze większa. Każdy krzak bawełny otrzymywał ponad pięćdziesiąt razy więcej nawozu, niż to konieczne.

Ponieważ liczba ludności ZSRR rosła szybciej niż powierzchnia pól bawełny w Uzbekistanie, rynek był ciągle nienasycony. Nigdy nie miał dość bawełny. Wymagania produkcyjne moskiewskiej gospodarki planowej nie były realistyczne, zamiast jednak poprawić założenia, władze uzbeckie zaczęły „poprawiać” wyniki. W ten sposób drobniejsi i znaczniejsi urzędnicy mogli chować do własnych kieszeni olbrzymie pieniądze za fikcyjną bawełnę, a Uzbekistan co roku nawet z nadwyżką wykonywał plan – na

papierze.

Cały Związek Radziecki przenikały korupcja i kumoterstwo, najbardziej jednak dotyczyły one Azję Środkową. Komitet Centralny w każdej ze środkowoazjatyckich republik był właściwie inną nazwą rady starszych dominującego plemienia. Tych zaś łączyły powiązania rodzinne i wspólnie prowadzone interesy. Przez dwadzieścia cztery lata pierwszym sekretarzem – albo, jak kto woli, wielkim wezyrem – był w Uzbekistanie Szaraf Raszydow, aż w 1983 roku usłużnie odszedł z tego świata, krótko po tym, jak Biuro Polityczne w Moskwie zaczęło się interesować rozbieżnościami między ilością bawełny zgłoszonej jako zebrana a ilością faktycznie dostarczonej z Uzbekistanu. Proces o korupcję, znany jedynie jako afera bawełniana, toczył się przez całe lata osiemdziesiąte aż do rozwiązania ZSRR w 1991 roku. Ponad trzy tysiące policjantów straciło pracę w wyniku śledztwa, cztery tysiące członków partii stanęło przed sądem i zostało skazanych. Kiedy Gorbaczow doszedł do władzy, za konieczną uznał wymianę dużej części skorumpowanego kierownictwa partii. Mimo protestów Uzbeków zwolnieni uzbecky funkcjonariusze partyjni zostali zastąpieni w głównej mierze przez Rosjan i w ten sposób Gorbaczow praktycznie zlikwidował radę starszych.

Pierwszy sekretarz Islom Karimow pochodził natomiast z Samarkandy. Już na wstępie, gdy tylko Uzbekistan stał się niepodległy, zdecydował o rehabilitacji większości skazanych w aferze bawełnianej. Wielu z nich odzyskało nawet swoje dawne stanowiska.

Przyjeżdżających do Mojnaku wciąż wita jak wspomnienie dawnej świetności tablica z dużą niebieską rybą. Oddalone o trzy do czterech godzin jazdy od Nukusu miasto aż do lat siedemdziesiątych było jedynym uzbeckim portem z plażami, falami rozbijającymi się o brzeg i ruchliwymi kutrami rybackimi. Teraz od jeziora dzieli je ponad sto kilometrów. Uzbekistan jest krajem nie tylko śródlądowym, lecz jednym z dwóch na świecie podwójnie

śródlądowych – otaczają go wyłącznie kraje bez dostępu do morza, bez wybrzeży. Teraz stracił także tę namiastkę linii brzegowej nad Jeziorem Aralskim.

W latach sześćdziesiątych, kiedy Sawicki otwierał muzeum w Nukusie, Karakałpacja wprost kwitła. Dzięki nowym kanałom wszędzie wschodziły bawełnice, a wszyscy mieli pracę. Miejscowi zajmowali się siewem albo zbiorem bawełny, kopaniem kanałów lub rybołówstwem. Aż siedem procent spożywanych w Związku Radzieckim ryb pochodziło z Jeziora Aralskiego, jeśli wierzyć radzieckim statystykom. W samym Mojnaku trzydzieści tysięcy ludzi było zatrudnionych przy połowach lub przetwórstwie w fabryce konserw. Nawet gdy jezioro zaczęło się cofać i na koniec całkiem znikło, w fabryce pracowano pełną parą na zmiany. Kiedy miejscowi rybacy nie mogli już dostarczać ryb na taśmy produkcyjne, władze organizowały do przetwarzania dostawy mrożonych ryb z Murmańska.

Resztki dawnej świetności czynią Mojnak miejscem jeszcze bardziej depresyjnym. Na obrzeżach centrum jest kino, zbudowane z ziemi i gliny, lecz pomalowane w niegdyś żywe i świeże kolory – plakaty zapowiadające filmy są teraz nieczytelne. Nie ma tu restauracji, z rzadka trafi się sklep. Jedyne hotel w mieście jest tak zrujnowany, że tylko nieliczne biura podróży odważają się przysyłać tutaj turystów. Przed betonowymi blokami pasą się kozy, na ulicach zalegają hałdy piasku. Koło szkoły, w której połowa klas zaje pustką, kilku chłopców gra w piłkę na zaimprovizowanym boisku. Ich włosy i ubrania pokrywa pył, ale wydają się tego nie zauważać. Dawna fabryka konserw rybnych, serce Mojnaku, przypomina dom, w którym straszy – powybijane okna, obłazący tynk, zwisająca krzywo tabliczka...

Borys, mój kierowca, przejechał powoli obok fabryki, żebym przez zamknięte okno mogła zrobić zdjęcie.

– Szpiedzy i policja są tu wszędzie – wyjaśnił. – Zaraz po rozpadzie powstał w Karakałpacji niewielki ruch niepodległościowy, ale ludzie Karimowa szybko i brutalnie go rozbili. Od tego czasu nie było tu żadnego

zorganizowanego działania na rzecz niepodległości, ale władze śmiertelnie się boją, że się odrodzi, i dobrze pilnują. Donosiciele są wszędzie. Przy najdrobniejszych oznakach podejrzanego albo niechcianej aktywności informują władze w Taszkencie.

– A fotografowanie fabryki konserw rybnych mieści się w kategorii niechcianej aktywności?

– Właśnie.

Borys był chyba jedynym Rosjaninem, jaki się ostał w Karakałpacji. Po rozwiązaniu Związku Radzieckiego jego żona z dziećmi wsiadła w pierwszy samolot do Moskwy. On znalazł sobie miejscową i został.

– Nie mogłem zostawić starej matki – stwierdził. – Poza tym umierać należy tam, gdzie się człowiek rodził. Takie jest moje zdanie.

Na pierwszy rzut oka Borys nie wzbudzał zaufania. Wymiętoszone spodnie od dresu i podkoszulek, który – mimo że elastyczny – nie był w stanie przykryć w całości pokaźnego brzucha. Właśnie skończył pięćdziesiąt siedem lat, ale wyglądał o dwadzieścia starzej. W ostatnim czasie był na rencie z powodu przewlekłej niewydolności nerek, dość powszechnej w tym rejonie. Żeby dorobić do renty, wyspecjalizował się w turystyce katastroficznej – woził ludzi nad Jezioro Aralskie. Zanim wyruszyliśmy z Nukusu, zasztauował ładunek miejscowej wódki, która – jak przysięgał – była najlepsza w całym Uzbekistanie.

Mimo tych złowróżbnych oznak Borys miał się okazać najlepszym kierowcą w całej podróży. W przeciwieństwie do swoich młodszych kolegów, którzy naciskali hamulec, dopiero gdy zobaczyli w oddali światła kontroli drogowej, Borys utrzymywał mniej więcej normalne, dopasowane do warunków tempo i rzadko przekraczał sto kilometrów na godzinę. Butelkę wódki zaś zachowywał na wieczór, kiedy zjeżdżaliśmy na nocleg.

Tuż poza ścisłym centrum leży jedyna atrakcja turystyczna Mojnaku – cmentarzysko statków. Na piasku stoi szeregiem jednaście zardzewiałych

kadłubów różnej wielkości i budowy – od małych kutrów rybackich po duże trawlery. Niezliczone pary zakochanych wyskrobały tutaj swoje inicjały. Nie jestem tu najwidoczniej pierwszą mieszkanką Północy. Szpiczaste białe litery na jednej z burt oznajmiają: Ole + Jørgen. Za statkami rozciąga się, jak okiem sięgnąć, morze brązowego pustynnego piasku.



Kutry rybackie w Mojnaku osiadły na brzegu na dobre.

Statki stoją przy platformie, która dzisiaj służy jako parking i punkt widokowy. Za nią ustawiono tablice informacyjne o Jeziorze Aralskim. Zdjęcia satelitarne pokazują, jak jezioro z czwartego co do wielkości na świecie zmniejszyło swoją powierzchnię, by na koniec podzielić się na dwa

zbiorniki. Zaledwie kilka lat temu z Kazachstanu do Uzbekistanu sięgały dwa ramiona jeziora, dziś zostało tylko jedno, coraz krótsze i węższe. Podczas gdy władzom kazachskim udało się odwrócić rozwój wydarzeń w Północnym Jeziorze Aralskim, dla Południowego nie ma już nadziei. Woda jest zbyt słona, by żyły w niej ryby, Amu-daria zaś, która kiedyś uchodziła do jeziora, nie dosięga jego brzegów. W ciągu ostatniego półwiecza zniknęło ponad dziewięćdziesiąt procent jego powierzchni.

Platforma będąca dziś parkingiem to niegdysiejsze główne nabrzeże portu w Mojnaku. Tuż obok niego urządzano letnie obozy pionierskie. Władze lokalne wzięły się właśnie za budowę domów wypoczynkowych, gdy jezioro zaczęło się cofać. Dzień po dniu coraz dalej było do wody i tak powoli, prawie niezauważalnie z Mojnaku zniknęło śródlądowe morze. Pewnego dnia przyszedł pierwszy transport mrożonych ryb z Murmańska, a rybacy na dobre wyciągnęli łodzie na ląd.

– W wakacje odwiedzałem tutaj zwykle ciotkę – opowiadał Borys. – W lecie był tu istny raj. Kąpaliśmy się, bawiliśmy, odpoczywaliśmy... Teraz wszyscy Rosjanie i Kazachowie się wyprowadzili. Zostali tylko Karakałpacy.

W milczeniu przyglądaliśmy się chwilę dawnemu dnu jeziora.

– Za Związku Radzieckiego wszystko było lepsze – rzucił Borys.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Olej jadalny był tani, chleb nie kosztował prawie nic, bilet lotniczy do Moskwy też niewiele – ciągnął. – Pensje, które dostawaliśmy, starczały dla całej rodziny. Teraz pieniędzy nigdy nie starcza, wielu z nas choruje.

Kto podróżuje po Rosji i dawnych republikach radzieckich, ten szybko się przyzwyczaja, że starszych ludzi ogarnia nostalgia, gdy zaczynają mówić o dawnych czasach. „Dawniej wszystko było lepsze” – rozbrzmiewa niby refren. I któż by im czynił z tego zarzut? Nie tylko byli wtedy młodzi, ale też świat był mniej skomplikowany, zabezpieczenia socjalne funkcjonowały lepiej, ceny, prawdę mówiąc, były niższe. Niemniej akurat w tym spośród wszystkich możliwych miejsc, w mieście, które do tego stopnia odczuło

konsekwencje megalomańskich projektów władz radzieckich, nie spodziewałam się natknąć na poradzieckie tęsknoty. Mój niedomyty kierowca nie był jednak wyjątkiem. Jak w Kurczatowie, gdzie za Związku Radzieckiego dokonywano próbných wybuchów jądrowych, wszyscy, których spotkałam w Mojnaku, tęsknili za dawnymi dobrymi czasami. Bo dawniej wszystko było lepsze.

W pewnym sensie mieli rację. Życie w Karakałpacji było dawniej zdecydowanie lepsze. Dzisiaj ten region należy do najbiedniejszych i najmniej rozwiniętych w Uzbekistanie. Bezrobocie jest duże, większość mieszkańców przewlekłe choruje. Nowotwory i gruźlica występują tu piętnaście razy częściej niż w pozostałych regionach Uzbekistanu. Rozpowszechnione są choroby dróg oddechowych i brucelozą, znana także jako gorączka maltańska, podobnie jak dolegliwości nerek i wątroby. Śmiertelność wśród dzieci jest rekordowo wysoka – na tysiąc niemowląt siedemdziesiąt pięć nie przeżywa pierwszych lat życia. Klimat po zaniku Jeziora Aralskiego zmienił się na gorsze – miesiące letnie stały się jeszcze bardziej upalne i suche, a zimy bardziej mroźne. Resztki wód gruntowych są tak słone, zanieczyszczone metalami ciężkimi i innymi trującymi odpadami, że nie nadają się dla ludzi. Mimo to z braku innych możliwości wielu zmuszonych jest pić tę „wodę”.

Na krótką chwilę władzom radzieckim rzeczywiście udało się zamienić pustynię w żyzne pola bawełny, za to na stałe w pustynię zamieniło się śródlądowe Jezioro Aralskie – ze wszystkimi tego skutkami. A mimo to w Mojnaku pozornie nie uświadczyłeś goryczy.

Na ulicach panowały jeszcze ciemności, gdy następnego ranka ruszaliśmy w drogę. Powoli na niebie pojawił się zamglony świt i miękką grą pastelowych kolorów noc przeszła w ranek, a potem w dzień. Teren był płaski jak stół. Jedynymi roślinami, które, jak się zdaje, dobrze się czuły w tej ubogiej, zasolonej ziemi, były jakieś osty i suchorośla. Biała warstewka

soli pokrywała podłoże – suche, a jednocześnie miękkie i elastyczne. Jak na ironię bawełnica jest poza ostami i suchorostami jedyną rośliną, która się tu teraz zaadaptowała. Dlatego przed kilkoma laty władze uzbeckie założyły w okolicach Mojnaku kolejne plantacje bawełny. Jest nadzieja, że roślina, która przyczyniła się do upadku miasta, stanie się teraz jego ratunkiem.

Chociaż w ostatnich latach wzrosły nakłady na uprawę owoców, zbóż i innych roślin jadalnych, uzbecka gospodarka wciąż opiera się na bawełnie. W ostatnich dekadach jej produkcja z hektara równomiernie spadała z powodu bezkrytycznego stosowania oprysków i nawozów sztucznych oraz monokultury uprawowej, wiele plantacji zaatakowały też choroby. Jednak większość ziemi uprawnej wciąż zajmuje bawełna. Uzbekistan jest dziś szóstym co do wielkości jej eksporterem. Ponieważ zaś większość gospodarstw dalej należy do państwa i jest zarządzana kolektywnie, to władze określają rodzaj upraw, ich wielkość i docelowe zbiory oraz ceny zbytu. Innymi słowy, model radziecki ma ciąg dalszy. Przez to większość uzbeckich rolników jest biedna jak mysz kościelna. Jedynie nieliczni z nich są w stanie uciąć tyle, by zapłacić za „propiskę” – pozwolenie na zmianę rejonu zamieszkania. W ten sposób władze skutecznie zapobiegają masowym migracjom biednej wiejskiej młodzieży do miast, a równocześnie zapewniają sobie stałą tanią siłę roboczą w kołchozach.

Przez pierwszą godzinę jazdy droga po dnie jeziora była asfaltowa. Gdyby mi Borys nie przysięgał, że szosa powstała zaledwie kilka lat temu, założyłabym się, że ona także jest pozostałością po czasach radzieckich. Zdążyły ją już rozjeździć ciężkie chińskie ciężarówki kursujące wahadłowo do i z elektrowni gazowych. Pod jednym wszakże względem katastrofa ekologiczna przyniosła Uzbekistanowi zysk – na początku nowego tysiąclecia pod dawnym dnem jeziora wykryto duże złoża gazu, a Rosja, Chiny i Uzbekistan wspólnymi siłami zbudowały w rejonie kilka dużych elektrowni gazowych. Miejscowa ludność natomiast niewiele na tym rozwoju skorzystała, ponieważ pracownicy tych zakładów to prawie wyłącznie

dojeżdżający Chińczycy i mieszkańcy wschodnich regionów Uzbekistanu.

Ostatnie kilometry pokonywaliśmy nad głębokim wąwozem, dawniej ze wszystkich stron otoczonym wodami jeziora, które wyłobily w skale gładkie czerwone żyły. Teraz w bladym przedpołudniowym słońcu łatwiej było je dostrzec. A wokół po horyzont rozciągał się płaski patchwork ostów, piasku i suchorośli poprzątkany błyszczącymi kryształkami soli.

Walka o zasoby wody była złożona już w czasach Związku Radzieckiego, gdy wszystkie republiki tworzyły jedno państwo. Dzisiaj zaledwie domyślamy się zarodków przyszłych konfliktów. Stosunki między Uzbekistanem a Tadżykistanem już się ochłodziły z powodu tadżyckich planów realizacji budowy Zapory Roguńskiej, której projekt powstał w 1959 roku. Pomysł zakłada wykorzystanie potencjału biorącej swój początek w Kirgistanie rzeki Wachs, która przepływa przez Tadżykistan i łączy się z Amu-darią. Według planu zaporę ma mieć wysokość niemal trzystu trzydziestu pięciu metrów, co plasowałoby ją na pierwszym miejscu na świecie. Prace rozpoczęły się w 1976 roku, ale jeszcze się nie zakończyły, chociaż Tadżykistanowi bardzo przydałaby się elektryczność wytwarzana dzięki zaporze. Władze tadżyckie wielokrotnie próbowały tchnąć życie we wlokący się projekt, ale wszelkie starania utykały w martwym punkcie ze względu na finansowanie. Władze uzbeckie z kolei są bardzo krytycznie nastawione do projektu, który – jak się obawiają – „skradnie” wodę plantacjom bawełny w Kotlinie Fergańskiej. Martwią je także konsekwencje ewentualnego trzęsienia ziemi. Prezydent Karimow nazwał projekt wprost „głupim”.

Jeszcze bardziej kontrowersyjna jest budowa Jeziora Złotego Wieku w Turkmenistanie, pośrodku pustyni Kara-kum. Ma ono pomieścić sto trzydzieści dwa miliardy metrów sześciennych wody i mieć powierzchnię dwustu kilometrów kwadratowych, a głębokość do siedemdziesięciu metrów. Według królewskiej idei prezydenta Berdimuhamedowa jezioro ma wpłynąć na klimat na pustyni, zwiększać ilość opadów w całym regionie

i użyźnić w ten sposób pustynię. Roboty ziemne są prawie skończone, również dzięki zaangażowaniu więźniów, wykorzystywanych przez władze jako bezpłatna siła robocza. Najwidoczniej dawne marzenie komunistów, by uczynić pustynię zieloną i dochodową, odrodziło się w Aszchabadzie.

Eksperci ostrzegają, że w gorącym, pustynnym powietrzu woda prawdopodobnie wyparuje, a ta resztką, która pozostanie, będzie zatruta nawozami sztucznymi i chemikaliami. Pod znakiem zapytania postawili także w ogóle zdatność pustynnego gruntu do utrzymywania sztucznego zbiornika wodnego. Może woda powoli wsiąknie w piasek i pustynia zamieni się w bagna? Niejasne jest też, skąd Turkmenistan weźmie wodę do napełnienia zbiornika. Władze twierdzą, że użyją tylko nadmiaru wody z urządzeń irygacyjnych, natomiast zdaniem ekspertów większość nadmiaru wody wyparuje z kanałów, zanim dotrze do Jeziora Złotego Wieku. Zgodnie z przewidywaniami krytyczne uwagi do tego megalomańskiego projektu służyły po władzach jak woda po gęsi. W 2009 roku prezydenta Berdimuhamedowa zawieziono na pustynię, żeby przeciął wstęgę na jeziorze.

– Daliśmy nowe życie tym niegdyś martwym piaskom – oświadczył prezydent, otwierając jeden z kanałów, który ma napełnić jezioro.

Po czym wsiadł na paradnego rumaka i przejechał się konno przy wtórze radosnych okrzyków wszystkich zgromadzonych.

Miną jeszcze długie lata, nim jezioro się napełni – jeżeli w ogóle da się napełnić.

Po ponad trzech godzinach jazdy w oddali wreszcie zamajaczyła ciemnoniebieska nieruchoma płaszczyzna Południowego Jeziora Aralskiego. Coraz rzadziej rosły osty i suchorośla, stopniowo pustynia przechodziła w plażę. Kilkaset metrów od wody postawiono parę prostych jurt z białego plastiku. Garstka na pozór mocno zajętych Chińczyków rozjeżdżała plażę quadami.

– Co robicie? – spytałam jedyne go, który mówił po rosyjsku.

– Krewetki! – Uśmiechnął się szeroko. – My zbierać krewetki!

– Kle-co?

– Krewetki!

Wskazał palcem plastikowy pojemnik wypełniony szarym błotem.

– Małe baby krewetki!

– Zbierają młode krewetki i jajeczka krewetek – wyjaśnił Borys. – Znajdują je na brzegu wody, zbierają w duże pojemniki i wysyłają do Tajlandii. Pewnie sporo na tym zarabiają.

Odwróciłam się plecami do Chińczyków i podeszłam powoli do jeziora. Przy linii wody piasek był tak wilgotny i grząski, że stopy co krok głęboko się zapadały. Powierzchnię marszczyły kłaczki białej piany. Zapach przywodził na myśl wioski rybackie na Lofotach wiosną, kiedy wszędzie wiszą suszone ryby. Tu jednak nie było ani ryb, ani krzyku mew. Tylko woda i sól. I maleńkie „krewetki”.

Jezioro zamarło w ciszy. Tylko tuż przy brzegu woda chlupotała dźwięcznie, gdy drobne fale nakładały się na siebie.

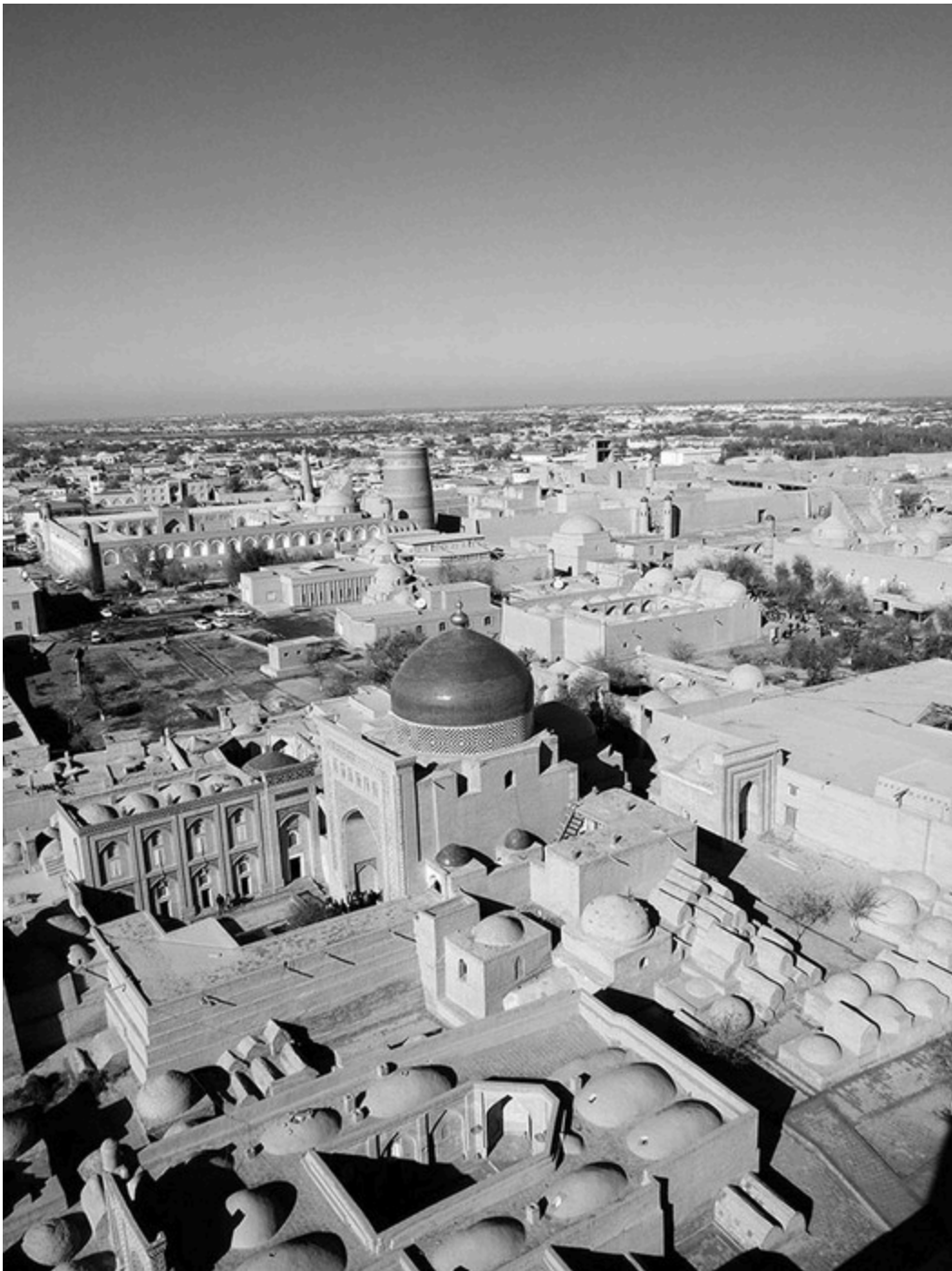
Przymglone niebo na horyzoncie zlewało się w jedno z gładką jak lustro wodą.

– Kilka lat temu woda sięgała sto metrów głębiej w plażę – zauważył Borys, kiedy wsiadałam do samochodu, gotowa do długiej drogi powrotnej.

– Niedługo będę się chyba musiał rozejrzeć za nową robotą. – Zaśmiał się ochryple. – Najlepiej taką, którą można połączyć z rentą.

W poszukiwaniu straconego czasu

Przekroczenie bramy do Iczan Kala, starówki w Chiwie, jest jak cofnięcie się w czasie o wiele stuleci. Pod niebo wznoszą się turkusowe kopuły i smukłe minarety ozdobione pasami ceramicznych płytek w kolorze mięty. W dawnych pałacach chana wędruje się ciasnymi przejściami, przez ciemne, choć starannie dekorowane pomieszczenia, i nagle staje się na otwartym dziedzińcu w środku budowli, idealnie symetrycznym i osłoniętym od ulicznego hałasu. Jakby się człowiek znalazł na planie filmowym albo w muzeum. Wszystko zachowane w znakomitym stanie. Nie ma tu kup ziemi ani zawałonych budynków, nie trzeba sobie wyobrazać ani zgadywać, jak to mogło kiedyś wyglądać. Dziesięciometrowy mur z blankami z gładkiej i eleganckiej wypalanej gliny, który otacza stare miasto, jest nietknięty. Wewnątrz jest tak tłoczno od kopuł meczetów i dawnych szkół koranicznych, że w ścisku łatwo można przegapić jedno czy drugie mauzoleum.



Stare miasto w Chiwie jest jednym wielkim skansenem.

Jeżeli wchodzisz zachodnią bramą, jedną z pierwszych perełek, jakie napotyka twój wzrok, jest masywny minaret Kalta Minor. Grube cielsko wieży ozdabiają szerokie pasy mozaiki utrzymane w błękicie, zieleni i czerwieni. Zgodnie z planem wieża miała sięgać osiemdziesięciu metrów

i tym samym być najwyższym minaretem w Azji Środkowej, ale w 1855 roku, gdy konstrukcja wznosiła się na dwadzieścia dziewięć metrów nad ziemią, zmarł chan, który zlecił budowę minaretu, i prace wstrzymano. Stoi więc teraz na środku głównej ulicy jak gruby, przepiłowany pień – niema obietnica wspaniałej epoki, która nigdy nie nadeszła.

W wąskich bocznych uliczkach, ciągnących się wzdłuż murów, życie codzienne toczy się swoim zwykłym trybem. Wszystkie domy zbudowano z wypalanej gliny – niskie, jasnobrązowe, z płaskimi dachami. Grupka dzieciaków w butach Nike i dresach Adidasa gania się ze śmiechem między ścianami domów, dwaj siwowłosi mężczyźni naprawiają okno, młoda matka kołysze w ramionach niemowlę. Poza antenami satelitarnymi i tanimi podróbkami zachodnich markowych ubrań życie w murach dawnej Chiwy wygląda na pozór tak jak przed wiekami.

Chociaż pierwsze wrażenie jest zawodne. Większość budynków na starówce wcale nie jest tak stara, jak na to wygląda. Gros z nich pochodzi z XIX wieku. Najwyższą budowlę Chiwy, smukły i elegancki minaret imienia zleceniodawcy i premiera Islama Chodży, zbudowano w 1910 roku. Przyczyna, dla której miasto sprawia wrażenie tak ponadczasowo antycznego, leży w tym, że architekci i budowniczowie przez stulecia stawiali budowle w tym samym stylu, nie oglądając się na obce mody i trendy. Rzadko te gmachy stały długo, biorąc pod uwagę liche fundamenty. Dziewiętnastowieczni podróżnicy opisują niestykające się ściany domów, dziurawe naroża i krzywe minarety. Częste pożary sprawiały, że rzemieślnicy mieli nieustające zajęcie. Miasto powstało zresztą z najbardziej nietrwałego materiału, jaki istnieje – z wypalanej w słońcu gliny i ubitej ziemi.

Po dojściu do władzy bolszewików wewnętrzne miasto Chiwy pozostawiono swojemu losowi. Władze radzieckie faworyzowały innego rodzaju domy – z betonu, budowane dla jasnej przyszłości. Stare gliniane budynki mogły się spokojnie rozpaść. Po drugiej wojnie światowej co prawda

ruszyło kilka projektów konserwacyjnych, ale tempa nabrały one dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Przywrócono dawną świetność miejskim murom i medresom – szkołom koranicznym, pałace i minarety także przeszły bardzo im potrzebny lifting. Prawdopodobnie miasto nigdy nie było tak piękne, tak lśniaco czyste i w tak regulaminowo dobrym stanie jak w ostatnich latach istnienia Związku Radzieckiego. Komuniści uczynili z Chiwy żywe muzeum, i to w dosłownym znaczeniu. Meczety i wąskie cele w medresach odżyły jako sale muzeów przyrodniczo-historycznych. Wciąż jeszcze w mnisich celach poniewierają się zakurzone gałązki bawełnicy, wypchane węże, wysuszone cytryny i melony – pozostałości po skłonnościach władz radzieckich do wypełniania wszystkich budowli religijnych wiedzą i nauką.

Kiedy przyjechałam do Chiwy, nastał listopad. Duże grupy turystów dawno opuściły Uzbekistan, ulice były wyludnione, muzea puste. Większość hoteli zakończyła sezon i zamknęła podwoje. Garstka sprzedawców handlowała jeszcze ozdobami i dzianymi skarpetami, poza tym miasto robiło wrażenie zdobytego przez gości weselnych. Niemal na każdym rogu można było spotkać pannę młodą pozującą do fotografii w kaskadach białej koronki.

Podróżnicy z minionych czasów – od Ibn Battuty w XIV wieku po Elę Christie na początku XX wieku – opisywali Chiwę jako miasto ruchliwe i tętniące życiem. Wąskie uliczki zapełniał taki tłum ludzi i wielbłądów, że prawie nie dało się przejść. Na ówczesnych podróżnikach największe wrażenie robiły jednak przede wszystkim nie imponujące kopuły czy błękitne minarety, lecz bujne ogrody i liczne zielone drzewa. Po tygodniach i miesiącach spędzonych pod bezlitosnym słońcem na jałowej pustyni przybywali do rajy wypełnionej bogactwem zieleni i owoców. Dziś zielone ogrody, pola melonów i pnącza winorośli zastąpiła bawełna. Tylko przez kilka krótkich, pracowitych jesiennych tygodni spalone słońcem pola bieleją jak zwierciadło nieba.

Kiedy w VIII wieku Arabowie najechali Azję Środkową, Chiwa była

zaledwie jednym z wielu większych i mniejszych miast oaz w bogatym imperium chorezmijskim na południe od Jeziora Aralskiego. Należał do niego także Merw, podówczas jedno z największych miast na świecie. Dopiero kiedy w XVI wieku region zdobyły plemiona uzbeckie, znaczenie Chiwy wzrosło, a w 1642 roku stała się stolicą chanatu o tej samej nazwie. Chanat chiwski nigdy nie dorównał wielkością czy władzą Bucharze ani Kokandowi, toteż kiedy w 1873 roku Rosjanie go podbili, miasto od wielu lat było izolowanym osamotnionym reliktem, znanym przede wszystkim z rozwiniętego handlu niewolnikami, z drugim co do rozmiarów w Azji Środkowej targiem niewolników, ustępującym jedynie Bucharze.

W 1840 roku, kiedy brytyjscy wysłannicy Abbott i Shakespear przyjechali do Chiwy, by namówić chana do uwolnienia rosyjskich niewolników, zastali miasto brudne i biedne. Jego mieszkańcy w większości nie umieli nawet czytać ani pisać. Nie zawsze tak było. Tysiąc lat wcześniej Azja Środkowa odgrywała rolę światowego centrum intelektualnego.

Jeden z najbardziej znanych w historii matematyków, Muhammad ibn Musa al-Chuwarizmi, jak wskazuje nazwisko, pochodził z Chorezmu. Urodził się w Chiwie, żył w latach 780–850 i jest uważany za ojca algebry. Po grecku nazywano go Algorithmi, co było mieszanką nazwiska i greckiego słowa *arithmós*, oznaczającego liczbę. Od al-Chuwarizmiego bierze się więc słowo „algorytm”. W swojej sławnej księdze *Kitāb al-ğabr wa-’l-muqābala* (pełny tytuł: Krótka księga o rachowaniu przez dopełnianie i równoważenie) uczony opisuje dwa sposoby upraszczania obliczeń. Słowo „algebra” pochodzi od tytułu tego dzieła. Jakby tego było mało, al-Chuwarizmiego uważa się również za ojca astronomicznej trygonometrii. W dodatku sporządził obszerny opis geograficzny, w którym zawarł dokładne współrzędne 2402 miejsc na Ziemi.

Jednym z powodów, dla których w ówczesnej Azji Środkowej kwitło życie intelektualne, była dostępność papieru. Wynaleziono go w Chinach około dwóch tysięcy lat temu i szybko upowszechnił się on w Azji Środkowej.

Papier chiński powstawał z włókien morwy i bambusa, tymczasem rzemieślnicy w Samarkandzie odkryli, że cieńszy i delikatniejszy uda im się wytworzyć z włókien bawełnicy. Ten materiał był w dodatku tańszy i łatwiej dostępny, toteż wkrótce Samarkanda przejęła większość eksportu papieru na Zachód.

Jedwabny Szlak mógłby właściwie z powodzeniem nosić nazwę Papierowego. Przez setki lat papier z Samarkandy należał do najważniejszych i najbardziej lukratywnych towarów ładowanych na grzbiety wielbłądów i przenoszonych trasami karawan na Zachód. Nawet wtedy, gdy wytwarzanie papieru stało się powszechne gdzie indziej, na przykład w Damaszku, Kairze czy w arabskiej Kordobie, wysokiej jakości papier samarkandzki był aż do XIII wieku poszukiwanym produktem. Później Europejczycy sami zaczęli go wytwarzać.

Podczas gdy w Europie papier z Samarkandy miał status towaru luksusowego, w Azji Środkowej był uważany za tani produkt użytkowy. Wprawdzie jeszcze nie wynaleziono druku, jednak księgi rękopiśmienne – dzieła oryginalne i tłumaczenia – powstawały w dużych ilościach. Na bucharskim bazarze oferowano tak wiele manuskryptów, że księgarze musieli walczyć o klientów.

Pewnego dnia pod koniec lat dziewięćdziesiątych X wieku na bucharskim bazarze jeden z takich namolnych księgarzy dopadł młodego chłopaka o nazwisku Ibn Sina. Młodzieniec w zasadzie nie miał zamiaru kupować księgi – wprowadzenia do *Metafizyki* Arystotelesa, bo już dawno zrezygnował ze zrozumienia, o co myślicielowi właściwie chodzi z tą metafizyką. Księgarz jednak nie dawał ze wygraną, a że zaoferował pokaźny rabat, Ibn Sina poddał się i kupił dzieło. Miało ono w decydujący sposób wpłynąć na życie i myślenie chłopaka.

W owym czasie dzieła greckich filozofów były pilnie czytane i omawiane w całym arabskim świecie, także w Azji Środkowej. Arabowie weszli w kontakt z filozofią antyku, kiedy w VIII wieku podbili dawne rzymskie

provincje w Egipcie i Syrii. W IX wieku wiele z tych pism przetłumaczono na arabski. Ibn Sina, w Europie znany raczej pod zlatynizowanym nazwiskiem Awicenny, miał zostać jednym z ważniejszych interpretatorów Arystotelesa w swojej epoce. Z czterystu rękopisów powstałych za jego życia przetrwało dwieście pięćdziesiąt. Sto pięćdziesiąt z nich dotyczy filozofii, a czterdzieści poświęcono medycynie. Mimo że większość życia Ibn Sina spędził na rozwiązywaniu kwestii metafizycznych, dziś pamięta się o nim głównie za sprawą jego wkładu w medycynę.

Już jako szesnastolatek był w pełni wykształconym lekarzem, choć – jak sam zaznaczył – „medycyna nie jest specjalnie trudną nauką”. Jego najbardziej znane dzieło to *Al-Kanun fi at-tibb* (łac. *Canon medicinae*), obszerne kompendium wiedzy medycznej, obejmujące również anatomię i opisy chorób. Ibn Sina opisuje w nim między innymi ponad siedemset rozmaitych lekarstw i ich działanie, opierając się na własnych eksperymentach i doświadczeniu klinicznym. Poza tym wyjaśnia, jak używać alkoholu jako środka antyseptycznego, i poleca gotowanie wody, aby uniknąć zarażenia gruźlicą. Podkreśla też znaczenie ćwiczeń fizycznych, zimnych kąpielii, snu i pożywnej diety, a także pozytywnego wpływu dobrych relacji małżeńskich na zdrowie. Traktat został w 1180 roku przetłumaczony na łacinę i przez pięćset lat był standardowym podręcznikiem wiedzy medycznej tak dla świata arabskiego, jak w Europie.

Ibn Sina żył w tym samym okresie co inny wielki myśliciel z Azji Środkowej, Abu Rajhan Muhammad al-Biruni, urodzony w 970 roku, dziesięć lat wcześniej niż Ibn Sina, w Kath, stolicy Chorezmu, zanim stał się nią Urgencz. W 999 roku obaj wdali się w spór intelektualny, który zaczął się od tego, że Biruni podesłał Ibn Sinie listę dziesięciu pytań filozoficznych. Dało to początek żywej korespondencji uczonych na temat teorii Arystotelesa, ruchu ciał niebieskich, życia na innych planetach i pochodzenia świata.

Czy ciała niebieskie poruszają się po prostych, czy po okręgach, a może

potrafią też krążyć po elipsach? Biruni reprezentował ten ostatni pogląd, co zostało dowiedzione dopiero sześćset lat później przez Johanna Keplera.

Czy życie na Ziemi zostało stworzone w jakimś konkretnym momencie, czy też rozwijało się stopniowo? Obaj filozofowie zgadzali się co do tego, że Ziemia została stworzona przez Boga, cokolwiek innego uchodziłoby za czystą herezję. Jednocześnie uznawali, że życie musiało się rozwijać stopniowo. Ten pogląd był prawie taką samą herezją jak twierdzenie, że Bóg nie stworzył świata. Fakt, że i Biruni, i Ibn Sina, głosząc takie poglądy, zachowali życie, mówi coś o otwartości i klimacie intelektualnym w tym konkretnym okresie rozwoju islamu i historii Azji Środkowej.

W pojedynku umysłów ostatecznie odniósł zwycięstwo Biruni i wiele wskazuje na to, że to on zadbał o publikację korespondencji. Poza tym niewiele z pism i traktatów Biruniego dotrwało do naszych czasów – ze stu osiemdziesięciu dzieł jego autorstwa tylko dwadzieścia dwa. Mimo to uważa się go za być może największego uczonego złotego wieku islamu. Wszystkie jego pisma odznaczają się taką samą intelektualną i naukową ścisłością i konsekwencją, jakich wyraz znajdziemy w listach do Ibn Siny. Nigdy nie pisał czegoś, na co nie miał przekonujących dowodów, i zawsze starał się zdobyć jak najwięcej danych na każdy poruszany przez siebie temat. A tych tematów było bez liku! Biruni zajmował się tak różnymi dyscyplinami jak matematyka, astronomia, historia i socjologia.

Matematyk Biruni jest znany między innymi z rozwiązania klasycznego zadania o ziarnach pszenicy i szachownicy⁵⁹. Jeżeli na pierwszym polu szachownicy położyć jedno ziarenko, a następnie podwajać ich liczbę w każdym nowym polu tak, że na drugie przypadną dwa ziarenka, na trzecie cztery, na czwarte osiem i tak dalej aż do sześćdziesiątego czwartego pola szachownicy, to ile na koniec otrzymamy ziaren pszenicy? Biruni wyliczył, że liczba ta wyniesie 18 446 744 073 709 551 615 ziarenek, inaczej osiemnaście trylionów czterysta czterdzieści sześć miliardów siedemset czterdzieści cztery biliony siedemdziesiąt trzy miliardy siedemset dziewięć

milionów pięćset pięćdziesiąt jeden tysięcy sześćset piętnaście ziaren. Taka ilość pszenicy ważyłaby ponad czterysta sześćdziesiąt miliardów ton i utworzyła górę wyższą od Mount Everestu. Tyle zboża nie ma na całym świecie.

Historyk Biruni postawił sobie za zadanie stworzenie wielkiego opisu historii świata. Nazwał go *Kitab al-Athar al-baqiya an al-qurun al-chaliya* (O tym, co pozostało po minionych pokoleniach). Jednym z trudniejszych wyzwań było dla Biruniego to, że prawie każda nacja miała swoją własną rachubę czasu, stąd niełatwo mu przyszło ułożyć po sobie konkretne wydarzenia historyczne. Oprócz szczegółowego opisu każdego kalendarza dużo pracy włożył w sprowadzenie różnych systemów liczenia czasu do jednego wspólnego – pierwsza próba stworzenia uniwersalnego systemu chronologicznego.

W dziełach poświęconych różnym religiom Biruni starał się opisywać każdy system wierzeń wedle jego zasad, mniej więcej tak, jak postępował z chronologią wydarzeń. Nie szukał „błędów”, lecz wyjaśniał logikę każdej religii. Dziś uważa się go za jednego z pionierów religioznawstwa porównawczego. Oprócz tego uznaje się go za założyciela indologii jako nauki. Biruni spędził mianowicie ostatnie lata życia w Indiach i napisał wiele ważnych traktatów o kulturze i historii tego kraju. Jak zawsze, dokładał starań, by zrozumieć zasady logiczne, na których opierały się hinduizm i hinduskie społeczeństwo, a jeśli czegoś od razu nie rozumiał, sięgał głębiej, aż odnajdywał sens. Zdaniem Biruniego wszystkie kultury mają cechy wspólne, ponieważ wszystkie, niezależnie od tego, jak bardzo dla nas obce i egzotyczne, są wytworami człowieka. Ta idea jest podstawową zasadą współczesnej antropologii społecznej (kulturowej).

Takie było życie umysłowe w Azji Środkowej przed tysiącem lat! Czytano i pisano książki, sypiąc nimi jak z rękawa, a po czajchanach dyskutowano przy herbacie o Arystotelesie i głębokich, filozoficznych problemach.

* * *

Wokół Chiwy leży Ellik Kala, Pięćdziesiąt Warowni. W rzeczywistości jest ich co najmniej dwieście, lecz wiele z nich wciąż kryją piaski. To tu Igor Sawicki pod piekącym słońcem przez osiem lat malował pejzaże pustyni, podczas gdy jego koledzy centymetr po centymetrze odsłaniali spod piasku warownie i zoroastryjskie świątynie sprzed dwóch tysięcy lat.

Dziś teren wykopalisk jest podzielony przez granicę państwową między Turkmenistanem a Uzbekistanem. Wiele ważnych miast Chorezmu – jak Merw, Urgencz i Kath – leży po stronie turkmeńskiej, w odległości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów.

Jednym z najlepiej zachowanych grodów warownych po stronie uzbeckiej jest liczący dwa tysiące dwieście lat Toprak-Kala. Jego budowniczowie uwzględnili często występujące w tym rejonie trzęsienia ziemi i zadbali o postawienie tak solidnych konstrukcji, by nie przeszkadzało im, że raz na jakiś czas ziemia się zatrzęsie. Zachowało się kilka wież strażniczych i nieco ścian nad fundamentami. Da się więc dostrzec podział na pomieszczenia, a gdzieś tam widać nawet dekoracje. W suszonej na słońcu glinie wyryto duże koła – czy służyły one tylko do ozdoby czy do jakichś innych celów? Może symbolizowały słońce?

Rustam, mój przewodnik, schylił się i podniósł z ziemi skorupę w niebieski i pomarańczowy wzorek.

– Dużo tu jeszcze zostało skarbów – zauważył, chowając znalezisko do kieszeni. – Jeżeli znasz jakichś archeologów, to ich tu przyślij.

Wokół nas roztaczała się naga równina. Na pobliskim polu garstka chłopów spieszenie ścinała tegoroczne krzaczki bawełny. Pojechaliliśmy

z Rustamem dalej, do dawnego obserwatorium zoroastrian w głębi pustyni, położonego osobno, z dala od pozostałych warownych grodów. Pierwotnie kuliście otaczał je potrójny mur. Przetrwały jedynie fragmenty wewnętrznego.

– Obserwatorium ma dwa tysiące czterysta lat – objaśnił Rustam. – Zdarza się, że odwiedzający je turyści są zawiedzeni, że jest tak małe. Na początku było oczywiście dużo większe, ale dwa tysiące czterysta lat to kawał czasu, a glina materiał nietrwały... Obok obserwatorium była też świątynia, pierwotnie ozdobiona freskami. Wiesz, co przedstawiały?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Ludzi pijących wino! Dwa tysiące czterysta lat temu! Czy to nie wspaniałe? – rozpromienił się.

Wspięliśmy się na niski okrągły pagórek. Wciąż dało się rozróżnić poszczególne ściany i w pewnym stopniu podział na pomieszczenia. Resztę musiała uzupełnić wyobraźnia.

– Moim zdaniem to niewiarygodne, że tak dawno temu mieli tu obserwatorium astronomiczne. – Rustam spojrzał na mnie z entuzjazmem. – Astronomia jest początkiem wszelkiej nauki. Z niej wynika nie tylko wiedza o wszechświecie i ruchach gwiazd, lecz także wiedza o przemijaniu, o czasie, co z kolei prowadzi do rozwoju kalendarzy, geografii oraz matematyki.

– To by znaczyło, że żyli tu matematycy i inni uczeni na długo przed arabskim podbojem w ósmym wieku?

– Jasne! – Uśmiechnął się szeroko. – Mieszkańcy Chorezmu posługiwali się perskim dialektem i z czasem stworzyli własny język pisany. Przed Arabami używali alfabetu aramejskiego, który poznali dzięki licznym nestoriańskim chrześcijanom z Syrii, wcześniej osiadłym w tym regionie. Niestety, nie zachowało się prawie nic. Wszystko zniszczyli Arabowie.

Podbój Azji Środkowej przez Arabów zaczął się w latach pięćdziesiątych VII wieku, niemniej islamizacja całego regionu zajęła dobrych parę stuleci. Przyczyniło się do tego także to, że arabscy zdobywcy szybko się podzielili

na frakcje, które wiodły spory i wzajemnie się zwalczały. W pierwszych dekadach zatem islam współistniał z wieloma innymi praktykowanymi tu religiami – chrześcijaństwem, judaizmem, buddyzmem i zoroastryzmem.

W 705 roku jednak tolerancja się skończyła. Namiestnikiem Churasanu (dzisiejszy wschodni Iran, zachodni i środkowy Afganistan, części Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu) z ramienia kalifów z dynastii Umajjadów został wódz Kutajba Ibn Muslim, który w imię dżihadu, świętej wojny z niewiernymi, rozpoczął skuteczny podbój Transoksanii. Jego wojska napotkały jednak silny opór wśród miejscowych, Samarkandę na przykład udało mu się zdobyć dopiero po czteroletnim oblężeniu. Kutajba rozkazał, by tamtejszą zoroastryjską świątynię zburzono, a na jej miejscu postawiono meczet. Początkowo zmuszał mieszkańców do udziału w piątkowych modlitwach w nowym meczecie, szybko jednak uznał, że ta strategia się nie sprawdza. W zamian wprowadził system wynagrodzeń. Każdy, kto pojawi się na piątkowych modlitwach, miał otrzymywać dwie drachmy. Frekwencja natychmiast znacznie wzrosła.

Gorzej było z niewiernymi. Wielu tysiącom chrześcijan żołnierze Kutajby najzwyczajniej poderżnęli gardła. Co więcej, wódz rozkazał, by żołnierze niszczyli wszystkie księgi, które znajdą. W Bucharze tak zrównano z ziemią jedną z najważniejszych bibliotek tamtych czasów. Największe zniszczenia dotknęły jednak życie intelektualne w Chorezmie. W ówczesnej stolicy chanatu, Kath, żołdacy Kutajby unicestwili całą chorezmijską literaturę, łącznie z traktatami poświęconymi astronomii, historii, genealogii, matematyce i literaturze. Ani jedno dzieło nie zachowało się do naszych czasów.

Dziewięć lat po powołaniu Kutajby na namiestnika Chorasanu zmarł kalif w Bagdadzie. Wódz usiłował wykorzystać sytuację i oderwać Chorasán od kalifatu, lecz zaprotestowała jego własna armia i Kutajba musiał wziąć nogi za pas. Po jakimś czasie znaleziono go jednak i zabito wraz z towarzyszącymi mu osobami. Ponieważ nikt dziś nie wie, co znajdowało się w pismach

zniszczonych w Kath, trudno ocenić, jakie skarby kultury potomność utraciła przez fanatyczny dżihad Kutajby.

– To, czego nie zniszczyli Arabowie, zostało unicestwione przez Czyngis-chana, a czego nie spalił Czyngis-cha, padło ofiarą Timura Chromego – skwitował lakonicznie Rustam. – Właściwie nie wolno nam źle mówić o Timurze turystom, bo prezydent podniósł go do godności bohatera narodowego Uzbekistanu. Prawda jest jednak taka, że zabił on co najmniej tyle samo ludzi co Czyngis-cha. Po Timurze nastali Uzbegy, a po nich Rosjanie i wreszcie bolszewicy.

Rozejrzał się dookoła, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nas nie słyszy. Jak okiem sięgnąć otaczał nas piasek.

– Obecny reżim nie jest ani trochę lepszy. Moim marzeniem jest, żeby Chorezm, podzielony teraz między Uzbekistan i Turkmenistan, kiedyś ponownie stał się samodzielnym krajem. – Zaśmiał się pod nosem. – Wiem naturalnie, że to się nigdy nie wydarzy – dodał. – Nie jestem głupi.

Perły Jedwabnego Szlaku

W listopadzie na ulicach Bucharu prawie nie uświadczysz turystów. Jest pusto, cicho i panuje surowy chłód. Uzbieram się w puchową kurtkę, czapkę i szalik i ruszam na stare miasto. Buchar to piąte co do wielkości miasto Uzbekistanu, natomiast sama starówka jest tak gęsto zabudowana i stłoczona, że do wszystkich zabytków można dojść pieszo. Przez trzy pełne dni wędruję tak po labiryncie bocznych uliczek otwierających się na przestrzenne place – i nie mogę się nasycić tym miastem. Podczas wędrowki mijam wielusetletnie medresy i karawanseraje, zapuszczam się w wąskie i kręte zaułki, odwiedzam suki – bazyry kryte kopułowymi dachami. W przeciwieństwie do zabudowań Chiwy budowle w Bucharze powstały z solidnej cegły, głównie barwy jasnobrazowej. Większość fasad jest nieotynkowana i niezdobiona, tylko czasem z tej kolorystycznej ascezy wyrwie się feeria barw – błyszczące w listopadowym słońcu szmaragdowe kopuły albo wysokie, prostokątne portale medres usiane kamyczkami niebieskiej mozaiki i wersetami z Koranu.

W XI wieku miasto było znane jako Święta Buchar i przez wiele stuleci pozostawało jednym z najważniejszych ośrodków islamu na świecie. Niestety, z tego okresu przetrwało zaledwie kilka budowli, w 1220 roku bowiem pod murami stanęły wojska Czyngis-chana. Dwadzieścia tysięcy bucharskich wojowników uciekło na widok olbrzymiej mongolskiej armii. Nieliczni ukryli się w twierdzy, z nadzieją, że potężne mury ich obronią. Ludność cywilna i kapłani, których praktycznie pozostawiono samym sobie, otworzyli bramy miejskie i poddali się Mongołom. Ponieważ mieszkańcy poddali się dobrowolnie, Czyngis-chan wydał rozkaz, żeby miasto splądrować, a nie zniszczyć, jednak podczas walk z resztkami bucharskiego wojska wybuchł gwałtowny pożar, który obrócił Bucharę w perzynę.

Dzisiejsza starówka pochodzi głównie z drugiego okresu świetności miasta, gdy władzę nad nim w XVI wieku zdobyły plemiona uzbeckie. Jedną

z nielicznych budowli, które przetrwały z czasów przed Czyngis-chanem, jest smukły, elegancki minaret Kalian, znany także pod nazwą Wieży Śmierci. Poza tym, że z jego szczytu wzywano do modlitwy, używany był także do publicznych egzekucji. Herold oznajmiał najpierw, jakiej przewiny dopuścił się skazaniec, a potem zrzucano go (albo ją) ze szczytu czterdziestosześcioletniego minaretu. Egzekucje odbywały się często w dni targowe, żeby mogło w nich uczestniczyć jak najwięcej ludzi. Ta praktyka była kontynuowana także za Rosjan, reprezentujących pragmatyczny stosunek do swoich kolonii – póki tubylcy płacili podatki i się nie buntowali, dawali im raczej spokój. Dopiero kiedy w latach dwudziestych do władzy doszli bardziej ideologicznie nastawieni bolszewicy, położyli kres tak egzekucjom, jak nawoływaniom muezinów do modlitwy.



Czterdziestosześciometrowy minaret Kalian w Bucharze, znany także jako Wieża Śmierci. Aż do 1920 roku zrzucano z jego szczytu grzeszników, przeważnie w dni targowe.

* * *

W odległości krótkiej podróży koleją z Buchary leży kolejne ważne miasto Jedwabnego Szlaku, o nazwie przywodzącej na myśl baśnie – Samarkanda. W słowie tym pobrzmiewają romantyczne echa karawan wielbłądów z przyprawami z dalekich krajów, ręcznie tkanych jedwabnych dywanów, tonących w kurzu targów i błękitnych jak niebo kopuł.

Pewien chiński podróżnik, który odwiedził miasto w VII wieku, zauważył,

że „wszyscy mieszkańcy są wychowywani na kupców. Kiedy chłopiec kończy pięć lat, zaczyna naukę czytania, a kiedy się tego nauczy, zaczynają go uczyć handlu”⁶⁰. W owym czasie Samarkanda stanowiła stolicę Sogdiany. Sogdyjczycy byli zdolnymi kupcami i przez wiele stuleci kontrolowali handel między Wschodem a Zachodem. Zakładali placówki handlowe i faktorie w całej Azji, administrowali siecią tras od Morza Czarnego i Konstantynopola aż po Cejlon, czyli dzisiejszą Sri Lanke.



Samarkanda: cel podróży.

Na bazarze Siob, największym w Samarkandzie, można jeszcze wyczuć resztki klimatu Jedwabnego Szlaku. Za reżimu Karimowa bazar został

wprawdzie zmodernizowany i ujednolicony za pomocą blaszanych daszków i ustawionych rzędami stoisk, niemniej sprzedawcy, którzy z szerokim uśmiechem i entuzjazmem oferują swoje starannie ułożone w przyzmy towary, są tacy, jakby tu stali od zawsze. Wielu z nich pochodzi w prostej linii od sogdyjskich kupców z Jedwabnego Szlaku i handel ma we krwi. Przez wieki ich prababki i praprapradziadkowie siadywali za pięknie wyeksponowanymi produktami, by się targować. Najdrobniejszy towar, czy to będzie kiść bananów czy pojedyncza pomarańcza, należy omówić i wynegocjować jego cenę. Przypomina to ceremonialny taniec, podczas którego wszystko przebiega według niepisanych, lecz ścisłych reguł. Zgodnie z tradycją bazar dzieli się na różne sekcje. Sprzedawcy jabłek urzędują oddzielnie od tych, co handlują pieczywem. Za górą białego filcu siedzą rzędem sprzedawczynie kałpaków. W rogu przy wyjściu handlarze orzechów ułożyli swój towar wedle koloru i wielkości. Tam, gdzie handlują przyprawami, zza różnobarwnych piramid goździków, pieprzu czy szafranu prawie nie widać sprzedających. Tak intensywnego zapachu cynamonu jak na bazarze Siob nie czułam chyba nigdzie.

Zza gór przypraw ledwo też można dostrzec błękitną kopułę meczetu Bibi Chanum, niegdyś największego na świecie. Nosi imię ulubionej żony piętnastowiecznego zdobywcy Timura Chromego. Nikt poza tym władcą nie pozostawił tak znaczących indywidualnych śladów w Samarkandzie. Północnoeuropejski przydomek Lenk i różne wersje imienia, jak Tamerlan, wzięły się z perskiego Tāmūūr-ē Lāng, co znaczy właśnie Timur Chromy (albo Kulawy). Podobno jako dziecko spadł z konia i uszkodził biodro⁶¹, a skutki tego upadku zostały uwiecznione w jego imieniu. Chromanie nie przeszkodziło mu zostać jednym z największych wodzów, jakich widział świat.

Timur urodził się sto lat po śmierci Czyngis-chana, w 1336 roku, w mongolskim plemieniu Barłasów na terenie dzisiejszego południowego Uzbekistanu. W tamtym okresie olbrzymie królestwo Temudżyna było

podzielone między jego potomków i miejscami całkiem słabe. Kiedy w latach czterdziestych XIV wieku wraz z dżumą przywlekły się śmierć i rozpad, dni imperium mongolskiego były policzone.

Timurowi marzyło się odbudowanie królestwa Czyngis-chana. Zanim skończył trzydzieści pięć lat, podporządkował sobie Samarkandę i wiele rejonów Azji Środkowej. Następne trzydzieści pięć lat życia wykorzystał na podbój Bliskiego Wschodu, części dzisiejszej Turcji oraz Pakistanu, Kaukazu i Środkowego Wschodu. Splądrował i zniszczył takie miasta jak Damaszek, Bagdad, Aleppo, Delhi i Ankara.

Zwycięstwa Timura nad imperium osmańskim przyniosły mu w Europie sławę bohatera, podczas gdy Czyngis-chana przedstawiano w sztuce i literaturze europejskiej jako żądnego krwi potwora. Tymczasem Tamerlan był przynajmniej tak samo brutalny jak Czyngis-chan. Zdaniem historyków jego wojownicy mogli zabić do siedemnastu milionów ludzi, ale liczby tej nie da się zweryfikować. Tylko w Delhi zabito ponad sto tysięcy. Podczas zdobywania Damaszku tysiące ludzi spędzono do Piątkowego Meczetu, po czym Timur kazał żołnierzom go podpalić. W Aleppo, Bagdadzie, Tikricie, Isfahanie i w Delhi żołnierze na jego rozkaz budowali, jak to nazywał, „minarety” z czaszek zwyciężonych.

W przeciwieństwie do Czyngis-chana, który zostawił Azję Środkową w ruinie, Timur Chromy odbudował wiele miast Jedwabnego Szlaku i przywrócił im dawną świetność. Podczas wypraw kaukaskich, na kraje Lewantu i do Indii systematycznie oszczędzał życie zdolnych rzemieślników i innych fachowców, po czym odsyłał ich do Samarkandy, gdzie dawał im zatrudnienie przy realizacji ambitnych budowli, których był głównym budowniczym i architektem.

Projekty budowlane Timura Chromego były imponujące tak pod względem rozmiarów, jak zdobnictwa. Ponieważ rzemieślnicy pochodzili z różnych krajów, budowle Timura zawierały elementy stylistyczne i Damaszku, i Bagdadu. Wielkiemu zdobywcy jednak się spieszyło, toteż

przedkładał tempo nad jakość i zabezpieczenie przed trzęsieniami ziemi. W związku z tym niewiele tych gmachów dotrwało do naszych czasów. Meczet Bibi Chanum ledwie został oddany do użytku, a już zaczął się walić. Ostatecznie zawalił się podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1897 roku. W rodzinnym mieście Timura, Kesz (obecnie Shahrīsabz), osiemdziesiąt kilometrów na południe od Samarkandy, zachowały się tylko dwie kolumny z Ak-Serai, Białego Pałacu, najbardziej reprezentacyjnej i kosztownej budowli Tamerlana. Owe dwie olbrzymie kolumny, widoczne z odległości wielu kilometrów, dają niejaki pojęcie o wielkości pałacu za czasów Timura. Ówczesnych podróżników witały inskrypcje w rodzaju „Sułtan jest cieniem Boga” czy „Jeśli wątpisz w naszą wielkość, popatrz na nasze budowle”.

Timur Chromy zmarł w zimie 1405 roku w Otar w dzisiejszym Kazachstanie, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat, u szczytu swojej władzy, mimo to ciągle pragnąc jej więcej. W chwili śmierci znajdował się w drodze do Chin, by pokonać dynastię Ming. Żołnierze przewieźli jego zwłoki do Samarkandy. Podróż musiała trwać wiele tygodni, i to w czasie najsurowszej i najbardziej śnieżnej zimy w ludzkiej pamięci. Szczątki wielkiego zdobywcy spoczywają w mauzoleum Gur-e-Amir (Grób Króla) w Samarkandzie, pod wielkim nagrobkiem z zielonego żadu⁶².

W czerwcu 1941 roku grupa radzieckich archeologów otworzyła sarkofag, aby zbadać szczątki Timura Chromego. Na trumnie odkryto następujący napis: „Kiedy zmartwychwstanę, zadrży świat”. Powiadają, że archeolodzy odkryli jeszcze jedną inskrypcję na wewnętrznej ścianie trumny: „Ten, kto otworzy mój grób, wypuści jeszcze potężniejszego zdobywcę niż ja”. Dwa dni po otwarciu grobu Hitler zaatakował Związek Radziecki. Timur Chromy został pochowany ponownie według islamskiego rytuału w listopadzie 1942 roku, tuż przed decydującą kampanią pod Stalingradem, gdzie siły niemieckie poniosły wielką klęskę.

Jeżeli Timur Chromy przywrócił Samarkandzie dawną świetność, to zmysł estetyczny i dbałość o szczegóły jego potomków uczyniły z miasta tę legendarną piękność, którą oglądamy dzisiaj. Spośród potomków Tamerlana szczególny ślad odcisnął na Samarkandzie jeden z jego wnuków, mirza Muhammad Taragaj, znany pod przydomkiem Uług Beg, co znaczy Wielki Wódz. Czy był on rzeczywiście wielkim wodzem, to rzecz dyskusyjna – nie miał szczególnego szczęścia do wypraw wojennych i panował po śmierci ojca samodzielnie tylko dwa lata, bez wątpienia jednak był wielkim astronomem i matematykiem. Obserwatorium, które kazał zbudować w Samarkandzie, uważano za najlepsze, największe i najbardziej postępowe w ówczesnym świecie islamskim. Tutaj Uług Beg i jego uczniowie kreślili mapy gwieździstego nieba z taką precyzją, że prześcignął ich dopiero ponad sto lat później Duńczyk Tycho Brahe. Uług Beg wyliczył także z zadziwiającą dokładnością czas trwania roku astronomicznego – pomylił się jedynie o dwadzieścia pięć sekund – co czyni jego przybliżone wartości ściślejszymi niż późniejsze o sto lat rachunki Kopernika.

Studiujący w Samarkandzie kochali Uług Bega, bo nie tylko ich uczył, lecz także wspierał finansowo. Mułłów natomiast mniej zachwycała skłonność władcy do liczb, wiedzy i wina. Ich zdaniem był on zagrożeniem dla islamu i sprowadzał lud na manowce. Kiedy w 1447 roku zmarł jego ojciec, Szahruch, Uług Begowi nie udało się utrzymać silnej władzy. Tylko dwa lata rządził jako sułtan. Zginął w pułapce dobrze zaplanowanej przez własnego syna. Krótko potem fanatycy religijni zrównali z ziemią obserwatorium i zadbali o to, by medresa ufundowana w Samarkandzie przez Uług Bega została zamknięta.

Te wydarzenia są symptomatyczne dla rozwoju sytuacji w Azji Środkowej po śmierci Uług Bega. Chociaż dynastie uzbeckie, które doszły do władzy w XVI wieku, kontynuowały wznoszenie pięknych budowli, czasy intelektualnej świetności minęły. Podczas gdy Europa pod pełnymi żaglami sterowała przez renesans ku oświeceni, Azja Środkowa schodziła z tego

kursu i zostawała za rufą. Chiny, tak ważne dla handlu na Jedwabnym Szlaku, popadały w coraz większą izolację od świata zewnętrznego. W XVI wieku rolę tras transportowych przejęły oceany, także między Europą a Azją. Winę za taki rozwój sytuacji częściowo ponoszą sami mieszkańcy Azji Środkowej. W XV wieku imperium Timura zostało podzielone między rywalizujące ze sobą rody, które obłożyły kupców wysokimi cłami, lecz nie dbały należycie o zapewnienie bezpieczeństwa na szlakach karawan.

Po sławnym obserwatorium Uług Bega został tylko wielki (czterdzieści metrów średnicy) mosiężny sekstant. Natomiast szkoła stoi dalej. Medresa Uług Bega została zbudowana na Registanie, to znaczy na Piaszczystym Placu, gdzie dawniej znajdował się samarkandzki plac targowy. Powstała w 1420 roku i podobno Uług Beg nauczał w niej matematyki. Widać, że architekt przywiązywał dużą wagę do symetrii w dekoracyjnych mozaikach i w samej bryle budynku, podobnie jak to było w większości budynków szkół koranicznych w Azji Środkowej. Ostry łuk w płaskim prostokątnym liwanie portalu wejściowego prowadzi na duży czworoboczny plac otoczony dwoma piętrami sal wykładowych i pokoi studentów. Wejście do każdego pomieszczenia na piętrach powtarza w mniejszej skali liwan medresy – ostry łuk wycięty w płaskim prostokącie ozdobionym błękitną mozaiką. Na środku każdego boku dziedzińca wznosi się kolejny liwan wzorowany na wejściowym, otwarty tylko na dziedziniec. Całość wywołuje wrażenie niezmiernej lekkości, a zarazem spokoju, harmonii i elegancji.

W XVII wieku obok medresy Uług Bega wzniesiono dwie inne. Naprzeciwko stoi medresa Szer Dor, to znaczy Przybytek Lwów. Tillja Kori zaś, czyli Pozłacana, zamyka plac z trzeciej strony. Razem tworzą trójjedność. Medresa Pozłacana jest bogato zdobiona złotem i chociaż dach ma tak samo płaski jak pozostałe dwie, zdolnym rzemieślnikom udało się wewnątrz stworzyć iluzję łagodnie opadającej konstrukcji kopuły. Przybytek Lwów budowano aż siedemnaście lat, a wyróżnia się on dwoma tygrysami, które zdobią wejściowy liwan. Koran zabrania muzułmanom sporządzać

wizerunki istot żyjących, lecz artysta sprytnie ominął zakaz, twierdząc, że tygrysy właściwie przedstawiają lwy, więc nie można powiedzieć, by były tygrysami⁶³.

Spośród tych trzech muzułmańskich uczelni, które należą do najstarszych na świecie zachowanych szkół koranicznych, medresa Uług Bega, chociaż z nich najstarsza i budowana tylko przez trzy lata, jest najmniej nadgryziona zębem czasu.

Kiedy Rosjanie w XIX wieku podporządkowali sobie emirat Buchary, wszystkie trzy budowle nosiły wielowiekowe ślady braku konserwacji. Władze radzieckie włożyły później dużo wysiłku w przywrócenie kompleksowi Registanu dawnego blasku – zbyt wiele, zdaniem niektórych, ponieważ pozwoliły sobie tu i tam na trochę artystycznej swobody, ale z grubsza rzecz biorąc, konserwatorzy byli wierni oryginałom. Władze uzbeckie, chcąc za wszelką cenę nadać za duchem czasu, umieściły na trawniku przed kompleksem głośniki, by turyści zwiedzający wspaniałe ślady przeszłości mogli się rozkoszować nowoczesną uzbecką muzyką pop.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Registan, słońce właśnie zachodziło. Siadłam przy jednej z fontann, wyłączonych na zimę, żeby napawać się widokiem. Każda z medres z na wskroś niebieskim frontonem i doskonałym łukiem nad wejściem jest cudem sama w sobie, lecz gdy je podziwiać zwrócone ku sobie w idealnej symetrii, całość ulega sublimacji. Rytm powtórzeń, zda się, unosi plac nad ziemię. Chmury nad medresami były siwe, wplatały się w nie różowe i pomarańczowe pasma zachodzącego słońca. W drzewach za moimi plecami na cały głos ćwierkały wróble. Musiała ich być dobra setka. I w tym momencie poczułam, że celem mojej długiej, pięciomiesięcznej podróży było właśnie to – siedzieć na Registanie o zachodzie słońca przy wtórze współczesnego uzbeckiego popu i ćwierkania setki wróbli.

Stacja końcowa

Taszkient jest ostatnią stacją kolei transkaspijskiej, której trasa liczy tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery kilometry i wiedzie z Turkmenbaszy przez pustynię Kara-kum aż do uzbeckiej stolicy. W latach osiemdziesiątych XIX wieku budowa linii kolejowych była czynnikiem wzmagającym nerwowość w Wielkiej Grze między Rosją a Wielką Brytanią. Brytyjczycy obawiali się, że kolej da Rosjanom militarną przewagę, ci jednak, jak się okazało, nie mieli w planach ataku na Indie, a pociągów używali przede wszystkim do transportu bawełny. Dziś końcowa część trasy jest unowocześniona i przystosowana do wymogów kolei dużych prędkości, a wagony zapełniają turyści i biznesmeni.

Siedzący obok mnie Nurmat jechał do Taszkientu na randkę z kochanką. Miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, zaczątki brzuszka i kieszenie pełne dolarów, które więcej niż chętnie z nich wyciągał. Jego ulubionymi tematami były kobiety i homoseksualizm.

– Dopuszczacie homoseksualne małżeństwa w Norwegii, tak jak w Holandii? – To pierwsze, o co spytał, gdy przyznałam, skąd jestem.

– Homoseksualizm jest przeciwny naturze, to paskudztwo, które należy wyplenić! – zagrzemiał, gdy potwierdziłam, że małżeństwa homoseksualne są w Norwegii dozwolone. – Moim zdaniem homoseksualizm należy całkowicie wykorzenić. Jeżeli dzieci nie będą się z nim stykały, nie staną się homoseksualistami. Dzieci widzą, co matka i ojciec robią w łóżku, i to naśladowują, nie?

Odbiło mu się głośno. Przeprosił za beknienie i przykry odór, usprawiedliwiając się nadmierną ilością wypitej poprzedniego dnia wódki.

– Kobiety nakładają dzisiaj zbyt obcisłe ubrania – skarżył się dalej. – Niczego nie pozostawia się wyobraźni. Dawniej było bardziej podniecająco, kiedy musieliśmy sobie wyobrazać, co się kryje pod długimi spódnicami.

Ziewnął, znowu beknął i spojrzał na mnie badawczo.

– A przy okazji, dlaczego nie masz dzieci? Używasz spirali jak moja żona?

Pobłogosławiłam w cichości ducha uzbeckie koleje państwowe, gdy pociąg dużych szybkości wjechał na dworzec w Taszkencie co do minuty według rozkładu.

Taszkient przywołuje cię z powrotem do teraźniejszości. Z około dwoma milionami mieszkańców uzbecka stolica jest dziś ewidentnie największym miastem Azji Środkowej. Natomiast nic już nie zostało z dziewiętnastowiecznej idylli. Wczesnym rankiem 26 kwietnia 1966 roku Taszkient zadrżał w posadach od silnego trzęsienia ziemi, które w sekundy zmiotło prawie całą starówkę. Z dnia na dzień wieleset tysięcy ludzi straciło dach nad głową, ale jakby cudownym zrządzeniem losu tylko dziesięć osób – życie. Władze radzieckie wykorzystały sytuację, by stworzyć modelowe radzieckie miasto z szerokimi alejami, wysokimi blokami mieszkalnymi, ogromnymi parkami i sporą liczbą placów zdalnych do parad i publicznych imprez. Otwarte dwa lata po trzęsieniu ziemi metro może się mierzyć z moskiewskim. Marmurowe kolumny i wielkie żyrandole zdobią stacje, które same w sobie są przez to warte obejrzenia.

Widocznym dowodem na to, że Uzbekistan dysponuje dużymi, choć nie tak jak Turkmenistan i Kazachstan, zasobami ropy naftowej i gazu, stał się szereg reprezentacyjnych gmachów w centrum. Nowa biblioteka ozdobiona niebieską szklaną fasadą i gładkimi kredowobiałymi kolumnami przypomina raczej pałac. Olbrzymi budynek parlamentu, znany jako Biały Dom, jest wielokrotnie większy niż oryginał w Waszyngtonie, nowy zaś gmach banku narodowego wygląda jak anachroniczna, przerosła grecka świątynia. Główną ulicę zdominowały zachodnie luksusowe hotele, wszystkie z fasadami na wysoki połysk i boyami w stylowych uniformach. Spędziłam całe popołudnie, wędrując od jednego pięciogwiazdkowca do drugiego, ponieważ jest to jedno z niewielu miejsc w Taszkencie, gdzie można natrafić na bankomat. Zajrzałam do ośmiu hoteli i spróbowałam szczęścia w sześciu

bankomatach, które wszystkie były *temporarily out of order*, po czym się poddałam.

Liczne kłujące bogactwem w oczy gmachy i całkowita nieobecność funkcjonujących bankomatów nie były jedynymi rzeczami, które budziły wspomnienia z Turkmenistanu. Wprawdzie w Uzbekistanie obyło się bez dozoru biura podróży, ale tu także musiałam udawać turystkę i nie mogłam z nikim otwarcie przeprowadzić wywiadu. Większość tych, których spotkałam, obawiała się rozmowy o polityce i na inne drażliwe tematy. Kiedy przy jakiejś okazji wspomniałam Nurmatowi, niewiernemu mężowi w pociągu, że uzbecki prezydent jest dyktatorem, zamknął się w sobie jak ostryga i w milczeniu wyglądał przez okno, a następnie podjął monolog o kobietach i homoseksualizmie. Dyktatura w Uzbekistanie nie jest tak ekstrawagancka, jak w Turkmenistanie – w gruncie rzeczy jak na Azję Środkową w przestrzeni publicznej widnieje zdecydowanie mało prezydenckich plakatów – za to uszy władzy są wszędzie.

Jedynym miejscem, gdzie ludzie od czasu do czasu się otwierali, były samochody z zamkniętymi drzwiami. Jak wszędzie w dawnym Związku Radzieckim każdy samochód w Uzbekistanie jest potencjalnie taksówką. Ponieważ na każdym rogu ulicy są kamery i stoją policjanci – jak to w dyktaturach bywa – uważa się za całkowicie bezpieczne korzystanie z pirackich taksówek, także przez samotne kobiety. Za kilka tysięcy somów podwożono mnie, dokądkolwiek chciałam. W jakim jednak stopniu ci mężczyźni, którzy obwozili mnie wkoło swoimi starymi, zdezelowanymi samochodami w nadziei zarobienia równowartości pięciu czy sześciu koron norweskich, reprezentowali przeciętnych Uzbeków? I jak bardzo byli prawdomówni?

– Demokracja?! – wykrzyknął jeden z tych nielegalnych taksówkarzy, wysoki, chudy czterdziestolatek w prawie rozpadającej się ładzie. – Oczywiście, że mamy demokrację! Za to w Kirgistanie mają tylko chaos. W Kazachstanie też. Wojna, przemoc i bieda z nędzą. Chodziłaś może po

ulicach Biszkeku sama nocą? Nie, no właśnie! A tu, jak chcesz, możesz tłuc się do samego świtu. Tu ci się nic nie stanie. U nas jest bezpiecznie.

– Każdego dnia włączam do swoich modlitw prezydenta Karimowa – oświadczył inny taksówkowy wolny strzelec, przygłuchy emeryt w wytartym, ale świeżo wyprasowanym garniturze. – Modlę się, żeby zachował zdrowie tak, żeby jeszcze długo mógł rządzić naszym krajem. Dzięki naszemu prezydentowi mamy pokój. W Kirgistanie jest jeden wielki chaos, a w krajach arabskich wojna i bieda z nędzą. U nas panuje pokój i stabilizacja.

Kierowca, który wiózł mnie na lotnisko, grubas powyżej sześćdziesiątki, był z nich najbardziej krytycznie nastawiony.

– Najniższa pensja wynosi poniżej stu tysięcy somów – powiedział ściszym głosem. – To mniej niż pięćdziesiąt dolarów. Za to się nie wyżyje. Nie wystarczy nawet na stałe opłaty za wodę, prąd i wywóz śmieci. Ludzie tu chorują, wielu ma słabe zdrowie. Kraj jest źle rządzony. Nie możemy nawet wymienić pieniędzy na zagraniczne waluty. We wszystkich innych krajach to możliwe, ale nie tu. To nie jest normalne, prawda?

Ludzie ścisiali głos do prawie niesłyszalnego szeptu, kiedy wypowiadali się negatywnie o reżimie, nawet o najbardziej niewinnych sprawach, jak to, że poszły w górę ceny oleju jadalnego. Natomiast potrafili w zdenerwowaniu wykrzykiwać, gdy mówili o Gulnarze Karimowej, starszej córce prezydenta.

– Jest bogata jak Krezus! Ma na własność cały Uzbekistan! Hotele, fabryki, bawełnę, złoto, ropę, gaz, restauracje i *you name it!* – wysyczał student anglistyki, który podwoził mnie do muzeum Timura Chromego. – Pójdzie po trupach, żeby dostać to, czego chce. To z jej powodu wolę się przenieść do USA. Póki jest prawą ręką ojca, do niczego się w tym kraju nie dojdzie. Chciałbym, żeby ją zamknęli, ale to życzenie chyba nigdy się nie ziści.

Życzenie studenta anglistyki spełniło się. Gulnara, uważana za najbardziej prawdopodobną dziedziczkę urzędu prezydenta, nie jest już prawą ręką

swojego ojca. Siedzi w surowo strzeżonym areszcie domowym w Taszkencie, pozbawiona kontaktu ze światem zewnętrznym. Przez ostatni rok życie rodzinne Karimowów przypominało mieszankę starego, dobrego dramatu szekspirowskiego ze współczesną operą mydlaną. Dziennikarze i ciekawscy mogli je śledzić na Twitterze i Instagramie.

Życiorys Gulnary Karimowej przypomina bajkę. Czterdziestodwuletnia córka prezydenta jest profesorem politologii z doktoratem obronionym na „Taszkienckim Uniwersytecie Ekonomiki Światowej i Dyplomacji”. Rzadko nie wykorzystuje okazji, by wspomnieć, że ma także magisterium z Harvardu, lecz zwykle nie jest już tak dokładna, żeby sprecyzować, że nie chodzi o regularne magisterium harwardzkie, lecz o takie, które uzyskuje się w specjalnym instytucie przyjmującym bogatych chętnych z krajów Trzeciego Świata. Jej dawny profesor z Harvardu wykłada teraz w Instytucie Nazarbajewa w kazachskiej Astanie.

Jeśli idzie o doświadczenie zawodowe, Gulnara może się wykazać stanowiskiem ambasadora w Hiszpanii i funkcją stałej reprezentantki Uzbekistanu przy ONZ w Genewie. Dodatkowo prezesowała szeregowi organizacji humanitarnych i kierowała inicjatywami dobroczynnymi dla kobiet, dzieci i młodzieży w Uzbekistanie, zwłaszcza w dziedzinie kultury i sportu.

W ostatnich latach Gulnara koncentrowała się głównie na rozwoju swoich bardziej artystycznych talentów. W 2006 roku ukazało się pierwsze muzyczne wideo, *Unutma meni* (Nie zapomnij mnie), lansowane pod pseudonimem artystycznym Gugusza, który był zdrobnieniem jej imienia używanym w dzieciństwie przez ojca. Kiedy w 2008 roku Julio Iglesias odwiedził targi mody w Taszkencie, imprezę, której głównym pomysłodawcą była zresztą Gulnara, oboje zaśpiewali na wybiegu *Bésame mucho*. Nagranie zostało zakazane w uzbeckim radiu, kiedy Iglesias w wywiadzie dla Radia Liberty odmówił odpowiedzi na pytanie, kto go zaprosił do Taszkentu.

W 2012 roku Taszkient odwiedził inny międzynarodowy celebryta – przyjaciel dyktatorów Gérard Depardieu. Wizyta zaowocowała duetem pod wiele mówiącym tytułem *Nieba małczit* (Niebo milczy). Gulnara śpiewa w nim po rosyjsku, Depardieu w białej koszuli bez rękawów szepcze ochryple po francusku: „Wybacz mi. Wybacz wszystko, czego nie mogłem ci powiedzieć. Wybacz, że nie umiałem cię kochać... Ja ci wybaczam”. Depardieu zgodził się także zagrać główną rolę w filmie „Kradzież białego kokonu”, opowiadającym, jak jedwab półtora tysiąca lat temu trafił do Azji Środkowej. Scenariusz napisała, a także, sama Gulnara Karimowa. Z kręcenia filmu na razie nic nie wyszło. Rozwój wydarzeń każe wątpić, czy kiedykolwiek odbędzie się jego premiera.

Rok 2012 był w ogóle wielkim rokiem Gulnary. W lecie córka dyktatora z wielkim hukiem wylansowała swój pierwszy album – noszący po prostu tytuł „Googoosha” – w USA, Europie, Rosji i Uzbekistanie. Utwory w nim zamieszczone odznaczają się ciężkim elektronicznym brzmieniem i są zapewne inspirowane przez Massive Attack, Adele, Moby’ego i Sade. Na swojej stronie internetowej Gulnara Karimowa przedstawia się jako „poetka, mezzosopran, designerka i egzotyczna, uzbecka piękność”. Sama napisała teksty do swoich piosenek, a wszystko to, żeby zacytować stronę Gulnary, zaczęło się od potrzeby wyrażenia siebie. W inspirowanym stylem dance *How dare* stawia pytanie, które niezaprzeczalnie przez lata zadawało w stosunku do niej wielu Uzbeków: *You look fine, but what’s going on in your mind? You look fine, but what do you hide in your soul?*

Mimo majątku wydanego na klipy Gugusza nigdy nie zrobiła oszałamiającej kariery w USA ani w Europie. Za to w uzbeckiej telewizji i w radiu puszczano jej piosenki na okrągło przez całą dobę. Dość przeciętny głos Gulnary Karimowej i jej długie blond loki były wszędzie. Jakby tego nie wystarczyło, próbowała także sił jako projektantka mody. Pod kolejnym pseudonimem, tym razem Guli, stworzyła raczej okropną kolekcję biżuterii dla uznanej szwajcarskiej firmy Chopard i wypromowała

na rynku dwa rodzaje perfum – *Victorious* dla panów i *Mysterieuse* (sic!) dla pań. Kolekcja ubrań zaprojektowanych przez Gulnarę miała być pokazana na wybiegu podczas nowojorskiego Tygodnia Mody w 2012 roku, jednak prezentację odwołano ze względu na protesty aktywistów ochrony praw człowieka, którzy zarzucali, że bawełna, z której uszyto kreacje projektu córki dyktatora, była zbierana przez dzieci.

Pod atrakcyjnym, czarującym i nieco w stylu Barbie wizerunkiem gwiazdy pop kryje się wyrachowana, po części niebezpieczna kobieta interesu. Były mąż Gulnary, Mansur Maksudi, amerykański przedsiębiorca o afgańskich korzeniach spotkał się z raczej niemiłymi reperkusjami rozwodu w 2001 roku ze strony wpływowych przyjaciół eksżony. Póki byli małżeństwem, jego rozlewnia Coca-Coli w Uzbekistanie rozwijała się bez żadnych przeszkód. Po rozwodzie powstał konflikt na tle opieki nad dwojgiem dzieci. Gulnara zabrała syna i córkę do Uzbekistanu bez zgody byłego męża, co spowodowało, że amerykański sąd uznał ją winną uprowadzenia i wystawił międzynarodowy nakaz aresztowania. W odpowiedzi aresztowano szereg partnerów biznesowych Maksudiego i jego krewnych w Uzbekistanie, a następnie wydalono ich za granicę afgańską. Rozlewnia Maksudiego upadła. W 2008 roku Gulnarze przyznano pełnię opieki nad dziećmi i uchylono nakaz aresztowania.

U szczytu swojej władzy Karimowa posiadała znaczące udziały we wszystkich liczących się firmach w Uzbekistanie albo też lukratywne umowy prowizyjne z nimi. Była zdecydowanie najbogatszą kobietą w kraju, a jej własność stanowiło wszystko – od planacji bawełny po elektrownie gazowe, kopalnie złota, hotele i restauracje. Ani ona, ani jej partnerzy biznesowi nie cofali się przed niczym, by wbić pazury w kolejną spółkę czy firmę. Typowy sposób postępowania mógł być taki: Jeżeli Gulnara była zainteresowana przejęciem firmy, sprawiała, że władze skarbowe brały daną firmę dokładnie pod lupę, po czym ją zamykano, jej majątek konfiskowano albo firma się wyprzedawała grubo poniżej rzeczywistej wartości rynkowej.

Firmy zagraniczne, które chciały uruchomić działalność w Uzbekistanie, naciskano, by płaciły córce dyktatora duże łapówki. Do tego celu powstała osobna, zarejestrowana w Szwajcarii spółka inwestycyjna o nazwie Zeromax. W pierwszej dekadzie XXI wieku spółka była tak bogata, że kupiła sobie klub piłkarski Bunyodkor i wynajęła byłego trenera kadry brazylijskiej Felipe Scolariego⁶⁴, by wywindował starzejące się gwiazdy piłkarskie typu Rivalda na nowe szczyty w uzbeckiej krajowej lidze.

W 2010 roku spółka Zeromax została bez uprzedzenia rozwiązana. Według Kamołodina Rabbimowa, komentatora politycznego, wcześniej pracującego dla administracji prezydenta, obecnie zamieszkałego we Francji, Zeromax generował tak wiele problemów, że prezydent Karimow postanowił go zlikwidować.

– Gulnara zmonopolizowała całe sektory gospodarki – powiedział Rabbimow w wywiadzie dla BBC. – Zaczęła się wtrącać zarówno w handel złotem, jak i w logistykę i sprzedaż gazu. Wysysała tyle zasobów, że własnoręcznie wykopała dziurę budżetową.

Czy likwidacja Zeromaxu stała się początkiem upadku Gulnary? Na jesieni 2013 roku grunt na serio zaczął się jej usuwać spod nóg. Kiedy straciła immunitet dyplomatyczny, który przysługiwał jej jako stałej reprezentantce Uzbekistanu przy ONZ i ambasadorowi w Hiszpanii, szwajcarskie, holenderskie i amerykańskie władze wdrożyły śledztwo w sprawie jej finansowych przekrętów. Szwajcarzy na razie zamrozili majątek w rekordowej kwocie ośmiuset milionów franków. Córka dyktatora jest oficjalnie podejrzana o korupcję i pranie pieniędzy.

Śledztwo doprowadziło poza tym do odkrycia największego skandalu korupcyjnego w historii Szwecji. Podobno TeliaSonera zapłaciła firmie o nazwie Takilant Limited, zarejestrowanej w Gibraltarze, dwa miliardy trzysta milionów koron za prawo do wprowadzenia w Uzbekistanie sieci 3G. Właścicielką Takilantu była dwudziestopięcioletnia Gajane Awakjan, jedna z osobistych asystentek Gulnary Karimowej. Z powodu uzbeckiego skandalu

telekomunikacyjnego pod lupę wzięto również norweski Telenor, który jest właścicielem trzydziestu trzech procent rosyjskiej spółki telekomunikacyjnej VimpelCom, która to podobnie jak TeliaSonera miała kupić od Takilant Limited licencję na uzbecką sieć telefonii komórkowej.

Równocześnie z ujawnieniem podejrzanych interesów Gulnary jej młodsza siostra, Lola Karimowa-Tilliajewa, udzieliła zachodnim mediom pierwszego w życiu wywiadu. W rozmowie z rozgłośnią BBC zdradziła, że nie rozmawiała z siostrą od dwunastu lat.

– Wszelkie dobre stosunki wymagają, żeby mieć zbieżne poglądy albo podobne osobowości – powiedziała. – W naszych kontaktach nic takiego nie zachodzi, nigdy tego nie było. Jesteśmy kompletnie odmienne. A te różnice, jak wiadomo, nasilają się w miarę upływu lat.

Lola jest zapewne mniej ognista i ekstrawagancka od starszej siostry, ale są też między nimi podobieństwa. Trzydziestosześcioletnia Lola ma doktorat z psychologii i mieszka w Genewie. Jest stałą przedstawicielką Uzbekistanu przy UNESCO. Jej mężem jest Uzbek Timur Tilliajew, z którym ma troje dzieci. Mąż prowadzi w Uzbekistanie dużą firmę przewozowo-importową, a para zalicza się do grona najbogatszych rezydentów w Szwajcarii. Przed wywiadem dla BBC najwięcej rozgłosu przyniósł jej pozew przeciwko francuskiemu portalowi informacyjnemu za określenie jej „córką dyktatora”. Proces przegrała.

Przez całą jesień dziennikarze i plotkarze mogli śledzić rodzinne potyczki od wewnątrz na kontach Gulnary Karimowej na Twitterze i Instagramie. Poprzednio używała ich głównie do promocji siebie jako artystki i zamieszczania swoich zdjęć w różnych pozycjach jogi. Teraz wykorzystuje je do ataków na członków rodziny i wymieniane z nazwiska osoby obdarzone władzą w administracji prezydenta. W nieco zagadkowych wiadomościach oskarżyła matkę i siostrę o sprzysiężenie się przeciwko niej.

– Część rodziny (nasz ojciec) „żywi”, ale druga część niszczy i przyjaźni się z czarownicami – napisała na Instagramie w październiku 2013 roku.

Trochę później w „ćwierknięciu” na Twitterze, które obiegiło cały świat, zasugerowała, że matka zajmuje się czarną magią:

– Czy ktoś wie o dziwnych praktykach układania ze świec różnych form w kształcie gwiazd i trójkątów i nieustannego powtarzania różnych rzeczy? Martwię się o mamę. Co to jest?

Późną jesienią pętla wokół Gulnary zaczęła się zaciskać. Wielokrotnie zamykano – i otwierano – jej konto na Twitterze. Zlikwidowano jej imperium medialne, łącznie z licznymi kanałami telewizyjnymi. Taki sam los spotkał wiele jej organizacji dobroczynnych. Ponad tuzin sklepów sprzedających w Taszkencie zachodnią odzież, a prowadzonych przez partnerów biznesowych Gulnary, zamknięto na cztery spusty z powodu podejrzeń o oszustwa podatkowe. Tę samą taktykę stosowała zwykle Gulnara dla uzyskania kontroli nad spółkami. Jednocześnie aresztowano wielu jej przyjaciół i najbliższych sojuszników.

– Wszędzie narastają napięcia; kiedy jechałam do ojca, zamknęli mi drogę i powiedzieli: „Lepiej tam nie jechać” – napisała Gulnara na Twitterze 30 listopada.

Największe zainteresowanie wzbudziło, gdy oskarżyła Rustama Inojatowa, szefa SNB, uzbeckiej wersji KGB, że to on stoi za wrogimi jej wydarzeniami i że szykuje się na stanowisko prezydenta.

Spytana na Twitterze, czy uważa, że Inojatow ma ambicję zająć fotel prezydenta, odpowiedziała:

– Tak, ma! Już o to walczy!

W wywiadach dla zachodnich mediów nagle zaczęła wyrażać troskę o łamanie praw człowieka przez SNB.

– Potrzebowałam czasu, żeby dostrzec prawdę o rzeczywistości, w której żyjemy – oświadczyła w grudniu w wywiadzie dla „The Guardian”.

17 lutego 2014 roku córka prezydenta nagle zamilkła. Konto na Twitterze zostało ostatecznie zamknięte, a uzbeckie radio i telewizja przestały nadawać piosenki Guguszy. Stopniowo zaczęła się szerzyć plotka, że na

Gulnarę i jej piętnastoletnią córkę, Iman, nałożono areszt domowy. W marcu do BBC drogą elektroniczną dotarła kopia odręcznie pisanego listu, który potwierdzał domysły. Zdaniem grafologów list najprawdopodobniej napisała sama Gulnara:

– Jestem pod silną presją psychiczną, byłam bita, możesz policzyć siniaki na mojej ręce – brzmiały między innymi słowa tego długiego i dość niespójnego listu.

Mniej więcej równocześnie pojawiła się w internecie niezwykła fotografia Gulnary – nieumalowanej i niezadbanej, siedzącej na łóżku w białej nocnej koszuli i pijącej przez rurkę mleko czekoladowe.

Kiedy to piszę, Gulnara Karimowa, niegdyś tak potężna i bogata córeczka tatusia, wciąż siedzi w areszcie domowym razem z własną córką. Setki jej przyjaciół i sojuszników aresztowano bądź zmuszono do milczenia. Ciekawe pytanie: kto się za tym kryje?

Okoliczności aresztu domowego Gulnary wzbudziły gwałtowne spekulacje. Niektórzy uważają, że siedemdziesięciosześcioletni prezydent nie jest już w pełni władz umysłowych i w rzeczywistości za sznurki zza kulis pociąga Inojatow, szef SNB. Wraz z uwięzieniem Gulnary usunięta została najważniejsza przeszkoda na drodze do jego prezydentury. Sama Gulnara przyczyniła się do wzmocnienia tej teorii. W innym liście przeschmuglowanym z aresztu domowego napisała:

„Jeśli Bóg chce ukarać człowieka, to mu odbiera rozum. W przeciwnym razie nikt przecież nie upadłby tak nisko, by wydawać na męki swoje dziecko i dziecko tego dziecka”.

Zdaniem innych nie do pomyślenia jest, że Karimow, polityk będący u władzy i przez ćwierćwiecze trzymający kraj w żelaznym uścisku, osobiście nie stoi za aresztem domowym. Gulnara posunęła się za daleko, stała się zbyt pazerna, przekroczyła zbyt wiele granic, w tym prawo międzynarodowe, i musiała zostać usunięta z gry.

Niezależnie od tego, kto się za tym kryje, walkę o władzę w rodzinie prezydenckiej należy rozpatrywać w świetle nadchodzących wyborów na wiosnę 2015 roku. Islom Karimow skończy wówczas siedemdziesiąt siedem lat. Nie wyznaczył żadnego następcy, a biorąc pod uwagę rozwój sytuacji, władzy nie przejmie najstarsze dziecko, jak to bywa w tego typu współczesnych „monarchiach prezydenckich”. Czy w zamian będzie to młodsza, Lola, i jej obrzydliwie bogaty mąż? Czy w plotkach o ambicjach szefa SNB jest ziarno prawdy? A może Karimow postąpi tak, jak czynił dotąd on sam i jak czynili jego koledzy w regionie – porządzi jeszcze jedną kadencję?⁶⁵ Wciąż tak samo stuknięty? Zapraszamy na następny odcinek serialu „Komplikacje w dynastii Karimowów”!

Zakulisowa walka o władzę przypomina wojny o sukcesję za czasów Czyngis-chana i Uług Bega. Żadna z republik środkowoazjatyckich z wyjątkiem Kirgistanu nie przekształciła się w demokrację. Wydaje się, że cofnęły się one do epoki emiratów i chanatów. Rządzący „chanowie” wchodzą w starość – martwi to zarówno potencjalnych inwestorów, jak i analityków politycznych. Co się stanie, kiedy wieczni prezydenci Azji Środkowej poumierają albo będą zbyt chorzy, żeby rządzić? Jaki kierunek obiorą wtedy Stany? Pewne wydaje się jedynie to, że nie naród wówczas będzie decydował.

Kazachski prezydent, Nursułtan Nazarbajew, skończył siedemdziesiąt cztery lata i też nie wyznaczył następcy. Dzisiejsze stosunki Kazachstanu z Rosją wydają się dość dobre, Nazarbajewowi udało się utrzymać kontrolę nad napięciami między kazachską większością a liczną rosyjską mniejszością. Co, jeśli następny prezydent będzie mniej przyjazny wobec Rosji? Jak odpowie na to coraz bardziej nacjonalistyczna i szukająca potwierdzenia własnej wartości Rosja?

Prezydent Tadżykistanu, Emomali Rahmon, lat sześćdziesiąt jeden, należy do najmłodszych w klubie. Zgodnie z oczekiwaniami w listopadzie 2013 roku został ponownie wybrany. Frekwencja osiemdziesięciu siedmiu procent

nie była wprawdzie rekordowa, niemniej budzi szacunek. Oddano na niego osiemdziesiąt trzy i sześć dziesiątych procent głosów. Jedyne realne kandydatki opozycji, Ojnichol Bobonazarowa, nie zdołała zebrać wymaganych dwustu tysięcy podpisów i dlatego nie została zarejestrowana jako kandydat. Zresztą grożono jej, by nie stawiała do wyborów. Rahmon został wybrany na kadencję do 2021 roku, choć wcale nie jest pewne, że się tak długo utrzyma. Tadżykistan to kraj biedny i podzielony między plemiona, ma długą granicę z Afganistanem. Niedawno, bo w 2012 roku zabito kilkadziesiąt osób w zbrojnych potyczkach armii z miejscowymi bandami szmuglerów i cywilami w Chorogu, stolicy Pamiru.

Turkmenistan ma za sobą przejęcie władzy po Turkmenbaszy, dożywotnim prezydencie, który zmarł w 2006 roku. Po krótkiej i tajnej zakulisowej walce na tron wstąpił jego dentysta, Gurbanguly Berdimuhamedow, i obwiesił kraj swoimi portretami. Pięćdziesięciosiedmiolatka można traktować w tym gronie niemal jak smarkacza. Dla podkreślenia swojej witalności wykorzystuje on każdą okazję, by się prezentować w sytuacjach związanych ze sportem, nie inaczej niż prezydent wielkiego kraju dalej na północ. Innymi słowy, Berdimuhamedow jeszcze długo porządzi, jeżeli nie da się wysadzić z siodła – znowu.

Na razie jego pozycja wydaje się bezpieczna. W tegorocznych (2014 rok) wyścigach odniósł „imponujące zwycięstwo nad innymi jeźdźcami”, o czym donosi oficjalna turkmeńska gazeta internetowa Turkmenistan.ru. „Tłumnie zgromadzeni widzowie zerwali się z miejsc i przywitali zwycięzcę biegu, prezydenta Turkmenistanu, burzliwymi, długimi oklaskami”. To relacja państwowej agencji informacyjnej TDH. Według tych samych źródeł w obecnej chwili planuje się wzniesienie pomnika Berdimuhamedowa albo Protektora, jak się go chętnie nazywa, w centrum Aszhabadu. „Sukces naszego kraju, osiągnięcia i wysoki stopień rozwoju są nierozzerwalnie związane z nazwiskiem Gurbangulya Berdimuhamedowa”. To odnośne słowa

ministra spraw zagranicznych i wicepremiera Raszida Meredowa. Tymczasem plan nie został jeszcze zatwierdzony przez prezydenta, albowiem, jak sam zaznaczył: „W takiej kwestii trzeba spytać o radę naród, bo wola ludu jest święta”.

Może i wola narodu turkmeńskiego jest święta, ale nikt nigdy nie był jej ciekaw. Nikt nie słuchał Turkmenów za czasów ZSRR, ich rodzimi politycy byli i są bardziej zajęci dbaniem o siebie i swoich. Nowe pokolenie dorastało z telewizją satelitarną i internetem, wielu studiowało za granicą. Jak długo naród turkmeński będzie się godził z uciskiem i szastaniem publicznymi pieniędzmi przez polityków z najwyższego szczebla?

W Kirgistanie, jedynej demokracji w Azji Środkowej, stabilizacja polityczna jest krucha. Nie było uczciwych prób ukarania winnych po rozruchach na południu kraju w 2010 roku. Etniczna nienawiść między Kirgizami a Uzbekami przytała się i tylko czeka, by na nowo rozgorzeć płomieniem.

W Azji Środkowej jest w ogóle wiele ukrytych konfliktów etnicznych. O samostanowieniu marzy lud Pamiru w Tadżykistanie, w Uzbekistanie o tym samym śnią Karakałpacy i Chorezmijczycy, tymczasem w Kotlinie Fergańskiej ludy o tej samej mowie i kulturze dzielą granice państwowe. Nietrudno zrozumieć, dlaczego środkowoazjatyccy prezydenci woleli zachować stalinowskie granice z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Gdyby teraz zaczęli przesuwac kreski na mapach, wypuściliby uwięzionego w butelce dzina nacjonalizmów.

Innymi słowy, w poradzieckich państwach Azji Środkowej piętrzą się problemy. Oprócz niedostatecznie wykształconej demokracji wiele z nich ma kłopoty gospodarcze. Władze radzieckie nigdy się nie troszczyły o industrializację tego regionu, traktując go jak dostawcę surowców. Dzisiejszym skorumpowanym reżimom, z nielicznymi wyjątkami, nie udało się wydobyć krajów z ekonomicznego grząskiego bagna, o ile w ogóle próbowały, toteż wiele z nich w dalszym ciągu jest całkowicie zależnych od

Rosji. Stan gospodarek Kirgistanu i Tadżykistanu regulują wpływy emigracji zarobkowej do rosyjskich miast. Poprzez członkostwo w Unii Euroazjatyckiej Kazachstan wszedł ostatnio w jeszcze ściślejsze związki ekonomiczne z Wielkim Bratem na północy. Uzbekistan prowadził dotąd dość izolacjonistyczną politykę, niemniej chodzą słuchy, że Rosja za kulisami intensywnie pracuje, by przyjazny Kremlowi szef SNB Inojatow przejął stery po starzejącym się Karimowie.

Ogólnie nie da się zrozumieć tych pięciu nowych państw w Azji Środkowej, jeżeli nie weźmie się pod uwagę, jak uformował je okres, gdy były republikami radzieckimi. W ciągu owych siedemdziesięciu lat pod radzieckimi rządami Azja Środkowa uczyniła krok ze średniowiecza wprost w wiek dwudziesty. Ten cywilizacyjny skok odbił się silnie na tamtejszych społecznościach. Zniknęło całe morze śródłądowe, koczownikom odebrano ich stada i zmuszono do osiedlenia się w kolchozach, ponad milion ludzi zmarło z głodu. Zamknięto setki meczetów, kobiety uwolniono od kwefów, zniesiono wielożeństwo, w każdym razie teoretycznie. Alfabet arabski zastąpiono cyrylicą, za to wszyscy nauczyli się czytać, dziewczęta też. Zbudowano drogi, biblioteki, opery, uniwersytety, szpitale i sanatoria. Wytyczono na mapach granice krajów, fizycznie przypieczętowano je zasiekami z drutu kolczastego i pięć narodów ujrzało światło dzienne.

Przy tych wszystkich zmianach Azja Środkowa zachowała jednak część swojej odmienności.

Dawna kultura rodowa przetrwała kolektywizację i komitety centralne. Nigdy też nie zanikła autokracja, znalazła jedynie nową formę wyrazu. Gościnność, umiłowanie dywanów, dawna kultura handlu na targach, miłość do koni i wielbłądów – wszystko to przetrwało do naszych czasów i sprawia, że podróż po tym regionie jest niezapomniana.

Dziś Stany znalazły się na rozdrożu. Mają się zbliżyć do Rosji czy do Chin? A może spoglądać na Zachód? Jakim interpretacjom własnej historii mogą ufać? Po blisko dwudziestu pięciu latach niezależności te pięć narodów

wciąż usiłuje odnaleźć swoją tożsamość w przestrzeni między Wschodem a Zachodem, między nowym a dawnym, w środku Azji, w otoczeniu takich mocarstw, jak Rosja i Chiny, oraz kontrowersyjnych lub niespokojnych sąsiadów, jak Iran czy Afganistan. Dziewięćdziesiąt procent Rosjan, którzy mieszkali w Tadżykistanie, dwie trzecie ludności zamieszkałej w Turkmenistanie i połowa mieszkańców Uzbekistanu opuściły te kraje. Tym samym Azja Środkowa stała się przez te dwadzieścia pięć lat bardziej sobą, bardziej azjatycka, przynajmniej etnicznie. Jednak dziedzictwo Związku Radzieckiego wciąż przygniata wszystkie Stany – gospodarczo i politycznie. Póki większość polityków z czasów radzieckich jest u władzy, nadzieje na zmianę są małe. Murat, jeden z moich przewodników po Turkmenistanie, powiedział, gdy przemierzaliśmy pustynię z północy na południe:

– Pokolenie radzieckie jest, jakie jest. Ci ludzie postępują ze wszystkim w ten sam dawny sposób. Pokładam ufność w nowym pokoleniu. Wielu jeździło po świecie, dużo widziało. Tylko oni mogą dostarczyć nowych impulsów.

Podziękowania

Ta książka nie mogłaby powstać, gdyby nie pomoc z daleka i z bliska, którą otrzymałam i w fazie planowania, i podczas podróży, i podczas pisania. Wielu osobom należą się słowa podziękowania.

Ludy środkowoazjatyckie są powszechnie znane z gościnności, podczas dwóch długich podróży po regionie miałam z nią do czynienia każdego dnia. Ciepłe słowa wdzięczności kieruję do wszystkich, których spotkałam po drodze, którzy zapraszali mnie na herbatę i posiłek, dzielili się ze mną poglądami i opowieściami oraz pomagali mi na wszelkie sposoby. Wszędzie, gdzie się pojawiłam, okazywano mi hojność, otwartość i dawano wsparcie. Ta książka jest rezultatem wszystkich takich spotkań. O niektórych jednak muszę wspomnieć specjalnie:

W Kazachstanie pomogli mi między innymi Kirył Osin z Ekko Mangistau i Gałym Augełeuow, bojownik o prawa człowieka. Jestem również bardzo wdzięczna Aliji Tułatejewej – której matka, Roza, wciąż siedzi w więzieniu, oskarżona o kierowanie strajkiem robotników rafinerii w Żangaözenieza to, że poświęciła mi czas i podzieliła się ze mną historią swojej matki i swoją własną.

Moja była studentka Inga Lande była tak uprzejma, że przekazała mi kontakty do niektórych swoich pomocników z czasów pracy terenowej w Tadżykistanie. Sayora Nazarowa postarała się, by moje pierwsze dni w Duszanbe nie były tak samotne. Saidamir Aszurow i Umed Mawlonow starali się przychylić mi nieba i pomagali skontaktować się z interesującymi rozmówcami. Mam także dług wdzięczności wobec Muqima Ergaszbojewa, który podczas tygodnia spędzonego w dolinie Jagnobu nie tylko był przewodnikiem, lecz podjął się także funkcji poszukiwacza danych i tłumacza.

W Kirgistanie uzyskałam dobre rady i pożyteczne informacje od Gazbubu

Babajarowej z Instytutu Kyz Korgon, Banur Abdijewej z organizacji Leader w Karakoł, Bubusary Ryskułowej z Centrum Kryzysowego Sezim w Biszkeku i Walentyny Gryczenko z organizacji obrony praw człowieka Sprawiedliwość w Dżalalabadzie. Nuraida Abdykappar z Akademii OBWE, Dżyldyz Mołdaliewa z biura ONZ w Biszkeku i Rusłan Rahimow z amerykańskiego uniwersytetu AUCA w Biszkeku także wnieśli swój wkład w zakresie kontaktów i informacji.

Oprócz wymienionych powyżej osób w nawiązywaniu kontaktów ze środowiskiem uniwersyteckim w Biszkeku pomagał mi Helge Blakkisrud z Norweskiego Instytutu Spraw Zagranicznych (NUPI), a Steinar Dyrnes, korespondent „Aftenposten” w Moskwie, ogólnie służył dobrą radą i kontaktami w regionie. Entomolog Lars Ove Hansen był uprzejmy przejrzeć rozdział poświęcony produkcji jedwabiu i doprecyzował niektóre sformułowania.

Niestety, nie mogę wymienić z nazwiska żadnych swoich pomocników z Uzbekistanu ani Turkmenistanu ze względu na ich bezpieczeństwo. Z tych samych powodów często nie podawałam prawdziwych imion wielu Turkmenów i Uzbeków pojawiających się w tekście.

Dziękuję także za wsparcie finansowe Fundacji Fritt Ord (Wolne Słowo) i Stowarzyszeniu Pisarzy i Tłumaczy Literatury Faktu. Bez nich napisanie tej książki nie byłoby możliwe.

Ivar Dale, przedstawiciel Komitetu Helsińskiego w Norwegii na Azję Środkową, wsparł mnie tak wieloma dobrymi radami, że na koniec zapytałam, czy nie zechciałby być konsultantem książki. Bardzo jestem rada, że się zgodził. Jego bystrość i uzasadnione uwagi były dla mnie wielką pomocą. Serdecznie dziękuję!

Na koniec zachowałam podziękowania dla Erika, który wytrzymał i wtedy, gdy podróżowałam, i wówczas, gdy siedziałam w domu, pisząc książkę. W obu przypadkach służył zachętą, a w tym drugim smacznymi obiadami i – jak zawsze – dobrą radą w kwestiach językowych oraz

literackich.

Oslo, 30 sierpnia 2014

Literatura

Dla zachowania ciągłości tekstu podawałam źródła tylko przy cytatach. Poniżej wymieniam książki, z których korzystałam podczas pisania.

Rafis Abazov, *The Palgrave Concise Historical Atlas of Central Asia*, New York 2008.

Laura L. Adams, *The Spectacular State. Culture and National Identity in Uzbekistan*, Durham 2010.

Jonathan Aitken, *Nazarbayev and the Making of Kazakhstan*, London 2009.

Christopher Aslan Alexander, *A Carpet Ride to Khiva. Seven Years on the Silk Road*, London 2010.

Anne Applebaum, *Gułag*, przeł. Jakub Urbański, Warszawa 2005 [wyd. oryg. *Gulag. A History*, London 2003].

Marinika Babanazarova, *Igor Savitsky. Artist, Collector, Museum Founder*, London 2011.

Mary Boyce, *Zaratusztrianie: wiara i życie*, przeł. Zofia Józefowicz-Czabak, Bolesław J. Korzeniowski, Łódź 1988 [wyd. oryg. *Zoroastrians. Their Religious Beliefs and Practices*, London 2001 (1979)].

Alexander Burnes, *Travels into Bokhara. A Voyage up the Indus to Lahore and a Journey to Cabool, Tartary and Persia*, London 2012 [wyd. oryg. *Travels into Bokhara. Being an Account of a Journey from India to Cabool, Tartary and Persia. Also, Narrative of a Voyage on the Indus from the Sea to Lahore*, wyd. I, London 1834, t. I–III].

James Chambers, *Genghis Khan*, Stroud 1999.

Alexander Cooley, *Great Games, Local Rules. The New Great Power Contest in Central Asia*, Oxford 2012.

Sally N. Cummings, *Understanding Central Asia. Politics and Contested Transformations*, London 2012.

- Adrienne Lynn Edgar, *Tribal Nation. The Making of Soviet Turkmenistan*, Princeton 2004.
- Peter B. Golden, *Central Asia in World History*, Oxford 2012.
- René Grousset, *L'empire des steppes*, Lausanne 1970 [Paris 1939].
- Mikal Hem, *Kanskje jeg kan bli diktator. En håndbok*, Oslo 2012.
- Dilip Hiro, *Inside Central Asia. A Political and Cultural History of Uzbekistan, Turkmenistan, Kazakhstan, Kyrgyzstan, Tajikistan, Turkey and Iran*, New York 2009.
- Kathleen Hopkirk, *Central Asia through Writers' Eyes*, London 1993.
- Peter Hopkirk, *Setting the East Ablaze. Lenin's Dream of an Empire in Asia*, London 1984.
- Peter Hopkirk, *Wielka Gra. Sekretna wojna o Azję Środkową*, przeł. Jarosław Skowroński, Poznań 2011 [wyd. oryg. *The Great Game. On Secret Service in High Asia*, London 2006].
- Ryszard Kapuściński, *Imperium*, Warszawa 1993.
- Adeeb Khalid, *Islam after Communism. Religion and Politics in Central Asia*, Berkeley 2007.
- Rudyard Kipling, *Kim*, przeł. Józef Birkenmajer, Warszawa 1999 [wyd. oryg. *Kim*, New York 2005].
- Geir Kjetsaa, *Fjodor Dostojewskij – et dikterliv*, Oslo 1985.
- Marlène Laurelle, Sébastien Peyrouse, *The Chinese Question in Central Asia. Domestic Order, Social Change, and the Chinese Factor*, New York 2012.
- Igor P. Lipovsky, *Central Asia in Search of a New Identity*, [b.m.], 2012.
- Xinru Liu, *The Silk Road in World History*, Oxford 2010.
- Morgan Y. Liu, *Under Solomon's Throne. Uzbek Visions of Renewal in Osh*, Pittsburgh 2012.
- Alexey Malashenko, *The Fight for Influence. Russia in Central Asia*, Washington 2013.
- Lawrence P. Markowitz, *State Erosion. Unlootable Resources and Unruly Elites in Central Asia*, Ithaca–London 2013.

- Robert Middleton, Thomas Huw, *Tajikistan and the High Pamirs. A Companion and Guide*, New York 2012.
- Walter G. Moss, *A History of Russia, Volume I: To 1917*, wyd. II London 2003.
- Walter G. Moss, *A History of Russia, Volume II: Since 1855*, wyd. II London 2004.
- Craig Murray, *Murder in Samarkand. A British Ambassador's Controversial Defiance of Tyranny in the War on Terror*, Edinburgh 2006.
- Conor O'Clery, *Moscow, December 25, 1991. The Last Day of the Soviet Union*, New York 2012.
- Martha Brill Olcott, *Tajikistan's Difficult Development Path*, Washington 2012.
- Sébastien Peyrouse, *Turkmenistan. Strategies of Power, Dilemmas of Development*, Armonk 2011.
- Peter Pringle, *The Murder of Nikolai Vavilov. The Story of Stalin's Persecution of One of the Great Scientists of the Twentieth Century*, New York 2008.
- Ted Rall, *Silk Road to Ruin. Why Central Asia Is the Next Middle East*, wyd. II New York 2014 [wyd. I *Silk Road to Ruin. Is Central Asia the New Middle East?*].
- Madeleine Reeves, *Border Work. Spatial Lives of the State in Rural Central Asia*, Ithaca–London 2014.
- Christopher Robbins, *In Search of Kazakhstan. The Land that Disappeared*, London 2007.
- Andriej Sacharow, *Wspomnienia*, t. I, przeł. Danuta Ulicka, t. II, przeł. Aleksander M. Bogdański i in., Poznań 1991 [wyd. oryg. *Vospominania*, New York 1990].
- Mukhamet Shayakhmetov, *The Silent Steppe. The Memoir of a Kasakh Nomad Under Stalin*, przeł. na ang. Jan Butler, New York 2006.
- Philip Shishkin, *Restless Valley. Revolution, Murder and Intrigue in the Heart of Central Asia*, New Haven 2013.
- Aleksander Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag. 1918–1956. Próba analizy literackiej*, t. I–III, przeł. Michał Kaniowski [właśc. Jerzy Pomianowski],

- Warszawa 1988 [wyd. oryg. *Archipelag GULag*, Paris 1937].
- S. Frederick Starr, *Lost Enlightenment. Central Asia's Golden Age from the Arab Conquest to Tamerlane*, Princeton 2013.
- Colin Thubron, *Cień Jedwabnego Szlaku*, przeł. Paweł Lipszyc, Wołowiec 2013 [wyd. oryg. *Shadow of the Silk Road*, London 2006].
- Saparmyrat Turkmenbasza, *Rukhnama. Reflections on the Spiritual Values of the Turkmen*, [tłumacz na ang. nieznany], Aszchabad 2005.
- Jack Weatherford, *Czyngis Chan*, przeł. Dorota Kozińska, Warszawa 2006 [wyd. oryg. *Gengis Khan and the Making of the Modern World*, New York 2004].

¹ Osada typu wiejskiego w Azji Środkowej, głównie w Turkmenistanie, Tadżykistanie i Uzbekistanie, dawniej zimowa osada ludów koczowniczych Wielkiego Stepu (przyp. tłum.; jeśli nie oznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

² Aluzja do tytułu pierwszej powieści Fiodora Dostojewskiego (przyp. tłum.).

³ Czeczenia i pozostałe republiki na północ od Kaukazu pozostały częścią Federacji Rosyjskiej. W Związku Radzieckim nie miały one statusu samodzielnych republik, były republikami autonomicznymi. Istniały 44 republiki autonomiczne, żadna z nich nie uzyskała suwerenności w 1991 roku.

⁴ Azję Środkową można różnie definiować. Do tego regionu zalicza się często Afganistan, czasami także część terytorium Rosji i Chin. W *Store norske leksikon* jako Azję Środkową określa się „[...] bezodpływową wyżynę w centrum Azji, ograniczoną od północy pasmami górskimi Ałtaju, Sajanów i Gór Jabłonowych, od południa Transhimalajami, a od wschodu masywami Karakorum, Pamiru i Tien-szanu”. Kraje, o których mówi ta książka – Turkmenistan, Kazachstan, Tadżykistan, Kirgistan i Uzbekistan – wymienia się natomiast we współczesnych definicjach Azji Środkowej zawsze. Jeżeli więc nie podano inaczej, do tych właśnie krajów odnoszę się w książce, kiedy piszę „Azja Środkowa” i „środkowoazjatycki” (przyp. autorki).

W tłumaczeniu terminem „Azja Środkowa” określa się region w geografii historycznej i politycznej obejmujący omawiane w książce były republiki radzieckie (przyp. tłum.).

⁵ Cytat za artykułem Catherine A. Fitzpatrick przygotowanym na podstawie materiałów z WikiLeaks: *Turkmen Leader is a Micromanager*, opublikowanym 5.12.2010 na <http://www.eurasianet.org/node/62507>.

⁶ Niektóre źródła podają, że został otruty przez przypadkowo spotkanych Tatarów i zmarł po powrocie do swojego obozu (przyp. tłum.).

⁷ Cytat za: Jack Weatherford, *Czyngis Chan*, przeł. Dorota Kozińska, Warszawa 2006, s. 159–160.

⁸ Źródła nie są zgodne co do liczby wysłanników Czyngis-chana do Muhammada II. W kilku wspomina się o jednym wysłanniku, w innych – o trzech. Niektórzy historycy wzmiankują, że było ich więcej niż trzech, lecz nie określają konkretnie ilu.

⁹ Nazwa obecna – Beruniy, dawniej Kath (uzb. Kos) (przyp. tłum.).

¹⁰ Obecnie Kunia-Urgencz (przyp. tłum.).

¹¹ Cywilizacja Oksus z epoki brązu (XXIII–XVII w. p.n.e.), bardziej znana jako BMAC (Bactria-Margiana Archaeological Complex) albo kultura oaz, z głównym odkrytym

stanowiskiem w Gonur została opisana przez jej odkrywcę, profesora Wiktora Iwanowicza Sarianidiego, w: Гонур-депе. Город царей и богов, Miras 2005. O złotym skarbie z północnego Afganistanu: *Bactrian Gold. From the Excavations of the Tillya-Tepe Necropolis in Northern Afghanistan*, Leningrad 1985. Pojawiły się też hipotezy na temat istnienia pisma lub piktogramów w tej kulturze ok. 2300 r. p.n.e. (przyp. tłum.).

¹² „Turystów przyciąga świetna infrastruktura. Zlokalizowany w pobliżu miasta Turkmenbaszy nowoczesny międzynarodowy port lotniczy jest bez wątpienia jednym z najlepszych w Turkmenistanie. Drogi w kurorcie są idealne, a z roku na rok sytuacja jeszcze się poprawia” (przyp. tłum.).

¹³ Ang. *microdistrict*, ros. *mikrorajon*, niem. *Wohngebiet* – odpowiednik polskiego osiedla mieszkaniowego; radziecka jednostka urbanistyczno-administracyjna, najczęściej osiedle bloków z wielkiej płyty na obrzeżach miasta, budowane według ściśle określonych zasad, z pełną infrastrukturą. Numerację używaną w czasie budowy często zachowywano na stałe (przyp. tłum.).

¹⁴ Taras Szewczenko (1814–1861) został w 1851 roku zesłany na siedem lat do batalionu karnego w Twierdzy Nowopietrowskiej na półwyspie Mangyszłak, skazany na karne musztry, prace forteczne i całkowity zakaz pisania i rysowania. Odzyskał wolność w 1857 roku (przyp. tłum.).

¹⁵ Przekład z norweskiego tłumaczenia autorki. Pozycja nie ukazała się po polsku (przyp. tłum.).

¹⁶ Aral Tenizi – organizacja zajmuje się rewitalizacją rybactwa nad Jeziorem Aralskim (przyp. tłum.).

¹⁷ W rzeczywistości chodzi o pradziadka poety po kądzieli, Abrama (Ibrahima) Pietrowicza Hannibala (zm. w 1781 roku), który jako niewolnik trafił najpierw do Konstantynopola z Abisynii (lub Kamerunu), a następnie, wykupiony w 1704 roku, do Rosji, gdzie został paziem na dworze cara Piotra I, a potem wykształconym generałem (zaprojektował m.in. twierdzę w Kronsztadzie) i komendantem garnizonu w Rewlu (obecnie Tallin) (przyp. tłum.).

¹⁸ Euroazjatycka Unia Gospodarcza, zgodnie z postanowieniami traktatu, rozpoczęła formalną oraz praktyczną działalność 1 stycznia 2015 roku. Tego dnia zaczął obowiązywać swobodny przepływ pracowników między krajami EUG, rok później ma powstać wspólny rynek farmaceutyczny, w 2019 roku – energii elektrycznej, a w 2025 roku – ropy i gazu. Unia została powołana do życia 29 maja 2014 roku przez trzy państwa założycielskie: Białoruś, Kazachstan i Rosję. Jako fundament posłużyły istniejące wcześniej unia celna i Euroazjatycka Wspólnota Gospodarcza. Do unii

dołączyły także Armenia (10 października 2014 roku) i Kirgistan (23 grudnia 2014 roku). EUG bywa nazywana alternatywą dla Unii Europejskiej (https://pl.wikipedia.org/wiki/Euroazjatycka_Unia_Gospodarcza, dostęp 11.07.2015) (przyp. tłum.).

¹⁹ W 1731 roku chan kazachskiej Małej Hordy, Abu'l-Hayr, poddał się dobrowolnie carowi. Stał się jego wasalem w nadziei, że ten wesprze Kazachów w walce z koczowniczym ludem Dżungarów (Ojratów, Mongołów Zachodnich). Podobnie uczynił w 1742 roku chan Wielkiej Hordy, Golbar. Postąpiła tak w 1740 roku też Średnia Horda (źródło: niemiecka Wikipedia) (przyp. tłum.).

²⁰ Kuwejt ma 17 818 km² powierzchni, Karąg – 17 800 km² (przyp. tłum.).

²¹ Cytat za: Dilip Hiro, *Inside Central Asia. A Political and Cultural History of Uzbekistan, Turkmenistan, Kazakhstan, Kyrgyzstan, Tajikistan, Turkey and Iran*, New York 2009, przekład na norweski pochodzi od autorki.

²² Aleksandr Michajłowicz Wasilewski (1895–1977) – marszałek ZSRR, minister obrony (1949–1953) (przyp. tłum.).

²³ Wszystkie przytoczone tu cytaty zaczerpnięto z pierwszego tomu *Wspomnień* Andrieja Sacharowa, przeł. Danuta Ulicka, Poznań 1991, s. 135–137, 152, 155.

²⁴ Mitrofan Iwanowicz Niedielin (1902–1960) – marszałek artylerii, dwukrotnie wiceminister obrony ZSRR, głównodowodzący Strategicznych Wojsk Rakietowych ZSRR. Zginął w katastrofie na poligonie Bajkonur podczas prób z rakieta R-16 (przyp. tłum.).

²⁵ Tytuł opowiadania Fiodora Dostojewskiego, opublikowanego po raz pierwszy w 1848 roku (przyp. tłum.).

²⁶ Michaił Wasiliewicz Butaszewicz-Pietraszewski (1821–1866) – działacz społeczny, propagator materializmu i socjalizmu utopijnego (przyp. tłum.).

²⁷ Wszystkie cytaty z Dostojewskiego w tym rozdziale (w wersji norweskiej – przyp. tłum.) pochodzą z biografii Geira Kjetsaa *Fjodor Dostojewskij – et dikterliv*, Oslo 1985.

²⁸ Cytaty pochodzą z: Aleksandr Wrangel, *Na zeszaniu*, przeł. Hanna Kowalska-Lewicka, [w:] *Okrutny talent. Dostojewski we wspomnieniach, krytyce i dokumentach*, wybór, wstęp, przypisy Zbigniew Podgórzec, Kraków–Wrocław 1984, s. 103–115 (przyp. tłum.).

²⁹ Tak podał Dostojewski w liście do Wrangla. Jest to pomyłka, ślub odbył się 6 marca, za: Orest Miller, *Powrót do życia*, przeł. Ała Sarachowa, [w:] *Okrutny talent...*, dz. cyt., s. 120 (przyp. tłum.).

³⁰ Oslo wycofało swoją kandydaturę w 2014 roku, mimo akceptacji wyrażonej

w referendum przez mieszkańców miasta w 2013 roku, wobec braku gwarancji wsparcia finansowego ze strony państwa. Zimowe igrzyska olimpijskie w 2022 roku odbędą się w Pekinie (przyp. tłum.).

³¹ Cytat zamieszczony w książce Christophera Robbinsa *In Search of Kazakhstan. The Land that Disappeared*, London 2007, s. 13.

³² Powołany w 1925 roku z Wawilowem jako dyrektorem (pełnił tę funkcję do 1940 roku), od 1930 roku Wszechradziecki Instytut Roślinoznawstwa, obecnie znany w świecie jako Instytut Wawilowa (przyp. tłum.).

³³ Wiara w to, że cechy nabyte są dziedziczone w następnym pokoleniu, stała się także głównym aksjomatem w traktowaniu przez komunistów „wrogów ludu” i ich dzieci – uważali, że grzechy ojców dosłownie dziedziczą dzieci.

³⁴ Jako bezpośrednią przyczynę śmierci Wawilowa podaje się pelagrę, chorobę wywołaną brakiem kwasu nikotynowego (witaminy B3); zapadł na nią z powodu jednostajnej diety składającej się przede wszystkim z kukurydzy (przyp. tłum.).

³⁵ Maszt wysokości stu sześćdziesięciu metrów w Korei Północnej, strategicznie umieszczony przy granicy z Koreą Południową, nie liczy się w tej konkurencji, jest to bowiem bardzo wysoka wieża z nadajnikiem radiowym i flagą na szczycie. Inaczej mówiąc, nie jest to klasyczny maszt flagowy wolno stojący. W Norwegii najwyższy dotychczas maszt flagowy wzniesiono w związku z jubileuszem dwóchsetlecia konstytucji w 2014 roku. Ma trzydzieści jeden metrów wysokości i stoi w Birkeland w Aust-Agder.

³⁶ W 2009 roku koszty obliczono na sto milionów dolarów, z czego siedemdziesiąt milionów ma zapłacić Królestwo Kataru, a trzydzieści – Tadżykistan (przyp. tłum.).

³⁷ Urodzony w 1952 roku w Dangarze Rahmonow (nazwisko używane do 2007 roku) ukończył studia ekonomiczne w Państwowym Uniwersytecie Tadżykistanu w 1982 roku. Przedtem pracował jako elektryk w mleczarni w Kurgonteppe i sprzedawca. W latach 1971–1974 służył jako marynarz na Pacyfiku, a w latach 1976–1988 pełnił funkcje kierownicze w kolchozie w Dangarze. W 1990 roku został deputowanym do Rady Najwyższej Tadżyckiej SRR XII kadencji (https://ru.wikipedia.org/wiki/Рахмон,_Эмомали) (przyp. tłum.).

³⁸ Emomali Rahmonov, *Tojikon dar oinai ta' rikh*, Duszanbe 1996; wyd. ang. *The Tajiks in the Mirror of History: From the Aryans to the Samanids*, London 2001, wydana także po rosyjsku, francusku i arabsku (przyp. tłum.).

³⁹ W Azji Środkowej pilaw występuje pod nazwą płow. Dla jasności w tłumaczeniu zachowano sformułowanie oryginału (przyp. tłum.).

⁴⁰ Rudyard Kipling, *Kim*, przeł. Józef Birkenmajer, Warszawa 1999, s. 209 (przyp. tłum.).

⁴¹ Zasadniczym źródłem podczas pracy nad tą częścią rozdziału była znakomita i trzymająca w napięciu książka Petera Hopkirka *The Great Game. On Secret Service in High Asia*, London 2006 [wyd. pol.: *Wielka Gra. Sekretna wojna o Azję Środkową*, przeł. Jarosław Skowroński, Poznań 2011 (przyp. tłum.)].

⁴² James Abbott założył poza tym miasto Abbottabad w dzisiejszym Pakistanie. Trafiło ono na czołówki światowych serwisów informacyjnych w 2011 roku, kiedy Osama ibn Ladin, który się w nim ukrywał, został zabity przez amerykańskie oddziały specjalne.

⁴³ James Abbott, *Narrative of a Journey from Heraut to Khiva, Moscow and St. Petersburg, during the late Russian Invasion of Khiva*, t. 1–2, London 1843, cyt. za: Kathleen Hopkirk, *Central Asia through Writers' Eyes*, London 1993.

⁴⁴ Moje tłumaczenie bazuje na fragmencie memorandum zamieszczonym u Waltera G. Mossa w: *A History of Russia, Volume I: To 1917*, London 2003.

⁴⁵ W Geok Depe chodziło głównie o Achał-Tekińców, których usiłowano bez skutku spacyfikować już wcześniej, a którzy na wieść o kolejnej rosyjskiej ekspedycji schronili się w cytadeli (przyp. tłum.).

⁴⁶ Po rosyjsku kyszłak Kuszka; incydent pandźdehski znany jest też jako bitwa nad Kuską (lewy dopływ Murgobu) (przyp. tłum.).

⁴⁷ Marco Polo, *Opisanie świata*, przeł. Anna Ludwika Czerny, Warszawa 2010, s. 77 (przyp. tłum.).

⁴⁸ Tamże (przyp. tłum.).

⁴⁹ Robert Middleton, Thomas Huw, *Tajikistan and the High Pamirs. A Companion and Guide*, New York 2012.

⁵⁰ Ryszard Kapuściński, *Imperium*, Warszawa 2007, s. 88–89 (przyp. tłum.).

⁵¹ Nazwa odpowiada zamysłowi autorki. Chodzi o ludzi układających drapieżne ptaki do polowania. W Polsce i wielu innych krajach były to głównie sokoły, natomiast w Kirgistanie – orły przednie (przyp. tłum.).

⁵² Leninpol to pierwotnie cztery wioski założone przez ruskich mennonitów w dolinie Tałas w 1882 roku: Köppental, Nikolaipol, Gnadental i Gnadenfeld. W spisie miejscowości w Azji Środkowej w 1893 roku nazwy niemieckie zamieniono na rosyjskie: Romanowka, Andrejewka i Władimirowka, zachowano Nikolaipol. Osady w miarę nadziałów ziemi się zrastały, w 1931 roku przemianowano je wszystkie na Leninpol i ustanowiono tam stolicę okręgu (od 1992 roku Bakajata) (przyp. tłum.).

⁵³ Cytat pochodzi z: *A Chronicle of Violence. The Events in the South of Kyrgyzstan in June 2010 (Osh Region)*, raport 2/2012, Norweski Komitet Helsiński.

⁵⁴ Cytat pochodzi z artykułu Alisher Sidikov i Deany Kjuky *Uzbek Migrants are „Lazy”, Beggars Don’t Exist*, opublikowanego 26 czerwca 2013 roku na stronie internetowej Radio Free Europe Radio Liberty, www.rferl.org.

⁵⁵ Środkowo-Zachodnie Stany Zjednoczone (Midwest) to najbogatsze tereny rolnicze na świecie (kukurydza, soja, wieprzowina, w zachodniej części pszenica) i duże miasta przemysłowe w części wschodniej. Częściowo są zasiedlone przez emigrantów z Norwegii (przyp. tłum.).

⁵⁶ Islamski Ruch Uzbekistanu dąży do osiągnięcia swoich celów głównie metodami terrorystycznymi i militarnymi. Do najbardziej spektakularnych przykładów jego działania należą przede wszystkim kryzysy batkeńskie (sierpień 1999, lato 2000 roku). Jednym ze źródeł utrzymania IRU są dochody z przemytu narkotyków w regionie Azji Centralnej. Uważa się także, że IRU jest związany z Al-Kaidą (przyp. tłum.).

⁵⁷ Denim, właściwie *serge de Nîmes* (tkanina wytwarzana we francuskim mieście Nîmes), džins (dawna polska odmiana: teksas) (przyp. tłum.).

⁵⁸ Doktor Siergiej Efuni, po stażach m.in. w Holandii, był jednym z pionierów stosowania hiperbarycznej terapii tlenowej w ZSRR i w latach 1974–1995 dyrektorem Państwowego Instytutu Medycyny Hiperbarycznej w Moskwie. Zapewne tam skierowano na badania Igora Sawickiego (przyp. tłum.).

⁵⁹ Zadanie pochodzi z legendy o powstaniu szachów i zostało opisane przez Szczepana Jeleńskiego w *Rozrywkach matematycznych*, cz. I *Lilavati*, Warszawa 1992, s. 234–235 (przyp. tłum.).

⁶⁰ Abduhamid Dżaliłow, *Iz istorii kulturnoj zhizni tadjhikskogo naroda*, cyt. za: S. Frederick Starr, *Lost Enlightenment. Central Asia’s Golden Age from the Arab Conquest to Tamerlane*, Princeton 2013.

⁶¹ Różne źródła podają różne przyczyny utykania: rana podczas walki (ręka i biodro) lub podczas kradzieży owcy, narośl na rzepce prawego kolana (gruźlica kości), czego skutkiem miał być paraliż prawej nogi (przyp. tłum.).

⁶² Wspólna nazwa dla (popularnych) nefrytów i (rzadszego) jadeitu (przyp. tłum.).

⁶³ Mozaika na liwanie medresy Szer Dor być może przedstawia dawny herb Samarkandy – śnieżnego irbisa (panterę) ze słońcem na grzbiecie w pogoni za gazelą. Uskrzydłony irbis ze słońcem do dziś widnieje w herbie miasta (przyp. tłum.).

⁶⁴ Rivaldo przeszedł do Bunyodkor w 2008 roku z AEK Ateny, trenerem w Uzbekistanie był wówczas Zico. Odszedł z klubu w 2010 roku. Luiz Felipe Scolari

szkolił uzbeckich piłkarzy w latach 2009–2010 (przyp. tłum.).

⁶⁵ Istotnie, w wyborach prezydenckich w marcu 2015 roku Islom Karimow został wybrany na kolejną kadencję (przyp. tłum.).

Fotografie wykorzystane we wnętrzu książki: © Erika Fatland

Mapy: © Laila Mjøs, Blæst Design

Polonizacja map: Anna Hegman

Przekład: Maria Gołębiewska-Bijak

Redakcja: Krystyna Podhajska

Korekta: Katarzyna Pawłowska, Anna Jaroszek

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Chris Bradley / Design Pics / Corbis /

Profimedia

Skład, łamanie i redakcja techniczna: Anna Hegman

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3243-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo